

Marco De Franchi

*Od lat nie mieliśmy okazji zetknąć się z tak
wspaniałą powieścią. To prawdziwe arcydzieło.*

Gian Paolo Serino

SKAZANI ZA ŻYCIA



Marco
De Franchi

SKAZANI ZA ŻYCIA

Z języka włoskiego przełożyła
Aneta Banasik



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

La condanna dei viventi

Longanesi & C. © 2022

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2023 for the Polish translation by Aneta Banasik
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Na okładce wykorzystano zdjęcie obrazu Caravaggia *Koncert*.

Redakcja: Katarzyna Łopaciuk
Korekta: Maria Zając, Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz

Info o dofinansowaniu:

Tłumaczenie tej książki powstało dzięki wsparciu
Centrum Książki i Czytelnictwa włoskiego Ministerstwa Kultury.



ISBN: 978-83-8230-642-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2023

Spis treści

Śmierć jest naga

1

2

3

4

5

6

7

8

Zaginiony

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

Incipit

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

Mężczyzna, który się uśmiecha

36

37

38

39

40

41

Caravaggio

42

43

44

45

46

47

48

49

Skóra, ciało, kości

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

Ślady

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

Światłocienie

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

Nie warto lizać ran

83

84

85

86

87

88

89

90

91

92

93

94

95

Ecce Ancilla Domini

Oto ja, służebnica Pańska

96

97

98

99

100

101

102

103

104

Zapraszamy na rzeź

105
106
107
108
109
110
111
112
113
114
115
116
117
118
119
120
121
122
123
124
125
126
127
128
129
130
131
132
133
134

135

136

137

138

139

140

Cienie z piekła

141

142

143

144

145

146

147

148

149

150

151

152

153

154

155

156

157

Posłowie

Podziękowania

Dla Lorenza i Mattea,
aby pamiętali, że kiedy wreszcie skończą się koszmary,

– Widzę, że walczą w tobie dwa wilki,
które chcą się nawzajem rozszarpać.
– Który z nich zwycięży?
– Ten, którego lepiej żywiesz.

POCHODZĄCA Z APOKRYFU ROZMOWA
POMIĘDZY ŚWIĘTYM FILIPEM NERI A CARAVAGGIEM

*Dlatego przyjdą dni – głosi wyrocznia Pana –
że nie będzie się już mówić o Tofet lub dolinie Ben-Hinnom,
lecz o Dolinie Mordu.*

KSIĘGA JEREMIASZA (7:31)

Śmierć jest naga

Chłopczyk biegł skrajem drogi niczym wystraszone zwierzę w środku nocy. Mężczyzna w samochodzie przypomniał sobie słynne zdjęcie przedstawiające wietnamską dziewczynkę o imieniu Kim uciekającą w popłochu, podczas gdy napalm palił jej skórę na plecach. Znajdowali się na drodze wojewódzkiej numer siedemdziesiąt cztery zwanej Maremmaną, która na tym odcinku biegła wzdłuż skalistej wyżyny goszczącej miasteczko Sorano z jego migoczącymi w ciemnościach światłami, a następnie przecinała rozciągające się wokół pola prowincji Grosseto.

Mężczyzna upewnił się, że nikt za nim nie jedzie, i ostrożnie zwolnił, by w końcu zatrzymać swoją toyotę highlander w pobliżu zbrocza. Poza blaskiem reflektorów nie było w okolicy żadnego innego oświetlenia. Chłopczyk, nie zwalniając biegu, zniknął za zakrętem, zza którego kierowca przed chwilą wyjechał. Mężczyzna wysiadł z samochodu i ruszył śladem uciekiniera. Nie miał czasu, aby sięgnąć po żółtą kamizelkę, i tylko w duchu się modlił, żeby nie nadjechały inne samochody. W tym miejscu droga się zwężała i gdyby jakieś auto wyskoczyło nagle zza zakrętu na wprost chłopca, kierowca z pewnością nie zdążyłby zahamować.

Dziecko wydawało się naprawdę przerażone i mężczyzna obawiał się, że krzykiem tylko jeszcze bardziej je przestraszy i w rezultacie mały rzuci się w zarośla, aby zniknąć na dobre w płataninie gałęzi. A tam już go nie znajdzie.

Chłopiec musiał być wykończony, bo mężczyzna dogonił go zaledwie po kilku minutach i zatrzymał jednym zdecydowanym ruchem.

– Stój! – wysapał, z trudem łapiąc powietrze.

Nie zdążył nawet porządnie się zdziwić, jak wychudzone i zimne jest nagie ramię, które udało mu się chwycić, gdy dziecko odwróciło się szybko i wbiło mu zęby w dłoń. Mężczyzna zawył z bólu, ale stłumił naturalny odruch, żeby odepchnąć małego. Zamiast tego objął go i próbując zatamować grad kopniaków oraz uderzeń pięści, szepnął:

– Stój, uspokój się, na litość boską. Chcę ci pomóc. Chcę ci tylko pomóc.

Chłopczyk zaczął krzyczeć, lecz jego słowa były kompletnie niezrozumiałe. Potem przewrócił oczami i w końcu zemdlał mu w ramionach.

W tym momencie w pobliżu zahamował inny samochód, a bezlitosne światło jego reflektorów zatrzymało całą scenę niczym w kadrze. Mężczyzna zamarł w bezruchu, wyobrażając sobie, jakie wrażenie musiał wywołać obraz, który zobaczył na drodze

kierowca oświetlającego ich auta. Potężny, masywny typ tulący do siebie ciało nieprzytomnego dziesięcio-, no może dwunastolatka. Dziecko było zupełnie nagie.

Jechali wielkim subaru w kolorze gołębim, które Angelo Zucca, jej asystent, wykorzystywany też jako kierowca, określił mianem salonu na czterech kołach. Valentina wolałaby coś mniej rzucającego się w oczy, ale trzeba się zadowolić dobrami rodzinnymi, a jej rodziną było centrum operacyjne policji państwowej.

Podróż okazała się stosunkowo krótka. Niecałe dwie godziny, włączając w to dobre trzydzieści minut, które zeszło im na przedzieraniu się przez korek na obwodnicy otaczającej miasto. Valentina wykorzystała ten czas na zapoznanie się z informacjami, które przekazano jej przed wyjazdem i które szybko skopiowała na swój laptop. W rzeczywistości nie było tego wiele. Może nawet za mało, żeby uzasadnić interwencję centrum operacyjnego, ale komendant Giuseppe Falcone był nieugięty:

– Musisz się tym zająć osobiście, nie wystarczy jeden z twoich współpracowników. Nie mam zaufania do szefa grupy operacyjnej z Grosseto. Istnieje ryzyko, że zlekceważył sprawę. Spróbuj się jak najszybciej przekonać, czy naprawdę powinniśmy się tym zająć, a jak nie, to pożegnaj się ładnie, zrób w tył zwrot i wracaj, nie tracąc czasu.

Valentina jak zwykle bez dyskusji wypełniła rozkaz.

Dziewczyna czekająca na nich przed wejściem do komendy była niewysoka i drobna, z burzą czarnych loków na głowie.

– *Dottoressa Medici?* – zapytała, ściskając jej rękę, a zaraz potem, nie czekając na odpowiedź, przedstawiła się: – Inspektor Blasi. Roberta Blasi. Miło mi panią poznać.

Chociaż jej postura tego nie zapowiadała, uścisk dłoni miała mocny i zdecydowany. Oczy jej błyszczały.

Angelo Zucca przedstawił się z typowym dla siebie znudzonym wyrazem twarzy, po czym Blasi poprowadziła ich do wnętrza budynku.

– Przepiękna przeciwko życiu i zdrowiu to nie moja działka – wyjaśniła, gdy przechodzili obok dyżurki, dając przy tym znak posterunkowemu, że nie ma potrzeby sprawdzania dokumentów gości. – Jeśli jednak nie ma pani nic przeciwko, przedstawię pokrótce obraz sytuacji.

– Nie jest pani odpowiedzialna za prowadzenie śledztwa? – zapytała zdziwiona Valentina, kiedy wchodzili na korytarz prowadzący do pokoi zajmowanych przez grupę operacyjną.

Blasi zaczerwieniła się lekko.

– Ta sprawa nie leży w gestii mojego wydziału, ale akurat pełniliśmy służbę, kiedy dostaliśmy wezwanie, i jako pierwsi znaleźliśmy się na miejscu... Jeszcze dokładnie nie wiemy, co tak naprawdę się stało. Większość funkcjonariuszy nie sądzi, że rzeczywiście doszło do porwania nieletniego.

– Pani też tak uważa?

– Jeszcze nie wyrobiłam sobie zdania.

– W porządku – ucięła krótko Valentina, zniesmaczona pobieżnością, z jaką miejscowi zdawali się zajmować sprawą. – W takim razie słucham, co ma mi pani do przekazania.

Angelo Zucca od razu skorzystał z okazji, by przysiąc na skraju pierwszego lepszego biurka, a na jego twarzy pod gęstą brodą zagościł tajemniczy uśmiech. Miał spore doświadczenie w pracy w grupie operacyjnej i takie zachowanie wyraźnie mówiło: niech się pani nie wkurza, *dottoressa*, to zwykli policjanci z prowincji, nic na to nie poradzimy.

Valentina doskonale знаła ten psychologiczny mechanizm: za każdym razem, gdy specjaliści z centrali mieszały się w lokalne śledztwo, wyczuwało się wyraźną nieufność miejscowych funkcjonariuszy, a często dochodziło też do swego rodzaju rywalizacji. Ona nie była czymś takim w ogóle zainteresowana. Miała za zadanie udać się na miejsce zawsze, kiedy dostawała taki rozkaz, rozeznaczyć się w sytuacji i ustalić, czy uzasadniona jest interwencja centrali, i zwinąć się najprędzej, jak to możliwe. Miała tyle zaległej roboty do wykonania, że nie mogła sobie pozwolić na stratę czasu na kompetencyjne gierki pomiędzy śledczymi.

– Jak już wiecie, chłopczyk nazywa się Fosco Agnelli – zaczęła mówić inspektor Blasi. – W grudniu skończy dwanaście lat. Jest inteligentny, ale sprawia kłopoty wychowawcze. Ma trudny charakter. Zniknął wczoraj po południu z miasteczka Sorano, w którym jest około trzech tysięcy mieszkańców i praktycznie wszyscy się znają. O trzynastej wyszedł ze szkoły, ale nie dotarł do domu. A to zaledwie sześćset metrów, sprawdziliśmy. Nie sposób się zgubić, zwłaszcza jeśli mieszka się tam przez całe życie. Matka chłopca, Luisa Marini, czekała na niego z obiadem i od razu zgłosiła zaginięcie. Ojciec mieszka we Francji, bo rodzice są w separacji. Skontaktowaliśmy się z nim natychmiast, ale oczywiście nic nie wiedział. Wczoraj późnym wieczorem, przed północą, dziecko zostało odnalezione kilka kilometrów za miastem, jak wam przekazaliśmy. Natrafił na niego wracający do domu przedstawiciel handlowy, jadący Maremmaną... to droga łącząca jezioro Bolsena z morzem. Należy dodać, że jest dość kręta i przecina cały nasz region. Chłopiec był nagi, nie miał ani ubrań, ani butów. Biegł skrajem szosy i wrzeszczał jak nawiedzony.

Inspektor przerwała i Valentina ze zdziwieniem dostrzegła na jej twarzy oznaki szczerzego wzruszenia. Nietypowe zachowanie jak na policjantkę, dla której taka sprawa to nie pierwszozna.

– Biedny mały – odezwała się Blasi – kto wie, co mu się przytrafiło! Miał szczęście, że nie wpadł pod samochód.

Valentina przytaknęła jej skinieniem głowy. Nie wiedzieć czemu, ten nieoczekiwany przejaw empatii wprawił ją w zakłopotanie.

– To wszystko już wiemy – stwierdziła. – Mam nadzieję, że dowiem się czegoś więcej. Powiedziała pani, że chłopiec sprawiał kłopoty wychowawcze.

– W tym właśnie problem. Separacja rodziców nie była dla niego łatwa i mały na pewno bardzo to przeżył. Jest pod opieką psychologa i... Wcześniej już kilka razy uciekał z domu.

Valentina zastanowiła się przez chwilę. Być może naprawdę za zniknięciem dziecka nie kryje się żadna wielka tajemnica, a ona przyjechała tutaj na darmo. Tyle że znaleziono go bez ubrania, a to już dawało do myślenia.

– Nie muszę chyba pytać, czy zbadał go lekarz.

– Oczywiście, że tak. – Blasi zajrzała do notatek, chociaż było jasne, że nie ma takiej potrzeby. – Pomijając szok, jego ogólny stan jest dobry. Teraz nie jest zbyt chłodno, więc nie doszło do wychłodzenia organizmu. Podejrzewamy, że przebywał w jakimś zamkniętym pomieszczeniu jeszcze na krótko przed odnalezieniem. Lekarz nie stwierdził żadnych urazów ani śladów przemocy. Zrobiono mu też rutynowe badania: krwi, moczu, EKG, wszystko, co niezbędne w takich przypadkach, i teraz czekamy na wyniki.

– Miał może podrażnione gardło? – zapytała Valentina. – Rezultat użycia eteru, wie pani?

Dziewczyna przytaknęła, wymieniając z przełożoną intensywne spojrzenia.

– Z gardłem wszystko w porządku. Też pomyślałam o eterze, *dottoressa* – powiedziała, a w jej głosie ponownie zabrzmiała pewność siebie. – Lekarz jeszcze go nie wykluczył, ale chce poczekać na wyniki badań, zanim postawi ostateczną diagnozę. Mówi, że na pierwszy rzut oka nic nie wskazuje na podanie narkotyków. Problem w tym, jak już mówiłam, że Fosco nie pierwszy raz uciekł z domu i nikt nie chce uwierzyć, że może się za tym kryć coś więcej.

– Kiedy go znaleziono tym razem, był nagi i przerażony. Czy poprzednio było podobnie?

– W żadnym razie – odpowiedziała Blasi, nie spuszczając z Valentiny oka, jakby poddawała ją skrupulatnej ocenie. Nie było wątpliwości, że dziewczyna oczekiwała od przełożonej odpowiedzi.

– Z pewnością dokładnie przesłuchaliście mężczyznę, który znalazł chłopca?

– Osobiście się tym zajęłam dzisiaj w nocy. Próbowaliśmy go przycisnąć, ale nic nie zyskaliśmy. Nazywa się Saverio Genovesi, z zawodu jest handlowcem, reprezentuje firmę farmaceutyczną, i wracał do domu, kiedy zobaczył dziecko. Wygląda na to, że jest porządnym człowiekiem, nigdy nie był karany. Zdawał się bardziej przestraszony niż Fosco. – Blasi zerknęła ukradkiem przez ramię, jakby chciała się upewnić, że nikt jej nie słucha. – To delikatna sprawa i dlatego mój szef jest bardzo ostrożny. Co prawda nie uważa, że zdarzyło się coś poważnego, powiedział, że zgłosił zdarzenie do centrali, bo taka jest praktyka. Dopóki jednak nie pojawią się poszlaki wskazujące na porwanie lub na wykorzystywanie seksualne, nie zamierza angażować w sprawę dodatkowych sił. Oczywiście oprócz mnie. Ale...

– Ale?

– Ale ja uważam, że temu chłopcu coś się przytrafiło. I chciałabym się dowiedzieć, co takiego.

Blasi wydawała się zdeterminowana, lecz Valentina wiedziała z doświadczenia, że policjanci często wyolbrzymiają sprawy, nad którymi pracują, ponieważ chcą się wykazać. Zwłaszcza kiedy jesteś kobietą, a szef powierza ci tylko rutynowe przypadki lub sprawy nie do rozwikłania. Może szef tego wydziału operacyjnego miał rację, a może po prostu zlekceważył zdarzenie. Westchnęła. Teraz to ona musiała znaleźć odpowiedź.

– Przesłuchaliście już Fosca?

– Pobieźnie tak, ale czekałam na panią, żeby z nim porozmawiać – wyjaśniła dziewczyna, nie spuszczać wzroku.

Nieźle. Przynajmniej w tym przypadku Blasi wybrała właściwą procedurę. Informacje podane na gorąco przez świadka, nawet jeśli jest on niepełnoletni, bardzo często okazują się decydujące. A Valentina miała pewność, że młoda pani inspektor starała się wyciągnąć od Fosca jak najwięcej szczegółów, żeby zrozumieć, co tak naprawdę się zdarzyło. W zachowaniu dziewczyny było jednak coś, co ją niepokoiło. Być może była zdenerwowana, bo szef obarczył ją odpowiedzialnością, której nie chciała na siebie brać. Jeśli wysunie błędną hipotezę, będzie mógł zwalić na nią całą winę. Jeśli coś przeoczy, będzie mógł ją ukrzyżować. Natomiast gdyby to ktoś bardziej doświadczony przesłuchiwał Fosca Agnellego, odpowiedzialność by się rozmyła.

Valentina czuła mimo wszystko, że chodzi o coś więcej.

Z uwagą przyjrzała się policjantce i zyskała pewność, że Blasi nie powiedziała jej wszystkiego. Rozmowa z chłopcem musiała ją zaskoczyć. Być może dowiedziała się czegoś, co nie dawało jej spokoju. Czegoś na tyle ważnego, że chciała, aby Valentina usłyszała to na własne uszy. Czegoś, czego nie miała odwagi powtórzyć.

– W porządku – zdecydowała szybko – idziemy poznać Fosca.

Fosco Agnelli dostał osobny pokój na terenie kompleksu szpitalnego, który mieścił się zaraz za dzielnicami mieszkalnymi Grosseto. Dwuosobowy pokój miał wyłącznie dla siebie. Izolacja była konieczna nie tylko z powodu stanu psychicznego chłopca, ale przede wszystkim dlatego, że ciągle nie było pewności, co tak naprawdę mu się przydarzyło. Przynajmniej w tej kwestii osoby podejmujące decyzje kierowały się przyjętymi zasadami. Zniknięcie dziecka, nawet jeśli trwało jedynie kilka godzin, uruchomiło czerwony alarm przewidziany dla przestępstw seksualnych oraz – w przypadku podejrzenia o znęcanie się – pociągało za sobą zaangażowanie sądu dla nieletnich we Florencji, a także pracowników opieki społecznej. Jeśli okaże się, że nie doszło do popełnienia przestępstwa, aparat sądowy natychmiast umorzy całe postępowanie. W przeciwnym razie wszystko bardzo się skomplikuje.

– Prawdę mówiąc – wyjaśniła inspektor Blasi, kiedy wchodziły na trzecie piętro – musiałam się trochę postarać, żeby przydzielono mu osobny pokój.

Valentina była coraz bardziej zdziwiona.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – zapytała.

Roberta Blasi zatrzymała się w pół kroku. Policzki miała zaczerwienione, lecz teraz nie było to wynikiem zakłopotania. Raczej swego rodzaju podekscytowania.

– Mogę być z panią szczerą?

– Musisz – rzuciła Valentina, celowo przechodząc na ty, by wykorzystać zaskoczenie policjantki. W sumie już zaczęła darzyć ją sympatią. Mimo że dziewczyna stosowała nietypową procedurę, Valentina wyczuwała u niej specyficzną pozytywną frustrację. I wiedziała, że jeśli ją zachęci, to wkrótce otrzyma odpowiedzi na najważniejsze pytania.

Roberta Blasi pokiwała głową.

– Jak już ci wspomniałam, miałam okazję zamienić z Foskiem kilka słów dzisiaj w nocy.

– Dobrze zrobiłaś – potwierdziła, czekając na ciąg dalszy.

– Płakał, ale co nieco zdołał z siebie wydusić. Powiedział mi coś, co mnie zaniepokoiło... Przekazałam to natychmiast szefowi, ale mnie zlekceważył. Powiedział, że to bzdety wymyślone przez chłopca z problemami psychicznymi, który chciał zrobić na złość matce. Ci, którzy znają to dziecko, twierdzą, że często zachowuje się nieprzewidywalnie. Uważają, że ucieczka to był zwykły kaprys, lekceważą, że mały błąkał się po okolicy w takim stanie. – Blasi pokręciła głową na

znak dezaprobaty. – Przecież był całkiem nagi, rozumiesz? – dodała. – A oni się zachowują, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

– To dziwne, masz rację.

– No właśnie. Mówią, że dzieci są zdolne do wszystkiego, aby zwrócić na siebie uwagę dorosłych. Nawet rozebrać się i latać nocą na golasa po lasach. Ale to, co mi powiedział... nie sądzę, żeby to były wymysły dziecka z zaburzeniami. A do tego jego zachowanie... no dobrze, jeśli i ty uznasz, że to tylko urojenia, dam sobie spokój. Przyjmę opinię doświadczonej specjalistki i nie będę drażnić.

Valentina mogłaby się jednak założyć, że dziewczyna wcale tak łatwo nie zrezygnuje.

– Co on ci właściwie powiedział? Co mu się przydarzyło?

Roberta Blasi wskazała podbródkiem na drzwi pokoju, przed którymi właśnie stanęły.

– Jest w środku. Przepraszam, ale będzie lepiej, jak sam ci wszystko opowie.

Chłopiec leżał w łóżku z prześcieradłem naciągniętym pod samą brodę. Oczy miał zamknięte, a ściągnięte brwi wskazywały na niespokojny sen. Z kroplówki do żyły sączył się bezbarwny roztwór. Fosco miał gęste czarne włosy niełatwo poddające się grzebieniom i nie wyglądał na swoje dwanaście lat.

Kobieta siedząca obok łóżka musiała być jego matką. Wskazywały na to podobny profil, czarna linia brwi, równie niesforna burza włosów oraz przede wszystkim sugerowała to jej postawa. Położyła rękę na prześcieradle, by nie tracić kontaktu z ciałem syna, jakby chciała się upewnić, że znowu nie zniknie. Na jej twarzy znać było wyraźne ślady długiego czuwania oraz głębokiej udręki.

W pokoju znajdowała się też druga kobieta w bliżej nieokreślonym wieku, miała siwe włosy splecione w długi warkocz i pogodną twarz. Prawdopodobnie była psycholożką dziecięcą, ponieważ obecności psychologa wymagały procedury.

Roberta Blasi ściszym głosem dokonała niezbędnej prezentacji:

– Komisarz Medici przyjechała z Rzymu wraz ze swoim asystentem Angelem Zuccą. A to pani Luisa, mama Fosca, oraz *dottoressa* Manigrasso, psycholożka dziecięca... Sędzia przekazał nam swoje zalecenia.

W czasie gdy Valentina i Zucca ściskali wyciągnięte dłonie obu kobiet, chłopiec otworzył oczy i w tej samej chwili komisarz niemalże namacalnie odczuła ból i lęk, które go przepełniały. W jego zagubionym spojrzeniu ciągle można było dostrzec ślady cierpienia.

Doktor Manigrasso zwróciła się do dziecka ze swojego miejsca:

– Cześć, Fosco, jak się masz?

Mały się nie poruszył, ale jego oczy wiele mówiły. Przenosił niespokojne spojrzenie z jednej osoby na drugą, wpatrywał się przez chwilę w każdą z osobna, po czym zaczynał od nowa. Czarne źrenice wirowały w szalonym tempie.

Lekkim ruchem głowy Valentina poprosiła psycholożkę, aby kontynuowała przygotowywanie dziecka do rozmowy.

– Zobacz, Fosco, jest z tobą mama. Cieszysz się, że jest przy tobie?

Fosco odwrócił się w stronę matki i po raz pierwszy zatrzymał wzrok na dłużej na twarzy kobiety, a ta mocniej ścisnęła jego dłoń.

Valentina od razu zrozumiała intencje psycholożki, która chciała, aby dziecko skupiło całą swą uwagę na matce. I to nie tylko po to, by dodać mu otuchy, ale by od razu ocenić łączącą ich więź. Dość często zdarza się, że ucieczki nieletnich z domu

powiązane są ze złym traktowaniem, którego doświadczają w kręgu rodziny, a wina i udział matki nie są wcale rzadsze niż ojca.

Wyraz twarzy chłopca złagodniał, a mały oderwał wzrok od matki tylko na moment, aby spojrzeć na psycholożkę i odpowiedzieć jej skinieniem głowy. Manigrasso uśmiechnęła się do niego i dodała:

– No pewnie, z nią czujesz się bezpieczny, prawda?

Ponowne skinienie.

– Ci państwo chcieliby zadać ci kilka pytań. Jeśli czujesz się na siłach, możesz odpowiedzieć. Zgadzasz się?

Fosco zastanowił się przez chwilę, po czym wreszcie otworzył usta.

– Tak.

Psycholożka spojrzała na policjantów i dała im znak, że mogą zaczynać, a Blasi zwróciła się do Valentyny:

– Czy mogę?

Komisarz pokiwała głową. W końcu inspektor wspomniała, że już nawiązała kontakt z chłopcem, więc lepiej na początku oddać jej inicjatywę.

– Fosco, pamiętasz mnie? – zapytała Blasi. – Rozmawialiśmy przez chwilę dzisiaj w nocy i świetnie sobie poradziłeś, kiedy opowiadałeś mi, co ci się przytrafiło. Dlatego chciałam cię prosić, abys jeszcze raz powiedział wszystko naszym gościom. To bardzo ważni policjanci, którzy przyjechali tu z Rzymu specjalnie dla ciebie.

Błada twarz dziecka zwróciła się w stronę nowo przybyłych, ale nie zmieniła wyrazu.

– Możesz to zrobić, Fosco? – zapytała ponownie ściszym głosem. – Możesz powtórzyć im, co ci się przydarzyło?

Nieśmiały znak zgody.

Valentina zrobiła krok w stronę łóżka i chłopiec natychmiast się skulił, ściskając w dłoni brzeg prześcieradła. Uniósł je szybko, jakby chciał się zasłonić. W tym momencie matka rzuciła Valentinie niechętnie spojrzenie, a jej ciało stężało. Policjantka doceniła ten wysiłek.

– Nie bój się – odezwała się Valentina najuprzejmiejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Zobacz, twoja mama jest przy tobie i nie pozwoli ci zrobić krzywdy.

Fosco przytaknął z roztargnieniem, jakby chciał podkreślić oczywistość tego stwierdzenia, a jego dłoń zaciśnięta na prześcieradle powoli się rozluźniła.

– Co chcecie wiedzieć? – Głos mu nie zadrżał i w normalnych warunkach można by go uznać za pewnego siebie chłopca, który gdyby chciał, byłby nawet w stanie udawać.

– Co ci się wczoraj przydarzyło? Czy możesz mi powtórzyć to, co wcześniej opowiedziałeś mojej koleżance? Wszyscy bardzo się o ciebie martwili.

– Wiem. Przykro mi.

– Teraz to już bez znaczenia. Bardzo się cieszymy, że wróciłeś do domu. Muszę cię jednak prosić, abyś nam pomógł i opisał swój wczorajszy dzień. Dasz radę? Bardzo by nam to ułatwiło pracę.

– Dobrze... – powiedział Fosco i zaraz potem zacisnął usta.

– Zacznijmy od momentu, kiedy wyszedłeś ze szkoły. Pamiętasz, która była wtedy godzina?

– Na ostatniej lekcji mieliśmy matematykę... Wczoraj były wszystkie lekcje i skończyliśmy o pierwszej. Zawsze wychodzę ze szkoły o pierwszej.

– Na pewno zatrzymałeś się na chwilę, aby pożegnać się z kolegami, prawda?

– Tak.

– A co potem?

– Wróciłem do domu. Przez chwilę siedłem razem z Marcellem, moim kolegą, który mieszka niedaleko szkoły. A dalej już sam.

– Tak jak zwykle?

– Tak jak zwykle.

– I o której byłeś w domu? Ile czasu po tym, jak wyszedłeś ze szkoły?

Fosco spojrzał na matkę.

– Nie wiem. Może dziesięć minut?

– Tak, to jak najbardziej sensowne – potwierdziła Valentina. – Bardzo nam pomagasz, wiesz... A co zdarzyło się później?

– Później był ten pan. Ten, który zrobił mi krzywdę...

Zimny podmuch. Valentina wyraźnie go poczuła i wrażenie było na tyle namacalne, że odruchowo spojrzała w stronę okna, aby się upewnić, czy na pewno jest zamknięte.

– Jaki pan? – dopytała Blasi, jakby chciała go zachęcić do dalszego opowiadania.

Valentina tymczasem pilnie obserwowała twarz Fosca.

– No ten z białymi włosami – odpowiedział chłopiec, zwracając się do policjantki. – Przecież ci mówiłem.

– O kim mówisz? – zapytała ostrożnie Valentina, mimo że dziecko nie patrzyło już ani na nią, ani na nikogo innego. Wpatrywało się tylko w skraj prześcieradła, jakby szukało na nim śladów niewidocznych dla nikogo innego, i mówiło dalej:

– Niezbyt dużo pamiętam. On stał przed domem i miał furgonetkę... taką dużą... Mamo, to dziwne, że jej nie zauważyłaś. Była zaparkowana naprzeciw domu. Z okna w kuchni na pewno była widoczna. Taka ciemnozielona. Kiedy podszedłem, ten pan zaraz wysiadł, jakby na mnie czekał. Coś mi powiedział...

– Przywitał się z tobą? A może go znasz? – zapytała Valentina.

– Nie. Nigdy go nie widziałem. Nie pamiętam, co mi powiedział...

– Zbliżył się do ciebie? – podpowiedziała Valentina. – Widziałeś jego twarz?

– Tak, ale też nie pamiętam, jak wyglądał. Pamiętam tylko włosy. Całkiem białe i długie... no i jeszcze jego uśmiech. Taki szeroki, od ucha do ucha... To był brzydki uśmiech. Potem chyba zasnąłem, ale nie wiem, jak to się stało. A jeszcze później obudziłem się w furgonetce... Nic się nie poruszało i było cicho. Leżałem i bolała mnie głowa, i... przepraszam, mamu, ale byłem... – przerwał, a jego czarne oczy wypełniły się łzami.

– Wystarczy... – szepnęła cicho matka.

– Tak, wiemy, byłeś bez ubrania... – zakończyła za niego Valentina. – Ale to nie twoja wina. Wszyscy wiemy, że to nie twoja wina.

– Naprawdę? – upewnił się mały, pociągając nosem, jakby nie do końca wierzył w niespodziewane rozgrzeszenie. – Ja nie pamiętam, żebym się rozbierał. Kiedy się obudziłem, było mi zimno.

Matka Fosca zaczęła zgrzytać zębami. Valentina wyraźnie słyszała nieprzyjemny, metaliczny odgłos.

– Kiedy się obudziłeś, byłeś w furgonetce?

Chłopiec zmarszczył czoło.

– To nie była taka prawdziwa półciężarówka. Nie taka jak ta, którą Ginetto wozi złom. Ta była cała zamknięta, nie miała okien.

– Furgon dostawczy – włączyła się Blasi. – Z zamkniętym nadwoziem, prawda, Fosco? Bez okien. Potem pokażę ci zdjęcia, może rozpoznasz model... Ale teraz mów dalej. Powtórz wszystko, co mi wcześniej powiedziałaś.

– Dobrze. Obudziłem się w furgonetce... Wiesz, mamu, leżałem na łóżku polowym, na takim samym, na jakim śpi Tonino, kiedy do nas przyjeżdża... z metalowymi nogami, takimi do składania... i stopy mi wystawały na zewnątrz. – Uśmiechnął się lekko, a matka, widząc to, westchnęła z ulgą.

– Pamiętasz coś z wnętrza samochodu? – zapytała Valentina. – Jaki był w środku? Było dość światła?

– Była noc, ale nie całkiem ciemno, bo coś widziałem. Nad moją głową... i wkoło... – Potrząsnął głową, jakby chciał rozproszyć mgłę, która go dusiła. – Wszędzie widziałem... twarze. Twarze, które mi się przyglądały...

– Jakie twarze?

– Milczące. Było ich bardzo dużo i cały czas mi się przyglądały... – Wzdrygnął się i matka ponownie poruszyła się niespokojnie na swoim miejscu.

– Możesz nam to wyjaśnić, Fosco? – szepnęła Valentina, nie patrząc na kobietę i licząc na to, że nie przerwie opowiadania syna. – Te twarze były na ścianach furgonetki? To chciałeś powiedzieć?

– Tak, były wszędzie.

– Fosco, czy to mogły być zdjęcia? Wnętrze samochodu było wytapetowane fotografiami twarzy?

Chłopiec przytaknął skwapliwie, jakby sam już wcześniej doszedł do takiego wniosku.

– Tak, to chyba były zdjęcia. Były przerażające i przyklejono je wszędzie, nawet do sufitu. Kręciło mi się w głowie od tych twarzy...

– Jasne – potwierdziła Valentina, kodując informację. – I co potem zrobiłeś?

Fosco ponownie popatrzył na Robertę Blasi. Wszystko wskazywało na to, że prowadzą ze sobą niemy dialog, do którego inni nie zostali dopuszczeni.

– Fosco, co zrobiłeś później? – powtórzyła zaniepokojona Valentina.

– Uciekłem.

– Jak ci się to udało?

– Drzwi furgonetki były otwarte, to dlatego światło wpadało do środka. Wsiadłem. Byliśmy w zamkniętym pomieszczeniu... ściany były wysokie, a przed sobą widziałem wielką bramę, taką jak do stajni... Światło księżycy wpadało do środka. Widziałem drzewa.

– Co dokładnie zrobiłeś? Wskoczyłeś z furgonetki i natychmiast uciekłeś?

– Chciałem tak zrobić, to prawda... Ale potem go zobaczyłem.

– Kogo?

Teraz oczy chłopca wpatrywały się w coś, czego żadne z nich nie mogło zobaczyć.

– Stał w kącie stajni, odwrócony plecami. Widziałem jego długie białe włosy... Był uczesany w koński ogon...

– I co robił?

– Nie wiem. Stał naprzeciw ściany odwrócony do mnie plecami... Na początku pomyślałem, że sika. Ale on coś mówił, szeptał... Jakby się modlił. Wiem, że to dziwne, ale przypomniało mi się, że nauczyciel religii opowiadał nam kiedyś, że w Jerozolimie żydzi i muzułmanie modlą się razem, opierając głowy o święty mur. On wyglądał, jakby był jednym z nich... Tylko że się nie kiwał. Mruczał coś z twarzą w kierunku ściany. Na szczęście był odwrócony plecami i nie patrzył na mnie. Wtedy zacząłem szybko biec. Potem znalazłem się w lesie... i dalej biegłem... chociaż bardzo bolały mnie stopy.

Odsunął prześcieradło i pokazał swoje stopy. Były owinięte bandażami, na których widniały ciemne plamy jodyny.

Valentina uniosła wzrok i spojrzał na Angela Zuccę, który zatrzymał się w pobliżu drzwi. Policjant cały się trząsał, z trudem powstrzymując wściekłość. Nawet po wielu latach służby do pewnych rzeczy nie sposób się przyzwyczaić. Próbując zapanować nad własną mimiką i głosem, Valentina ponownie zwróciła się do dziecka:

– Pamiętasz coś jeszcze?

Fosco wydawał się skoncentrowany. Na jego twarzy widać było ogromny wysiłek. Pewnie wiele go kosztował powrót myślami do tamtych okropnych wydarzeń.

Znowu nastąpiła szybka wymiana spojrzeń pomiędzy nim a Robertą Blasi. A potem odwrócił się w stronę okna, tam gdzie w oczekiwaniu na kolejnego pacjenta stało drugie łóżko. Chłopiec jak zahipnotyzowany wpatrywał się w poduszkę i śnieżnobiałe prześcieradło. Jakby ten widok go zaskoczył.

– Pamiętam blask księżyca... – odpowiedział po dłuższej chwili, nie odrywając wzroku od pustego posłania. – I las... A kiedy się odwróciłem, żeby sprawdzić, czy mnie nie goni, zobaczyłem jakąś rudere koło stajni, w której stała furgonetka... Taki zawalony dom.

– Świetnie. Masz doskonałą pamięć. Jesteś bardzo sprytnym chłopcem, Fosco.

Chłopiec oderwał wreszcie spojrzenie od stojącego przy oknie łóżka i powoli przeniósł je na Valentine. Nagle stał się niespokojny i zdenerwowany.

– Nie, wcale nie... jestem tchórzem...

Popatrzył na swoje dłonie, a w jego czarnych oczach zalśniły łzy.

Valentina odwróciła się w stronę Roberty Blasi, która stała jak skamieniała. W pełnej napięcia ciszy wszyscy odczuli ciężar tajemnicy, którą Fosco powierzył tylko młodej policjantce. Valentina była tego pewna. Musiało to być coś naprawdę przerażającego, skoro mały nie chciał tego nawet powtórzyć. Zerknęła na puste łóżko. Sala szpitalna na oddziale pediatrycznym. Drugie miejsce dla takiego samego dziecka jak Fosco, czekające na małego pacjenta.

I wtedy Valentina zrozumiała.

Poruszając ustami, przekazała Robercie Blasi niemą wiadomość: *To miałaś na myśli?*, a kiedy ta powoli przytaknęła, Valentina ponownie zwróciła się do Fosca.

– Tam był jeszcze jeden chłopiec, prawda? – zapytała. – W furgonetce razem z tobą był jeszcze jeden chłopiec.

Fosco Agnelli uniosł głowę. Teraz łzy spływały obficie po jego zaczerwienionych ze wstydu i ze strachu policzkach.

– Tak – odpowiedział. – Ten drugi chłopiec został tam sam. Zostawiłem go... zostawiłem go z mężczyzną o białych włosach...

Na zewnątrz, na zalanym światłem korytarzu o pastelowych ścianach, gdzie słycać było zwykle szpitalne odgłosy, przynajmniej częściowo zniknęły mroczne cienie tłoczące się wcześniej w pokoju. Słowa i tembr głosu Fosca Agnellego ciągle jednak rozbrzmiewały w głowie Valentiny i również – chociaż z trudem się do tego przyznawała – w jej sercu.

Blasi i Zucca wyglądali na równie przejętych i poruszonych słowami chłopca.

Ostatnie z nich mieszały się z płaczem Fosca, lecz pomimo to były niezwykle składne i nie pozostawiały miejsca na niejednoznaczną interpretację.

– Leżał obok mnie. Na początku wcale go nie zauważyłem, bo wszystkie te twarze cały czas się we mnie wpatrywały i bardzo się bałem, a poza tym bolała mnie głowa... Potem jednak wstałem z łóżka i dotknąłem jego stopy. Była zimna. Pochyliłem się nad nim i wydawało mi się, że śpi.

– Próbowałaś go obudzić?

– Tak. Nie. Nie do końca. Przestraszyłem się, bo był nagi tak jak ja, a w dodatku wcale się nie ruszał. Chciałem go zawołać, ale bałem się, żeby nie usłyszał mnie mężczyzna o białych włosach. Ale znowu go dotknąłem. Był lodowaty... Jakby sztuczny.

– I co było dalej?

– Już wam powiedziałem. Kiedy zobaczyłem, że on się nie chce obudzić, uciekłem. Chłopiec został w środku. On już nie żył, prawda?

Pozostała część opowiadania nie odsłoniła żadnych nowych szczegółów, lecz to, co usłyszeli, było wystarczająco poważne. Nawet za bardzo.

Valentina miała zamiar zapytać kolegów o opinię, kiedy drzwi pokoju, w którym odpoczywał Fosco, się otworzyły i podeszła do nich psycholożka Manigrasso. Dłoń, którą wyciągnęła w kierunku Valentiny, wyraźnie drżała.

– Przepraszam, nie wiem, czy to ważne – podała jej zmiętą w kulkę kartkę.

Zaniepokojona policjantka rozwinęła papier.

– Zauważyłam, że Fosco ściska coś w ręce – wyjaśniła psycholożka. – Zaciekawiałam się i kiedy zobaczyłam, że to kartka, zapytałam, skąd ją ma i dlaczego tak mocno ją trzyma. Powiedział mi tylko, że kiedy się obudził, miał to w dłoni. Popytałam wśród personelu szpitala i pielęgniarze potwierdzili, że miał ze sobą zwiniętą kulkę papieru już w nocy, kiedy przywieziono go na oddział, i nikomu nie chciał jej oddać nawet podczas badań. Przekładał ją tylko z jednej ręki do drugiej i mocno zaciskał pięść. Nikt

nie widział w tym nic złego. Sądzę, że chodzi o swego rodzaju odruch obronny... Może mały uważa, że to talizman pozwalający mu pokonać strach. Nie wiem dokładnie, co to oznacza, ale pomyślałam, że może wam się przydać.

Blasi pokręciła z niedowierzaniem głową.

– O Jezu, jak mogłam nie zauważyć...

Valentina przyjrzała się kawałkowi papieru. Była to zmięta kartka, kolorowy wydruk przedstawiający fragment intensywnie granatowego nieba albo morza. Żadnego ukrytego znaczenia. Poza tym, że Fosco przez wiele godzin trzymał ją w zaciśniętej pięści.

Rozmowa potoczyła się zgodnie z przewidywaniami. Falcone nie poparł jej decyzji o pozostaniu w Grosseto na kolejną dobę, ale specjalnie się też nie sprzeciwił. Valentina wyjaśniła mu powody, które skłoniły ją do przedłużenia pobytu o przynajmniej jeden dzień. Na pierwszy rzut oka opowiadanie małego Fosca mogło wyglądać na wytwór niepohamowanej dziecięcej fantazji. Furgonetka, szopa, w której się obudził, drugi, być może martwy, chłopiec. Wreszcie mężczyzna, który zostawił go samego i pozwolił mu uciec. Wszystko pełne najdrobniejszych szczegółów, a jednocześnie zagmatwane i trudne do rozwikłania.

Mimo to Valentina wyrobiła sobie zdanie.

Strach w oczach Fosca był prawdziwy, a jego płacz szczery. Poza tym, chociaż psycholożka potwierdziła, że chodzi o dziecko z problemami, to nawet ona nie pozostała obojętna wobec gwałtownych emocji, które miały chłopcem. A jedna z pierwszych reguł, którą Valentina poznała w tej pracy, mówiła, by niczego nie zostawiać przypadkowi. Stwierdziła, że powinna przynajmniej poczekać na wyniki badań.

– Tylko za bardzo się nie wrywaj – upomniał ją na koniec przełożony, przeciągając samogłoski, jak na prawdziwego katanczyka przystało. – Zbierz wszystkie niezbędne informacje, a potem, jeśli nie będzie nowych poszlak, zostaw sprawę miejscowej policji. Tamtejszy komendant może i jest powierzchowny i arogancki, ale robi zawrotną karierę i cieszy się poparciem głównego. Postaraj się wrócić jak najszybciej, tu też nie brakuje ci roboty.

Valentina podziękowała, wysyłając go w myślach do wszystkich diabłów. Nienawidziła tej metody eleganckiego umywania rąk. W końcu to on polecił jej zbadać tę sprawę.

Zaledwie od dwóch lat pracowała w centrum operacyjnym, gdzie zajmowała się przestępstwami przeciwko życiu i zdrowiu. Powierzano jej zwykle sprawy, w których ofiarami były kobiety i dzieci. Nigdy zresztą nie dano jej wyboru, po prostu szef uznał, że nadaje się do tego lepiej niż inni tylko dlatego, że kilka lat wcześniej, kiedy stawiała pierwsze kroki w grupie operacyjnej w Mediolanie, udało jej się rozwiązać sprawę mordercy prostytutek – jeden z tych tematów, które miesiącami wałkowane są w gazetach, programach telewizyjnych i mediach społecznościowych. Od tego momentu jej kariera nabrała rozpędu. Sprzyjał temu klimat w kraju, gdzie odsetek zabijanych kobiet jest bardzo duży, i posypały się pochwały, nagrody, awans oraz

przeniesienie do centrali w Rzymie. Biuro policyjne, w którym teraz pracuje, można uznać za najbardziej prestiżowe w kraju i Valentina nie ma powodu do narzekań.

Ten i ów sugerował, że po części zawdzięcza swoją pozycję atrakcyjnemu wyglądowi. Potrzebna była kobieta ikona, która zna się na policyjnym fachu, a zielone oczy i długie włosy zrobiły resztę. Valentina starała się nie zwracać uwagi na komentarze, jej mocną stroną był profesjonalizm. Chociaż czasami z trudem znosiła zachowanie niektórych kolegów, jakby tylko ona, w przeciwieństwie do nich, każdego dnia musiała udowadniać, że zasługuje na swoje stanowisko.

Praca pochłaniała ją całkowicie. Miała trzydzieści dwa lata, jej kariera była stabilna, przyszłość w policji jasna i bez przeszkód na horyzoncie, a brak związków rodzinnych tylko temu sprzyjał. Nie miała nawet partnera i nie przychodziło jej do głowy, żeby szukać miłości. Brak ustabilizowanej sytuacji uczuciowej oznaczał równowagę emocjonalną, z czego ogólnie była zadowolona. Jej życie koncentrowało się na pracy, która dawała jej pełną satysfakcję.

Położyła się i próbowała zasnąć z postanowieniem, że następnego dnia zamknie sprawę, która – jak twierdził Falcone – nie zasługiwała na jej uwagę.

Coś ją jednak męczyło. I w nocy znalazło drogę do jej myśli.

Spała niespokojnie, bo przyśnił się jej Fosco. Chłopiec krzyczał, że jest tchórzem, ponieważ zostawił inne dziecko na pewną śmierć. Krzyczał, bo mężczyzna o białych włosach wcale o nim nie zapomniał i teraz go szuka. Krzyczał ze strachu. Krzyczał, że Valentina mu nie wierzy.

Obudziło ją echo tych krzyków, które rozbrzmiewały w uszach i rozdzierały serce. Już do rana nie udało jej się zasnąć.

Inspektor Blasi pojawiła się w hotelu następnego ranka, kiedy Valentina i Angelo jedli śniadanie.

– Mam ważne informacje – zawołała na cały głos, przyciągając uwagę obecnych w restauracji gości. Zorientowała się natychmiast, po czym już ciszej dodała: – Znaleźliśmy miejsce, gdzie Fosco się obudził i skąd udało mu się uciec. Pojedziemy sprawdzić?

Wkrótce znaleźli się na wąskiej i krętej drodze, przy której został znaleziony Fosco, a którą teraz Angelo Zucca pokonywał dość brawurowo, jadąc za policyjnym radiowozem.

– To opuszczona stodoła – wyjaśniła Roberta Blasi. – Są tam i inne budynki gospodarcze oraz pozostałości po starym wiejskim domu. Ale właśnie stodoła odpowiada opisowi Fosca.

– Chyba niełatwo było odnaleźć to miejsce? – zauważyła Valentina.

– Patrol jednego z radiowozów przeszukujących okolicę trafił na właściwy teren... Wiedzieli, czego mają szukać.

– Bez twojej pomocy?

W odpowiedzi policjantki kryło się lekkie zakłopotanie:

– Prawdę mówiąc, to moja dziewczyna dowodziła patrolem... Powtórzyłam jej opis miejsca, który usłyszeliśmy od Fosca, a ona od razu wskazała właściwy kierunek, bo знаła takie miejsce. Ona jest naprawdę dobrą policjantką.

Zucca rzucił Valentinie ukradkowe, porozumiewawcze spojrzenie, które mówiło: *Od razu wiedziałem, że to lesbijka*, a ona miała ochotę walnąć go pięścią w nos. Powstrzymała się tylko dlatego, że prowadził samochód i w tych warunkach mogło to być zbyt niebezpieczne. Postanowiła, że zrobi to później.

– Mam dla was jeszcze jedną nowinę, chyba nawet ważniejszą i, szczerze mówiąc, dość dziwną... – ciągnęła dziewczyna z tylnego siedzenia subaru. – Dostaliśmy wyniki badań chłopca. Lekarz, który nam je przekazał, był nieco zaniepokojony.

– Dlaczego?

– Ponieważ we krwi znaleziono ślady benzodiazepin, a ich stężenie było dość wysokie. Nie stwierdzono obecności eteru, tylko mieszanek silnych leków psychotropowych typu: restoril, xanax, valium. Prawdopodobnie zostały podane przez inhalację. Chloroform nie zadziałałby tak szybko.

Dziewczyna zdawała się nie zwracać uwagi na prędkość, z którą Zucca pokonywał zakręty, natomiast Valentina zaczęła odczuwać mdłości z powodu ciągłego kołysania.

– A więc teraz mamy już pewność – podsumowała najnowsze informacje – że ktoś podał chłopcu narkotyki. Fosco niczego nie wymyślił.

– Właśnie tak!

Valentina doskonale rozumiała entuzjazm młodej policjantki, gdyż rezultaty badań potwierdzały wszystkie jej wcześniejsze podejrzenia.

– Jak to możliwe, że po przyjęciu takiej bomby farmakologicznej – włączył się Angelo, który kierował ze wzrokiem wbitym w prowadzący ich samochód, nie zwalniając nawet na chwilę – dzieciak tak szybko się obudził? Powinien przecież spać znacznie dłużej!

– Musimy dokładniej przeanalizować czas działania podanej substancji – zgodziła się Valentina, ponieważ wydało jej się co najmniej dziwne, że porywacz tak łatwo pozwolił się wymknąć ofierze. – Dlaczego lekarz był zaniepokojony? – spytała po chwili.

– Bo to jeszcze nie wszystko. Prawdopodobnie benzodiazepiny, jak już wspomniałam, zostały podane przez inhalację, ale dziś rano jedna z pielęgniarek, pewnie bardziej uważna niż koleżanki, dostrzegła na szyi Fosca ślad po ukłuciu. Był niemal niewidoczny i nikt go wcześniej nie dostrzegł, a ani chłopiec, ani jego matka nie pamiętają żadnego zdarzenia z nakłuciem. Może to ślad po zastrzyku, którym podano mu jeszcze inną substancję znaną we krwi i w moczu, a której obecności lekarz nie potrafi wyjaśnić.

– O jaką substancję chodzi? – zainteresowała się Valentina.

– Poczekaj, zaraz ci przeczytam, nie znam tej nazwy... Glu-tar-al-de-hyd... Glutaraldehyd w stężeniu dwuprocentowym... To rzeczywiście dziwne.

– Dlaczego?

– Lekarz mi wyjaśnił, że to środek bakteriobójczy, służący do dezynfekcji. Jakaś pochodna formaliny, jeśli dobrze zrozumiałam, w dodatku bardzo niebezpieczna w przypadku spożycia. Gdyby podano mu jej więcej, Fosco mógłby nie przeżyć.

– A nie mógł to być jeden ze składników mieszanki narkotyzującej?

– Na pewno nie, bo to nie lek psychotropowy. Lekarz twierdzi, że nie ma absolutnie właściwości usypiających.

Trafiony. To właśnie było coś, co nie pasowało do schematu, a zatem mogło zostać uznane za ważną poszlakę. Nareszcie jakiś konkret, od którego można zacząć śledztwo. Poza tym porywacz musiał mieć recepty, żeby zdobyć tego typu substancje. Ta wskazówka nie zawężyła co prawda pola poszukiwań, ale należało mieć ją na

uwadze. Mogło przecież chodzić o pracownika służby zdrowia. Trzeba sprawdzić tę hipotezę.

W drodze na miejsce przestępstwa Valentina jeszcze raz przeanalizowała wszystkie dostępne informacje.

Nie miała już wątpliwości, że Fosco Agnelli naprawdę został porwany, a ktokolwiek to zrobił, miał konkretny plan. Użycie substancji narkotyzujących wskazywało, że sprawca nie chciał zabić chłopca, przynajmniej nie od razu. Tylko dokąd go wiozł? A co z drugim, nagim i zimnym malcem w furgonetce? Jeśli nie był wytworem wyobraźni Fosca, wytłumaczenie nasuwało się samo. Poczwała rosnący niepokój na samą myśl o pedofilu, któremu nie wystarcza jedna ofiara i który jest na tyle dobrze zorganizowany, że bez problemu dokonuje podwójnego porwania.

Zaczęła się zastanawiać. Chłopiec powiedział, że wysiadł z samochodu i znalazł się wewnątrz budynku, który jeśli wnioskować z opisu, mógł być stodołą lub innym nieużywanym budynkiem gospodarczym. Obszerne, puste pomieszczenie z ubitą ziemią zamiast podłogi. Być może właśnie spichlerz odkryty przez inspektor Blasi. Porywacz oddalił się od furgonetki z powodów, które na razie są niewiadomą, a Fosco skorzystał z okazji i uciekł. Jeśli taki był naprawdę przebieg zdarzeń, to mężczyzna, który podał chłopcu narkotyki, musiał być pewien, że żaden z porwanych się nie obudzi. Tymczasem na przekór przewidywaniom Fosco wybudził się z narkozy wcześniej, niż zaplanował to sobie porywacz, i ten szczegół też wymagał wyjaśnienia.

Poza kilkoma niespójnymi detalami zeznania Fosca były dokładne i konkretne, oczywiście jeśli wziąć pod uwagę wiek i szok, jakiego doznał. Jedyna informacja sprawiająca Valentinie kłopot dotyczyła obecności drugiego, być może martwego dziecka. Poprzedniego wieczoru zwróciła się do odpowiedniego biura z prośbą o listę nieletnich, którzy zaginęli w ostatnich tygodniach w podobnych okolicznościach na terenie całego kraju, ale usłyszała, że takich ostatnio nie było. A dobrze wiedziała, że niełatwo jest ukryć zniknięcie dziecka.

No i jeszcze ta zmięta kartka w dłoni chłopca. Nie miała pojęcia, co ona oznacza i czy może się przydać w śledztwie, ale jeśli pochodziła z wnętrza furgonetki, to nie można jej zbagatelizować. Valentina przygotowała w myślach plan działania, nabrawszy pewności, że sprawa jest bardziej skomplikowana niż zwykły, choćby i najokropniejszy przypadek pedofilii.

Przeczuwała już, że pod powierzchnią tej historii ukrywa się inna – poważniejsza, mroczniejsza i prawdopodobnie jeszcze bardziej przerażająca.

Teraz najpilniejszą kwestią było niedopuszczenie, aby sprawa została zlekceważona i zamknięta. Wiedziała, że dręczące ją pytania wymagają konkretnych i szybkich odpowiedzi. A do tego potrzeba odwagi. Przy tak zagmatwanych i niepewnych

poszlakach niewielu policjantów, których znała, zdecydowałoby się zaryzykować rozpoczęcie śledztwa.

Ale ona była już zdecydowana, żeby doprowadzić sprawę do końca. Ten, kto porwał Fosca Agnellego, ciągle przebywał na wolności i być może więził jakieś niewinne dziecko.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Roberta Blasi, przerywając tok jej rozważań.

Samochód właśnie skręcił w polną, ledwo widoczną drogę, a raczej ścieżkę pokrytą ziemią i błotem, która prowadziła w stronę leśnej polany. Ten, kto z niej korzysta, musi świetnie znać okolicę – pomyślała Valentina, notując w głowie kolejną wskazówkę.

W głębi, za zaroślami tworzącymi otoczony dębina chruśniak, dostrzegli niebieskie światło koguta radiowozu.

Przed nimi rozciągała się półokrągła polana, na której środku stały dwa zniszczone budynki. Pierwszy z nich pewnie służył dawniej jako stodoła. Otwarte wrota prowadziły do dużego, zagraconego pomieszczenia. Obok znajdowały się wodotrysk oraz resztki małej drewnianej konstrukcji pełniącej być może funkcję szopy na narzędzia. W przeszłości musiał wznosić się tutaj również większy budynek mieszkalny będący rdzeniem całego gospodarstwa, ale obecnie pozostały po nim jedynie rudera i poczerniałe belki stropowe.

– To właśnie pozostałości po tym budynku naprowadziły nas na właściwy ślad – powiedziała Roberta Blasi, podczas gdy Angelo Zucca parkował samochód obok radiowozu. – Na szczęście Fosco bardzo dokładnie opisał miejsce, w przeciwnym razie szukalibyśmy igły w stogu siana, bo region Maremma jest bardzo rozległy.

Valentina wysiadła z auta, na powitanie skinęła głową policjantom z radiowozu i od razu skierowała się do stodoły. Drewniany budynek, typowy dla tej okolicy, służył kiedyś do przechowywania słomy i siana oraz maszyn i urządzeń rolniczych. Na tyłach znajdował się mały dębowy zagajnik, a dalej rozciągały się ogromne pola – kiedyś uprawne, a teraz porośłe chwastami.

Blasi przekazała informacje, z których wynikało, że gospodarstwo jest opuszczone przynajmniej od dwudziestu lat. W przeszłości była tu farma, na której uprawiano słoneczniki. Pewnego dnia pożar zniszczył budynek mieszkalny oraz większą część pomieszczeń gospodarczych, ocalała jedynie stodoła. Właściciele byli już w podeszłym wieku, a ich dzieci postanowiły opuścić tę nieszczęsną ziemię. Nikt nigdy nie próbował naprawić szkód, a okoliczni mieszkańcy szybko zapomnieli o rudery. Jeśli o niej wspominali, to tylko mówiąc, że nawiedzają ją duchy. Nawet narkomani szukający miejsca, aby w spokoju dać sobie w żyłę, unikali tej okolicy. Leżała zbyt daleko od miasteczka i nawet dla lubiących spokój panowała tam niepokojąca cisza.

Słowem – kryjówka doskonała. A to, że mężczyzna o białych włosach ją odnalazł i wybrał, świadczyło o działaniu z premedytacją oraz skrupulatnym planowaniu kolejnych kroków.

Kiedy Valentina zatrzymała się przed otwartymi na oścież wrotami stodoły, owionął ją nieprzyjemny zapach zgnilizny. W zanurzonej w półmroku wnętrzu nie było żadnych pojazdów mechanicznych i nic nie wskazywało, że kilka godzin wcześniej w środku znajdował się samochód lub furgonetka.

Na pierwszy rzut oka nie było wielu śladów do zabezpieczenia. Kiedy grupa inspekcyjna zaczęła robić zdjęcia i przeczesywać pomieszczenie krok po kroku, Roberta Blasi podeszła do Valentyny.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Valentina uśmiechnęła się do niej, nie do końca rozumiejąc, o co chodzi, ale zanim zdążyła zadać pytanie, z kieszeni dobiegł sygnał dzwoniącej komórki.

Rozbrzmiewający w słuchawce głos komendanta Falconego był ostry i jeszcze zanim szef zdążył wypowiedzieć pełne zdanie, ona już poczuła lekki dreszcz na karku.

– Mamy drugiego – rzucił Falcone. – Porwali drugiego chłopca i tym razem zostawili nam trupa.

Zaginiony

Za każdym razem, gdy syn zostawał w domu z powodu złego samopoczucia, wakacji czy czegoś podobnego, pisanie stawało się niezwykle mozolnym zajęciem. Nie była to wina dziecka, ponieważ Andrea stosunkowo dobrze radził sobie sam.

Problem tkwił w głowie Gianniiego Venturiego, który jak tylko wyobraził sobie chłopca samego w dziecięcym pokoju, przed telewizorem albo w kuchni, od razu czuł potrzebę sprawdzenia, czy wszystko w porządku.

Gdy tylko siadał przed ekranem swojego maca, już po chwili ogarniał go niepokój zmuszający do upewnienia się, że syn nie dusi się po cichu we własnym łóżku ani nie płacze bezgłośnie z bólu, nie mogąc z jakiejś nieodgadnionej przyczyny poprosić ojca o pomoc. W takich przypadkach wydawało mu się, że przeznaczając czas na pisanie, zabiera go własnemu dziecku i tym samym zaniedbuje swoje rodzicielskie obowiązki.

Być może wiązało się to z tym, że Andrea spędził dzieciństwo w szpitalach, często trafiał niespodziewanie na izbę przyjęć, gdzie stawiano mu niejasne diagnozy, i że przez całe życie borykał się z problemami zdrowotnymi. Kiedy miał pięć lat, zdiagnozowano u niego zespół Fallota – wrodzoną wadę serca, która wykryta w pierwszych miesiącach życia daje duże nadzieje na wyleczenie. Tymczasem oni odkryli chorobę zbyt późno, po całej serii ostrych ataków sinicy, które jedynie cudem nie doprowadziły do fatalnych skutków. Kolejne lata miały znaczone operacjami chirurgicznymi oraz długotrwałą i bolesną terapią.

Wszystko wskazywało na to, że Andrea pokonał chorobę, kruchość organizmu wymęczonego dolegliwościami ciągle jednak ciążyła na każdym dniu jego życia, sprawiając, że rodzice nie mogli pokonać nieustannego, obezwładniającego strachu. I to właśnie ta obawa nakazywała Gianniemu obsesyjnie kontrolować każdą chwilę, którą spędzał z synem podczas nieobecności Marii.

Jakiegokolwiek były powody tej sytuacji, to zawsze kiedy złożyło się tak, że Andrea nie szedł do szkoły, a żona miała akurat dyżur w szpitalu, Gianni nie był w stanie pracować. Także tego dnia ostatni rozdział jego powieści zawisł w próżni, a otwarta strona na ekranie komputera uparła się, że pozostanie biała.

Andrea miał wolne z powodu strajku nauczycieli, o czym powiadomił ojca poprzedniego wieczoru, nie kryjąc zadowolenia. Teraz była prawie dziewiąta, chłopiec jeszcze leżał w łóżku. Gianni zajrzał do jego pokoju zaledwie pięć minut wcześniej, rozkoszując się luksusem obserwowania syna podczas snu. Nie zamierzał go budzić, kontemplował tylko przez chwilę kręcone ciemne włosy, które zdawały się niczym

atrament plamić śnieżnobiałą poszewkę poduszki, wystający spod kołdry nos oraz piękne, jeszcze zamknięte oczy wpatrzone z pewnością w jakiś cudowny sen.

Dźwięk dzwonka wyrwał ojca z zadumy. Zmierzając do drzwi, zastanawiał się, kto też niepokoi ich z samego rana, i przyspieszył kroku w obawie, aby niespodziewany alarm nie obudził syna. Jednocześnie Gianni nie przestawał rozmyślać o czekającej na niego białej kartce.

Do zdarzenia doszło w Volterze, nieco ponad sto kilometrów od miasteczka, w którym mieszkał Fosco Agnelli, i już to stanowiło wystarczająco mocną poszlakę, aby połączyć obie sprawy. Kiedy Falcone zadzwonił do niej z rozkazem, aby bezzwłocznie udała się na miejsce przestępstwa, Valentina od razu pomyślała, że chłopiec porwany w dawnym etruskim mieście był właśnie tym dzieckiem, które Fosco zobaczył po przebudzeniu się w furgonetce.

On nie żyje, prawda?

Tylko że daty się nie zgadzały. Porwanie Andrei Venturiego i zabójstwo jego ojca zdarzyły się dopiero tego ranka, dwa dni po okropnej przygodzie, która spotkała Fosca.

Valentina jechała do Volterry z bardziej milczącym niż zazwyczaj Angelem Zuccą i nie odrywając oczu od tabletu, sprawdzała wszystkie informacje przesłane z centrum operacyjnego.

Ofiara to Gianni Venturi, lat czterdzieści, i jak na ironię losu zajmował się pisaniem powieści kryminalnych. Tego ranka ktoś stanął na progu jego mieszkania i go zamordował. Nie wykryto śladów walki. Pięć precyzyjnych ciosów nożem zadanych z wyraźną zaciekłością. Ciało mężczyzny znaleziono na środku przedpokoju prowadzącego do jego mieszkania. Żona, pracująca jako pielęgniarka, w czasie morderstwa była w pracy, a jedyny syn, dwunastoletni Andrea przebywający w domu z powodu strajku nauczycieli, zniknął.

Andrea. Dwanaście lat. Tak samo jak Fosco. Zdjęcie chłopca pojawiło się na ośmiocalowym wyświetlaczu zaraz po fotografii ojca, a wraz z nim udostępniono serię danych.

Valentina przyjrzała się twarzy małego i natychmiast zadzwoniła do Rzymu, do kolegi, który udostępnił jej tę dokumentację.

– Chyba zaszła pomyłka, bo wysłaliście mi ponownie zdjęcie Fosca Agnellego. Musieliście pomieszać akta.

W głosie policjanta zabrzmiała nuta zimnego opanowania.

– Zdjęcia, które ci wysłałem, przedstawiają Andreę Venturiego. Przekazałem ci plik, który otrzymaliśmy z komisariatu w Volterze.

Valentina ponownie spojrzała na zdjęcie: czarne oczy i czarne włosy. Falujące loki otaczały pulchną twarz o jasnej karnacji. Brwi były gęste i wyraźnie zaznaczone.

Andrea Venturi, który kilka godzin wcześniej został porwany i któremu zamordowano ojca, był sobowtórem swojego rówieśnika Fosca Agnellego.

Od kiedy Valentina przeniosła się do centrum operacyjnego, rzadko miała okazję wystawiać na próbę swoje umiejętności śledcze. Jej zwyczajny dzień zaczynał się w biurze na czwartym piętrze budynku będącego siedzibą drugiego wydziału centrum operacyjnego przy ulicy Tuscolana. Pierwszą godzinę spędzała przy biurku, przeglądając policyjne raporty, informacje i sygnały z terenowych jednostek operacyjnych, rozporządzenia ministerialne oraz wewnętrzne dyrektywy i okólniki, natomiast drugą w sali zebrań na odprawie wraz z innymi funkcjonariuszami i dyrektorem. Dopiero potem przychodził czas na prawdziwą pracę. Gdyby miała wyjaśnić osobom spoza branży, na czym polega jej zajęcie, nie wiedziałyby, od czego zacząć. *Rozwiązujemy zagadki – usłyszała kiedyś komentarz jednego ze starszych kolegów. Analizujemy dane, rozkładamy na czynniki pierwsze, a potem składamy w całość elementy śledztw, które toczą się w terenie. Szukamy brakujących części. Wskazujemy słabe punkty i podkreślamy te mocne. Nadzorujemy pracę śledczych w terenie i koordynujemy ich działania. Podpowiadamy rozwiązania. Czasami też osobiście wkraczamy do akcji.*

Valentina wiedziała dobrze, że w rzeczywistości głównym zadaniem centrum było granie na nerwach policjantom zaangażowanym w poszczególne śledztwa, w rezultacie szybciej osiągalni założone cele, niż pracując samodzielnie. Użyteczny, a jednocześnie zbędny wysiłek. Machina od lat funkcjonowała w ten sposób, a ona w zasadzie dobrze się w niej czuła.

Udział w prawdziwym śledztwie to było coś zupełnie innego.

Praca na ulicach w bezpośrednim kontakcie z ofiarami, na brudnych od krwi chodnikach albo w mieszkaniach będących miejscami zbrodni. W prawdziwych dochodzeniach nie było mowy o biurokracji. Realne śledztwo pulsowało życiem, potem, pasją. A ona od dawna nie miała okazji tego doświadczyć.

Tego dnia wszystko się zmieniło. Sprawy dwóch zaginionych chłopców sprawiły, że zaangażowała się bezpośrednio. Być może nawet zbyt mocno i zbyt szybko. Zaczęła się zastanawiać, czy podoła, czy czas spędzony z dala od pierwszej linii walki nie osłabił w niej dawnego zapału.

Stała przed zwyczajną dwupiętrową willą z zadbanym ogródkiem i ścieżką, która od świeżo odmalowanej furtki wiodła prosto do drzwi wejściowych. Czerwony blask zachodzącego słońca odbijał się w granitowych płytkach, mieszając się ze śladami krwi rozniesionej aż na ulicę przez kogoś, kto w nią wdepnął. Być może był to

morderca, a może po prostu mniej uważny policjant czy sanitariusz. Na otwartych na oścież drzwiach znajdowała się mosiężna tabliczka z nazwiskami: VENTURI – SINAGRA. Wewnątrz gęstniała ciemność, którą od czasu do czasu przesywały flesze aparatury należącej do techników kryminalistycznych. Ludzie w białych kombinezonach poruszali się bezszelestnie, prawdopodobnie jeszcze bardziej niż zwykle przestraszeni okrucieństwem zbrodni. Nie tylko doszło tu do zabójstwa, ale też porwano dziecko. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że taka sytuacja nie daje wielkich nadziei na szczęśliwe rozwiązanie.

Valentina zatrzymała się naprzeciw makabrycznej sceny. Obok niej stał Angelo Zucca, który równie szybko jak ona dostrzegł podobieństwo między dwoma chłopcami i którego przynębiło to jeszcze bardziej.

Za ich plecami już zaczęli gromadzić się ciekawscy, dziennikarze z prasy i telewizji. Wiadomość rozeszła się w okamgnieniu. Ulicę blokowały radiowozy, niektóre miały włączone migające światła. Niebieski blask na próżno usiłujący odgonić zło.

Willa znajdowała się nieco na uboczu w stosunku do innych zabudowań, przy częściowo wyasfaltowanej uliczce, która ciągnęła się na północ w stronę wzgórz charakteryzujących okolicę oraz na wschód, gdzie łączyła się z krętą drogą powiatową wiodącą wśród drzew aż do Voltery. Samo miasteczko leżało w odległości około dwóch kilometrów, a tu, na ocienionym przedmieściu zwanym Zambrą, zazwyczaj panował błogi spokój, który dzisiaj zburzyła śmierć, wywołując hałaśliwe zainteresowanie.

Właśnie w tej chwili z mieszkania wyszła kobieta w towarzystwie starszego, korpulentnego mężczyzny, z którym żywo o czymś dyskutowała. Poruszali się niezgrabnie w białych jednorazowych kombinezonach ze znakami policji. Przechodząc obok sporej plamy krwi, która zniknęła powoli w ciemnościach, zatoczyli szeroki łuk.

Nagle Valentina usłyszała głośniejszy szum, z którego dotarły do niej słowa dziennikarza informującego swoją niewidoczną publiczność:

– ...oto *dottoressa* Lucchesi z sędzią...

Funkcjonariuszka zrobiła dwa kroki w kierunku kobiety, która właśnie zamykała za sobą furtkę.

– Siria Lucchesi? Jestem Valentina Medici...

Kobieta pełniła funkcję szefowej grupy operacyjnej z Pizy i to w jej gestii znajdował się okręg Voltery. Była wysoka i szczupła, a bardzo krótkie, posiwiałe na skroniach włosy znacznie ją postarzały. Pewnie nie miała więcej niż czterdzieści lat.

– Tak, tak, spodziewałam się ciebie. Widzę, że nie marnowałeś czasu.

– Nasz kierowca robił, co w jego mocy – powiedziała Valentina, zerkając w stronę Angela, który nie zamierzał ukrywać kpiącego uśmiechu. – A poza tym byliśmy w pobliżu.

Lucchesi nie zapytała o powód i Valentina zaczęła się zastanawiać, czy koleżanka już wie o zniknięciu Fosca Agnellego i czy łączy ze sobą obie sprawy. Prawdopodobnie nie. Nie, z pewnością nie. Skąd miałyby się dowiedzieć? Informacja o niezwykłym podobieństwie dzieci nie trafiła jeszcze do wiadomości publicznej.

– Świetnie – rzuciła sucho – a więc pozwól, że przedstawię ci prokuratora Giorgianniego z Pizy.

Mężczyzna uściśnął dłoń najpierw Valentinie, a potem Angelowi, który cały czas trzymał się krok z tyłu.

– Cieszy mnie, że centrala bez zwłoki zainteresowała się naszą sprawą – zagaił prokurator. – Nie będę ukrywał, że jestem zaniepokojony... Już od wielu lat nie mieliśmy w tej okolicy takiego okrutnego morderstwa. A w dodatku chłopiec zniknął z domu i musimy go jak najszybciej odnaleźć...

– Prokurator nie chce, abyśmy na razie mówili o porwaniu – pospieszyła z wyjaśnieniem Lucchesi. – Takie stwierdzenia są przedwczesne, a poza tym od razu przyciągnęłyby niezdrowe zainteresowanie mediów. W końcu chłopiec po śmierci ojca mógł się oddalić z własnej woli, na przykład pod wpływem szoku... Nie mamy na razie wystarczających dowodów na wykluczenie takiej hipotezy.

– I nie życzymy sobie zbędnych nacisków, zanim nie zbadamy sprawy – dodał Giorgianni rozkazującym tonem.

Valentina pokiwała głową. Rozumiała strategię kolegów, chociaż osobiście uważała, że to strata czasu. Z jej punktu widzenia należało od razu ruszyć tropem mordercy, zamiast łudzić się, że to nie on porwał małego Venturiego. Tylko że ona wcześniej miała okazję poznać sprawę Fosca Agnellego, która wpłynęła na jej opinię. Zdecydowała, że wstrzyma się ze sformułowaniem własnej hipotezy, pozostawiając ją na później. W zamian chciała dobrze poznać sposób myślenia i działania lokalnej policji. W takich przypadkach najpierw trzeba było przyrzeć się dokładnie pracy śledczych w terenie, a potem zdecydować się na ostrożną interwencję. Prokurator wyglądał na człowieka starej daty, którego nie przekonują pomysły niepoparte przynajmniej setką mocnych poszlak.

Zresztą wcześniej w czasie rozmowy telefonicznej Falcone nie pozostawił jej wyboru.

– Nie podejmuj nierozważnych decyzji. Działaj ostrożnie.

– Jeśli ta sprawa łączy się w jakikolwiek sposób z porwaniem Fosca Agnellego, to nie mamy czasu do stracenia – usiłowała się przeciwstawić.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków. I nie próbuj narzucać własnego zdania, zanim nie zyskasz pewności, że masz rację.

To był rozkaz.

Prokurator pożegnał się z policjantami, prosząc o jak najszybsze dostarczenie informacji dotyczących postępów w śledztwie, po czym zniknął w ciemnym samochodzie, który prędko odjechał, śledzony przez niewielką grupę dziennikarzy.

Tymczasem Lucchesi przyglądała się koleżance z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Milcząca wiadomość, którą chciała jej przekazać, była jednak jasna: z tej strony nie spodziewaj się znacznej pomocy.

– Co robimy? – zapytała w końcu Valentina, poirytowana przedłużającą się obserwacją. – Chcesz szukać dziecka, które uciekło z domu, czy...?

– Prokurator myśli swoje – odpowiedziała ostro – a ja swoje. Biorąc pod uwagę brutalność mordercy...

– A konkretnie?

– A konkretnie to powinniśmy zacząć szukać zwłok chłopca.

Volterra leży w odległości prawie osiemdziesięciu kilometrów od Pizy, co jest ogromnym dystansem dla tych, którzy zajmują się tu przestępczością oraz sprawują kontrolę nad powierzonym terenem. Środowisko naturalne otaczające oba miasta znacznie się różni: okolice Pizy są płaskie i spokojne, natomiast w pobliżu etruskiego miasteczka dominuje wrogi, tajemniczy krajobraz. Jako młoda policjantka Valentina została oddelegowana na swój pierwszy komisariat do Kalabrii, gdzie ukształtowanie terenu było bardzo podobne. Chrzest bojowy przeszła podczas śledztwa dotyczącego zadawnionych waśni rodzinnych. Zakorzenione od dziesięcioleci urazy, których nieuniknionym rezultatem były trupy. Trafiała wtedy pod opiekuńcze skrzydła miejscowego sierżanta, który wprowadzając ją w arkana sprawy, od razu zauważył jej przerażenie i na osłodę przekazał ogromną wiedzę na temat ludzkiej natury. W trakcie pierwszej lekcji dowiedziała się, że warunki geograficzne wpływają na charakter mieszkańców, a tym samym na rodzaje dominujących przestępstw. Dobry śledczy powinien więc przede wszystkim znać teren, na którym pracuje.

Kiedy pokonywali ostre zakręty drogi wiodącej do centrum Volterry, Valentina pomyślała, że jeśli wziąć pod uwagę odległość, jest całkiem prawdopodobne, że w ciągu ostatniego roku surowa przełożona grupy operacyjnej z Pizy postawiła nogę w miasteczku nie więcej niż ze dwa razy. I prawdopodobnie nigdy specjalnie się nim nie interesowała. Jeśli rzeczywiście tak się sprawy mają, to trzeba będzie natychmiast zwrócić się o pomoc do personelu z lokalnego komisariatu. Do ludzi, którzy tu żyją i pracują na ulicach miasta, a zatem znają dobrze mieszkańców i ich skłonności. Miała nadzieję, że spotka tu kogoś podobnego do sierżanta z Kalabrii, tego, od którego nauczyła się więcej niż na jakimkolwiek kursie dokształcającym. Nie wiedziała jednak, kto jest szefem komisariatu, w którym będą pracować. Volterra to urocze miejsce, lecz nie można tu zrobić zawrotnej kariery i dlatego Valentina obstawiała, że na posterunku spotka młodego, początkującego funkcjonariusza lub kogoś tuż przed emeryturą.

Toteż zdziwiła się, kiedy poznała Fabia Costę.

Komisariat znajdował się na placu Priori w centrum miasta, w budynku wybudowanym w trzynastym wieku. Kiedy zajechali na pełnym gazie przed fasadę z czerwonego kamienia, niszcząc za jednym zamachem wyjątkowy czar tego miejsca, było już ciemno, a odpowiednio rozmieszczone światła tworzyły tak romantyczną atmosferę, że Valentina na moment zapomniała o celu wizyty. Gdyby nie radiowozy

z włączonymi światłami okupujące średniowieczny plac, mogłaby ulec złudzeniu, że właśnie cofnęła się w czasie.

Komendant Fabio Costa czekał na nich przy wejściu. Był wysoki i szczupły, miał krótkie czarne włosy i kilkudniowy zarost podkreślający ciemną oprawę oczu. Zwykle to właśnie spojrzenie było pierwszym, co Valentina dostrzegała u mężczyzn, i na jego podstawie też ich oceniała. Teraz pierwsze wrażenie mówiło jej, że w tych oczach kryje się obojętność na otaczający świat oraz że mogłyby się nawet okazać interesujące, gdyby pojawiło się w nich trochę więcej życia.

Siria Lucchesi, która pierwsza wysiadła z samochodu, dokonała niezbędnej prezentacji.

– *Dottor* Costa, komendant komisariatu w Volterze – rzuciła szybko, a w jej głosie wyraźnie zabrzmiała nieprzyjemna nuta.

Valentina uściśniła podaną dłoń, a policjant uśmiechnął się smutno.

– Ze względu na okoliczności nie mogę powiedzieć, że cieszę się ze spotkania – powiedział niskim, uprzejmym tonem. – Ale jestem do dyspozycji.

– Świetnie – ubiegła Valentinę Lucchesi – a więc zaprowadź nas do pokoju, gdzie możemy zorganizować odprawę. Muszę jak najszybciej wracać do Pizy.

Kiedy Costa prowadził ich do wnętrza budynku, Valentina zauważyła nietypowe zachowanie obojga funkcjonariuszy. Wydawało się, że ich wzajemna relacja pozostawia wiele do życzenia. Mogło to wynikać po prostu z obecnej sytuacji, ponieważ kiedy centrala wpada znienacka do takiego spokojnego biura jak to w Volterze, narusza zwykłą senną rutynę, a dodatkowo rzadko który dowódca lubi dzielić się powierzonymi sobie sprawami. Mimo wszystko Fabio Costa nie wyglądał na zdenerwowanego. Za to Lucchesi traktowała go nieco z góry. Być może chodziło o nieporozumienia z dawnych czasów, ale lepiej mieć to na uwadze.

Weszli do sali wyposażonej w pięćdziesięciopięciocalowy telewizor, komputer oraz tablicę z magnesami. Wokół dużego owalnego stołu usiedli: Valentina z Anzelem Zuccą, Siria Lucchesi z trojgiem śledczych z grupy operacyjnej włączających dodatkowe laptopy oraz Fabio Costa z inspektorem w mundurze, Aldem Martinim, którego przedstawił jako swojego zastępcę.

Siria Lucchesi przez dłuższą chwilę zatrzymała wzrok na komendancie, a ten niemal nieśmiało zaczął się tłumaczyć:

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chcielibyśmy wziąć udział w spotkaniu. Może na coś się przydamy.

Jego przełożona się nie odezwała, ale po kilku sekundach skinęła głową, wyrażając przyzwolenie.

Do grupy dołączyli także kobieta i mężczyzna po cywilnemu, których Valentina już wcześniej zauważyła na miejscu zbrodni. Należeli do sekcji techników kryminalnych. Valentina od razu wyczuła wśród zgromadzonych ledwie skrywany niepokój, który nie wynikał z typowego dla początkowej fazy śledztwa wzrostu adrenaliny, dobrze znanego wszystkim śledczym pracującym w terenie. Chodziło o paraliżujący strach, że nie zdążą na czas.

Valentina wiedziała, że na ten moment wielu policjantów zdążyło się bezpośrednio zaangażować w poszukiwanie jakiejś poszlaki, od której można by rozpocząć działania śledcze. Jedni zwrócili się już do sądu z prośbą o pozwolenie na sprawdzenie nagrań rozmów telefonicznych oraz pozyskanie wykazów połączeń, drudzy sporządzali sprawozdania z przesłuchań sąsiadów, szukając świadków przestępstwa, a jeszcze inni przeglądali materiał z zainstalowanych w okolicy kamer oraz analizowali ślady znalezione podczas pierwszych oględzin miejsca zbrodni. W tej sprawie znalezienie jakiegokolwiek znaczącego szczegółu wydawało się jeszcze pilniejsze i ważniejsze niż zwykle, w przerażających okolicznościach zaginęło bowiem dziecko i jego odnalezienie było teraz priorytetem, a zarazem walką z czasem. Tropienie mordercy już się rozpoczęło, ale wokół gęstniał strach, że nie znajdą go w porę.

Lucchesi zdawała się czytać w myślach Valentiny, o czym świadczyły wypowiedziane słowa, kiedy zaczęła prezentować obecnym najważniejsze fakty.

– Na wstępie chcę was poinformować, że robimy wszystko, co możliwe, aby natrafić na ślad Andrei Venturiego, i nie lekceważymy żadnego scenariusza, od porwania do samowolnego oddalenia się z domu... Nie możemy też wykluczyć morderstwa. – Zrobiła przerwę, co Valentina z niesmakiem oceniła jako chęć wzmocnienia efektu, po czym podjęła: – Już trwa szeroko zakrojona akcja z udziałem wojska oraz funkcjonariuszy policji skarbowej, nie licząc wolontariuszy i personelu z lokalnych posterunków. Przeszukujemy zwłaszcza okolice miejsca zamieszkania chłopca, które niestety nie są łatwo dostępne i w których jest pełno kryjówek. Jeśli morderca zabrał go ze sobą, aby zagwarantować sobie bezpieczeństwo w trakcie ucieczki, można przypuszczać, że kiedy już oddalił się na znaczną odległość, po prostu pozbył się dziecka. Dlatego przeczesujemy teren, sprawdzamy budynki w gospodarstwach rolnych, zagłębienia terenu, potoki, zarośla w pobliżu dróg miejskich i powiatowych. Zarządziliśmy też blokady na wszystkich arteriach dojazdowych. Chociaż nie wiemy, jakiego pojazdu szukać...

- Takiego, który umożliwia... – zaczął inspektor Martini.
- Umożliwia co? – przerwała mu Lucchesi.
- Transport porwanego dziecka.

– No tak, pod warunkiem że chłopiec rzeczywiście został uprowadzony. Tylko że to może być praktycznie każdy samochód – stwierdziła, po czym poprosiła o zabranie głosu jednego z techników kryminalistycznych.

Przełożony zespołu techników kryminalistycznych skinął głową i otworzył duży czarny notes, a Valentina zauważyła, że jego palce przyprószone były talkiem, którym posypywano wewnątrz lateksowych rękawiczek. To oznaczało, że musiał je zdjąć dopiero przed chwilą.

– Jak wiecie, do zabójstwa doszło dziś rano, pomiędzy ósmą a czternastą, kiedy żona Venturiego wróciła do domu i znalazła ciało. Według lekarza sądowego zgon nastąpił przypuszczalnie między dziewiątą a dziesiątą, ale na potwierdzenie musimy jeszcze poczekać. Poza tym, chociaż od samego początku wydawało się to mało prawdopodobne, możemy wykluczyć, że to chłopiec spowodował śmierć ojca. – Mężczyzna po raz pierwszy podniósł wzrok znad notatnika, jakby w odpowiedzi na dochodzące z sali pomruki. – Rozumiem, że możecie się oburzać – powiedział, przenosząc wyzywająco wzrok z jednej osoby na drugą, pewny okrutnej, choć niezachwianej logiki, którą się kierował – ale to również jest, czy raczej była, jedna z hipotez. Lekarz sądowy zdecydowanie ją odrzucił, trzeba jednak poczekać na wyniki autopsji, aby wykluczyć każdą ewentualność.

Nikt nie zaprotestował.

– Mów dalej – zachęciła kolegę Lucchesi.

– Na podstawie zewnętrznych oględzin można stwierdzić, że ofierze zadano pięć pchnięć w pierś i w brzuch, z góry na dół, a siła i kąt zadanych ciosów świadczą, że nie mógł ich zadać ktoś w wieku syna i z jego budową ciała. Potrzebujemy więcej czasu na przeprowadzenie niezbędnych symulacji, ale na podstawie tego, co do tej pory ustaliliśmy, już teraz mogę powiedzieć, że morderstwa dokonano w bestialski sposób.

Valentina zauważyła, że mężczyzna wyrzuca z siebie informacje jednym tchem, jakby chciał jak najszybciej pozbyć się nieprzyjemnej prawdy.

Wreszcie szef techników przerwał, by po raz drugi unieść wzrok znad notesu, z którego czytał, i grobowym głosem rzucił kolejne wyzwanie:

– Gianni Venturi nie został po prostu zamordowany. On został zarżnięty.

Być może jego ostatnia myśl dotyczyła syna. W momencie gdy morderca zadawał Gianniemu Venturiemu pierwszy cios nożem, który przeszył mostek, kości i tkankę miękką, kiedy krew zalewała tchawicę, a przażenie umysł, Andrea był w domu i ojciec musiał mieć świadomość, że nie będzie mógł go obronić. A może dziecko było w pobliżu. Może się temu przyglądało, może krzycało. Tymczasem on nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko umrzeć.

Po pierwszym ciosie (*zadany z przerażającą siłą przy użyciu ostrza o długości co najmniej piętnastu centymetrów i szerokości co najmniej trzech* – rozbrzmiewał głos przełożonego techników kryminalistycznych) nastąpiły cztery następne. Jeden z nich dosięgnął serca, które zostało dosłownie przecięte na dwie części. Śmierć nie przyszła jednak natychmiast. Morderca pewnie był wściekły.

Według wstępnych ustaleń zabójca przekroczył ciało ofiary, nie dbając, że depta po jeszcze ciepłej, gęstej kałuży krwi, po czym wszedł do domu.

– Ślady mordercy, wyraźne właśnie z uwagi na krew, ciągną się jeszcze przez kilka metrów w głąb mieszkania, a potem się nagle kończą. Krople krwi znalezione w tym miejscu mogą prowadzić do wniosku, że tam na chwilę przystanął. Może dlatego, że usłyszał coś niepokojącego albo kogoś zobaczył. Potem zawrócił, o czym świadczy drugi ciąg śladów kierujących się do wyjścia. Ich układ wskazuje na to, że tym razem biegł.

– A ślady chłopca? – zapytała Siria Lucchesi.

– Nie znaleźliśmy. Nie wiemy dokładnie, gdzie znajdował się mały w momencie pojawienia się nieznanego. Jeśli jeszcze spał w swoim pokoju na pierwszym piętrze, to bardzo możliwe, że usłyszał hałas. Nie ma wątpliwości, że ojciec krzycał. Jeśli chłopiec zszedł na dół i wtedy został porwany przez mordercę, to ten musiał go wziąć na ręce, ponieważ na podłodze nie ma śladów dziecięcych stóp. Pamiętajcie, że nie można było przejść przez przedpokój, nie brudząc butów krwią. – Mężczyzna przewrócił kilka kartek w swoim notesie. – Poza tym w domu nie było śladów szamotaniny – dodał. – Albo Andrea Venturi nie stawiał oporu, albo napastnik był naprawdę bardzo silny... A może syn, tak jak ojciec... – Nie dokończył zdania.

– Andrea mógł też wydostać się z domu inną drogą, na przykład przez okno na parterze, do którego się dostał, kiedy morderca pastwił się nad jego ojcem – zauważył jeden z policjantów z grupy operacyjnej.

– Niewykluczone – powiedział przełożony techników, chociaż nie wydawał się przekonany.

– Gdyby napastnik wziął chłopca na ręce, to czy ślady nie powinny być wyraźniej zaznaczone? – zapytała Lucchesi.

– Niekoniecznie. Wszystko zależy od masy ciała mężczyzny.

– Możecie określić jego wagę i wzrost? – włączył się ponownie policjant z grupy operacyjnej, który jednocześnie wszystko dokładnie notował w zeszytach.

– Numer buta między czterdzieści dwa a czterdzieści trzy. Ślady krwi znajdują się w całym pomieszczeniu, ponieważ morderca zanurzył pięść w piersi ofiary. Musimy określić trajektorię opadania kropel na ściany, aby ustalić wzrost... To trochę potrwa.

– Nie było śladów szarpaniny – powtórzyła na głos Valentina i wszyscy obecni zwrócili głowy w jej stronę. – Chciałabym, abyście wzięli pod uwagę hipotezę, że mężczyzna mógł uśpić chłopca, zanim wyniósł go z domu.

– Nie mamy żadnych poszlak, które by na to wskazywały – sprzeciwiła się Siria Lucchesi. – Poza tym to by sugerowało morderstwo z premedytacją.

– Nie dopuszczasz takiej możliwości? Sądzisz, że to nie mogło być przemyślane?

– A dlaczego ty tak uważasz? – zapytała Lucchesi, która nagle wyraźnie się ożywiła i wyglądała na szczerze zaciekawioną. – Bo ja odniosłam wrażenie, że mamy do czynienia z brutalnym i chaotycznym zabójstwem. Nie dostrzegam w nim żadnych oznak wcześniejszego przygotowania.

– Według mnie to chłopiec był celem mordercy.

– Skąd ten pomysł? – nie dawała za wygraną policjantka.

Valentina uznała więc, że nadszedł czas, aby skierować śledztwo na właściwe tory.

– Chyba powinnam wyjaśnić powody, dla których się tutaj znalazłam.

Poinformowała kolegów, że kiedy dowiedziała się o morderstwie, już przebywała w Grosseto, a następnie wskazała powody, opowiadając o sprawie Fosca Agnellego. Wyłuszczyła wszystkie szczegóły zdarzenia i zwróciła uwagę na wyniki badań toksykologicznych, z których wynikało, że chłopcu podano silne środki odurzające drogą oddechową oraz wstrzyknięto glutaraldehyd.

– Bardzo możliwe, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą – podsumowała. – Mężczyznę, którego celem są dzieci, chociaż jeszcze nie znamy motywów jego działania. A w Volterze zabił tylko po to, by zrealizować swój zamiar. Śmierć Gianniego Venturiego mogła być jedynie skutkiem ubocznym... niezależnie od tego, jak okrutnym i tragicznym.

I wszystkie zalecenia Falconego, aby postępowała ostrożnie, diabli wzięli.

Nikt jednak nie zareagował zgodnie z jej oczekiwaniami i ogarnęły ją wątpliwości, czy aby jasno się wyraziła. Przecież podała im na talerzu prawdziwą bombę!

– Otrzymałam stosowne informacje – potwierdziła po długiej chwili milczenia Siria Lucchesi, przenosząc wzrok na pozostałych uczestników spotkania. – Wiedziałam o zaginięciu tego dziecka, ale z komunikatu przekazanego z Grosseto nie wynikało, że chodzi o porwanie.

– W ostatnich godzinach pojawiły się nowe poszlaki i...

– Nie rozumiem.

Tym, który jej przerwał, był komendant Costa. Wszyscy odwrócili się w jego kierunku, jakby dopiero teraz zdali sobie sprawę z jego obecności. Mówił opanowanym tonem, ale tak wpatrywał się w Valentinę, że wprawiał ją w dziwne zakłopotanie.

– Dlaczego dopiero teraz nas o tym informujesz? – Costa odwrócił się w stronę Lucchesi. – Te szczegóły wydają mi się ważne.

– Może nie... – chciała odpowiedzieć Siria Lucchesi, ale komendant ponownie skupił swoją uwagę na Valentinie. Nie zachowywał się wrogo, po prostu wyglądał na zainteresowanego.

– Na przykład glutaraldehyd – ciągnął – dość dziwny wybór, powiedziałbym: niecodzienny. Jeśli się nie mylę, to używa się go w medycynie sądowej podczas wykonywania sekcji zwłok.

Valentina przytaknęła wyraźnie ożywiona zainteresowaniem kolegi. Jej uwadze nie umknęło rozdrażnienie szefowej z centrali w Pizie, lecz Costa zdawał się tym nie przejmować i domagał się konkretów bez obawy, że może spowodować negatywną reakcję przełożonej. Przedtem cały czas przysłuchiwał się w milczeniu, a teraz w wyrazie jego twarzy widać było zaciekawienie. Valentina postanowiła wykorzystać wsparcie nieoczekiwanego sojusznika.

Uruchomiła tablet, aby otworzyć plik z uzyskanymi wcześniej informacjami, po czym podniosła wzrok i spojrzała na komendanta.

– To wszystko nie wydaje się zbyt sensowne, prawda? Poprosiłam kolegów z centrali w Rzymie, aby sprawdzili, czy wykryto tę substancję w innych miejscach zbrodni. Na razie nie ma wyników. Jeśli uda nam się dowiedzieć, dlaczego podano ją chłopcu, zrobimy krok naprzód.

Costa nie odezwał się tym razem, ale wyglądało na to, że się z nią zgadza.

– W porządku – odezwała się ponownie Lucchesi, pragnąc jak najszybciej odzyskać teren – teraz jednak proponuję wrócić do naszej sprawy, jeśli nie macie nic przeciwko. Obu chłopców, poza wiekiem, chyba nic nie łączy, prawda?

– Nie do końca.

Valentina podała jej urządzenie. Na ekranie widniały zdjęcia przysłane z centrum operacyjnego. Buzie Fosca Agnellego i Andrei Venturiego.

Lucchesi uważnie przyjrzała się fotografiom, nie zmieniając wyrazu twarzy. Potem przekazała tablet pozostałym.

– Dlaczego wcześniej nie powiedziałaś nam o tym niezwykłym podobieństwie? – rzuciła i dopiero z opóźnieniem zdała sobie sprawę, że powtarza zarzut postawiony przed chwilą przez Fabia Costę.

– Właśnie was informuję – odpowiedziała Valentina. – Dostałam zdjęcie Andrei, kiedy do wasjechałam – przerwała na chwilę – i rozumiem wasze zaskoczenie.

Sprzęt okrążył stół i trafił ponownie do jej rąk, a na twarzach obecnych malowała się konsternacja. Tylko Costa po zapoznaniu się z materiałem popatrzył na nią przenikliwie. Odniosła wrażenie, że próbuje ją wy badać.

– Co to oznacza według ciebie? – zapytała Lucchesi.

– Nie uważasz, że podobieństwo obu chłopców jest ważną wskazówką?

– Tak, są bardzo podobni, to prawda. I co z tego? Nie rozumiem związku. Ani tego, do czego może nam się przydać taka informacja.

Valentina umiejętnie ukryła zdumienie. Może to ona widzi coś, co nie istnieje? Czy to możliwe, że nikt nie zwrócił na to uwagi?

– Naprawdę nie rozumiesz?

– Zgadza się, że to dziwne. Jaki sens ma porywanie dzieci, które są do siebie podobne? Po co? Może to tylko zbieg okoliczności? Przecież nie możemy tego wykluczyć.

– Niestety, na razie nie potrafię wyjaśnić związku – przerwała, skupiając się ponownie na obserwacji twarzy Fosca i Andrei.

Obaj chłopcy uwiecznieni na zdjęciach nie patrzyli w obiektyw, natomiast zdawali się zainteresowani czymś, co znajdowało się za plecami fotografa. Przez chwilę Valentina nie mogła opędzić się od myśli, że wpatrują się w ten sam horyzont.

– Nie znam powodu działania porywacza – podjęła, nie odrywając wzroku od ekranu. – Uważam jednak, że to ważny szczegół. Dwa dni temu, niecałe sto kilometrów od tego miejsca, zaginął Fosco Agnelli, który jest niemalże sobowtórem Andrei Venturiego. W przeciwieństwie do Andrei Fosco wrócił do domu i opisał nam mężczyznę, który go porwał. Co więcej, powiedział, że w furgonetce leżał jeszcze jeden chłopiec. Możliwe, że był już martwy. Oczywiście nie mógł to być Andrea, ale opis Fosca był szczegółowy i precyzyjny. Znaleźliśmy też dowody potwierdzające jego wersję. Wydaje mi się, że przynajmniej mamy punkt zaczepienia – rozejrzała się po sali – nie uważacie?

Nikt nie pośpieszył z odpowiedzią.

– Tak, twoja teoria jest interesująca – przerwała ponownie ciszę Lucchesi. – Ale na razie to tylko teoria, nic więcej. Prokurator polecił nam, abyśmy postępowali bardzo

ostrożnie, a ja się z nim zgadzam. Sprawdzimy wszystkie hipotezy bez wyjątku, tak jak sugerujesz. I weźmiemy pod uwagę nawet najdziwniejsze zbiegi okoliczności, zadowolona?

Lucchesi bez wątpienia realizowała scenariusz przygotowany przez prokuratora i z pewnością niełatwo będzie ją przekonać do zmiany otrzymanych instrukcji. Chyba że ktoś jej zasugeruje, że najłatwiejsza droga nie zawsze jest najlepsza, zwłaszcza w przypadku tak złożonej sprawy. Valentina już miała zamiar spróbować, sądząc, że nadszedł moment na wykorzystanie własnej pozycji. W tej samej chwili kolejny raz przechwyciła jednak spojrzenie Fabia Costy. Wpatrywał się w nią wymownie. Jakby chciał jej przekazać zaszyfrowaną wiadomość. Poza tym wyglądało na to, że tylko on jeden przypisuje odpowiednie znaczenie kwestii podobieństwa obu chłopców. Wydawało się jej, że zachęca ją do zignorowania zaleceń Lucchesi. Jakby i on uważał, że nie jest to zwykły zbieg okoliczności.

Nagle Valentina postanowiła nie drążyć tematu i poczekać. Lepiej wszystko dokładnie przemyśleć i znaleźć bardziej sprzyjającą okazję, nie zapominając jednak, że czas pracuje przeciwko nim.

Rozmowa z Rzymem była krótka, a pytania komendanta Falconego konkretne i ograniczone do minimum. Valentina zarysowała mu bardziej szczegółowy obraz sytuacji, niż się spodziewał. Nie nawiązała jednak do kwestii, z której wynikało więcej wątpliwości niż pożytku, a mianowicie do sprawy podobieństwa chłopców. Przyznała, że potrzebuje kolejnych dowodów, zapewniając przy tym, że oba zaginięcia w jakiś sposób się łączą.

– Jeśli masz rację – powiedział Falcone – to mamy niezły bajzel. Seryjny porywacz nieletnich, i w dodatku morderca. Koszmar każdego policjanta.

Valentina próbowała zachować kontrolę nad zalewającymi ją emocjami. Miała pełną świadomość, że sprawa łączy się z okrucieństwem i być może kolejną tragedią, ale przecież po to wstąpiła do policji, żeby ścigać i aresztować przestępców. A teraz nadarzyła się okazja, by sprawdzić swoje umiejętności.

W końcu Falcone zgodził się na wysłanie pierwszej grupy do zadań specjalnych. Zniknięcie Andrei Venturiego poprzedzone brutalnym zabójstwem jego ojca natychmiast zostało nagłośnione w mediach i wszyscy oczekiwali sprawnej akcji ze strony policji. Falcone musiał zrobić wszystko, co możliwe, jeśli nie chciał stracić stanowiska. Poza tym w pracy był surowy, ale przyzwoity.

– Trzymaj rękę na pulsie, Valentino. Musimy spróbować odnaleźć tego chłopca.

Jakby było jakieś inne rozwiązanie.

Kiedy Valentina skończyła rozmowę, w drzwiach stanął komendant Costa.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Jasne – odpowiedziała i zaraz dodała: – Już późno, jeśli chcesz iść do domu, przeniesiemy się do innego pokoju.

Skorzystała z uprzejmości kolegi, który udostępnił jej swoje biuro, aby mogła spokojnie wykonać konieczne telefony oraz zorganizować sobie bazę. Lucchesi pojechała już do Pizy, lecz w komisariacie wciąż panował ruch, ponieważ przydzieleni do sprawy śledczy pracowali na pełnych obrotach.

Costa pokręcił głową.

– Moi koledzy szukają dziecka – powiedział – sądzę, że powinienem do nich dołączyć.

– No tak, masz rację.

Mogli zacząć od stworzenia potężnej maszyny śledczej, by wykryć sprawcę morderstwa, ale w tym momencie było coś pilniejszego niż oddanie sprawiedliwości

nieszczęsnemu Gianniemu Venturiemu, a mianowicie odnalezienie jego syna. Żywego. Costa jako komendant lokalnego posterunku był odpowiedzialny za poszukiwania.

Mężczyzna nie ruszał się jednak z miejsca, wpatrzony w Valentinę. Nie był to wzrok wprawiający w zakłopotanie, lecz miał w sobie coś niewypowiedzianego, co sprawiało, że nasunęło jej się kilka pytań. Pierwsze z nich dotyczyło nieprzyjemnego, chłodnego traktowania komendanta przez jego szefową z Pizy.

Do pokoju Costy wszedł właśnie jeden z funkcjonariuszy, podając mu plik dokumentów. Po pobieżnym przejrzeniu komendant przekazał je Valentinie.

Były to zdjęcia z domu Venturiego. Na wielu z nich widniała postać małego Andrei i jego podobieństwo do Fosca Agnellego od razu rzucało się w oczy. Dwaj chłopcy mogliby zostać uznani za braci, a nawet za bliźniaków. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej niepokojący wydawał jej się ten szczegół. Doskonale rozumiała zaskoczenie i zmieszanie kolegów. Porwane dzieci były do siebie bardzo podobne i ten fakt łączył obie sprawy. Ale co tak naprawdę mógł oznaczać? Czy podobieństwo chłopców kierowało wyborem porywacza? Czyżby mieli do czynienia z poszukiwaczem małych sobowtórów?

Oddała zdjęcia komendantowi, który nie przestawał jej obserwować z tajemniczym wyrazem twarzy, takim samym, jaki zauważyła u niego już w czasie odprawy.

– Wybierzmy te najwyraźniejsze – powiedziała, a Costa pokiwał głową na znak aprobaty.

W tej chwili na progu stanął Angelo Zucca.

– Nareszcie coś konkretnego... – zawołał z entuzjazmem.

– Co masz na myśli?

Policjant wszedł do pokoju, rzucając zaciekawione spojrzenie w kierunku Costy, a ten skinął głową.

– Właśnie rozmawiałem z Robertą... To znaczy z inspektorem Blasi z Grosseto. Mimo wszystko to naprawdę niezła policjantka.

Valentina prychnęła z niesmakiem. Czasami Zucca potrafił być niezwykle irytujący z tymi swoimi uśmieszkami i niewybrednymi żartami. Przekroczył już pięćdziesiątkę, a od trzydziestu lat pracował w policji i w czasie tej długiej służby nauczył się cynizmu, którym się szczycił. Ona jednak wiedziała, że za pozą staroświeckiego gliniarza krył się błyskotliwy umysł. W przeszłości Angelo już nie raz wyciągał ją z kłopotów.

– Nareszcie wiemy, dlaczego Fosco Agnelli zdołał uciec... I mamy kolejny dowód na potwierdzenie jego historii.

– Możesz mówić jaśniej?

Zucca rzucił okiem na trzymaną w ręku kartkę.

– Benzodiazepiny, które mu podano, nie mogły przynieść stuprocentowego rezultatu, ponieważ tydzień wcześniej chłopiec został poddany zabiegowi tonsillektomii, usunięcia migdałków. Wybudzono go potem z narkozy za pomocą... flumazenilu. Rutynowe postępowanie mające na celu spowodowanie szybszego powrotu świadomości. Blasi rozmawiała z lekarzem i dowiedziała się, że flumazenil to antagonist benzodiazepin. A więc w organizmie Fosca było jeszcze na tyle dużo antygenów, by przynajmniej w części mogły zniwelować działanie substancji narkotyzującej, które ten łajdak mu podał. To dlatego mały obudził się wcześniej, niż tamten zakładał.

– I dlatego udało mu się zaskoczyć porywacza – dokończyła Valentina, po czym dodała: – Czyli Fosco nie kłamał. Nie mógłby przecież wymyślić sobie wcześniejszego przebudzenia...

Zucca przytaknął z radością, jakby wspomniane odkrycie było wyłącznie jego zasługą.

– To znaczy, że poszukiwany popełnił błąd – włączył się Costa. – A skoro popełnił jeden...

– Może popełnić też kolejne – dokończyła za niego Valentina.

– I właśnie na takich szczegółach powinniście się skoncentrować w śledztwie – podkreślił zdecydowanie Costa.

– Jasne – zgodziła się Valentina, chociaż nie była do końca pewna, czy dobrze zrozumiała jego intencje.

– Mówię całkiem poważnie – wyjaśnił komendant, wyczuwając jej niepewność. – Powinnaś się skupić na pozornie mało ważnych szczegółach, na domniemanych zbiegach okoliczności, na detalach, które w innych warunkach od razu byś pominęła. Kto chce pozostać w ukryciu, często gubi się właśnie w takich drobiazgach...

Valentina przyjrzała mu się uważniej, bo odniosła wrażenie, że Costa bardzo dobrze zna swój fach. Skąd taka wiedza u komendanta prowincjonalnego posterunku? Czyżby brał wcześniej udział w jakimś ważnym śledztwie?

– Glutaraldehyd – powtórzył raz jeszcze Costa. – Jaki sens miało użycie tej substancji? Oprócz niezwykłego podobieństwa dwóch porwanych chłopców to najbardziej zastanawiający szczegół.

Komendant ponownie podkreślił znaczenie tej wskazówki, a więc uważał ją za ważną, podobnie jak Valentina.

– Zgadza się w zupełności – przytaknęła policjantka – czekam jeszcze tylko na potwierdzenie z centrali, bo na razie nie znaleźli podobnych przypadków.

– To bardzo silny środek dezynfekujący – powiedział zamyślony Costa. – Używany podczas sekcji zwłok do konserwacji próbek tkanek i organów wewnętrznych... – Uśmiechnął się nieśmiało, jakby właśnie obudził się z krótkiego snu. – Zresztą jestem pewien, że sama odkryjesz powód.

Wstał i ruszył w stronę drzwi, a blokujący wejście Zucca przesunął się o kilka centymetrów. Dotąd tylko przysłuchiwał się rozmowie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Przyłączę się do grupy poszukującej – powiedział komendant, przystanąwszy na progu.

– Jutro pojedziesz z nami do matki chłopca, prawda? – Valentina niespodziewanie go zatrzymała.

Podczas odprawy Siria Lucchesi poinformowała zebranych, że Maria Sinagra, matka Andrei, nieoczekiwanie zasłabła i jest hospitalizowana w ośrodku, w którym pracuje jako pielęgniarka. To ona znalazła ciało męża i odkryła zniknięcie syna, na skutek czego pewnie doznała szoku. Do tej pory nie można jej było przesłuchać, udzieliła jedynie podstawowych informacji dotyczących dziecka, jego problemów zdrowotnych, potencjalnych kryjówek oraz tego, czy mógł dobrowolnie oddalić się z domu. Po wypowiedzeniu kilku nieskładnych zdań kobieta wpadła w swego rodzaju trans i śledczy musieli uzbroić się w cierpliwość. Mieli nadzieję, że następnego ranka rezultaty rozmowy okażą się bardziej zadowalające.

– Skoro uważasz, że mogę się na coś przydać... – zdziwił się Costa, który wyraźnie nie spodziewał się zaproszenia.

– Tak właśnie uważam – potwierdziła Valentina.

– Ciągłe jest pod ścisłą opieką medyczną. Lekarze muszą zdecydować, czy można ją przesłuchać.

– Musimy z nią jak najszybciej porozmawiać. Nie ma czasu do stracenia.

– Oczywiście. Zobaczymy się jutro rano... albo wcześniej, gdyby jej stan zdrowia się poprawił.

Kiedy komendant wyszedł z pokoju, Valentina rzuciła Angelowi zaciekawione spojrzenie.

– Co jest? – zapytał zaskoczony policjant.

– Znasz go, co?

– Kogo? Komendanta Costę?

Valentina przechyliła głowę w bok, zaciskając usta.

– Trafiliśmy na siebie kilka razy – przyznał Zucca, wzruszając ramionami. – Jakiś czas temu pracował w centrali w Rzymie. Jest świetnym policjantem i bardzo dobrym śledczym. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że najlepszym.

Valentina z łatwością wyczuła, że jest jakieś „ale”.

– Ale ciągnie się za nim przykra sprawa. Okropna.

Maria Sinagra przebywała w szpitalu Świętej Marii Magdaleny w Volterze. Był to mały budynek otoczony zielenią. Na polecenie dyrekcji zajmowała jeden z najlepszych pokoi – przywilej ten przysługiwał pracownikom, lecz przede wszystkim ofierze przerażającej tragedii, choć żadna wygoda i tak nie była w stanie przynieść jej ulgi. Kobieta ciągle była w szoku i pod częściowym wpływem środków uspokajających, ale lekarz prowadzący właśnie poinformował Costę, że można ją przesłuchać. Komendant bezzwłocznie przekazał wiadomość pozostałym. Od zaginięcia Andrei Venturiego nie minęły dwadzieścia cztery godziny i rozmowa z matką mogła się okazać kluczowa.

Była jeszcze noc, gdy szybkim krokiem pokonywali korytarze łączące kolejne pawilony ozdobione wielkimi polichromowanymi witrażami oddzielającymi wnętrze budynku od ogrodu. Nieliczne osoby, które spotykali, rzuciły im wrogie spojrzenia. Valentina odniosła wrażenie, że niewielka społeczność szpitala – lekarze, pielęgniarki i salowi – postanowiła utworzyć wokół nieszczęsnej koleżanki szczelny kordon, aby bronić jej przed każdym intruzem. Nawet jeśli była to grupa śledczych wraz z przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości, to naruszała spokój tego miejsca.

Poza Valentiną i Sirią Lucchesi w grupie był też policjant, który miał nagrać zeznania kobiety oraz zapisać je na laptopie. Costa podprowadził ich pod drzwi pokoju, po czym zapowiedział, że poczeka na zewnątrz. Lucchesi przyjęła oświadczenie z wyraźnym zadowoleniem, co nie umknęło uwadze Valenty.

Lekarz prowadzący zaprosił ich do środka, prosząc o ostrożność. Potwierdził po raz kolejny, że pacjentka znajduje się pod wpływem środków uspokajających, a jego zadaniem jest dbanie, aby nie narażano jej na dodatkową traumę. Lucchesi przywołała na twarz uśmiech, który miał go uspokoić, a który nie byłby w stanie oszukać nawet ślepcę.

Stojąc na progu, Valentina odwróciła się nagle w kierunku komendanta.

– Chciałabym, abyś był obecny przy przesłuchaniu – powiedziała.

Lucchesi wyraźnie się spięła, ale nie zaprotestowała. A Costa zastanowił się przez chwilę, jego szare oczy spoczęły najpierw na Valentinie, a potem zlustrowały wnętrze pokoju, w którym czekała na nich Maria Sinagra, siedząc na fotelu obok dużego okna. Komendant pokiwał głową i ruszył za resztą grupy.

Maria Sinagra była cieniem samej siebie. Patrzyła szklanym, obojętnym wzrokiem i wydawało się, że w jej ciemnych oczach jest jeszcze mniej życia niż w oczach męża, który teraz leżał na stole autopsyjnym w miejskiej kostnicy w oczekiwaniu, aż lekarz sądowy zada jego ciału kolejne rany, obok tych wymierzonych wcześniej przez mordercę.

Na widok wchodzących osób w oczach kobiety pojawił się żywy blask, ten sam, który do poprzedniego ranka charakteryzował jej spojrzenie. Towarzyszył jej tylko przez krótką chwilę, wystarczającą na zadanie pytania:

– Co z Andreą?

Kiedy z zakłopotanych spojrzeń śledczych wyczytała odpowiedź, że syn nie wrócił do domu, ponownie zapadła w ponure odrętwienie, a jej oczy straciły blask.

– Przepraszam, ale musimy zadać pani kilka pytań – zagadnęła Lucchesi uprzejmym tonem, który zupełnie do niej nie pasował, i zajęła miejsce naprzeciw kobiety. Pozostali dyskretnie przystanęli w pewnej odległości.

Maria Sinagra spojrzała na policjantkę, która miała ją przesłuchiwać, lecz w rzeczywistości jej wzrok przenikał osoby i przedmioty, widząc coś, czego śledczy nie mogli czy nie chcieli dostrzec.

– Te pytania pomogą wam odnaleźć Andreę? – zapytała słabym głosem.

– I oddać sprawiedliwość Gianniemu.

– Jaką sprawiedliwość? Gianni nie żyje. Co mi teraz po waszej sprawiedliwości?

Głos jej się załamał i wstrząsnął nią płacz, nie uroniła jednak ani jednej łzy, bo w ciągu ostatnich godzin oczy wyschły jej z rozpacz. Były teraz przekrwione i zaropiałe, zapadnięte głęboko w oczodołach. A przecież miała naprawdę piękne oczy – czarne i duże, takie jak syn, który był bardzo do niej podobny.

– Nie chce pani, żebyśmy znaleźli mordercę męża? – zapytała Lucchesi. – Oczywiście przede wszystkim chodzi nam o Andreę. Musimy go odnaleźć i przyprowadzić do domu, musimy go pani zwrócić, Mario. I trzeba to zrobić jak najszybciej, dlatego potrzebna nam jest pani pomoc.

– Ale ja nic nie wiem... Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś zabił Giannię i porwał Andreę. Znajdziecie go, prawda? Przyrzeka mi pani?

Lucchesi spróbowała się uśmiechnąć, ale tym razem wyszło jej to jeszcze gorzej.

– Mam nadzieję. Naprawdę mam nadzieję, że nam się uda.

Maria Sinagra zacisnęła mocno spierzchnięte, sine usta.

– Powiedziała pani, że możecie go odnaleźć, niezależnie od tego, gdzie teraz jest. Zrobicie to? Oddacie mi moje dziecko? Przecież muszę mu powiedzieć, że już nie ma ojca.

– Właśnie dlatego potrzebujemy pani pomocy. Musi nam pani podać jak najwięcej szczegółów dotyczących męża i syna, tych, których jeszcze nie znamy.

– Co chcecie wiedzieć o Giannim? – zapytała zmienionym tonem.

– Wszystko, co przychodzi pani na myśl. Gianni kochał syna?

– Co to za pytanie? Oczywiście, że tak. Przecież jest... był jego ojcem, dlaczego miałby go nie kochać? – Twarz jej stężała niczym woskowa maska, a wcześniejsza obojętność nagle zniknęła. – Już wczoraj wieczorem wszystko wam powiedziałam – głos jej zadrżał – czemu mnie dalej męczycie? Jaki sens mają te pytania? Nie wiem, dlaczego zamordowano Gianniego. Ja naprawdę nic nie wiem. Zostawiłam ich razem w domu, a kiedy wróciłam...

Wybuchnęła płaczem i zaczęła rozpaczać, w taki sposób, że nawet niektórzy z obecnych się przestraszyli. Skuliła się, a jej ciałem wstrząsał szloch. Wyła bezgłośnie jak zwierzę, któremu wyrwano język. Jakby nie mogła pojąć, dlaczego właśnie jej przytrafił się taki ogromny, niewypowiedziany ból, takie okrutne cierpienie.

Siria Lucchesi podniosła wzrok na Valentine z niemą prośbą o pomoc. Z twarzy tej pierwszej zniknął teraz wyraz chłodnej pewności, z którym tak lubiła się obnosić. Valentina przeraziła się, widząc całkowite zagubienie w oczach koleżanki, i postanowiła włączyć się do rozmowy, gdy niespodziewanie uprzedził ją komendant Costa.

Kiedy weszli do pokoju, mężczyzna zatrzymał się zaraz za drzwiami, jakby chciał podkreślić, że nie należy do grupy, ale teraz odezwał się głosem na tyle mocnym, że zdołał zagłuszyć zawodzenie Marii.

– Nie myśl o tym, co zobaczyłaś po powrocie do domu. Pomyśl o synu. Tylko o nim.

Kobieta umilkła. Jej lament zgasł niczym pozbawiony dopływu tlenu płomień. Utkwiła przekrwione oczy w twarzy komendanta.

– Mario, twój syn jest bystrym chłopcem, my oboje dobrze o tym wiemy, podczas gdy moi koledzy jeszcze go nie znają. Mimo to, jeśli chcemy mu pomóc, musimy się pospieszyć. Musimy działać szybko.

Costa podszedł bliżej. Nawet nie spojrzał na Sirię Lucchesi, nie poprosił o pozwolenie i dopiero teraz w jego zachowaniu Valentina znalazła potwierdzenie swoich przeczuc. Komendant ujawnił w tym momencie swoją pełną spokoju determinację, która udzielała się wszystkim przebywającym w pobliżu. Maria Sinagra przyglądała mu się z wyrazem twarzy wyrażającym nadzieję.

– My się znamy – powiedział Costa. – Pamiętasz?

Jakiś cień przemknął po obliczu kobiety.

– Andrea i Luchetto... *Dottor Costa*.

Zdawało się, że Maria usiłuje sobie coś przypomnieć, jakieś wydarzenie, które łączyło się z nieogolonym policjantem i tylko z nim. Valentina mimiką zachęciła komendanta do dalszych działań, przyznając tym samym, że niezwykle umiejętnie odnalazł wąską ścieżkę do serca matki Andrei.

– Gdzie jest moje dziecko? – jęknęła kobieta i po raz pierwszy od początku wizyty odnieśli wrażenie, że zaczęła naprawdę ich dostrzegać. – Proszę, niech mi pan pomoże odnaleźć moje dziecko... – Głos jej się załamał.

Costa nie zamierzał kłamać.

– Przykro mi, ale nic jeszcze nie wiemy. Robimy i będziemy robić wszystko, co w naszej mocy, by go odnaleźć. Przysięgam. Ale potrzebujemy też twojej pomocy.

– W jaki sposób mogę wam pomóc, skoro nawet nie wiem, dlaczego zamordowano mi męża? – zapytała Maria.

Costa odwrócił się w stronę Lucchesi, która przez cały czas nie spuszczała go z oka. Wreszcie kobieta skinęła głową. *Możesz kontynuować. Dobrze ci idzie.*

Komendant ponownie zwrócił się do matki chłopca:

– Przestępca nie porwał pani syna pod wpływem impulsu – wyjaśnił. – Zwykle tak jest, że ktoś, kto ma zamiar wyrządzić krzywdę, nie działa bez przygotowania. To nie była improwizacja. Ten, kto dopuścił się zbrodni, dobrze wiedział, kiedy i jak uderzyć. Wiedział, że Andrea nie pójdzie do szkoły. Wiedział, że Gianni zostanie z nim w domu, a ty będziesz w pracy. Morderca zna twoją rodzinę, Mario, zna was dość dobrze... Pewnie was śledził. Być może obserwował was przez dłuższy czas.

– Chce mi pan powiedzieć, że mojego męża zabito tylko po to, by porwać mi dziecko?

Lucchesi poruszyła się niespokojnie na swoim krześle, ale Costa nie zwrócił na nią uwagi. Valentina też była zdania, że należy rozmawiać z kobietą szczerze, ponieważ kłamstwo na nic się nie zda.

– Takie jest nasze zdanie – powiedział w tej samej chwili komendant.

W oczach kobiety ponownie pojawił się błysk przerażenia i już otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz Costa był szybszy:

– Posłuchaj mnie uważnie, Mario. Według naszych ustaleń napastnik obserwował was od jakiegoś czasu. Sądzę, że zauważył gdzieś Andreę i postanowił go porwać. Czekał tylko na odpowiedni moment i dlatego zaczął was śledzić i obserwować wasze przyzwyczajenia. Porywacz nie mógł jednak wiedzieć, że ma do czynienia z bardzo spostrzegawczą matką... Pamiętasz okoliczności, w jakich się poznaliśmy? Sama się zorientowałaś, że twój syn bardzo cierpi, chociaż wcale się nie skarżył. Dostrzegłaś

różne ukryte symptomy, o których mi potem opowiedziałaś. I teraz proszę cię o to samo. Postaraj się przypomnieć sobie, czy ostatnio zauważyłaś coś dziwnego. Może wczoraj? W ubiegłych dniach? W minionych tygodniach.

Przysłuchując się rozmowie, Valentina podziwiała zdolność policjanta do stałego utrzymywania kontaktu z racjonalną częścią psychiki matki porwanego chłopca. Nawet kiedy komendant mówił o sprawach, które przeraziłyby najbardziej doświadczonego śledczego, ton jego głosu dodawał otuchy. I rzeczywiście na twarzy Marii Sinagry pojawił się grymas wysiłku świadczący o tym, że kobieta intensywnie myśli, próbując przywołać właściwe wspomnienia. Sprawiała teraz wrażenie bardziej skoncentrowanej niż przestraszonej. A Costa właśnie na to liczył: robił wszystko, aby przynajmniej na chwilę wyrwać ją z depresji i znaleźć powód, który skłoni ją do pomocy w ratowaniu dziecka.

– Nic mi nie przychodzi do głowy – szepnęła. – Nigdy nie wyrządziliśmy nikomu krzywdy. Gianni pisał swoje powieści, a ja pracuję w szpitalu. Andrea to przecież jeszcze dziecko. Miał problemy ze zdrowiem, ale udało nam się je pokonać...

– Chodziliście z nim na okresowe badania kontrolne? Do jakiego ośrodka? Jeździliście do szpitala w Pizie? Może tam ktoś się interesował jego przypadkiem?

– Nie, nie wydaje mi się. Lekarze i pielęgniarki zawsze byli bardzo uczynni... – Głos znowu niebezpiecznie jej zadrżał.

– Może pamiętasz jakąś twarz – podpowiedział natychmiast Costa podniesionym tonem, w celu skupienia jej uwagi. – Twarz nieznanego osoby przed domem albo niedaleko szkoły. Może jakieś przypadkowe spotkanie, cokolwiek... Nawet jeśli wydaje ci się to bez sensu.

– Gdyby ktoś nas śledził, na pewno bym się zorientowała.

– A może Andrea wspominał o czymś niecodziennym? Skarżył się na przykład na nieznanego, który go zaczepiał? Albo opowiadał z entuzjazmem o nowym znajomym, o towarzyszu zabaw...

– Andrea nie ma zbyt wielu przyjaciół – głos znowu uwiązał jej w gardle – ale poczekaj... – Twarz kobiety nagle się rozjaśniła. – Tak, teraz sobie kogoś przypominam – szepnęła. – Chociaż wydaje mi się to bez znaczenia, raczej wrażenie niż coś, co się naprawdę zdarzyło.

Wszyscy obecni instynktownie nachylili się w stronę kobiety, tylko Costa stał spokojnie na swoim miejscu, co więcej, wyglądał na rozluźnionego, jakby od samego początku wiedział, że w końcu otrzyma jakąś ważną informację.

– To był mężczyzna – powiedziała Maria Sinagra. – Dziwny typ. Raczej młody, nie potrafię określić wieku, ale na pewno nie był stary... chociaż miał takie białe włosy.

Były takie niesamowicie jasne, że wyglądały na farbowane. Jasne i błyszczące. Przyglądał się nam. To znaczy przyglądał się Andrei.

Świt ustąpił miejsca światłu dnia, który zapowiadał się na bardzo słoneczny. Oślepiający blask zalewał pokój Marii Sinagry, ale nie był w stanie ogrzać pomieszczenia. Zazwyczaj tak przyjemne promienie słońca teraz oznaczały jedynie mijający czas. Jego upływ, minuta po minucie, oddalał nadzieję na odnalezienie Andrei.

Tymczasem kobieta znalazła wreszcie drogę do najważniejszych, a zarazem najokrutniejszych wspomnień.

– Z początku nie zwróciłam na niego uwagi – powiedziała, przymknąwszy powieki, jakby chciała wrócić do tamtej chwili oczami wyobraźni. – To Andrea mi go pokazał, bo był wyraźnie zaintrygowany. Powiedział mi, że nigdy nie widział takich białych włosów. Takich długich. Były związane w kucyk. Skarciłam syna, bo wskazywał na mężczyznę palcem, a zawsze mu powtarzam, że to niegrzeczny nawyk. I wtedy też spojrzałam na nieznanego, który zapadł mi w pamięć. Był jakiś dziwny, nie budził strachu... ale było w nim coś niezwykłego.

– Gdzie? – Lucchesi nie zdołała powstrzymać się od zadania pytania, ryzykując przerwanie wspomnień. Na szczęście Maria, nie otwierając oczu, od razu wróciła do przerwanej wątku.

– Gdzie go spotkaliśmy? Wie pani, gdzie jest supermarket Coop w Val di Cecina? Andrea bardzo lubi chodzić ze mną na zakupy. Przynajmniej tak mi się wydaje. Mój syn często buja w obłokach. Czasami mam wrażenie, że zaraz się zgubi...

– Powiedz nam wszystko, co pamiętasz o tamtym mężczyźnie – przerwał jej łagodnie Costa, naprowadzając z powrotem na interesujący ich temat.

– Tak, tak, przepraszam... On na nas nie patrzył, ale wydawało mi się, że kilka sekund wcześniej nas obserwował. No wiesz, czasami, kiedy nagle się odwrócisz, zdaje ci się, że ktoś właśnie przerwał czynność, którą wykonywał. Mężczyzna o białych włosach stał przy lodówkach z mrożonkami i miał pusty koszyk, a my znajdowaliśmy się po drugiej stronie. Przyglądałam mu się przez chwilę, ale on się nie ruszył, był bardzo skoncentrowany na wybieraniu produktów. A może po prostu nie chciał pokazać, że się nami interesuje. Po jakimś czasie poszliśmy dalej i pewnie bym o nim zapomniała, gdyby nie to, że zobaczyłam go ponownie na parkingu. Wkładałam torby z zakupami do bagażnika, a Andrea mi pomagał, podając mi je z wózka. Kiedy uniosłam głowę, zobaczyłam, jak się nam przygląda. Białe włosy spięte w długi kucyk nie pozostawiały wątpliwości. To był ten sam mężczyzna. Kiedy napotkałam jego oczy,

opuścił wzrok. Potem wsiadł do ciemnej furgonetki, chyba zielonej... Samochód był brudny i podniszczony. Włączył silnik i odjechał. Od tamtego czasu ani razu o nim nie pomyślałam. Nie przywiązywałam żadnej wagi do tego zdarzenia.

– Wszystko może się okazać przydatne – powiedział Costa.

– Czy pamięta pani coś jeszcze? – włączyła się Valentina z obawą, że w każdej chwili mogą utracić kontakt z racjonalną częścią psychiki Marii Sinagry.

– Tak – odpowiedziała kobieta, wprawiając Valentinę w osłupienie. – Pamiętam, że on się uśmiechał. Tak mi się przynajmniej zdawało. Miał szeroki uśmiech... i uniesione kąciki ust. – Nagle jakaś myśl musiała przetrzeć sobie drogę do jej umysłu, jej oczy stały się bowiem ciemne niczym noc. Białka zniknęły niemal całkowicie, pochłonięte przez niespodziewaną ciemność. – To ten mężczyzna porwał mojego syna i zamordował mi męża? – zapytała łamiącym się głosem. Zakryła usta dłońmi. Drżała na całym ciele. – Mam rację, prawda? To on?

Rankiem opuścili szpital. Siria Lucchesi powstrzymała się od jakichkolwiek komentarzy. Pomimo uzyskanych informacji jej postawa względem komendanta nie uległa zmianie. Znalazła wymówkę i szybko oddaliła się wraz z towarzyszącym jej policjantem.

Valentina, Costa i Zucca zatrzymali się na chwilę, aby porozmawiać z lekarzem zajmującym się Marią, która zresztą miała wkrótce opuścić szpital, chociaż jeszcze nie ustalono, gdzie się zatrzyma. Powrót do domu nie wchodził w rachubę również dlatego, że ślady w willi wciąż były zabezpieczone przez policję.

Podczas gdy komendant wydawał ostatnie polecenia podwładnym, Valentina i Zucca skierowali się do samochodu. Policjantka nie mogła przestać myśleć o tym, co zdarzyło się podczas przesłuchania. Costa okazał się naprawdę skuteczny i rozmowa z Marią Sinagrą potwierdziła, że jest świetnym śledczym. Poza tym nie zadzierał nosa, co też należało docenić. A mimo to Lucchesi traktowała go, jakby był trędowaty. Wcześniej Angelo Zucca wspomniał o jakiejś przykrej sprawie z czasów, kiedy Costa pracował w centrum operacyjnym. Kiedy to się mogło zdarzyć? Oczywiście przed jej przeniesieniem, zważywszy, że nigdy o nim nie słyszała. Co też mogło się, do diabła, wydarzyć?

– Powiedz mi, co o nim wiesz – odezwała się nagle, obserwując wejście do szpitala w oczekiwaniu na pojawienie się w nim komendanta.

Zucca zaczął się śmiać.

– Co jest? Zakochała się pani?

Zmroziła go wzrokiem.

– Pracujemy razem, a ja nic o nim nie wiem. Zresztą sam wspominałeś, że miał burzliwą przeszłość. Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej.

– No nie wiem... nie chcę mieć problemów...

– Jakich problemów? Przecież on już nie pracuje w centrali, za to my tak. Muszę wiedzieć, co to za człowiek.

Zucca nagle spoważniał.

– Proszę posłuchać, prawda jest taka, że chodzi o delikatną sprawę, a ja nie chcę nikogo obmawiać za plecami. Nie chcę, żeby ktoś miał do mnie pretensje. Znałem go, gdy był zatrudniony w Rzymie, ale nie pracowaliśmy razem. Koledzy go chwalili. To wszystko. A kiedy wpadł w tarapaty, ja byłem w delegacji na Sycylii. Nie wiem dokładnie, co się stało. I szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to interesuje. Mógłbym

przekazać jedynie plotki, a tego bym nie chciał. Proszę zapytać komendant Lucchesi albo dyrektora. Tak będzie najlepiej, zapewniam.

Valentina zaczęła się zastanawiać, czy warto się upierać, lecz w tym czasie dołączył do nich Costa i musiała odłożyć sprawę na później. Obiecała sobie, że w odpowiedniej chwili spróbuje zdobyć interesujące ją informacje.

W samochodzie Costa usadowił się na tylnym siedzeniu i w milczeniu obserwował krajobraz, który musiał znać bardzo dobrze, a Valentina odniosła wrażenie, że słyszy, jak pracują szare komórki komendanta. Postanowiła nawiązać rozmowę.

– Co to za historia z matką Andrei? – zapytała, odwracając się w jego stronę. – Świetnie sobie z nią poradziłeś.

W odpowiedzi Costa starał się zbagatelizować całą sprawę.

– Nic ważnego. Spotkaliśmy się w komisariacie. Takie zwykłe małomiasteczkowe problemy.

Valentina się roześmiała.

– Czyżby chodziło o tajne akta? Nie możesz mi powiedzieć, bo naruszyłbyś tajemnicę zawodową?

– To jedna z pomniejszych spraw, mówię serio. Naprawdę chcesz, żebym ci opowiedział?

– Tak – odparła zdecydowanie.

Zdarzenie miało miejsce w ubiegłym roku. Maria Sinagra wpadła do komisariatu jak bomba, mówiąc, że jej syn padł ofiarą bullyingu, znęcania się przez szkolnego kolegę Luca Adinolfiego, zwanego Luchettem. Jak to często bywa w miasteczkach, nikt nie zajął się zgłoszeniem i banalna prośba o pomoc trafiła prosto do komendanta. Początkowo starał się jej wyjaśnić, że bullying między dziećmi poniżej czternastego roku życia powinni rozwiązywać nauczyciele i rodzice, ponieważ interwencja policji może przynieść więcej szkody niż pożytku.

– Matka Andrei była bardzo stanowcza. Miałaś okazję ją poznać. Nie zmyślałem, kiedy powiedziałem, że jest uważna i spostrzegawcza. Maria to szczerą kobietą o zdecydowanym charakterze i silnej woli. Dla niej świat jest czarno-biały: czyny są albo dobre, albo złe. I kiedy trzeba, nie cofnie się przed niczym. W przypadku tej historii z bullyingiem w klasie Andrei niestety miała rację.

– Sprawa okazała się poważna? – zapytała Valentina, która z własnego doświadczenia zawodowego wiedziała, jak fatalne skutki może mieć dla niektórych dzieci ta forma dyskryminacji, zwłaszcza jeśli rodzice nie zorientują się w porę, co spotyka ich pociechy.

– Na tym etapie chyba jeszcze nie – odparł Costa – ale mogła się przerodzić w prawdziwy problem. Gianni Venturi udał się do rodziców sprawcy, aby wszystko

załagodzić. Lecz ojciec Lucchetta, niejaki Tommaso Adinolfi, zamiast pomóc Venturiemu, tylko go wyśmiał i upokorzył. Nieszczęsny Gianni wrócił do domu ponizony w oczach uwielbianego syna i to dlatego Maria domagała się interwencji policji.

Valentina od razu zrozumiała. W karierze policyjnej często zdarzają się takie przypadki, kiedy brak skutecznych i jednoznacznych instrumentów prawnych uniemożliwia przeciwstawienie się ludzkiej bezczelności i głupocie. Poza tym niewielu pracowników wymiaru sądownictwa chce się angażować w kłótnie rodzinne. Maria Sinagra pragnęła, aby syn rósł w przekonaniu, że społeczność, w której żyje, broni słabszych i karze niegodziwych. I nie wiedziała, jak postąpić. Obawiała się nie samego aktu zaniechania ze strony organów porządku publicznego, ale raczej konsekwencji, jakie Andrea wyciągnąłby z tej lekcji życia. Dlatego udała się na skargę do komendanta.

– I co wtedy zrobiłeś?

– Co miałem zrobić? Poszedłem porozmawiać z Tommasem Adinolfim.

Samochód wjechał w ostatni zakręt prowadzący do komisariatu. Costa zamilkł i zdawało się, że nie ma już nic więcej do powiedzenia w tej sprawie.

Teraz Valentina odwróciła się o dziewięćdziesiąt stopni i spojrzała mu w oczy.

– I co dalej? – zapytała z nutą zniecierpliwienia w głosie.

– A co niby miało być?

– Co zrobiłeś potem? Co mu powiedziałeś?

W oczach Costy na moment pojawił się stalowy błysk. Być może to promień słońca odbił się w szybie, a może było to wspomnienie tamtych wydarzeń. Niemniej Valentina uznała, że to niepokojący znak.

– Zrobiłem to, co powinienem – odpowiedział w końcu komendant. – Przemówiłem mu do rozsądku i rozwiązałem problem. Następnego dnia dowiedziałem się, że Lucchetto przeprosił Andree, a nawet zaproponował mu swoje ciastko podczas przerwy śniadaniowej. Znęcania się już więcej nie było.

Valentina nie spuszczała wzroku ze swojego rozmówcy. Już zamierzała zapytać, co konkretnie powiedział lub zrobił, aby przekonać ojca łobuza do interwencji, kiedy dostrzegła zmieniający się wyraz twarzy Costy.

– Wszystko wskazuje na to, że zaczyna się poważna robota – powiedział komendant.

Valentina spojrzała przed siebie w stronę budynku komisariatu w Volterze i natychmiast zrozumiała, co Costa miał na myśli.

W porównaniu z poprzednim wieczorem komisariat zdawał się nie do poznania. Leniwy, senny nastrój, który zazwyczaj tu królował, został zastąpiony przez chaos i zamieszanie spowodowane trwającym śledztwem. Przybyły posiłki obiecane przez komendanta Falconego. W ich skład wchodził nie tylko funkcjonariusze z centrum operacyjnego, ale również technicy kryminalistyczni oraz policjanci specjalizujący się w analizie przestępczości z użyciem przemocy. Najlepsi eksperci.

Plac dei Priori wypełniony był dużą liczbą samochodów, które naruszały jego odwieczny urok. Poza zwykłymi radiowozami w pobliżu zaparkowały wozy transmisyjne dwóch kanałów telewizyjnych oraz dwie spore furgonetki: jedna nieoznakowana, wyposażona w dziwne anteny, a druga biało-niebieska z logo należącym do sekcji techników kryminalistycznych.

Wewnątrz komisariatu utworzono nowe stanowiska, które odzwierciedlały złożoność całej uruchomionej maszyny organizacyjnej. Ekipa funkcjonariuszy zaczęła się już zapoznawać z zadaniami czekającymi ich w czasie śledztwa.

Kiedy wszedł Costa, inspektor Aldo Martini, jego zastępca, bez zwłoki ruszył mu naprzeciw.

– Mamy dobre wiadomości, szefie.

Komendant ruchem brody wskazał na stojącą u jego boku Valentinę i Martini, spojrzawszy na kobietę, bez mrugnięcia okiem zmienił odbiorcę wiadomości.

– Prawdopodobnie znaleźliśmy samochód, w którym przewożono porwane dziecko.

Na tym etapie wszyscy byli już zgodni, że Andrea Venturi został porwany, a pozostałe hipotezy samoistnie się wykruszyły.

Inspektor pokazał im niezbyt wyraźne zdjęcia z monitoringu.

– Niestety nie widać tablicy rejestracyjnej – ciągnął. – Ale nie tracimy nadziei. Sprawdzamy materiały ze wszystkich kamer, tylko że teren jest bardzo rozległy, a my nie mamy pojęcia, jaką trasę wybrał zabójca, dlatego poszukiwania zajmą trochę czasu. Jesteśmy prawie pewni, że to ten...

Na zdjęciu widniał stary model zielonej furgonetki uchwycony na jednej z głównych ulic miasteczka. Twarz kierowcy była niewyraźną, jasną plamą.

– Godzina i miejsce zgadzają się z danymi dotyczącymi popełnienia przestępstwa. Mamy różne ujęcia, ale to jest najlepsze. Porównaliśmy fotografię z różnymi modelami i prawdopodobnie mamy do czynienia ze starym typem volkswagena

california, z zamkniętym nadwoziem, wyposażonym w szerokie tylne drzwi. Po bokach nie ma żadnych okien, oczywiście poza tymi w szoferce.

– Czy to rzadki model? – zapytała Valentina.

– Niestety, nie bardzo. Jest stary, ale sporo takich jeździ ciągle po naszych drogach. Sądzimy, że wjechał na drogę szybkiego ruchu numer sześćdziesiąt osiem w kierunku Florencji i Sieny. W ten sposób najszybciej mógł się oddalić od miejsca zbrodni. Na razie jednak niczego nie możemy wykluczyć. Przekazaliśmy informacje do drogówki.

– Dobrze – skomentował krótko Costa, podczas gdy Valentina przyglądała się fotografiom, myśląc, że nic nie jest dobrze. Serce biło jej coraz mocniej od chwili, gdy Maria Sinagra opisała mężczyznę o białych włosach. Tego samego, o którym wspominał Fosco Agnelli.

A teraz jeszcze wyszło na jaw, że porywacz Andrei Venturiego jeździł zieloną furgonetką.

Fosco opisał podobny samochód.

On stał przed domem i miał furgonetkę... taką dużą... Mamusiu, to dziwne, że jej nie zauważyłaś. Była zaparkowana naprzeciw domu. Z okna w kuchni na pewno była widoczna. Taka ciemnozielona.

Mnożyły się elementy łączące obie sprawy. Andrea Venturi i Fosco Agnelli byli do siebie bardzo podobni, no i byli w tym samym wieku. Opis wyglądu mężczyzny podejrzanego o porwanie okazał się niemal identyczny: młody człowiek o długich białych włosach związanych w kucyk. Samochód też wydaje się ten sam. Furgonetka. Zielony volkswagen california. Zniknęły ostatnie wątpliwości. Mieli do czynienia z seryjnym przestępcą, który porywa dzieci w okolicy, a potem ładuje je do swojej koszarnej furgonetki, usypia... i co dalej? Jaki jest jego cel?

Costa znowu przyglądał się jej z uwagą, która wywoływała w niej lekkie zmieszanie, chociaż od zawsze za punkt honoru stawiała sobie całkowitą kontrolę nad własnymi emocjami. Dlaczego teraz przeszkadza jej zainteresowanie kolegi?

– Co ci jest? – zapytał. – Dobrze się czujesz?

Valentina pokiwała głową.

– Tak, tak... Chodźmy do twojego pokoju, potrzebuję chwili na przemyślenie tego wszystkiego.

Mężczyzna przyglądał się jej jeszcze przez kilka sekund, zanim ruszył.

– Dopóki będziesz z nami pracowała, możesz korzystać z mojego pokoju, a ja zajmę ten obok, bo i tak stoi pusty.

– Nie ma takiej potrzeby. To jest twoje miejsce pracy. Ja mogę usiąść we wspólnym pomieszczeniu razem z innymi.

– Lepiej nie, uwierz mi. Zajmij ten pokój. Moi ludzie starają się, jak mogą, ale potrzebują jasnych wytycznych. Teraz to ty kierujesz śledztwem... i musisz wejść w swoją rolę. Ten pokój jest do tego odpowiedni.

– Tak naprawdę to Lucchesi jest szefową. Ja jestem tu tylko po to, by pomóc.

Fabio Costa znowu serdecznie się uśmiechnął. Kiedy się odprężył, jego uśmiech stawał się zaraźliwy, a dodatkowo rozjaśniał mu twarz, sprawiając, że wydawał się młodszy i mniej poważny. A także przystojniejszy – musiała przyznać wbrew sobie Valentina.

– Śledztwo pozostałoby w rękach Siri Lucchesi oraz prokuratury w Pizie, gdyby ograniczało się do zabójstwa Venturiego i do porwania jego syna – powiedział Costa tonem wyjaśniania oczywistości. – Teraz jednak już wiemy, że sprawa jest poważniejsza i bardziej złożona. Niedługo potrzebna będzie koordynacja na szczeblu państwowym...

Costa nie zajął miejsca w fotelu za biurkiem, lecz usiadł na jednym z krzeseł przeznaczonych dla gości, jakby chciał jeszcze raz podkreślić, do kogo należy dowództwo.

Valentina zawahała się na chwilę, wreszcie spoczęła na fotelu.

– Jak myślisz, czy Lucchesi będzie miała coś przeciwko? – zapytała, bo nagle właśnie ta myśl wpadła jej do głowy, chociaż było to z pewnością jedno z mniejszych zmartwień.

Costa wzruszył ramionami.

– Może i nie będzie zachwycona, ale w końcu nie jest głupia i dobrze wie, że tego typu sprawa wymaga współdziałania pod kontrolą centrali. Zobaczymy, jak zareaguje prokuratura, bo sędziowie śledczy lubią, kiedy kierownictwo koncentruje się w jednym ręku. Jeśli chodzi o morderstwo Venturiego, to sprawa leży w gestii organów sądowniczych z Pizy, nie mam jednak pojęcia, jak długo to potrwa. Tak czy inaczej, w końcu to ty przejmiesz i poprowadzisz całe śledztwo, Valentino.

Policjantka już otworzyła usta, by zaprzeczyć, ale w tym momencie zrozumiała, że na nic się to zda.

Zaprzagnęła tylko, aby cała ta sprawa jak najszybciej się skończyła albo aby ktoś zdjął jej z pleców ten ciężar. Ktokolwiek: Lucchesi, Costa, nawet Falcone we własnej osobie. Nie czuła się odpowiednim człowiekiem do prowadzenia tak trudnego śledztwa. Nie zdoła wykonać tego zadania. Jakże była głupia, by myśleć inaczej. Na pewno nie da sobie rady.

Wracaj na swoje miejsce – miała ochotę krzyknąć do Costy. *Bo ja go nie potrzebuję. Nie mogę zajmować się tą sprawą.*

– Pomożesz mi? – zapytała tymczasem niepewnym głosem.

Costa zrobił zdziwioną minę, jakby wyczuł jej rozpaczliwe wahanie.

– Nie potrzebujesz mojej pomocy. Centrala przysłała ci najlepszych specjalistów...

– Wiem, ale mam do ciebie zaufanie.

– Przecież nawet mnie nie znasz.

– To prawda, ale tak jest i nic na to nie poradzę.

Costa spoważniał.

– Dlaczego Lucchesi źle cię traktuje? – rzuciła Valentina bez namysłu. Chciała go zapytać, co się wydarzyło, kiedy pracował w centrali. Chciała się dowiedzieć, dlaczego zaszył się na tym prowincjonalnym posterunku. Kim on, do diabła, tak naprawdę jest?

Costa nie przestawał się jej przyglądać, nie odpowiadając jednak na zadane pytanie.

Pomóż mi – poprosiła w myślach Valentina, a on jakby naprawdę to odczytał, bo wreszcie się odezwał, chociaż jego odpowiedź wcale jej nie zadowoliła.

– Nie mogę ci pomóc – powiedział. – Zresztą doskonale poradzisz sobie sama. Ale jeśli chcesz, to możemy się razem zastanowić nad poszlakami, którymi dysponujesz.

Wszystko wskazywało na to, że na razie tyle musi jej wystarczyć.

– A czym dysponuję? – Nie dawała za wygraną.

Costa zastanowił się przez chwilę.

– Pomyśl spokojnie, bo trochę tego jest. Przede wszystkim: niesamowite wręcz podobieństwo obu chłopców stanowi ważną wskazówkę, choć wprowadza zamieszanie. To dziwna poszlaka i zgadzam się, że może nas wyprowadzić na manowce. Może się jednak również okazać przełomowa w śledztwie. Zastanówmy się, dlaczego ktoś miałby porywać dwóch tak podobnych chłopców. Może uprowadzenie Fosca było pomyłką i przestępca dopiero później się zorientował, że prawdziwym celem jest Andrea Venturi. Wydaje mi się to mało prawdopodobne. Chłopcy mieszkają daleko od siebie, żyją w różnych miasteczkach i w odmiennych środowiskach. Nie sposób ich pomylić, pomijając oczywiście wygląd fizyczny. Nie. Jeśli podobieństwo dzieci ma dla porywacza znaczenie, to właśnie od tego powinniśmy zacząć. To znaczy ty powinnaś zacząć.

– Skąd ten pomysł? Przecież całkiem możliwe, że zamierzał porwać właśnie Fosca i Andreę i na tym zakończyć cały proceder...

Costa nie spuszczał z niej oczu ani nie wykonał najmniejszego ruchu. W tej chwili przypominał posąg.

– Sama w to nie wierzysz – mruknął. – Zresztą ja też nie. To prawdziwy drapieżca, Valentino. Nie wiemy jeszcze nic na temat pobudek jego działań, ale to dopiero początek.

Tak. Ona też to wiedziała. I dlatego tak bardzo się bała. Nawet więcej, była przerażona.

Wielka plama zakrzepłej krwi zmieniła kolor na bursztynowy i wtopiła się w ciemny parkiet podłogi. W mroku rozświetlonym jedynie słabym blaskiem księżyca zaglądnącego nieśmiało przez okna można było oszukać wzrok, ale nie węch. Zapach psującej się krwi w zamkniętym pomieszczeniu zanieczyszcza powietrze i jest niczym oleisty, cuchnący całun, który wżera się w skórę i wgryza w nozdrza na zawsze.

Costa doskonale o tym wiedział, kiedy zatrzymał się na progu opustoszałej, pogrążonej w ciszy willi i, przymknąwszy oczy, próbował wyobrazić sobie, jak wyglądały korytarz oraz pokoje jeszcze kilka godzin wcześniej. Jaka atmosfera panowała w zalanych słońcem pomieszczeniach ożywionych radosnym głosem dziecka i zaniepokojonym tonem ojca. Wszystko przepadło w jednej chwili, jakby cień nadciągającej groźnej burzy nagle zakrył te przejawy codziennej normalności.

Maria Sinagra została wypisana ze szpitala. Lekarze uznali, że teraz potrzebuje już tylko pomocy psychologa. Gościńkę znalazła u mieszkającej za miastem rodziny. Zresztą i tak nie mogłaby na razie wrócić do domu, gdyż technicy kryminalistyczni oznaczyli teren zwany fachowo *locus delicti* za pomocą swoich wojennych gadżetów: ponumerowanych karteczek, białego proszku do zbierania odcisków palców, resztek biało-czerwonej taśmy, która powiewała smętnie przy wejściu. Tam, gdzie przechodzą ludzie w białych kombinezonach, niczym antyczni grabarze, pozostawiają po sobie memento, które głosi: *Tędy przeszła śmierć. Jeśli zdołacie, unikajcie jej.*

Dla wielu to skuteczne ostrzeżenie – pomyślał Costa – ale nie dla wszystkich.

Do niedawna on sam codziennie walczył właśnie z tego rodzaju kreaturami. Aż do dnia, kiedy los zesłał go do tej dziury, gdzie lizał rany z nadzieją, że nikt go więcej nie znajdzie.

Tymczasem został wytropiony. I chociaż bardzo chciał trzymać się od tej sprawy z daleka, zło, które przeszło obok niczym trąba powietrzna, wciągnęło w wir również jego. Doskonale znał to uczucie. Zew krwi.

Otworzył oczy.

Jeszcze mógł się uratować. Uniknąć zaangażowania w śledztwo. Dalej gnieździć się wygodnie w swojej norze, kręcąc się w kółko jak pies, który szuka najlepszego miejsca do spania. Przygotować sobie spokojne legowisko.

A jednak znalazł się na miejscu zbrodni. I to bez konkretnego powodu. Tylko po to, by się przekonać, czy widok i smród krwi jeszcze robią na nim wrażenie.

Ominął resztki organiczne pozostałe po Giannim Venturim i pozwolił, aby instynkt poprowadził go tam, gdzie trzeba.

Od zniknięcia Andrei minęło ponad trzydzieści godzin. Ludzie Costy ciągle byli w terenie i prowadzili poszukiwania. Niektórzy udali się na krótki, czasem zaledwie kilkuminutowy odpoczynek, ale tych było naprawdę niewielu. Inni przeszukiwali archiwa. Sprawdzali listy połączeń telefonicznych w całej okolicy, przeglądali stare raporty dotyczące podobnych spraw (rzeczywiście mieli podobne sprawy?), przesłuchiwali rozmowy telefoniczne, przeglądali materiały wideo. A wszystko w nadziei, że uda się trafić na jakiś, choćby najmniejszy, ślad, na podejrzany pojazd, kawałek twarzy lub naprowadzające słowo.

Po długich namowach udało mu się przekonać Valentinę Medici, aby poszła do hotelu i spróbowała odpocząć, obiecując jej, że zadzwoni natychmiast, gdy pojawią się nowe poszlaki. Kiedy policjantka w końcu posłuchała, nareszcie został sam. Rutynowa papierkowa robota dawno została wykonana i nic go już nie trzymało w komisariacie, a jednak Costa nie spieszył się do łóżka. Wiedział, że i tej nocy nie zdoła zmrużyć oka.

Poprosił o klucze do domu Venturich, który ciągle znajdował się pod nadzorem policji, i dotarł do leżącej na uboczu willi. Gdy wszedł do środka, odniósł wrażenie, że profanuje świątynię.

Trudno byłoby racjonalnie wytłumaczyć potrzebę tych samotnych oględzin. Żadne przeczucie nie usprawiedliwiało jego obecności na miejscu zbrodni. Żaden szósty zmysł. Po prostu odczuwał potrzebę pojawienia się w domu ofiary. Potrzebę wejścia do środka i zważenia podłogi, zmierzenia całego zła, które w ciągu kilku minut zniszczyło życie spokojnej rodziny. Chciał zrozumieć. Chciał wrócić do sposobu rozumowania sprzed lat, kiedy takie sprawy stanowiły jego chleb powszedni, były celem jego życia. Wtedy też szukał bodźca, który skierowałby go na właściwą drogę. Dodatkowego impulsu, który wzmocniłby zwykłe poczucie obowiązku wynikające z wykonywanej pracy. Nie można porównać prowadzenia szczególnie skomplikowanych śledztw z odbijaniem karty zegarowej w zakładzie. I niezależnie od przygotowania zawodowego potrzebne jest coś więcej, aby doprowadzić sprawę do końca. Coś, co przysłoni całą resztę, odsunie na dalszy plan życiowe problemy i osobiste troski. Potrzebne jest całkowite oddanie. I potrzebny jest ten specjalny impuls.

Znajdzie go pan?

Kiedy Maria Sinagra czepiała się swojej ostatniej nadziei, w jej oczach zabrakło już łez.

Niech pan znajdzie moje dziecko! Tak bardzo pana proszę...

To nie było jego zadanie. Już nie. Poza tym głos doświadczenia podpowiadał mu, że Andrea nie ma już wielkich szans. Przestępca, który dopuścił się tego makabrycznego czynu, nie był zwykłym porywaczem, ani nawet chorym maniakiem szukającym chłopca do swoich obrzydliwych postępów. Kryło się za tym coś znacznie bardziej zatrważającego. Coś, z czym Costa już się stykał w swojej karierze, na szczęście niezbyt często, ale zawsze musiał potem za to płacić.

Tak, miał wystarczająco dużo argumentów, aby odwrócić się plecami i zająć swoimi obowiązkami. Zagrzebać się we własnej norze.

Dlaczego więc tu przyszedł? Skąd się brała ta przeklęta potrzeba, aby wciągnąć w nozdrza odór zakrzepłej krwi?

Znajdzie pan mojego syna?

Prawdopodobnie nie – pomyślał Costa. Mogę jednak zrobić coś dla siebie. Mogę przestać się ukrywać. Przynajmniej przez jakiś czas. I może nawet uda mi się odnaleźć dawną inspirację.

Przeszył go śmiertelny krzyk Gianniego Venturiego. Zapach krwi stał się intensywniejszy.

Poczuł zew polowania.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z koszmaru, w który się zaplątała, pozbawiając przy tym pamięci, o czym śniła. Były tam oczywiście dzieci, ale i coś jeszcze, czego nie mogła sobie przypomnieć. Czyjaś przytłaczająca, tajemnicza obecność.

Kiedy usłyszała w słuchawce głos Falconego, strząsnęła z siebie resztki snu.

– Spałaś?

– Nie. Tak. Nie wiem. Która jest godzina?

– Prawie siódma... Za wcześnie na telefon? – Ton szefa był ironiczny, ale pozbawiony złośliwości. Wskazywał raczej na dobry humor.

Valentina usiadła na brzegu łóżka.

– Nie, przepraszam. I tak już za długo spałam.

W ustach i na powiekach czuła ciężar zmęczenia. Przez głowę przebiegały jej myśli o tym, co trzeba zrobić. Poczowała się winna, że uległa namowom Fabia Costy i poszła odpocząć.

– Nie przejmuj się – powiedział Falcone. – Wyobrażam sobie, że znajdujesz się pod ogromną presją. Od czasu do czasu musisz wyluzować...

Chciała mu odpowiedzieć, że Andrea Venturi, gdziekolwiek się teraz znajduje, na pewno jest w gorszym stanie psychicznym. Pomyślała jednak, że byłoby to niesprawiedliwe wobec szefa, który pragnął jej dodać otuchy.

– Coś nowego? – zapytał komendant.

– Niestety, na razie nic.

– Za to ja mam dla ciebie wiadomość. Na podstawie danych łączących sprawę Agnellego i Venturiego zrekonstruowaliśmy ponownie możliwy przebieg zdarzeń. Zgodnie z opowiadaniem Fosca po przebudzeniu się wewnątrz furgonetki chłopiec zauważył obecność rówieśnika, który wydał mu się martwy. Wyglądało to na wymysł dziecięcej fantazji lub skutek podanej narkozy. Wiemy przecież, że drugim chłopcem nie mógł być Andrea Venturi, w tym czasie bowiem przebywał jeszcze cały i zdrowy w swoim domu. Zresztą pewnie pamiętasz, że w momencie kiedy chłopiec zeznawał, nie mieliśmy zawiadomienia o zaginięciu dziecka zgodnego z opisem. Gdyby taki wypadek miał miejsce, musiałyby zaistnieć kilka godzin wcześniej. Uznaliśmy zatem, że tu pojawia się sprzeczność opisu z faktami, tymczasem... Czternastego października rzeczywiście zaginął chłopiec. Miało to miejsce kilka godzin wcześniej, nim taki sam los spotkał Fosca.

Valentina zacisnęła palce na komórce i przycisnęła ją mocno do ucha, aby nie uронić nawet jednego westchnienia z wywodu szefa.

– Nie wiedzieliśmy o tym, ponieważ matka przez kilka dni zwlekała z powiadomieniem policji. Doszło do tego w Neapolu w Zielonym Parku w dzielnicy Caivano, w której jest duża przestępczość. Kobieta sądziła początkowo, że jej jedenastoletni syn Salvatore Esposito przebywa z bratem, pomniejszym kryminalistą należącym do miejscowego gangu. Okazało się, że tak nie jest. Długo nikt się specjalnie nie przejmował nieobecnością dziecka, ale w końcu matka musiała zgłosić jego zaginięcie. Oznajmiła, że syn poszedł na podwórko, gdzie bawił się z kolegami, i już nie wrócił do domu. Wydawała się bardziej zmartwiona tym, że musiała zgłosić się na policję, niż losem własnego dziecka.

Valentina знаła ten typ mentalności. To on powoduje, że ludzie blokują radiowóz policjantów aresztujących handlarza narkotyków, i on popycha kobietę mafii do wyparcia się syna na wieść, że ten został współpracownikiem wymiaru sprawiedliwości.

– W Neapolu – ciągnął Falcone – koledzy wysunęli hipotezę, że zniknięcie chłopca wiąże się z walkami wewnątrz mafijnych klanów. Tylko że zdarzenie miało miejsce po południu w dzień poprzedzający porwanie Fosca i trzy dni przed zabójstwem Venturiego oraz zniknięciem Andrei. Zbyt wiele zbiegów okoliczności. Być może to Salvatore Esposito był chłopcem, którego zobaczył w furgonetce Fosco Agnelli. Mamy zdjęcia małego. Właśnie ci je wysłałem.

Valentina natychmiast sięgnęła po tablet leżący na nocnej szafce. Na wyświetlaczu pojawiły się fotografie przesłane przez szefa. Przeglądając je, poczuła rozczarowanie, które uświadomiło jej niedorzeczność własnych oczekiwań. Jak mogła się łudzić, że mały Salvatore będzie trzecim sobowtórem? Chłopiec z Neapolu miał długie jasne włosy i pucołowatą twarz. Zupełnie nie przypominał Fosca Agnellego ani Andrei Venturiego. I dlatego hipoteza o kolekcjonerze sobowótów musiała trafić pomiędzy wiele innych równie dziwnych, które nieodzownie pojawiają się na początku śledztwa.

Zniknięcie Salvatorego Esposta przynajmniej po części potwierdzało jednakże opowieść Fosca. Zaraz też zawtórował temu Falcone:

– Powinnaś pokazać Foscowi zdjęcie Salvatorego. Weź pod uwagę, że jeśli twoja teoria okaże się chociaż w połowie słuszna, to będziemy mieli bardzo poważny problem. Nie szukamy zwykłego przestępcy. To porywacz dzieci, który zręcznie przemieszcza się pomiędzy Neapolem a Toskanią i Bóg wie gdzie jeszcze. Działa w różnych regionach i już to jest bardzo niepokojące. Potrafi uprowadzić trzech małych w ciągu zaledwie kilku dni i nie daje się złapać, chociaż jednej z ofiar udaje się wymknąć. A w dodatku to okrutna bestia, która nie cofnie się nawet przed

morderstwem, byle tylko osiągnąć swój cel. Niestety, na razie jego zamysły pozostają dla nas zupełnie nieznane. Jednym słowem, niezły bajzel. – Przerwał na chwilę, a potem podjął szeptem, jakby bał się własnych słów: – Od samego początku miałaś rację, Valentino. Dlatego cieszę się, że jesteś na miejscu. Zajmij się tą sprawą najlepiej, jak potrafisz, i nie wahaj się wykorzystać wszystkich sił, które mamy do dyspozycji. Jeśli się mylimy, trudno. Ale jeśli choć połowa tego, co podejrzewamy, jest prawdą, nie możemy tracić czasu. Seryjny przestępca krąży po kraju bez żadnych problemów. Jest dobrze zorganizowany i pozbawiony skrupułów. A do tego sprytny...

Zamilkł, a po chwili odezwał się swoim zwykłym tonem, w którym pobrzmiwały nuty przyjaźni i rozkazu.

– No tak, *dottoressa* Medici... Wszystko wskazuje na to, że to twoja szansa. Daję ci wolną rękę... ale oczywiście czekam na szczegółowe relacje. Valentino, mam nadzieję, że wyrażam się jasno... Żadnych głupot, dobra? Nie narób kichy.

Nie. Nie robi nic nieprzemyślanego.

Wyskoczyła z łóżka i chciała wziąć szybki prysznic przed powrotem do pracy. W tym momencie ponownie zaskoczył ją dzwonek telefonu.

Nie od razu rozpoznała głos, który odezwał się w słuchawce, lecz treść wiadomości nie pozostawiała wątpliwości.

– Znaleźli go... Już po niego jadą.

Po wejściu do biura Valentina natychmiast się zorientowała, że atmosfera uległa zmianie. Z reguły energia towarzysząca śledczym podczas pierwszych godzin pracy z czasem powoli wygasa, i to niezależnie od zaangażowania w sprawę. Tymczasem tego ranka w komisariacie panował niezwykle ożywiony nastrój.

Inspektor Martini, który wyszedł jej naprzeciw, od razu wyjawiał powód zaistniałej sytuacji. To on dzwonił kilkanaście minut wcześniej.

– Prawdopodobnie go mamy! – powtórzył. – Nasi ludzie właśnie po niego jadą.

– Kim jest podejrzany? I dlaczego mnie wcześniej nie poinformowaliście?

Na twarzy inspektora malowało się zakłopotanie.

– Prawdę mówiąc, to świeża wiadomość... *Dottoressa* Lucchesi postanowiła udać się do mieszkania podejrzanego osobiście, wraz z kilkoma patrolami. Kazała mi panią zawiadomić i powiedziała, że zadzwoni ze szczegółami, jak tylko go zatrzymają. Mężczyzna nazywa się Guido Marchesi...

– Kim, u diabła, jest ten Guido Marchesi? – wybuchnęła zaskoczona Valentina, nie mogąc uwierzyć, że śledztwo nabrało rozpędu, a ona nie została o niczym poinformowana.

– Na razie to tylko podejrzany – rozległ się za jej plecami głos Fabia Costy.

Odwróciła się natychmiast, aby podjąć wyzwanie, lecz wzrok komendanta osadził ją na miejscu. Jego oczy nie były już pogodne ani spokojne, zresztą chyba nigdy naprawdę nie miały takiego wyrazu. Za to zdawały się postrzegać rzeczywistość z godną pozazdroszczenia trzeźwością.

– Co przez to rozumiesz? – zapytała z wyraźnym rozdrażnieniem, przyrzekając sobie w duchu, że musi zebrać o nim więcej informacji. Najlepiej, jeśli zapyta samego Falconego, tak jak radził jej Zucca. Tak, tak właśnie robi.

Costa poprowadził ją do komputera; na ekranie widniało zdjęcie mężczyzny w średnim wieku. Białe włosy otaczały pozbawioną wyrazu twarz.

– Guido Marchesi jest lekarzem, ale kilka lat temu został pozbawiony prawa do wykonywania zawodu. Oskarżony o rozpowszechnianie dziecięcej pornografii oraz skazany za gwałty na nieletnich. Mieszka sam w Piombino, to niedaleko zarówno od Grosseto, jak i od Volterra.

Valentina nie mogła oderwać wzroku od nieznanym twarzy. Mężczyzna miał wydatne usta oraz na pozór bezmyślne, pozbawione inteligencji oczy. Nie wyglądał na

potwora ani na kogoś, kto byłby w stanie zadać bliźniemu pięć ran nożem. Wiedziała jednak, że wygląd bardzo często wprowadza w błąd.

– Jak go znaleźliście? Kto go namierzył? – nie zamierzała odpuścić.

– Chłopcy od Siri połączyli w całość trochę danych. Zwykła żmudna robota, żadnych fajerwerków. Stare raporty, recydywiści mieszkający w okolicy... Wyszło na jaw kilka nazwisk i teraz sprawdzają jednego po drugim, a Guido Marchesi od razu wzbudził nasze zainteresowanie. – Costa wystukał coś na klawiaturze i na ekranie otworzył nowy plik z policyjnej bazy danych zawierający informacje na temat podejrzanego. – Spójrz tutaj: problemy z prawem, odpowiedni zawód i coś jeszcze. Facet ma starą californię. Nie wiemy na razie jakiego koloru, ale to ważny szczegół. No i jest lekarzem, co prawda byłym, ale zawsze. Praktykował jako anestezjolog, a jak wiesz, glutaraldehyd...

– Tak... To znaczy, że ostatecznie Lucchesi wzięła pod uwagę moją hipotezę...

Wszystko to wydało jej się nieco dziwne i ani trochę nie umniejszyło jej gniewu, chociaż właściwie powinna się cieszyć, jeśli ten Marchesi rzeczywiście okaże się człowiekiem, którego szukają.

– Na to wygląda. Ale to jeszcze nie wszystko – powiedział Fabio.

Dalszą rozmowę przerwał im dzwonek telefonu Valentyny. Na wyświetlaczu pojawił się numer Siri Lucchesi i policjantka odebrała, ciągle patrząc komendantowi w oczy.

– Zostałam poinformowana o podejrzeniach względem Marchesiego – zaczęła spokojnym tonem. – Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Nie było czasu. Kiedy się dowiedziałam, postanowiłam działać natychmiast. Przecież musimy się spieszyć, nie? Może Andrea wciąż żyje...

Lucchesi zadawała ciosy poniżej pasa, ale na razie nie miało to znaczenia. To nie był odpowiedni moment na spory o to, kto prowadzi dochodzenie. Zresztą Valentina musiała przyznać jej w duchu rację, bo w końcu to ona udała się na odpoczynek, podczas gdy inni zakasali rękawy. Nie mogła winić koleżanki, że pozwoliła sobie na szczyptę złości.

– Powiedzieli ci także, że Marchesi dobrze znał Gianniego Venturiego, i w związku z tym przypuszczamy, że znał również jego syna Andreę? – ciągnęła tymczasem Lucchesi.

Valentina zmarszczyła brwi.

Teraz miała już pewność, że Costa nie zdążył jej przekazać wszystkich informacji.

– Słucham? – rzuciła niezobowiązująco.

– Ach tak... Jak widzisz, nie wystarczy wykazać się empatią wobec zrozpaczonej matki, aby rozwiązać sprawę. Obawiam się, że mężczyzna o długich białych włosach z opowiadania Marii Sinagry nie ma nic wspólnego z zabójstwem jej męża ani

zniknięciem syna. Natomiast Guido Marchesi był znajomym Gianni Venturiego. Przyjaźnili się na Facebooku, a może i w realnym życiu. Znaleźliśmy rozmowy telefoniczne sprzed kilku miesięcy. A w sieci łączyło ich zainteresowanie literaturą. Marchesi ma ambicje pisarskie i wszystko wskazuje na to, że jest fanem kryminałów Venturiego.

– Facebook? – powtórzyła zaskoczona Valentina.

– Tak, dokładnie wszystko sprawdziliśmy. Gianni Venturi zamieścił kilka zdjęć syna po meczu koszykówki. No wiesz... spoceni i szczęśliwi chłopcy. A ta świnią Marchesi przekazał je dalej w sieci, także wśród swoich mało przyzwoitych kontaktów... Moi ludzie już się tym zajmują. Sprawdzają, czy nie umieścił ich na jakiejś stronie z pornografią przeznaczoną dla pedofilów. Nie wiemy, czy Gianni Venturi wiedział o skłonnościach znajomego, ale musimy się temu przyjrzeć. Wydaje mi się, że nasz podejrzany zasługuje na baczniejszą uwagę. Właśnie do niego jedziemy. Dostałam przez telefon zgodę na przeszukanie mieszkania. Nie masz nic przeciwko, prawda?

Valentina pominęła milczeniem fakt, że Lucchesi miała dość czasu na rozmowę z prokuratorem o zezwoleniu, natomiast do niej nie zdążyła zadzwonić.

Jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu Marchesiego na ekranie komputera. W tym momencie wydawało się, że to najlepszy trop, i nie mogła się nie cieszyć z rozwoju akcji.

Pomimo to czuła się dziwnie zniechęcona. Znaczna część jej hipotezy, poczynając od kwestii niezwyklego podobieństwa chłopców, legła w gruzach. Ale nie to było najważniejsze. Teraz sprawą niecierpiącą zwłoki było jak najszybsze odnalezienie Andrei Venturiego. I jeśli to Guido Marchesi go uprowadził, należało działać bezzwłocznie.

– Zatrzymajcie go jak najszybciej – powiedziała w końcu. – Będę czekać na was w Volterze razem z Fabiem Costą.

W słuchawce zapadła znacząca cisza, tak że Valentina mogła usłyszeć w tle szum krótkofalówki w radiowozie.

– Valentino... Muszę ci chyba coś powiedzieć na temat osoby, z którą teraz współpracujesz... – zaczęła Lucchesi ostrożnie. – W centrali nikt cię nie uprzedził?

Fabio Costa przyglądał jej się uważnie. Nawet jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział, co mówi Lucchesi.

– Nie rozumiem.

– No jasne – westchnęła szefowa grupy operacyjnej z Pizy. – Sprawdź wiadomość na WhatsAppie – powiedziała na koniec i się rozłączyła.

Valentina spojrzała na Costę.

– Wygląda na to, że wreszcie mamy obiecujący ślad... – powiedziała.

Mężczyzna pokiwał głową, ale jego mina mówiła coś wręcz przeciwnego.

Dźwięk obwieszczający nowy komunikat na WhatsAppie zabrzmiał z siłą gongu zapowiadającego kolejną rundę w meczu bokserskim. Valenitna wzdrygnęła się mimowolnie.

– Przepraszam – rzuciła i odeszła na bok, by przeczytać wiadomość od Lucchesi.

Był to artykuł prasowy sprzed dziewięciu lat. Choć zdjęcie nie należało do najwyraźniejszych, można było na nim rozpoznać Fabia Costę. Młodszy niż teraz, w mundurze, z mniej poważnym wyrazem twarzy i uśmiechem, który w żaden sposób nie przystawał do tytułu.

„Policjant oskarżony o gwałt”.

Gwałciciel.

Fabio Costa zgwałcił koleżankę z pracy.

Incipit

Nie wyglądał na człowieka, który byłby w stanie zamordować bliźniego, zadając mu pięć ciosów nożem w klatkę piersiową. Nigdy jednak nie można mieć pewności.

Guido Marchesi zwinął się na krześle niczym namoczona w wodzie szmata. Jasne, wodniste oczy były niemalże niewidoczne pod obrzmiałymi powiekami. Całe jego drżące ciało zdawało się składać z wody.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – powtórzył chyba po raz dziesiąty. – Ja nie mam z tym nic wspólnego!

– Ale z czym? – wrzasnął stojący przed nim policjant. – Ty sukinsynu! Z czym nie masz nic wspólnego, co?

– Z niczym, o co chcecie mnie oskarżyć! Ja nikomu nie robię nic złego. Przecież wiecie. Ja tylko patrzę.

Skulił się jeszcze bardziej i zaczął płakać.

– Rzygać mi się chce, jak tylko na ciebie spojrzę – warknął policjant.

Valentina, Costa i Lucchesi obserwowali całą scenę na kolorowym monitorze. Podejrzanego umieszczono w pokoju wyposażonym w dwie kamery, które przekazywały obraz w dwóch różnych ujęciach. Jego adwokat jeszcze nie dojechał i dlatego żadne ewentualne oświadczenie zatrzymanego nie mogłoby zostać użyte w sądzie. W tym momencie nie miało to jednak większego znaczenia. Chcieli tylko jak najszybciej się dowiedzieć, gdzie jest Andrea i czy jeszcze żyje. W tym celu gotowi byli przyspieszyć procedury, a niektórzy nie zawahaliby się nawet użyć przemocy. Niestety, takie postępowanie wykluczał regulamin śledztwa.

Chwilę wcześniej Angelo Zucca poprosił Valentinę o pozwolenie na przeprowadzenie wstępnego przesłuchania, ale ona zobaczyła w jego oczach niebezpieczny błysk i postanowiła, że lepiej będzie, jeśli jej asystent pozostanie za kulisami. Od kiedy dostali tę sprawę, kilkakrotnie zauważyła, że Zucca stara się stłumić wybuch gniewu.

– Gdy weszliśmy do jego mieszkania, przyłapaliśmy go na gorącym uczynku – powiedziała Siria Lucchesi, nie odrywając wzroku od ekranu. – Nawet nie zdążył wyłączyć komputera. Żebyście widzieli, co oglądał... O mój Boże...

Po powrocie do Volterry szefowa grupy operacyjnej z Pizy zmieniła nieco swoje nastawienie i sprawiała wrażenie mniej pewnej siebie. Tylko jeszcze mocniej zaciskała usta, jakby próbowała ukryć mdłości.

Guido Marchesi został nakryty podczas czegoś, co nazywał „sesjami w sieci”. W rzeczywistości przeglądał blogi i strony, na których wymieniano materiały z pornografią dziecięcą. Zakrawało na cud, że żaden z policjantów, którzy go zatrzymali i mieli okazję zajrzeć do jego komputerowego archiwum, porządnie nie wygarbował mu skóry. Marchesi miał świadomość niebezpieczeństwa i podczas całej operacji chronił pochyloną głowę rękami, powtarzając do znudzenia to samo zdanie:

– Nie mam z tym nic wspólnego, nie mam z tym nic wspólnego.

Od kiedy znalazł się w komisariacie, nie powiedział nic więcej. Nie ukrywał strachu, za którym kryła się jednak wyraźna inteligencja. Wiedział, że powinien poczekać na swojego adwokata, i starał się nie drażnić śledczych swoim zachowaniem.

– Pod jego domem znaleźliśmy furgonetkę – wyjaśniła Lucchesi spokojnym głosem. – Technicy kryminalistyczni właśnie ją sprawdzają. Na pierwszy rzut oka nie ma żadnych ważnych śladów. I pomyliliśmy się co do koloru i marki, bo to co prawda volkswagen, ale nie zielony, lecz szary, no i nie california, tylko następna wersja. Ale jeśli w samochodzie przewożono dziecko, na pewno znajdziemy potwierdzenie.

Valentina przypomniała sobie łóżko opisane przez Fosca, i to, na którym leżał drugi chłopiec, oklejone zdjęciami ściany furgonetki. Usunięcie wszystkich śladów z pewnością nie byłoby łatwe.

– Cały czas powtarza, że nie ma z tym nic wspólnego – odezwał się Costa. – Czy ktoś wyjaśnił mu powód zatrzymania?

Lucchesi spojrzała na komendanta wyzywająco.

– Oczywiście, że nie – rzuciła sucho. – Na jego biurku leżały artykuły na temat zabójstwa Gianniego Venturiego i zaginięcia Andrei. Zobaczcie sami...

Wyjęła smartfona i uruchomiła wideo, które nakręciła w domu Marchesiego. Typowe kawalerskie mieszkanie, nieuporządkowane i pozbawione smaku, chociaż w miarę schludne. Stanowisko komputerowe, którym dysponował pedofil, mogłoby jednak wywołać zazdrość u wielu osób uzależnionych od Internetu. Wielki ekran najnowszej generacji, potężny procesor, najnowszy model słuchawek oraz ergonomiczny fotel. Obraz skoncentrował się na wycinkach z gazet, które zalegały na biurku, na krzesłach i na meblach. Pochodziły z różnych dzienników, a niektóre zostały wydrukowane bezpośrednio z Internetu. Wszystkie dotyczyły zaginięcia Andrei Venturiego. Na zdjęciach widniały twarze chłopca i jego ojca. Valentina i Costa zauważyli, że niektóre kartki były zmięte, inne zaś podarte, jakby Guido Marchesi nie mógł znieść ich zawartości.

– Widzicie? – spytała Lucchesi, wyłączając komórkę. – To mi wygląda na prawdziwą obsesję. A na tym nie koniec. Pierwszą rzeczą, którą zrobił, było przyznanie się do znajomości z Venturim, chociaż od razu dodał, że nigdy nie spotkał jego syna.

A przecież nikt z nas nie nawiązał do tematu, choć trudno było udawać, że nie widzimy tych wszystkich wycinków prasowych. Być może spodziewał się naszej wizyty wcześniej czy później. – Spojrzała na ekran, na którym widniała teraz postać zakutego w kajdanki Guida Marchesiego w pokoju przesłuchań.

Mężczyzna wpatrywał się w podłogę pomiędzy swoimi butami.

– Poza tymi obrzydliwymi zdjęciami na komputerze i wycinkami z gazet jego mieszkanie było czyste, jakby właśnie opuściła je firma sprzątająca... Moi chłopcy widzą w tym kolejny dowód, że nasz ptaszek coś ukrywa. – W końcu popatrzyła Valentinie w oczy. – Choć wszyscy zdajemy sobie sprawę, że to nie wystarczy, prawda? – powiedziała i wróciła do obserwacji podejrzanego.

Tymczasem Costa dał znak Valentinie: *wychodzimy*. Policjantka przyglądała mu się kątem oka. Od czasu, gdy Lucchesi przesłała jej link do artykułu, brakowało jej odwagi, żeby spojrzeć komendantowi w oczy. W pierwszej chwili miała ochotę rzucić mu w twarz oskarżenie, zażądać wyjaśnień. Zaatakować i wywołać w ten sposób jego spontaniczną reakcję. Oprócz tego dziennikarskiego tekstu nie miała jednak żadnych konkretnych informacji. Oczywiście artykuł wyjaśniał zachowanie Lucchesi oraz wiele innych rzeczy, ale Valentina nie miała teraz czasu na badanie tej starej sprawy.

– Zawołaj nas, jak tylko przyjedzie adwokat – zwróciła się do koleżanki. – Masz zamiar sama przesłuchiwać podejrzanego?

Lucchesi pokręciła głową, nie spuszczając wzroku z Marchesiego.

– Prokurator chce to zrobić osobiście – wyjaśniła. – Prawdopodobnie i tak na niewiele się to zda...

Kiedy Valentina i Costa wychodzili z pokoju, Lucchesi nawet się nie odwróciła.

– Co jej się stało? – zapytała Valentina, gdy oddalili się na bezpieczną odległość.

– Przypuszczam, że zobaczyła zdjęcia, których łatwo się nie zapomina – odpowiedział Fabio. – I na razie poza tym, że Marchesi i Gianni Venturi się znali, Siria nie zdobyła nic, co potwierdzałoby jego zamieszanie w morderstwo oraz zniknięcie Andrei. Może liczyła, że od razu odnajdzie chłopca lub zdobędzie jakiś niebudzący wątpliwości dowód i będzie mogła natychmiast zamknąć sprawę. Wielkie oczekiwania często kończą się niebezpiecznym rozczarowaniem, ponieważ traci się przez nie czujność i przestaje być ostrożnym...

– Mamy przecież kilka ważnych elementów – wtrąciła Valentina. – Jeśli to prawda, że Marchesi rozpowszechnił w sieci zdjęcia Andrei i wymienił je z innym pedofilem...

– Właśnie na tym musimy się skupić. Trzeba prześwietlić życie podejrzanego, a jego odpowiednio przemaglować. Potrzebny będzie profil psychologiczny. Na oko nie wygląda mi on na typa zdolnego do bestialskiego zamordowania człowieka i porwania trzech chłopców w ciągu weekendu. Nie możemy tego jednak wykluczyć. Podobnie jak

nie możemy wykluczyć jego udziału w sprawie na innym poziomie. Jeśli zdjęcia Andrei trafiły w ręce porywacza, to może Marchesi go zna? A może nawet z nim współpracuje? Problem w tym, że jeśli Marchesi sam się nie przyzna, to może minąć kilka dni, zanim się czegoś dowiemy. Teraz najbardziej brakuje nam właśnie czasu.

Wyszli na świeże powietrze. Kończył się kolejny dzień śledztwa i Costa miał rację. Czas przeciekał im przez palce, kiedy stawiali hipotezy i robili małe kroki naprzód. Nie udało im się odnaleźć chłopca i każda stracona minuta oddalała nadzieję, że zobaczą go żywego. Wciąż mieli więcej pytań niż odpowiedzi.

Otoczona zimnym wieczornym powietrzem i przytłoczona nieprzyjemnymi myślami Valentina nieoczekiwanie nabrała odwagi, aby zapytać Costę o tamten artykuł sprzed dziewięciu lat. Miała pewność, że właśnie nadszedł odpowiedni czas na szczerą rozmowę i poznanie tajemnicy z przeszłości kolegi. Chciała oczyścić atmosferę z niedomówień i przekonać się, czy naprawdę może mu ufać. Nie uśmiechała jej się praca z gwałcicielem, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, jak istotna jest jego pomoc w śledztwie.

Costa patrzył na nią, jakby w oczekiwaniu na trudne, lecz nieuniknione pytanie, kiedy na placu oświetlonym jedynie żółtym światłem lamp ukazała się sylwetka kobiety. Wynurzyła się z ciemności i szła prosto w ich stronę, nie spuszczać wzroku z miejsca, w którym stali. W oczach Marii Sinagry błyszczał namacalny nie ludzki ból.

– O mój Boże... – zdążyła jedynie szepnąć Valentina.

Matka Andrei musiała się dowiedzieć o aresztowaniu Guida Marchesiego i teraz przyszła do nich jedynie po to, by usłyszeć, jak gaszą jej nadzieję, gdyż ciągle nie mają odpowiedzi, które mogłyby jej ulżyć w cierpieniu.

Fabio Costa bez słowa ruszył w kierunku kobiety. Zszedł po schodach i stanął naprzeciw. Zaczął mówić. Valentina nie słyszała, co jej powiedział, widziała tylko, jak w oczach Marii odbijają się światła lamp w kolorze ochry. Przypomniała sobie, że na wspomnienie syna te same oczy zmieniły się kilka godzin wcześniej w czarne, martwe planety.

Po chwili Maria Sinagra zaczęła płakać. Najpierw po cichu, tłumiąc łzy. Potem zaś coraz głośniej, aż wreszcie zanosła się rozpaczliwym szlochem. Uderzała w pierś Fabia Costy zaciśniętymi ze złości pięściami, coraz szybciej i mocniej. Ciosy były wściekłe, jak wściekła była rozpacz matki.

Mężczyzna stał nieruchomo z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, ze spuszczoną głową. Nic nie zrobił. Nie mógł nic zrobić.

Wstępne przesłuchanie odbyło się następnego dnia w przewidzianej do tego sali na terenie więzienia Don Bosco w Pizie. Sędzia prowadzący postępowanie dowodowe ma co prawda pięć dni na dopełnienie formalności, ale tym razem wziął pod uwagę nalegania śledczych, aby przyspieszyć procedurę. Chłopiec wciąż znajdował się w rękach porywacza i każda chwila zwłoki mogła się okazać fatalna w skutkach. Niestety poprzedniej nocy Marchesi wybrał milczenie i nie odpowiedział ani na pytania policjantów, ani nalegania prokuratora Giorgianniego, który przyjechał specjalnie, żeby go przesłuchać. Adwokat wyjaśnił, że wołą wszystko dokładnie przemyśleć, zanim dostarczą odpowiedzi, i powołał się na prawo do udzielenia wyjaśnień w obecności sędziego prowadzącego postępowanie dowodowe.

Prokurator wyznaczył na swoje miejsce młodego zastępcę, uznał bowiem, że Marchesi ponownie skorzysta z prawa odmowy składania wyjaśnień. Zażądał jednak obecności Valentiny oraz Sirii na wypadek, gdyby podejrzany zdecydował się przekazać informacje, które mogły być użyteczne tylko dla osób dokładnie obeznanych ze sprawą.

Sędzia prowadząca postępowanie dowodowe nazywała się Masi i okazała się praktyczną i konkretną kobietą, która po zajęciu miejsc przez wszystkich obecnych popatrzyła na nich wymownie. Chciała w ten sposób przekazać, że wstępne przesłuchanie z jej udziałem nie może się zamienić w pojedynek między zgromadzonymi, bo ona zamierza tylko ustalić, czy materiał przygotowany przez śledczych jest wystarczająco rzetelny oraz czy istnieją udokumentowane podstawy, aby zastosować względem podejrzanego areszt tymczasowy i zyskać w ten sposób na czasie.

Masi usiadła u szczytu podniszczonego drewnianego stołu znajdującego się na środku pustego pokoju z zakratowanymi oknami, podczas gdy po obu jej stronach zajęli miejsca pozostali uczestnicy spotkania: prokurator i Lucchesi z jednej oraz Marchesi z adwokatem z drugiej. Mecenas, jeden z najlepszych, jakimi dysponowała izba adwokacka w Pizie, miał na sobie nienagannie skrojony, ręcznie szyty garnitur. Valentina zajęła krzesło stojące nieco dalej za plecami Sirii Lucchesi, jakby chciała podkreślić, że jej obecność jest jedynie okazjonalna.

Obrońca byłego anestezjologa od razu jasno i dokładnie wyłuszczył swoje zastrzeżenia.

– Chciałbym przedstawić pisemne oświadczenie mojego klienta, złożone pod przysięgą, i proszę panią sędzię o włączenie go do akt. Wynika z niego bez cienia wątpliwości, że wieczorem szesnastego października bieżącego roku Guido Marchesi przebywał poza Volterrą i poza Toskanią. – Podał sędzi i prokuratorowi po pliku dokumentów w skoroszytach z ognistoczerwonymi okładkami. – Jak możecie się przekonać, mój klient gościł wtedy u przyjaciół w Mediolanie, gdzie zjadł kolację w towarzystwie około dziesięciu osób, z którymi zabawił do późnych godzin wieczornych. Pan Marchesi nocował u swoich znajomych... proszę przeczytać oświadczenia załączone na stronach piątej i szóstej, zakreśliłem odpowiednie fragmenty... Wyjechał z Mediolanu do Piombino po południu siedemnastego października. – Po przekazaniu dokumentacji mecenas rzucił wymowne spojrzenie w stronę Sirii Lucchesi, która oczywiście pozostawiła je bez komentarza.

Valentina i pozostali już wcześniej dowiedzieli się o alibi podejrzanego. Adwokat wyświadczył im wątpliwą uprzejmość i wczesnym rankiem, przed przesłuchaniem, przekazał im stosowną informację. Kiedy Lucchesi przeczytała protokoły, zgodnie z którymi w momencie zamordowania Gianniego Venturiego Marchesi znajdował się ponad trzysta kilometrów od miejsca zdarzenia, zaciśnęła usta i nie powiedziała ani słowa. Valentina poprzestała na przyjęciu faktu do wiadomości. Od początku nie wierzyła, że ten trzęsący się osobnik miałby dość siły i charakteru, aby popełnić morderstwo i uprowadzić dziecko. Nie zamierzała jednak okazywać radości. Nikt nie lubi popełniać błędów, zwłaszcza tak znaczących, a pastwienie się nad kolegami nie leżało w jej naturze.

Sędzia i prokurator przejrzeni pobieżnie protokoły. Świadkowie zdawali się wiarygodni. Poza tym nie należeli do kręgu „specjalnych” znajomych Merchesiego, co więcej, bezmiernie się zdziwili na wieść o dawnych wyrokach i aktualnych oskarżeniach pod adresem mężczyzny.

– Wszystko to potwierdza – zakończył obrońca – że mój klient w żaden sposób nie mógł wdrzeć się do domu Venturich, zabić Gianniego Venturiego ani porwać jego syna. Byłoby lepiej, gdyby policja sprawdziła fakty przed wtargnięciem do mieszkania i zburzeniem spokoju niewinnej osoby. – Posłał w kierunku szefowej grupy operacyjnej kolejne znaczące spojrzenie okraszone przesłodzonym uśmiechem.

W tym momencie Masi zwróciła się do zastępcy prokuratora:

– Jakież uwagi? – zapytała.

Mężczyzna nie zamierzał podważać oświadczeń zapewniających podejrzanemu solidne alibi. Nie miał do tego żadnych podstaw.

– Zastrzegamy sobie prawo do sprawdzenia wiarygodności przedstawionych deklaracji – powiedział, nie przestając wertować skromnego pliku przekazanego przez

obrońcę.

Podczas gdy sędzia zapisywała na laptopie oświadczenia stron, Valentina zauważyła, że Guido Marchesi ją obserwuje. Od chwili zatrzymania mężczyzna wyglądał w ten sam sposób. Nie zmienił nawet ubrania. W jego oczach od czasu do czasu pojawiały się łzy rozpacz, tak jak w chwili, kiedy powtarzał swoje obsceniczne wyznanie: „Ja tylko patrzę”. Teraz jednak, gdy przyglądał się Valentinie, w jego źrenicach błyszczała iskra zaniepokojenia, a może była to zwykła ciekawość? W pewnym momencie nachylił się w stronę adwokata i szepnął mu coś na ucho. Korpulentny mecenas, wysłuchawszy zwierzenia, przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać wzroku od policjantki. Uśmiechnął się, kiedy zdał sobie sprawę, że przygląda się jej zbyt natarczywie. Potem powiedział coś po cichu do swego klienta. Wyglądało na to, że pedofil zaczął się zastanawiać, bo nagle na mgnienie oka wyraz jego twarzy się zmienił. Zniknęła pokorna mina, dolna warga przestała drżeć, oczy stały się suche. Przez ułamek sekundy Marchesi był innym człowiekiem, ale zaraz potem znowu spuścił wzrok.

Sędzia przerwała milczenie, zwracając się bezpośrednio do niego.

– Chce pan coś dodać, panie Marchesi? – zapytała.

Mężczyzna otworzył usta, potem je zamknął i spojrzawszy kobiecie prosto w oczy, powiedział:

– Znałem Giannię Venturiego – zająknął się – nie mogę ani nie chcę zaprzeczać. Obaj interesowaliśmy się koszykówką. Kiedy wrzucił zdjęcia syna na Facebooka... no cóż... pomyślałem, że nie będzie miał nic przeciwko, jeśli ja też je udostępnię...

– Komu i gdzie udostępnił pan zdjęcia? – włączył się zastępca prokuratora.

– Nie wiem... na moich kontach społecznościowych... To całkiem legalny obieg. Przysięgam, że nie miałem złych intencji! Nie mam nic wspólnego z tym, co spotkało tego nieszczęsnego chłopca. Ja bardzo lubię dzieci.

Chyba zdał sobie sprawę z niestosowności oświadczenia, bo nagle mocno się zaczerwienił. Nikt nie skomentował jego wypowiedzi.

Valentina wiedziała, że ani sędzia, ani prokurator nie dadzą się nabrać na podobną grę, ale miała też świadomość, że alibi Marchesiego było solidne, a poszlaki zgromadzone przeciwko niemu są niewystarczające. Jego zatrzymanie okazało się porażającą klęską.

Lucchesi siedziała jak skamieniała, obserwując sądowy rytuał, bo zdawała sobie sprawę, że to już tylko strata czasu. Valentina zgadzała się z koleżanką, lecz rozpraszały ją ukradkowe spojrzenia podejrzanego, rzucone kątem oka w jej stronę, kiedy sądził, że nikt tego nie widzi. Dlaczego tak bardzo się nią interesował? Czyżby pochlebiała mu obecność funkcjonariuszki z centrum operacyjnego? A może

niepokoiło go jej zainteresowanie sprawą? W jego sytuacji byłoby to naturalne wytłumaczenie.

Tymczasem prokurator starał się utrzymać powagę oskarżeń, przypominając podejrzanemu o setkach zdjęć dzieci, które znaleziono na twardym dysku jego komputera. Niektóre z nich przedstawiały sceny i zachowania mrożące krew w żyłach. Ponadto nie omieszkął wspomnieć o poprzednich wyrokach, które ciążyły na podejrzanym.

Reakcja mężczyzny była jednak ciągle taka sama. Nie przestawał powtarzać swojej litanii:

– Ja nikomu nie robię krzywdy. Ja tylko patrzę...

Z kolei obrońca zwrócił się tym razem bezpośrednio do sędzi Masi:

– W tej sytuacji muszę sprzeciwić się dalszemu przesłuchaniu oraz dodatkowym pytaniom ze strony prokuratora. Mój klient został zatrzymany pod zarzutem zabójstwa i uprowadzenia człowieka. Oskarżenie o rozpowszechnianie materiałów z pornografią dziecięcą nie pojawiło się w aktach prokuratury i w związku z tym pozwolę sobie zauważyć, że nie jest przedmiotem tego przesłuchania.

– Jakie są więc żądania obrony? – zapytała Masi.

– Natychmiastowe zwolnienie mojego klienta z ewentualnym zastosowaniem aresztu domowego...

Tym razem sędzia zdecydowanie odrzuciła sprzeciw mecenasa.

– W świetle powagi przedstawionych oskarżeń – powiedziała – potwierdzam konieczność zatrzymania podejrzanego w areszcie śledczym. Umożliwi to również prokuraturze zebranie znaczących informacji, które pomogłyby w jak najszybszym odnalezieniu Andrei Venturiego... lub jego ciała. – Następnie zwróciła się bezpośrednio do prokuratora i szefowej grupy operacyjnej z Pizy: – Jednocześnie chciałabym przypomnieć prokuraturze, że w przypadku braku przekonujących dowodów pan Marchesi zostanie natychmiast zwolniony z aresztu. Dlatego zalecam pośpiech. Nie ma czasu do stracenia. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno?

Prokurator skinął głową na potwierdzenie. Lucchesi nie powiedziała ani słowa.

– Czekam na oficjalne oskarżenie o rozpowszechnianie materiałów z dziecięcą pornografią – zakończyła sędzia i wstała.

Przesłuchanie było skończone.

Marchesi został ponownie zakuty w kajdanki przez funkcjonariusza służby więziennej, ale zanim wyprowadzono go z sali, zdołał jeszcze zamienić kilka zdań ze swoim adwokatem. Stojąc w drzwiach, rzucił ostatnie spojrzenie w stronę Valentyny. Nie było w nim ani cienia rozczulania się nad sobą.

Następnego dnia Giorgianni wezwał do swojego biura Valentinę i Sirię, po czym poinformował je, że Marchesi po powrocie do celi poprosił o możliwość rozmowy z osobą prowadzącą śledztwo. Nie podał powodu. Obrońca, który wniósł podanie, powiedział tylko, że jego klient jest w posiadaniu ważnych informacji mogących zainteresować policję i wymiar sprawiedliwości. Informacje te nie mogły jednak zostać przekazane w trakcie wstępnego przesłuchania.

– Rozpaczliwa próba wydostania się z więzienia – podsumowała Lucchesi. – Pójdę się przekonać, czego chce, a nuż coś powie.

Giorgianni obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– Dlaczego miałyby podejmować rozpaczliwe próby? Przecież ma solidne alibi. Wydaje mi się, że to pierwsze starcie pokazało jego znaczną przewagę. I jeśli ciągle siedzi w celi, to z pewnością nie wasza zasługa. Chyba mogę pozwolić sobie na tę szczerłość?

Twarz Lucchesi pociemniała, a jej zaciśnięte usta wyglądały teraz jak cienka kreska. Giorgianni jest bezlitosny – pomyślała Valentina – ale niestety ma rację. Po przesłuchaniu dla wszystkich stało się jasne, że Marchesi nie zamordował Gianniego Venturiego ani nie porwał jego syna. Należało jedynie sprawdzić, czy w jakiś sposób nie jest jednak zaangażowany w tę sprawę. W końcu mógł być współnikiem. Wydawało jej się to mało prawdopodobne, ale przecież obracał się w specyficznych kręgach i naprawdę mógł mieć dla policji użyteczne informacje.

– A więc, co robimy? – zapytała Lucchesi, która już doszła do siebie i ponownie przyjęła wyzywającą postawę.

– Pani chwilowo nic – uciął Giorgianni. – *Dottoressa* Medici pójdzie na to spotkanie.

– Ja? – zdziwiła się Valentina.

– Marchesi poprosił o rozmowę właśnie z panią – potwierdził prokurator.

Lucchesi odwróciła się do niej z niechęcią.

– Dlaczego chce rozmawiać z tobą?

– Mnie o to pytasz? – odgryzła się Valentina.

– Spokojnie, spokojnie – wtrącił się Giorgianni, przywołując uśmiech stosowny do okoliczności. – Nie ma znaczenia, co sobie ubzdurał nasz podejrzany. Może po prostu chce spotkać się z komisarz Medici, bo wie, że pracuje ona w centrali, i w związku z tym ma nadzieję na kontakt z osobą sprawującą wyższą funkcję. W każdym razie możemy na tym skorzystać...

Obie kobiety spojrzały na prokuratora.

– Niezależnie od wyniku spotkania prokuratura w Pizie pozostanie na neutralnej pozycji. Uda się pani do więzienia, *dottoressa*. W końcu wy z centrali jesteście ekspertami w prowadzeniu przesłuchań. To będzie zwykła rozmowa bez żadnej

wartości dowodowej. Jeśli ten człowiek naprawdę ma jakieś ważne informacje, to wszyscy na tym skorzystamy. Jeśli zaś cała wyprawa okaże się fiaskiem, jak sugeruje nam *dottoressa* Lucchesi, to w najgorszym razie pół dnia pójdzie na marne.

To ja stracę pół dnia – pomyślała Valentina, ale zachowała komentarz dla siebie.

Także Siria Lucchesi tym razem milczała, chociaż dalej obserwowała koleżankę z niechęcią.

Valentina miała to gdzieś. Nie zamierzała tracić czasu na zrozumienie zawołanych strategii prokuratora. Teraz zależało jej tylko na tym, by się dowiedzieć, czy Marchesi ma coś sensownego do powiedzenia. W przeciwnym razie trzeba zamknąć ten niefortunny rozdział i zająć się resztą.

– Więzienie w Pizie nie jest przygotowane na trzymanie przestępców typu Giuda Marchesiego – oznajmił dyrektor, prowadząc ją do sali rozmów.

Mężczyzna był bardzo wysoki i wyglądało na to, że musi się schylać za każdym razem, gdy przekracza próg drzwi. Zwracał się do Valentiny takim tonem, jakby to ona była odpowiedzialna za wszystkie jego kłopoty.

– Wiem, co pani sobie myśli, ale jedna izolatka nie wystarcza.

– Wcale nie myślałam o izolatce.

– Zakład w Don Bosco, jak się pani orientuje – ciągnął dyrektor, nie zwracając uwagi na jej oświadczenie – powstał w celu resocjalizacji osadzonych i szczyli się wysoko rozwiniętą kliniką. Mamy tu wiele osób oczekujących na rozprawę oraz nielicznych skazanych na dożywocie, dlatego obecność podejrzanego o porywanie dzieci jest dla nas niezwykle kłopotliwa. Tego typu przestępcy powinni trafiać do więzień o zaostrożonym rygorze. Może lepiej byłoby przenieść go do zakładu Sollicciano we Florencji? Tam z pewnością mniej ryzykowałby życie niż u nas. – Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na Valentinę. – Co pani o tym sądzi?

– Przykro mi, ale doskonale pan wie, że to nie ja decyduję, gdzie zostanie umieszczony Marchesi.

Dyrektor się skrzywił, a jego mina wyrażała przygnębienie pomieszane z niedowierzaniem.

– No tak, nikt nie chce brać na siebie odpowiedzialności – skomentował, po czym wskazał na opancerzone drzwi, przed którymi właśnie przystanęli. – Podejrzany czeka na panią w środku – powiedział lodowatym tonem i odszedł, nie okazując jej więcej zainteresowania.

Valentina wciągnęła głęboko powietrze. Nie znalazła jeszcze odpowiedzi na pytanie, jak powinna się zachować, jaką strategię przyjąć w czasie rozmowy. Wielokrotnie miała okazję przesłuchiwać takie osoby jak Marchesi i z reguły wiedziała, jak z nimi postępować. Kiedy chodziło o przestępców popełniających zbrodnie na tle seksualnym, najtrudniej było słuchać w spokoju ich zeznań, gdy w końcu decydowali się mówić.

Teraz jednak miała przecucie, że z Marchesim będzie inaczej. W jego prośbie o rozmowę wyczuła coś nietypowego. Coś, co od początku ją niepokoiło. Dlaczego chciał rozmawiać właśnie z nią?

Jeszcze raz odetchnęła głęboko. Niezależnie od tego, co się wydarzy, musi jak najlepiej wypełnić swój obowiązek.

Otworzyła drzwi dzielące ją od Guida Marchesiego.

Mężczyzna siedział przy jedynym stole umieszczonym w pokoju. Zakute w kajdanki dłonie położył na plastikowym blacie. Nadzorował go strażnik więzienny stojący za jego plecami. Kiedy Valentina weszła do pomieszczenia, Marchesi podniósł głowę. Tym razem miał na sobie sportowy dres, tylko wyraz oczu był taki jak poprzednio: wodnisty i z pozoru rozpaczliwy.

Valentina bez słowa usiadła naprzeciw. Z segregatora, który miała przy sobie, wyjęła kartkę do protokołowania oraz wieczne pióro i położyła je na stole. Potem wbiła wzrok w podejrzanego.

Marchesi uśmiechnął się nieśmiało. Nie odwracając się, uniósł dłonie i zamachał nimi przed stojącym za jego plecami strażnikiem, który spojrzał pytająco na Valentine. Kobieta skinęła przyzwalająco głową.

Uwolniony z kajdanek Guido Marchesi położył ręce na stole. Miał długie, wrzecionowate palce i bardzo zadbane dłonie. Valentina wyobraziła je sobie na ciele jakiegoś dziecka i poczuła przebiegający po plecach dreszcz. Nawet jeśli Marchesi nie był mordercą, którego szukali, to i tak należał do tego samego przestępczego świata. Podła bestia, którą należało odizolować. Przed którą trzeba się bronić.

– Chciał pan porozmawiać – odezwała się, nie okazując żadnych emocji. – Teraz ma pan możliwość.

Mężczyzna poruszył się na krześle.

– Dziękuję. I chciałbym podziękować również prokuratorowi za tę możliwość...

– Marchesi, ja nie mam zbyt wiele czasu do dyspozycji. To pan prosił o spotkanie. Powinien pan je dobrze wykorzystać.

Okazał niezadowolenie, że mu przerwano. Zaczął pocierać nerwowo dłonie. Pokręcił głową.

– Przechodzimy od razu do sedna? – zapytał pokornym, pełnym wahania tonem, który odpowiadał przyjętej postawie. Valentina wyczuła jednak w jego słowach jakiś obcy element, jakby odbłask ukrytej myśli, który nakazał jej zdwojoną ostrożność.

– Nie ma innej możliwości – potwierdziła. – Jeśli ma pan jakieś ważne i wiarygodne informacje do przekazania, ja jestem tutaj właśnie po to, by pana wysłuchać. Nie zostaną one użyte przeciwko panu, ponieważ nie ma z nami pańskiego adwokata, a to nie jest przesłuchanie. Niemniej jeśli potwierdzą pana udział w przestępstwie, niezwłocznie przekażę je prokuratorowi, który zdecyduje o dalszym postępowaniu.

– Czy to jest zwyczajowa formułka, którą wygłaszacie, zanim przystąpicie do rzeczy? – Pokiwał głową, jakby zgadzał się na wymogi procedury. – Nie zapyta mnie

pani, dlaczego chcę wam pomóc?

– Dlaczego chce nam pan pomóc?

– Bo uważam, że właśnie tak należy postąpić.

– W jaki sposób chce pan pomóc? Ciągle nie usłyszałam, czego dotyczą informacje, które chce mi pan przekazać.

Valentina uważała, by nie wspomnieć przypadkiem o zaginięciu Andrei ani zabójstwie Gianniiego Venturiego. Znała trochę mentalność typów podobnych do Guida Marchesiego. Kiedy nabierze pewności, że nie zostanie oskarżony o jedno z poważnych przestępstw, i przekona się, że w najgorszym razie skażą go za posiadanie materiałów z dziecięcą pornografią, jego celem będzie otrzymanie statusu „współpracownika”, a co za tym idzie – zredukowanie kary. Nie mogła też wykluczyć, że kieruje nim chęć poznania szczegółów sprawy, które dostarczyłyby pożywki dla jego chorej wyobraźni. Zanim Valentina wybrała się do więzienia, omówiła te kwestie z Costą.

– Niezależnie od rzeczywistego udziału w przestępstwie – powiedział komendant – już sam fakt, że w mieszkaniu trzymał wszystkie te artykuły na temat wydarzeń w Volterze, świadczy o obsesji Marchesiego na punkcie tej sprawy. W końcu zdjęcia Andrei, które upublicznił w sieci, już od jakiegoś czasu stanowiły część jego kolekcji. Musiał znać chłopca przez ojca. Pomyśl tylko, co musiał czuć, kiedy się dowiedział, że dziecko mogło wpaść w łapy takiego samego potwora jak on sam. Może nawet podziw względem „kolegi”, który miał odwagę „działać”, a nie tylko „oglądać”. Całkiem prawdopodobne, że ma dla nas jakieś informacje. Nie można jednak wykluczyć, że bawi się z nami w kotka i myszkę, że chce poznać szczegóły śledztwa tylko po to, by zaspokoić własny apetyt. Niestety, my nie możemy sobie pozwolić na luksus, żeby go zignorować. Osobiście uważam, że Marchesi skrywa tajemnice, których istnienia na pierwszy rzut oka nawet nie podejrzewamy. Nie daj się wciągnąć w pułapkę i zostaw go, jak tylko zdołasz coś z niego wyciągnąć.

Rady były po części oczywiste. Przyjęła je chętnie, chociaż w swojej karierze miała już styczność z pedofilami i wiedziała, jak ich traktować. A przynajmniej miała nadzieję, że wie. Tak, Marchesi nie może być wyjątkiem. Mimo to nie mogła się pozbyć przeczucia, że mężczyzna ma w ich sprawie wiedzę, o którą go nie posądzają.

– A więc słucham – ponagliła go – nie mogę tu siedzieć przez cały dzień.

– Ma pani rację, przepraszam – powiedział Marchesi fałszywym tonem. – Uważam jednak, że mam prawo się dowiedzieć, czy za przekazane informacje mogę spodziewać się rekompensaty...

– Zgodnie z prawem dla tych, którzy godzą się na współpracę z wymiarem sprawiedliwości, przewiduje się złagodzenie kary. Oczywiście w granicach

określonych w kodeksie. Ale chyba jest zbyt wcześnie, by o tym mówić, skoro póki co nie usłyszałam od pana ani jednego sensownego słowa.

– Chciałbym dostać jakieś gwarancje. Taka wymiana „coś za coś”, to wymaga równowagi.

– Nie ma mowy o żadnych gwarancjach. To nie miejsce na negocjacje. Nie jesteśmy na targu. Powie mi pan, co pan wie w tej sprawie lub czego się pan domyśla, a ja zdecyduję, czy te informacje mogą nam się przydać. Koniec. Kropka.

Marchesi zaczął narzekać.

– To jednak niesprawiedliwe... – Jego głos brzmiał tak nieszczerze, że niemal cynicznie.

Valentina popatrzyła na niego z odrazą, po czym wstała z krzesła i sięgnęła po kartkę oraz pióro.

– Co pani robi? – zapytał przestraszony Marchesi.

Czyżby ten bydlak od samego początku blefował? Naprawdę myślał, że przejmie pałeczkę? Nie, to niemożliwe. Znaleźli się w martwym punkcie, a ona nie zamierzała się zgadzać, by nadal przeciągał strunę. Odezwała się, z trudem hamując wstręt.

– Wychodzę, Marchesi. Naprawdę myślisz, że będę traciła czas na puste gadki z takim zerem jak ty? Sądzisz, że pozwolę ci się bawić kosztem krzywdy dziecka? Jesteś jeszcze głupszy, niż myślałam. Jeśli masz coś do powiedzenia, to mów! Natychmiast! A jak nie, to wracaj do celi!

Odwróciła się z przesadną stanowczością, nie dając mu nawet czasu na odpowiedź. Jego głos dobiegł do niej i był zimny jak lód.

– On nie jest taki jak ja.

Zatrzymało ją właśnie brzmienie tego głosu, a nie znaczenie wypowiedzianych słów. Przez moment miała wrażenie, że powiedział to ktoś zupełnie inny. Ponownie dało o sobie znać dziwne wrażenie, które pojawiło się już na początku rozmowy. Ukryta myśl odsłaniająca jego prawdziwą naturę. Jakby do tej pory grał wyznaczoną rolę. Przypomniała sobie spojrzenie, które rzucił jej w czasie wstępnego przesłuchania.

– Co ma pan na myśli? – zapytała.

– On nie jest taki jak ja. Mam na myśli tego, którego szukacie. Można powiedzieć, że... nie pociąga go niewinność.

Mężczyzna, którego teraz miała przed sobą, był zupełnie kimś innym. Nagle wydał jej się niemal rozpromieniony. Bystre spojrzenie i wysunięty do przodu podbródek wskazywały, że jest gotowy na przyjęcie wyzwania. Valentina nigdy wcześniej nie spotkała osoby, która zmieniałaby maski tak często i skutecznie jak Guido Marchesi.

Teraz miała pewność, że wreszcie poznała jego prawdziwą twarz, tę samą, którą poprzedniego dnia ukazał jej na chwilę przez okno swoich oczu.

Ponownie nakazała sobie ostrożność. Nie da się złapać na haczyk.

– Kogo ma pan na myśli? – zapytała jak najbardziej opanowanym głosem.

– Też coś! Żartujesz sobie ze mnie? – Marchesi rozejrzał się dookoła ostentacyjnie, jakby chciał zmierzyć dzielący ich dystans. – Wie pani, dlaczego poprosiłem o rozmowę właśnie z panią, a nie policjantką, która mnie przesłuchiwała? Z tą kurwą, co...

Valentina ponownie wykonała ruch wskazujący, że zamierza opuścić pomieszczenie.

– Poczekaj!

Marchesi potrząsnął głową i zrobił poważną minę. Wyciągnął rękę na stole, jakby proponował jej nawiązanie kontaktu. Valentina na samą myśl o jego dotyku poczuła obrzydzenie.

– No dobra, przepraszam. Przesadziłem. Przysięgam, że więcej nie nazwę pani koleżanki kurwą, chociaż potraktowała mnie jak gówno, a nie wydaje mi się, żeby miała ku temu powody... – Wlepił w nią oślisłe spojrzenie. – Mówię poważnie. Cieszę się, że mogę rozmawiać właśnie z panią. Jak tylko panią wczoraj zobaczyłem, wiedziałem, że mogę pani zaufać.

Valentina nie zdecydowała się usiąść. Nie wierzyła mu ani za grosz. To na pewno nie był jedyny powód, dla którego chciał rozmawiać właśnie z nią. Zdecydowała jednak, że na razie będzie robić dobrą minę do złej gry.

– Mówiłam ci, że nie mam czasu do stracenia.

Marchesi wykrzywił twarz w uśmiechu i nie był to przyjemny widok.

– Nie sądzę, żeby to pani kontrolowała teraz czas. Chociaż z pewnością nie zaszkodziłoby mieć go więcej, przynajmniej z perspektywy biednego Andrei, mam rację?

Valentina jeszcze przez moment stała w bezruchu. Precyzyjny cios poniżej pasa – pomyślała, po czym usiadła na swoim miejscu. Utkwiła wzrok w dłoni, którą Marchesi oparł na stole, i nie spuszczała z niej oka aż do chwili, gdy mężczyzna wreszcie ją odsunął.

– Pamiętaj o jednym – powiedziała. – Jeśli dasz mi nieprawdziwe informacje, jeśli skierujesz mnie na fałszywy trop, jeśli przez ciebie stracę cenny czas... obiecuję ci, że gorzko tego pożałujesz. Wiesz, że mogę ci zaszkodzić. Biorąc pod uwagę sytuację, w której się znajdujesz, mogę się założyć, że doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Wybiorę najskuteczniejszy sposób. Ten, który sprawi, że będziesz naprawdę cierpieć. A teraz mów, co wiesz, i kończymy tę komedię.

Marchesi przytaknął. Lekko zbladł, ale jego oczy nadal błyszczały wyzywająco. W końcu podjął decyzję.

– Dobrze. Powiem pani wszystko, co wiem. Bez żadnych sztuczek. Powtarzam, że ja nie krzywdzę dzieci. Ja tylko oglądam... I dla ścisłości od razu zaznaczam, że nie mamy nic wspólnego z ostatnimi zdarzeniami... ani ja, ani moi przyjaciele.

– Twoi przyjaciele...

Nagle Marchesi się zaczerwienił.

– Tak, dobrze pani zrozumiała, kogo mam na myśli. Chodzi o osoby, które mają specyficzne pragnienia, ale podobnie jak ja są niewinne. W przeciwieństwie do tego, którego szukacie...

Niewiniątka.

– To prawda, że udostępniłem w sieci zdjęcia chłopca... ale uczyniłem to z zupełnie niewinnych pobudek. Nie chciałem spowodować cierpienia tego dziecka. Chciałem tylko podzielić się pięknem. Sądzę jednak, że któryś z moich kontaktów przesadził. Być może fotografie uruchomiły inny poziom zainteresowania. Poziom... ukryty, bardziej wymagający, rozumie pani?

– Nie – zaprzeczyła zdecydowanie Valentina.

W jego oczach pojawiła się złośliwa iskra.

– Zdaje sobie pani sprawę z własnej nieprzeciętnej urody, prawda?

Valentina zeszywniała.

– Nie, nie, proszę mnie źle nie zrozumieć. Chcę tylko pani wytłumaczyć, że wyjątkowy towar ma popyt na rynku. Pani uroda przywodzi mi na myśl obrazy. Pani włosy, pani twarz. Mogłaby pani pozować do portretu któremuś z prerafaelitów... Mógłbym sporo zarobić, sprzedając pani zdjęcie, zdaje sobie pani z tego sprawę? W pewnych kręgach z pewnością znalazłoby ono odbiorców...

Bez pardonowa aluzja sprawiła, że Valentina poczuła obrzydzenie.

– Moja cierpliwość się wyczerpała – rzuciła przez zaciśnięte zęby, ale jednocześnie coś w niej pękło. Poczowała głęboką, niewytłumaczalną odrazę.

Tymczasem mężczyzna, zamiast się wycofać, wpadł w złość. Zaczął mówić znacznie szybciej.

– Co pani sobie wyobraża? To nie ja ustanawiam reguły. Mogę nawet przypłacić życiem naszą rozmowę. Myśli pani, że zdecydowałem się na współpracę z lekkim sercem...

– Wszystko jasne. Robisz to, bo wierzysz w zwycięstwo prawdy.

– Proszę posłuchać, nie mam zamiaru ukrywać przed panią swoich powodów. Nie mam pojęcia, gdzie przepadł Andrea Venturi, i w innych okolicznościach wcale by mnie to nie obeszło. Teraz jednak naprawdę mam nadzieję, że chłopiec żyje. Bo

w przeciwnym razie nie dacie mi spokoju... Chociaż powinniście zacząć szukać zupełnie gdzie indziej.

Valentina odetchnęła głęboko.

– Gdzie?

– W miejscach, o których nie macie pojęcia.

– Co to za miejsca?

Marchesi rozejrzał się po pokoju w teatralny sposób, jakby poza nimi i strażnikiem spodziewał się znaleźć jeszcze jakąś publiczność.

– Miejsca odwiedzane przez stworzenia mające niewiele ludzkich cech. Wiecznie głodni łowcy. Nie tacy jak ja, już pani mówiłem. Poruszają się pod powierzchnią i kiedy znajdą to, czego szukają... po prostu to biorą. Czasami miałem okazję ich spotkać. To się zdarza, kiedy obracasz się w pewnych kręgach. Nie żebym się ich bał, staram się jednak zachować ostrożność. To były krótkie spotkania, szybka zamiana kilku słów... – Pokręcił głową, jakby czynił sobie wyrzuty. – Może zbyt wielu, przyznaję. Oni mają materiały, które lubię oglądać... ale nic więcej. Ja tylko patrzę. Niestety w zamian ci osobnicy... zawsze czegoś żądają. Nie ma zmiłuj się. I zdjęcia Andrei mogły wpaść w ich ręce.

– To ty im je dałeś!

– Nieświadomie. A może świadomie. Już nie pamiętam. – Wzruszył ramionami, demonstrując obojętność. – Zresztą jakie to ma teraz znaczenie? Naprawdę liczy się tylko to, że mogę wam pomóc. Razem możemy ustalić, kto zainteresował się tymi zdjęciami, oraz zrozumieć dlaczego. Sądzę, że najważniejsza jest motywacja, nie uważa pani? – Pokiwał głową na potwierdzenie swojej obserwacji. – Mogę spróbować ponownie nawiązać z nimi kontakt, ale oczywiście najpierw musimy wrócić do poprzedniego wątku. Muszę wiedzieć, co dostanę w zamian. – Nachylił się do niej i otworzył szeroko oczy. – Mam tylko jedno pytanie, *dottoressa* Medici... Co dasz mi w zamian za to, że dostaniesz możliwość ocalenia tego dziecka?

I właśnie w tym momencie Valentina po raz pierwszy zobaczyła jego prawdziwe oblicze. Wreszcie zrozumiała, z jakiej gliny ulepiony jest Guido Marchesi. Zorientowała się, że to człowiek zepsuty do szpiku kości. Wyobraziła sobie, jak pluska się beztrudno w brudnych wodach razem z podobnymi sobie indywiduami. A potem zobaczyła, jak ociera się o wielkie, groźne bestie i wycofuje się – zachwycony i przestraszony jednocześnie – z zasięgu zła wypełniającego te potworne stworzenia. Pomimo bowiem pozornej arogancji Marchesi się bał. Wyczuła, że z jednej strony przepełnia go nadzieja, iż pewnego dnia stanie się taki jak oni, a z drugiej pewność, że to nigdy nie nastąpi. Guido Marchesi był całkowicie pozbawiony zdolności współczucia, ale brakowało mu odwagi. Był dokładnie taki, jak sam siebie opisywał:

on tylko patrzył. Obserwował zniszczenie, którego autorami były prawdziwe szuje, i grzał się w jego blasku.

A teraz próbował obrócić na własną korzyść swoją znajomość mrocznego świata.

Budził w niej obrzydzenie. Musi jednak zdecydować, czy on naprawdę może się im przydać. Musi znaleźć sposób, aby wykorzystać Marchesiego najskuteczniej, jak się da.

– Mogę pomóc wam go złapać – powtórzył mężczyzna. – Mogę zabrać was na dno. Tam, gdzie kryją się tacy jak on.

Padał zimny, uporczywy deszcz, kiedy Maria Sinagra wyszła z budynku prokuratury w towarzystwie szczupłego, eleganckiego mężczyzny i nie dbając o to, że przemoknie, zatrzymała się na szczycie schodów. Natychmiast otoczyła ją grupa dziennikarzy i fotografów, którzy oślepiли kobietę błyskiem fleszy z kamer i komórek, by na zawsze umieścić jej wizerunek w przejmujących kronikach relacjonujących codzienne wydarzenia.

Szmer uciszał się powoli, po tym, jak towarzyszący jej mężczyzna, będący znanym adwokatem, gestem nakazał wszystkim milczenie i oddał jej głos.

Maria bardzo się postarzała w ciągu ostatnich dni. Jej oczy zmieniły się w twarde, martwe kamienie, a skóra stała się przezroczyta. Usta miała wykrzywione w nieprzerwanym, niemym krzyku rozpacz, a ton przywodził na myśl ducha, który krok po kroku schodzi do grobu.

Mimo to cały kraj usłyszał jasno i wyraźnie jej słowa:

– Mój mąż nie żyje, a mój syn do tej pory nie wrócił do domu. Policja zapewniała mnie, że znalazła mężczyznę odpowiedzialnego za zbrodnię, ale okazało się, że to nieprawda. Stracili tylko mnóstwo czasu na ten fałszywy ślad... a czas mija nieubłaganie... – Przerwała na chwilę. – A więc człowiek, który zrujnował mi życie, ciągle przebywa na wolności. I teraz zwracam się właśnie do niego. Do nieznanego, który rozporządza losem mojego syna. I moim. Dlatego błagam go... Błagam cię. Proszę, nie rób dziecku krzywdy. Nie proszę, żebyś zwrócił mi syna, bo wiem, że nigdy tego nie zrobisz... Błagam cię tylko, żebyś o niego dbał i opiekował się nim tak jak ja. Andrea potrzebuje specjalnej opieki i leków. Nie proszę o nic dla siebie, mój ból nie ma znaczenia. Ja się teraz nie liczę. Zajmij się tylko moim dzieckiem, jeśli możesz... spróbuj obdarzyć go uczuciem... i powiedz mu, że mama i tata zawsze bardzo go kochali... – Przysiadła na mokrym stopniu schodów, a tłum dziennikarzy otoczył ją szczelnie. Zniknęła z ekranów w domach milionów widzów oglądających telewizję, ta scena będzie się jeszcze jednak pojawiać wielokrotnie w różnych programach informacyjnych.

– O mój Boże... – szepnął ktoś stojący obok Valentyny. – Ona praktycznie powierzyła swoje dziecko mordercy.

Policjantka nie zgadzała się z tym stwierdzeniem. Jakkolwiek przerażająco to zabrzmiało, Maria Sinagra wybrała ostatnią szansę, która jej pozostała: było to skrajne poświęcenie zrozpaczonej do granic możliwości matki. Zrezygnowała

z perspektywy odzyskania syna w zamian za żalostną nadzieję na to, że złoczyńca się nim zaopiekuje. Podjęła próbę ocalenia dziecka, rzucając na szalę własne, wieczne potępienie oraz ból, którego nie sposób znieść.

W swoim rozpaczliwym oświadczeniu kobieta miała też rację co do tego, że policja straciła dużo czasu.

Łączyło się to po części z wiadomością, że Guido Marchesi posiada solidne alibi w związku ze sprawą zabójstwa Gianniiego Venturiego i porwania Andrei. Informacja ta wyciekła do mediów za pośrednictwem adwokata podejrzanego, który miał nadzieję, że w ten sposób uda się wywrzeć nacisk na prokuraturę i spowodować szybkie wypuszczenie mężczyzny z aresztu. Tak naprawdę nikogo specjalnie nie obszedł los pedofila, ale wiadomość dotarła także do Marii Sinagry, która zarzuciła śledczym opieszałość w działaniach na rzecz odnalezienia syna.

I miała rację. Valentina czuła na barkach ciężar odpowiedzialności. Śledztwo trwało, wszyscy starali się, jak mogli, noce były coraz krótsze, a dni zdawały się nie mieć końca. Po Andrei Venturim jednak wszelki ślad zaginał, a jego porywacz ciągle przebywał na wolności i być może już szukał kolejnej ofiary. Nikt nie miał wątpliwości: trzech uprowadzeni w bardzo krótkich odstępach czasu chłopcy, wyraźne okrucieństwo i działania z użyciem mrożącej krew w żyłach przemocy – wszystko wskazywało na seryjnego przestępcę, kogoś, kto dopiero rozpoczął swój nieczny proceder i nieprędko go zaniecha.

Program informacyjny się skończył, wyciszono telewizor i na posterunek wrócił zwykły szum towarzyszący pracy śledczych. Powróciły znane dźwięki: stukanie w klawiatury, dzwonki telefonów, pomruk stłumionych rozmów funkcjonariuszy wymieniających opinie i informacje. Poza tym można było jednak wyczuć wyjątkową wibrację, która napędza całą maszynę prowadzonego śledztwa. Swego rodzaju energią szeleszczącą na granicy dźwięku, którą mogli usłyszeć jedynie ci bezpośrednio zaangażowani w trwające polowanie na mordercę.

Valentina rozejrzała się dookoła. Costa stał obok jednego z informatyków, który przyjechał z Rzymu i teraz pracował przy dwóch monitorach oraz komputerze połączonym bezpośrednio z serwerem rzymskiego wydziału analiz przestępstw przeciwko życiu. Dała mu znak, by się zbliżył.

Kiedy komendant ruszył w jej stronę, Valentina pomyślała, że jego spojrzenie bardzo często zachęca ją do mówienia. Nie wiedziała jednak, czy mężczyzna domyśla się, że ona zna jego niechlubną przeszłość, i prowokuje ją do rozmowy, czy też po prostu czeka na jej decyzję dotyczącą dalszego przebiegu śledztwa.

– Masz wieści z prokuratury? – zapytał.

Valentina pokręciła głową.

Oferta współpracy ze strony Marchesiego była bardzo niejednoznaczna i tajemnicza, dlatego już od dwóch dni rozważano jej przyjęcie. W przypadku takiej sprawy to zdecydowanie zbyt długo. Niestety prokurator nie wierzył, że pedofil posiada jakieś użyteczne informacje. *Gdyby je miał – oświadczył z namaszczeniem Giorgianni – wyjawiłby je od razu w momencie aresztowania, aby uniknąć więzienia.* Właśnie dlatego zwlekano z wydaniem zgody na kolejną rozmowę z podejrzanym.

Costa skrzywił się ze złością. Po raz pierwszy zdarzyło mu się okazać wyraźne zdenerwowanie.

– Tracimy czas – powiedział. – Może powinnaś spróbować przekonać prokuratora.

Valentina miała w tej sprawie nieco odmienne zdanie.

– Z Giorgiannim to nie takie proste. A poza tym sama nie wiem, czy Marchesi może się nam na coś przydać. On lubi manipulować ludźmi. Miałam okazję z nim rozmawiać i nie nabrałam do niego zaufania.

– Może masz rację – zgodził się Costa. – A może Marchesi nie jest nawet świadomy posiadanych informacji albo ich wagi. Jeśli jednak udostępnił w sieci zdjęcia Andrei nieodpowiednim osobom, to musimy dokładnie sprawdzić ten ślad. Prawdopodobnie ma rację co do jednego: porywacz chłopca nie jest zwykłym pedofilem. Jak Marchesi ci to powiedział? Że tego zwyrodnialca nie pociąga niewinność, tak? Myślę, że chciał dać nam przez to do zrozumienia, że ten, którego szukamy, nie czuje pociągu do dzieci. Nie działa z pobudek seksualnych. Jego cel jest zupełnie inny. Może jeszcze bardziej przerażający.

To prawda – pomyślała Valentina. Marchesi powiedział wyraźnie, że ten, kto uprowadził Andreę, nie jest taki jak on. Nie kierują nim potrzeby erotyczne. Ale co Fabio Costa ma na myśli? Co może być gorszego od gwałtu na dziecku?

Po raz kolejny zadała sobie pytanie, dlaczego tak ważne jest dla niej zdanie komendanta. Co takiego widzi w koledze, że darzy go niemal bezwarunkowym zaufaniem, bo przecież nie chodzi jedynie o krótką wzmiankę Angela na temat jego wyjątkowych kompetencji zawodowych.

Tymczasem Costa wrócił do części zajmowanej przez analityków i Valentina zauważyła, że rozmawia z kolegą pracującym przy komputerze. Tego dnia Costa się ogolił i bez ciemnego zarostu, który wyostrzał jego profil, zdawał się dużo młodszy nie tylko fizycznie, ale i duchem. Sprawiał wrażenie niezdolnego do przemocy. Niewinnego.

Zdecydowała, że nadszedł odpowiedni moment, by pozbyć się wątpliwości związanej z jego osobą. Artykuł z gazety, który otrzymała od Lucchesi, przestał jej wystarczać.

Sięgnęła po komórkę i wybrała numer, pod który od dawna nie dzwoniła.

– Kawy? – zapytał Costa mężczyznę siedzącego przed dwoma ustawionymi obok siebie monitorami, na których poruszały się kolorowe, sinusoidalne wykresy. Był to cyfrowy spektakl łączący nazwiska, numery telefonów, przeprowadzone kontrole, miejsca.

Loris Manna z wyraźną radością podniósł wzrok znad klawiatury.

– Bardzo chętnie. Dzisiaj mam niezły mętlik w głowie.

Costa uśmiechnął się i podał mu kartonowy kubek z gorącym płynem.

– Bez cukru, tak jak lubisz – zaznaczył, a Loris się zdziwił, że komendant pamięta jego preferencje.

Wypił kawę i świat wydał mu się bardziej miłosierny.

Inspektor Loris Manna był technikiem analitykiem, którego centrala operacyjna wysłała do Volterra. Taką miał pracę – jeździł po kraju, tam gdzie go akurat skierowano, i oferował kolegom swoje kompetencje oraz umiejętności polegające na drobiazgowej analizie wszystkich dostępnych danych, rozsypując nawet najbardziej poplątane kłębki w śledztwie. Cechował go łagodny charakter i nikt nigdy nie słyszał, żeby podniósł głos. Za to z niezwykłą stanowczością potrafił bronić swojego zdania i ostatecznie zawsze się okazywało, że ma rację.

Skromny w sposobie bycia, miał wysokie mniemanie o własnych umiejętnościach, o czym świadczył chociażby fakt, że stworzony przez siebie system nazwał „Bogiem”. Już samo to wiele o nim mówiło.

– Masz coś nowego? – zapytał Costa.

– Coś już znalazłem – odpowiedział Manna – chociaż na razie na niewiele nam się to przyda. Jak pan wie, staramy się zrozumieć, na jakiej podstawie nasz poszukiwany wybierał dzieci, i przede wszystkim, jak udało mu się znaleźć dwóch tak podobnych chłopców. – Rzucił spojrzenie w stronę Valentiny, która znajdowała się po drugiej stronie sali. – Biorąc pod uwagę, że *dottoressa* Medici nalegała na... – Popatrzył znacząco na Costę, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że osobiście nie ma nic wspólnego ze strategiami śledczymi przełożonej. – Znalezienie zdjęć dzieci w sieci nie nastęrcza żadnych trudności. Problem pojawia się dopiero wtedy, gdy chcesz uzyskać więcej konkretnych informacji typu: imię, nazwisko, adres. Chyba że dysponujesz znaczną wiedzą informatyczną i odpowiednimi programami. W ten sposób udało się nam zebrać wszelkie materiały graficzne na temat Fosca Agnellego i Andrei Venturiego. O tym ostatnim wiemy już sporo, bo ojciec udostępnił jego zdjęcia po

meczu Marchesiemu i wkrótce potem obieżyły one Internet, na dodatek z imieniem i nazwiskiem chłopca. To była bułka z masłem.

– A co mamy na temat Fosca? – chciał wiedzieć Costa, który miał silne przeczucie, że właśnie to pierwsze porwanie skrywało ważną wskazówkę.

– Kilka zdjęć z procesji odpustowej z ubiegłego roku w jego rodzinnym miasteczku Sorano – wyjaśnił Manna. – Na paru fotografiach Fosco widnieje na pierwszym planie.

– To znaczy, że dla kogoś, kto wie, czego i jak szukać, znalezienie informacji o chłopcach jest całkiem możliwe.

– Właśnie tak. Zastanawia mnie tylko to, w jaki sposób udało mu się wytypować dwóch tak podobnych do siebie chłopców. Prawdopodobnie użył któregoś z programów do rozpoznawania twarzy, ale musiał rozpocząć poszukiwania od jednego z chłopców lub skorzystać z trzeciej opcji... Mam na myśli jakąś oryginalną matrycę, na przykład wizerunek chłopca, którego znał wcześniej, takiego trzeciego sobowtóra. To bardzo przekonująca hipoteza. I jeśli się sprawdzi, to będziemy mieli jedną szansę więcej na identyfikację. Pracujemy nad tym. – Manna miał też nawyk używania liczby mnogiej w swoich wypowiedziach, chociaż pracował w pojedynkę.

– Chyba ciągle mamy za mało danych – zasugerował Costa.

– Tak, z punktu widzenia kryminologii *modus operandi* został rozpracowany jedynie częściowo. Poza podobieństwem fizycznym łączącym obu chłopców z Toskanii nic więcej nie mamy. Natomiast sprawa zaginięcia chłopca z Neapolu nie ma nic wspólnego z naszą, chociaż oczywiście bierzemy ją pod uwagę. Informacja na temat zielonej furgonetki marki Volkswagen nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, podobnie zresztą jak opis mężczyzny o białych włosach. – Uniósł głowę i spojrzał komendantowi w oczy. – Nie traćmy jednak nadziei. Próbujemy zwiększyć wydajność systemu i połączyć się z innymi sieciami cyfrowymi.

– A co możesz mi powiedzieć na temat Marchesiego?

Manna w jednej chwili spochmurniał. Na co dzień jego twarz miała dobroduszny wyraz, na pozór niewzruszony w obliczu okropności, które musiał poddawać analizie, lecz na dźwięk nazwiska Marchesiego z oblicza technika zniknęły wszystkie ślady pogody ducha.

– Marchesi jest jak wisienka na torcie, jeśli mogę użyć tego porównania. Oczywiście jak zgniła wisienka. Moim zdaniem ten typek mógłby nam przekazać ważne informacje.

Costa myślał dokładnie tak samo. Wzmianka pedofila o miejscach, w których powinni szukać Andrei Venturiego, krążyła mu po głowie od czasu, gdy Valentina streściła mu rozmowę z więzienia. Prosił ją nawet kilkakrotnie, aby powtórzyła mu precyzyjnie słowa Marchesiego. Mężczyzna mówił o miejscach odwiedzanych przez

łowców i od początku było jasne, że ma na myśli swoje kontakty w sieci, chociaż nie mogli zupełnie wykluczyć spotkań stacjonarnych. Nie chcąc zaniedbać żadnego tropu, zaczęli badać wszystkie kontakty podejrzanego, ale jak dotąd bez rezultatu.

– Niestety, nie możemy ponownie z nim porozmawiać, dopóki prokurator nie wyrazi zgody – powtórzył Costa. – Na razie musimy radzić sobie sami.

– Nic innego nie robię – potwierdził Manna i zaczął wyliczać na palcach: – Listy połączeń telefonicznych, użycie karty kredytowej, doładowania komórki, osoby, z którymi się kontaktował. Mamy każdą możliwą lokalizację i wszystkie prawdopodobne powiązania. Na razie nic z tego nie wynika. Pozostaje nam...

– Pozostaje nam skupić się na Internecie – podsumował Costa.

– No właśnie. Sprawdziłem chronologię jego połączeń...

– I co? – ponaglił go komendant.

– Na pierwszy rzut oka niewiele. Nie ma wątpliwości, że Marchesi wie, jak poruszać się w sieci, by nie zostawiać śladów. To typowe dla takich jak on. Ale wystarczyło, że trochę pogrzebałem, pokonałem kilka przeszkód, nad którymi nie będę się rozwodził, bo i tak pan nie zrozumie, i bum! Znalazłem całe archiwum. Pełne materiałów, których wolałbym nigdy nie oglądać. Zwłaszcza jeśli chodzi o wypadki na tereny Darknetu... wie pan, o co chodzi?

– Oczywiście. To ukryta część Internetu – powiedział Costa.

– Ostatni poziom to Deep Web, do którego nie sposób się dostać przy użyciu zwykłych wyszukiwarek. Wykorzystują go ci, którzy naprawdę mają coś do ukrycia. A dla nas to skarbnica informacji, pod warunkiem że umiesz się w niej poruszać. Prawdziwy problem nie polega na tym, by się tam dostać, ale żeby połączyć Darknet z naszym systemem, nie czyniąc szkody... bo wchodząc do tej strefy, narażasz się na działania hakerów...

– A Marchesi się tam zapuszczał?

– Regularnie. Znaleźliśmy ślady czatów, z których ostatnio korzystał, lecz za każdym razem, gdy próbujemy się połączyć, wyrzucają nas. To bardzo ostrożna rasa. I niebezpieczna.

– No tak – przytaknął Costa – to właśnie o tych osobnikach mówił Marchesi.

Manna uśmiechnął się, widząc, że ma w komendancie wsparcie.

– No to jesteśmy jednej myśli. Musimy szukać właśnie tam, w ciemnej części Internetu. Tam kryją się ludzie, o których wspominał Marchesi, i to im przekazał zdjęcia Andrei Venturiego...

Costa się ożywił.

– Posłuchaj, Loris, to bardzo ważne. Nie wiemy, kiedy i czy w ogóle uda nam się go ponownie przesłuchać, a nawet jeśli do tego dojdzie, to nie możemy mieć pewności,

czy Marchesi powie nam prawdę na temat tego, w co był zamieszany. Musimy w jakiś sposób sami się tego dowiedzieć.

– Zdaję sobie z tego sprawę... – Manna wpatrywał się w ekran komputera, na którym na tle czarnego nocnego nieba plątały się i rozplątywały kuszące świetliste linie.

Od czasu do czasu z ciemnej przestrzeni wyłaniały się zarysy twarzy, które system wyławiał z najdalszych zakamarków sieci. Była to graficzna symulacja połączeń, które penetrował program „Bóg”. Niemniej robiła wrażenie. Przypominała bramę prowadzącą w wirtualne zaświaty.

– Musimy być świadomi jednej rzeczy – powiedział ponuro technik. – Jeśli dane dziecka znalazły się w Darknecie, możemy się spodziewać najgorszego. Ten obszar jest jak głębiny morza, w których pływają przerażające stwory. Prawdziwe ludojady. Ni mniej, ni więcej, tylko właśnie ludojady.

Edoardo był jedynym mężczyzną, którego przez krótki, burzliwy okres Valentina naprawdę kochała. A przynajmniej tak jej się wtedy zdawało. Szybko się okazało, że to był błąd, którego nie chciała więcej popełnić. I od tego momentu jej życie biegło znacznie spokojniej. Żadnych emocji, poza tymi, których dostarczała jej praca. Żadnej relacji, którą wcześniej czy później trzeba zakończyć.

Związek zakończył się dość gwałtownie i dlatego niełatwo było jej teraz, po dwóch latach milczenia, wykonać ten telefon. Edoardo pracował jako dziennikarz w „Messaggero” i tylko on mógł jej udzielić informacji na temat Fabia Costy, jeśli nie chciała pytać szefa czy kogoś z centrali.

Tego ranka zdecydowała się zaryzykować i po kilku niełatwych minutach na początku rozmowy odniosła wrażenie, że udało jej się nieco złagodzić sarkazm byłego partnera.

– Aha, to znaczy, że teraz postanowiłaś mi zaufać, tak? – zapytał po wysłuchaniu jej prośby.

Mogła się tego spodziewać. Edoardo nawiązał do powodu ich rozstania, którym był wyciek informacji ze śledztwa z udziałem Valentiny, wykorzystanych przez niego, żeby zapewnić sobie wyłączność na publikację sensacyjnej wiadomości. Policja przygotowywała obławę na bandę złodziei i gwałcicieli, a informacja w mediach sprawiła, że dwaj podejrzani rozplłynęli się w powietrzu. Tak naprawdę to nie ona była źródłem informacji dziennikarza, który jednak tego nie zdementował, co więcej, w swoich artykułach podkreślał, że pochodzą one z pierwszej ręki. Kiedy Valentina zarzuciła partnerowi, że ktoś może zacząć podejrzewać, że to ona przekazała mu poufne informacje, odpowiedział jej, że każdy powinien wykonywać swoją pracę i godzić się z jej konsekwencjami. Wkurzyło ją nie tylko to, że nie wziął pod uwagę skutków swoich działań lub potraktował je jako straty uboczne, ale przede wszystkim jego obojętność wobec szkody, którą artykuły wyrządziły śledztwu i całej operacji. Wtedy Valentina zrozumiała, że nie może wybierać między pracą a porywami serca. I że związek z dziennikarzem nie jest dobrym pomysłem.

Edoardo oddzwonił tego samego dnia, po południu.

– Nie miałem pojęcia o tej historii – zaczął – byłem wtedy jeszcze studentem... tak samo jak ty. Ten twój Fabio Costa w tamtym czasie był prawdziwą gwiazdą w policji.

– Słyszałam, że był świetnym śledczym – potwierdziła Valentina.

– Znacznie więcej! Rozwiązał kilka spraw dotyczących spektakularnych zabójstw. Departament wysłał go nawet na jakiś czas do Quantico, gdzie uczęszczał na kursy z profilowania kryminalnego. Miał świetny start... i z pewnością czekałaby go świetlana przyszłość na kierowniczym stanowisku, gdyby nie jego paskudny charakter... no i ta okropna sprawa...

– Masz na myśli gwałt, prawda?

– Oskarżenie o gwałt to tylko jeden z elementów sprawy. Piętnaście lat temu Costa stał na czele wydziału, którym teraz ty kierujesz. Trafiło mu się kilka bardziej skomplikowanych spraw. Jedną z nich było śledztwo dotyczące seryjnego mordercy zwanego Rzeźnikiem, pewnie je pamiętasz, chociaż nie pracowałaś jeszcze wtedy w policji. Facet zamordował troje dzieci, a Costa przyskrzytnił go praktycznie bez niczyjej pomocy, a nawet wbrew radom wielu specjalistów. To tylko jeden z przykładów. Jego skuteczność wynosiła sto procent. A potem pojawiło się oskarżenie o gwałt...

– Wniosła je policjantka, jego koleżanka z pracy.

– Diana Marini. Była inspektorem w jego grupie, jego prawą ręką. Widziałem zdjęcia, bardzo atrakcyjna kobieta. Chyba coś ich łączyło, chociaż Costa był już żonaty i miał małego syna. No i tu cała historia robi się jednocześnie banalna i odrażająca. Nie ma pewności, które z nich zdecydowało, żeby zakończyć relację. Pewnego popołudnia, po kolejnej kłótni, Marini wyszła zapłakana z biura Costy. Była bardzo wzburzona. Miała podarte ubranie, czerwone ślady na twarzy, a w rękę trzymała jeszcze ciepły pistolet. Strzeliła do niego z broni służbowej i na szczęście chybiła. Powiedziała, że zrobiła to, by się bronić, ponieważ została zgwałcona.

W głowie Valentiny kłębiły się sprzeczne myśli i emocje. Wyobraziła sobie jednocześnie przebieg wydarzeń z punktu widzenia obu zainteresowanych osób. Poczowała strach i złość zranionej, odrzuconej kobiety, która strzela do ukochanego mężczyzny. Wyczuła też jego zaskoczenie i wściekłość. Przerażenie obojga w obliczu świadomości, że relacja kończy się w najgorszy z możliwych sposobów.

– I zdecydowała się wnieść oskarżenie – szepnęła Valentina, przypominając sobie wiadomość otrzymaną od Lucchesi.

– Tak, sprawa skończyła się w sądzie. Oboje zostali zawieszani i wydaleny z centrali. Niemniej z uwagi na renomę Costy skandal przez jakiś czas gościł na pierwszych stronach gazet. Na łamach „Messaggero” zrobili z tego swego rodzaju telenowelę w odcinkach. Każdego dnia nowy kawałek, i tak aż do procesu.

– I jak się to wszystko skończyło? – zapytała, choć zdawała sobie sprawę, że Costa nie został skazany, gdyż w przeciwnym razie musiałby odejść z policji.

– obrońca Costy poradził sobie dość dobrze – potwierdził Edoardo. – Nie było żadnych dowodów na to, że stosunek nie odbył się za obopólną zgodą, przeczyła temu również wcześniejsza relacja. Jedynie słowa Marini przeciw słowom Costy. Poza tym wielu kolegów zeznało, że to Costa chciał zakończenia relacji, a nie odwrotnie. I właśnie ta argumentacja stała w sprzeczności z domniemanym gwałtem. W końcu mężczyzna został uniewinniony, chociaż nie miał już czego szukać w centrali. Adwokat powołał jako świadków grube ryby z wydziału, które co prawda zeznawały na korzyść Costy, również dlatego, by ocalić wizerunek formacji, ale nie zamierzały zapomnieć skandalu. Wyjątkowa kariera tego twojego śledczego zawisła na włosku i wszystko wskazywało na to, że przynajmniej na jakiś czas on sam też musi usunąć się w cień. Zdołał jednak odbudować relacje rodzinne z żoną Marisą i synem Lorenzem. Tak przynajmniej twierdziły gazety.

Valentina chłonęła informacje z rosnącym niepokojem, jakby sama brała udział w omawianych wydarzeniach.

– Może on naprawdę jest niewinny – powiedziała. Chciałaby się dowiedzieć czegoś więcej. Poznać szczegóły.

– Niestety cała ta przykra historia nie skończyła się wraz z procesem...

Złe przeczucie sprawiło, że serce Valentiny zabiło szybciej.

No tak, musiało być coś jeszcze. Smutek, który dostrzegła w oczach Fabia, był znacznie głębszy.

– Po oczyszczeniu Costy z zarzutów Diana Marini na jakiś czas zniknęła – ciągnął Edoardo. – Odeszła z policji zaraz po procesie. Na własne życzenie. Nie drażono tej sprawy ze strzałem z pistoletu, uznano ją za wypadek, ale kobieta nie miała już czego szukać w centrali. Nie mogła znieść wstydu albo bezradności i zniknęła. Niektórzy moi koledzy uznali, że w ten sposób przyznała, że wymyśliła sobie wszystko, co wiązało się z wcześniejszym oskarżeniem. Natomiast Costa zdawał się skończony zawodowo, chociaż niektórzy z jego przełożonych skłaniali się ku temu, by dać mu kolejną szansę. Jego reputacja jako śledczego ciągle była nie do podważenia.

Valentina domyślała się, jak wszystko się potoczyło. W policji wciąż dominuje męski punkt widzenia, chociaż czasy się zmieniły. Poza tym kierownictwo zawsze stara się chronić swoich najlepszych ludzi. Taki superpolicjant jak Fabio Costa mógł wyjść cało z burzy, która się wokół niego rozpętała. I ta świadomość sprawiała, że czuła do niego niechęć. Po raz kolejny zdziwiła się z powodu sprzecznych uczuć, które nią targały. Po co tracić czas na rozmyślania o sprawach, które w żaden sposób jej nie dotyczą? Przecież sama też poradzi sobie ze śledztwem.

Nagle zorientowała się, że Edoardo jeszcze nie skończył.

– Wbrew powszechnym przewidywaniom Marini pojawiła się ponownie po zaledwie dwóch tygodniach – powiedział, po czym zawahał się przez chwilę. Kiedy wrócił do przerwanej wątku, mówił głosem kogoś, kto jak najszybciej chce wyrzucić z siebie nieprzyjemne wiadomości. – I poszła prosto do domu Fabia i Marisy. Zadzwoiła domofonem, żądając rozmowy z byłym przełożonym. Costa prawdopodobnie był zaskoczony i dlatego jej otworzył. A jego żona zeznała potem, że nie miała wątpliwości co do niewinności męża, więc wspólnie uznali, że rozmowa z Dianą pomoże im raz na zawsze pozbyć się niedomówień, chociaż zdawali sobie sprawę, że nie będzie należała do przyjemnych. I dlatego wpuścili ją do środka. Diana Marini weszła do windy, ale nie wysiadła na piętrze, na którym znajdowało się mieszkanie Costy. Wjechała na samą górę. Potem weszła na dach budynku, w którym rodzina policjanta mieszkała od dziesięciu lat. Był to siedmiopiętrowy blok. Wybrała stronę wychodzącą na główny dziedziniec i skoczyła.

– Popełniła samobójstwo... – szepnęła Valentina do słuchawki.

– Tak – Edoardo też ściszył głos – zginęła na miejscu.

Zrobiła to praktycznie na oczach Fabia. Z powodu Fabia.

– Nie zostawiła żadnego listu – ciągnął Edoardo, odzyskawszy spokój reportera. – A to zabrzmiało niczym nieme oskarżenie. I skończyły się marzenia o przywróceniu Costy na poprzednie stanowisko. Samobójstwo jego byłej kochanki kładło się zbyt długim cieniem na całej sprawie. Pomimo uniewinnienia ludzie znowu zaczęli się zastanawiać, czy naprawdę nie dopuścił się gwałtu na podwładnej. Niektórzy dziennikarze podkreślali, że w czasie procesu jego adwokat bardzo nieprzyjemnie, niemal z okrucieństwem traktował Dianę.

– Czego jeszcze udało ci się dowiedzieć? – zapytała Valentina, aby wypełnić kłopotliwą ciszę, która zaległa po ostatnich słowach Edoarda i zdawała się podsycać napięcie między nimi.

Mężczyzna przez chwilę milczał, po czym dokończył powoli, jakby korzystał ze sporządzonych wcześniej notatek.

– To właściwie wszystko. Fabio Costa został przywrócony do służby, również dlatego, że po wyroku uniewinniającym prokuratura nie wniosła nawet apelacji. Formalnie wszystko było w jak najlepszym porządku, ale musieli go gdzieś ukryć, bo nie był już... dość reprezentacyjny. Zesłali go do Voltery, gdzie jak sądzę, ma czekać do emerytury. Z moich informacji wynika, że rozstał się też z żoną, a jego syn, który teraz powinien mieć około dwudziestu lat, odmówił wszelkich kontaktów z nim. Koniec historii. – Przerwał na moment. – To wszystko, co wiem. – Znowu cisza. – Jeśli chcesz, to później wyślę ci artykuły, które znalazłem, i sama będziesz mogła ocenić materiały.

Nie odczuwała takiej potrzeby. Wystarczało jej to, co usłyszała. Miała dość. Poczła się wypalona. Myślała o ostatnich chwilach Diany Marini. Wyobrażała sobie przerażenie, którego musiała doświadczyć kobieta przed śmiercią. Koniec wszystkiego. Wyobrażała sobie także, co to musiało oznaczać dla Fabia. Miotaly nią fale współczucia dla obojga, ale to Diana nie żyła. Kobieta, która chodziła po tych samych korytarzach, pracowała w tych samych pokojach co ona. Przebywała w otoczeniu tych samych ludzi.

– Posłuchaj – odezwał się Edoardo – kiedy zamierzasz wrócić do Rzymu? Wiem, że jesteś zajęta, ale może się spotkamy... skoro jestem dla ciebie tak miły, może mogłabyś odwzajemnić przysługę... Co nowego w śledztwie?

Valentina przez moment sądziła, że się przesłyszała. Była całkiem oszołomiona.

– Naprawdę mnie o to prosisz?

– A czemu nie? Nawet gdybym tego nie zrobił, i tak byś mnie oskarżyła o wyłudzenie poufnych informacji.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom i czuła ogromne rozczarowanie. Były narzeczony prosił ją o informacje dotyczące śledztwa, które dopiero się rozkręcało. Przecież właśnie to było powodem ich rozstania. Dlatego kiedyś postanowiła, że nie zwiąże się z nikim, zanim nie skończy pięćdziesiątki albo sześćdziesiątki.

Skupiła się na znalezieniu odpowiednich słów, a kiedy doszła do wniosku, że nie przychodzi jej do głowy, pożegnała się bez zbędnych ceregieli, obiecując, że zadzwoni po powrocie do Rzymu. Oboje wiedzieli, że to nieprawda.

Wyszła z biura i zobaczyła Costę, który zmierzał w jej stronę z takim ponurym wyrazem twarzy, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziała. Przez chwilę pomyślała, że dowiedział się, iż zamówiła u Edoarda dokładne sprawozdanie na temat jego przeszłości, i teraz zamierza ją zwymyślać i oskarżyć o grzebanie w jego prywatnym życiu. Wcale nie o to jednak chodziło.

Wiadomość, którą jej przekazał, była znacznie gorsza.

– Właśnie straciliśmy ostatnią szansę na odnalezienie Andrei – powiedział Costa.

Znaleziono go powieszonoego w łaźni na pasku od szlafroka, który przywiązano do kraty okna. Kiedy szedł pod prysznic, miał ze sobą jedynie ręcznik i płyn do kąpieli. A przede wszystkim jego język był wtedy w nienaruszonym stanie. Ten, kto go zamordował, obciął mu go, a potem włożył w usta. Dokładna, choć niezbyt czysta robota. Ciało Guida Marchesiego zalane było krwią aż do krocza i patolog na podstawie jej ilości przypuszczał, że wycięcie organu nastąpiło za życia ofiary.

Natychmiast rozpoczęto śledztwo, ale nie przyniosło ono oczekiwanych rezultatów. Strażnik odpowiedzialny za pilnowanie więźnia oddalił się na chwilę, a to wystarczyło, by ktoś zakradł się do łaźni, zrobił, co miał do zrobienia, i jeszcze obmył się z krwi, która musiała go opryskać. Prawdę mówiąc, mógł go zabić i powiesić na kracie którykolwiek z osadzonych w areszcie w Don Bosco. Dyrektor ponownie stanowczo oświadczył, że jego ośrodek nie jest przystosowany do przetrzymywania tego typu podejrzanych. Prawo stanowił tu więzienny kodeks honorowy. Niemniej obcięty język symbolizował raczej ostrzeżenie dla tych, którzy za dużo gadają, niż był wyrazem zemsty na pedofilu.

Dla Valentiny i jej ludzi krwawe zdarzenie jeszcze bardziej skomplikowało prowadzoną sprawę. Marchesi zabrał do grobu sekrety dotyczące kontaktów w Darknecie, chociaż nie mieli pewności, czy jego informacje na coś by się rzeczywiście przydały. Być może był zwykłym bufonem, który liczył tylko na umorzenie kary.

– Teraz już się tego nie dowiemy! – wybuchnął Fabio Costa ze złością, która zdziwiła Valentine. Z jego zachowania zniknęła ostrożność, charakteryzująca go przez cały ten czas, gdy razem pracowali.

– To nie nasza wina – zauważyła Lucchesi, która przywiozła wiadomość do Volterry.

Costa po raz pierwszy odwrócił się do niej bez pokory, którą dotąd zawsze jej okazywał. Tym razem już sam wyraz jego twarzy sprawił, że Lucchesi cofnęła się o krok, zanim jeszcze zaczął mówić.

– A właśnie, że nasza – zaczął ostrym tonem. – I dobrze o tym wiesz. To nasza wina, bo nie chcieliśmy uwierzyć Marchesiemu, że ma informacje, którymi może się podzielić. To nasza wina, bo z lenistwa przyjęliśmy decyzje tego idioty Giorgianniego. Bo zostawiliśmy wszystko w rękach sędziów, którzy wciąż nie rozumieją, co się dzieje. Nie sprzeciwiliśmy się, a powinniśmy byli to zrobić! Należało od razu przycisnąć Marchesiego, nie czekając na oficjalne przesłuchanie. Powinniśmy byli mu coś

zaoferować, nawet jeśli sama myśl o negocjacjach z pedofilem budziła wstręt. Trzeba było przyjąć jego reguły gry, i to natychmiast. Przenieść go do innego więzienia i zapewnić mu skuteczniejszą ochronę. Pozwolić, by poczuł się ważny. Nawet jeśli istniała tylko minimalna szansa, że posiada informacje mogące nam pomóc w odnalezieniu Andrei Venturiego, powinniśmy byli spróbować, zamiast czekać beczynnie na decyzję kogoś, kto siedzi wygodnie za biurkiem i krytykuje nasz sposób prowadzenia śledztwa, chociaż sam nie ma najmniejszego pojęcia, jak wygląda dochodzenie w tak delikatnej sprawie jak ta!

Chyba zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo, bo zacisnął usta, nakazując sobie milczenie, po czym odszedł cały w złości, z jaką zaatakował policjantkę. Siria Lucchesi po raz pierwszy nie znalazła odpowiedzi. Poblądła wyraźnie i oddaliła się, rzucając Valentinie na pożegnanie ostrzegawcze spojrzenie.

Sprawa utknęła w martwym punkcie. Poszukiwania furgonetki nie przyniosły rezultatu. Nie pojawiły się żadne nowe dane. Dni mijały i Andrea stawał się widmem potwierdzającym porażkę policji.

Trzeba zacząć wszystko od nowa. To jest jedyne rozsądne rozwiązanie. Tylko od czego?

Valentina podniosła wzrok znad dokumentów, które przeglądała już chyba po raz setny, i stłumiła ochotę, aby dać upust swojej bezradności. Costa stał na progu i przyglądał jej się uważnie. Uspokoił się i znowu był tym mężczyzną, którego znała i któremu ufała, pomimo sprzecznych uczuć targających jej duszą. Rewelacje przekazane przez Edoarda spowodowały jedynie jeszcze większy zamęt w jej głowie. Nie licząc ostatniego wybuchu, na co dzień Costa przyjmował postawę, w której rezygnacja mieszała się ze stanowczością, jakby bieżące wydarzenia zupełnie go nie dotyczyły. Jednocześnie zawsze był gotowy do niesienia pomocy. Kiedyś naprawdę musiał być świetnym policjantem. To, co mu się przydarzyło, niezależnie od rozmiaru jego własnej winy, zepchnęło go jednak na boczny tor i teraz z trudem wracał na pierwszą linię frontu. Valentina łapała się na tym, że mimo wszystko cały czas mu współczuje. Była zdezorientowana.

– Czego chcesz? – zapytała i zabrzmiało to bardziej obcesowo, niż zamierzała.

– Wybacz, że przeszkadzam – odezwał się Costa. – Chciałem przeprosić za swój wybuch. A poza tym chodzi mi po głowie kilka pomysłów, którymi chcę się z tobą podzielić... Możemy porozmawiać później, skoro jesteś zajęta. Nie ma problemu.

Nareszcie dostała to, czego chciała. Postanowiła skorzystać z okazji i na razie odsunąć na bok rozważania o jego przeszłości.

– Nie, jeśli chcesz, to porozmawiajmy teraz – powiedziała. – Wejdz, proszę.

Costa usiadł naprzeciwko, po drugiej stronie biurka. Między nimi na blacie leżały policyjne raporty, zdjęcia i sprawozdanie z autopsji Gianniego Venturiego, fotografie zaginionych dzieci.

Zaczął mówić, patrząc jej prosto w oczy.

– Najpierw muszę się upewnić, czy naprawdę chcesz mojej pomocy. Jeśli chcesz. Wiem, co się o mnie myśli w centrali. Jeśli wyjdzie na jaw, że biorę udział w śledztwie... Lucchesi już i tak weszła na wojenną ścieżkę.

Powinna odpowiedzieć przecząco. *Nie potrzebuję twojej pomocy. Nie po tym, czego się o tobie dowiedziałam. Przepraszam, że włączyłam cię w tę sprawę. Sądzę, że nie skorzystam z twojej pomocy. W centrali w Rzymie też by się na to nie zgodzili. Powiedzieliby, że jesteś zwykłym prowincjonalnym gliną, nikiem więcej. Nie jesteś potrzebny ani mnie, ani nikomu innemu. Jesteś niebezpieczny.* W tym momencie zdała sobie sprawę, że ostatnia myśl nie miała nic wspólnego z pracą.

– Tak. Każda pomoc się przyda – powiedziała tymczasem.

Fabio nie spuszczał z niej oka.

– Nigdy nie dostaniesz oficjalnej zgody. Będą próbowali odwieść cię od współpracy ze mną. Jeśli jeszcze tego nie zrobili.

Valentina się zaczerwieniła, mając nadzieję, że komendant nie dostrzegł tego w półmroku panującym w pokoju.

– Faktycznie...

– Nie martw się. Wiedziałem, że tak będzie. Mimo to zrobię wszystko, co w mojej mocy... Nie powinnaś jednak zbyt na mnie liczyć. Nigdy nie uważałem się za eksperta... jak wy mówicie. No i do tego wyszedłem z wprawy.

– Zadowolę się tym, co dostanę.

Costa uśmiechnął się smutno.

– Od czego zaczynamy? – przeszła do rzeczy Valentina i nadstawiła uszu.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Dużo nad tym myślałem i uważam, że od początku miałaś rację. Potwierdził nam to też poniekąd Guido Marchesi. Człowiek, którego szukamy, nie jest zwykłym pedofilem z prowincji porywającym napotkanych przypadkowo chłopców, kiedy trafi się okazja. Za jego działaniami kryje się coś znacznie bardziej przerażającego. On jest szalony, ale jednocześnie niezwykle inteligentny. I ma bardzo dokładnie przygotowany projekt, który skrupulatnie realizuje. Nie kieruje nim pociąg seksualny. A przynajmniej nie jest to jedyna motywacja. I nie działa przypadkowo. Wybiera chłopców niezwykle starannie. Fosco, Andrea, może również Salvatore Esposto z Neapolu...

– Jeśli o niego chodzi, to nie mamy pewności – zaprzeczyła Valentina.

– Też tak myślę. I uważam, że twoje przeczucie, jakoby wszystko koncentrowało się wokół niezwykłego podobieństwa Fosca i Andrei, jest kluczem do rozwiązania sprawy. To nie może być przypadek, Valentino. Trzeba skupić się na tym aspekcie i drążyć aż do skutku.

Valentina zamyśliła się na chwilę.

– Na początku tak mi się rzeczywiście wydawało... Ale im dłużej się zastanawiam, tym bardziej naciągana wydaje mi się ta hipoteza. Przecież Salvatore nie jest podobny do pozostałych. W związku z tym...

– Porwanie Fosca zakończyło się fiaskiem, prawda? – przypomniał Costa.

– I co z tego?

– Nie, nie, nic. Po prostu analizuję wszystkie elementy. Fosco ucieka i w rękach porywacza zostaje tylko jeden chłopiec. Ten, którego opisał nam Fosco i który prawdopodobnie już nie żył. Być może został zamordowany za pomocą zastrzyku, takiego jak ten, który dostał Fosco. Nie wiemy, czy tym chłopcem jest Salvatore Esposto, czy jakieś inne dziecko. Niemniej porywacz wyraźnie chce mieć do dyspozycji dwóch chłopców, a jeden właśnie mu się wymknął. To znaczy, że...

– Musi postarać się o drugiego – dokończyła za niego Valentina.

– I dlatego wyrusza na poszukiwanie Andrei Venturiego...

– Który w dodatku wygląda jak bliźniak Fosca Agnellego... I w ten sposób wracamy do kwestii podobieństwa chłopców.

– A jednocześnie otrzymujemy kolejną wskazówkę, nad którą wypada się zatrzymać. W jaki sposób zdołał w tak krótkim czasie znaleźć tak podobne do siebie dzieci? Można przypuszczać, że miał je już wytypowane wcześniej na swojej liście. Wybiera Fosca, ale traci okazję, i wtedy natychmiast rusza po Andreę. Musi zamordować jego ojca, ponieważ w przeciwieństwie do chłopca z Sorano, który sam wraca ze szkoły, Andrea Venturi przebywa w domu z powodu strajku nauczycieli i nie sposób go uprowadzić, nie pokonawszy tej przeszkody. Wszystko wskazuje na to, że nie może też czekać. W każdym razie po stracie Fosca od razu wie, gdzie uderzyć...

– Wiemy, że zrobił kwerendę w sieci – oświadczyła. – Nie ma innego wyjaśnienia. Szukał chłopców w Internecie... Nie wiem, jak udało mu się porównać ich wygląd zewnętrzny, ale to jedyne logiczne wytłumaczenie.

– Masz rację. Rozmawiałem o tym z Lorisem Manną. Do tego typu działań potrzebne są specjalne programy i Loris właśnie nad tym pracuje. Na szczęście zatrzymanie Marchesiego okazało się użyteczne. To on skopiował zdjęcia, które ojciec Andrei wrzucił na Facebooka, i puścił je w obieg na strony z materiałami z dziecięcą pornografią. Ten, którego szukamy, miał od czego zacząć. Podobnie było w przypadku

Fosca Agnellego, chociaż jego zdjęcia nie krążą w Darknecie. Później jednak porywacz musiał zbliżyć się do swoich celów, same zdjęcia mu nie wystarczały.

Costa wskazał fotografie dzieci leżące na biurku przed Valentiną. Prawie identyczne twarze dwóch zupełnie obcych sobie chłopców.

– To właśnie ich wygląd odgrywa znaczącą rolę w projekcie przestępcy – wrócił do przerwane go wątku. – Łączy ich fizyczne podobieństwo, a on właśnie tego potrzebuje. Nie mam pojęcia dlaczego, ale tak jest. Czym się kieruje, wybierając swoje ofiary? Musimy się tego dowiedzieć, a wtedy go znajdziemy... Oby przed kolejnym porwaniem. Bo on się nie zatrzyma, Valentino. Tego jestem pewien. Ta przeklęta kanalia tego nie przerwie.

Kiedy Fabio mówił, Valentina obserwowała jego usta. Miał białe zęby, może nieco zbyt małe jak na mężczyznę, lecz niemal doskonale równe, kontrastujące z ciemnym zarostem, który ponownie pokrył mu policzki.

– Co więcej możemy zrobić w tej sprawie? – szepnęła Valentina, nie odrywając wzroku od jego warg.

– Zacząć wszystko od nowa – odpowiedział Fabio.

Ona też miała taki zamiar. Nic innego im nie pozostało.

Komendant zerwał się na równe nogi.

– Jak chcesz, to zaczynamy od razu.

– Od czego?

– Od jedyne go początku, który znamy. Od pierwszego chłopca.

Mgła towarzyszyła im aż do samego Sorano, miasteczka na terenie Maremmy, gdzie mieszkał i skąd zniknął Fosco. Tego ranka cały region pokryty był szarym, lodowatym całunem. Owa zasłona zdawała się doskonałą metaforą ich polowania na porywacza.

Pojechali we dwoje, Fabio i Valentina, w towarzystwie wiernego Angela Zucchiego w roli kierowcy. Nikogo nie zawiadomili o swoich planach. Zaczynanie wszystkiego od początku oznaczało przekreślenie całej wykonanej do tej pory pracy. Jeśli poniosą klęskę, nie będą musieli się przed nikim tłumaczyć. Również dlatego, że nie zabierają czasu ani energii innym osobom zaangażowanym w śledztwo.

Przygotowali sobie bardzo prosty plan. Najpierw wizyta w miasteczku Sorano, a potem w miejscowym komisariacie, gdzie razem z inspektorem Blasi zamierzali jeszcze raz przejrzeć cały zgromadzony materiał w nadziei, że uda im się dostrzec jakąś pominiętą wskazówkę lub cień podejrzenia, którego wcześniej nie wzięli pod uwagę.

Valentina nie była pewna, czy pierwszy etap podróży może się na coś przydać, ale Costa nalegał. Chciał rozejrzeć się po okolicy, zobaczyć miejsca odwiedzane prawdopodobnie przez porywacza, który musiał kręcić się po miasteczku, śledząc małego Fosca i sprawdzając jego przyzwyczajenia, co pozwoliło mu zorganizować uprowadzenie. Zarówno w przypadku Andrei, jak i Fosca nie mogło się bowiem obejść bez wcześniejszego przygotowania porwania i być może właśnie na tym etapie przestępca popełnił jakiś błąd. Albo chociaż pozostawił ślad swojej obecności.

Valentina przekonała się, że Costa kieruje się w pracy własnymi schematami mentalnymi opartymi na rozumowaniu, którego ani ona, ani nikt inny nie jest w stanie pojąć. I może właśnie z powodu tej szczególnej umiejętności kiedyś uznano go za wyjątkowego detektywa.

Przynajmniej zanim zgwałcił i doprowadził do samobójstwa kobietę, która go kochała – odezwał się jej wewnętrzny głos, któremu teraz postanowiła się jednak przeciwstawić. Nie, Fabio został uniewinniony. Nie popełnił żadnego przestępstwa. Taka jest prawda. Chociaż w rezultacie całego zamieszania zesłano go na prowincję i odsunięto od aktywności śledczej.

Dojechali do granic Sorano i zbliżyli się do bramy wjazdowej prowadzącej do dawnej, niezdobytej fortecy.

– Co robimy? – zapytał Zucca. – Mam zaparkować? Wydaje mi się, że dalej są tylko wąskie uliczki, zaułki i... ciągle pod górę.

– Nie – powiedział Costa. – Ja wysiądę, a wy jedźcie.

Valentina odwróciła się do niego.

– Chcesz iść sam?

Mężczyzna popatrzył nieśmiało, jak zawsze, gdy w rzeczywistości narzucał swą decyzję. Valentina miała tego świadomość i zgadzała się na udział w grze.

– Oczywiście pod warunkiem, że nie masz nic przeciwko – zaczął się asekurować Costa. – Wy tymczasem możecie jechać prosto do komisariatu w Grosseto. W ten sposób zyskamy na czasie. Jeśli się podzielimy, będziemy mogli działać szybciej. Bądźmy w kontakcie, w porządku?

Valentina nie wyraziła sprzeciwu i Costa wysiadł z samochodu.

Podczas gdy Zucca pokonywał ostre zakręty, oddalając się od Sorano, Valentina obserwowała we wstecznym lusterku postać komendanta idącego wzdłuż drogi, cień znikający powoli we mgle, w której już po chwili rozplynął się całkowicie.

Roberta Blasi ucieszyła się na ich widok. Młoda pani inspektor przejęła sprawę Fosca Agnellego – jako jedyna osoba znającą ją od podszewki tylko ona mogła im pomóc.

– Od razu muszę się przyznać, że nie zrobiliśmy żadnych postępów – powiedziała tuż po powitaniu. – Nie mamy nic nowego poza tym, co udało nam się odkryć do czasu, gdy ostatni raz się widzieliśmy.

Valentina wyraźnie wyczuła rozgoryczenie koleżanki.

– Nie rób sobie wyrzutów. My też jesteśmy ciągle na głębokiej wodzie, a brzegu nie widać. Jak się ma Fosco?

– Chyba całkiem nieźle. Wrócił do zwyczajnego życia, tylko matka nie spuszcza go teraz z oka. Może trochę przesadza, ale trudno się dziwić.

– Nie zauważono u niego żadnych objawów stresu pourazowego?

– No cóż, jest pod stałą opieką psychologa, który twierdzi, że jego trudny, drażliwy charakter nieco się zmienił. Chłopiec jakby trochę złagodniał. Wydaje się mniej zamknięty w sobie i szuka towarzystwa rówieśników.

– To chyba dobrze, nie? – włączył się Zucca, który sprawiał wrażenie znudzonego tymi dywagacjami.

– Miejmy nadzieję... – Blasi nie podzielała jego optymizmu, a Valentina doskonale ją rozumiała.

Psychika Fosca ucierpiała, a każda zmiana w jego zachowaniu wpłynie na jego przyszłe życie. Tylko czas pokaże, czy zmiana będzie pozytywna, czy negatywna. Wspomnienia ostatnich wydarzeń powoli znikają z jego dziecięcego umysłu, a wkrótce zostaną zamknięte w szafie z koszmarami i być może zapomniane. Nie można jednak mieć co do tego stuprocentowej pewności.

– Pokazałaś mu zdjęcia Salvatorego Esposta? Tego chłopca, który zaginął w Neapolu... – podjęła Valentina.

– Oczywiście – potwierdziła inspektor – zrobiłam to, o co prosiłaś, i przesłałam raport do twojego biura w Rzymie. Niestety, Fosco go nie rozpoznał. Powtarzał, że pamięta jedynie dotyk zimnej skóry i to, że chłopiec był nagi, tak samo jak on. A potem dodał jeszcze, że może to był tylko sen... chociaż sądzę, że to wpływ sugestii psychologa. Prawdopodobnie tak będzie lepiej dla dziecka.

A może to naprawdę był sen i w ten sposób ich podstawowa hipoteza rozwieje się niczym mgła nad Sorano.

– Nie liczyłam na zbyt wiele – przyznała Valentina, starając się ukryć rozczarowanie. Czyżby to naprawdę było wszystko, na co nas stać? – pomyślała z przykrością.

– To wszystko, co mamy – powiedziała Blasi, machając skoroszytem zabezpieczonym gumką, który zawierał nie więcej niż sto stron.

Zucca wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Valentiną, po czym wziął dokumenty i zaczął je przeglądać. Wśród pierwszych raportów natrafił na dokumentację zdjęciową z terenu gospodarstwa, w którym obudził się Fosco.

– Przykro mi – dodała Roberta. – Chciałabym mieć dla ciebie lepsze wieści.

Valentina pokręciła głową.

– Naprawdę świetnie się spisałaś. Nie każdy policjant wziąłby sobie do serca tego typu sprawę. Gdybyś na samym początku nie skierowała nas na właściwą drogę, nigdy nie udałoby się nam powiązać zniknięcia Fosca z morderstwem i porwaniem w Volterze.

Blasi zarumieniła się lekko, zachowała jednak poważną minę.

– Nie ma się czym chwalić – ucięła, po czym wskazała na Zuccę, który siedział z nosem w papierach. – Naprawdę sądzicie, że to, co się przydarzyło Foscowi, ma związek z uprowadzeniem tego drugiego chłopca i zabójstwem jego ojca? Wierzyć mi się nie chce.

– Ja też nie mam pewności, Roberto. Szczerze mówiąc, już sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

Valentina mówiła prawdę. Nagle poczuła się słaba i zniechęcona, i sama siebie nienawidziła za tę cechę swojego charakteru. Nie brakowało jej stanowczości, ale ciągle czuła się nie dość kompetentna. Śledztwo posuwało się do przodu bardzo żmudnie, a każdy błąd, który cofał ich powolne postępy, był wyłącznie jej winą. Przerażała ją myśl, że nie podoła wyzwaniu. I to, że ktoś może dostrzec jej słabości.

Dlatego tak bardzo liczyła na pomoc Fabia. Musiała przyznać, że komendant jest jej potrzebny.

Spojrzała na skruszoną minę koleżanki i pomyślała: No dobra, trudno. Znowu jestem w ślepych zaułku. Powinnam się już przyzwyczać.

Zucca podniósł rękę, jakby prosił o głos, chociaż nie oderwał oczu od przeglądanych dokumentów.

– Co jest, Angelo?

– Czegoś mi tu brakuje...

Blasi podeszła bliżej i zajrzała mu przez ramię.

– To raport z oględzin przygotowany przez techników kryminalistycznych... – wyjaśniła. – Wydaje mi się, że jest kompletny.

– Tak, są tu zdjęcia z gospodarstwa, w którym prawdopodobnie obudził się Fosco... Ślady opon i piękne krajobrazy... Nie ma tylko protokołu z wykazem przejętego materiału dowodowego.

Valentina nadstawiła uszu.

– Jaki protokół masz na myśli?

Roberta sprawdzała już dokumenty, tam gdzie wskazał Zucca.

– To prawda – powiedziała – brakuje protokołu ze spisem dowodów znalezionych na miejscu. Ale wiem, że nic tam nie znaleźli.

– Tutaj jest odniesienie do protokołu – obstawał przy swoim Zucca. – O tu, w momencie przekazania akt do prokuratury, zapisano: „Załącznik numer jedenaście, protokół przejęcia przedmiotów znalezionych na terenie gospodarstwa...” i tak dalej. Jak jest protokół ze znalezienia, to znaczy, że coś znaleziono, nie?

Blasi przytaknęła.

– Technicy powinni mieć kopię. Mam jej poszukać?

– Tak – powiedziała Valentina. – Nie chcę niczego zaniedbać.

Niestety lista przedmiotów znalezionych w szopie, gdzie trzymano californię, z której uciekł Fosco, okazała się tak mizerna, że zgasiła ich tłącą się nadzieję. W rzeczywistości technicy kryminalistyczni narobili sporo zdjęć, lecz zgromadzili nikły materiał dowodowy. Kilka zardzewiałych narzędzi rolniczych, niedopałki papierosów zostawianych przez lata przez przygodnych przechodniów, skórzane pasy służące kiedyś do wiązania bydła oraz kawałki papieru. Te ostatnie opisano w następujący sposób: „Wycinki i fragmenty kolorowych obrazków”.

– Wszystko jest tutaj – wyjaśniła Blasi. – Mam na myśli wymienione przedmioty. Leżą w szafie, o tam. Tylko niedopałki zostały w laboratoriach u techników.

Valentina uważała, że to strata czasu, ale słyszała w głowie głos Fabia, który nalegał, aby nie odrzucać żadnego tropu bez sprawdzenia. Pierwsza zasada dobrego policjanta głosi, że należy wyjaśnić każdą wątpliwość, oświetlić nawet najciemniejszy, zapomniany kąt.

Rozłożyli więc na stole mniej więcej dziesięć przezroczystych plastikowych toreb z logo i z taśmą, należących do techników kryminalistycznych. Valentina, Zucca i Roberta pochylili głowy nad marnymi znaleziskami.

Narzędzia były do tego stopnia zniszczone przez rdzę i brud, że trudno było przypuszczać, by mogły zostać użyte przez mężczyznę, który porwał Fosca Agnellego. Podobnie jak skórzana uprzęż, stwardniała na kamień i przez to niezdatna do użytku. Natomiast pożółkłe wycinki z gazet o nieregularnych kształtach, około dziesięciu, prawdopodobnie leżały w szopie od wielu lat.

Na koniec zauważyli skrawek znacznie różniący się od pozostałych.

Valentina wzięła go do ręki, nie wyjmując z przezroczystej torebki zabezpieczającej, i zaczęła mu się bacznie przyglądać.

– Już wcześniej dokładnie go obejrzałam – powiedziała Blasi. – Nie sądzę, żeby się nam na coś przydał.

A jednak fragment papieru przywołał wspomnienia.

Był to róg strony, obie nienaruszone krawędzie miały nie więcej niż pięć centymetrów długości. Przypominało to wydruk na błyszczącym papierze, kawałek zdjęcia lub obrazu, tego nie można było odgadnąć. Dostrzegli zarys kobiecej głowy, gęste rude włosy i kawałek wysokiego czoła. Jasna karnacja. Oczy spuszczone. Ciemne, stonowane kolory. Nic więcej.

– Odciski palców? – zapytała Valentina.

– Zero – odparła Roberta – niełatwo je ściągnąć z papieru.

Valentina nie odrywała wzroku od karteczki.

– Myślisz, że to coś ważnego?

– Jest inna niż pozostałe – zauważyła Valentina. – Tamte leżały w szopie od dawna, a ta wydaje się całkiem nowa.

– A może wcale nie leżała w szopie – stwierdził Zucca, który znał się na swojej robocie i umiał to udowodnić, pod warunkiem że nie robił z siebie błazna. – Może była w tej przeklętej furgonetce...

– I wypadła... – dodała Blasi.

– No jasne! – wykrzyknęła z entuzjazmem Valentina. – Pamiętacie, że Fosco ścisnął w dłoni papierową kulkę? Chyba była podobna, nie?

Twarz inspektor Blasi się rozjaśniła.

– To prawda. Nie mieliśmy pojęcia, skąd ją wziął, i myśleliśmy, że była dla niego czymś w rodzaju amuletu.

– Jest coś jeszcze... – Valentina zaczęła kartkować dokumenty. Wreszcie znalazła protokół, w którym spisano to, co powiedział chłopiec w szpitalu. Pamiętała dokładnie pewien szczegół i natychmiast odczytała na głos stosowny fragment: „wszędzie były twarze, które mi się przyglądały, nawet na suficie... bałem się ich...”. Teraz rozumiecie?

– Myśleliśmy, że wyklejono wewnątrz furgonetki zdjęciami, żeby z zewnątrz nie można było zajrzeć do środka... – powiedziała Blasi. – Strony z gazet zasłaniające okna...

– A przecież furgonetka nie miała okien... – dodał Zucca.

– Może nie chodzi wcale o wycinki z gazet – zastanowiła się Valentina – może nie były to fragmenty artykułów. Fosco nie wspominał o zapisanych stronach, tylko o twarzach. Milczących twarzach, które mu się przyglądały...

Valentina starała się odtworzyć scenę. Kiedy chłopiec się obudził i wstawał z łóżka, prawdopodobnie oparł się o ścianę i wtedy zerwał, może nawet nieświadomie, kawałek fotografii, którą zabrał ze sobą. Kartka, którą ścisnął w dłoni, mogła więc naprawdę pochodzić z furgonetki. A ten kolorowy kawałek znaleziony w szopie mógł przykleić się do jego bosej stopy w chwili ucieczki. Teza zdawała się nieco naciągana, ale wobec braku innych poszlak...

– Możemy to powiększyć? – zapytała.

Blasi wzięła kartkę i wyszła z pokoju, a Zucca spojrzał na przełożoną.

– Naprawdę sądzisz, że to takie ważne?

Valentina przyłapała się na myśli o tym, co powiedziałby w tej sytuacji Costa. Spontaniczna refleksja, która przysła jej do głowy, z jednej strony ją zdenerwowała, ale z drugiej dodała otuchy, gdyż była pewna, że komendant z ulgą przyjąłby najdrobniejszą wskazówkę. W śledztwie niczego nie należy pomijać.

Mgła znacznie się przerzedziła, chociaż jeszcze nie całkiem rozwiała. Kiedy chodził po miasteczku, zdawało mu się, że znajduje się w akwarium, którego domy, zaułki, krawędzie budynków i place zanurzone są w gęstej cieczy. Mieścina wyglądała na opustoszałą. Prawdopodobnie rano większość mieszkańców Sorano udała się do Grosseto do pracy, dzieci były w szkole, a ci, którzy zostali, schronili się w domach przed zimnem.

Costa spacerował po pustych uliczkach i ocierając się o kamienne mury, słuchał pomruków, które zdawały się dochodzić z fundamentów. Wyobrażał sobie porywacza krążącego wcześniej po tych samych ulicach i słuchającego tych samych odgłosów. Wyobrażał go sobie, jak rozgląda się dookoła, węszy w rozrzedzonym powietrzu, porusza się uważnie, próbując nie rzucać się w oczy. Wypatruje śladów, które zaprowadzą go prosto do ofiary. Tak samo jak Fabio teraz.

Zakład usługowy, którego szukał, znajdował się na końcu wąskiej, stromej uliczki. Balkony domów ze względu na znaczne nachylenie terenu mieściły się na wysokości odpowiadającej wzrostowi dorosłego człowieka. Napis przy wejściu głosił: FOTOGRAF BANTI. W dwóch oknach wystawowych, którym przydałoby się czyszczenie, pełno było różnej wielkości zdjęć umieszczonych w cynowych, metalowych i drewnianych ramkach. W każdym z okien na pierwszym planie umieszczono wielką fotografię mającą zwracać uwagę klientów. Jedna z nich przedstawiała nocny obraz oddający uroki skalistego Sorano. Ujęcie było bardzo sugestywne, a ciepłe, kolorowe światła w oknach domów przywodziły na myśl szopkę bożonarodzeniową. U dołu widniał pochylony podpis fotografa.

Drugie białe-czarne duże zdjęcie uwieczniało procesję, pewnie tę najważniejszą w miasteczku, odbywającą się co roku i przyciągającą wszystkich mieszkańców, zarówno tych wierzących, jak i niewierzących. Costa musiał przyznać, że ujęcie było interesujące, chociaż może nieco niedoświetlone. Zlepek twarzy uchwyconych w ukośnej perspektywie po dokładniejszym przyjrzeniu się ukazywał podobne do siebie grymasy – niektóre natchnione, inne znudzone.

Nie zdziwił się, kiedy odkrył, że ma przed sobą to samo zdjęcie, które wskazało mu drogę. Jedno z wielu, które Banti opublikował na swoim profilu na Facebooku. To, na którym z uwagi na miejsce w grupie, wyrazistość i wyraz twarzy wyróżniała się buzia Fosca Agnellego: stał w pierwszym rzędzie ze wzrokiem utkwionym w autora zdjęcia oraz wirtualnie we wszystkich, którzy będą go podziwiali, czy to na zdjęciu w oknie

wystawowym, czy też na stronie internetowej. Wśród nich ukrywał się ten, który później urządził sobie polowanie na chłopca.

Costa zatrzymał się przy drzwiach. Przez szyby mokre od rosy zobaczył stojącego za ladą mężczyznę.

I teraz – pomyślał – chwycę za klamkę, wejdę i zacznę rozmawiać z fotografem, tak jak zrobił to wcześniej porywacz. Kiedy to mogło być? Czy to tutaj podano mu imię i nazwisko dziecka z fotografii? A jeśli tak, to dlaczego? Jakiego wybiegu użył, by osiągnąć cel?

Była tylko jedna możliwość, żeby się tego dowiedzieć.

Costa wszedł do środka. Dzwonek wiszący u drzwi w dyskretny sposób obwieścił jego obecność.

Mężczyzna za ladą uniósł oczy i przez chwilę Costa miał wrażenie, że widzi w nich błysk przerażenia. Zaraz potem stary fotograf się odprężył.

Costa uznał, że nie ma czasu do stracenia, i przedstawił się, pokazując czerwoną legitymację.

– Domyśla się pan, jaki jest powód mojej wizyty? – zapytał.

Mężczyzna natychmiast przyjął postawę, w której niepokój mieszał się z wyzwaniem.

– Nie. Czy powinienem?

– Miałem taką nadzieję.

– Skoro nawet pan nie wie, po co pan przyszedł...

– W porządku. Ja doskonale znam powód, dla którego tu jestem. Miałem tylko nadzieję, że spotkam rozsądną osobę.

Banti skrzyżował ręce na piersi, po czym spojrzał komendantowi prosto w twarz.

– Mógłbym się dowiedzieć, czego pan ode mnie chce?

– Zna pan Fosca.

– Jakiego Fosca? To dość częste imię u nas... – Zasepił się i zbladł.

– Chodzi mi o chłopca. W oknie wystawowym jest jego zdjęcie. – Costa pokazał palcem za siebie, nie odrywając wzroku od wodnistych oczu starca. – Czy to nie pan jest autorem fotografii? Jest całkiem niezła.

– Ach tak, oczywiście. Dziękuję. Jestem raczej zadowolony ze swojego dorobku. Chce pan ją kupić?

– Czy tak właśnie panu powiedział? Że chce ją kupić?

Mężczyzna zaczął szybko poruszać powiekami. Były pokryte zmarszczkami, tak jak cała jego twarz, która w tej chwili sprawiała wrażenie pomiętej.

– O czym pan mówi?

– O człowieku, który jakiś czas temu pojawił się w pańskim zakładzie i pytał o Fosca Agnellego. O chłopca, który jak mówią, został porwany... Na zdjęciu uśmiecha się tak radośnie... Czy teraz go pan sobie przypomina?

Linia warg fotografa zacisnęła się mocniej, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie tak łatwo go przestraszyć.

– Ja nic nie wiem – oświadczył. – Znam Fosca Agnellego... i słyszałem, że opowiadał o swoim porwaniu. Wszyscy w miasteczku o tym słyszeli. Jeśli mu wierzycie, to wasza sprawa. Tutaj jednak wielu uważa, że dzieciak wymyślił sobie całą historię. Jeśli zaś o mnie chodzi, to nikt ze mną o tym nie rozmawiał i ja nic nie wiem.

– A więc nikt pana o niego nie pytał?

– Nie, zapewniam pana, że nie.

– W przeciwnym razie zgłosiłby pan to na policję, prawda? To ważna informacja, której nikt nie powinien zachować dla siebie...

– Oczywiście, za kogo mnie pan bierze? – Suche usta zadrżały niepokojąco. Może ze złości, a może ze strachu.

– Bo jeśli Fosco mówi prawdę, to porywacz dzieci ciągle przebywa na wolności, a to niebezpieczny człowiek, który znowu może zrobić komuś krzywdę... Wtedy będzie pan świadkiem, który odmówił współpracy... Rozumie pan, co to oznacza?

Fotograf zawahał się przez chwilę. Nie był łatwym przypadkiem: samotny, nieufny, zatwardziały w rozgoryczeniu i w pogardzie dla bliźnich.

– Wiem, co mówię – rzucił wyzywająco.

Costa utkwiał wzrok w mężczyźnie.

– Wie pan, co muszę teraz zrobić? Czego wymaga moja funkcja?

– Co takiego? – zapytał podejrzliwie starzec.

– Muszę zdecydować, czy panu uwierzyć, czy nie. – Obserwował go w milczeniu tak długo, aż wreszcie Banti zaczął się kołysać nerwowo w przód i w tył.

– To niełatwe zadanie – podjął Costa – ale taką mam pracę. Właśnie tak postępuję w dziewięćdziesięciu procentach przypadków, gdy ktoś mi mówi, że nic nie wie. I teraz też albo opuszczę zakład, przyjmując pana odpowiedź za dobrą monetę, albo będę nalegał. Na przykład spróbuję pana przycisnąć. Wie pan, że mamy swoje metody?

Banti milczał.

Costa pokiwał głową.

– Już wiem, co zrobię. Zostawię pana w spokoju.

Banti wyglądał na zadowolonego z obrotu sprawy.

– A potem – ciągnął Costa – będę dalej robił to, za co mi płacą i w czym jestem naprawdę dobry. Będę szukał mężczyzny, który porwał chłopca. Tego samego, który

nigdy nie wszedł do pana zakładu ani nie pytał o Fosca Agnellego. Mężczyzny, w którego istnienie prawie nikt nie wierzy. Lecz jeśli nie jest on wytworem wyobraźni, o czym osobiście jestem przekonany, to ja go odnajdę. Aresztuję go i będę przesłuchiwał. Tak długo, jak to konieczne. Zmuszę go, by powiedział mi wszystko. Ostatecznie to tylko nieszczęśliwy człowiek. Nie diabeł wcielony, a zwykły przestępca. I kiedy zrozumie, że nie ma żadnych szans na uniknięcie więzienia, zacznie mówić i wyzna mi wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Bo w końcu większość kryminalistów tak robi. Opowiada o wszystkim. I wtedy zapytam go też o pana, panie Banti. Zapytam, czy to prawda, że nigdy nie wszedł do pańskiego zakładu, aby zasięgnąć informacji o Foscu. Jestem pewien, że mi odpowie. Powie mi prawdę. A wtedy ja wrócę do pana.

– Żeby mnie aresztować? – zapytał fotograf słabym głosem.

– Jak się uda, to tak. Ale najpierw zacznę mówić. Rozgłoszę w miasteczku, że mógł mi pan pomóc w ujęciu potwora, a nie zgodził się pan na współpracę. Powiem, że nikt nie zdołałby uprowadzić chłopca z Sorano, gdyby pan nie podał jego imienia i nazwiska oraz adresu pierwszemu lepszemu nieznanemu, który wszedł do pana zakładu... Jednym słowem, zmienię pana życie w piekło. – Przerwał na chwilę. – Skoro jednak powiedział mi pan prawdę, nie ma się pan czego obawiać – zakończył i odwrócił się z zamiarem opuszczenia sklepu.

– Proszę poczekać! – zatrzymał go starzec.

Costa spojrział przez ramię.

– Miał białe włosy... długie – szepnął fotograf, spuszczać wzrok. – I uśmiechał się przez cały czas...

Wreszcie zaczął mówić. Teraz był już tylko przestraszonym starym człowiekiem, który przyznawał się do winy.

Powiedział, że mężczyzna był smukły, miał około metra osiemdziesięciu wzrostu i szerokie ramiona zapaśnika. Ponieważ nie był zbyt rozmowny, fotograf nie zauważył naleciałości dialektalnych. Nie pamiętał też, jak mężczyzna był ubrany, prawdopodobnie miał na sobie coś ciemnego.

– I pojawił się tak po prostu, znikąd? – drążył Costa chłodnym tonem.

– Nie zauważyłem samochodu, przysięgam! – Banti uderzył w płaczliwą nutę. – Po prostu wszedł do zakładu. Nie wiem, czy miał samochód albo jakiś inny środek lokomocji.

– Kiedy to było? – nie odpuszczał komendant. – Kiedy z nim rozmawiałeś?

– O mój Boże... nie pamiętam. Chyba w październiku. Tak, w październiku, bo zaczęły się już pierwsze chłody.

Mężczyzna kupił kilka zdjęć z procesji, a Banti nie pytał o powód w przekonaniu, że ma do czynienia z amatorem lokalnych tradycji. Potem nieznajomy zwrócił uwagę na Fosca, wskazując palcem jego anielską twarzyczkę.

Costa skupił się jeszcze bardziej.

– Co dokładnie powiedział?

– Tylko tyle, że zdołałem doskonale unieśmiertelnić tak natchniony moment... Właśnie takich słów użył: unieśmiertelnić. A potem zapytał o imię chłopca.

– A pan mu je podał – stwierdził bez wahania komendant.

– Tak – potwierdził po chwili nieśmiało fotograf, po czym dodał: – Nie widziałem w tym nic złego. Podałem mu tylko imię, przysięgam! Nie powiedziałem, jak się nazywa ani gdzie mieszka. Tylko tyle, że ma na imię Fosco...

Ponownie spuścił wzrok.

Costa zorientował się natychmiast, że stary kłamie, ale uznał, że w tej chwili nie ma sensu nalegać. Nigdy nie przyzna, że wziął od niego pieniądze – pomyślał, zbierając się do wyjścia. Banti zatrzymał go na progu.

– Nie przestawał się uśmiechać – powtórzył. – Był nerwowy, nie mam pojęcia dlaczego... Z trudem wydobywał z siebie głos i od czasu do czasu mrużył oczy. To wszystko, co pamiętam, przysięgam...

Kiedy Costa zamykał drzwi, do jego uszu dobiegło ostatnie zdanie:

– Ja jestem przyzwoitym człowiekiem.

A może było to tylko złudzenie.

W drodze powrotnej do Voltery w samochodzie panowała grobowa cisza, dopóki Zucca nie włączył radia. Cicha muzyka zaczęła pieścić ich myśli. Wybrał stację z repertuarem jazzowym, którego był wielbicielem, i nawet do głowy mu nie przyszło, żeby zapytać współpasażerów o zdanie. Na szczęście ani Valentina, ani Costa nie zwrócili na to uwagi. Oboje obserwowali pograżoną w ciemnościach drogę, rozjaśnioną jedynie reflektorami samochodu na długości kilku metrów przed nimi.

Wyprawa, na którą wyruszyli niemalże w tajemnicy, przyniosła pozytywne rezultaty.

Rysopis mężczyzny, który pytał o Fosca, zgadzał się z opisem dostarczonym wcześniej przez świadków i był to bardzo ważny element w śledztwie. Blasi zajęła się przygotowaniem portretu pamięciowego porywacza na podstawie opisu fotografa, który dodatkowo mógłby go rozpoznać po zatrzymaniu.

Poza tym mieli jeszcze skrawek papieru znaleziony w szopie.

Po powiększeniu przekonali się, że chodzi o reprodukcję obrazu. Zarówno tło w neutralnym kolorze, jak i włosy sportretowanej młodej kobiety nosiły ślady pociągnięć pędzlem. Podejrzewali, że chodzi o dzieło znanego artysty, chociaż na podstawie tak małego fragmentu nic pewnego nie dało się powiedzieć.

– To nie jest papier gazetowy – stwierdziła Valentina. – Wygląda na znacznie grubszy i szlachetniejszy. Może pochodzić na przykład z katalogu z dziełami sztuki. – Przekazała komendantowi skrawek papieru zabezpieczony w foliowej torebce, a on nie przestawał obracać dowodu w palcach.

– Nie mamy pewności, że kartka rzeczywiście pochodzi z furgonetki – powiedział cicho, bardziej do siebie niż do kolegów. – A nawet jeśli, to może nie mieć żadnego znaczenia dla sprawy. Niemniej przyjmijmy, że każdy nowy element może okazać się ważny. – Spojrzał na Valentine, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej obecności. – Zgadzasz się?

Nie odpowiedziała. Nie było takiej potrzeby. Muszą jak najlepiej wykorzystać tę skromną wskazówkę.

– Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, co to za obraz – ciągnął Costa. – Jeśli jest znany, nie powinno nam to zająć zbyt dużo czasu.

– Co proponujesz?

– Mam pomysł. Znam pewnego człowieka. To ekspert w dziedzinie historii sztuki, a poza tym osoba posiadająca niezwykle giętki umysł. Uwierz mi, właśnie takiego

człowieka teraz potrzebujemy.

– W porządku. Zajmiesz się tym?

Costa pokiwał głową.

– Pojadę do Rzymu najszybciej, jak się da.

– Nie możesz wysłać mu maila?

– Nie znasz faceta, z którym chcę się spotkać – odparł z rozbawioną miną, którą Valentina widziała u niego po raz pierwszy.

Po tej wymianie zdań zanurzyli się w pełną przemyśleni ciszę. Aż do momentu, gdy Zucca postanowił wypełnić wnętrze auta szorstkimi dźwiękami trąbki Milesa Davisa, które towarzyszyły im do końca podróży.

– Ja ją znałam.

Siria Lucchesi stanęła w drzwiach i patrzyła na Valentinę, nie okazując żadnych emocji. Tylko jej dłonie zdradzały lekkie zdenerwowanie.

Dobrze wiedziała, kogo kobieta ma na myśli, lecz mimo to zapytała:

– O kim mówisz?

– O Dianie Marini, kochance Fabia.

Weszła do pokoju, który Costa czasowo odstąpił Valentinie. Na biurku, pomiędzy dokumentami i papierami, rzucał się w oczy rysunek przedstawiający portret pamięciowy. Długie włosy, ciemne oczy, spiczasty podbródek i wąskie usta ułożone w grymas, który prawdopodobnie miał oznaczać uśmiech. Był to orientacyjny wizerunek poszukiwanego mężczyzny. Kiedy inspektor Blasi przesłała jej to, co technikowi kryminalistycznemu z Grosseto udało się naszkicować na podstawie opisu przekazanego przez Bantiego, po raz kolejny poczuła rozczarowanie. Pomimo interwencji Costy fotograf ciągle był zdezorientowany i przestraszony. Często się zdarza, że świadek nie jest w stanie opisać twarzy czy ubrania, czasami nawet jego wyobrażenia nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Pamięć płata figle. Loris Manna od razu wziął się do pracy, aby stworzyć bardziej realny, trójwymiarowy portret, który właśnie porównywał ze zdjęciami skazanych z policyjnej bazy danych. Robili wszystko, co trzeba, chociaż nie mieli nadziei na oszałamiające rezultaty.

Lucchesi usiadła naprzeciw, sięgnęła po kartkę z portretem, przyjrzała mu się dokładnie, po czym odłożyła na miejsce. Oczywiście otrzymała już wcześniej kopię w Pizie i nie omieszkała wyrazić wątpliwości co do nikłej wartości poszlaki. Valentina zdążyła już jednak nieco poznać sposób rozumowania koleżanki. Zarzuty Costy z poprzedniego dnia skierowane były bardziej do niej niż do prokuratora. Lucchesi należała do tego typu funkcjonariuszy, którzy niechętnie podejmują niepopularne decyzje. To sprawiało, że jej kariera pozostawała niezagrożona, ale niosło też ryzyko utraty z pola widzenia najważniejszego punktu śledztwa.

Być może poczuła się urażona uwagami Costy i dlatego przyszła porozmawiać o Dianie. A może chodziło tylko o kobiecą solidarność, w którą zresztą Valentina nigdy specjalnie nie wierzyła. Zwłaszcza gdy chodzi o kobiety pokroju Lucchesi.

– Znałam ją dość dobrze – podjęła tymczasem Siria, patrząc Valentinie w oczy. – Przed laty pracowałyśmy razem w komendzie głównej w Neapolu. Obie dopiero zaczynałyśmy karierę: ona jako młoda inspektor policji, a ja w pionie zarządzającym.

Byłyśmy świeżo po kursie, a głowy i serca miałyśmy wypełnione entuzjazmem. Udało nam się zrobić sporo dobrego. Diana była bystra. Potem nasze drogi się rozeszły, ona trafiła do centrum operacyjnego, a mnie przerzucano z miejsca na miejsce po całych Włoszech, żebym nabrała doświadczenia. – W jej oczach pojawił się cieplejszy blask. Czyżby lodowata Lucchesi była zdolna do wzruszeń?

Valentina nie dała po sobie poznać żadnych emocji.

– Diana była naprawdę kompetentna – powtórzyła Sira. – I była silną kobietą. Lubiałam ją. Musieli ją zniszczyć, skoro zdecydowała się na tak drastyczny krok... On musiał ją zniszczyć.

– Zasięgnęłam informacji w tej sprawie. Costa został uniewinniony...

– Też mi niespodzianka – powiedziała z sarkazmem. – Uważasz, że wszystkie wyroki są słuszne?

– Został uniewinniony – powtórzyła, jakby to magiczne słowo zamykało temat.

Lucchesi pokręciła głową.

– To nie ma znaczenia. Jego prawdziwa wina nie pokrywa się z aktem oskarżenia. On pozwolił jej umrzeć. A wcześniej zmienił jej życie w piekło. Na miłość boską, Valentino, przecież ty pracujesz w tym środowisku. Dobrze wiesz, jak trudno jest młodej, ładnej i zdolnej kobiecie nawet teraz zrobić karierę w policji. A Diana właśnie taka była. Na pozór silna, lecz w środku...

Siria Lucchesi nie kryła już swego wzruszenia, ale zamiast jej współczuć, Valentina odczuwała coraz większe rozdrażnienie. Ta kobieta próbuje uczyć ją moralności, mówi jej, co ma myśleć, chociaż nawet jej nie zna. Ostrzega ją przed kolegami? Odkryła Amerykę! Przez całe życie zawodowe Valentina czuła się przytłoczona, przestraszona, nie na miejscu... A przecież to, co osiągnęła, zawdzięcza tylko sobie, niezależnie od tego, co myślą inni. I bez użalania się nad sobą. Potrafi oceniać ludzi. I sama potrafi wyrobić sobie opinię o kimś takim jak Fabio Costa, biorąc pod uwagę jego wady i stopień odpowiedzialności za śmierć kochanki. A powodowana zazdrością Siria Lucchesi nie będzie jej uczyła, jak wygląda praca w policji.

– Dlaczego mi to wszystko opowiadasz? – zapytała z niechęcią.

– Może dlatego, że trochę mi ją przypominasz.

Cios poniżej pasa. Nie spodziewała się, że aż tak zaboli. Wcześniej instynktownie stanęła w obronie Costy. A Lucchesi chciała jej chyba dać do zrozumienia, że powinna też pomyśleć o Dianie.

– Chciałam cię ostrzec, nic więcej – podjęła Siria. – Widzę przecież, jak dajesz się wodzić za nos... To zresztą zrozumiałe. Ale uważaj, bo stąpasz po grząskim gruncie. Zaprowadzi cię to na drogę pełną pułapek.

– Naprawdę tak dobrze go znasz? Pomijając oczywiście ten nieszczęśliwy wątek z Dianą. Znasz go jako człowieka? Pytam szczerze, chciałabym to wiedzieć.

Kobieta wpatrywała się w nią znacznie dłużej, niż nakazywała uprzejmość. Na jej twarzy ponownie pojawiła się maska chłodnej obojętności.

– Nie. Nigdy nie miałam ochoty go poznać. Od kiedy pracuję w Toskanii, spotkałam go tylko kilka razy w sprawach zawodowych. Nie znam go i nie zamierzam poznawać. Diana była moją koleżanką i to mi wystarczy.

Wstała. Dla obu było jasne, że po tej rozmowie nic się nie zmieniło.

– Gdzie on teraz jest? – zapytała Lucchesi.

– W Rzymie. Znaliśmy ślad...

– Tak, tak, wiem – przerwała zniecierpliwiona. – Czytałam ostatni raport. Wygląda na to, że szukacie duchów. Nie kieruje mną nieufność do Costy, naprawdę tak uważam.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli wielki wybór. Mam na myśli śmierć Marchesiego.

Valentina oddała cios, ale nie zauważyła, aby wywarł na Lucchesi jakieś wrażenie. Jej twarz nawet nie drgnęła.

– Sama się przekonasz, że trafisz w ślepy zaułek – ostrzegła ją po raz kolejny. – Przypomnisz sobie moje słowa... – Ruszyła w stronę drzwi i je otworzyła, lecz zatrzymała się na progu i znowu odwróciła się w stronę Valentiny. – Aha, chciałam ci też powiedzieć, że poinformowałam o wszystkim komendanta Falconego. Moim obowiązkiem było naświetlić mu sytuację... Śledztwo prowadzone jest przez prokuraturę w Pizie, a ja nie mam zamiaru świecić oczami z powodu waszych niedorzecznych pomysłów. Musimy uratować chłopca, a strata czasu oznacza skazanie go na śmierć.

Lucchesi opuściła pokój, a Valentina zacisnęła zęby ze złości, starając się opanować negatywne emocje. Pewnie dałaby im upust, gdyby nie Zucca, który w tym momencie wszedł do pokoju, niemal zderzając się z szefową grupy operacyjnej z Pizy.

Wyciągnął rękę, w której trzymał komórkę.

– Dzwoni Costa, z Rzymu... mówi, że próbował skontaktować się bezpośrednio z panią, ale chyba ma pani wyłączony telefon.

Valentina wzięła telefon Angela, a drugą ręką sięgnęła po swój. Rzeczywiście, wyświetlacz nie reagował. Pochłonięta zbyt wieloma sprawami, zapomniała naładować komórkę.

Była tak zła na siebie i na cały świat, że przywitała Costę niezbyt uprzejmie.

– Powiedz, że masz jakieś dobre wieści, bo inaczej dostanę szału.

– Nie uwierzysz w to, co zaraz usłyszysz – odpowiedział natychmiast komendant.

Powrót do Rzymu nie zrobił na nim żadnego wrażenia, chociaż przygotował się na najgorsze. Od kiedy zesłano go na prowincję, zaledwie kilka razy miał okazję pojawić się w stolicy. Po raz ostatni było to dwa lata temu, kiedy podpisywał dokumenty rozwodowe. Tym symbolicznym aktem potwierdził też koniec związku z miastem, które bardzo kochał, jak i z całym wcześniejszym życiem.

Żałował tylko straty jednej osoby, której naprawdę mu brakowało: syna Lorenza. Chłopak zdecydował się na zerwanie stosunków z ojcem, aby w ten sposób pomóc matce zachować równowagę psychiczną. Wykluczył go ze swojego życia. Costa rozumiał syna i uszanował jego decyzję. Niezależnie od tego, jak bardzo cierpiał z powodu rozłąki, wiedział, że nie ma innego wyjścia. Jedyłą nadzieją, która podtrzymywała go na duchu, było oczekiwanie, że z czasem sytuacja może się zmienić, przynajmniej częściowo. Nie liczył na wybaczenie, jedynie na odrobinę litości. To było wszystko, czego się spodziewał.

Rzym stał się symbolem wszystkich jego klęsk. Tymczasem powrót do wiecznego miasta w żaden sposób nim nie wstrząsnął, a jedynie sprawił, że poczuł się bliżej syna, chociaż w trzymilionowej metropolii taka myśl wydawała się co najmniej absurdalna.

Biuro Giampaola D'Avanza znajdowało się przy ulicy Tacito w centrum Rzymu i Costa zawsze mu zazdrościł tego lokum położonego w dzielnicy pełnej teatrów, księgarń, galerii sztuki i renesansowej architektury. Niestety również tutaj świat się zmieniał. Obok bramy eleganckiej kamienicy, w której mieszkał i pracował krytyk sztuki, pojawił się pakistański lokal gastronomiczny, z którego dochodził intensywny zapach kurczaka z rożna i mocno przypalonego oleju.

D'Avanzo dobrze się trzymał jak na swoje sześćdziesiąt lat, zawsze nosił się bardzo elegancko, poczynając od zadbanej szpakowatej fryzury, a na butach w stylu angielskiego dżentelmena kończąc. Współpracował z Costą kilka lat wcześniej w trakcie skomplikowanego śledztwa dotyczącego serii zabójstw łączących się z nielegalnym handlem dziełami sztuki. D'Avanzo początkowo znalazł się w kręgu podejrzanych, ale ostatecznie okazał się bezcennym współpracownikiem. Z kolei Costa od razu docenił jego wyjątkową znajomość kultury oraz wyrafinowany umysł. Nowy znajomy zdawał się mieć również specjalne powołanie do rozwiązywania zagadek. W innym życiu mógłby być doskonałym śledczym. I był idealną osobą do pomocy przy identyfikacji fragmentu obrazu.

Gospodarz poprowadził go do salonu pełniącego zarazem funkcję gabinetu. Pomieszczenie wypełnione było dziełami sztuki: drogocennymi obrazami, rzeźbami, zabytkowymi meblami. Poszczególne egzemplarze miały różny charakter i reprezentowały różne style, niemniej ten chaos kolorów i form jakimś cudem tworzył wyjątkową harmonię. Nikogo nie dziwiło, że w mieszkaniu krytyka sztuki obok drewnianej rzeźby z Polinezji stoi romańskie popiersie. Jedynym, czego próżno byłoby szukać pod dachem ekstrawaganckiego eksperta, była technologia. Nie miał komputera. Nie miał dostępu do Internetu. Nie korzystał z żadnych nowoczesnych zdobyczy techniki, chociaż ten wybór bardzo utrudniał mu pracę. Właśnie dlatego Costa nie mógł wysłać mu mailem zdjęcia z fragmentem obrazu. Profesor poczynił tylko jedno ustępstwo wobec wygód dwudziestego pierwszego wieku – stanowił je stary model komórki, który jednak nie posiadał opcji przesyłania ani odbioru fotografii.

D'Avanzo powitał Costę bardzo serdecznie i ani słowem nie nawiązał do przykrej historii, która spowodowała jego wyjazd z Rzymu. Uścisnęli się szczerze, a szeroki uśmiech krytyka wyrażał niekłamana sympatię, którą żywił do policjanta.

Kiedy usiedli, Costa został zmuszony do przyjęcia kieliszka koniaku Hennessy, który D'Avanzo trzymał dla prawdziwych przyjaciół (*Dla nielicznych, uwierz mi, tylko dla tych nieudawanych*), po czym od razu przystąpił do rzeczy. Bez słowa podał profesorowi kolorową kopię z powiększonym fragmentem strony, który znaleźli w Sorano.

Krytyk przyjrzał się dokładnie skrawkowi papieru, używając do tego celu lupy, którą wyjął z kieszeni marynarki.

Po chwili podniósł oczy na policjanta.

– Chyba wiem, o co chodzi – powiedział bez nadęcia, chociaż oczy błyszczały mu z dumy.

Costa zagwizdał z podziwem.

– Tylko dwie minuty. Gratulacje.

– Nieźle, ale nie chciałbym przedwcześnie ogłaszać zwycięstwa... Pozwól, że sprawdzę. – Wstał i podszedł do biblioteczki. Bez wahania sięgnął po odpowiedni tom i wrócił z nim do Costy. Położył album na stolyczku do palenia w stylu Ludwika Filipa. – Caravaggio – obwieścił.

Album zawierał reprodukcje najświetniejszych dzieł artysty. Dobra jakość podkreślała jeszcze bardziej intensywność barw i moc poszczególnych detali. Surowe oblicza, ciała postaci w ruchu oraz typowy dla Michelangela Merisiego światłocien przykuły wzrok Costy niczym dobra wróżba. Tak, to prawda. Jeśli istnieje artysta

mogący oddać niepokój, którego sprawcą jest poszukiwany przez nich porywacz dzieci, to jest to właśnie Caravaggio.

D'Avanzo zaczął kartkować książkę, by zatrzymać się mniej więcej w połowie.

– Oto on! Odwrócił album, aby policjant mógł przyjrzeć się reprodukcji obrazu. – To *Koncert* pochodzący mniej więcej z tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku – powiedział. – Obraz olejny na płótnie. Jedno z dzieł, które w stolicy przyniosło malarzowi sławę, a nawet szczęście. Widziałeś go kiedyś?

Zauroczony Costa wpatrywał się w obraz. Chyba już kiedyś widział jakąś reprodukcję tego dzieła, ale nigdy nie poznałby go na podstawie tak małego fragmentu. No i oczywiście nie pamiętał uchwyconych na nim rysów twarzy.

Nie mógł oderwać wzroku.

Na obrazie przedstawiono cztery postacie. Trzej młodzi muzycy siedzieli obok siebie, dwaj z nich zajęci byli strojeniem instrumentów, a trzeci studiował nuty. Na drugim planie, po lewej, widniała twarz czwartego młodzieńca, odmiennego od pozostałych.

– To skrzydlaty amorek – uświadomił go D'Avanzo. – Został umieszczony nieco na uboczu i reprezentuje erotyzm w zmysłowej, alegorycznej formie. Na skrawku papieru, który mi pokazałeś, widać właśnie jego włosy. To górna część obrazu. I nie chodzi o kobietę, jak sądziliście, lecz o panseksualną twarz mitologicznej postaci. To Kupido. Jego obecność rzuca całkiem inne światło na trzech młodzieńców. Jednym z nich jest sam Caravaggio, to ten w środku... Artysta lubił się portretować.

Costa już go jednak nie słuchał.

To nie autoportret mistrza przyciągnął jego uwagę. Ani nie twarz Kupida w tle. Nawet nie ta zmysłowa atmosfera sceny, o której wspomniał Giampaolo D'Avanza.

Oszołomiony i przerażony policjant nie mógł oderwać wzroku od oblicza muzyka, który wpatrywał się w niewidzialny horyzont.

Miał przed sobą twarz Fosca Agnellego. I twarz Andrei Venturiego.

Chłopiec sportretowany na obrazie był bliźniaczo do nich podobny.

Mężczyzna, który się uśmiecha

Nie mogła w to uwierzyć, chociaż sama pierwsza zwróciła uwagę na niezwykle podobieństwo chłopców łączące obie sprawy. Nie ma sensu się teraz dziwić. Wyjaśnienie było nawet logiczne, mimo że oszałamiające i niespodziewane.

Costa powiadomił Valentinę o swoim odkryciu późnym wieczorem. Wyszedł od profesora i po chwili wahania postanowił zadzwonić, chociaż jeszcze nie wiedział, jak wyjaśnić ostatnie odkrycie. Teraz chciał jak najszybciej wrócić do Volterry.

Kiedy Valentina zakończyła połączenie, natychmiast poszukała w sieci reprodukcji obrazu rozpoznanego przez D'Avanza. Kiedy pojawił się na ekranie, policjantka zmieniła się w słup soli.

Wyglądało na to, że cienie z obrazu Caravaggia rozbudziły posępne pokłady obłądzenia zalegające w umyśle człowieka, który w Foscu i Andrei szukał sobowtórów lutnisty – głównego bohatera obrazu. Światło rozpalające obłądzenie było silne, lecz jakby wynaturzone. Krwawe niczym dzieła sztuki artysty, którego chciał naśladować. Trwało to całą wieczność, zanim Valentina zdołała wreszcie oderwać oczy od obrazu. I jeszcze dłużej, zanim wreszcie zaczęła logicznie myśleć. Nie pozostawało jej nic innego, jak analizować i rozważać wszystkie możliwe warianty.

Loris Manna ledwie co się położył, kiedy został brutalnie obudzony i zmuszony do szukania naukowego wyjaśnienia tego, co właśnie odkrył Costa. Technik przez chwilę obserwował obraz. Potem jego oczy rozbłysły, przeskakując raz po raz od muzyków do zdjęć przedstawiających dwóch chłopców. Następnie bez słowa zabrał się do pracy i nawet nie zauważył, kiedy minęła noc.

Gdy Costa wrócił do komisariatu, zaczynało świtać, a Manna ciągle siedział przyklejony do komputera.

Przerzucił do systemu wszystkie informacje na temat Caravaggia. Ściągnął skany dzieł szesnastowiecznego mistrza, po czym porównał je ze zdjęciami obu chłopców. Wziął też pod lupę fotografię Salvatorego Esposta, jedenastolatka, który kilka dni wcześniej zaginął w Neapolu.

W końcu podzielił się z kolegami rezultatami swojej nocnej jazdy bez trzymanki.

Na płótnie wskazanym przez Giampaola D'Avanza artysta przedstawił czterech młodzieńców, ale jedynie dwóch ma twarze zwrócone ku widzom. Na pierwszym planie znajduje się sobowtór Fosca i Andrei. Za nim zaś, jak wyjaśnił profesor, drugi z bohaterów, którego oblicze to jeden z wielu młodzieńczych autoportretów Caravaggia. Artysta uwielbiał używać własnej twarzy mniej znaczącym postaciom na

obrazach. Nie było w niej jednak żadnego podobieństwa do chłopca z Neapolu. Być może Salvatore przypomina muzyka z pierwszego planu, odwróconego plecami i zajętego czytaniem nut. Na obrazie widać jedynie część jego lewego profilu. Zbyt mało, by porównać ze zdjęciem Salvatorego. Chociaż czemu nie – chłopiec mógłby zastąpić przedstawionego na obrazie muzyka.

Czwarta postać, ta po lewej stronie malowidła, według ekspertów przedstawia skrzydlatego Kupida z kołczanem i jest jedynym elementem o mitologicznych atrybutach, ale przy tym równie sugestywnym jak pozostali bohaterowie.

– Jak widzicie – powiedział Manna do Valentiny i Costy – z dwojga chłopców Fosco jest bez wątpienia bardziej podobny do muzyka namalowanego prawie pięćset lat temu przez Caravaggia. Popatrzcie, on wygląda jak model, którego malarz miał przed oczami podczas tworzenia dzieła.

Dziwne, lecz prawdziwe. Podobieństwo do młodzieńca z obrazu było zadziwiające. Gęste brwi, nieco skośne oczy, wydatne usta. No i przede wszystkim karnacja: bardzo jasna, jedyna w swoim rodzaju.

– Andrea Venturi odbiega nieco od oryginału – zauważył Manna.

I wszyscy zadali sobie w myślach pytanie, o który oryginał chodzi. Ten stworzony perfekcyjnymi pociągnięciami pędzla, doskonały, jeśli idzie o dobór barw i proporcji, czy o cierpiące dziecko z krwi i kości? Postać na płótnie miała ciemniejszą karnację niż wprowadzony chłopiec oraz węższe usta. Żywy Andrea był bardziej rumiany, mniej anielski.

– Mężczyzna, którego szukamy, nie mógł o tym wiedzieć, zanim go nie zobaczył – szepnęła Valentina.

A Costa dodał:

– A wtedy było już za późno na zmianę decyzji.

Manna zaczął uderzać szybko w klawiaturę i podzielił *Koncert* na małe, regularne części, oddzielone zielonymi odbłaskowymi liniami tworzącymi kratkę. Mógł dowolnie wybierać z obrazu fragmenty, analizować je i porównywać.

– Teraz uruchomię SARI – powiedział. – To program wykorzystywany do rozpoznawania twarzy. Oczywiście nieco go ulepszyłem. Spójrzcie tylko...

Program porównywał jednocześnie twarze obu chłopców oraz muzyka z obrazu Caravaggia. Rezultat okazał się zadziwiający, chociaż podobieństwo widoczne było już wcześniej gołym okiem. Oprogramowanie podało wyrażone procentowo szacunki, według których twarz Fosca Agnellego w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach odpowiadała rysom młodego lutnisty, podczas gdy podobieństwo Andrei Venturiego zostało ocenione na osiemdziesiąt dwa procent. Kiedy z kolei poddano analizie zdjęcie Andrei udostępnione przez Marchesiego w Darknecie, które prawdopodobnie

trafiło do rąk porywacza, wynik wyniósł aż dziewięćdziesiąt cztery procent. Wszystkie te liczby nie oddają jednak wrażenia, jakie samo odkrycie wywarło na zaangażowanych w sprawę śledczych.

Valentina i Costa po raz setny przyglądali się zdjęciom na ekranie monitora. Mieli przed sobą odzwierciedlenie obłądu, którego nie byli w stanie pojąć, ale znaleźli wreszcie pierwszą solidną poszlakę. Teraz nadszedł czas na wyciągnięcie wniosków.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytała Valentina. – To znaczy... co takiego jest w tym obrazie, co popycha przestępcę do szukania sobowtórów postaci przedstawionych na płótnie? Co to za zaburzenie psychotyczne?

– Dzieło znajduje się obecnie w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku – wyjaśnił Loris, który zajrzał wcześniej do Internetu. – Jego powstanie datuje się na lata między tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym czwartym a tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym siódmym. Caravaggio namalował je prawdopodobnie na zlecenie swojego rzymskiego mecenasa, kardynała Francesca Marii del Montego. Wielu znawców tematu twierdzi, że artysta, który w owym czasie był zamieszany w jakieś ciemne sprawy, uratował się tylko dzięki protekcji wpływowego prałata... Malarz chętnie gościł w gospodach, odwiedzał spelunki, gdzie uprawiano hazard, nie stronił też od przybytków rozkoszy. Zamordował nawet człowieka, wiedzieliście o tym? Może to jest właśnie związek, którego szukamy... – Zastanowił się przez chwilę. – Nie, to jakiś absurd.

Costa pokręcił głową.

– Nie sądzę, aby powód, dla którego poszukiwany przez nas morderca porwał Fosca i Andreę, miał coś wspólnego z życiem prywatnym Caravaggia. Może raczej z obrazem... chociaż i tego nie jestem pewien.

– Przecież sam mówiłeś, że nawet twój ekspert od razu dostrzegł podobieństwo – przypomniała Valentina. – A rezultaty, które otrzymaliśmy dzięki programom do rozpoznawania twarzy, potwierdzają, że to nie żadne wymysły...

– Nie, nie... chciałem powiedzieć, że być może przestępca nie ogranicza się tylko do jednego obrazu. Może jego obsesja dotyczy całej twórczości Caravaggia...

– Nie rozumiem...

– Mój przyjaciel opowiedział mi co nieco o artyście i jego czasach. Otóż Caravaggio szukał modeli i modelek na ulicach wśród ludu, prostytutek, żebraków, dzieci... Interesowali go zwykli ludzie, którym potem nadawał wybrane przez siebie role. Uwieczniał ich na swoich obrazach jako świętych, w roli Jezusa albo jako bohaterów historycznych. Był za to zaciekle krytykowany. Wielu nabywców odmawiało przyjęcia zamówionych wcześniej obrazów. Na jego płótnach znajdziemy twarze ludzi, którzy żyli w jego epoce. A artysta bez wątpienia znał ich osobiście.

– I co z tego wynika?

– D’Avanzo powiedział mi, że jeśli istnieje malarz, w którego dziełach warto szukać podobieństw przedstawionych postaci do prawdziwych ludzi, to jest nim właśnie Caravaggio. A *Koncert* to prawdopodobnie jedno z pierwszych dzieł, na którym pojawiają się modele z ulicy, sportretowani na żywo w jego pracowni podczas wielogodzinnych sesji. Artysta musiał więc z nimi obcować na co dzień. – Costa spojrział na Valentine. – Jeśli wykluczmy pociąg seksualny, to co innego może powodować przestępcą, że szuka sobowtórów postaci namalowanych przed wiekami? Realizm przedstawionych twarzy? Jeśli tak właśnie jest, to musimy wziąć pod uwagę szerszy zakres jego zainteresowań. Może nie ogranicza się tylko do dzieci.

– Czekaj, czekaj – wtrącił się Manna. – Co masz na myśli? Czego powinniśmy szukać?

– Caravaggio jest autorem pokaźnej liczby obrazów – odpowiedział Costa. – Ich charakter jest jednak podobny: twarze modeli, światło, które je oświetla, jednym słowem: realizm. Niemniej artysta sportretował w swoim życiu ludzi różnego typu i w różnym wieku.

Valentina powoli zaczęła rozumieć tok myślenia kolegi.

– Nasz podejrzany nie jest pedofilem... – szepnęła.

– No właśnie, nie ma żadnych wskazówek potwierdzających taką tezę – przytaknął Costa. – A Marchesi powtarzał to jak mantrę. To nie jest ktoś taki jak on. Mówiłeś, że twój „Bóg” może znaleźć wszystko, prawda? – zwrócił się tym razem do Lorisa.

Manna się zaczerwienił, ale widać było, że jest dumny ze stworzonego przez siebie oprogramowania.

– Prawie wszystko – przyznał.

– A więc poszerzamy zakres poszukiwań. Wrzuć do programu wszystkie reprodukcje obrazów Caravaggia, które znajdziesz w sieci, i porównaj z bazą danych ministerstwa. Nie ograniczaj się tylko do dzieci. Szukaj wśród wszystkich zaginionych osób, wśród ofiar niewyjaśnionych morderstw, użyj wszystkich dostępnych źródeł z materiałem ikonograficznym. Zobaczymy, czy coś wyjdzie na jaw.

Zostali na miejscu i obserwowali w napięciu obraz, który zajmował teraz wszystkie ekrany Lorisa Manny. Ciemne oczy niepokornego artysty użyte przed czterema wiekami młodemu muzykowi zdawały się równie uważnie śledzić całą operację. Błyszcząca w nich złośliwość sprawiała, że zdawał się bardziej żywy niż obecni w pokoju policjanci.

Hotel, w którym zatrzymała się Valentina, znajdował się dokładnie naprzeciwko komisariatu, po drugiej stronie placu. Od kiedy przyjechała do miasteczka, jedynym miejscem, które poznała, była właśnie ta przestrzeń licząca zaledwie około stu metrów kwadratowych wybrukowanych kamieniami pamiętającymi odległe czasy. Każdego dnia przemierzała ten plac kilka razy, starając się nie dostrzegać otaczającego ją piękna, aby nie rozpraszać myśli.

Teraz wróciła do pokoju, żeby wziąć prysznic. Costa niemalże wypchnął ją za drzwi komisariatu. Oboje prawie nie spali od dwóch dni, ale mężczyzna nie tracił czasu na zbędne dyskusje.

– Ja mogę sobie pozwolić na zmęczenie – powiedział. – Natomiast ty musisz być w świetnej formie. Odpowiadasz przed prokuraturą, przed centralą w Rzymie, przed naszymi ludźmi, którzy harują jak dzikie osły przy tej sprawie. Jeśli ty padniesz, wszystko się zawali.

Oczywiście miał rację. Musiała dać z siebie wszystko, ale nie mogło pokonać jej zmęczenie.

Zgodziła się odpocząć kilka godzin pod warunkiem, że potem przyjdzie jego kolej. Fabio obiecał, że tak właśnie zrobi, po czym poszedł sprawdzić, co słychać u Manny. Był przekonany, że teraz już niewiele brakuje do rozwiązania zagadki związanej z obrazami Caravaggia.

Kiedy po orzeźwiającej kąpieli Valentina suszyła włosy, jej myśli nieustannie wracały do Fabia. Jego obecność dodawała jej otuchy. Cokolwiek mówili o nim Lucchesi i inni, cokolwiek zrobił w przeszłości, jej zaufanie do komendanta rosło z każdym dniem. Była też na tyle szczerą, by sama przed sobą przyznać, że ten mężczyzna pociąga ją fizycznie. Jego zranione spojrzenie i uprzejmy sposób bycia sprawiały, że zaczynała czuć się nieswojo. I jeszcze coś na kształt wstydlivej empatii, która zapuszczała korzenie w najgłębsze zakamarki jej duszy. Uwalniała i rozważała myśli, które wcześniej ukrywała nawet przed samą sobą, choćby zuchwałe przekonanie, że tylko ona jest w stanie rozwiązać tak skomplikowaną sprawę. Ona, która tak często wątpiła w siebie i w swoje umiejętności. Czuła się tak, jakby Fabio mobilizował ją do bycia lepszą, nie obawiając się, czy ona to zauważy, czy nie.

Gdyby tylko zechciał się przed nią otworzyć. Gdyby potwierdził jej przekonanie, że w tamtej sprawie z gwałtem i samobójstwem on też był ofiarą, a nie tylko sprawcą

wszelkiego zła. Gdyby pomógł jej rozwiać wątpliwości, które pukały do jej sumienia jak gałęzie drzewa w okno.

Kiedy wyszła z hotelu pokrzepiona nieco godzinną drzemką, świt zdążył się już zmienić w jasny, rześki poranek. Zdawało się jej, że czuje w nozdrzach zapach pierwszego śniegu, który pewnie niedługo spadnie w otaczających miasteczko górach. Tymczasem było to jedynie złudzenie spowodowane świeżym powietrzem. Atmosfera byłaby naprawdę urzekająca, gdyby nie dręczące ją myśli o porwanym dziecku, którego nikt już nie spodziewał się odnaleźć żywego. A do tego koszmarna wizja mordercy kolekcjonującego twarze nieżyjących ludzi.

Przed komisariatem w kiosku znajdującym się na rogu placu powieszono plakat ociekający czerwonym atramentem, a duże litery tytułu od razu przykuły jej wzrok.

SERYJNY PORYWACZ KRAŹY PO TOSKANII. MORDERCA Z VOLTERRY ZAATAKOWAŁ
PO RAZ DRUGI. JEGO CELEM SĄ DZIECI.

Valentina wstrzymała oddech i kupiła egzemplarz „Tirreno”. W dzienniku zamieszczono krótką informację na pierwszej stronie, by powrócić do tematu na łamach poświęconych kronice policyjnej, gdzie można było znaleźć wiele więcej szczegółów.

Dziennikarz opisujący wydarzenia musiał sporo wiedzieć. Zbyt dużo jak na jej gust. Po raz pierwszy ktoś z zewnątrz łączył sprawy Fosca Agnellego i Andrei Venturiego. Wskazywał na podobieństwa. Przytaczał nawet informację dotyczącą białych włosów porywacza. Artykuł zawierał też zdjęcie Andrei, którego wizerunek od tygodnia rozpowszechniały wszystkie media w kraju. Nie zamieszczono fotografii przedstawiającej Fosca, ale autor rozwodził się nad niesamowitym podobieństwem obu chłopców. Potem, ku uciesze czytelników, następowała seria najdziwniejszych teorii, a Valentina przestraszyła się, że za chwilę przeczyta coś o związku sprawy z dziełami Caravaggia. Na szczęście tego tam nie było. Niemniej ktoś przekazał dziennikarzowi poufne treści i nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć.

Pobiegła do komisariatu i od razu skierowała się do małego pokoju, w którym tymczasowo zaszył się Costa. Cała się trzęsła ze złości i z bezsilności. Czuła, jak w jej ciele wzrasta poziom adrenaliny.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony komendant.

Valentina rzuciła mu gazetę na biurko i usiadła ciężko na krześle.

– Pomóż mi to wszystko ogarnąć, bardzo cię proszę. Nie mam ochoty na zbiorowe odprawy. Nie teraz.

Costa szybko przejrzał gazetę, po czym oparł się wygodnie i obserwował Valentine w typowy dla siebie sposób.

– Wcześniej czy później tak się musiało zdarzyć – powiedział. – To niczego nie zmienia.

– Tak uważasz? Zapomniałeś już, jak wygląda praca w terenie? Zapomniałeś o naciskach z góry i całej otocze?

– Pewnie, że nie. Ktoś się może zdenerwować, ale powtarzam ci, że nic się nie zmieni.

W tej chwili jego spokój jeszcze bardziej ją zdenerwował.

– To ja ci powiem, co teraz będzie! – krzyknęła, a twarz jej poczerwieniała. – Ktoś wygadał się przed dziennikarzami. I teraz będziemy na pierwszych stronach gazet, w serwisach informacyjnych i we wszystkich mediach... Już piszą o seryjnym porywaczu. O mordercy, który podróżuje po kraju w poszukiwaniu dzieci. Nie rozumiesz, Fabio? Oni nas ukrzyżują! Ukrzyżują mnie!

– Nie przejmuj się tak bardzo. Wyciek informacji to przecież nasz chleb powszedni... Dziwne, że dopiero teraz...

– Jak mam się nie przejmować? – zapytała z niedowierzaniem. – Pracujemy nad mało wiarygodną teorią i w dodatku nikogo nie poinformowaliśmy o tropie z Caravaggiem. Ani prokuratury, ani centrali w Rzymie, ani tej idiotki Lucchesi, która tylko czeka, żeby znowu mnie sprzedać komendantowi Falconemu. Jeśli także ta informacja wyjdzie na jaw, to jesteśmy skończeni. Już sobie wyobrażam następne tytuły: *Potwór inspirowany dziełami niepokornego mistrza*.

– No cóż, to prawda.

– Potwór... – szepnęła. – Zajmujemy się polowaniem na potwora. – Wydawało się, że sprawdza smak tego słowa.

Costa zamierzał coś powiedzieć, gdy nagle do pokoju wpadł Loris Manna. Choć drzwi były otwarte, analityk wszedł z takim impetem, jakby musiał je wyważać.

– O, *dottoressa*, jak to dobrze, że pani też tu jest. Skoro mam was razem, nie będziemy musieli tracić czasu.

Wbrew własnym intencjom Valentina spojrzała na niego z niechęcią. Ciągle była rozdrażniona wiadomością o wycieku informacji do prasy. Twarz Manny wyrażała jednak entuzjazm śledczego, który znalazł nowy ślad.

– Co jest? Mam nadzieję, że to naprawdę coś ważnego!

Manna gorliwie pokiwał głową.

– Pomyślałem, że będziecie chcieli od razu wiedzieć. Znaleźliśmy coś nowego. Nasz nieznajomy nie ogranicza się do porywania dzieci. I jest aktywny już od jakiegoś czasu.

– Wiecie już, jak działa system automatycznego rozpoznawania twarzy – zaczął Loris Manna. – Wykorzystujemy go do porównywania rysów z dowolnej fotografii z szesnastoma milionami danych umieszczonych w bazie ministerstwa spraw wewnętrznych. Program opiera się na skomplikowanych algorytmach używanych przez tak zwane sieci neuronowe. Najogólniej rzecz ujmując, SARI przypomina ludzki mózg o wyjątkowych zdolnościach mnemotechnicznych. A my poszerzyliśmy i ulepszyliśmy system dzięki zastosowaniu naszego „Boga”. W praktyce używamy więc nie tylko zdjęć, którymi dysponuje elektroniczne archiwum policji, ale wszystkich dostępnych materiałów ikonograficznych umieszczonych w sieci. Na przykład w celu uzyskania pozytywnych rezultatów przy porównywaniu twarzy dwóch porwanych chłopców z postaciami na obrazie Caravaggia wrzuciliśmy do systemu wszystkie dzieła artysty oraz zdjęcia dzieci znalezione w Internecie.

Valentina i Costa ponownie stanęli przed komputerami. W pomieszczeniu jedyne źródło światła stanowił blask rozchodzący się z ekranów monitorów.

– Proszę cię – westchnęła Valentina – mógłbyś przejść do rzeczy...

– To pomysł komendanta Costy naprowadził mnie na właściwy ślad – powiedział Manna. – Prawdziwym problemem okazało się przesłanie do systemu wszystkich zdjęć, które należało porównać z obrazami Caravaggia. Zaczęliśmy to robić od razu, mimo że byliśmy dopiero w trakcie gromadzenia materiałów. W międzyczasie przekazaliśmy do systemu dane dotyczące osób zaginionych, które znajdują się w bazie ministerstwa. Włączyliśmy też dorosłych... i szczęście nam dopisało...

Na ekranie widniało teraz inne dzieło Caravaggia znane pod tytułem *Judyta odcinająca głowę Holofernesowi*. Przedstawia ono biblijną scenę, w której Żydówka Judyta stojąca na czele powstania przeciwko asyryjskim najeźdźcom pozbawia głowy okrutnego wodza Holofernesa. Na obrazie kobieta obcina głowę nieprzyjaciela, którego twarz wyraża przerażenie i ból przeszywające całe płótno. Obok Judyty stoi stara służąca, która stanowi przeciwwagę dla okrutnej sceny. Widzów uderza nie tylko znakomity warsztat artysty, lecz przede wszystkim wykrzywiona nienawiścią i gniewem twarz Judyty. Ten grymas w pełni oddaje emocje osoby, która brzydzi się własną zbrodnią.

Manna przesunął myszką i kliknął na zdjęcie umieszczone w prawym dolnym rogu ekranu. Kiedy je powiększył, wszyscy zobaczyli uśmiechnięte oblicze dziewczyny

otoczone gęstą koroną rudych włosów. W policzkach miała urocze dołki, a na szyi powiewający na wietrze szal.

Valentina i Fabio niemal równocześnie wstrzymali oddech.

Dziewczyna do złudzenia przypominała Judytę z obrazu Caravaggia. Gdyby nie wiedzieli, że obraz został namalowany przed czterema wiekami, bez mrugnięcia okiem mogliby się założyć, że uśmiechnięta dziewczyna była modelką malarza.

– Jej twarz w dziewięćdziesięciu sześciu procentach zgadza się z tą namalowaną przez Caravaggia – powiedział Loris Manna urywanym głosem. – Oczywiście pomijając miny obu kobiet. Podobieństwo niemal doskonałe.

– Kim ona jest? – zapytał Costa.

– Nazywa się... przepraszam, powinienem powiedzieć: nazywała się, Esther Kaimbacher. Miała dwadzieścia dwa lata i pochodziła z Bolzano. Studiowała w Bolonii i rok temu zniknęła – wyjaśnił Loris.

– Czy to może być przypadek? – zapytała Valentina z nadzieją, że to jednak nieprawda.

– Nie – uciął Manna. – Nie powiedziałem wam jeszcze wszystkiego. Współlokatorka dziewczyny, Mariella Masi, została zamordowana siedmioma pchnięciami noża. Znalaziono ją w przedpokoju ich wspólnego mieszkania. Nikt od tamtej pory nie widział Esther Kaimbacher.

Policjant nazywał się Turchi. Przedstawiając się, nie podał imienia, a jedynie nazwisko, jakby było to zupełnie naturalne. Costa został skierowany właśnie do niego, gdy zadzwonił do Bolonii, aby uzyskać informacje dotyczące sprawy Masi i Kaimbacher. Przez telefon odniósł wrażenie, że ma do czynienia z bystrym młodym człowiekiem, który z entuzjazmem zaproponował pomoc. Zajmował się sprawą od samego początku, a więc jego informacje mogły się okazać bardzo cenne. Od razu przesłał Valentinie i komendantowi protokół pierwszych oględzin miejsca zbrodni.

Doszło do niej przed rokiem, w połowie grudnia. Cała historia była dość dziwna.

Ofiara nazywała się Mariella Masi, miała dwadzieścia jeden lat, pochodziła z Brindisi i mieszkała w Bolonii, bo studiowała na tamtejszym uniwersytecie na wydziale języków obcych. Dzieliła mieszkanie na ulicy Indipendenza, w samym centrum miasta, z dwudziestodwuletnią studentką prawa Esther Kaimbacher. Poznały się przypadkiem, wynajmując pokoje w obskurnym studenckim mieszkaniu, i zgodnie z relacjami kolegów i koleżanek od razu się zaprzyjaźniły. W Bolonii takie sytuacje są na porządku dziennym.

Ludzie zapamiętali tamten grudzień jako jeden z najzimniejszych od wielu lat, ale dla Marca Fruzzettiego wspomnienia były znacznie bardziej przykre. Chłopak był w grupie razem z Mariellą i pewnego zimowego poranka poszedł jej szukać w wynajmowanym mieszkaniu, ponieważ od kilku dni nie pojawiała się na zajęciach ani nie odpowiadała na telefon. Zastał zamknięte drzwi, lecz „przykry zapach” dochodzący z mieszkania – jak zeznał później Fruzzetti – skłonił go do wezwania pomocy. Przyjechały patrol policji oraz jednostka straży pożarnej i funkcjonariusze wyważyli drzwi.

Mariella Masi leżała na wznak w przedpokoju, oczy miała szeroko otwarte, a jej ciało pokrywała zakrzepła krew. Przeprowadzona później autopsja wykazała, że zadano jej siedem ciosów narzędziem o długim, ostrym ostrzu. Krawędzie ran nie odchyłały się na zewnątrz. Jedno uderzenie wymierzono w pierś z taką siłą, że zmiażdżyło ono dziewczynie mostek. Rękojeść noża siłą bezwładu zagłębiła się w ciało.

Współlokatorka, Esther Kaimbacher, zniknęła. W mieszkaniu nie zauważono śladów plądrowania, a ubrania i przedmioty osobiste dziewcząt pozostały nienaruszone. Jedynie w przedpokoju widniały plamy krwi.

Turchi podał kolejne szczegóły podczas rozmowy telefonicznej z Costą.

– Oczywiście mocno przycisnęliśmy Marca Fruzzettiego. Przesłuchiwaliliśmy go bardzo długo, proszę mi wierzyć. W końcu musieliśmy jednak odpuścić, bo rzeczywiście nie miał nic wspólnego ze sprawą.

Costa doskonale się orientował, w czym rzecz. Policjanci z wydziału kryminalnego wiedzą, że w większości przypadków świadek, który „znajduje” ciało ofiary morderstwa, jest zabójcą. Pierwsze starcie ze śledczymi, czasami okropnie nieprzyjemne, pozwala zrozumieć wiele szczegółów i poruszyć sumienie. Niestety nie zawsze wszystko przebiega zgodnie ze scenariuszem. Jak potwierdził Turchi, Marco Fruzzetti z braku dowodów został szybko wyłączony z kręgu podejrzanych.

– Nasze działania skoncentrowały się wokół Esther – wyjaśnił. – Wielu skłaniało się do tezy, że to właśnie ona zabiła współlokatorkę, na przykład pod wpływem chwilowego napadu szaleństwa. Ciosy zadano co prawda z dość dużą siłą, ale lekarz sądowy powiedział, że technicznie nie może wykluczyć kobiety jako sprawczyni tej masakry.

Nigdy nie odnaleziono dziewczyny, mimo że prowadzono poszukiwania zakrojone na szeroką skalę, od Bolonii po Bolzano, jak również na terenie całego kraju.

Wydano za nią nawet list gończy, lecz i to nie przyniosło żadnego rezultatu. Jej kartoteka wkrótce zniknęła wśród setek podobnych dokumentów. I na tym cała sprawa się skończyła.

– Sam pan rozumie – ciągnął Turchi – śledztwo zostało źle rozpoczęte, przeprowadzone jeszcze gorzej i zamknięte bez nadziei na wyjaśnienie. Zdarza się. – W głosie policjanta zabrzmiała jednak nuta świadcząca o tym, że ciągle nie może się pogodzić z porażką. Zdawał się bardzo zadowolony, że pojawiła się możliwość ponownego zbadania sprawy.

Costa i Valentina zajęli się dokładną analizą dokumentacji przesłanej przez kolegę z Bolonii.

Ponieważ morderstwo nastroczało licznych wątpliwości, śledczy przesłuchali bardzo wielu świadków. Niestety rezultaty okazały się mizerne. W dniach poprzedzających tragedię nikt nie widział ani Marielli, ani Esther. Nikt nie mógł podać żadnych interesujących szczegółów. Obie dziewczyny prowadziły spokojne życie. Uczelnia i dom. Od czasu do czasu wychodziły wieczorami w grupie stałych przyjaciół.

Jeden protokół z zeznań zwrócił jednak uwagę Valentiny i komendanta. Zwłaszcza że świadek wyraźnie różnił się od innych. Znalazł go policjant z wydziału antynarkotkowego, ponieważ typek czasami dostarczał mu informacji. Był to bezdomny mężczyzna żyjący w kanałach rozciągających się pod miastem. Wczesnym rankiem pętał się po ulicy Indipendenza z nadzieją, że o świcie mieszkańcy, których

prosił o datek, okazały się hojniejsi niż dotąd, bo uznają, że dobry uczynek to zapowiedź pomyślnego dnia. I właśnie dlatego tego grudniowego poranka – jak opowiadał – znajdował się naprzeciwko drzwi wiodących do kamienicy, w której mieszkały Mariella i Esther. Było to dwa dni przed tym, nim Marco Fruzzetti znalazł ciało dziewczyny.

Zeznania kloszarda były raczej nieskładne, ale Valentina i Costa od razu zwrócili uwagę na jeden bardzo ważny szczegół.

Zobaczyłem, że spod numeru dwadzieścia dwa wychodzi jakiś facet. To na pewno był ten numer, bo właśnie tam się zwykle zatrzymuję, kiedy proszę przechodniów o kilka groszy. Mężczyzna był młody, dobrze zbudowany i miał długie białe włosy. Chyba je zafarbował, bo były nienaturalnie białe. Związał je rzemykiem. Ciągnął ze sobą delikatną blondynkę, która jeszcze się do końca nie obudziła, a może była pijana, chociaż to trochę dziwne o siódmej rano. Chwiała się na nogach, a mężczyzna ciągnął ją, trzymając pod pachami. Podeszli do zielonej furgonetki, chociaż nie jestem pewny koloru, może była po prostu brudna. Stała zaparkowana przed domem. Mężczyzna otworzył drzwi łokciem i wtedy dziewczyna osunęła się na ziemię. On jednak szybko zareagował i nie pozwolił jej upaść. Wepchnął ją na tylne siedzenie samochodu, usiadł za kierownicą i odjechali. Nie, nie zapamiętałem numeru rejestracyjnego. Nie, nie umiem opisać twarzy mężczyzny. Była taka jakaś anonimowa. Pamiętam tylko te białe włosy. Nie mam nic więcej do dodania.

Oczywiście zeznania bezdomnego praktycznie nie zostały wzięte pod uwagę. Nic nowego. Świadek był mało wiarygodny, a jego opowieść mało prawdopodobna. Dla Valentiny i Fabia wszystko nabrało jednak dodatkowego znaczenia.

Zielona furgonetka i białe włosy mężczyzny, który uprowadził Esther Kaimbacher, łączyły się z ich sprawą. Zdarzenie miało miejsce rok przed porwaniem Fosca i Andrei, a to ostatnie zostało z kolei poprzedzone zabójstwem Gianniiego Venturiego. Ale wtedy – przed rokiem – porwana została dorosła kobieta. Ona też do złudzenia przypominała postać z obrazu Caravaggia.

Na taki zwrot w śledztwie czekali od wielu dni. Postanowili skupić się na chaotycznych zeznaniach kloszarda, nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydawały się wysrane z palca. Trzeba zacząć od początku, przeanalizować szczegóły, które wcześniej pominięto. Taki sposób działania przyjęli i wreszcie okazało się, że naprawdę przynosi on konkretne rezultaty.

Costa zgodził się na wyjazd do Bolonii. Natomiast Valentina musiała zostać w Volterze, aby koordynować pracę, a poza tym na razie nie chcieli rozpowszechniać informacji o nowych tropach, nawet wśród kolegów. Wyciek wiadomości już zaszkodził śledztwu, a mógł naprawdę zniszczyć dotychczasowe osiągnięcia, gdyby ktoś wywęszył, że podejrzany zabija od roku. Dziennikarze i środki masowego

przekazu rzuciliby się na nich jak hieny na padlinę i w jednej chwili mogliby ich pozbawić tej drobnej przewagi nad mordercą, którą udało im się zdobyć.

Od jak dawna mężczyzna o białych włosach uprawia swój nieczyny proceder? Ile osób musiało drogo zapłacić za swoje podobieństwo do postaci z obrazów namalowanych przed czterema wiekami? Ile ofiar pociągnęła za sobą jego niebezpieczna obsesja?

Stary ford fiesta zatrzymał się w cieniu platanów, a siedzący w nim mężczyźni od ponad godziny obserwowali opustoszały parking. Turchi podjechał pod dworzec kolejowy autem, które wydobył z policyjnego składu używanych samochodów, i od razu zabrał Costę na ustalone wcześniej miejsce. Powiedział mu, że trzeba uzbroić się w cierpliwość, więc komendant przygotował się mentalnie na długie oczekiwanie. Przed laty zdarzało mu się to często, a teraz ta sytuacja wywołała w nim wiele mniej lub bardziej przyjemnych wspomnień.

Powoli zaczął nawet doceniać spokojne chwile oczekiwania, które przeniosły go w przeszłość, kiedy poczuł, jak kolega trąca go łokciem w bok.

– O, jest. To on.

Kloszard przemierzał wyasfaltowany plac, pchając przed sobą ślamazarnie wózek na zakupy wypełniony różnymi gratami, oraz palił papierosa z wyrazem twarzy skazańca, który po raz ostatni rozkoszuje się tytoniem.

Nazywał się Mancini Diego, pseudonim Borbotto, i teraz, gdy już go namierzyli, pozostawała jedynie kwestia jego reakcji na spotkanie z policją.

– Co robimy? – zapytał Turchi. – Chce pan go zatrzymać?

Costa postanowił postawić na uprzejmość. Wbrew pozorom ta metoda bardzo często popłacała.

Wsiadł z samochodu, podszedł do mężczyzny i odezwał się głośno:

– Dzień dobry, panie Mancini, czy mogę zadać panu kilka pytań?

Borbotto przyjrzał mu się uważnie i rozważywszy prośbę, porzucił wózek oraz papierosa. Skoczył niespodziewanie do przodu i pomknął stylem długodystansowca. Płaszcz powiewał za nim niczym dwa krucze skrzydła, czyniąc go podobnym do stwora z bajek.

– A niech to licho, *dottore*, wiedziałem, że tak będzie! – krzyknął Turchi, wyskakując z samochodu, by rozpocząć pościg.

Costa pobiegł za nim z nadzieją, że zostało mu jeszcze co nieco kondycji sprzed lat, kiedy takie epizody zdarzały mu się znacznie częściej.

Dopadli bezdomnego w odległości około kilometra od parkingu po wyczerpującym pościgu pomiędzy hamującymi z piskiem opon samochodami i wśród przekleństw przechodniów. Policjant obalił Manciniego na ziemię, nie zważając na etykietę, a kloszard runął na twarz, zamachawszy ramionami i skrzydłami płaszcza. Turchi przycisnął go do ziemi tak mocno, że Costa musiał dać mu znak, by pozwolił

schwytanemu przynajmniej swobodnie oddychać. Policjant spojrział nieufnie, ale w końcu zwolnił uścisk.

– Co cię podkusiło, żeby uciekać? – zapytał Costa, przykucnąwszy obok bezdomnego. Potrzebował chwili, żeby uspokoić przyspieszony oddech. Naprawdę był w kiepskiej formie. Piesze pościgi za podejrzanymi już mu się dawno nie zdarzały.

– Uciekałem, bo wy chcecie mnie pobić! – zbuntował się Borbotto z twarzą wciśniętą w asfalt. – A ja nie mam ochoty na wciry.

– Kto chce cię pobić?

– On! – Wskazał ruchem głowy na policjanta, który przygwoździł go kolaniem do ziemi.

Turchi uśmiechnął się z zakłopotaniem i podniósł się znad pleców kloszarda, który mógł wreszcie usiąść na chodniku. Costa przysiadł się do niego i obserwował, jak Borbotto czyści czarny płaszcz z kurzu. Tymczasem młodszy kolega zajął się rozganiem grupki ciekawskich, którzy już zdążyli ich otoczyć.

– Chcę ci tylko zadać kilka pytań – powtórzył Costa, przyglądając się uważnie Manciniemu. Jak wszyscy ci, którzy żyją na ulicy, miał na twarzy ślady miasta. Tylko jego oczy świeciły ciągle niezmaconą witalnością. Były niebieskie i szczerze, a komendant przyłapał się na myśli, że być może to one widziały twarz mordercy Giannię Venturiego i Marielli Masi.

– Co mi dasz w zamian? – zapytał Borbotto, szczerząc się w bezzębny uśmiech.

– Trochę mydła – syknął Turchi, a Costa spojrział na niego niechętnie.

– Coś dla ciebie znajdziemy... Pod warunkiem że powiesz mi to, co mnie interesuje. I że będziesz mówił prawdę.

– Jaką prawdę?

– Najprawdziwszą, Diego. Niczego przede mną nie ukrywaj.

– Tylko mnie nie bijcie – powtórzył Borbotto, zakrywając twarz dłonią, jakby spodziewał się uderzenia.

– Co ty opowiadasz? – zareagował nerwowo Turchi. – Dlaczego niby mielibyśmy cię bić?

– Bo nie mówię prawdy. Bo wszystko sobie wymyśliłem. Bo jestem pijakiem.

– Widzi pan? – zniecierpliwiał się policjant. – Mówiłem, że nie ma sensu z nim dyskutować.

– Wymyśliłeś sobie wszystko, co opowiedziałeś o tej dziewczynie zamordowanej rok temu? – zapytał Costa.

Oblicze kloszarda jakby się skurczyło, a zmarszczki pogłębiły, tworząc głębokie rowki. Wytarł sobie nos ręką i zamrugał nerwowo, po czym utkwiał swoje niebieskie oczy w twarzy komendanta, jakby wyzywał go na pojedynek.

– Nie. Powiedziałem to, co widziałem, ale nikt mi nie wierzy. Czasami sam mam już wątpliwości, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę.

– Ja ci wierzę – zapewnił go Costa. – Tylko musisz mi podać więcej szczegółów. Znałeś tę dziewczynę?

– Którą? Zamordowaną czy porwaną?

Ostatnie pytanie wyraźnie świadczyło, że bezdomny nie ma kłopotów z pamięcią. I rzeczywiście, zaraz zaczął opowiadać, nie czekając nawet na dodatkowe pytania policjantów.

– Nie mogę powiedzieć, że bym je tak naprawdę znał, jeśli to chce pan wiedzieć. Czasami je widywałem, kiedy wychodziły z domu. Nigdy nie dały mi ani grosza, ale to normalne... one były studentkami, a te są zawsze bez kasy. Chyba mają jeszcze mniej pieniędzy niż ja. Ale obie zawsze się do mnie uśmiechały. Były miłe. – Spojrzał policjantom w oczy, jakby chciał potwierdzić, że mówi prawdę. – Nie miałem żadnego powodu, żeby kłamać. Powiedziałem gliniarzom całą prawdę, przysięgam. A przynajmniej to, co chcieli usłyszeć. Bo jak zacząłem opowiadać, że mężczyzna z białymi włosami się uśmiechał, to im się nie spodobało. Powiedzieli, że jestem pomyłonym pijusem... i wzięli się do bicia!

Costa zacisnął usta. Zawsze się złościł, kiedy słyszał, że koledzy uciekają się do nieuzasadnionej przemocy, zwłaszcza wobec nieszkodliwych i przegranych osób, takich jak Barbotto. Teraz musiał się jednak skoncentrować na zeznaniach kloszarda.

– W protokole zapisano jedynie twoje słowa o białych długich włosach mężczyzny. Nie wspominałeś, że się uśmiechał. I dlaczego miałyby to robić?

– Pewnie, że powiedziałem. Dopiero potem, jak zobaczyłem, że mi nie wierzą, to się wycofałem. W końcu to nie moja wina, że ten typ się uśmiechał, kiedy włókł dziewczynę do samochodu. Może go to bawiło, skąd mam wiedzieć? Nawet wtedy, gdy ona prawie upadła na ziemię, a on ją podtrzymał... Zapytałem nawet, czy potrzebuje pomocy, a on dał mi znak, że nie. Przez chwilę mi się przyglądał, jakby się zastanawiał, co powiedzieć albo co zrobić. I cały czas się uśmiechał. Nawet na chwilę nie przestał. Również wtedy, gdy wepchnął ją do tej starej furgonetki, która śmierdziała zgniłym mięsem... wtedy też się uśmiechał...

– Jesteś pewien, że cały czas miał uśmiech na twarzy?

– No widzisz, ty też mi nie wierzysz.

– Nie, to nie o to chodzi. Próbuję zrozumieć, jak mógł się uśmiechać, nawet kiedy podnosił dziewczynę. Przecież to mimo wszystko wysiłek...

– To nie był normalny uśmiech, tylko jakiś taki... zamrożony.

– Zamrożony?

– Nie umiem tego opisać. Jakby przylepiony do jego twarzy. Facet wyglądał tak, jakby nie mógł przestać się uśmiechać, rozumiesz? Dlatego powiedziałem zamrożony. – Mancini spróbował pokazać, co ma na myśli, i palcami przesunął blade wargi nad zepsute zęby. Przypominał klauna, który ćwiczy miny.

W głowie Costy zaświtała pewna myśl. No tak, nie ma innego wytłumaczenia. Spojrzał na Turchiego i z jego oczu wyczytał potwierdzenie.

– Wygląda na to, że ma taki tik – powiedział wreszcie młody policjant.

– Też tak myślę.

Poszukiwany mężczyzna miał specyficzny wyraz twarzy. Białe długie włosy mógł co prawda obciąć lub zafarbować, ale usta ułożone w grymas przypominający uśmiech to była jego stała cecha fizyczna. Może w bazie danych osób skazanych znajdą kogoś podobnego. Policja kryminalna lubi odnotowywać takie szczegóły.

– Skończyliśmy już? – zapytał tymczasem kloszard, spoglądając spod byka na Turchiego, jakby właśnie z jego strony spodziewał się jakiejś nieprzyjemnej niespodzianki.

– Sądzę, że tak – potwierdził Costa.

Policjanci odprowadzili Borbotta z powrotem na parking, gdzie zostawił swój dobytek. W drodze bezdomny nie przestawał rzucać nieufnych spojrzeń w kierunku młodego policjanta, co ostatecznie przekonało Costę, że dwaj mężczyźni musieli się już wcześniej spotkać gdzieś na mieście. Teraz jednak kloszard był już o wiele spokojniejszy.

Kiedy wrócili do wózka, na którym znajdował się cały dobytek Borbotta, mężczyzna rzucił się nań, obejmując ramionami górę szmat i gratów. Śmiał się przy tym i płakał na przemian. Potem pogrzebał chwilę w swoich śmieciach i wyjął stary aparat fotograficzny marki Pentax z ogniskową 35 mm, który zdecydowanie pamiętał lepsze czasy. Z dumą i niepohamowaną radością pokazał go policjantom, trzymając za oryginalny skórzany pasek.

– Jest! Jest! Gdybym go stracił, rzuciłbym się pod pospieszny do Modeny, przysięgam! – wykrzyknął i zaczął głaskać cenny przedmiot brudnymi rękami.

– Umiesz tego używać? – zakpił Turchi, podczas gdy Costa wyciągał z portfela dwa banknoty po pięćdziesiąt euro. Wolałby zaoferować bezdomnemu pokój, ciepłą kąpiel i dobry posiłek, ale tacy jak Borbotto mają swoje zasady. Przyjmują pieniądze, a nie litość w postaci talerza zupy.

– Pewnie, że umiem – obruszył się kloszard. – Ciągle pstrykam zdjęcia, co sobie myślisz? Jestem profesjonalistą... obfotografowałem całą Bolonię! Pewnie mam na jakimś zdjęciu nawet ciebie!

Turchi wyciągnął rękę i wyrwał mu aparat.

– Ej! – zaprotestował Mancini. – Oddawaj to! Natychmiast!

Costa podał mu pieniądze, które od razu zniknęły w czeluściach kieszeni obszernego palta. Jego palce okazały się zręczne niczym u magika, podczas gdy drugą dłoń usiłował odebrać policjantowi pentaxa.

– W środku jest film – powiedział zdziwiony Turchi po sprawdzeniu aparatu, po czym oddał go właścicielowi. – Kto jeszcze dzisiaj używa filmów?

– Ja! – oświadczył z dumą Borbotto i pogłaskał aparat jak małego pieska.

Costa popatrzył na kloszarda i wpadł mu do głowy pewien pomysł. Szalony, ale...

– Od jak dawna masz ten aparat? – zapytał.

– Od wieków!

– I miałeś go przy sobie tamtego dnia?

– Którego dnia?

– Dobrze wiesz.

– No pewnie, że wiem. Zawsze mam go ze sobą. – Zaczął podrygiwać w rytm wyimaginowanej muzyki.

– A może zrobiłeś zdjęcie temu uśmiechniętemu typkowi?

Borbotto przerwał swój dziwny taniec i popatrzył na Costę w inny sposób niż dotychczas. Dociekliwie. Spojrzał na pentaxa. A potem znowu na komendanta.

– To prawda – powiedział w końcu. – Do kurwy nędzy, całkiem o tym zapomniałem. Zrobiłem zdjęcie jemu i jego parszywej furgonetce!

Borbotto nie mieszkał w kanałach pod miastem, lecz w pomieszczeniu nad starym kinem specjalizującym się w repertuarze dla dorosłych, które obecnie stało opuszczone, ale swego czasu przeżywało dni chwały. Przy wejściu, w gablotach, gdzie umieszczano plakaty, ciągle widniały fragmenty wizerunków nagich ciał aktorek, które teraz musiały już mieć ponad siedemdziesiąt lat. Do mieszkania kloszarda prowadziły wewnętrzne schody, które sprawiały wrażenie, że za chwilę się zawalą. Idąc za gospodarzem i trzymając się kurczowo zardzewiałej poręczy, Turchi klął jak szewc, a kiedy dotarli na górę, wydał z siebie jęk przerażenia.

Jak wszyscy bezdomni, którym udaje się znaleźć prowizoryczne lokum, Borbotto gromadził w nim wszystko, co znalazł na ulicach Bolonii. Wnętrze jego szczęśliwego gniazdko, pełniące kiedyś prawdopodobnie funkcję biura kina porno, wypełnione było wszelkiego rodzaju gratami tak, że z ledwością dało się wejść do środka. Artykuły gospodarstwa domowego, ubrania, gazety, butelki, puszki oraz różnego rodzaju rupiecie walały się po podłodze i zalegały na meblach, które jakimś cudem musiały zostać wniesione po tych chwiejących się schodach. Wzdłuż brudnych ścian stały w rzędzie wózki z różnych supermarketów, a każdy wypełniony był nieprawdopodobną ilością szmat i wszelakich rupieci.

Przez jedyne małe okno o poczerniałej i popękanej szybie wpadał do pokoju promień słońca, rozświetlając tysiące drobinek duszącego kurzu.

– I co teraz? – zapytał Turchi, rozglądając się dookoła z obrzydzeniem i niedowierzaniem.

Borbotto usiadł na stosie ubrań, pod którymi krył się pewnie zapadnięty, stary fotel. Przyglądał się swoim gościom z wyraźną satysfakcją.

– Gdzie one są? – zaniepokoił się Costa w obawie, czy gospodarz sobie z nich nie zakpił.

Zgodzili się przyjechać z nim do tej nory, ponieważ Mancini zapewnił, że nie tylko zrobił zdjęcie mężczyźnie o białych włosach i jego furgonetce, ale również zachował gdzieś film. Tylko Turchi na początku protestował przeciw temu, by kloszard wraz z towarzyszącym mu przykrym zapachem wsiadł do policyjnego samochodu.

– Nie wywołujesz swoich zdjęć? – zainteresował się Costa, nie dowierzając swemu szczęściu.

– A skąd mam wziąć na to pieniądze? Filmów mam bardzo dużo... podarował mi je taki gościu, który miał zakład fotograficzny, a potem zamknął interes i wyjechał do

Australii albo do Ameryki... Już nie pamiętam. I mam ten wspaniały aparat. Używam go, kiedy tylko mogę. Chowam wszystkie filmy... Nic nie wyrzucam. Ale nie wywołuję zdjęć. Po co miałbym to robić? Przecież wiem, co fotografuję. Wszystko zostaje na kliszach i tu, w mojej głowie. – Postukał palcem w czoło.

Zapewnił, że jeśli chcą, to chętnie podaruje im film, na przykład za kilka dodatkowych banknotów o nominale pięćdziesięciu euro.

– W porządku, Diego – przerwał mu Costa z nutą rozczarowania w głosie, bo choć się starał, nie udało mu się go ukryć. – Gdzie są te twoje cenne filmy?

Borbotto uderzył się dłonią w czoło.

– No tak, przecież po to przyszliśmy!

Wstał z wypełnionego szmatami fotela i zniknął w toalecie, która podobnie jak reszta mieszkania wypełniona była rupieciami. Słyszeli, jak sapie, omijając stosy śmieci. W końcu pojawił się w drzwiach z uszczęśliwioną miną. W rękach trzymał pudło wypełnione po brzegi małymi cylindrycznymi pojemnikami, z których każdy był dokładnie zamknięty. Przynajmniej nie było ryzyka, że filmy są prześwietlone.

Kiedy Turchi wziął pudło z rąk kloszarda, odwrócił się do Costy z niepewną miną.

– *Dottore*, tu będzie ze sto rolek!

– Na pewno tam jest – powiedział Borbotto z dumą. – Nie wiem, na którym filmie... ale na jednym na pewno jest zdjęcie mężczyzny, którego szukacie!

Caravaggio

Ściany pokoju zmieniły wygląd. Na miejscu kalendarzy, zaświadczeń z ministerstwa oraz obrazów zalecanych jako wystrój komisariatów, czyli anonimowych krajobrazów i oficjalnych portretów, wisiało teraz około dziesięciu reprodukcji dzieł Caravaggia. W różnych rozmiarach. I każdego dnia dodawano nowe. Na pierwszym planie widniało ogromne *Złożenie do grobu*, ale każde z płócien przedstawiających wyjątkowe oblicza i grę światła miało tutaj swoje honorowe miejsce. W rezultacie to skrzydło komisariatu przypominało teraz ponure muzeum poświęcone niepokornemu artyście. Ulubione tematy Caravaggia w połączeniu z kolorystyką jego obrazów nie rozjaśniały pomieszczeń. Przemoc i drastyczne sceny przypominały jednak śledczym o koniecznym pośpiechu. Rzeczywiście, konkretne zło grasowało na zewnątrz i to przeciw niemu prowadzili jak dotąd nieskuteczną walkę.

Część sali zajmował Loris Manna ze swoim sprzętem, za pomocą którego kontynuował poszukiwania. O ich zakresie świadczyły rząd nowych komputerów, świecące bez przerwy monitory i stosy papierów: notatek, diagramów i zdjęć zalegających na jego biurku i na podłodze przy jego stanowisku pracy. Obok siedział pochylony krytyk sztuki Giampaolo D'Avanzo i wskazywał jakieś punkty na największym ekranie. Manna przysłuchiwał się wywodom profesora, zafascynowany tą darmową lekcją historii malarstwa.

Valentina podeszła do obu specjalistów.

– Jak się wam pracuje? – zapytała mężczyzn pochłoniętych badaniem *Ofiarowania Izaaka*.

Tym, co kłuło w oczy, była przemoc emanująca z obrazu, nawet z fałd okryć namalowanych postaci, ze zmarszczek, z ich postury. Napięta dłoń ściskająca sztylet, gotowa do zadania ciosu, moment zawieszenia tuż przed śmiercią. Błyszczące w ciemnościach ostrze o groźnej, zabójczej wymowie.

– Bardzo dobrze – odpowiedział Loris. – Wkład profesora jest wprost nieoceniony.

D'Avanzo oparł się wygodnie i zaczął masować kciukiem oraz palcem wskazującym nasadę nosa, tam, gdzie oprawka okrągłych okularów pozostawiła wieloletni, ciemny ślad. W końcu ślęczeli nad obrazami już od wielu godzin.

– Dziękuję za komplement. To dla mnie prawdziwa przyjemność ponownie zajmować się tymi wyjątkowymi dziełami... chociaż zdaję sobie sprawę, że okoliczności są ponure. Otuchy dodaje mi świadomość, że mogę się na coś przydać.

Tymczasem Manna wprowadzał do systemu nowe dane, stukając rytmicznie w klawiaturę. Obraz z Izaakiem zniknął pod cyfrową siatką, a strzałka myszki poruszanej wprawną dłonią Lorisa przeskakiwała szybko od jednego piksela do drugiego.

– Najtrudniejsza faza w tym przypadku – zaczął wyjaśniać analityk, nie odrywając wzroku od ekranu – polega na odpowiednim zmagazynowaniu skopiowanych fragmentów malowideł, ponieważ identyfikacja twarzy z obrazu nie przebiega automatycznie, jak ma to miejsce w przypadku zdjęć przedstawiających realne osoby.

– Niemniej jednak Caravaggio nam pomaga, prawda? – włączył się profesor. – Loris uświadomił mi po trosze, jak to działa. I rzeczywiście dwuwymiarowość obrazów mogłaby stanowić przeszkodę, gdyby nie to, że nasz Michelangelo Merisi był nieocenionym mistrzem perspektywy. Spójrzcie tylko, jak światło wdziera się w ciemne tło. Jak rozjaśnia scenę, na której rozgrywa się akcja. A malowane przez niego twarze są często prawdziwsze niż te realne.

– I właśnie dlatego przestępca wybrał jego dzieła – powiedziała Valentina.

Zadowolony uśmiech zniknął z twarzy profesora, ale entuzjazm pozostał. Ekspert wskazał na obraz, który mieli przed oczami.

– Czy wiecie, że niemal wszystkie postaci z obrazów Caravaggia zostały z czasem zidentyfikowane? – zapytał z dumą. – Na przykład chłopiec przedstawiony w roli Izaaka ma rysy niejakiego Cecca Boneriego, młodego malarza i prawdopodobnie kochanka Caravaggia. – Przerwał na chwilę, spoglądając na Valentine. – Natomiast Judyta przypominająca tę nieszczęsną dziewczynę z Bolonii to Filide, luksusowa prostytutka będąca obsesją mistrza. Caravaggio nigdy nie namalował oblicza, które nie należałoby do kogoś, kogo znał... a często także darzył uczuciem.

– Sobowtór naszego Fosca również jest znany z imienia i nazwiska – wtrącił Manna, nie przerywając pracy. – Prawda, Giampaolo?

– Lutnista nazywał się Mario Minniti – potwierdził D'Avanzo z powagą, jakby zdając sobie sprawę, że mówi o żywym dziecku, a nie o chłopcu sprzed wieków. – On też był przyjacielem Caravaggia i wszystko wskazuje na to, że na obrazie figuruje aż dwa razy, bo Kupido też jest do niego podobny...

– Znaleźliśmy kolejnych sobowtórów – dodał Manna. – Mam na myśli sobowtórów Fosca Agnellego i Andrei Venturiego... a może raczej Maria Minnitiego. No i kobiety bardzo przypominające Judytę i Esther. Niektóre osoby są tak podobne, że zapiera dech w piersiach, ale mieszkają w różnych miejscach na całym świecie... Mamy na przykład kobietę, która w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach odpowiada wizerunkowi Judyty Caravaggia. Jakbyśmy oglądali współczesne zdjęcie modelki

artysty. Znaleźliśmy ją na Instagramie, ale zaraz wykluczyliśmy, bo mieszka gdzieś w Australii.

– No jasne – zgodziła się Valentina.

Przyjęli założenie, że poszukiwany ogranicza się do osób, do których rzeczywiście może dotrzeć. Na razie działał w środkowych i północnych Włoszech, jeśli nie liczyć zniknięcia chłopca z Neapolu. Geolokalizacja to podstawowy element w postępowaniu śledczym, chociaż są też inne czynniki, których nie należy pomijać. Musieli na przykład wziąć pod uwagę, że przestępca uważnie wybiera czas i miejsce, by zaskoczyć potencjalną ofiarę. Z premedytacją wyszukuje osoby samotne i bezbronne, niemogące liczyć na obronę.

– Wiemy też, że morderca nie ma żadnych skrupułów, kiedy musi się pozbyć nieoczekiwanej przeszkody – uzupełnił Manna.

Na podstawie szczegółowych analiz mogli wyciągnąć ważne wnioski. Poszukiwany przestępca doskonale poruszał się w sieci, gdzie znajdował interesujące go ofiary, ale na tym nie koniec. Musiał potem do nich dotrzeć. Dotknąć ich. A to pociągało za sobą konieczność zdobycia dodatkowych informacji, przemieszczania się po kraju, oczekiwania na stosowną okazję, które mogło trwać dość długo. Śledczy musieli podjąć wysiłek, by wczuć się w jego sytuację, zacząć myśleć tak jak on. Musieli spróbować odnaleźć sobowtórów, których morderca, czy to przez przypadek, czy z powodu braku szczęścia, nie zdołał jeszcze dopaść.

W końcu nie jest wszechmocny. Kimkolwiek by był, pozostaje tylko zwykłym człowiekiem.

– Przyszły jakieś wiadomości z laboratorium w Rzymie? – zapytała Valentina, wracając do konkretów.

Loris potrząsnął głową.

Costa przywiózł z Bolonii prawie dwieście rolek filmów marki Agfa i Kodak. Obliczyli, że trzeba wywołać co najmniej siedem tysięcy zdjęć. Na jednym z filmów mogła się znajdować fotografia przedstawiająca mężczyznę, którego szukali, i jego furgonetkę, chociaż pewności nie mieli. Jedynie wątłą nadzieję, jeśli wziąć pod uwagę specyficzną osobowość kloszarda, który przekazał im swój skarb. Poza tym klisze mogły ulec zniszczeniu i ryzykowali, że zamiast zdjęć znajdą na nich tylko czarne plamy. Dla dobra śledztwa należało jednak podjąć i tę niepewną próbę. W pośpiechu wysłali więc cały materiał do Rzymu i teraz czekali na wywołanie wszystkich fotografii i przekształcenie ich w pliki cyfrowe. Potem sami będą musieli zająć się segregacją obrazów, próbując znaleźć ten właściwy. Nie pozostaje nic innego, jak trzymać kciuki za powodzenie operacji.

Tymczasem czas mijał i Valentina niecierpliwiła się coraz bardziej.

– Nie możemy poprosić, żeby się pospieszyli? – powtórzyła po raz kolejny.

Loris pokiwał głową.

– Co godzinę do nich dzwonię, ale wywołanie filmów wymaga czasu. Z trudnością znaleźliśmy odpowiednio wyposażone laboratorium.

Valentina zresztą dobrze wiedziała, że nic nie można zrobić.

Loris Manna i Giampaolo D'Avanzo wrócili do analizy obrazów Caravaggia. Twarze i ciała z obserwowanych malowideł wydawały się wyskakiwać z ekranu, jakby chciały się wyzwolić z więzów, którymi spętał je na wieki wielki artysta.

Zostawiła ich w spokoju, żeby nie przeszkadzać, podczas gdy zniechęcenie niczym choroba przejmowało jej myśli.

Znalazła Costę w małym pokoju, który tymczasowo zajmował. W świetle stojącej na biurku lampy wyglądał na znużonego i wymizerowanego. Wystarczyło jednak jego spojrzenie, by dodał Valentinie otuchy, zanim jeszcze się odezwał.

W chwilach takich jak ta miała wrażenie, że wreszcie może odsunąć na dalszy plan wątpliwości i że kiedyś nadejdzie czas na odpowiedź, której od niego oczekuje. Miała nadzieję, że usłyszy wtedy słowa, które raz na zawsze rozwieją jej nieufność. Dotąd nie potrafiła całkowicie pozbyć się podejrzeń, ale wystarczało jej przekonanie, że Costa nie zgwałcił Diany Marini, ponieważ mężczyzna, którego poznała, po prostu nie był do tego zdolny. W ciągu ostatnich dni wspólnej pracy przekonała się, że komendant świetnie zna się na prowadzeniu śledztwa, a jej prośba o pomoc chyba dobrze na niego wpłynęła. Niby nic specjalnego, ale na razie niczego więcej nie mogła dla niego zrobić.

Stała na progu pogrążona w rozmyślnościach, aż wreszcie Fabio gestem zaprosił ją do środka, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia. Wstał i zabrał z fotela stojącego naprzeciw biurka swoją nieodłączną skórzaną teczkę, starą i zniszczoną. Nazywał ją sakwą i nosił tam pliki akt, notatek oraz laptopa. Twierdził, że tylko ona jest godna strzec jego sekretów i że wiele w życiu przeszła, tak samo jak on. Kiedy już zrobił Valentinie miejsce, wrócił za biurko.

Policjantka z ciężkim westchnieniem osunęła się na fotel.

– Zmęczona? – zapytał zaniepokojony, jakby czytał jej w myślach.

– Ledwie żywa.

– No jasne, głupie pytanie. Jak tam ostatnia rozmowa z centralą w Rzymie?

Popatrzyła na niego znużonym wzrokiem i ze zdziwieniem zobaczyła, że Costa zaczyna się śmiać.

– Ja też przez to przechodziłem, wiesz? Dobrze się orientuję, jak to wygląda.

Nie – pomyślała Valentina – wcale nie wiesz. Nie możesz wiedzieć. Falcone ostrzegł ją po raz kolejny, a w jego słowach nie było ani odrobiny wyrozumiałości. Lucchesi poinformowała dyrektora, że Costa bierze udział w śledztwie, a ten zdecydowanie się sprzeciwił. Valentina postanowiła jednak zignorować jego zalecenia.

– Przecież już ci mówiłem – oświadczył z namaszczaniem Falcone. – Ryzykujesz nie tylko ty, ale i ja, bo osobiście wyznaczyłem cię do prowadzenia tego śledztwa. Nie rób głupstw, bo w każdej chwili mogę cię odwołać.

To nie była groźba, lecz obietnica.

A potem jeszcze dorzucił zdanie, które nie dawało jej spokoju.

– Ty nie znasz Fabia Costy. To nie jest tylko zraniony mężczyzna. On stracił sens życia i przez to stał się niebezpieczny.

Ostrzeżenia Falconego wracały teraz do niej jak niesione wiatrem echo, ale Valentina podjęła decyzję, w jaki sposób będzie traktować Fabia. Przynajmniej do czasu, aż nadejdzie bardziej odpowiedni moment.

– I co robiłeś? – zapytała. – Jak radziłeś sobie z presją?

– Chyba nie przywiązywałem do tego wagi. Byłem tak pochłonięty pracą, że nie zwracałem uwagi na subtelności. Zresztą jeśli mam być szczery, to do pewnego czasu nikt mi się nie wtrącał.

– Tak, słyszałam. Byłeś skuteczny.

– Miałem świetnych ludzi i wszyscy pracowaliśmy na pełnych obrotach. Nikt się nie obijał. Solidna grupa to podstawa.

– A mnie mówili, że to ty byłeś siłą napędową.

Costa nie próbował zaprzeczać, ale w jego oczach pojawił się dziwny blask. Valentina domyślała się, o czym myśli. Kiedyś był świetnym śledczym i nie musiał się z nikim liczyć. A potem wszystko skończyło się bardzo nieprzyjemnie.

– A teraz... – postanowiła go wy badać – może mógłbyś wrócić do dawnych zajęć...

– Daj spokój, proszę cię.

Valentina przygryzła wargi.

– Tak tylko pomyślałam...

Spojrzał na nią bez uśmiechu i powiedział:

– Chyba nadszedł czas na wyjaśnienie pewnych rzeczy.

– O czym mówisz?

– Przecież już wiesz, co zdarzyło się przed laty, kiedy pracowałem w centrali...

– Posłuchaj, nie... – zaczęła, ale Costa jej przerwał.

– Nie denerwuj się, nie zamierzam stawiać cię w kłopotliwej sytuacji i nie będę wracał do sprawy, z którą się zapoznałaś. Nic ci nie powiem. Nie będę się usprawiedliwiał. Nie dlatego, że nie zasługujesz na wyjaśnienia, ale dlatego, że każda wersja, którą mógłbym ci podać, zabrzmiałaby jak próba obrony lub, co gorsza, jak oskarżenie pod adresem kogoś innego... Tymczasem ja już od dawna przestałem przejmować się tym, co ludzie o mnie myślą. Przeszedłem piekło, a może nawet zostałem w nim na zawsze. To mój problem i moja odpowiedzialność. Nie dotyczy ani ciebie, ani nikogo innego. Nawet nie tych, których skrzywdziłem: mojej żony i mojego syna... – Przerwał na chwilę. – Nie w tym rzecz, kim jestem albo kim byłem, lecz w tym, czego ty ode mnie oczekujesz. Czy ja naprawdę mogę ci pomóc? A ty? Czy rzeczywiście potrzebujesz pomocy policjanta odstawionego na boczny tor? Tylko to

ma teraz znaczenie. Nie ma specjalistów, którzy potrafią rozwiązać każdą sprawę. Nie ma sprawdzonych reguł. Jesteś ty, może ja i ten facet, którego ścigamy. To jest poważna próba, Valentino. Wiesz o tym, prawda? – Popatrzył jej w oczy tak natarczywie, że się speszyła.

– Przecież ja cię o nic nie proszę – odparła. – I nie rozumiem, do czego zmierzasz...

Mężczyzna nie zwrócił uwagi na jej słowa.

– Chcę ci powiedzieć – ciągnął – że musisz być przygotowana na najgorsze. Ta sprawa kiedyś się skończy. Ale cokolwiek się zdarzy, jakikolwiek będzie jej finał, przyniesie ci zgryzotę, której już się nie pozbędziesz. Uwierz mi. I wtedy nie będzie miało żadnego znaczenia to, czy pomagałem ci w śledztwie, czy nie. I powód, dla którego obdarzyłaś mnie zaufaniem, też już nie będzie ważny. Kiedy dotrzesz do celu, zostaniesz sama z bliznami na duszy, których nabawisz się po drodze. Bezwrotnie. Nie będziesz też mogła nikogo obwiniać, tylko samą siebie.

Valentina czuła się zupełnie zdezorientowana.

– Dlaczego mówisz mi takie rzeczy? Przecież nie wiemy jeszcze, jak to wszystko się skończy. Twoje słowa mnie przerażają.

Costa zamilkł na chwilę.

– No dobrze, może przesadzam. Ale uwierz mi, to nic złego się bać. W swojej karierze miałem do czynienia z osobami, które wyzbyły się już wszystkiego, co ludzkie, a może nawet nigdy nic takiego w sobie nie miały. Nie wiem, jak to możliwe, że ich czyny nie przesładują mnie każdej nocy. Poznałem potwory, które zadawały niewiarygodne cierpienia bez cienia skruchy, bez żadnych emocji, jeśli nie brać pod uwagę nieludzkiej, zwyrodniałej przyjemności.

Przeczesał włosy palcami. Po raz pierwszy zauważyła u niego taki gest. Szczery i bezbronny. Niestety, teraz sprawił, że przestraszyła się jeszcze bardziej.

– Nigdy – ciągnął – nigdy wcześniej nie wyczuwałem takiej żądy przemocy jak teraz. Nie pytaj mnie, skąd to wiem, bo to tylko przeczucie. Bardzo silne przeczucie. A ja jestem już za stary, żeby udźwignąć dodatkowe cierpienie. A może po prostu mój czas minął. I powtarzam, nie ma to nic wspólnego z tym, co zdarzyło się w moim życiu osobistym. Nigdy nie będę już taki jak kiedyś. Musisz się z tym pogodzić. Mogę cię rozczarować. W godzinie próby nie powinnaś szukać we mnie wsparcia, którego nie będę mógł ci dać...

Zamilkł i spuścił wzrok, jakby się wstydził, że ciągle tkwi na posterunku. Że nie może przestać bawić się w policjanta.

Valentina wciąż nerwowo gryzła wargę.

– Mimo wszystko postaram się zrobić, co w mojej mocy – dodał niespodziewanie. – Aby mi się udało, muszę jednak zapomnieć o całej reszcie. I ty możesz mi w tym

pomóc. To tylko twoja decyzja.

 Nie odpowiedziała. Wiedziała, że nie ma takiej potrzeby.

Całe popołudnie spędzili na ponownej analizie wszystkich zgromadzonych danych. Costa nalegał, aby jak najszybciej wziąć się do pracy, a Valentina zgadzała się z nim w stu procentach. W kwestiach zawodowych doskonale się rozumieli. Każdy szczególnie badali wielokrotnie i pod różnymi kątami. Metoda okazała się pracowita, ale skuteczna.

Oczywiście jedną z najważniejszych poszlak była ta związana z obrazami Caravaggia.

– Sztuka... – zastanawiała się Valentina po raz setny. – Gdybyśmy zrozumieli rolę, jaką odgrywają dzieła Caravaggia w tej sprawie, to zrobilibyśmy wielki krok naprzód. Jak myślisz, co on kombinuje? Mam na myśli Mężczyznę Który Się Uśmiecha...

– Mężczyzna Który Się Uśmiecha? – Costa uniósł brew.

Valentina się zarumieniła.

– Tak, wiem, że to przezwisko jest zupełnie nie na miejscu, ale tak się przyjęło, że nikt go tu już inaczej nie nazywa. Mam tylko nadzieję, że prasa tego od razu nie przechwyci.

Costa pomyślał przez chwilę.

– No tak, właściwie to całkiem sensowna ksywka.

W komisariacie zaczęli go tak nazywać po tym, jak Costa przywiózł nowe informacje z Bolonii. Znali ten szczegół fizjonomii mordercy od dawna, ale nie przywiązywali do niego specjalnej wagi. Wspominał o tym Fosco, a potem Maria Sinagra opisała nieznanego o białych włosach, który nie przestawał się uśmiechać.

Borbotto, kloszard z Bolonii, pomógł im rozwiązać tajemnicę. Poszukiwany miał zniekształcone usta. Zadawał cierpienie z mimowolnym uśmiechem przyklejonym na zawsze do twarzy. Niestety przejrzanie policyjnej bazy danych nie przyniosło zadowalających rezultatów. Niektórzy kryminaliści, których personalia pojawiły się na ekranie, mieli zdeformowane twarze, ale żaden nie odpowiadał opisowi mężczyzny, którego szukali. Jeśli był już kiedyś aresztowany, to nikt nie odnotował tego znaku szczególnego w jego kartotece.

– Dlaczego właśnie postaci z obrazów Caravaggia? – nie dawała za wygraną Valentina. – Pomijając realizm bohaterów, który przyprawia mnie o gęsią skórę...

– Nie podoba ci się styl Caravaggia?

– To nie jest moja ulubiona konwencja. Podobają mi się dzieła Chagalla, Modiglianego... Uwielbiam to, że wykraczają poza rzeczywistość. Natomiast realizm

to nic innego jak naśladowanie autentycznych przedmiotów i osób.

– Gdyby nasz przestępca chciał znaleźć sobowtórów postaci z obrazów Modiglianiego, to miałyby poważne problemy...

– Według ciebie wybrał Caravaggia z uwagi na realizm jego dzieł?

– Nie sądzę, żeby tylko o to chodziło. Raczej od dawna się nim pasjonował. Giampaolo trochę mnie podszkolił. Krytycy twierdzą, że Caravaggio jak żaden inny artysta potrafił przedstawić najbardziej dramatyczne momenty w historii rodzaju ludzkiego. Zwany jest nawet „malarzem halucynacji”, ponieważ wszystko na jego płótnach jest mocne, wyolbrzymione, dosadne. Jeśli któryś artysta umiał przedstawić ból i cierpienie, to właśnie on. Prawdziwy raj dla seryjnego mordercy...

– Czego on naprawdę chce? Co robi z... – Przerwała. Z ciałami. To chciała powiedzieć. Co oznaczało, że nie uważała już zaginionych za żywe osoby. I to było okropne.

Costa miał rację, w końcu byli na tropie seryjnego mordercy.

– Sądzę, że zabija swoje ofiary – powiedział komendant. – Nawet jestem tego pewien. Pamiętasz glutaraldehyd?

Valentina pokiwała głową. Sama też o tym pomyślała. Wspomniana substancja był kluczowym elementem w sprawie. Wiedziała, co Costa ma na myśli, i poczuła niepokój.

– Glutaraldehyd – ciągnął komendant – służy do konserwacji ciał w stanie nienaruszonym. Wszystko wydaje się jasne. Wstrzykiwanie go do żywych organizmów, jak w przypadku Fosca, musi być etapem jakiegoś specyficznego procesu chemicznego. Poza tym to wysokotoksyczny związek i nasz poszukiwany wie, że podając go, powoduje śmierć ofiary.

– Musimy nad tym popracować – szepnęła Valentina. – Glutaraldehyd według mnie jest kluczem w tej sprawie...

– To nie koniec – dodał Costa – mam też coś, co wiąże się z twoim pytaniem o Caravaggia. – Sięgnął po kartki leżące na biurku i wypełnione drobnym regularnym pismem. – Miejmy nadzieję, że to pomoże nam zrozumieć – zaczął, przeglądając swoje zapiski. – Odwaliłem trochę papierkowej roboty. Zadzwoiłem do kilku starych znajomych i poprosiłem o radę.

Valentina pochyliła się nad biurkiem.

– Nie denerwuj się, wykonałem tylko parę telefonów – uściślił szybko. – Do kolegów, z którymi kiedyś pracowałem. Oni dalej krążą po całym kraju, postanowiłem skorzystać z ich rad i doświadczeń. No wiesz, żeby przewietrzyć trochę głowę, bo się zakurzyła. Czasami pamięć starych gliniarzy jest niezastąpiona...

– Dowiedziałaś się czegoś?

– Chyba niczego użytecznego dla naszej sprawy. Ale jest coś, co może nam dać wyobrażenie tego, co nas czeka. – Podał jej wydrukowanego maila. – Przesłał mi go stary przyjaciel. Teraz pracuje w Palermo, ale w swojej karierze zwiedził różne komendy wojewódzkie od północy na południe. Kiedy powiedziałem mu o naszym śledztwie i wspomniałem o obrazach Caravaggia, facet bardzo się zdziwił. Powiedział, że wszystko to przypomina mu dawną sprawę, którą prowadził jako szef grupy operacyjnej w Weronie. Pozornie nic ważnego, ale utkwiał mu w pamięci jeden dziwny, a zarazem przerażający szczegół.

Valentina prędko przebiegła oczami treść wiadomości. Zdarzenie miało miejsce na początku lat dziewięćdziesiątych, chociaż autor nie pamiętał dokładnej daty. W miasteczku leżącym na głębokiej prowincji zaginął mężczyzna. Bezdomny, a mówiąc dosadnie, wiejski głupek, który przez pół dnia był pijany, a przez drugie pół miewał ataki szaleństwa. Jego nieoczekiwane zniknięcie nikogo specjalnie nie zmartwiło, a poszukiwania szybko zakończono. Ludzie myśleli, że zapił się gdzieś na śmierć. Mężczyzna nigdy nie wrócił do rodzinnego miasteczka.

Kilka miesięcy później w czasie jakiejś rewizji znaleziono wideokasetę z dość dziwnym nagraniem. Były tam sceny jak z amatorskiego filmu porno, ale jeden obraz nie miał nic wspólnego z seksem.

Trzej mężczyźni o zasłoniętych kapturami twarzach podnosili z ziemi krzyż i ustawiali go w pozycji pionowej. Na drewnianej strukturze wisiał stary człowiek ze zwieszoną głową, całkiem nagi, jeśli nie liczyć przepaski z prześcieradła na biodrach. Krzyczał i wił się jak opętany.

Na pierwszy rzut oka mogło chodzić o rekonstrukcję historyczną, bo w nagraniu brakowało dźwięku, i dopiero kiedy policjanci przyjrzeni się bliżej, uderzyły ich wyraz twarzy i układ ust mężczyzny. Cała scena wydawała się ze wszech miar prawdziwa. Nadgarstki nieszczęśnika przebito wielkimi gwoździami, a z ran tryskała krew. W pewnym momencie przed obiektywem pojawił się arkusz z odręcznym napisem:

UKRZYŻOWANIE ŚWIĘTEGO PIOTRA, CARAVAGGIO.

I wtedy jeden z funkcjonariuszy oglądających wideo rozpoznał bezdomnego, który zaginął kilka miesięcy wcześniej.

Przyjaciel Costy, wspomniany komendant z Palermo, niestety nie pamiętał ani nazwiska ofiary, ani nazwy miasteczka, w którym doszło do zdarzenia. Policja nie ustaliła, czy nagranie było swego rodzaju żartem, czy rejestracją autentycznych wydarzeń. Chodziło zresztą o nieprzystosowanego społecznie kloszarda, którego nikt nie zamierzał szukać. Zrobili to, co niezbędne, aby mieć spokojne sumienia, i zamknęli sprawę.

Valentina nie mogła ukryć zdumienia.

– Znowu Caravaggio! Dokładnie tak jak u nas!

Poczuła, jak ogarnia ją przerażenie. Przypadek z Werony potwierdzał jej najgorsze przeczucia. Jeśli zniknięcie Andrei i Esther wiąże się z produkcją *snuff movie*, to przyjdzie im zanurzyć się w piekło, którego potworności nie sposób sobie wyobrazić.

– Uspokój się, Valentino – przywołał ją do porządku Costa. – To się zdarzyło trzydzieści lat temu. Nie sądzę, żeby wiek naszego mordercy się zgadzał. A poza tym to jedyny przypadek podobny do naszej sprawy.

– A jeśli to prawda? Może mamy do czynienia z naśladowcą...

– Kolega zapewnił mnie, że ta sprawa z Werony nigdy nie została upubliczniona, a naśladowcy z reguły wybierają efektowne przestępstwa, te, które narobiły szumu w mediach. Tak zwani *copycat* powtarzają znane, nagłośnione zbrodnie.

– Mężczyzna Który Się Uśmiecha mógł przecież obejrzeć kopię nagrania... Może nawet znał autora filmu...

– Tego nie da się wykluczyć. Teraz przynajmniej wiemy, czego się spodziewać.

To była prawda. Z pewnością ta sama podłość kierowała zarówno tymi, którzy dokonali makabrycznych nagrań, jak i tymi, którzy odpowiadali za porwanie Andrei i Esther. Kreatury zdolne do popełnienia mroźnych krew w żyłach czynów nurzały się w takich samych ciemnościach, w jakich działał poszukiwany przez nich mężczyzna.

Kiedy Valentina podniosła się z krzesła, zachwiała się lekko. Właśnie odkryła, że otaczający ją świat nie jest tak jasny jak w jej wyobrażeniach. Nie zauważyła, że Fabio stanął obok i chwycił ją za ramiona, by nie upadła.

– Dobrze się czujesz? – zapytał zaniepokojony.

– Od rana nic nie jadłam... – przyznała. – Jestem tylko zmęczona. Za chwilę mi przejdzie.

Próbowała się poruszyć, ale poczuła kolejny zawrót głowy i zatoczyła się jeszcze mocniej. Fabio ją objął, a ona położyła mu głowę na piersi.

– Daj mi tylko chwilę – szepnęła Valentina z twarzą wtuloną w jego sweter. – Zaraz mi przejdzie.

Costa dotknął dłonią jej podbródka, uniósł go i niespodziewanie ją pocałował.

Trwało to zaledwie chwilę i zaraz odsunęli się od siebie. Ktoś energicznie pukał do drzwi pokoju.

– Co się dzieje? – zapytał komendant.

– Przepraszam – powiedział Zucca. – Dostaliśmy zdjęcia, które zrobił kloszard w Bolonii. I Loris Manna się wścieka.

– Ci idioci przesłali razem wszystkie zdjęcia – wrzeszczał Loris Manna, uderzając dłonią w blat biurka tak mocno, że podskoczył nawet monitor, na którym przesuwali się niekończące się listy plików. – Prosiłem ich, żeby wysyłali partiami te fotografie, które już wywołali i zeskanowali. Teraz serwer się zapchał, a my musimy sprawdzić tysiące zdjęć naraz!

Valentina położyła mu dłoń na ramieniu i Loris natychmiast się uspokoił.

– To nie jest poważny problem – powiedziała. – I tak trzeba przejrzeć wszystkie po kolei.

– Wszyscy się tym zajmiemy – włączył się Costa. – Podzielimy pliki i zaczniemy sprawdzać. Nawet po kilka razy, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– No to do roboty! – zarządziła Valentina.

Kolejne godziny spędzili na przeglądaniu zdjęć zrobionych przez Borbotta w ciągu ostatnich dwóch lat. Większość z nich była chaotyczna, nieostra, zamglona. W jego obiektywie znalazły się setki twarzy, rąk i stóp przemierzających ulice, na których spędzał życie. Były też zwierzęta, budynki i pędzące przez miasto samochody, były ujęcia przedstawiające kawałek nieba oraz innych nieokreślonych przedmiotów.

Dokładnie analizowali każdą fotografię, często nawet po kilka razy: wybierali podejrzane fragmenty i powiększali szczegóły, próbując się nie zgubić w kalejdoskopie niesamowitych kolorów. Kiedy się przekonywali, że na zdjęciu nie ma tego, czego szukają, przechodzili do następnego.

Odrywając na chwilę oczy od ekranu, Valentina często napotykała spojrzenie Costy, w którym zdawała się dostrzegać ślad przerwane go pocałunku. Ale on od razu wracał do zdjęć, więc zaczęła podejrzewać, że chodzi tylko o jej złudzenie powodowane zmęczeniem, które wszystkim zaczynało dawać się mocno we znaki.

Był środek nocy i powoli tracili nadzieję, kiedy nagle usłyszeli spokojny głos Angela Zukki.

– Tu chyba coś jest.

– Co znalazłeś? – zapytała niepewnie Valentina, podchodząc do biurka, za którym siedział policjant.

Zawsze zazdrościła mu opanowania. Nawet w najbardziej stresujących momentach zachowywał stoicki spokój. W tej chwili na jego twarzy pojawił się jednak grymas, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Na ekranie monitora widniało jedno z licznych zdjęć zrobionych przez Borbotta, mało ostre i lekko prześwietlone. Twarz patrzącego na nich mężczyzny przypominała białą, nieokreśloną plamę, na tle której odbijały się dwie czarne dziurki – to musiały być oczy. Spojrzenie widma zaskoczono tym, że ktoś je zobaczył.

Mimo wszystko wyraźnie widać było białe włosy sięgające ramion.

– O, jest też furgonetka – zauważył Fabio, stając obok.

– Raczej bezbarwna – powiedział Zucca. – To wina złej jakości filmu. Zielony też wchodzi w grę.

– Czy to california?

Zucca wzruszył ramionami. Ujęcie było naprawdę fatalne.

Mężczyzna został sfotografowany obok samochodu, który miał otwarte boczne drzwi. Z prostokąta tablicy rejestracyjnej widocznego na dole po prawej stronie zdjęcia zdołali odczytać tylko dwie pierwsze litery: AN. Reszta była rozmazana. Valentina wyraziła swoje rozczarowanie głębokim westchnieniem.

Costa kręcił głową, wpatrując się z bliska w ekran komputera. Byli o krok od uzyskania odpowiedzi, a tu pojawiła się kolejna przeszkoda. Czuł się, jakby walił głową w mur.

Wyprostował się.

– To jeszcze nie koniec – mruknął. – Jeszcze nie powiedzieliśmy ostatniego słowa. Angelo, szukaj dalej. Może Borbotto zrobił więcej zdjęć tej samej sceny. Loris, weź na warsztat to, co mamy. Jak uda ci się powiększyć fragment z rejestracją, to może odczytamy kolejne litery i cyfry.

– Tak sądzisz? – zapytała z wyraźnym niedowierzaniem Valentina, wpatrując się w wypłowiałą plamę o rozmazanych konturach.

– Jestem tego pewien.

Manna od razu zabrał się do pracy.

Czas zatrzymał się w miejscu. Nikt nie ważył się nawet głośniej oddychać. Zdawało się, że w sali został tylko analityk pracujący nad starym zdjęciem.

Nie trwało to długo, chociaż dla nich całą wieczność.

– Mam – odezwał się wreszcie Loris.

Valentina błyskawicznie znalazła się przy jego biurku.

– Masz numer rejestracyjny? Udało ci się wyczyścić obraz?

Inspektor rzucił jej poważne spojrzenie.

– Mam coś więcej. Nazwisko.

– Jedyne, co udało mi się wycisnąć z oprogramowania – wyjaśnił Manna – to część numeru rejestracyjnego: AN trzydzieści cztery. A całą resztę musieliśmy odtworzyć sami.

Wszyscy obecni na sali wiedzieli, że nie było żadnego „my”, bo Loris pracował w pojedynkę.

– Nie sprawiło nam to większego kłopotu – ciągnął analityk. – Odtworzenie kompletnego numeru poprzez dopasowanie go do modelu california zajęło nam co prawda trochę czasu, ale w końcu się udało.

– Czego się dowiedziałeś? – ponaglił go Costa.

– Weźcie pod uwagę, że wszystkie tablice rejestracyjne, które zaczynają się od AN, zostały w dwa tysiące czwartym roku zarezerwowane dla prowincji rzymskiej. Stare auta, z których większość poszła już na złom. Dlatego też poszerzyłem zakres poszukiwań również na te wyrejestrowane. Znalazłem dwa volkswageny california, które jednak według krajowego rejestru samochodów od dawna nie jeżdżą po ulicach. Porównałem numer podwozia i nie ma mowy o pomyłce. Tablice rejestracyjne były przypisane do dwóch osób, które bardzo dokładnie sprawdziłem. Niestety, nie znalazłem nic interesującego.

– Loris, na litość boską... – nie wytrzymała Valentina.

– A tak, ma pani rację. Przepraszam. Wtedy pomyślałem, że nasz poszukiwany nie może być aż tak naiwny. Prawdopodobnie używa fałszywej albo sklonowanej rejestracji, na przykład kopii tablicy należącej kiedyś do furgonetki modelu California. Ja tak bym właśnie zrobił na jego miejscu. Policja drogowa ogranicza się, jak wiemy, do sprawdzania w bazie danych, czy numer rejestracyjny należy do samochodu skradzionego lub wykorzystanego do popełnienia przestępstwa. W normalnej sytuacji, to znaczy, jeśli nie istnieją uzasadnione podejrzenia, żaden policjant z drogówki nie korzysta z krajowego rejestru samochodów, a tylko tam można znaleźć informacje, czy konkretna rejestracja należy do pojazdu wycofanego z użycia. W trakcie rutynowej kontroli sprawdzanie wszystkich baz danych zajęłoby zbyt wiele czasu.

– I co z tego wynika? – zapytał Costa.

– Znacie centralny krajowy system tablic rejestracyjnych i tranzytu? To szybko rozwijająca się sieć monitoringu zarządzana centralnie. System został wprowadzony na próbę w kilku miastach i już zauważyliśmy pozytywne rezultaty. Program

rejestruje na specjalnym serwerze przejazd każdego pojazdu w najważniejszych punktach tranzytowych w kraju. Znając numery rejestracyjne, można zrekonstruować trasę pokonaną przez pojazd w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wprowadziłem oba numery, które znalazłem w systemie. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że w Neapolu działa bardzo dobrze rozwinięta sieć kamer podłączonych do naszego systemu. Są ich tysiące. Czternastego października, w dniu, w którym zniknął Salvatore Esposito, system odnotował trzy razy tablicę rejestracyjną o numerach AN trzysta czterdzieści sześć NA w dzielnicy Caivano, tam, gdzie mieszkał chłopiec. Ramy czasowe się zgadzają. Chyba nie muszę dodawać, że chodzi o rejestrację wycofanego z użytku volkswagena californii.

– O mój Boże... – szepnęła Valentina.

– Poczekaj chwilę – przerwał jej Costa, nie okazując emocji. – Skoro to sklonowana rejestracja wycofanego z użytku pojazdu, to znowu jesteśmy w ślepych zaułku. Właściciel nie może być naszym podejrzanym.

Loris przytaknął.

– To prawda, ale nasz system nie tylko zapamiętuje numery rejestracyjne. Robi też zdjęcia. I z trzech zarejestrowanych przejazdów furgonetki o numerach AN trzysta czterdzieści sześć NA z czternastego października mamy przynajmniej jedną fotografię dobrej jakości. Kierowca widnieje na niej w całej okazałości. Jego twarz jest dość wyraźna po tym, jak zastosowaliśmy kilka filtrów do poprawienia czytelności obrazu.

Uderzył w klawisz klawiatury, a na ekranie pojawiło się zdjęcie californii od przodu, zielonej niczym morze zimą. Za przednią szybą, oświetloną neapolitańskim słońcem, jaśniała twarz kierowcy. Anonimowe oblicze, czarne oczy i proste białe włosy spięte w koński ogon. Słowem, mężczyzna sfotografowany przez Borbotta, ale w o niebo lepszej rozdzielczości.

Mężczyzna Który Się Uśmiecha.

Valentina i Costa byli zbyt zmęczeni, by skakać z radości, niemniej jednak poczuli zastrzyk adrenaliny. Wreszcie mieli zdjęcie twarzy podejrzanego.

Tymczasem Loris Manna jeszcze nie skończył.

– Wrzuciliśmy tę śliczną buźkę do programu rozpoznającego twarze – powiedział. – I otrzymaliśmy trzy wyniki o stosunkowo dużym stopniu podobieństwa. Niestety ujęcie nie jest doskonałe. Z trzech wyłonionych kandydatów jeden przebywa obecnie w więzieniu, drugi został skazany za przestępstwa finansowe, a trzeci... Ach, ten trzeci...

Loris Manna ponownie postukał w klawiaturę i na ekranie ukazało się kolejne zdjęcie. Sfotografowany mężczyzna do złudzenia przypominał kierowcę furgonetki

z Neapolu, chociaż czas wyostrzył nieco jego rysy.

Czarne oczy wpatrywały się w nich wyzywająco z szarej powierzchni starego zdjęcia pochodzącego z policyjnej kartoteki.

– Nazywa się Luca Sileri – powiedział z satysfakcją Manna – i od lat jest poszukiwany za zabójstwo dziewczyny.

Wygląd mężczyzny ze zdjęcia niespecjalnie zapadał w pamięć. Poza układem ust, które nawet kiedy pozostawały zamknięte, przywodziły na myśl przyklejony krzywy uśmiech, twarz Luki Sileriego była anonimowa, zimna, łatwa do zapomnienia. Jego oczy nie błyszczały inteligencją, a krótkie, rzadkie włosy były czarne. Nie białe.

– Zdjęcie ma już swoje lata, zrobiono je w więzieniu, kiedy nasz ptaszek miał dwadzieścia lat – wyjaśnił Manna. – Dziś Luca Sileri ma trzydzieści dwa. Kilka razy został zatrzymany za obsceniczne zachowanie oraz skazany na rok i osiem miesięcy więzienia za napad w wieku dziewiętnastu lat. Od dwa tysiące szesnastego roku jest poszukiwany, prokuratura wydała nakaz tymczasowego aresztowania w związku z zabójstwem Teresy Franceschi.

Valentina przeglądała informacje pochodzące z policyjnego archiwum. Na próżno próbowała zachować spokój charakteryzujący zachowanie Fabia. Teraz już wszyscy byli przekonani, że trafili na ślad właściwego człowieka.

Profil psychologiczny podejrzanego wskazywał na typową osobowość psychopatyczną. Matka porzuciła go, kiedy był dzieckiem, a ojciec albo przepadał na dłuższy czas, albo stosował przemoc wobec bliskich. Sileri już jako nastolatek miał problemy z prawem. Śledczy zajmujący się morderstwem Teresy Franceschi zdefiniowali jego charakter jako wypaczony.

We wrześniu dwa tysiące szesnastego roku uprowadził dziewczynę pracującą w sieci dyskontów, do której dostarczał towary. Śledztwo nie wykazało, by młodzi znali się wcześniej. Franceschi zniknęła pewnego wieczoru po wyjściu z pracy. Jak to często bywa w przypadku zaginięcia osoby pełnoletniej, dochodzenie prowadzono niemrawo i bez przekonania. Nie znaleziono motywów wskazujących na porwanie. Wreszcie nikt nie połączył Sileriego z nieszczęsną dziewczyną.

Cztery tygodnie później policja została powiadomiona o morderstwie przez straż pożarną, którą z kolei wezwali mieszkańcy budynku w dzielnicy Tor Marancia na peryferiach Rzymu. Z jednej z piwnic dochodził fetor nie do wytrzymania. Nie udało się skontaktować z właścicielem i strażacy musieli wyważyć drzwi. Po otwarciu piwnicy ich oczom ukazał się przerażający widok. Na pryczy leżało ciało kobiety w stanie znacznie posuniętego rozkładu, śliskie od cuchnących płynów organicznych. Ofiara była naga, a patolog w czasie autopsji odkrył ślady stosunku *post mortem*. Na sutkach i w okolicach pochwy stwierdził też znaki wskazujące na ugrzyzienia.

Najdziwniejszy akcent stanowiła jednak trumna ze stali nierdzewnej ustawiona obok łóżka. Był to rodzaj pojemnika, który połączono z pompką wtryskową i w którym prawdopodobnie złożono ciało Teresy Franceschi, a może nawet ją samą, kiedy jeszcze żyła. Trzy kroplówki połączone ciągle z ramieniem ofiary zawierały płynne substancje chemiczne.

Sprowadzony na miejsce zbrodni lekarz sądowy wyjaśnił śledczym prawdopodobną funkcję mechanizmu z pompką. Otóż morderca próbował odessać z ciała ofiary krew i tłuszcze, aby zastąpić je silikonem oraz innymi sztucznymi substancjami. A wszystko to, aby utrzymać elastyczność ciała w nienaruszonym stanie również po śmierci. Swego rodzaju balsamacja zwłok, która zdaniem patologa miała zapewnić „seksualną używalność” ciała.

Później potwierdzono, że Teresa została zamordowana przy użyciu związku formaldehydu i acetonu. Szybki sposób na pozbawienie życia i przygotowanie ciała do konserwacji. Według lekarza zgon nie nastąpił jednak tego samego dnia co porwanie.

Morderca przez jakiś czas trzymał swoją ofiarę przy życiu.

Piwnica, w której znaleziono ciało, należała do Luki Sileriego, chociaż nikt z mieszkańców nie pamiętał, żeby kiedykolwiek go widział. Kilka tygodni wcześniej sąsiedzi zauważyli furgonetkę dostawczą zaparkowaną przed budynkiem, niektórzy słyszeli nawet dziwne hałasy dochodzące z piwnicy, ale nikt nie podejrzewał podobnej tragedii. Poza tym na takich osiedlach nikt nie wtyka nosa w nie swoje sprawy.

Tym razem śledztwo było szybkie i dość proste. Przeszukanie mieszkania Sileriego zaowocowało pozyskaniem DNA mężczyzny, które w stu procentach zgadzało się ze śladami obecnymi w płynie nasiennym oraz ślinie, które znaleziono na ciele Teresy. Prokuratura wystosowała nakaz aresztowania w związku z uprowadzeniem kobiety, zabójstwem oraz ukryciem i zbezczeszczeniem jej zwłok. W międzyczasie Sileri zdążył zniknąć. Cała sprawa przez kilka dni wzbudzała zainteresowanie lokalnych i krajowych mediów, a potem trafiła do archiwum.

– Glutaraldehyd – powtórzyła po cichu Valentina. – A więc mamy wyjaśnienie. Używa go, aby przygotować ciała do jakiegoś dziwnego procesu balsamacji. Mój Boże... Fabio, miałeś rację!

Costa zmarszczył czoło.

– Jest jeszcze kilka szczegółów do sprawdzenia. Przede wszystkim musimy zapoznać się z jego kartoteką.

– I porozmawiać z kolegami, którzy prowadzili sprawę Teresy. A co potem?

Costa rozumiał niepokój Valentiny. Właśnie odkryli tożsamość Mężczyzny Który Się Uśmiecha. Ciągle jednak wiele pozostawało do odkrycia. I przede wszystkim trzeba

było znaleźć konkretne dowody. Nie wystarczało zamglone zdjęcie zrobione przez bezdomnego czy pochodzące z monitoringu drogowego.

Po raz kolejny robili krok naprzód, po którym mieli przed sobą więcej pytań niż odpowiedzi.

– Trzeba jechać do Rzymu – podjęła decyzję Valentina. – To tam Silveri zaczął mordować i tam musimy rozpocząć poszukiwania.

Costa zgadzał się w pełni. Należało iść za tropem. Teraz wiedzieli już, kogo szukają. Muszą odtworzyć szlak jego krwawych działań.

– Wyruszamy jutro z samego rana – powiedział. – Powinnaś zawiadomić swoich przełożonych. Teraz to już nie jest tylko nasza sprawa.

– W porządku. Pojedziemy razem, prawda?

Wpatrywała się w niego, ponaglając wzrokiem do udzielenia jednoznacznej, jasnej odpowiedzi, i Costa zaczął się zastanawiać, czy ma to coś wspólnego z pocałunkiem. Bo jeśli tak, to mają problem.

Po długim czasie ponownie odczuwał niepokojące napięcie, które towarzyszyło mu w poprzednim życiu.

To nie o siebie się jednak obawiał.

– Caravaggio ma wielu wielbicieli i na pewno nie wszyscy są przy zdrowych zmysłach. – Loris Manna łyknął resztkę piwa. Rozejrzał się dookoła, skinął na kelnerkę i poprosił o drugi kufel.

Giampaolo D'Avanzo obserwował go z ciekawością. Manna wydawał mu się dziwnym policjantem. Nie pasował do niego stereotyp faceta ze spluwą i zdecydowanie zbyt dobrze radził sobie z algorytmami i oprogramowaniem. Jego długa blond grzywa, trzydniowy zarost i sposób bycia opowiadały własną historię. Giampaolo usłyszał po cichu od innych, że Manna to gej, jakby chodziło o wstydlivy sekret. Profesor pomyślał wtedy, że policyjne środowisko jest ciągle na tyle mało tolerancyjne, by utrudniać życie takim jak Loris. Tymczasem on ujawniał o sobie jedynie to, że jest profesjonalistą.

Po identyfikacji tożsamości Luki Sileriego oraz przerwie spowodowanej poszukiwaniem zdjęcia, które potwierdziło jego udział w sprawie, grupa śledczych wróciła do żmudnej roboty pod hasłem „Caravaggio”. Loris szedł jak burza, zdawało się, że nigdy się nie męczy.

Ledwie zakończyli najważniejszą część pracy, czyli kopiowanie wszystkich dzieł Caravaggia do systemu, zaraz przeszli do przeglądania obrazów innych artystów. Postanowili poszerzyć zakres poszukiwań o najśłynniejszych mistrzów renesansu, w szczególności tych, którzy jako pierwsi zaczęli nadawać przedstawianym postaciom głębię i realne rysy umożliwiające skanowanie i identyfikację za pomocą algorytmów „Boga”. Caravaggio zainicjował nowy styl w sztuce i miał licznych naśladowców. Żadne oprogramowanie wykorzystywane do rozpoznawania twarzy nie mogło poddać obróbce malowideł Giotta czy Cimabuego, których dwuwymiarowość uniemożliwiała znalezienie użytecznych punktów odniesienia, ale istniały setki późnorenesansowych portretów, na których widniały twarze i rysy należące do rzeczywiście żyjących osób.

W miarę postępów wszyscy się przekonywali, że komendant Costa miał rację. Mężczyzna Który Się Uśmiecha nie wybrał Michelangela Merisiego jedynie z uwagi na realizm jego dzieł. Po prostu malarstwo Caravaggia okazało się idealne dla jego szalonych poszukiwań.

Ustalenie tożsamości Luki Sileriego nie zmieniło przyjętej przez śledczych metody. Dla Costy kwestia nie podlegała dyskusji. Przede wszystkim nie mieli jeszcze oczywistego dowodu, że to Sileri jest mężczyzną, którego szukają. Profil mordercy obsesyjnie interesującego się dziełami Caravaggia – jak wynikało z aktualnych

informacji – nie zgadzał się z osobowością zabójcy Teresy Franceschi. Zresztą w tej chwili główny podejrzany był jedynie nieuchwytnym cieniem, niemającym żadnego wpływu na ich pracę. Do zadań grupy należały teraz trzymanie ręki na pulsie oraz znalezienie związków pomiędzy ofiarami porwań a obrazami artysty. Bez zbytniego rozpraszania uwagi.

Chociaż szybki wypad na piwo nikomu nie mógł zaszkodzić.

Lokal, który Giampaolo i Loris wybrali, nosił nazwę Al Cupo Vulture, dla uczczenia słynnej sagi o wampirach zatytułowanej *Zmierzch*, która rozślawiła Volterre na świecie. Zresztą był to jedyny bar otwarty do późna. I podawano w nim wysmienite lane piwo własnej produkcji.

– Nie uważasz? – spytał właśnie Loris i przez chwilę D’Avanzo był przekonany, że ma na myśli trzecią kolejkę. Szybko sięgnął po kufel i jednym haustem wypił resztę, która mu jeszcze została na dnie.

– Mówię o wielbicielach Caravaggia – wyjaśnił Loris.

– O co ci chodzi? – zaperzył się krytyk. – Według ciebie ktoś, kto podziwia Caravaggia, musi być szalony tak samo jak on?

– To Caravaggio był szalony?

– Raczej niepokorny. Wiesz co nieco o jego życiu, prawda?

Loris pokiwał głową i niemal stracił równowagę, kołysząc się na krześle. Piwo było naprawdę mocne.

– Wiem, że kogoś zamordował – powiedział, przeciągając niepotrzebnie literę er. – Gdybyśmy przenieśli się w przeszłość, moglibyśmy ruszyć za nim w pościg! – Zaśmiał się głośno.

D’Avanzo dołączył do niego, po czym potwierdził:

– Tak, to całkiem możliwe.

– Ponura dusza...

– Ponura dusza – przyznał. – Człowiek ukrywający się przez całe życie, pozostający w cieniu z konieczności... Może właśnie dlatego na jego obrazach światło jest takie ważne. Wyobraź sobie tylko, że wszystko, co wiemy na jego temat, pochodzi z archiwów sądowych z jego czasów. Jego sława jako malarza dotarła do szerszej publiczności znacznie później niż reputacja kryminalisty.

– To by potwierdzało moją teorię – mruknął Loris.

– Jaką teorię?

– Że to dlatego jego twórczość przyciąga tyle osób nie zrównoważonych psychicznie.

W trakcie śledztwa policjanci na wszelki wypadek przekopali Internet i archiwum policji, szukając najróżniejszych odniesień do Caravaggia. Rezultaty okazały się zadziwiające. Na świecie istniały grupy ezoteryczne, które w obrazach mistrza

widziały symbole i znaki zapowiadające nadchodzącą katastrofę. Inni utrzymywali, że Caravaggio był w rzeczywistości wcieleniem nekromanty, który kradł dusze portretowanym przez siebie osobom. Znaleźli nawet grupę noszącą nazwę „Czciociele Ściętych Główn”, której członkowie w manii artysty polegającej na przedstawianiu historycznych i mitologicznych scen dekapitacji upatrywali zachęty do praktykowania tego procederu w imię swego rodzaju duchowego oczyszczenia. Sugestia płynąca z malowideł była tak silna, że pobudzała wiele umysłów do nieokiełzanych rojeń.

D’Avanzo musiał przyznać, że obrazy Caravaggia mogą wywoływać taki skutek. Dlatego łatwo mu było przyjąć, że umysł poszukiwanego mordercy znajduje się pod wpływem posępnego kunsztu artysty.

– A tak przy okazji, to wspominałem ci już o Guidzie Marchesim, nie? – zmienił temat Loris, wyjmując z kieszeni pomietaną kartkę. – Przed śmiercią facet próbował nas przekonać, że nie mamy do czynienia z żadnym pedofilem. Właśnie na podstawie jego mglistych aluzji zacząłem przeglądać Darknet. Marchesi w rzeczywistości zaledwie musnął powierzchnię tego piekła, chociaż pewnie domyślał się czegoś, czego nie zdążył nam wyjawić. Sądzę, że był przerażony własnym odkryciem... lub osobą, którą tam poznał. Ja zapuściłem się głębiej i uwierz mi, nie było to przyjemne. Zobacz, na przykład dzisiaj znalazłem coś takiego.

Nieskładnym ruchem pomachał mu przed oczami kartką. Nadeszła chwila, by przerwać płukanie gardła. D’Avanzo nie był zresztą pewien, czy cała ta teatralna scena nie wynika po prostu z podchmielenia kolegi.

– To transkrypcja rozmowy dwóch gości, którą znalazłem na zakodowanym czacie – ciągnął Loris. – Mówili po angielsku, ale dla pewności poprosiłem o pomoc tłumacza z komisariatu.

Przeczytał tekst, zacinając się od czasu do czasu.

ETERNAUT@: Mówią, że Dawid i Goliat to coś wspaniałego.

NIGHTGAUNT@: Lepsze niż oryginał Caravaggia.

ETERNAUT@: Bardziej zmysłowe. Obcięta głowa wielkoluda wydaje się żywa. Ma wydatne usta. Krew błyszczy wśród nocy.

NIGHTGAUNT@: Co proponujesz?

ETERNAUT@: Mam kilka pomysłów. Nie wiem, czy ma jeszcze język, ale byłoby świetnie.

NIGHTGAUNT@: Podniecam się na samą myśl.

D’Avanzo podniósł wzrok, w którym niesmak mieszał się z niepokojem. Nie rozumiał, o co chodzi.

– Co to ma być?

Loris wpatrywał się w dno kufła.

– Nie wiem. Mówiłem ci, że wyłowilem to w Darknecie... jakieś okno w podsystemie, które zaraz się zamknęło i którego już więcej nie odnalazłem. To fragment czatu. Marchesi pewnie natknął się na coś takiego. Jak to czytałem, to dostałem gęziej skórki.

Giampaolo D'Avanzo odczuwał dokładnie to samo.

– Czy ten tekst może się okazać przydatny dla śledztwa? – zapytał.

– Nie sędzę. Nie udało mi się ustalić adresów IP użytkowników, bo korzystali z sieci typu *friend-to-friend*, a wiadomości przechodziły przez kilka routerów cebulowych...

– Nic nie rozumiem...

– Znasz się tylko na sztuce, poza tym prawdziwy z ciebie analfabeta. Wydaje mi się, że rozmawiali z dwóch różnych kontynentów. Jeden chyba ze Stanów, a drugi z jakiegoś miejsca w Azji. Nie sędzę, aby mieli coś wspólnego z naszym mężczyzną o białych włosach. A to potwierdzenie, że Caravaggia można znaleźć niemal wszędzie... i nie wszystkie konteksty, w których pojawia się jego nazwisko, okazują się niewinne. – Wypił ostatni łyk piwa. – Gdybyśmy mogli przesłuchać Marchesiego... – Telefon Loris obwieścił nową wiadomość i technik rzucił okiem na wyświetlacz, po czym spojrział na kolegę z bardzo poważną miną. – To on... – powiedział.

– Kto?

– System ostrzegawczy, który uruchomiliśmy – wyjaśnił Manna. – „Bóg” nas przestrzega.

Bóg przemawia do nas na różne sposoby – pomyślał bez sensu D'Avanzo – ale żeby i za pomocą esemesów?

Loris przeczytał wiadomość. Nawet w słabym świetle, które ledwie rozpraszało półmrok panujący w lokalu, D'Avanzo zauważył, że analityk zbladł.

– O mój Boże... – szepnął Loris.

– Co się dzieje?

– System znalazł pasujące ogniwo – obwieścił z niedowierzaniem – mamy kolejne porwanie związane z Caravaggiem. Doszło do niego przed chwilą... Morderca uderzył ponownie!

Nie spała pomimo późnej godziny, jakby czekała na dzwonek telefonu. Odsunęła kołdrę, usiadła na łóżku i sięgnęła po komórkę.

Rozmowa był krótka i kiedy zakończyła połączenie, poczuła znajome dreszcze. Ciągle nie mogła się do nich przyzwyczaić, chociaż już wiedziała, że śledztwo nie oszczędzi jej niczego.

Popatrzyła na łóżko, w którym nie zdołała odpocząć. Druga połowa pozostawała porządnie zasłana. Poprzedniego wieczoru przez chwilę miała ochotę zaprosić do siebie Fabia. Tamten pocałunek wprowadził w jej głowie i w sercu spore zamieszanie. Przez jakiś czas nie mogła się odnaleźć w zamęcie uczuć i myśli.

Tymczasem telefon zadzwonił ponownie. Usłyszała głos Fabia.

– Dzwonił Loris. Wczoraj wieczorem zaginęła dziewczyna. W jakimś miasteczku nad jeziorem Trasimeno... to całkiem niedaleko.

Costa sprawiał wrażenie całkiem przytomnego, jakby wcale nie spał tej nocy.

– Powiedział ci, kogo przypomina ofiara, prawda?

– Twarz dziewczyny jest taka sama jak oblicze postaci z obrazu Caravaggia *Święta Katarzyna z Aleksandrii* – oświadczył bez wahania Fabio. – To on, Valentino. Znowu jest niedaleko.

Skóra, ciało, kości

Na rozległej tafli załamują się światła przyciągane urokiem wody i w tę bezchmurną noc można odnieść wrażenie, że jezioro rozciąga się znacznie dalej niż w rzeczywistości, zalewając przybrzeżne domy do poziomu oświetlonych okien.

Tak bardzo urzeka cię ta gra światła, że nie potrafisz oderwać wzroku od lustrzanego odbicia wielkiej, ciemnej powierzchni znajdującej się za twoimi plecami, połyskującej w oknach restauracji. Nawet nieliczni klienci siedzący w środku wyglądają, jakby jedli pod wodą.

Ona też.

Ona też porusza się powoli, zanurzona w tę zabawę ogników świetlnych, jakby w rytm leniwego uderzania fal o brzeg. A ty nie możesz oderwać od niej oczu.

Nie potrafisz ogarnąć rozumem jej urody, nie możesz pojąć, dlaczego jest taka piękna. I nie rozumiesz, jak to możliwe, że wcześniej tego nie dostrzegłeś. Zdjęcia nigdy wystarczająco nie oddają prawdy. Chociaż powinieneś przewidzieć efekt, jaki wywoła. Ponieważ godzinami oglądałeś obrazy, powinieneś być przygotowany. Tymczasem wyruszyłeś na poszukiwania bez żadnego przecucia, byłeś spokojny jak zawsze.

Już ci się zdarzyło, że twarz ostatecznie nie odpowiadała twoim oczekiwaniom. Czasami zależy to od jednej cechy, na przykład niezbyt doskonale dopasowanego nosa lub wyrazu spojrzenia nieharmonizującego z oryginałem. W niektórych przypadkach byłeś zmuszony się wycofać i rozpocząć poszukiwania od nowa. W innych uznałeś, że podobieństwo, choć niedoskonałe, można jednak zaakceptować, i dokończyłeś dzieła.

Tym razem jednak coś pomieszało wszystkie twoje plany. Może stało się to wtedy, gdy zobaczyłeś, jak wychodzi z domu, a ty siedziałeś w swojej bezpiecznej furgonetce zaparkowanej po drugiej stronie ulicy. Może właśnie wtedy pojawiła się pierwsza wątpliwość. Nie mogłeś oderwać wzroku od lekkiego, tanecznego kroku, od jasnej skóry, od włosów poruszanych zimnymi podmuchami wiatru wiejącego od strony jeziora, od owalu twarzy.

Zaskoczyło cię uczucie, którego nie doznawałeś od bardzo dawna: pożądanie. Chcesz ją mieć tylko dla siebie.

Mogłaby być twoja. Gdybyś tylko zapragnął.

Kiedy śledziłeś ją w bezpiecznej odległości z domu do restauracji, twój umysł zaczął już opracowywać wszystkie możliwe rozwiązania.

Przede wszystkim ewentualność, aby nie zabijać jej od razu.

Czy to się da zrobić?

Ile będzie cię kosztował właśnie taki wybór?

Zaparkowałeś furgonetkę w pobliżu małego mołu, przy którym cumowały żaglówki zderzające się burtami niczym pijane upiory na wzburzonej wodzie.

Dziewczyna weszła do restauracji, nie zdając sobie sprawy z twojej obecności. Jest pewna siebie. Może nieco naiwna. A ty potrafisz stać się niewidzialny. Znasz już jej przyzwyczajenia i upodobania. Zawsze przykładasz dużą wagę do zebrania wszystkich możliwych informacji przed przystąpieniem do akcji.

Ona pracuje jako kelnerka i pomoc w tej dziurze, gdzie serwują smażone węgorze, duszone węgorze, pieczone węgorze, a ty się zastanawiasz, jak znosi przez cały czas smród ryb z jeziora, ten stęchły zapach wodorostów i stojącej wody, który przyprawia cię o mdłości. Nawet teraz, kiedy stoisz na zewnątrz u wylotu alejki prowadzącej do wejścia, uderzają cię w nozdrza para i wyziewy dochodzące z kuchni. *Dwór nad Jeziorem* – głosi szyld nad drzwiami restauracji, a nazwa próbuje zamaskować prawdziwą naturę tej taniej gospody.

– Może zechce pan wejść?

Jej głos sprawia, że cofasz się o krok. Zanurzony we własnych myślach, nie zauważyłeś, kiedy wyszła z restauracji i do ciebie podeszła. Pewnie przebiegła te kilka metrów, skoro udało jej się tak cię zaskoczyć. A to oznacza, że nie jest wcale taka naiwna, a ty nie jesteś niewidzialny.

– Słucham? – mamroczesz.

– Zobaczyłam pana przez okno, jak się pan waha, i pomyślałam... no cóż, mamy dobrą kuchnię, jeśli to może pana przekonać.

Wpatrujesz się w nią zaskoczony.

– I ceny nie są wygórowane – dodaje szybko dziewczyna, błędnie interpretując twoje wahanie. – Zapraszam. Powiem Osvaldowi, aby dał panu specjalną zniżkę dla nowych klientów... Ponieważ pan nie jest stąd, prawda?

Drżysz, kiedy ona dotyka delikatnie twojego łokcia, aby zachęcić cię do podjęcia decyzji.

– Nie, pan nie mieszka nad jeziorem.

Dlaczego drżysz?

– No więc jak, zechce pan wejść?

Kiwasz głową na potwierdzenie. Zresztą co innego mógłbyś zrobić?

Idziesz za nią potulnie do restauracji, powstrzymując się, by jej nawet nie musnąć.

Nie możesz się zdradzić.

Droga z Volterry do miasteczka nad jeziorem Trasimeno zajęła im niecałe dwie godziny, do czego zdecydowanie przyczynił się Zucca, wciskając do oporu pedał gazu wielkiego subaru. Za nimi jechał jeszcze jeden samochód z dwoma policjantami. Nikt więcej.

Manna pozostał na wszelki wypadek w komisariacie razem z nieodłącznym już profesorem D'Avanzem i kontynuowali analizę danych. Teraz najważniejsze były zbieranie informacji oraz ich szybka i prawidłowa ocena.

Zaginiona dziewczyna nazywała się Rosanna Bacci, miała dwadzieścia trzy lata i mieszkała w Passignano nad jeziorem Trasimeno. Miasteczko liczyło pięć tysięcy osób i leżało na północnym brzegu w połowie drogi pomiędzy wioską a ośrodkiem turystycznym. Od dwóch miesięcy, po tym, jak zmarła jej matka, Rosanna żyła sama w domku nad jeziorem. Mówiono, że była porządną dziewczyną z głową na karku. Nie miała ani partnera, ani żadnych żyjących krewnych. Po śmierci matki z powodu osamotnienia zmagiała się z łagodną depresją, ale nie opuściła nawet jednego dnia pracy w restauracji Dwór nad Jeziorem, gdzie serwowano specjały regionalnej kuchni domowej.

Poprzedniego dnia przyszła do lokalu jak zwykle punktualnie o osiemnastej, gotowa na wieczorną zmianę. Przebrała się, pogadała trochę z kucharzem Osvaldem, po czym zajęła się nakrywaniem stołów w dużej sali z oknami wychodzącymi na jezioro. Zapewne pod wpływem typowego efektu pewności wstecznej Osvald zeznał, że była raczej zdenerwowana i niezbyt rozmowna, ale dodał, że od kiedy została sama, zdarzało jej się to dość często. Rosanna wyszła na zewnątrz, żeby wyrzucić wielki wór śmieci. Powinna załadować go na wózek, pokonać alejkę wiodącą do wyjścia, skręcić w prawo, przejść kilka metrów wzdłuż żywopłotu otaczającego ogród i wyrzucić odpadki do jednego z dużych kontenerów. Wykonanie zadania nie wymagało więcej niż pięć minut.

Rosanna już nie wróciła.

Początkowo koledzy nie zwrócili na to uwagi. Czasami się zdarzało, że niektórzy pracownicy wykorzystywali chwilę przerwy na papierosa lub na wykonanie pilnego telefonu i mitrężyli nieco więcej czasu na zewnątrz. Kiedy jednak minęło pół godziny, zaczęli się niepokoić. Wyszli szukać Rosanny, ale nie znaleźli żadnego śladu. Nie wiedząc, co robić, marudzili jeszcze przez kolejnych dwadzieścia minut, aż w końcu zawiadomili policję.

Podczas gdy Zucca wciskał gaz do dechy, Valentina po raz kolejny przeglądała pierwsze raporty, które kazała sobie przesłać mailem. Nie zapowiadały nic dobrego.

– Twarze znów do siebie pasują, to wprost niewiarygodne!

W głosie Manny, kiedy zadzwonił do niej w środku nocy, usłyszała mieszaninę entuzjazmu i przerażenia.

– Mamy powiadomienie sprzed niespełna godziny. Być może chodzi o zwyczajne opuszczenie miejsca pracy, być może o samobójstwo. Tyle że dziewczyna jest doskonałym sobowtórem Świętej Katarzyny z obrazu Caravaggia. Zdjęcia w systemie sygnalizują dziewięćdziesięcioośmioprocentowe podobieństwo. Odpowiedź przyszła od razu, jak tylko wrzuciłem wiadomość o zaginięciu.

Piętnaście minut później Valentina i Fabio spotkali się w komisariacie. Zucca przygotowywał wszystko do podróży.

Costa wydał się komisarz Medici jeszcze spokojniejszy niż zwykle.

– Jedź ty – powiedział bez wstępów.

– Co to znaczy? – zaniepokoiła się. – Nie pojedziesz ze mną?

– Ja zrobię to, co wcześniej postanowiliśmy. Pojadę do Rzymu, żeby się przekonać, kim jest Luca Sileri i czy naprawdę to jego szukamy.

– Bardziej byś się przydał w tym przeklętym miasteczku...

Fabio pogłaskał ją po twarzy. Gest był naturalny i nieśmiały, a kryła się w nim ta sama słodycz, którą poczuła we wczorajszym pocałunku. Nie mogła o nim zapomnieć.

– Nie sądzę – zaprzeczył. – Doskonale dasz sobie radę. A przecież ktoś musi pojechać do Rzymu. Powinienem to zrobić już kilka godzin temu. To tam mam szansę odkryć, gdzie ukrywa się Sileri.

Valentina wiedziała, że możliwość ustalenia miejsca pobytu poszukiwanego od lat przestępcy, który doskonale zacierał za sobą ślady, graniczy z cudem. I po raz kolejny poczuła, że nie nadaje się do tego zadania. Kimże jest, by dokonać tego, co nie udało się innym śledczym? Czy powinna mocniej wierzyć w siebie?

Postanowiła zaufać Fabiowi i tym razem.

Zdążając na miejsce ostatniej zbrodni Mężczyzny Który Się Uśmiecha, Valentina zastanawiała się, czy Costa naprawdę wierzy w swoje przeczucie. Odnalezienie Luki Sileriego wydawało jej się zadaniem niewykonalnym.

Ma duże, zacięte oczy. Spogląda na prawo, ale jakby poza horyzont. Również jej usta układają się w znaczący grymas wyrażający coś na kształt delikatnego uporu. Ujęcie ukazuje je w momencie poprzedzającym zmianę, może właśnie przechodzącą w uśmiech, którego nikt nigdy nie zobaczy.

Zwłaszcza na jednym zdjęciu twarz dziewczyny niemal w stu procentach odpowiada wizerunkowi Świętej Katarzyny, chociaż i tu Valentina dostrzegła ślad powstrzymanej wesołości.

Przeglądając fotografie na tablecie, nabrała pewności, że potwór bez wątpienia natknął się właśnie na to zdjęcie Rosanny, które przedstawia dziewczynę na basenie. Chociaż nie zajmowała się sportem profesjonalnie, to wydawała się bardzo dumna, że któryś z przyjaciół uwiecznił jej wyczyny. Bez problemu opublikowała fotkę na Facebooku. Miała mokre, związane włosy, skupiony wyraz twarzy, lekki uśmiech, jednym słowem: wszystko, co czyniło z niej doskonałego sobowtóra świętej, którą namalował Caravaggio. Porywacz z pewnością od razu zauważył uderzające podobieństwo.

I właśnie ono okazało się wyrokiem skazującym.

Dotarli do Passignano, kiedy policja rozpoczynała poszukiwania Rosanny. Pierwsi przybyli na miejsce karabinierzy, ale później po ponagleniu ze strony centrum operacyjnego dołączyła do nich również grupa operacyjna z komendy w Perugii. Miejscowi policjanci sprawdzali okolice, a nurkowie jezioro. Na drogach powiatowych ustawiono blokady. Grupa Valentyny zasygnalizowała, żeby zwracać uwagę na volkswagena californię o numerze rejestracyjnym AN 346 NA, ale nadzieje na zatrzymanie furgonetki słabły z każdą upływającą sekundą.

W restauracji Dwór nad Jeziorem policjanci przesłuchiwali potencjalnych świadków. Korpulentny mężczyzna o szpakowatych włosach wciśnięty w źle dopasowaną marynarkę odłączył się od grupy i ruszył w kierunku Valentyny.

- Leonardini, zastępca komisarza grupy operacyjnej – przedstawił się.
- Valentina Medici, centrum operacyjne.

Podali sobie dłonie.

– Bardzo szybko dotarliście na miejsce. Przekażę pani, co udało nam się do tej pory ustalić.

Powiedział, że wszyscy pracownicy restauracji zgadzali się co do tego, że zaginiona dziewczyna nie miała wrogów, nie obracała się w podejrzanym towarzystwie ani nie

nawiązywała niepewnych znajomości. Twardo stąpająca po ziemi, choć też nieco naiwna. I być może rzeczywiście zmagала się z problemami psychicznymi. Od czasu, gdy została sama, bez jakiegokolwiek oparcia w rodzinie, przyjaciółach czy chłopaku, jej nastrój zdecydowanie się pogorszył. Nie mogli wykluczyć samobójstwa, chociaż nikt nie zauważył, by była aż tak bardzo zrozpaczona, żeby targnąć się na własne życie.

Podobno w ostatnich dniach wydawała się bardziej ożywiona, jakby wstąpiła w nią nowa nadzieja. Ten mężczyzna o białych włosach wyglądał na zakochanego.

Valentina aż podskoczyła.

Leonardini uśmiechnął się smutno.

– Tak, wiem, o czym pani myśli, czytałem informację, którą wysłaliście kilka dni temu. Niestety nie mamy jednoznacznego opisu mężczyzny... Niektórzy się domyślają, że chodzi o nowego chłopaka, ale nikt nie potrafi pomóc przy sporządzaniu portretu pamięciowego.

– Co ma pan na myśli? – zapytała Valentina.

– Jeszcze rozmawiamy ze świadkami, ale do tej pory trzech kelnerzy podali trzy różne wersje. Pamięć płata figle. Według dwóch był wysoki i szczupły, zdaniem trzeciego niski i gruby. Jeden twierdzi, że miał koło trzydziestki, pozostali natomiast powiedzieli, że nawet koło pięćdziesiątki. A po prawdzie to nikt nie widział go z bliska, stąd trudności w identyfikacji rysów twarzy. Podobno pojawił się dwa dni wcześniej i usiadł przy stoliku daleko od kuchni, w pobliżu drzwi wejściowych. Obsługiwała go właśnie Rosanna. Powiedziała wyraźnie, że chodzi o specjalnego klienta, którym sama się zajmie. Koledzy zostawili jej wolną rękę, plotkując za plecami, że może wreszcie znalazła sobie faceta i humor jej się poprawi. We wszystkich informacjach zgadzał się jeden szczegół: białe włosy do ramion. Raz miał je związane w koński ogon, drugi raz rozpuszczone.

– Pojawił się dwa razy? – zainteresowała się Valentina.

– Tak, przedwczoraj wieczorem i wczoraj. Przyszedł na kolację. Usiadł przy stoliku, zjadł i się ulotnił. Tylko z Rosanną zamienił kilka słów, ale nikt się nie dopytywał, o czym rozmawiali.

Valentina potakiwała, próbując zebrać myśli.

– Prześlemy wam zdjęcie podejrzanego – powiedziała wreszcie. – Będziecie mogli pokazać je świadkom. Problem w tym, że pochodzi sprzed wielu lat. Teraz nasz technik go postarza i przygotowuje nową wersję.

– W porządku, ale niech pani na wiele nie liczy. Te matolki nie zauważyłyby na sali nawet słońca.

– Sprawdziliście już mieszkanie ofiary?

– Tak, na miejscu jest kilku moich ludzi. Zwróciliśmy się o zgodę na rewizję do sędziego, który akurat miał dyżur. W domu wszystko w porządku. Teraz przesłuchują sąsiadów...

– Chciałabym sama rzucić okiem – zdecydowała szybko Valentina.

– Jeszcze jedno – dodał Leonardini. – Nikt nie zauważył samochodu, którym przyjechał mężczyzna. Dopiero po waszej informacji o furgonetce kazałem popytać w okolicy. Jeśli to prawda, że kręci się tu od trzech dni, to ktoś musiał ją zapamiętać. Poleciałem też zebrać cały dostępny materiał z monitoringu znajdującego się w tym rejonie.

– Musimy się skontaktować z drogówką i ze strażą miejską w okolicznych miejscowościach oraz przejrzeć zdjęcia z fotoradarów i nagrania z kamer umieszczonych na drogach dojazdowych do miasteczka – uzupełniła Valentina.

Silny podmuch wiatru od strony jeziora uderzył w szyby przestronnych okien, wprawiając je w drżenie. Oboje odwrócili się w kierunku ciemnej tafli wody. Valentina odniosła wrażenie, że za lśniącą szklaną powierzchnią dostrzega cień postaci Rosanny, która bezgłośnie woła o pomoc.

Siedzisz beczynnie już od godziny i wiesz, że to zdecydowanie zbyt długo.

Zaparkowałeś jak zwykle na uboczu. Tym razem jest to stary zrujnowany dom, z którego pozostały jedynie trzy ściany oraz część dachu, doskonałe miejsce na kryjówkę, bo położone z dala od drogi i otoczone chaszczami oraz krzakami jeżyny. Musiałeś się trochę natrudzić, aby przygotować szerszą ścieżkę umożliwiającą przejazd furgonetki, ale rezultat okazał się doskonały.

To jednak nie wszystko.

Odurzyłeś dziewczynę chemią bez naruszenia jej urody, bez ograniczenia funkcji życiowych, i teraz sprawia wrażenie jeszcze atrakcyjniejszej niż za pierwszym razem, gdy ją zobaczyłeś.

Jesteś o krok od realizacji projektu.

Co się z tobą dzieje?

Odwracasz się i odsłaniasz wizjer, żeby zajrzeć do tylnej części furgonetki. Wszystko wydaje się w porządku. Prycza przylutowana do podłogi. Kroplówka założona prawidłowo. Termiczny koc przykrywa całe jej ciało oprócz głowy.

I ona.

Ma zamknięte oczy, leży pogrążona w sztucznym śnie, który sprowokowałeś, i jest doskonała nawet teraz, kiedy śmiertelna bladość jej twarzy oznacza, że zajrzała już przez bramę piekła. Ciągle jednak ma w sobie coś, czego nie rozumiesz i co cię niszczy.

Pociąga cię jej żywotność, nie jej śmierć.

I w tym tkwi największy problem. Już i tak zbyt wiele ryzykujesz. Ona cię widziała. Rozmawiała z tobą. Uśmiechała się do ciebie.

Ona cię zauważyła.

Zamykasz wizjer i kładziesz dłonie na kierownicy. Musisz zachować spokój. Liczyć się z czasem. Postępować zgodnie z regułami. Tak jak zawsze. Wcześniej czy później będziesz wiedział, co robić.

Musisz poczekać i wytrwać.

Wcześniej czy później zrozumiesz.

Poprzedniego wieczoru wrócili bardzo późno i Giampaolo D'Avanzo od razu padł w ubraniu na jedno z łóżek polowych ustawionych w komisariacie.

Przed ekranem komputera połączonego z serwerem zwanym „Bogiem” został tylko Loris Manna, który też ledwo trzymał się na nogach, ale mimo to zamierzał wprowadzić do systemu jeszcze niektóre dane oraz wypróbować nowy algorytm. Nieobecność kolegów, którzy pojechali tam, skąd zniknęła Rosanna Bacci, sprawiła, że Giampaolo i Loris sami musieli walczyć z Caravaggiem i jego bohaterami. Niezależnie od nowego wyzwania należało dalej szukać informacji i wzajemnych połączeń między nimi. Nie szczydzili sił. To była pierwsza przerwa na odpoczynek, na którą profesor pozwolił sobie od kilku dni.

Obudził się, kiedy wciąż jeszcze było ciemno, i dołączył do Lorisa zmagającego się właśnie z projektorem. Blask monitorów, do których próbował podłączyć urządzenie, uwydatniał czarne, głębokie cienie pod jego oczami.

– Co robisz?

– Pracowałem w nocy – powiedział Loris, w jego głosie nie było jednak typowej nuty satysfakcji, z którą zwykle obwieszczał nowe odkrycie. – I oto rezultat.

Na białej ścianie po jednej stronie widniały zdjęcia pięciu osób: trzech kobiet i dwóch mężczyzn. Po drugiej wizerunki twarzy z obrazów Caravaggia. Pięć postaci namalowanych z charakterystycznym dla artysty kunsztem. Żywe oczy, sugestywny układ warg. Nawet zmarszczki na szyi albo zarys ucha wyglądały na naturalne. Caravaggio był niedoścignionym mistrzem, jeśli chodzi o uchwycenie gestu czy czynności niczym niezrównany współczesny fotograf.

Pięć rzeczywistych osób wytypowanych przez system operacyjny Lorisa doskonale odpowiadało postaciom z obrazów Caravaggia, z którymi analityk je porównywał.

– Kim oni są? – zapytał Giampaolo, choć znał odpowiedź.

– To osoby, które zagięły w ciągu ostatniego roku. Ten gnój morduje nie wiadomo od jak dawna, ale do tej pory nikt się nie zorientował.

Krytyk dobrze znał twarze, które „Bóg” wytypował z obrazów Caravaggia. Byli więc Holofernes i stara służąca gotowa do zabrania odciętej głowy wodza. Dalej zapadnięte oblicze i długa broda Świętego Hieronima. Była Cyganka, która na płótnie pod tytułem *Wróżenie z ręki* przepowiada młodzieńcowi przyszłość. Wreszcie anielskie oblicze Madonny Loretańskiej, które D'Avanzo uznawał za jeden ze swoich ulubionych obrazów artysty.

Zaginione osoby przypominały niedoskonałych sobowtórów tych właśnie bohaterów z malowideł Caravaggia. Brodaty mężczyzna, starzec, stara kobieta, pulchne kobiece oblicze oraz delikatna twarz dziewczyny, która pewnie nie wiedziała o swoim podobieństwie do Matki Boskiej z barokowego siedemnastowiecznego obrazu.

Mężczyźni i kobiety, którzy pewnego dnia po prostu zniknęli. Z własnego domu. Z biura. Z ulicy. Zostali wyrwani ze swojego świata bez wyjaśnienia i bez wyraźnego powodu. O wielu z nich pewnie mówiono w kryminalnych programach telewizyjnych. W niektórych przypadkach podejrzewano samobójstwo. Niemal wszystkie zaginięcia uznano za dobrowolne porzucenie dotychczasowego życia. W końcu chodziło o dorosłe osoby, które rozplynęły się we mgle, na przykład po to, by zacząć wszystko od nowa. Tymczasem pozbawione uczuć algorytmy opowiadały zupełnie inne historie. Horrorzy niedające w nocy zasnąć. Opowieści przypominające o własnych koszmarach.

– Jest ich więcej – mruknął Loris, nie mogąc oderwać oczu od monitora, na którym pojawiały się wciąż nowe dane.

– Naprawdę? – szepnął Giampaolo, czując, jak ogarnia go smutek pomieszany z niepokojem.

– „Bóg” coraz lepiej działa – wyjaśnił ponuro analityk. – To sztuczna inteligencja, która doskonali swoje umiejętności wraz z nabywaniem nowych informacji. Uczy się, z jakich źródeł korzystać. Już wskazuje mi kolejne podobieństwa. O Jezu... ile tego jest?

Giampaolo nie miał pojęcia. Pomyślał o Fabiu i Valentinie, którzy szukali potwora.

– Musimy ich ostrzec – powiedział. – Musimy ich uprzedzić, z kim mamy do czynienia. Bo chyba ciągle nie do końca zdają sobie z tego sprawę.

Mieszkanie znajdowało się w starej wielorodzinnej willi i zajmowało kilkadziesiąt metrów kwadratowych na dwóch poziomach. Przydałby mu się co prawda gruntowny remont, ale było wysprzątane i wszędzie panował porządek, co oznaczało, że Rosanna dbała o dom.

Kiedy Valentina weszła do środka, odniosła wrażenie, że w pokojach brakuje charakteru i indywidualnego gustu. Nie było tu kwiatów, poza tymi wydrukowanymi na firankach i obrusach przeciętnej jakości. Nie było zdjęć, jeśli nie liczyć kilku ramek ze starymi fotografiami poważnych anonimowych twarzy krewnych z minionej epoki. Nie było obrazów oprócz sztampowych morskich widoczków oraz kiczowatych martwych natur z supermarketów. Brakowało kolorów i światła. Brakowało oznak szczęścia. A właściwie to wyczuwało się resztki utraconej i nigdy nieodnalezionej radości.

Valentina zadała sobie pytanie, kim jest Rosanna Bacci. Czy wystrój jej mieszkania świadczy tylko o braku gustu, czy o jakimś znacznie głębszym problemie? Jakby to skromne lokum nie należało do niej, jakby dziewczyna nie czuła się w nim u siebie. Traktowała je jak pokój hotelowy wynajęty na całe życie.

Dlaczego?

Na jednym ze zdjęć widniała Rosanna w objęciach starszej kobiety. Dziewczyna się śmiała, ale ta druga, prawdopodobnie matka – nie. Z obojętnej, surowej twarzy Valentina wyczytała podłoże relacji obu kobiet. Despotyczna matka niepozwalająca córce rozwinąć skrzydeł, może w przeświadczeniu, że ta nie poradzi sobie w złym świecie. I córka bez sprzeciwu zgadzająca się na życie w cieniu, szczęśliwa, że nie musi się o nic martwić.

Teraz matka nie żyje, a puste, ponure mieszkanie jest jedynym świadkiem, kim była ta kobieta. Rosanna jeszcze nie nauczyła się bez niej istnieć.

Tylko jeden szczegół nie pasował do całej reszty, był zbyt osobisty i dlatego od razu zadziwił i zaniepokoił komendantkę.

W pokoju Rosanny stały zwykłe jednoosobowe łóżko oraz masowo produkowane meble – wszystko było bezosobowe i pozbawione charakteru. Na tym tle od razu rzucił się w oczy wydrukowany obrazek z pożółkłymi brzegami, którego nawet nie umieszczono w ramce. Wisiał zaledwie dziesięć centymetrów nad poplamionym lustrem i przedstawiał fragment obrazu Caravaggia ze Świętą Katarzyną. Jej twarz zajmowała całą przestrzeń kartki i kto nie znał oryginału, mógłby naprawdę

pomyśleć, że modelką artysty była właśnie Rosanna. Dziewczyna zawiesiła na ścianie tę reprodukcję po tym, jak ktoś prawdopodobnie zwrócił jej uwagę na niezwykle podobieństwo, wzbudzając jej ciekawość. Może nawet nieco ją to bawiło, chociaż z pewnością nie przyszło jej do głowy, że właśnie z tego powodu wpadnie w ręce mordercy.

Valentina w pojedynkę sprawdzała mieszkanie ofiary. Zucca i pozostali koledzy z grupy pomagali miejscowej policji w działaniach operacyjnych, podczas gdy ona chciała wyrobić sobie opinię na temat zaginionej dziewczyny bez narażania się na zamieszanie i uwagi ze strony współpracowników.

Była przekonana, że Mężczyzna Który Się Uśmiecha postąpiłby w ten sam sposób. Przez trzy, cztery dni sprawdzał okolice i obserwował ofiarę w oczekiwaniu na dogodny moment, sprzyjający jego zamiarom. Teraz już znali jego pedantyczny charakter i wiedzieli, że przygotowuje się bardzo dokładnie przed przystąpieniem do akcji. Skoro Mężczyzna Który Się Uśmiecha, czyli Luca Sileri, studiował zachowanie i przyzwyczajenia potencjalnej ofiary, powinna to zrobić również Valentina. Chciała lepiej poznać Rosannę, aby zrozumieć sposób działania jej porywacza.

Poruszała się po mieszkaniu, zaglądając do poszczególnych pomieszczeń, kiedy nagle uderzyła ją dziwna cisza panująca w całym domu.

Podeszła do okna w malutkiej kuchni i kiedy wyjrzała na zewnątrz, w pierwszej chwili oślepiły ją promienie słońca wiszącego już wysoko nad taflą jeziora, które rozciągało się w pobliżu. Błęszące smugi załamywały się w koronach platanów, które rzucały cień na polną drogę za domem. Gra światła ożywiała na ścieżce zakątek, który zazwyczaj pozostawał ukryty w cieniu. To mogło być idealne miejsce, z którego Sileri, ukryty w swoim volkswagenie californii, obserwował dziewczynę. Pewnie zatrzymał się właśnie tam, korzystając z osłony potężnych drzew.

Idea wydała jej się tak przekonująca, że natychmiast ruszyła do wyjścia, aby obejrzeć wybrane miejsce. Każdy najmniejszy ślad mógł się okazać użyteczny i Valentina postanowiła sprawdzić teren, chociaż wiedziała, że technicy kryminalistyczni już tam byli.

Kiedy wyszła przed dom, otoczyły ją światła i podniesione głosy, których się nie spodziewała. Ktoś od razu ją rozpoznał, ponieważ usłyszała wołanie:

– To Valentina Medici! To ona!

Grupa składała się z reporterów i kamerzystów, a kanały telewizyjne, dla których pracowali, łatwo można było rozpoznać po logach na kamerach i mikrofonach. Byli też reprezentanci najważniejszych ogólnokrajowych gazet i Valentina zaniepokoiła się, skąd dziennikarze wiedzą, kim jest.

– *Dottoressa*, prosimy o komentarz!

– *Dottoressa*, czy to prawda, że sprawa Rosanny Bacci łączy się ze zniknięciem Andrei Venturiego?

– Czy Rosanna nie żyje? A może macie jeszcze nadzieje na odnalezienie jej żywej?

– Czy to pani prowadzi śledztwo? Jest pani szefową grupy operacyjnej?

– Czy zaniechacie szukania Rosanny tak samo szybko jak małego Andrei?

Za murem dziennikarzy, tam gdzie znajdowało się osłonięte drzewami miejsce, w którym Sileri mógł zaparkować furgonetkę, zobaczyła teraz podjeżdżający samochód z wielką anteną satelitarną na dachu. Pojazd poślizgnął się na polnej drodze, a kiedy wreszcie się zatrzymał, wysiadła z niego liczna ekipa telewizyjna, nieubłaganie niszcząc wszystkie ewentualne ślady. Teren nie został oznaczony taśmą, a teraz było już za późno, by domagać się od dziennikarzy ostrożności. To była jej wina, bo nie pomyślała wcześniej o środkach zapobiegawczych.

– Nie będzie żadnego oświadczenia – szepnęła, po czym dodała głośniejszym głosem: – Żadnych komentarzy.

Jedna z reporterek, z przyciężkim makijażem, złapała mikrofon niczym wielki nóż i natarła na nią całym ciałem. Valentina poczuła truskawkowy zapach jej oddechu.

– Co teraz zamierzacie, *dottoressa* Medici? Nie udało wam się uratować małego Andrei Venturiego, czy są przynajmniej jakieś szanse na ocalenie Rosanny Bacci?

Policjantka miała ochotę wyrwać jej mikrofon i odrzucić daleko w krzaki. Wiedziała jednak, że powinna się opanować.

– Nie mam nic do powiedzenia – powtórzyła.

Dziennikarka odeszła kilka kroków do tyłu. Prawdopodobnie przestraszył ją grymas na twarzy Valentiny.

Subaru pojawiło się niczym mąż opatrnościowy i wybawiło ją z opresji. Zucca wysiadł z samochodu, łokciami utorował sobie drogę wśród dziennikarzy i pomógł koleżance schronić się w środku. Po chwili Valentina zobaczyła, jak reporterka o truskawkowym oddechu znika w tumanie kurzu wznieconym przez ich auto. Podczas gdy Zucca manewrował pomiędzy zaparkowanymi pojazdami, oddalając się od grupy reporterów, Valentina zawzięcie patrzyła przed siebie i myślała o Fabiu. Nie mogła mu darować, że w takim momencie pojechał do Rzymu. Powinien być przy niej. Musiała przyznać, że telewizyjne hieny mają rację. To moja wina, że Andrea nie wrócił do domu – pomyślała. A Rosannę czeka taki sam koniec.

Czekałeś, aż nadejdzie noc, i teraz wreszcie świat pogrążył się w ciemnościach.

Po raz pierwszy przesiadasz się do tyłu, aby podać jej kolejną dawkę chloroformu i glutaraldehydu oraz upewnić się, że dziewczyna jeszcze żyje. Wiesz, że jej serce długo nie wytrzyma takiej intensywnej terapii. W innych przypadkach wcale cię to nie obchodziło, ale teraz jest inaczej.

Po raz drugi odwiedzasz ją w środku nocy, ponieważ...

Ponieważ chcesz ją zobaczyć. Nic więcej.

Próbujesz przespać się trochę w szoferce swojej starej furgonetki, lecz sen nie przychodzi. Słyszysz jej oddech z głębi samochodu. Męczy cię wspomnienie jej oczu osłoniętych delikatnymi powiekami.

W końcu się poddajesz.

Wysiadasz z szoferki i przesiadasz się do tylnej części volkswagena, który tak dobrze wyposażyleś i przystosowałeś do swoich celów. Przedtem jednak masz jeszcze na tyle zdrowego rozsądku, że zakładasz tę okropną białą perukę. Mimo wszystko nie zapominasz o zasadach ostrożności.

Zbliżasz się do niej i twój oddech przyspiesza. Ona jest taka piękna, kiedy leży blada na wąskiej pryczy. Ale jej uroda już ci nie wystarcza. Sam widok nie jest w stanie cię zaspokoić.

Odsuwasz delikatnie termiczny koc, który zapewnia jej ciepło. Przyglądasz się jej i ponownie czujesz, jak zalewa cię pożądanie.

Boisz się, że stracisz kontrolę.

Policjant, który jako pierwszy pojawił się w piwnicy Luki Sileriego, jeszcze nie doszedł do siebie. Wciąż miewał koszmary, w których pojawiała się Teresa, oskarżając go, że nie powstrzymał potwora, i pokazując swoje rany. „Popatrz – mówiła, wskazując na oszpecone ciało. – Zobacz, co on mi zrobił”. I wtedy policjant budził się, tłumiąc krzyk.

Teraz siedział przed Fabiem Costą, który przeglądał dokumentację dotyczącą śledztwa.

A im bardziej Costa zagłębiał się w raporty opisujące morderstwo Teresy Franceschi, tym wyraźniej czuł, jak zanurza się w równoległy, mroczny świat.

Część dokumentacji, którą mu przekazano, stanowiły zdjęcia wykonane przez techników w momencie odnalezienia ciała dziewczyny. Każdy materiał fotograficzny z miejsca zbrodni, zwłaszcza kiedy śmierć nastąpiła w wyniku działań ze szczególnym okrucieństwem, przypomina scenografię teatralną, ujęcia są sterylne i bezosobowe, a jednocześnie poprzez zimny biało-czarny kontrast podkreślają okropieństwo przemocy. Zdjęcia przedstawiające ofiarę Sileriego były brutalne, widok trudny do zniesienia.

– Podczas autopsji – rozpoczął wyjaśnienia zastępca komendanta Donato Forgione, policjant, który prowadził dochodzenie i którego Teresa odwiedzała czasami w koszmarnych snach – lekarz sądowy nie mógł otrząsnąć się z szoku. Z ciała usunięto wszystkie płyny ustrojowe i zastąpiono je gumą silikonową. Te płynne polimery w połączeniu z innymi substancjami chemicznymi zapobiegają częściowo degradacji tkanek. To swego rodzaju balsamacja zwłok. Sileri urządził sobie małe laboratorium wyposażone w wannę połączoną z pompą oraz dwiema rurkami zakończonymi kroplówką. Urządzenie miało za zadanie wprowadzenie do ciała dziewczyny acetonu w celu rozpuszczenia i wyeliminowania tłuszczu oraz zastąpienie go silikonem. Ten szaleniec chciał zmienić swoją ofiarę w plastikową lalkę!

– Do tego potrzeba wiedzy i doświadczenia... – zauważył Costa.

Zamiary Luki Sileriego stawały się coraz wyraźniejsze, a jednocześnie coraz bardziej przerażające.

Forgione pokiwał głową.

– To najbardziej niesamowity aspekt całej sprawy. Otóż Silveri zaczął studiować chemię na uniwersytecie, ale długo nie wytrzymał. Skontaktowaliśmy się nawet z jego wykładowcami. Niektórzy go pamiętali i określili mianem błyskotliwego, lecz

niestałego studenta. Ich zdaniem był nieco dziwny i miał problemy z koncentracją. Bez wątplenia jednak udało mu się zdobyć podstawy wiedzy. Następnie w dwa tysiące piętnastym roku, to znaczy na rok przed zamordowaniem Franceschi, pracował przy organizacji wystawy *Body Worlds*, którą można było wtedy oglądać w Rzymie. Wiesz, o co chodzi?

Costa pamiętał co nieco na ten temat, chyba nawet odwiedził taką ekspozycję w Mediolanie kilka lat wcześniej. Na *Body Worlds* prezentowane są ludzkie lub zwierzęce ciała – przekazane na cele badawcze lub artystyczne – pozbawione tłuszczu i ułożone w najdziwniejszych pozach. Specjaliści w dziedzinie anatomopatologii poddali je zabiegom mającym zapobiegać dekompozycji, a później uformowali pozy przedstawiające na przykład bieg, wyjątkowy ruch lub też bardziej naturalne pozycje, sadzając ciało za stołem czy układając do snu na łóżku.

Śmierć przebrana za życie.

Tego typu wystawy prezentowano na świecie od lat. Niektórzy się im sprzeciwiali, uznając za profanację użytych szczątków, inni czerpali z tego inspirację artystyczną lub impuls do badań naukowych. Jeszcze inni źle znosili sam fakt oglądania ludzkiego ciała w jego całkiem nagiej, realistycznej odsłonie.

Niektóre z tych ekspozycji przedstawiały postaci i sceny ze znanych dzieł sztuki, czyli nawiązujące do obrazów lub rzeźb. Trupy zastępujące modeli i modelki dawnych artystów.

To właśnie był ostatni, przerażający element układanki. Luca Sileri poszukiwał osób, których zabalsamowane ciała wykorzystywał do odtwarzania scen z obrazów Caravaggia. Jego szaleństwo sięgnęło granic, gdzie zatarły się różnice między sztuką a śmiercią.

– To się nazywa plastynacja – dodał Forgione. – Zapoczątkował ją Niemiec, Gunther von Hagens, w końcu lat siedemdziesiątych. Procedura polega na zastąpieniu tłuszczów organicznych i płynów ustrojowych polimerami, w wyniku czego ciało nie ulega rozkładowi, natomiast pozostaje elastyczne i miękkie. Według mnie to coś dla miłośników horrorów. Von Hagens uznawany jest albo za geniusza, albo za szaleńca, w zależności od tego, kto wydaje osąd, ale jego metoda naukowa została okrzyknięta rewolucyjnym odkryciem i w wielu krajach wykorzystuje się ją w środowiskach zajmujących się anatomią i badaniem przyczyn zgonów. Hagens stworzył dziesiątki laboratoriów na całym świecie, a jego stowarzyszenie każdego roku organizuje wystawy objazdowe. We Włoszech miało miejsce kilka takich wydarzeń, a Luca Sileri trafił do zespołu przygotowującego *Body Worlds* w Rzymie w dwa tysiące piętnastym roku. To wtedy udoskonalił swoją technikę, którą próbował zastosować do zabalsamowania ciała nieszczęsnej Teresy Franceschi.

– Tylko że mu się nie udało – stwierdził Costa, który teraz miał przed oczami zdjęcia zrekonstruowanych ciał po sekcji zwłok.

W kartotece Sileriego znajdowały się stare ulotki reklamujące wystawę, o której wspomniał Forgione. Opisano w nich szczegółowo technikę plastynacji oraz wyjaśniono, jak wyposażyć laboratorium i jakie są tego koszty. Załączono nawet cennik substancji chemicznych oraz przyrządów, takich jak wielkie stalowe trumny.

– To prawda – potwierdził policjant – bo ciało zaczęło się rozkładać. Może nie miał odpowiednich narzędzi – dodał, wskazując na zestawienie cen, które Costa właśnie przeglądał. – W tamtych czasach nie sprzedawano jeszcze zestawów do samodzielnej plastynacji...

– Prawdopodobnie zastosowana przez niego technika była zbyt prymitywna – oświadczył Costa.

Forgione pokiwał głową. Obaj pomyśleli o minionych latach, w czasie których Sileri mógł spokojnie udoskonalać swoje umiejętności.

– Czy to możliwe, że robił to wszystko w pojedynkę? – zapytał Fabio.

Forgione wzruszył ramionami.

– Z tego, co wiemy, to tak. Przynajmniej wtedy, gdy zamordował Teresę. Oczywiście rozmawialiśmy z organizatorami wystawy, do której przygotowania trzeba wielu ludzi i mnóstwa godzin pracy. Ciała przysyłane są nie wiadomo skąd i na miejsce wystawy docierają już po zabiegu plastynacji. Potem odpowiednio przeszkoleni ludzie układają je w pozy według przekazanych przez organizatorów instrukcji. Sileri był jednym z nich. Był zwykłym podwykonawcą. Niektórzy z kolegów go jednak zapamiętali. Mówili, że był zamknięty w sobie i niesympatyczny. Nie można było na nim polegać. Popełniał błędy. Na koniec podziękowano mu za współpracę, a on, odchodząc, zabrał trochę materiałów. Silikon, aceton, pompkę wtryskową. Wszyscy podejrzewali, że je ukradł, ale nie złożyli doniesienia na policję, żeby uniknąć negatywnej reklamy.

– Potem wykorzystał te materiały w swojej piwnicy – wyraził przypuszczenie Costa.

– Całkiem możliwe, przynajmniej jakąś część skradzionych substancji. Tylko że, jak powiedziałeś, eksperyment się nie udał.

– Dlaczego nie zdołaliście go wtedy złapać?

Forgione nie spuścił wzroku.

– Fabio, przecież dobrze znasz naszą pracę. Na pewno nie jestem dumny z tego, że nie udało nam się aresztować mordercy. Na początku zaangażowaliśmy wszystkie siły. Przekonałem sędziego, aby wydał za Silerim list gończy i pozwolenie na kontrolowanie jego rozmów telefonicznych. Problem w tym, że zawsze był samotnikiem i teraz też prawdopodobnie działa w pojedynkę. Nie ma krewnych ani przyjaciół. Próbowaliśmy podsłuchiwać jego kolegów z sieci dyskontów, dla której

pracował, namierzyliśmy też kilka osób organizujących ekspozycję *Body Worlds*. Była pewna dziewczyna, z którą Sileri nawiązał bliższy kontakt, i przez kilka miesięcy mieliśmy jej telefon pod kontrolą, ale bez rezultatów. Sędzia śledczy w końcu zmusił nas do zamknięcia sprawy. I w ciągu ostatnich trzech lat nikt już więcej się nią nie interesował...

A Luca Sileri nie zaprzestał swojego procederu. Zaszły się gdzieś, udoskonalili warsztat i wrócił do zabijania. Costa nie zamierzał robić koledze wyrzutów, bo ten i tak już zmagął się z koszmarami. Zresztą nie zawsze się wygrywa. Zbyt często przestępcy pozostają na wolności i kontynuują swoje krwawe dzieło.

W tej chwili Costa patrzył na czarno-białe zdjęcie przedstawiające zmasakrowane ciało Teresy. Dziewczyna miała zaledwie dwadzieścia trzy lata i całe życie przed sobą. Tak jak Rosanna Bacci oraz inne ofiary zwyrodniałego potwora. Tak jak mały Andrea Venturi... i wszyscy ci, których zidentyfikował program „Bóg”. Do tej pory policji nigdy nie udało się zdążyć na czas.

– Co zamierzasz? – zapytał Forgione, a w pytaniu nie było ironii ani sarkazmu. Wręcz przeciwnie, Fabio wzbudził w nim iskrę nadziei na złapanie mordercy. Już w przeszłości zrobili wszystko, co możliwe, a teraz wiedzieli, że Sileri jeździ po kraju w poszukiwaniu nowych ofiar. I zostawia ślady.

– Znasz go lepiej niż ktokolwiek inny – powiedział Costa do kolegi – i tylko ty możesz mi pomóc go aresztować.

Forgione zachował spokój, ale widać było, że ma jakiś pomysł. Z radością skorzystał z nadarzającej się okazji.

– A więc powiem ci, co według mnie powinniśmy zrobić – oświadczył, a Costa zamienił się w słuch.

Kiedy Fabio zadzwonił, Valentina biegła wzdłuż ścieżki pachnącej rosą i świeżo ściętą trawą. W czasie prowadzenia śledztwa musiała zrezygnować z tego przyzwyczajenia, po pierwsze z braku czasu, a po drugie z poczucia obowiązku, miała bowiem wrażenie, że to nie pora na przyjemności.

Tego ranka czuła jednak tak intensywną potrzebę ruchu, że postanowiła pozwolić sobie na chwilę zapomnienia. Wiedziała, że nikomu na nic się nie przyda, jeśli padnie z wyczerpania.

Falcone skontaktował się z nią w środku nocy, po tym, jak obejrzał w telewizji wiadomości i Valentine, która zdecydowanie odmawia odpowiedzi na pytania grupy dziennikarzy zgromadzonych przed domem Rosanny Bacci.

– Musimy przygotować oficjalny komunikat dla prasy – oświadczył chłodno dyrektor. – Nie możesz ich zbywać w nieskończoność. Nie zapominaj, że środki masowego przekazu mogą nam pomóc w pracy. Potrzebujemy ich wsparcia.

Szef sprawiał wrażenie rozczarowanego i zniechęconego. Powiedział jej, że nie powinna ograniczać się jedynie do tropu prowadzącego do Sileriego i że niezwłocznie potrzebują dowodów, bo jeśli ta hipoteza okaże się bezpodstawna, bardzo trudno będzie nadrobić stracony czas. Nie nawiązał ani słowem do jej współpracy z Fabiem Costą i ta cisza natychmiast ją zaniepokoiła. Wyglądało na to, że Falcone już zdecydował, jakie będą dalsze losy śledztwa, a co za tym idzie, jej własne.

Jogging nie poprawił jej co prawda humoru, ale przynajmniej pozytywnie wpłynął na kondycję fizyczną. Pozbawione treningu mięśnie dawały o sobie znać, lecz ból był niemal przyjemny.

W końcu zadzwonił też Fabio i przekazał jej ostatnie wieści na temat Sileriego. Żadnego śladu mordercy, żadnego pomysłu, jak go odnaleźć. Utknęli w martwym punkcie.

– Nie możemy się poddawać – oświadczył na koniec.

Niestety, chociaż bardzo starała się znaleźć jakieś pozytywne strony, to miała wrażenie, że nie posunęli się ani o krok do przodu. Ciągłe kluczenie i nowe ślady, które się mnożyły i przeplatały ze sobą, wprowadzając czasem spore zamieszanie. Po raz kolejny wszystko wymykało jej się z rąk. Teraz co prawda znali przynajmniej tożsamość poszukiwanego i można to było uznać za sukces, ale przestępca dalej szalał po kraju, porywając i zabijając niewinne ofiary. Pod nosem policji.

– Jesteś tam? – usłyszała głos Costy w słuchawce.

– Tak, tak... jestem... – powiedziała, oddychając ciężko.

Zatrzymała się naprzeciwko koszar karabinierów w Passignano, gdzie utworzyli sobie prowizoryczną bazę, gdyż sprawa zaginionej dziewczyny wymagała ich obecności. Komenda dysponowała spartańskimi pokojami, lecz Valentina i jej ludzie nie mieli jakichś specjalnych wymagań.

– Jest jeszcze nikła nadzieja – stwierdził Costa. – Mamy ślad, który chcemy sprawdzić. Chodzi o tę dziewczynę, która utrzymywała kontakty z Silerim, kiedy razem pracowali przy organizacji wystawy wykorzystującej plastynację ludzkich ciał...

– Przecież mówiłeś, że założyli jej podsłuch w telefonie i ją przesłuchiwali. Myślisz, że dowiesz się czegoś nowego po tylu latach?

– Zaczynamy od początku, pamiętasz? Poza tym kolega, który prowadził śledztwo dotyczące morderstwa Teresy Franceschi, ciągle wraca do tego wątku. Jest przekonany, że kobieta nie powiedziała wtedy całej prawdy.

Słowa, słowa... – pomyślała Valentina. Czasami słowa naprawdę nic nie znaczą. Wcześniej mieli trochę szczęścia, ale teraz wyglądało na to, że i ono ich opuściło. Tak jak jej siły po porannym joggingu.

Właśnie chciała mu to powiedzieć, kiedy dostrzegła wzmożony ruch przy wejściu do budynku. Angelo Zucca bez pardonowo wymijał umundurowanych karabinierów, próbując przedostać się na ulicę.

Żołnierze uzbrojeni w karabiny maszynowe i kamizelki kuloodporne biegiem opuszczali budynek. Z krótkofalówek dochodziły krzyki i skrzekliwe rozkazy. A ciszę panującą nad widocznym w oddali jeziorem rozdzierał dźwięk policyjnych syren.

– Co się dzieje?... – szepnęła Valentina, ocierając twarz rękawem dresu.

Podbiegł do niej zdenerwowany Zucca.

– Strzelanina... – krzyknął. – Niedaleko stąd... Podobno ktoś widział odjeżdżającą furgonetkę!

Costa usłyszał wszystko przez telefon i zareagował natychmiast:

– Ruszaj, Valentino! To na pewno on! To Sileri!

Wyruszasz o świcie, tak jak zaplanowałeś. Nie robisz żadnego wyjątku. Żadnego odstępstwa od przyjętych reguł. Żadnego zamętu w głowie. Żadnego impulsywnego działania. Spokój i opanowanie do samego końca.

Podałś jej kolejną dawkę mieszanki, tak dla pewności. Ona nie jest inna niż pozostałe. Jesteś głupi, skoro coś takiego przyszło ci w ogóle do głowy. Na szczęście wczoraj zdołałeś się opanować pomimo rozpalonych zmysłów, które tobą niespodziewanie zawładnęły. Teraz musisz jedynie zachować spokój i postępować zgodnie z planem: masz wyznaczoną drogę do przejechania, masz zaplanowane przerwy w miejscach, które wybrałeś kilka tygodni temu. Wszystko przygotowane z niezwykłą precyzją.

Żadnego wyjątku. Nigdy więcej.

Kiedy jednak przez listowie drzew rosnących na poboczu drogi zaczynają się przedzierać promienie słońca i pobłyskując na przedniej szybie, tańczą z hipnotyzującą siłą, coś ponownie zaczyna cię męczyć.

Krzyczysz na całe gardło. Uderzasz pięściami o kierownicę, o tablicę rozdzielczą, wreszcie o szybę bocznego okna, z taką siłą, że omal jej nie wybijasz. Wrzeszczysz i rzucasz się w sfoferce, a furgonetka kołysze się na pustej jezdni. Gdyby z przeciwka nadjechał jakiś samochód, niewiele by cię to obeszło. Zabiłbyś teraz każdego, aby stłumić cierpienie. Zrobiłbyś to z przyjemnością.

Dostrzegasz szersze miejsce na poboczu drogi. Wykonujesz ostry manewr i zatrzymujesz furgonetkę, gasisz silnik i nasłuchujesz uważnie.

Wokoło panuje cisza, tylko twoje serce wali jak oszalałe, a mózg charczy nieprzyjemnie. Poza tym nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Uspokajasz się i wysiadasz z samochodu. Chłodne poranne powietrze szczypie cię w źle ogolone policzki. Perukę zostawiłeś w sfoferce. Wilgoć osiada natychmiast na twojej wypolerowanej łysej czaszce.

Pomimo chłodu odczuwasz niespodziewane gorące pożądanie. Jesteś słaby. Na samą myśl, że możesz ją znowu zobaczyć, drżysz z rozkoszy. Tym razem nic nie zdoła cię powstrzymać. Chociaż powinieneś spróbować. Dla własnego dobra.

Otwierasz tylne drzwi i wchodzisz do środka.

Jej zapach jest jeszcze intensywniejszy. Musisz ją mieć. Teraz. Męczy cię i przeraża ten rodzaj miłości, której właśnie doświadczasz.

Nagle słyszysz pukanie. Mocny, władczy dźwięk.

– Kto jest w środku? Otwierać!

Ton głosu nie wskazuje na osobę, która zwykła prosić. Jest stanowczy i należy do kogoś, kto na pewno nic nie zrozumie. Do kogoś, kto zakłóca ci ten jedyne, wyjątkowy moment ekstazy. I zniszczy cię, jeśli mu na to pozwolisz.

Odwracasz się w stronę drzwi i dopiero teraz zdajesz sobie sprawę, że nie zamknąłeś zasuw. Nigdy wcześniej ci się to nie zdarzyło. Mężczyzna po drugiej stronie już próbuje podważyć drzwi, wyrwać je z zawiasów. Szpara, przez którą wpada światło, robi się coraz większa.

– Otwieramy! – krzyczy władczy, wrogi głos.

Jest ich więcej.

Sięgasz dłonią do buta. Wyjmujesz nóż i przygotowujesz się do ataku. Nawet w wąskiej smudze światła możesz podziwiać ząbkowane ostrze i powierzchnię pociemniałą od zakrzepłej krwi. Mówi się, że zanurzenie klingi w ludzkim ciele wzmacnia metal, który hartuje się żarem bólu.

Drzwi się otwierają. Światło dnia oślepia cię na chwilę, ale już oszacowałeś kierunek, wysokość i trajektorię.

Wyskakujesz i uderzasz. Raz, dwa, trzy, cztery razy. Szybko i mocno. Czujesz mięso ustępujące pod naporem twoich ciosów, czujesz chrzęst łamanych kości.

Słyszysz krzyki. Dźwięk zdaje się dobiegać z oddali. Cierpienie i zaskoczenie pięknie się przeplatają, niczym słodka melodia w chłodnym powietrzu poranka. To wrażenie napawa cię radością. Znowu jesteś sobą.

Jesteś bardzo szybki. Łądujesz na drodze, podczas gdy mężczyzna przed tobą pada na asfalt zalany własną krwią.

Obok jest jeszcze drugi człowiek, ale przerażenie zamieniło go w słup soli. Prawą dłonią próbuje wyrwać pistolet z kabury umocowanej za białym pasem. Niestety zapomniał ją otworzyć i dlatego broń tkwi na swoim miejscu.

Spadasz na niego ciężarem całego ciała i rozkoszujesz się jego cienkim, przenikliwym krzykiem, który niewiele ma wspólnego z ludzkim głosem.

– Nie, nie, proszę cię, tylko nie to!

Zwinnym ruchem wyjmujesz jego pistolet z kabury, odbezpieczasz go płynnym gestem i przykładasz intruzowi lufę do brzucha. A potem naciskasz spust.

Ślady

Los zaskoczył dwóch policjantów z drogówki na jednej z drugorzędnych dróg przecinających Apeniny.

Jeszcze nie ustalili z całą pewnością, czy to Mężczyzna Który Się Uśmiecha przygotował zasadzkę, ale Costa obstawał przy swoim. Valentina starała się być ostrożniejsza, gryząc się przy tym, że jeśli to jednak ich podejrzany odpowiada za masakrę, to znowu udało mu się zniknąć im z oczu, kiedy był w zasięgu ręki.

– Zdarzenie miało miejsce niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów stąd – wyjaśnił Zucca zajęty tym, co wychodziło mu najlepiej, czyli wciskaniem gazu do dechy. – Wszystko wskazuje na to, że koledzy zauważyli pojazd zaparkowany na poboczu wiejskiej drogi i postanowili dokonać rutynowej kontroli. Zanim komunikacja została przerwana, podali charakterystykę furgonetki i wygląda na to, że odpowiada opisowi poszukiwanego przez nas samochodu. Jeden z policjantów zginął na miejscu od licznych ciosów nożem. A drugiemu napastnik odebrał pistolet służbowy i ranił strzałem w brzuch. Teraz przewożą go do szpitala.

Być może ostatnie wypadki nie miały rzeczywiście nic wspólnego z ich sprawą. Być może policjanci natrafili na transport narkotyków i przemytnicy stracili panowanie nad sytuacją. W centrali w Rzymie już przychylali się do tej opcji. Falcone, poinformowany o strzelaninie, jednoznacznie próbował odwieść Valentine od udawania się na miejsce zdarzenia.

– Skoncentruj się na sprawie dziewczyny znad jeziora – pouczył ją – a resztę zostaw lokalnej policji. Jeśli znajdą jakieś dowody potwierdzające związek obu spraw, to cię powiadomią. Pamiętaj procedury? Współpracujemy. Nie możesz latać z jednego miejsca na drugie, jakbyś nigdzie nie umiała zagrzać miejsca. A tak przy okazji, wyrazy uznania za zachowanie w tajemnicy utajnionych aspektów śledztwa... Jeszcze do tego wrócimy.

Valentina nie zrozumiała ostatniej aluzji, w której nie usłyszała ani ironii, ani tym bardziej życzliwości. Wyczuła zbliżające się kłopoty, ale nie zamierzała teraz się tym przejmować, bo i tak postępowwała na przekór poleceniom szefa. Właśnie jechała na miejsce strzelaniny. Zgadzała się z Fabiem, że należy próbować zbliżyć się do podejrzanego na wyciągnięcie ręki. Jeśli ta ostatnia rzeź była dziełem Sileriego, to oznaczało, że z jakiegoś powodu nie udało mu się opuścić okolic jeziora Trasimeno, być może z uwagi na zaostrzone kontrole całej okolicy. Blokady dróg i wzmożone patrole z pewnością opóźniły ucieczkę.

A skoro morderca ciągle usiłował ominąć obławę, krążąc po okolicy, istniała jeszcze szansa na odnalezienie Rosanny Bacci.

A co, jeśli się mylą? Jeśli to nie Luca Sileri zaatakował policjantów? Co, jeśli znowu tracą czas, pozwalając, by zauroczony Caravagiem potwór właśnie poddawał zabiegowi plastynacji ciało dziewczyny?

– Jesteśmy prawie na miejscu – obwieścił Zucca.

– Świetnie. Jedziemy prosto do szpitala.

– Nie sądzę, żebyśmy mogli porozmawiać z rannym kolegą – powiedział z powątpiewaniem. – Stracił dużo krwi. Ten sukinsyn strzelił mu prosto w brzuch. Lekarze nie dają mu szans.

– Mimo wszystko chcę się z nim zobaczyć.

Kiedy na horyzoncie pojawił się szary, surowy zarys budynku szpitalnego, w którym policjant walczył o życie, Valentina przygryzła wargi. Wiedziała, że łapie ostatnią okazję, ale zgadzała się z Fabiem: takie śledztwo musi cię zmienić, czy tego chcesz, czy nie. Dajesz z siebie wszystko. Angażujesz się bez reszty i ryzykujesz. Nie ma innego sposobu. Nigdy nie było.

– Czy to znowu był on? – zapytał kolega.

Młody, błądy komisarz należał do grupy operacyjnej i został przysłany na miejsce z szybkością pocisku. W tej chwili jego przełożeni brali udział w konferencji prasowej, podczas której przypominali poświęcenie zaatakowanych policjantów, modlili się o przeżycie rannego oraz zapewniali obywateli, że winni zostaną wkrótce złapani. Czcze obietnice. Valentina dobrze znała procedurę.

– Kogo ma pan na myśli? – Spojrzała na niego kątem oka. Tak, kolega był zbyt młody i niedoświadczony.

– No on, Kolekcjoner Twarzy.

– Kto???

Policjant zaczerwienił się aż po cebulki krótkich włosów.

– Przepraszam... przeczytałem to w porannych gazetach. Dziennikarze piszą, że polujecie na Kolekcjonera Twarzy, typa, który inspirował się obrazami Caravaggia...

Valentina zamarła. Kolejny wyciek informacji. Ktoś wyraźnie działał na szkodę śledztwa, jakby mieli mało problemów. Musiał to być ktoś z ich kręgu, może nawet kolega ze ścisłej grupy. Teraz zrozumiała aluzję, którą Falcone rzucił jej na zakończenie rozmowy telefonicznej.

Kolekcjoner Twarzy. Wszystko wskazywało na to, że środki masowego przekazu nadały mu taki przydomek. Jakby chodziło o jeden z programów rozrywkowych dawkowanych przez całą dobę. Podobieństwo ofiar do postaci z obrazów Caravaggia pobudziło fantazję reporterów. Najdziwniejszym hipotezom nie było końca, chociaż żadna nawet nie zbliżała się do prawdy.

– Lepiej, żebyśmy go tak nie nazywali – powiedziała powoli Valentina.

Znajdowali się w poczekalni na oddziale intensywnej terapii. Za matową szybą widać było zarys leżącego na łóżku Claudia Colomba. Postrzelony policjant spoczywał bez ruchu w otoczeniu rurek i urządzeń utrzymujących go przy życiu. Dotarli do szpitala zbyt późno. Colombo zapadł w śpiączkę i prawdopodobnie nigdy już nie odpowie na ich pytania. Być może rozmowa i tak okazałaby się bezowocna, ale Valentina liczyła na jego pomoc. Doświadczony funkcjonariusz czasami zauważa szczegóły, które umykają zwykłym obserwatorom. Claudio Colombo został rozbrojony i postrzelony z własnej broni służbowej z bezwzględną wprawą i szybkością. Wcześniej jednak był świadkiem zamordowania kolegi z patrolu. Być może zauważył coś szczególnego. Cokolwiek – pomyślała zdruzgotana Valentina.

– Rutynowa kontrola – powtarzał tymczasem młody komisarz, pewnie po to, aby dodać sobie powagi. – Może to nie ma nic wspólnego z waszą sprawą. Patrole niezbyt często zapuszczają się na tę drugorzędną drogę powiatową. Tym razem zrządzenie losu okazało się dla nich fatalne. Nie zdążyli odpowiednio zareagować. Jeśli naprawdę natrafili na waszego Kolekcjonera Twarzy, to facet sam załatwił ich w kilka sekund...

Dlaczego on ciągle używa tego przezwiska? – zastanawiała się Valentina. Kto go do tego poważnił? „Wasz Kolekcjoner Twarzy” – co to w ogóle ma znaczyć?

W tym momencie z sali reanimacyjnej wyszedł pielęgniarz z wózkiem, na którym leżały ubrania Claudia Colomba: mundur, wysokie buty, biały pas. Wszystko poplamione jego krwią.

Zucca pojawił się obok.

– Przykra sprawa – powiedział cicho. – Lekarze mówią, że to cud, że jeszcze żyje.

Z drugiej strony sali dochodził stłumiony odgłos płaczu. Kobieta była zbyt młoda do roli wdowy, tak jak zbyt młody na śmierć był posterunkowy Colombo.

Valentinę uderzył widok biało-czerwonego pasa. Odsunęła Zuccę i zatrzymała pielęgniarza, który zaczął wkładać rzeczy do wielkiego zielonego worka.

– Kto mu to zdjął? I kiedy? Teraz? – zarzuciła go pytaniami.

Mężczyzna zdawał się nie rozumieć. Pokręcił niepewnie głową. Nad chirurgiczną maseczką błyszczało dwoje dużych oczu, w których widać było wzruszenie.

– Pas – dodała Valentina – kto go dotykał?

Pielęgniarz nadal kręcił głową.

– Nie wiem... Chyba tylko ja, kiedy go ściągałem...

Zucca zrozumiał, co Valentina ma na myśli, i gestem nakazał mężczyźnie trzymającemu zakrwawione ubranie, aby się nie ruszał. Nałożył lateksowe rękawiczki, które zawsze miał przy sobie. Ostrożnie ujął biały pas za sprzączkę i uniósł go.

Po porysowanej skórzanej kaburze noszącej ślady wielu lat służby spływały strużki krwi i biegły do wnętrza chroniącego pistolet, plamiąc pasek i zacisk blokujący broń. To była krew Colomba. Jeżeli jednak prawidłowo odtworzyli przebieg zdarzeń, morderca najpierw zasztyletował jednego z członków patrolu, a dopiero potem odebrał drugiemu berettę i strzelił. Używając noża, musiał się pobrudzić obficie tryskającą krwią. Miał ją na ręce, którą chwycił pistolet. Tą samą dłonią dotknął więc białej skórzanej powierzchni kabury wiszącej u pasa Colomba.

Błyszczące czerwienią odciski palców lśniły wyraźnie, nie pozostawiając wątpliwości. Należały do mężczyzny, który zaatakował obu policjantów.

To nie twoja krew, nie jesteś ranny. Jesteś tylko cały wybrudzony krwią. Masz krew na rękach i na ubraniu. Spoglądasz w lusterko i widzisz szkarłatne krople na policzkach, na czole. Jeszcze nie jesteś bezpieczny. Jeszcze daleko do końca podróży.

Wiele razy się zatrzymywałeś i za każdym razem uważnie wybierałeś miejsca: żadnych placów publicznych ani parkingów, a jedynie bezлюдne tereny, zjazdy z drugorzędnych dróg położone na uboczu. Musisz uważać, żeby nie wpaść do rowu albo nie ugrzęznąć w błocie. Starasz się odpoczywać dość często, a dwa razy nawet zapadłeś w drzemkę. I to nie powinno się zdarzyć, bo niebezpieczeństwo czyha. Co prawda przez przypadek, ale już raz na ciebie trafili. A to oznacza, że mogą to zrobić po raz kolejny.

Jesteś zły sam na siebie. Gdybyś się nie zatrzymał, żeby sprawdzić, co się z nią dzieje, to nic by się nie wydarzyło. Pewnie teraz byłbyś już w swojej kryjówce.

Lecz złość też jest niebezpieczna i trzeba się jej wystrzegać, złość prowokuje do robienia głupstw.

Powoli się uspokajasz.

Już prawie jesteś na miejscu. Nawigacja cały czas sugeruje ci różne opcje, które pozwoliłyby ci dojechać szybciej, a chęć, by wreszcie zakończyć tę szaleńczą podróż, skłania cię, żeby posłuchać GPS-u. Na szczęście potrafisz się opanować. Jesteś bardzo solidny. Cały czas zmieniasz kierunek, przybliżasz się i oddalasz, ciągle się upewniasz, że nikt cię nie śledzi, i robisz wszystko, by ominąć blokady na drogach. Wiesz, że cię szukają znacznie prężej niż wcześniej. Przecież zabiłeś dwóch z nich. Nigdy wcześniej nie byli tak blisko. Dlatego nieważne, ile czasu stracisz. Musisz wybierać tylko sprawdzone opcje. Kręte, wyboiste polne drogi, które zapewnią ci bezpieczny powrót do kryjówki.

Krążysz tak przez wiele godzin, lecz wreszcie zbliżasz się do celu. Widnieje już na horyzoncie.

Oczywiście musiałeś po części zmienić plan. Wybrana kryjówka nie jest idealna i pociąga za sobą pewne ryzyko. Niestety pierwotna opcja okazała się praktycznie niemożliwa do realizacji. Czasami trzeba zmienić reguły. Zresztą ty sam o tym decydujesz.

Tak, jesteś już prawie na miejscu.

Teraz musisz tylko opanować pragnienie, by sprawdzić, co się dzieje z dziewczyną. Już od dłuższego czasu nie słyszysz jej jęków. Może już nie żyje, i to byłby problem, bo

jeśli umrze za szybko, udaremni wszystkie twoje wysiłki. Dlatego masz nadzieję, że jeszcze będzie oddychać. Chociaż przez krótki czas.

Wyobrażasz sobie, jak leży i czeka na ciebie. Ta myśl cię podnieca i natychmiast ruszasz w dalszą drogę.

Już tak blisko. Zaraz będziesz bezpieczny. A ona będzie naprawdę twoja.

– Coś nowego?

Giampaolo D'Avanzo usiadł obok Lorisa Manny. Kiedy zostali poinformowani o tragedii, która spotkała dwóch funkcjonariuszy z drogówki, w pierwszym odruchu Loris chciał od razu ruszać w drogę, aby dołączyć do Valentyny i pozostałych kolegów. Wiedział jednak, że jego rola w tej sprawie jest inna, a każdy musi wykonywać swoje zadania.

Przeszedł od pracy w terenie do administracji, nie wiedząc, czy nadaje się do biurowej roboty. Minęło sporo czasu i jego cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę, aby w końcu wbrew swoim oczekiwaniom Loris mógł przyznać, że zdecydowanie dobrze sobie radzi, niezależnie od tego, że nie zdołał uniknąć dewastacji własnej psychiki. I to nie tylko dlatego, że zbyt łatwo utożsamiał się z ofiarami przestępstw, którymi się zajmował, ale również dlatego, że ból i niczym nieusprawiedliwione cierpienie towarzyszące jego pracy miały, według niego, specyficzny zapach, którym przesiąkał. Z każdą kolejną sprawą Loris czuł, jak przenika on jego skórę, osadza się na twarzy, na języku, wdziera się w głąb jego ciała, gdzie pozostaje na wiele dni, i sprawia, że świat wokół staje się matowy, pogrążony w rozpacz. Popadał wtedy w coś na kształt depresji, z której coraz trudniej było mu się wyrwać. Starsi stażem koledzy zapewniali go, że empatia nie jest niczym niezwykłym wśród pracowników policji, ostrzegali jednak, że to bardzo niebezpieczne. Jeśli nad nią nie zapanujesz, ryzykujesz, że w końcu odbierzesz sobie życie.

W sektorze informatycznym nie miał sobie równych i chociaż był samoukiem, to miał świadomość, że śmiało może stawić czoło każdemu hakerowi, podejmując wyzwania od lat rzucane przez Internet i rozwój nowych technologii. Postanowił porzucić karierę operacyjną i wykorzystać swoje umiejętności w szybko rozwijającej się branży cyfrowej.

W dwa tysiące piętnastym roku Loris przeszedł do centrum operacyjnego, gdzie zaczęła się jego prawdziwa walka z przestępczością, opierająca się na wirtualnych kalkulacjach, obliczeniach, geolokalizacji, systemach telematycznych, podróżach w sieci i innych możliwościach, których dostarczała mu technologia.

Całymi dniami surfował więc po internetowym morzu zbrodni, wykonując swoje obowiązki bez konieczności zanurzania się w oleistym zapachu śmierci. Do czasu. Śledztwo w sprawie Mężczyzny Który Się Uśmiecha sprawiało, że ponownie poczuł

niebezpieczną bliskość zła. Zaczął wyraźnie wyczuwać nadchodzącą zmianę, chociaż jeszcze nie wiedział, na czym ma ona polegać. Działo się z nim coś dziwnego.

– Nie mamy nic ciekawego – odpowiedział profesorowi, obserwując uważnie ekran komputera, na którym szybko przeskakiwał od jednego otwartego okna do drugiego.

System przemierzał ocean sieci od brzegu do brzegu, trafiając czasem na jakieś niebezpieczne terytorium. To właśnie były obszary, po których ktoś taki jak Sileri poruszał się jak ryba w wodzie.

– Jak się czujesz? – nie ustępował D’Avanzo.

– Spokojnie, wszystko w porządku. – Loris zbył go niecierpliwym ruchem dłoni, dając mu do zrozumienia, że to teraz nie ma znaczenia. – Chcę ci coś pokazać... – Uderzył w klawisze klawiatury. – To pochodzi z monitoringu Darknetu po aresztowaniu Marchesiego. Jak by ci to wyjaśnić prostymi słowami... Zastosowałem kilka algorytmów, za pomocą których możemy kontrolować strony odwiedzane przy użyciu oprogramowania Tor, nie tracąc przy tym zbyt wiele czasu. Zarzuciłem haczyk, wykorzystując kilka słów pułapek typu: Caravaggio, podniecać, podniecać się i tym podobne...

– A po co? – D’Avanzo niewiele rozumiał z tego, co mówił policjant, bo dopiero niedawno zmusił się do zakupu komórki, niemniej cieszył się, że kolega dzieli się z nim swoimi odkryciami. Dzięki temu czuł się pełnoprawnym członkiem grupy.

– Cały czas pojawiają się fragmenty tego zakodowanego czatu, o którym ci wcześniej wspominałem, ale nie mogę ustalić numeru identyfikacyjnego użytkowników... Przepraszam, wiem, że to dla ciebie chińszczyzna. Krótko mówiąc, czasami udaje mi się przechwycić strzępy rozmów i już po raz drugi pojawiło się nawiązanie do Caravaggia. Sądzę, że trzeba to dokładnie sprawdzić. – Pokazał mu zrzut ekranu, na którym widniał zapis czatu pomiędzy dwoma użytkownikami. – Nightgaunt to ksywka, którą już poznaliśmy. Teraz jednak rozmawia z kimś, kto z uwagi na nickname może pochodzić z Włoch. Oczywiście rozmawiają po angielsku...

D’Avanzo przeczytał tłumaczenie. Nie trzeba było specjalnych kompetencji, aby wyczuć zapach zła.

NIGHTGAUNT@: Widziałem zdjęcia. Są świetne... podniecające...

PAPERINO@: Zapewniam Cię, że to nic w porównaniu z rzeczywistością.

NIGHTGAUNT@: Mogę sobie wyobrazić. Trudno było zdobyć modela?

PAPERINO@: Za dużo chcesz wiedzieć. W tym przypadku najważniejszy jest wyraz twarzy.

NIGHTGAUNT@: Wyrazy uszanowania. Ekstaza Świętego Franciszka to naprawdę wspaniałe dzieło. Doskonały wybór.

PAPERINO@: Jak zwykle.

NIGHTGAUNT@: Czas porozmawiać o cenie.

PAPERINO@: Już Ci mówiłem. Trzy. Dwie duże i jedna mała. Razem. Jeśli chcesz mnie zaskoczyć, możesz spróbować mnie naśladować.

NIGHTGAUNT@: Już je znalazłem. Coś niesamowitego. Muszę się tylko zorganizować.

PAPERINO@: Informuj mnie na bieżąco.

NIGHTGAUNT@: O tak! Niedługo się dowiesz i mocno się zdziwisz. Zabijanie czyni wolnym!

PAPERINO@: Doskonale, spróbuj mnie zadziwić, a nie pożałujesz.

– Nawiązanie do obrazu pod tytułem *Ekstaza Świętego Franciszka* nie pozostawia wątpliwości, ale temat rozmowy jest bardzo niejednoznaczny. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o co chodzi z tą wymianą. Za to zdanie o zabijaniu wydaje się kluczem do całej reszty. Co o tym myślisz?

Zabijanie czyni wolnym. D'Avanzo wpatrywał się w monitor, jakby lada chwila miały wyskoczyć z niego odpowiedzi na wszystkie pytania. Z tych słów emanowała jawna podłość, pokłady nikczemności, które wywoływały nieprzyjemne uczucie.

– Udało ci się zlokalizować przynajmniej miejsca, z których te typy się łączą? – zapytał.

– Nightgaunt prawie na pewno z Ameryki Północnej. Myślę, że ze Stanów. Natomiast Paperino to zupełnie nowy kontakt, a w dodatku używa bardzo skomplikowanego systemu szyfrującego. Przypisaliśmy mu włoską narodowość jedynie z uwagi na przyjęty nickname. Zresztą sam zobacz.

Wyodrębnił ikonki, które towarzyszyły profilom obu użytkowników. Nightgaunt wybrał męską, czarną sylwetkę, natomiast obrazek, który upatrzył sobie jego rozmówca, w obsceniczny sposób deformował postać Kaczora Donalda. Białe gały, jęzor nabrzmiały krwią ani otwarty w ordynarnym uśmiechu dziób nie miały nic wspólnego z tradycyjnym bohaterem kreskówek Disneya. D'Avanzo uznał, że właśnie ta karykatura jest w tym wszystkim najbardziej odrażająca.

– Jestem pewien, że oni wcale nie rozmawiają o obrazach. Caravaggio to tylko pretekst.

– Zgadzam się w zupełności.

Loris już podjął decyzję. Postanowił, że skontaktuje się z oficerem łącznikowym centrali rezydującym w Waszyngtonie. Był to znacznie szybszy sposób niż ścieżka prowadząca przez Interpol. Potem będą mogli zwrócić się do FBI. Może to nic poważnego, ale lepiej sprawdzić.

Obserwowali okno otwierające się nad przepaścią prowadzącą do Darknetu.

I zadawali sobie pytanie, co znajdą na dnie.

– Fabio, to na pewno on. Mężczyzna Który Się Uśmiecha to Luca Sileri.

Teraz w głosie Valentyny brzmiała pewność. Tymczasem Costa już od jakiegoś czasu nie miał wątpliwości.

Claudio Colombo, drugi policjant zamieszany w wymianę ognia, zmarł kilka godzin wcześniej. Gdyby można było uniknąć nieszczęścia, które spotkało kolegów z drogówki! Tragedia oczyściła jednak pole z nieudomówień: Luca Sileri wcale nie zniknął po zamordowaniu Teresy Franceschi. Po prostu ukrywał się przez lata. Pielęgnował swoje żądze, dopracowywał metody, doskonalił się w okrucieństwie. Otworzył wrota piekła, które go opętało, i odrzucił wszelkie hamulce.

Kiedy wyskoczył z furgonetki i zaatakował dwóch funkcjonariuszy z drogówki, na kaburze jednego z nich pozostawił odciski palców pobrudzonych krwią ofiar. Linie papilarne palca wskazującego odcisnęły się na skórze bardzo wyraźnie. Luca Sileri był już wcześniej karany i jego odciski znajdowały się w bazie danych. Natychmiast został zidentyfikowany.

– Miałeś rację, że wysłałeś mnie na miejsce strzelaniny.

– Ktoś musiał tam jechać.

– Problem w tym – ciągnęła Valentina – że teraz mamy pewność, że to on, ale ciągle nie wiemy, gdzie go szukać. Okolice, w których doszło do zdarzenia, aż roją się od policji. A Falcone wreszcie się przekonał, że mieliśmy rację. Z Rzymu przysłali na miejsce kilkanaście grup poszukiwawczych, które przetrząsają teren metr po metrze. Poszukiwany zmierza na północ, ale im więcej czasu minie, tym trudniej będzie go namierzyć... a co najważniejsze, odnaleźć Rosannę żywą...

Costa siedział w samochodzie. Obserwował blok naprzeciwko: siedem pięter, wąskie balkony, rozwieszane pranie, anteny satelitarne strzelające w niebo. Patrzył na budynek i doszukiwał się sensu. Jakiegokolwiek elementu, którego mógłby się uczepić. Jeśli ta droga również zawiedzie, będą znowu musieli zaczynać od początku. A nie miał pojęcia, gdzie znaleźć kolejny punkt zaczepienia.

– Jesteś tam? – zaniepokoiła się Valentina.

– Jasne. Zamyśliłem się.

– Rozmawiałeś z tą kobietą? Koleżanką Sileriego?

– Właśnie jestem przed jej domem.

Loredana Talischer, jedyna osoba, która zgodnie z informacjami miała okazję poznać nieco bliżej Lucę Sileriego w trakcie kilku tygodni wspólnej pracy przy

organizacji wystawy *Body Worlds* w Rzymie, mieszkała w obskurnym bloku na peryferiach miasta.

– Sądysz, że ona naprawdę może nam pomóc?

Costa nie chciał dawać jej złudnych nadziei. Bezgraniczne zaufanie, którym darzyła go Valentina, niekiedy wręcz go przerażało. Czy uda mu się zachować zimną krew?

– Masz jakiś lepszy pomysł? – rzucił. – Bo ja nie mam pojęcia, co innego możemy jeszcze zrobić.

– Nie to miałam na myśli... – Valentina przerwała, a on natychmiast wyczuł dręczące ją niepewność, strach, konsternację. Zdawał sobie sprawę, że widziała już dostatecznie dużo krwi i że musi przyzwyczać się do tego widoku, skoro wybrała ten zawód. Musi nauczyć się z tym żyć i znaleźć sposób, by nie popaść w depresję.

Po raz kolejny Costa zadawał sobie pytanie, czy ich wzajemna delikatna relacja może mieć wpływ na prowadzone śledztwo.

– Przepraszam – powiedział, próbując złagodzić ton, ale nie udało mu się znaleźć odpowiednich słów, by ją pocieszyć. Nie chciał być hipokrytą. – Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiem.

Rozłączył się szybko, zanim Valentina zdołała zareagować. Nie chciał, aby się domyśliła, że łądzi nie tylko ją, ale i samego siebie.

Odetchnął głęboko i wybrał kolejny numer. Dostał go od komendanta Forgionego i miał nadzieję, że ciągle jest aktywny.

Loredana Talischer odebrała zaraz po pierwszym sygnale.

– Słucham? – W jej głosie brzmiała nieufność.

– Czy rozmawiam z panią Talischer?

Cisza.

– Tu komendant Costa z policji. Chciałbym porozmawiać z panią o Luce Silerim, jeśli jest pani teraz w domu.

Cisza po drugiej stronie słuchawki stała się niemal namacalnie gęsta, po czym kobieta się rozłączyła.

Zdziwił się, kiedy od razu mu otworzyła. Po tym, jak bez słowa przerwała połączenie, spodziewał się, że będzie musiał się postarać, aby nakłonić ją do rozmowy.

Szlafrok i zużyte kapcie świadczyły, że Loredana aktualnie nie pracuje, a jej zaniedbany wygląd wskazywał, że od dłuższego czasu nie wychodzi z domu. Strzecha rozwichrzonych czarnych włosów otaczała szarą twarz pomarszczoną niczym zużyta tapeta na ścianach mieszkania, chociaż kobieta nie miała więcej niż trzydzieści lat.

– Kim pan jest? Czego pan ode mnie chce? – zapytała bezbarwnym tonem, przymykając nieco drzwi, jakby już przygotowywała się do ich zamknięcia.

– Dzwoniłem do pani kilka minut temu. Nazywam się Fabio Costa i jestem funkcjonariuszem policji. Chciałem zapytać o Lucę Sileriego... Wiem, że się znacie.

Loredana Talischer nie zmieniła wyrazu twarzy ani się nie poruszyła.

– Nie widziałam go od lat.

– Przyjaźnicie się czy nie?

– Raczej nie.

– Dostałem zupełnie inne informacje.

Kobieta wzruszyła szczupłymi ramionami, ale nie wykonała żadnego ruchu, który by świadczył, że chce wrócić do mieszkania i zamknąć drzwi.

– Mogę wejść? – Costa gestem wskazał wewnątrz mieszkania, Loredana jednak nie ruszyła się z progu.

Nagle usłyszał skrzypienie drzwi otwierających się na korytarzu za jego plecami. Ktoś musiał wystawić głowę na zewnątrz, ponieważ Costa zobaczył, jak zmienia się mina jego rozmówczyni. Z pełną pogardy nienawiścią wbiła wzrok w osobę stojącą za jego plecami.

Wścibski sąsiad pomógł jej w podjęciu decyzji. Odsunęła się, zapraszając Costę do środka ruchem głowy, nie przestając przy tym rzucać wrogich spojrzeń intruzowi z naprzeciwka.

Kiedy Costa znalazł się w mieszkaniu, odniósł wrażenie, że trafił do swego rodzaju kryjówki. Wszystko wskazywało na to, że od dłuższego czasu nikt kobiety nie odwiedzał. I taka sytuacja chyba jej odpowiadała.

Przeszli przez krótki przedpokój ozdobiony zgaszonymi lampkami ściennymi i znaleźli się w salonie, który wyglądał tak, jakby nic w nim nie zmieniano przynajmniej od trzydziestu lat. Nawet stojący na szafce w rogu telewizor to był przestarzały model wyposażony jeszcze w kineskop.

W protokole przesłuchania policyjnego zapisano, że kobieta powiedziała, że poznała Sileriego w czasie organizacji wystawy *Body Worlds* w dwa tysiące piętnastym roku. Nie przyznała się do łączącej ich przyjaźni, chociaż potwierdziła, że często chodzili razem coś zjeść w czasie przerwy obiadowej. Sileri był raczej typem odludka i niechętnie nawiązywał nowe znajomości. Potem nigdy więcej go już nie widziała ani z nim nie rozmawiała.

Śledczy prowadzący tamtą sprawę byli pewni, że kobieta nie powiedziała całej prawdy. Forgione powtarzał z uporem, że to jedyne źródło, które należy dokładniej sprawdzić. I Costa się z nim zgadzał. Pozostałe osoby pracujące przy wystawie potwierdziły, że dziewczyna spędzała z Silerim sporo czasu i wyglądało na to, że coś ich łączy.

Kontrola jej telefonu oraz listy połączeń nie wykazała jednak żadnych kontaktów pomiędzy nimi – ani wcześniej, ani też po zabójstwie Teresy Franceschi. To dlatego śledczy musieli porzucić ten trop.

- Napije się pan kawy? – zapytała bez przekonania.
- Nie, dziękuję. Chyba przerwałem pani obiad?
- Niczego pan nie przerwał. Moglibyśmy szybko zakończyć tę rozmowę?

Costa się uśmiechnął. Poczekał chwilę, po czym usiadł nieproszony. Kobieta przyglądała mu się, nie wiedząc, jak się zachować. W końcu niechętnie i ciężko zajęła miejsce na wolnym krześle. Spod wyblakłego szlafroka wystawała granatowa sukienka w duże różowe kwiaty.

Przez moment trwali w milczeniu. W końcu kobieta nie wytrzymała i odezwała się pierwsza:

- Byłam już przesłuchiwana, kiedy to się zdarzyło. Nie miałam wtedy nic do powiedzenia i teraz też nie mam nic do dodania. Nie rozumiem...
- Co takiego „się zdarzyło”? – przerwał jej ostro Costa.
- No to wszystko... przez co go szukaliście.
- Co konkretnie ma pani na myśli?

Zaczerwieniła się, ale nawet różowy kolor na policzkach nie był w stanie ożywić jej twarzy.

- Dobrze pani wie, o co Luca jest oskarżony – ciągnął Costa, nie spuszczając z niej z oczu.
- Oczywiście, wszyscy to wiedzą...
- Co wiedzą wszyscy? To, że zamordowano kolejną dziewczynę?
- Tak...
- A może ma pani na myśli sposób, w jaki ją zamordowano?
- Nie. Ja... nie wiem...

– Nie wie pani, jak ona zginęła? Czy też nie wie pani, co „się zdarzyło”?

Kobieta zacisnęła usta tak mocno, że prawie całkiem zniknęły. W jej oczach błysnęła ta sama nienawiść, którą dostrzegł wcześniej, zanim wpuściła go do środka.

– Czy Luca wspominał pani kiedyś o swoich skłonnościach?

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Pewnie poczuła się pewniej, gdy usłyszała zwyczajowe pytanie. Odprężyła się.

– Nie. Nigdy.

– Wie pani, co mam na myśli?

– Pana koledzy co nieco mi powiedzieli podczas przesłuchania. A w telewizji opowiadali o tym, co się stało...

– No właśnie. W telewizji... – Costa przerwał, patrząc jej w oczy.

Kobieta nerwowo pocierała dłonie.

– Czy on to rzeczywiście zrobił? – zapytała, przygryzając usta.

– Co takiego?

– W telewizji mówili o zaginionej dziewczynie... o dwóch martwych policjantach...

Komendant pominął milczeniem ostatnie słowa. Wiadomość o masakrze pojawiła się już we wszystkich programach informacyjnych. Po zaginięciu Rosanny Bacci dziennikarze od razu połączyli oba fakty. Wszyscy już wiedzieli, że ten, którego nazywają Kolekcjonerem Twarzy, jest podejrzany o zamordowanie dwóch policjantów. Do wiadomości publicznej trafiło również nazwisko Sileriego. Teraz było już za późno na naprawianie wyrządzonej szkody.

Loredana Talischer dostrzegła w spojrzeniu Costy coś, co musiało ją zdenerwować, bo nagle zmieniła ton.

– Czy pan też myśli tak samo jak pana koledzy? Skoro Luca rozmawiał ze mną, to znaczy, że wyznał mi jakieś swoje tajemnice, tak? A jeśli to zrobił, to dlatego, że jesteśmy do siebie podobni! To wam wszystkim chodzi po głowie, prawda?

– Nic mi nie chodzi po głowie, pani Talischer. Przecież wcale pani nie znam.

– Za to ja znam pana. Znam takich jak pan. Zawsze jesteście gotowi, żeby osądzać innych, wymyślacie sobie, co wam pasuje, a potem upieracie się bezmyślnie przy swoim i nawet do głowy wam nie przyjdzie, że robicie komuś krzywdę, że jesteście niesprawiedliwi i że się mylicie. Umiecie tylko oceniać innych... I uprzykrzać nam życie. Uprzykrzać mi życie!

– Kiedy mówi pani, że uprzykrzamy wam życie, nie ma pani na myśli Luki, prawda? Sama pani powiedziała, że nic was nie łączy. On jest chory...

Kobieta otworzyła usta. Zamknęła je i znowu otworzyła. Wyglądała jak ryba wyrzucona z wody.

– Ja nie jestem chora...

– Wcale tak nie uważam. I nie powiedziałem, że to pani jest chora. Natomiast myślę, że zdaje sobie pani sprawę z problemów Luki. Musiała pani coś zauważyć, kiedy chodziliście razem na obiady...

– Przecież nie miał wypisane na czole, o czym myśli...

– Jest pani inteligentną kobietą, jeśli się nie mylę, ma pani dyplom z farmacji... zresztą sprawia pani wrażenie osoby konkretnej, która mocno stąpa po ziemi i posiada szeroką wiedzę ogólną. Ja rzadko się mylę w ocenie osób. Dlatego zadaję sobie pytanie: jak to możliwe, że nie zorientowała się pani, jak bardzo Luca Sileri jest chory psychicznie?

Kobieta się zawahała, po czym potwierdziła cichym głosem:

– Tak. Myślę, że to prawda, chociaż na początku nie wyglądał na...

– Oczywiście, że od razu nie sposób się zorientować. Ale z czasem... Kiedy zaczęła pani podejrzewać, że ma do czynienia z maniakiem? Może wtedy, gdy po raz pierwszy zwierzył się pani ze swoich ukrytych myśli, z zakazanych pragnień...

Loredana mocno spłótła dłonie, a jej spojrzenie często błędziło za plecami Costy, podobnie jak wtedy na progu, kiedy zauważyła wścibskiego sąsiada. Wyglądała tak, jakby się obawiała, że Luca Sileri czai się gdzieś niedaleko, że ukrywa się w perkalowych zasłonach.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że może coś takiego zrobić... – powiedziała wreszcie.

– Nikt nie przypuszczał.

– Sprawiał wrażenie kogoś... pewnie wyda się panu głupie to, co powiem... ale sprawiał wrażenie kogoś, kto się przechwala. Ale komu przysłoby do głowy chełpić się podobnymi pragnieniami?

– Co on pani opowiadał?

– Nie pamiętam szczegółów...

– Rozumiem. Ale wie pani, jak ważna jest dla nas każda najdrobniejsza wskazówka, która mogłaby nam pomóc odnaleźć Lucę? Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, jak istotne są dla nas pani wrażenia i wspomnienia? Może nie, ale jeśli przypomina sobie pani jakiś drobiazg, jakiś detal, który zapadł pani w pamięć... – Przerwał, pozwalając, aby słowa wybrzmiały w ciszy ponurego mieszkania.

Loredana przytaknęła i nawet w półmroku Costa zdołał zauważyć mocniejszy rumieniec na jej twarzy.

– Jasne... tylko że ja...

– Bardzo panią proszę... Czy może się pani skupić?

– Prawdę mówiąc, to się zdarzyło tylko jeden raz...

Costa postanowił jej nie przerywać i rzeczywiście kobieta zaraz podjęła wątek.

– Jak już mówiłam, spędzaliśmy ze sobą trochę czasu podczas przerwy obiadowej, bo przez resztę dnia byliśmy przykuci do swoich stanowisk. Plastynacja to zajęcie wymagające precyzji i cierpliwości. Odpowiednie spreparowanie zwłok zajmuje miesiące. Obiekty, jak je nazywamy, docierają do nas już po części przygotowane w głównym laboratorium Instytutu Plastynacji w Heidelbergu w Niemczech. Transportowane są w ogromnych ciężarówkach, w kontenerach podobnych do tych, w których przewozi się instrumenty muzyczne i nagłośnienie. Potem musimy dokończyć pracę na miejscu. Czyścimy, naprawiamy te elementy, które zostały uszkodzone w czasie podróży, układamy ciała w odpowiednich pozach zgodnie z projektami pomysłodawcy. W celu unieruchomienia modeli używamy klamerek i drutu oraz specjalnych metalowych struktur, które wbijamy w zabalsamowane zwłoki. To coś między eksperymentem naukowym a horrorem. Ja studiowałam biologię, więc specjalnie mi to nie przeszkadzało, ale niektórzy koledzy nie wytrzymywali napięcia i trzeba ich było zastąpić.

– A Luca?

– No cóż, z nim to była całkiem inna sprawa. To znaczy nie tylko nie przeszkadzało mu zajmowanie się spreparowanymi ciałami... ale też sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego. Był naprawdę niezły. Interesował się procedurą opracowaną przez profesora von Hagensa. Chętnie rozmawiał z lekarzami, którzy przyjechali specjalnie z Niemiec, aby nadzorować wystawę. Wiem, że zasugerował nawet jakieś ulepszenia. Z chemii był świetny. Utrzymywał, że najlepiej byłoby konserwować ciała z nienaruszonym naskórkiem, co jednak nie było możliwe. Kiedy zanurza się ciało próżniowo w acetonie, najpierw niszczy się właśnie skórę. Na to nawet sam von Hagens nie mógł nic poradzić. Tymczasem Luca twierdził, że to wykonalne. Organizatorzy zdawali się zachwyceni jego pomysłami i zaproponowali mu nawet udział w pewnym projekcie. Podobno szukali personelu do nowego laboratorium w Rzymie. Ale on nie chciał dla nich pracować.

– Podziwiała go pani?

Loredana spojrzała na Costę niechętnie.

– Mówiłam już, że nie miałam pojęcia, co on tak naprawdę ukrywa.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Luca jest bardzo błyskotliwy i ja sam podziwiam jego osobowość. Sądzę, że trzeba ogromnej wrażliwości, aby zrozumieć kogoś takiego jak on. Czyżby to właśnie się pani przydarzyło?

Kobieta poruszyła się niespokojnie.

– No cóż, ja go słuchałam, to prawda. I być może on szukał u mnie zrozumienia... Nie wiem. Ja też nie mam zbyt wielu przyjaciół... Chyba ma pan rację, on na swój sposób potrafił być czarujący.

Zamilkła, jakby zdała sobie sprawę, że powiedziała zbyt wiele. Ten przymiotnik „czarujący” po prostu niechcący wymknął jej się z ust. Pokryła zakłopotanie zuchwałą miną wskazującą na to, że nie ma się czego wstydzić.

– Czasami bywał nawet sympatyczny. – Uśmiechnęła się półgębkiem.

– W jaki sposób?

– Traktował siebie z dystansem i ironią. Czy wie pan, że nosił perukę? Miał bzika na punkcie łysienia, ale nie robił z tego dramatu, nawet sobie żartował... przynajmniej ze mną. I nosił perukę.

– Naprawdę?

– Nie wierzy mi pan?

Pewnie, że wierzył. Ta obsesja na punkcie łysienia wyjaśniała długie białe włosy. Typowa cecha narcyza socjopaty. Podkreślanie jakiejś wyjątkowej cechy dla czystej przyjemności. Prawdopodobnie przebierał się tylko wtedy, gdy szedł na łowy.

Costa uświadomił sobie, że nie powinien tracić kontaktu, który zdołał nawiązać z Loredaną, nie powinien pozwolić, by się rozpraszała. Dlatego zachęcił ją do dalszych zwierzeń uprzejmym ruchem głowy i zainteresowanym spojrzeniem.

– Kiedy pani powiedział, co mu chodzi po głowie?

– Właściwie to nigdy nie mówił o tym dosłownie – ciągnęła. – Wszystko się zmieniło, kiedy zaczął przyglądać mi się w dziwny sposób. Przyznaję, że nie wspominałam o tym pańskim kolegom, ponieważ wydawało mi się, że to tylko moje wrażenie, zwykłe nieporozumienie. Poza tym nie chciałam, żeby bez dowodów wyrobili sobie fałszywe zdanie na mój temat.

– Rozumiem. Dobrze pani zrobiła.

– Naprawdę? Kiedy jednak dłużej nad tym myślałam, byłam coraz bardziej pewna, że w pewnym momencie Luca zmienił zdanie na mój temat. Może miał nadzieję, że znalazł pokrewną duszę... naprawdę nie wiem. Chcę wierzyć, że to nieprawda. Nagle przestał rozmawiać ze mną w ten swój wesoły, beztronski sposób i stał się serdeczniejszy, uważniejszy, jakby chciał sprawdzić moją reakcję...

– Nie sądzi pani, że się zakochał?

Kobieta rzuciła mu dziwne spojrzenie.

Costa odniósł wrażenie, że zdziwiła się, słysząc coś, co od dawna wiedziała i utrzymywała w tajemnicy, a czego może nawet nie miała odwagi zaakceptować. Chociaż tak naprawdę sprawiło jej to przyjemność. Socjopata zakochał się w tej nieszczęsnej kobiecie, a ona nie mogła zrozumieć powodu i to nie dawało jej spokoju. Przerazała ją myśl, że mógł uznać ją za podobną do siebie.

– Nie wiem – szepnęła i spuściła wzrok.

– Przecież nie ma w tym nic złego – zapewnił Costa. – Luca Sileri był... to znaczy jest w końcu mężczyzną.

– No tak, też tak pomyślałam, tylko że...

– Trudno to zaakceptować, rozumiem. To nie pani wina. I co było dalej?

Loredana nie odpowiedziała od razu. Być może zastanawiała się, co tak naprawdę łączyło ją z Lucą kilka lat temu, a być może dręczyła ją myśl, że i ona wtedy coś do niego czuła. Obwiniła się, że nie dostrzegła zła w sercu mężczyzny i pozwoliła zaślepić się uczuciu.

– Potem po raz kolejny zmienił zachowanie – powiedziała powoli. – Jakby coś między nami zaszło... tylko nie wiem co. Przynajmniej ja niczego nie zauważyłam. Stał się ponury i nerwowy, a pewnego dnia zapytał mnie zniecierpliwiony, co myślę o...

Ciągle przygryzała nerwowo wargi na samo wspomnienie. Tymczasem w pokoju nagle zrobiło się prawie całkiem ciemno, jakby słońce zaszło za chmury, a oni tego nie zauważyli. Niewielki salon zdawał się teraz wypełniony mnóstwem cieni.

Costa nie naciskał, czekając, aż kobieta sama się zdecyduje. Rozumiał, że nie jest jej łatwo. Znajomość z kimś takim jak Sileri musiała być okropnym doświadczeniem. Zwłaszcza z wiedzą, którą miała teraz.

– Zapytał mnie, co myślę o eksponowanych ciałach – dokończyła po dłuższej chwili milczenia. – Początkowo nie zrozumiałam jego intencji i odpowiedziałam, że są przerażające i fascynujące zarazem. Budzą grozę, a jednocześnie pokazują anatomię człowieka, a więc są poniekąd piękne. Wtedy on potrząsnął nerwowo głową i powiedział: „Nie to miałem na myśli. Naprawdę wcale cię nie podniecają? Nawet trochę?”. Nie od razu zrozumiałam, o co mu chodzi. Pomyślałam nawet, że się przesłyszałam. Zaniepokoił mnie bardziej ton jego głosu niż same słowa.

Zamilkła. Z jej twarzy zniknęły emocje. Jakby to przerażające wyznanie uczyniło ją nieczułą na wszystko, cokolwiek by to było. Costa jednak niemalże słyszał mocne bicie jej serca pod wypłowiałym szlafrokiem.

– Niestety, nie przesłyszałam się, bo kiedy nie wiedziałam, co odpowiedzieć, on zaczął rozwodzić się w detalach. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że przesadził, i przestał.

– Jak pani wtedy zareagowała?

Costa w postaci tego pytania rzucał jej koło ratunkowe, którego mogła się uchwycić, aby przekonać samą siebie, że nie ma nic wspólnego z psychopatą opowiadającym o swoich perwersyjnych żądach, że nic ich nie łączy i że Sileri po prostu się pomylił, kiedy chciał ją wciągnąć w świat swoich plugawych fantazji. Mogła poczuć się lepsza od niego. I zdrowa psychicznie.

Loredana odetchnęła głęboko.

– Powiedziałałam mu, że to obrzydliwe! Powiedziałałam mu, że jeśli to żart, to wyjątkowo wulgarny i w złym guście. I że podobne fantazje nigdy nie przysłyby mi do głowy. Zareagowałam bardzo ostro. Cała się trzęsłam i starałam się opanować, by tego nie zauważył. A on od razu spochmurniał jeszcze bardziej i poprosił o wybaczenie. Przyznał, że to tylko głupi żart i że nieco przesadził. Twierdził, że wymyślił sobie wszystko, żeby mnie przestraszyć. A potem zmienił ton i zaczął się rozczulać, jak bardzo zależy mu na naszej przyjaźni... jakby chciał, żebym poczuła się winna z powodu swojej reakcji. Tylko że wtedy już rozumiałam, że nie jest ze mną szczery. – Znowu przerwała. Być może myślała o wyrzutach sumienia, które męczyły ją przez następne dni, o przeświadczeniu, że to ona zrobiła coś nie tak, o tym, że coś się między nimi zaczynało... – Następnego dnia nie było go w pracy, a potem dowiedziałam się, że został zwolniony – dodała. – Plotkowano, że przyłapano go na kradzieży substancji chemicznych. Nie wiem, co się naprawdę wydarzyło. – Odetchnęła i zakończyła krótko: – To wszystko.

Costa analizował całą rozmowę. Współczuł Loredanie, bo wiedział, przez co musiała przejść. Nie udało jej się wymazać z pamięci tamtej znajomości. Instynkt podpowiadał mu jednak, że to jeszcze nie wszystko.

– Dlaczego nie powiedziała pani o tym policji? Dlaczego ukryła pani taki ważny szczegół?

Teraz kobieta wyglądała jak któryś z cieni zatopionych w mroku mieszkania. Przypominała jeden ze swoich mebli. Być może marzyła właśnie o tym, aby zniknąć raz na zawsze.

Mimo wszystko zdecydowała się odpowiedzieć.

– Nie chciałam, żeby zaczęli doszukiwać się powodu, dla którego on mi to mówił... przecież chodziło o wyznanie pragnień seksualnych... Skoro wybrał właśnie mnie, podzielił się ze mną swoimi najskrytszymi myślami, to było jakby przyznanie się, że między nami... – Nie dokończyła zdania.

Costa poczuł, jak ogarnia go fala współczucia. Po tym, co zdarzyło się w ostatnich latach, sama myśl, że Sileri mógł coś do niej czuć, musiała być dla Loredany prawdziwym szokiem. Zwłaszcza jeśli ona też z początku odwzajemniała jego uczucia.

Nagle komendantowi wpadł do głowy pewien pomysł. Mogło to być chwilowe olśnienie lub po prostu ryzykowne zagranie. Sam dokładnie nie wiedział. W tym momencie miał jednak pewność, że musi zadać to pytanie.

– Spotkała go pani ponownie, prawda?

Loredana otworzyła usta, ale chwilę trwało, zanim odpowiedziała.

– Co pan opowiada?! – próbowała zaprzeczyć, ale coś ją zdradziło. Może to, że zacisnęła mocno powieki, jakby nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Czy potem jeszcze kiedyś go pani spotkała? Chcieliście się pożegnać? Proszę mi powiedzieć, przecież teraz to już i tak nie ma znaczenia. Mogłaby nam pani bardzo pomóc.

– Mogłabym pomóc...

– Tak. Nawet pani nie wie, jak bardzo.

Kobieta się zawahała, a Costa wstrzymał oddech w obawie, że traci ostatnią szansę.

– To prawda...

Powiedziała to. Nareszcie.

– A więc naprawdę go pani spotkała.

– Tak. Wydaje mi się, że to był on. Nie. To na pewno był on.

Costa nie naciskał. Cierpliwie czekał, aż jego rozmówczyni sama zdecyduje się mówić.

– To się zdarzyło ponad rok temu – szepnęła. – W parku, tutaj naprzeciwko. Chciałam się trochę poopalać, bo pogoda była naprawdę przyjemna. Pierwszy ciepły dzień po długiej zimie... Pamięta pan ten paraliżujący chłód? Usiadłam na swojej ulubionej ławce i nagle go zobaczyłam. Stał po drugiej stronie alejki z rękami w kieszeniach i przyglądał mi się uporczywie. Odniosłam wrażenie, że mnie... kontempluje... Wiem, że to dziwnie brzmi, ale wydaje mi się, że to najodpowiedniejsze słowo. On mnie kontemplował. A potem po prostu się odwrócił i odszedł. Przez kilka godzin nie mogłam się ruszyć z tej ławki. Nie miałam odwagi wstać i pójść do domu.

Zamilkła i wbiła wzrok we własne stopy. Prawdopodobnie teraz i ona kontemplowała swoje życie.

Costa nie zareagował. Nie potrafił ocenić, czy to ostatnie wyznanie jest prawdą. Być może Loredana dała się ponieść fantazji. To się czasem zdarza, gdy świadek decyduje się wreszcie na współpracę. Ta informacja mogła okazać się bardzo ważna, szkoda tylko, że wyszła na jaw po tak długim czasie.

– Czy to wszystko, co chce mi pani powiedzieć?

Kobieta nadal milczała.

Costa odczekał chwilę i kiedy już chciał zrezygnować, wstać i się pożegnać, usłyszał:

– Zostawił mi karteczkę z wiadomością.

Policjant ponownie wstrzymał oddech.

– Tamtego wieczoru, kiedy wreszcie zdołałam wrócić do domu, znalazłam ją w skrzynce. W białej kopercie bez adresu. Od razu się domyśliłam, że to on musiał ją zostawić. Nawet nie pamiętam, kiedy ją otworzyłam. Powinnam ją była od razu wyrzucić, ale zabrałam ją do domu. W środku było jego zdjęcie i karteczka, na której

zapisano dwa słowa: NIEDŁUGO WRÓCĘ. Wyobraża pan sobie? Tak napisałby chłopak do swojej dziewczyny. Niedługo wrócę. Może chciał być po prostu miły? Nie mam pojęcia. Tymczasem ja chciałam tylko o wszystkim zapomnieć... ja chcę o wszystkim zapomnieć...

Costa nie zamierzał jej przypominać, że rok temu Luca był już poszukiwany w sprawie o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem i że miała obowiązek zawiadomić policję o tamtym spotkaniu. Zauważył podczas rozmowy, że ona tego nie ogrania, a dzisiejsze wyznania bardzo dużo ją kosztowały.

Z nadzieją w sercu zadał ostatnie pytanie:

– Ma pani jeszcze to zdjęcie... i karteczkę?

Twarz Loredany znowu przypominała maskę bez wyrazu. Zacisnęła mocno usta. Po chwili wstała i wyrzuciła jednym tchem:

– Są tam, przyniosę je.

Valentina odebrała zaraz po pierwszym sygnale.

– Właśnie miałam do ciebie dzwonić – powiedziała. – Dowiedziałeś się czegoś? Powiedz mi, że tak, bardzo cię proszę.

– Tak, coś mam... Nie wiem jeszcze, ile to warte... – Fabio próbował ukryć entuzjazm.

Nie chciał robić jej fałszywych nadziei i sam też nie zamierzał się łudzić. Jakaś nuta w jego głosie zabrzmiała jednak jak sygnał ostrzegawczy.

– Co odkryłeś?

Powiedział jej o wiadomości, którą przekazała mu Loredana. W rzeczywistości była to koperta bez nazwiska nadawcy zawierająca białą, złożoną na pół kartkę z odręcznie wypisanym zdaniem NIEDŁUGO WRÓCĘ oraz zdjęcie podłej jakości. Fotka wyglądała na selfie wydrukowane na zwykłej kartce, a kolory były wyblakłe i zamglone. Uśmiechnięty Luca Sileri był łysy, ubrany w białą koszulkę z krótkim rękawem i czarne spodnie, a w obiektyw wbił aroganckie spojrzenie. Chyba nie zawierało ono ani groźby, ani obietnicy, jak sądziła Loredana, ale nie wyglądało też zbyt przyjaźnie. Fałszywy uśmiech podkreślał specyficzną deformację ust, przypominając poziome rozcięcie na jasnej skórze. Mężczyzna przywodził na myśl jakąś dziwną rybę albo stworza z opowiadań Lovecrafta.

Costa od razu zwrócił uwagę na tło. Niewiele było na nim widać, co zgadzało się pewnie z zamierzeniami fotografa. Przy odrobinie szczęścia mogło jednak wystarczyć.

Nie musiał nawet pytać Loredany, czy może zatrzymać kopertę wraz z zawartością. Po szczerzej rozmowie kobieta skrzyżowała ręce na piersiach i w chwili pożegnania Costa zauważył ulgę na jej twarzy.

Kiedy wrócił do samochodu, przez dłuższy czas przyglądał się fotografii. Sileri sprawiał wrażenie, jakby go obserwował, a jednocześnie rzucał mu wyzwanie tym swoim nieustannym zepsutym uśmiechem.

– Za jego plecami coś widać – powiedział Fabio do Valentiny. – Przypomina mi to część kolumny jakiegoś budynku... Nie wiem, może kościoła? Wyślę ci zdjęcie przez WhatsAppa. Loris już je ma. Powiedział, że zaraz zagoni „Boga” do roboty.

– Dlaczego przysłał jej swoje zdjęcie? – zapytała zaniepokojona Valentina. – I jeszcze bilecik... Specjalnie pojawił się w Rzymie. Przecież to spore ryzyko. Nie przyszło mu do głowy, że ona może zadzwonić na policję?

Tak, Costa też długo się nad tym głowił, oglądając fotkę.

– Nie masz pojęcia, jaka dziwna relacja ich łączyła – powiedział. – Szczerze mówiąc, ja też nie do końca rozumiem, ale sądzę, że Sileri się w niej zakochał. Ona jest nieco podobna do tej dziewczyny z supermarketu, którą zamordował. Może podoba mu się właśnie taki typ urody? A może zakochuje się w kobietach i potem usiłuje osiąść je po śmierci? Z całą pewnością Loredana Talischer to chwila normalności w jego życiu wypełnionym zgrozą i chorobliwą żądzą. To zauroczenie musiało trwać dość długo... i prawdopodobnie miał w związku z nią jakieś plany, dlatego wrócił wtedy do Rzymu, by zostawić jej wiadomość. Zanim...

– Zanim opętała go nowa obsesja związana z Caravagiem – dokończyła Valentina. – Niedługo potem porwał Esther Kaimbacher...

– Musimy to dokładniej sprawdzić. Z pozoru nic nie łączy Sileriego z tym maniackalnym zainteresowaniem postaciami z obrazów Caravaggia, czy ogólnie ze sztuką... Musimy się dowiedzieć, co wywołało tę paranoję. I kiedy to się stało.

– Czym się możemy zająć w międzyczasie? Naprawdę uważasz, że to zdjęcie może nas naprowadzić na jego trop? Przecież minęło sporo czasu, a on chętnie zmienia miejsca pobytu. Nawet jeśli odkryjemy, gdzie zostało zrobione, to niewiele nam to pomoże – powiedziała tonem, w którym wyraźnie brzmiała obawa.

– Nigdy nic nie wiadomo. Skoro przekazał tę wiadomość Loredanie, to może się pod nią ukrywać jakieś ważne znaczenie. A my musimy je odszyfrować.

– Też mam taką nadzieję, chociaż boję się, że jest już za późno. Zostałam wezwana do centrali i tym razem pewnie odsuną mnie od śledztwa. Muszę rzucić wszystko i jechać do Rzymu.

– Nie możesz się poddać. Spróbuj zyskać na czasie. Ja tymczasem wracam do Voltery i zobaczymy, czy uda się przyspieszyć postępowanie. Nie daj się zmienić w tak ważnym momencie! Udawaj Greka, przepraszaj, jeśli to konieczne, ale nie odpuszczaj. Nie teraz!

– Dobrze, postaram się... – Przerwała, ale się nie rozłączyła i Costa słyszał jej równy oddech w słuchawce. W tle brzęczało włączone radio i zdawało mu się, że rozpoznaje *Knockin' On Heaven's Door* Boba Dylana, chociaż nie miał pewności.

– Valentino...

– Chciałabym, żebyś był teraz przy mnie – szepnęła w odpowiedzi.

– Przyjdzie na to czas.

– Okej – zgodziła się szybko i Costa odniósł wrażenie, że chce jeszcze coś dodać, ale błaganie Boba Dylana wznoszone u bram nieba zostało gwałtownie przerwane.

Giampaolo D'Avanzo serdecznie pozdrowił stojącego na warcie funkcjonariusza, który go rozpoznał i wpuścił bez zbędnych formalności, mimo że był środek nocy. W ciągu ostatnich mroźnych dni wszyscy musieli zapomnieć o stałych godzinach pracy i nikt już się nie dziwił, że światła w komisariacie w Volterze cały czas były włączone. Krytyk otrzepał się ze śniegu, który z samego rana zaskoczył mieszkańców miasteczka i teraz przenikał go wilgocią aż do szpiku kości. Podszedł do Loris Manny i zauważył, że analityk zachowuje się, jakby był w amoku. D'Avanzo momentalnie przetłumaczył sobie mowę ciała na następujące słowa: wyjątkowa wiadomość wisi w powietrzu.

Loris od razu potwierdził jego przeczucia. Badali nowy trop i tym razem czas odgrywał pierwszoplanową rolę. Rezultaty potrzebne były natychmiast.

Wyjaśnił, że zdjęcie, nad którym pracowali – było teraz wyświetlone na jednym z ekranów „Boga” – nie dostarczało zbyt wielu wskazówek, by zidentyfikować miejsce, gdzie zostało zrobione. Mimo to Loris był przekonany, że coś znajdzie.

Wizerunek uśmiechniętego i zrelaksowanego Sileriego, który beztrąsko strzelał sobie selfika, sprawił, że krytyk poczuł nieprzyjemny dreszcz na plecach. Bardzo dziwne uczucie. Twarz mężczyzny nie wyrażała żadnych emocji: uśmiech był sztuczny, a czarne oczy – pozbawione wyrazu. D'Avanzo wiedział już, że próżno było szukać w tym spojrzeniu śladów zła, które mieszkało w sercu Sileriego. Teraz dodatkowo odniósł wrażenie, że pokazując wszystkim swój nieśmiertelny grymas, po prostu sobie z nich kpi w żywe oczy. Ogarnęło go niczym nieuzasadnione, absurdalne poczucie, że mężczyzna obserwuje ich przez monitory, a pozbycie się tego nie należało do łatwych zadań. To był diabeł wcielony, a wiadomo, że moce piekielne nie mają granic.

Najbardziej zaskoczył go fakt, że mężczyzna nie miał nic wspólnego z jego wyobrażeniami. Zdjęcie z dokumentacji policyjnej, na którym zobaczył go po raz pierwszy, było oczywiście mało naturalne, a w dodatku przestarzałe. Natomiast ujęcie, które miał przed oczami, po raz pierwszy przedstawiało Sileriego w chwili, gdy powinien przyjąć spontaniczną, autentyczną pozę. D'Avanzo nie spodziewał się co prawda znaleźć w jego twarzy śladów przemocy czy dewiacji, ale...

To miał być specjalista od znanych dzieł sztuki? Perwersyjny wielbiciel boskiego Caravaggia?

Wydawało mu się to niemożliwe. Przecież jakiś ślad zainteresowania sztuką, nawet jeśli wypaczonego, powinien kryć się za ustami wykrzywionymi w fałszywym

uśmiechu lub w pozbawionych blasku oczach.

– Ej, jesteś tu? – zapytał Loris, trącając krytyka w ramię.

Giampaolo wrócił do rzeczywistości.

– Tak, tak, jestem tutaj. Co mówiłeś?

– Mówiłem, co mam zamiar zrobić – odpowiedział Loris. – Chciałbym powtórzyć operację, którą wykonaliśmy w przypadku obrazów. Oprogramowanie dość dobrze działa, a algorytmy są właściwie takie same. Musimy tylko zmienić niektóre parametry...

– Nie rozumiem. – Giampaolo, który jeszcze nie zdołał uporządkować myśli, się zasepił. – Co takiego jest na tym zdjęciu, co mógłbyś połączyć z wcześniejszymi obrazkami? Czego powinniśmy szukać?

Loris wskazał pewien punkt widoczny za plecami Sileriego. Mężczyzna, ustawiając obiektyw pod odpowiednim kątem, próbował wykonać ujęcie w taki sposób, aby uniemożliwić rozpoznanie miejsca, ale komórka mimo wszystko uchwyciła niewielki fragment kamiennej budowli.

– Co ci to przypomina?

– Nie wiem. Coś jakby fragment łuku, kolumny... może element portyku. Niestety, nie do rozpoznania...

– Miejmy nadzieję, że nie wszystko stracone – odparł Loris, który przy użyciu klawiatury i myszki szybko wyodrębnił i powiększył interesującą ich część fotografii. – Teraz skorzystam z pomocy sztucznej inteligencji, żeby użyć łatwych słów, zrozumiałych dla takiego nieszczęsnego humanisty jak ty...

– Dziękuję bardzo.

– Ależ proszę. Nie wszyscy możemy być geniuszami... Dobrze, teraz system przeanalizuje dokładnie ten fragment struktury i poda nam kilka możliwych wariantów przedstawiających resztę budynku.

D'Avanzo nie dowierzał własnym uszom.

– Jak to możliwe?

– No cóż, to na razie tylko teoria – ciągnął Loris, nie przestając modyfikować obrazu, który na oczach Giampaola zmieniał perspektywę, potem zyskał trójwymiarowość i kręcił się na ekranie monitora. – „Bóg” potrzebuje naszej pomocy, nie może zrobić wszystkiego sam. Muszę wyłowić w sieci wszystkie zdjęcia budynków z łukami i kolumnami, przesłać je do systemu, a potem zasugerować mu pewne rozwiązania. Im więcej materiału dostanie do opracowania, tym dokładniejsza powinna być ostateczna wersja budynku, którego szukamy. Oczywiście to będzie tylko hipoteza, ale przynajmniej będziemy mieli wzorzec do porównywania.

– To zadanie nie do wykonania... Jeszcze trudniejsze niż wtedy, gdy rejestrowaliśmy obrazy od epoki renesansu do współczesności...

– Właśnie dlatego potrzebuję twojej pomocy. Musisz wskazać mi kościoły, świątynie, portyki... Jeśli jak podejrzewamy, Sileri przemieszcza się z południa na północ, to najpierw sprawdzimy budynki i zabytki na północ od Toskanii.

– Ile mamy czasu? – zapytał D'Avanzo, chociaż już przewidywał odpowiedź.

Na twarzy Lorisa pojawiła się smuga cienia.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli duże szanse na znalezienie Rosanny Bacci żywej, ale musimy pracować tak, jakby to było możliwe. To znaczy, że powinniśmy znaleźć go, zanim wykona swoje zamiary. Najlepiej już w tej chwili. Pasują ci takie ramy czasowe?

Giampaolo popatrzył na kolegę i pomyślał, że lepiej by było, gdyby dużo wcześniej wycofał się z tej imprezy i nie dał się ponieść początkowemu, nieprzemyślanemu entuzjazmowi. Oczywiście również teraz nie zdecydował się na taki krok.

Odsunął na bok wszystkie niepotrzebne myśli, koncentrując się niemal do bólu.

– Zaczynamy – zdecydował bez wahania.

Telefon zadzwonił, kiedy znajdował się w okolicach Grosseto. Costa usłyszał w słuchawce głos Giampaola D'Avanza, choć w tle rozlegało się nieprzerwane trajkotanie Lorisa Manny.

– Co się dzieje? – przywitał się komendant.

– On jest szalony! Wiesz, że znalazł to miejsce!

– To zasługa profesora! – wrzasnął Loris, zbliżywszy twarz do słuchawki.

– Ależ skąd! – obruszył się D'Avanzo. – Ja tylko trochę pomogłem, za to pomysł jest jego. Czy to zdjęcie jest naprawdę takie ważne?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. To jedyny ślad, który mamy. Znaleźliście coś konkretnego?

– Chyba tak. To jeden z pałaców palladiańskich.

– Co takiego? – Costa nie był pewien, czy się czasem nie przesłyszał.

– Pałac palladiański. Na dziewięćdziesiąt procent. Fragment łuku za plecami Sileriego to według „Boga” część jednego z pałaców, które Palladio zbudował w szesnastym wieku w okolicach Wenecji.

– Jasne. Wiem, co to jest pałac palladiański. Udało się wam ustalić, o który konkretnie chodzi? Z tego, co pamiętam, jest ich całkiem sporo...

Usłyszał, jak D'Avanzo mówi coś po cichu do Manny. Za oknem już widział morze, które będzie mu towarzyszyć do Livorno, a potem dalej do Pizy. Spieszył się, żeby wrócić do Volterry, uporządkować myśli i śledztwo.

– Wytypowaliśmy dwa, ale nie mamy stuprocentowej pewności – powiedział Giampaolo, wracając do przerwanej rozmowy. – Gdybyśmy mieli więcej czasu, moglibyśmy się bardziej postarać.

– Nie trzeba. Dwie opcje sprawdzimy od razu. Podaj mi adresy i natychmiast zawiadom Valentine. Jeśli istnieje możliwość, że Sileri ukrywa się w takim miejscu, to niezwłocznie musimy go stamtąd wypłoszyć.

– W porządku...

Costa wyczuł niepewność w tonie krytyka.

– Co jest, Giampaolo?

– Sam dokładnie nie wiem. Zapoznałem się z curriculum tego typu i tym częściowym profilem psychologicznym, który sporządzono... I coś mi tu nie gra.

Komendant miał podobne wrażenie.

– Co masz na myśli? – zapytał.

D'Avanzo potwierdził jego przypuszczenie.

– Luca Sileri to z pewnością inteligentny człowiek, choć niestety jego psychopatyczny umysł skażony jest poważną dewiacją. Łatwo wpada w złość i ma skłonność do przemocy. Nie znalazłem jednakże niczego, co wskazywałoby na zainteresowanie sztuką. Przyjeliśmy, że jego ofiary to sobowtóry postaci z obrazów Caravaggia. Założyliśmy, że za podsycanie jego obłądu odpowiada zainteresowanie dziełami Caravaggia i innych artystów tej epoki. Uznaliśmy nawet, że jego życie przypomina po części historię niepokornego artysty. Tymczasem ja nie widzę żadnego związku... Co więcej, Sileri wydaje mi się bardziej oddany nauce niż sztuce.

– Najprawdopodobniej zainspirowała go praca przy plastynacji. Podczas wystaw *Body Worlds* ciała są często modelowane na wzór słynnych rzeźb czy obrazów. To musiało wzbudzić jego zainteresowanie – zastanawiał się Costa, ale bez przekonania, ponieważ Loredana Talischer ani słowem nie wspomniała mu o podobnej pasji przyjaciela. Bardzo możliwe, że pojawiła się ona dopiero później, pod wpływem jakiegoś bodźca, o którym jeszcze nie wiedzieli.

– Pewnie masz rację – powiedział D'Avanzo. – W końcu nie jestem psychiatrą – dodał bez większego przekonania.

Wibracja w komórce Costy powiadomiła o serii nowych wiadomości.

– Loris wysłał ci właśnie adresy, pod jakimi znajdują się te dwa pałace palladiańskie – powiedział Giampaolo.

– Zawiadomcie Valentine, jeśli jeszcze tego nie zrobiliście. Spotkamy się w Volterze.

Po zakończeniu rozmowy Costa zjechał na pierwszy napotkany po drodze parking, zatrzymał samochód i zaczął sprawdzać wiadomości przesłane przez WhatsAppa. Znalazł tam zdjęcia obu budynków z krótkim opisem oraz pozycję geograficzną i satelitarną. Były to słynne zabytki architektury należące do znanych weneckich rodów.

Costa miał poważne wątpliwości co do tego, czy Sileri może się ukrywać w podobnym miejscu. Prawdopodobnie po raz kolejny znajdą się w ślepych zaułku. Potem nagrał wiadomość głosową dla Valentine:

– Prześlij wiadomość i zdjęcia do centrum operacyjnego w Wenecji. Trzymaj się oficjalnej procedury, ale wyjaśnij też dokładnie, w czym rzecz. Potrzebujemy dodatkowych informacji, i to jak najszybciej. Jeśli Sileri ukrywa się w jednym z tych pałaców, musimy się pospieszyć. Będziemy w kontakcie.

Przez chwilę walczył z pokusą, aby dodać kilka bardziej osobistych słów, lecz w końcu zrezygnował. Popatrzył na pogrążoną w ciemnościach drogę. Ruszył i od razu

nacisnął gaz. Równie mocno pragnął w jak najkrótszym czasie dotrzeć na miejsce, jak i zakończyć tę koszmarną sprawę.

Angelo Zucca siedział przy komputerze i czekał na maila. Biura opustoszały już jakiś czas temu, jedynie nieliczni koledzy kończyli jeszcze zaległe sprawy lub wykonywali pilne telefony. Za oknami oddzielającymi twierdzę śledczych od świata zewnętrznego Rzym przywdziewał nocną szatę. Od dłuższego czasu policjant nie pozwalał sobie na chwilę przerwy. Marzyły mu się piwo z przyjaciółmi, wieczór w damskim towarzystwie, może nawet nowa dziewczyna, której można by poświęcić uwagę. Od wielu dni bez odpoczynku uganiał się za szalonym mordercą i Angelo zaczynał odczuwać zmęczenie.

Teraz czuł, że zbliżają się do końca, i to go cieszyło, niezależnie od ostatecznego rezultatu. Był policjantem, a nie misjonarzem, i nie zamierzał robić tragedii, jeśli sprawa zostanie przekazana innej jednostce. W przeciwieństwie do Valentiny Medici nigdy nie angażował się osobiście w prowadzone śledztwo.

Policjantka od godziny siedziała w gabinecie komendanta Falconego. Nikt nie ukrywał, że spotkanie nie zapowiada się dla niej pomyślnie. Ustaliła co prawda, że to Luca Sileri jest odpowiedzialny za serię porwań i morderstw, ale nie zdołała go aresztować, a poszukiwany psychopata swobodnie krążył po kraju. Ktoś musiał za to odpowiedzieć i chociaż było to ze wszech miar niesprawiedliwe, komisarz Medici doskonale nadawała się na kozła ofiarnego. A od kiedy przyjęła na pokład Fabia Costę... no cóż, nikt już nie zdoła jej wybronić.

Szkoda, polubił tę dziewczynę. Niestety nie była ani pierwszą, ani ostatnią, która przewinęła się przez biura rzymskiego centrum operacyjnego, podczas gdy Zucca zaliczał się do grupy weteranów i przez lata służby nauczył się unikać pułapek, od których roiło się w ich fachu.

W tym momencie na komórkę Angela przysłała wiadomość, na którą czekał. Kolega z Wenecji napisał: *Znaleźliśmy miejsce. Sprawdź e-maila!*

Pomimo cynizmu, którym się szczycił, Zucca z drżącym sercem otworzył pocztę elektroniczną. Przed niespełną godziną przesłali zmodyfikowany przez Mannę fragment zdjęcia Sileriego wraz z nazwami dwóch wytypowanych pałaców do kolegów z regionalnej sekcji operacyjnej w Wenecji, a ci z kolei natychmiast przekazali dane do wszystkich komisariatów w regionie. Ze szczególnym naciskiem na Padwę i Vicencę.

Model zrekonstruowany przez Mannę okazał się niezwykle szczegółowy. Przedstawiał fronton dużego budynku ozdobionego wieżyczkami, portykami i łukami. Była też wersja trójwymiarowa. Analityk wraz z profesorem D'Avanzem porównali

wzorzec z niektórymi weneckimi pałacami zbudowanymi w szesnastym wieku. Nie mogli jednak wykluczyć, że obrazek przedstawia zupełnie inną, nieznaną im budowlę. Zadaniem lokalnej policji było wytypowanie pałacu, który najlepiej odpowiada cyfrowemu modelowi, a potem sprawdzenie, czy Luca Sileri nie ukrywa się czasem na terenie posiadłości. Najszybciej i najdyskretniej, jak to tylko możliwe.

Angelo Zucca oniemiał, do maila dołączono bowiem zdjęcie. Widniała na nim duża szesnastowieczna budowla będąca doskonałą kopią modelu przygotowanego przez Mannę. A raczej mistrzowskim oryginałem. Wiadomość zawierała też krótki komentarz: *To z pewnością ten pałac. Wysłaliśmy na miejsce patrol, aby dyskretnie sprawdził posiadłość. Budynek wygląda na niezamieszkały, ale na wewnętrznym dziedzińcu policjanci dostrzegli volkswagena californię. Uważamy, że możliwa jest też obecność poszukiwanego. Czekamy na rozkazy.*

Z ekscytacji prawie podskoczył na krześle. Zerwał się, żeby zawiadomić przełożonych, ale zaraz się zatrzymał i zastanowił przez chwilę. Potem na pewno nie będzie miał czasu. Rozpęta się prawdziwe piekło: zamieszanie i szaleńcza jazda na miejsce. Jeśli chce to zrobić, to teraz jest odpowiedni moment.

Sięgnął po komórkę i wybrał numer. Znał go na pamięć. Reporter, który odbierał jego telefony o każdej porze dnia i nocy, był nadzwyczaj uprzejmym człowiekiem. Pracował dla bardzo popularnego dziennika. I hojnie płacił za informacje, które przekazywał mu Angelo Zucca.

Chodziło o pałac Zernichów. Była to ogromna posiadłość zaprojektowana i wybudowana przez Palladia w tysiąc pięćset sześćdziesiątym ósmym roku w okolicach Este, niedaleko Padwy.

Tam ukrywał się Luca Sileri.

Godzinę później Valentina przekazała tę informację Fabiowi. Pałac Zernichów należał do znanych w okolicy producentów wina. Od dawna nikt w nim nie mieszkał, kiedyś znajdowało się tam muzeum, ponieważ ozdabiała go freski autorstwa Paola Veronesego, ale kilka lat wcześniej zamknięto je dla zwiedzających i oddano pod opiekę fachowca od wszystkiego, który pozostawał na usługach rodziny Zernichów. Śledczy natychmiast skontaktowali się z tym mężczyzną i wyciągnęli go z łóżka, aby pokazać mu zdjęcie Luki Sileriego. Totumfacki od razu rozpoznał człowieka, który od wielu miesięcy wykonywał drobne prace na terenie posiadłości. Zajmował jedną z dwóch wieżyczek pałacu i obecnie był jedynym stałym mieszkańcem budynku. Oświadczył, że zna go jako Gianlucę Simiego, i zapewniał policjantów, że muszą się mylić, bo to nie może być mężczyzna, którego szukają.

Nawet przez telefon Valentina nie potrafiła ukryć zdenerwowania, jak najbardziej zrozumiałego w tej sytuacji.

– Właśnie wyjeżdżamy na miejsce. W Padwie już organizują interwencję, ale to nie będzie łatwe. Posiadłość jest naprawdę duża i będziemy potrzebować znacznych sił... A tu już zaczął się wyścig, kto będzie pierwszy.

– Wyobrażam sobie – powiedział Costa. – To nieważne. Nie pozwól odebrać sobie zasług, które ci się należą.

– Raczej niemożliwe. Tu wszyscy są nabuzowani do granic wytrzymałości. Jeszcze nie ustalili, kto będzie dowodził operacją. – Przerwała na chwilę, po czym dorzuciła: – Przyjedziesz?

– Nie sądzę, żeby naszym szefom się to spodobało. Zresztą jestem już prawie w Volterze.

– A to znaczy, że i tak jesteś bliżej niż my. Jeśli nie będziesz marudził, to w trzy godziny dojedziesz na miejsce. Akcja nie rozpocznie się przed świtem. Fabio, ja cię potrzebuję.

– Będziesz miała pełno ludzi. Trzymaj się blisko Angela Zukki i nie pozwól, żeby ci weszli na głowę...

– Czy ty naprawdę nie rozumiesz? To twoja zasługa, że go znaleźliśmy. Musisz tam być.

Przed oczami zawirowały mu wizerunki twarzy, tworząc niewyraźną mozaikę, nie miał jednak wątpliwości, że chodzi o ofiary Luki Sileriego. Na koniec zobaczył oblicze Rosanny Bacci. Usta wszystkich nieszczęśników wykrzywione były w niemym, błagalnym krzyku.

Valentina też prosiła go o pomoc.

– W porządku – powiedział pod wpływem impulsu. – Zobaczymy się na miejscu. – A potem szepnął bardziej do siebie niż do niej: – Nie można uciec przed przeznaczeniem...

Światłocienie

Kolumna siedmiu samochodów wyruszyła z Padwy, kiedy zapowiedź świtu stanowiła zaledwie obietnicę. Przez całą noc w mieście i na okolicznych wzgórzach padał śnieg, a teraz biały krajobraz pogrążony był w nienaturalnej ciszy, której nie zdołał zakłócić nawet warkot silników.

Liczna grupa policjantów wyruszyła, żeby aresztować jednego człowieka. Chodziło jednak o wyjątkowo perfidnego seryjnego mordercę i należało się spodziewać wszystkiego, co najgorsze. Poruszali się po omacku i to ich martwiło. Przerazała ich możliwość, że znowu może się wymknąć.

Gdy Valentina wraz z grupą z Rzymu przybyli na miejsce, przekonali się, że działania operacyjne zostały już przygotowane i funkcjonariusze zajmują pozycje. Centrala zaleciła pośpiech i precyzję, bo ciągle mieli nadzieję, że odnajdą Rosannę Bacci żywą. Armando Fazio, policjant z centrum operacyjnego, który przejął śledztwo z rozkazu szefa policji i domagał się kierowania akcją, właśnie startł się z kolegą z komendy w Padwie, który przygotował całą operację na terenie posiadłości. Zwykły spór kompetencyjny, chociaż w tym przypadku stawka była wysoka. Podczas gdy dwaj mężczyźni żywo dyskutowali nad preferowanym przebiegiem działań, Valentina poprosiła jednego z lokalnych funkcjonariuszy o dodatkowe wiadomości na temat pałacu Zernich, a ten wskazał jej Claudia Altieriego, zaufanego właścicieli, a zarazem świadka, który potwierdził obecność Sileriego w tym miejscu.

– Altieri będzie nam towarzyszył na tyłach – wyjaśnił – na wypadek gdybyśmy potrzebowali jego wiedzy.

Valentina nie miała zamiaru podważać informacji zdobytych przez kolegów, ale chciała sama wyrobić sobie zdanie i lepiej zrozumieć sytuację.

Altieri okazał się postawnym mężczyzną. Przedstawił się z silnym weneckim akcentem jako zaufany współpracownik Federica Zernicha, sędziwego właściciela pałacu, który już dawno wycofał się w domowe zacisze, przekazując mu opiekę nad wspaniałym palladiańskim zabytkiem. Z kolei Altieri zlecał prace podwykonawcom typu Simiego, alias Sileri, którego przyjął w charakterze stróża. Ten zaś jako jedyny mieszkał na stałe w posiadłości, w której pracowali też dorywczo dwaj ogrodnicy i majster zajmujący się bieżącymi naprawami.

– Mogę pokazać jego referencje – powtarzał Altieri.

Valentina zapewniła go lodowatym tonem, że na pewno dokładnie to sprawdzą, co wywołało na twarzy mężczyzny grymas niezadowolenia, po czym poprosiła go

o szczegółowe informacje na temat samej posiadłości.

Teraz, kiedy pałac wyłaniał się przed nią z porannej mgły na tle krajobrazu przyprószonego świeżym śniegiem, zdała sobie sprawę, jak duży obszar obejmuje posesja. Uderzyło ją również niepokojące piękno całej scenerii.

Jak w przypadku wszystkich dzieł architektonicznych autorstwa Palladia, rozsianych na tym terenie, główną część budynku stanowił imponujący trzypiętrowy korpus, który z odległości przypominał wyłaniającą się z nicości upiorną katedrę ozdobioną wyrafinowanym portykiem i lśniącymi kolumnami. Po bokach ciągnęły się dwa niższe, jednopiętrowe skrzydła z szerokimi krużgankami, które wychodziły na rozległy ogród z fontanną. Te części budowli zostały zaprojektowane jako pomieszczenia mieszkalne dla licznej służby niezbędnej do utrzymania porządku w posiadłości, będącej przed wiekami nie tylko książęcą rezydencją, ale również ośrodkiem działalności produkcyjnej i handlowej.

Tamten świat odszedł w zapomnienie, teraz tereny otaczające pałac sprawiały wrażenie kompletnie opuszczonych. Pod łukami, które Luca Sileri nieopatrznie uwiecznił na fotografii, oczekiwał na nich gęsty mrok. Po obu stronach krużganków wznosiły się kwadratowe wieże, a naprzeciw głównej części pałacu znajdował się basen ozdobiony posągami nimf. Dalej zaś rozciągał się zagajnik otaczający cały budynek, by na jego tyłach połączyć się ze Wzgórzami Euganejskimi. Po lewej stronie zbudowano małą pogańską świątynię w typie Panteonu, która – jak wyjaśnił Altieri – była dokładną kopią innego słynnego dzieła Palladia. Wewnątrz umieszczono rodzinny grobowiec właścicieli, lecz został już dawno zamurowany z uwagi na zły stan i brak konserwacji.

Nic nie wskazywało na to, że w budynku ktoś mieszka. Wszędzie panowały ciemności, których nie rozjaśniał żaden blask elektrycznego oświetlenia. Rozproszenie na terenie posiadłości znacznych sił, którymi dysponowali, wydało jej się nagle błędem. Sileri doskonale znał tu wszystkie zakamarki i niełatwo będzie wypłoszyć go z kryjówki.

Na rozkaz Fazia kolumna samochodów policyjnych, która poruszała się ze zgaszonymi reflektorami i wyłączonymi syrenami, zatrzymała się teraz w szerokiej zatoczce przy drodze powiatowej prowadzącej do pałacu. Trzysta metrów dalej zaczynała się aleja wjazdowa prowadząca przez kolejne pięćset metrów aż do budynku. Brama była otwarta i słabo oświetlona dwiema lampami, które przypominały wyczerpanych strażników.

Policjanci wysiedli z samochodów i zgromadzili się wokoło Fazia oraz najwyższego rangą funkcjonariusza z Padwy. I to właśnie on poprowadził ściszym głosem ostatnią, szybką odprawę. Pierwsza grupa miała okrążyć posiadłość w stosownej

odległości wzdłuż drogi powiatowej i za zagajnikiem otaczającym budynki. Reszta została podzielona na trzy zespoły: jeden miał sprawdzić główną część budynku, a dwa pozostałe oba skrzydła, w których mieściły się liczne pokoje. Teraz istotne były szybkość i skuteczność. Zespół odpowiedzialny za przeszukanie lewego skrzydła miał rozpocząć akcję od wieżyczki, w której podobno mieszkał Gianluca Simi. Na czele stanął Fazio, zdobył się jednak na tyle taktu, by zaprosić do swojej grupy Valentineę. Pozostałymi zespołami kierowali policjanci obeznani z terenem. W każdym było też kilku antyterrorystów z sił szybkiego reagowania wyposażonych w kamizelki kuloodporne, kaski oraz pistolety maszynowe Heckler & Koch UMP9. Każdy zespół otrzymał też klucze dostarczone przez Altieriego.

Wszyscy, włączając funkcjonariuszy po cywilnemu, mieli na sobie kamizelki kuloodporne. I rozkazano im, by trzymali nerwy na wodzy. Sileri zamordował dwóch policjantów, ale miał być wzięty żywcem.

– Właśnie otrzymaliśmy informacje od naszych obserwatorów – odezwał się Grassi, funkcjonariusz z Padwy, który przed momentem skończył rozmawiać przez telefon. – Nie zauważyli nikogo, kto by się oddalał z terenu posiadłości.

Od czasu, gdy zlokalizowali pałac Zernichów jako potencjalną kryjówkę poszukiwanego, wysłali dwa oddziały operacyjne z zadaniem obserwacji okolicy. Już pierwsza kontrola rozległego ogrodu z użyciem drona wykazała obecność starego volkswagena californii. Furgonetka stała zaparkowana pod południowym portykiem używanym swego czasu jako wozownia, gdzie przechowywano załadowane już produkty rolne i inne towary przeznaczone na handel. Miejsce było idealne, chronione bowiem od strony drogi zarówno przed wzrokiem niedyskretnych osób, jak i przed skutkami niesprzyjającej aury. Zdjęcia wykonane przez dron nie były zbyt wyraźne z uwagi na panujące ciemności oraz padający śnieg, ale nikt nie miał wątpliwości, że to auto, którego szukają. Dostali więc potwierdzenie, że Sileri wrócił do domu. I jeśli stało się to w ciągu ostatnich godzin, to istniała iskierka nadziei na odnalezienie Rosanny żywej.

Fazio z satysfakcją uderzył pięścią o maskę alfy, z której właśnie wysiadł.

– Świetnie, więc wreszcie mamy szansę go dopaść!

Podczas gdy policjanci dzielili się na zespoły, Valentina po raz kolejny podeszła do Claudia Altieriego, który siedział w jednym z samochodów zaparkowanych nieco na uboczu i z ciekawością obserwował przygotowania do akcji. Właśnie zamierzał zapalić papierosa, ale siedzący obok policjant dał mu znak, by tego nie robił. Żadnych sygnałów. Altieri uśmiechnął się i włożył paczkę do kieszeni kurtki Oxford. Jak tylko dostrzegł Valentineę, na wszelki wypadek wysiadł z samochodu.

– Kiedy ostatni raz widział pan Sileriego... to znaczy Simiego? – zapytała.

Altieri spojrział w stronę pałacu, jakby przez mgłę i padający śnieg chciał zobaczyć mężczyznę, którego nieopatrznie przyjął do pracy.

– Niezbyt często się z nim spotykam, jedynie raz czy dwa razy w miesiącu, kiedy informuje mnie, co się dzieje na terenie posiadłości i tym podobne. Ostatni raz to chyba było... jakieś dziesięć dni temu?

– Mnie pan pyta?

– Nie. Tak. Dziesięć dni temu.

– Sądzi pan, że teraz jest w domu?

– Chyba tak, ale nie interesuję się jego życiem prywatnym.

– Wróćmy do tego, może pan być pewien. Gdzie się spotkaliście? W pałacu?

Altieri przeszył ją wzrokiem i zobaczyła w jego oczach blask, który dał jej do myślenia.

– Od miesiący nie jeżdżę do posiadłości. Normalnie spotykam się z pracownikami w biurze firmy w Padwie...

– No tak. Produkujecie wino.

– Musujące. Najlepsze w okolicy.

– Valentino, jedziemy! – zarządził w tym momencie Fazio.

Kolumna samochodów ruszyła w stronę bramy. Zniecierpliwiony dowódca czekał na Valentine z nogą wystawioną na zewnątrz. Kobieta rzuciła zaufanemu rodziny Zernichów znaczące spojrzenie i wsiadła do auta, którym kierował Angelo Zucca. Kiedy ruszali, jeszcze czuła na karku zimne spojrzenie Altieriego.

Wjechali w aleję prowadzącą na teren posiadłości, a komisarz Medici serce zaczęło walić jak młotem. Ładując swoją berettę, pomyślała: Nareszcie nam się udało, jedziemy aresztować Lucę Sileriego. Zbliżamy się do końca.

A potem odwróciła się i patrząc na znikającą za plecami drogę, zapytała w myślach: Gdzie się podziałeś, Fabio?

Kiedy ostatni samochód zniknął za wielką bramą wjazdową, zaparkowane w ukryciu volvo z wyłączonymi światłami ruszyło śladem kolumny kierującej się w stronę bladej fasady pałacu. Warstwa śniegu pokrywająca drogę dojazdową zniknęła pod kołami pojazdów, które powoli i niemal bezszelestnie zbliżały się do głównej części budynku. Na białym puchu widniały teraz dwie równoległe linie błota przypominające długie blizny.

Costa zaparkował i wysiadł z auta, w którym wcześniej czekał na odjazd kolumny. Tymczasem policjanci dotarli na parking i ustawili się w półokręgu przed fontanną z nimfami. Szybko wyskoczyli z pojazdów i okrążyli budynek. Nawet z tak znacznej odległości, w rzednących ciemnościach nadchodzącego świtu, Costa wyczuwał panujące tam napięcie.

Nad posiadłością kołował helikopter. Maszyna wyłoniła się z gęstych chmur i głośny warkot silnika zakłócił panującą do tej pory ciszę. Wehikuł nie należał do policji i oznaczał tylko jedno: jakiś dziennikarz zwęszył sensację i teraz z góry nagrywał całą akcję. To niespodziewane towarzystwo pomieszało im szyki, ponieważ wykluczyło czynnik zaskoczenia. Niezależnie od tego nadszedł wreszcie moment ostatecznego rozstrzygnięcia.

Costa włożył krótką granatową kamizelkę z napisem POLICJA. Wielu kolegów go nie znało i głupotą byłoby wystawianie się na ryzyko. Wcisnął do uszu słuchawki połączone z radiem, które umieścił za pasem, i nastawił na kanał centrum dowodzenia w Padwie. Trzaski w uszach potwierdziły, że radio działa jak należy. Na koniec odbezpieczył pistolet i wymierzył lufą ku ziemi.

Wciągnął rześkie powietrze świtu i ruszył wolno w stronę kryjówki Mężczyzny Który Się Uśmiecha.

Stara furgonetka stała pod zadaszeniem w pobliżu krużganków biegnących wzdłuż skrzydła pałacu. Zbliżając się do budynku, Valentina czuła skoki adrenaliny. To naprawdę była california Sileriego. Wreszcie znaleźli makabryczny pojazd i sam jego widok wywoływał nieprzyjemne emocje.

Szyby w szoferce były przyciemnione, boczne ścianki pozbawione okien, a tylne drzwi zamknięte. Policjant, który otwierał samochód, miał duszę na ramieniu, chociaż dwaj koledzy osłaniali go, trzymając broń wymierzoną prosto w kierunku otwierającej się metalowej jamy. Ciągłe przesuwają mu się przed oczami postaci dwóch posterunkowych z drogówki, którzy takim samym działaniem wywołali furję Luki Sileriego, przypłacając to życiem. Nie mógł przestać myśleć o ich bezsensownej śmierci, podczas gdy patrzył na naklejkę tkwiącą obok klamki. Pod rozżłoszczoną buźką widniał napis: ŻYJĘ W SADYSTYCZNYM ŚWIECIE. Valentina wstrzymała oddech i wiedziała, że podobnie robią pozostali uczestnicy akcji.

Policjant otworzył drzwi i wycelował. Komisarz Medici stała za nim bez ruchu, w każdej chwili gotowa do strzału. Ostre światło latarki Maglite oświetliło wnętrze furgonetki. Zaraz potem funkcjonariusz, który otworzył tylne drzwi, odwrócił się do Valentyny i reszty wlepionych w niego oczu. Wykonał szybki gest prawą dłonią i pokazał pięść. *Pusto!*

Rozpoznali umówiony sygnał. Ktoś rzucił po cichu do krótkofalówki:

– Wchodzimy. Teraz, teraz, teraz!

Policjanci wtargnęli do serca zabytkowego pałacu Zernichów.

Miejsce, gdzie Luca Sileri mieszkał przez ostatnie miesiące, było dwupiętrową wieżą na planie prostokąta kończącą ciąg kruzganków, które prowadziły do głównej części budynku. Baszta o symetrycznych kształtach okazała się mniej wystawna niż reszta pałacu, tylko na wejściu znajdowały się masywny architrav oraz dwa kamienne gargulce o twarzach Mefistofelesa. Dłonie w rękawiczkach należące do policjanta lekko drżały, gdy mężczyzna przekręcał klucz w zamku. Valentina stała tuż za nim i zauważyła zdenerwowanie kolegi, nie zamierzała się jednak dziwić. To byli funkcjonariusze z prowincji, przestraszeni i nieprzygotowani do tego typu akcji. Sileri jawił im się jako ktoś przypominający jednego z kamiennych demonów, które przykucnęły nad ich głowami: był okrutny i nieprzewidywalny. Wszyscy wiedzieli też, że odebrał pistolet zastrzelonemu koledze z drogówki.

Valentina się odwróciła. Za szeregiem pełnych napięcia twarzy i błyszczących oczu zobaczyła brnącego ostrożnie w śniegu Fabia w kamizelce z napisem POLICJA na piersi. Uśmiechnęła się szeroko, chociaż nie wiedziała, czy z tej odległości Costa zdoła to zauważyć. Jego obecność dodała jej otuchy i pewności siebie. Ponownie wbiła wzrok przed siebie, ale uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

Kiedy kolega otworzył drzwi wejściowe, uwięzione wewnątrz ciepło zderzyło się z mroźnym porannym powietrzem.

Antyterrorysty wpadli do środka. Latarki karabinów maszynowych oświetliły antyczne meble, kuchnię i korytarz prowadzący do sypialni znajdujących się w tylnej części mieszkania.

Nie zauważyli śladu człowieka.

Za nimi weszli inni policjanci, sprawdzając sprawnie wszystkie pomieszczenia. Jedynym źródłem światła były latarki Maglite, które rzucały jasne snopy przenikające wszystkie zakątki mieszkania. Miejsce sprawiało wrażenie porzuconego, jakby nikt tu nie mieszkał od dłuższego czasu. Wszędzie czuć było zapach stęchlizny i zepsutego jedzenia.

W początkowym zamieszaniu Valentina straciła z oczu Fabia i teraz sama musiała poprowadzić zespół odpowiedzialny za sprawdzenie pomieszczeń na piętrze. Stanęli przy schodach, po czym bez wahania ruszyli na górę.

Wspinaczka zdawała się nie mieć końca, a Valentina odnosiła wrażenie, że straciła kontakt z pozostałymi kolegami. Chociaż ciągle byli przy niej i za nią, ona już nie

dostrzegała ich obecności. Zmienili się w cienie. Wyczuwała tylko stopnie pod butami i ciemność nad głową oraz słyszała swój zdyszany oddech.

Kiedy dotarła wreszcie na piętro i światło latarki rozdarło mrok, z jej gardła wydobył się głośny krzyk.

Wpatrywał się w nią Mężczyzna Który Się Uśmiecha z twarzą wykrzywioną grymasem nienawiści.

W słuchawkach poza zwykłym szumem zaczęły się wreszcie rozlegać pierwsze głosy dochodzące z poszczególnych części budynku. Policjanci krzyczeli: *pusto!* z każdego zakątka pałacu, który sprawdzali. Wszystko wskazywało na to, że wciąż nikogo nie znaleźli.

Costa zatrzymał się na progu przejętego budynku, próbując dostrzec cokolwiek w panujących wewnątrz ciemnościach. W tym momencie z góry dobiegł krzyk Valentyny.

Rzucił się w stronę schodów, przygryzając wargi, by nie odpowiedzieć na jej wezwanie o pomoc. Początkowo przeraził go panujący na górze zgiełk, ale zaraz potem usłyszał wołanie:

– Nikogo tu nie ma! Nic się nie stało! Wchodzimy powoli i spokojnie!

Kiedy udając opanowanie, podszedł do Valentyny, zauważył, że opiera się plecami o framugę drzwi, zaciskając kurczowo palce na pistolecie skierowanym w podłogę. Trzymała broń między nogami i wyglądała tak, jakby ze wszystkich sił starała się jej nie upuścić. Stojący obok niej umundurowany policjant wykonał uspokajający gest.

– Nic się nie stało – powtórzył. – To tylko obraz.

Snop światła z latarek oświetlał teraz ścianę, na której zawieszono naturalnych rozmiarów reprodukcję *Głowy Meduzy* Caravaggia. Obraz znajdował się dokładnie naprzeciwko schodów. Odcięta głowa i twarz potwora z otwartymi ustami, podobnie jak w oryginale, widniała na owalnej drewnianej podstawie i sprawiała wrażenie, jakby chciała wyskoczyć ze ściany i pożreć intruzów. Otaczające głowę węże poruszały się w blasku świateł.

– Przepraszam – szepnęła Valentina.

Policjant z grupy szybkiego reagowania poklepał ją dłonią po ramieniu.

– Spokojnie, *dottoressa*. Wszyscy jesteście spięci.

– Ej – zawołał nagle ktoś z dołu – może zapalimy tu światło?

Po krótkiej chwili ktoś inny znalazł główny włącznik i wszystkie światła w mieszkaniu rozbłysły jednocześnie z całą mocą.

Valentina, Costa i pozostali funkcjonariusze zamarli na progu pokoju, w którym Sileri ukrywał się przez ostatnie miesiące.

– Co ty tu, kurwa, robisz? Kto ci dał pozwolenie?

Armando Fazio zdjął kamizelkę kuloodporną i chociaż zwracał się do Costy, to patrzył na Valentineę. Odłożył kamizelkę na krzesło i dał znak jednemu z policjantów, aby go zabrał.

– Co jest? – zapytał Costa, uśmiechając się półgębkiem. – Chcesz się mnie pozbyć? Nie ma problemu, już się stąd zabieram.

Fazio zastanawiał się przez chwilę, po czym warknął:

– Rób sobie, co chcesz. Najważniejsze, żebyś mi nie zawracał dupy... I niczego nie dotykaj, bo zaraz będą tu technicy kryminalistyczni!

– To znaczy, że poszukiwania już się skończyły?

– No pewnie, to chyba jasne, że Sileriego tu nie ma. Przeszukaliśmy wszystko!

– No to co tu robi jego samochód?! – wrzasnął Costa.

– A skąd mam wiedzieć? Faceta tu nie ma. Pewnie się zwinął, zanim wkroczyliśmy do akcji.

– Posiadłość jest ogromna. Może się gdzieś ukrywa...

Fazio zbliżył się do Costy.

– Nie rozumiesz, że masz się nie wtrącać?! Wiem o twoich zasługach w śledztwie i dziękuję w imieniu policji, ale na tym twoja rola się kończy. Możesz wracać na ten twój średniowieczny posterunek. – Odwrócił się i zaczął schodzić po schodach. Nie patrząc na nich, dorzucił: – Z tobą, Valentino, rozliczę się później.

Kiedy zniknął wśród kłębiących się w budynku policjantów, Fabio i Valentina zauważyli, że światło dnia zaczęło wreszcie przenikać do wnętrza mieszkania.

– Nie darzy cię sympatią, co? – wtrąciła z przekąsem Medici.

– Stare zatargi. Pracowaliśmy razem w centrali i zdarzało nam się różnić w niektórych sprawach, kiedy ciągnęliśmy to samo śledztwo. Tak bywa... – Nie dokończył, bo i tak wszystko było jasne.

Ciągle znajdowali się na piętrze wieżyczki, w pokoju, który Luca Sileri prawdopodobnie wybrał na swoją kryjówkę. I nie mogli się otrząsnąć z nieprzyjemnego wrażenia, jakie to miejsce na nich wywarło.

Pomieszczenie, do którego trafili, zajmowało niemal całe piętro i miało dwa duże okna wychodzące na ogród. Niestety zostały szczelnie zabite deskami. Wszystko wskazywało na to, że lokator nie znosi naturalnego światła. Usunął wszystkie meble, pozostawiając na środku pomieszczenia jedynie rozkładaną kanapę. Poza tym ozdobił

całe ściany plakatami, które na oko wyglądały jak obrazy Caravaggia naturalnych rozmiarów. Reprodukcje wisiały jedna przy drugiej, czasami nawet zachodziły na siebie, i pokój przywodził na myśl chaotyczną pinakotekę urządzoną nie z powodu zamiłowania do sztuki, lecz jako dzieło chorobliwej obsesji. W tym nagromadzeniu obrazków nie ma śladu uwielbienia dla Caravaggia – pomyślała Valentina – a jedynie szaleństwo. Nie ma szacunku, a jedynie wrogość.

Wiele twarzy przedstawionych postaci zakreślono czerwonym flamastrem. W niektórych przypadkach pociągnięcie było tak mocne, że zniszczyło papier. W innych przebito kartę tam, gdzie były oczy, co wyglądało na działanie pod wpływem silnego impulsu. Kawałki papieru poniewierały się po podłodze: porozrywane, pomięte, podeptane. Valentina przypomniała sobie strzępek, który Fosco trzymał w zaciśniętej dłoni, oraz fragment znaleziony w szopie. Od tego wszystko się zaczęło.

Mieli przed oczami ostateczny dowód, że Luca Sileri polował na ofiary, których twarze przypominały postaci z dawnych obrazów. Teraz jednak przekonali się, że nie chodzi jedynie o chorobliwą obsesję, lecz o obsesyjną fobię.

Mężczyzna Który Się Uśmiecha nie uwielbiał Caravaggia. On się go bał.

Chociaż Fabio i Valentina nie byli ekspertami, to rozpoznali prawie wszystkie dzieła. Niektóre były bardzo znane, inne przybliżył im w ostatnich dniach profesor D'Avanzo.

Na widok *Koncertu* i twarzy lutnisty przypominającej do złudzenia oblicze Andrei Venturiego zadrżeli z przerażenia. W tym przypadku przebito oczy wszystkich czterech postaci. Wyłaniająca się spoza otworów biel ściany jakby na przekór czyniła je bardziej błyszczącymi i sugestywnymi.

Nie zdziwili się, gdy w rogu pokoju obok okna dostrzegli kopię *Judyty odcinającej głowę Holofernesowi*, a na niej zakreślone na czerwono oblicze bohaterki do złudzenia przypominające twarz Esther Kaimbacher. Również odcięta głowa wodza otoczona została podobną aureolą wykonaną za pomocą grubego mazaka. Nie oszczędzono też twarzy starej służącej stojącej obok Judyty i trzymającej w dłoniach kawałek płótna do zawinięcia głowy Holofernesa.

Krwiste obwódki oznaczały, że istnieją kolejne ofiary: mężczyźni, kobiety i dzieci skazane na śmierć z powodu szalonej artystycznej obsesji. Czy to naprawdę możliwe? Ilu ludzi zamordował Sileri? D'Avanzo i Manna szacowali liczbę ofiar na co najmniej dziesięć, jeśli nie więcej. Tylko gdzie są ich ciała? Jeśli psychopata zabijał, by uprawiać plastynację, to gdzie znajduje się jego laboratorium i gdzie przechowuje koszarne pozostałości po swoich eksperymentach?

Zrobili komórką zdjęcia reprodukcji i przesłali do profesora, który odpowiedział natychmiast w dwóch słowach: *To okropne*. Potem podał im listę obrazów, które

rozpoznał na zdjęciach: *Chłopiec z koszem owoców, Ekstaza Świętego Franciszka, Dawid z głową Goliata, Amor zwycięski*.

Sileri z pewnością godzinami kontemplował dzieła mistrza, zanim w jego umyśle powstała idea, aby dla własnej chorej przyjemności zamienić pociągnięcia pędzlem w żywe obrazy.

– Muszę wyjść na powietrze – szepnęła Valentina, podczas gdy dwaj technicy kryminalistyczni w białych kombinezonach wspinali się po schodach.

– Zaraz do ciebie przyjdę – powiedział Costa. Doskonale ją rozumiał. Ta niepokojąca prywatna galeria również na niego działała bardzo przytłaczająco. Pewna myśl nie dawała mu jednak spokoju.

Gdy komisarz Medici uciekała z pomieszczeń wykorzystywanych przez mordercę, Costa postanowił sprawdzić całe piętro. Przeszedł przez pokój, za którym znajdowały się jeszcze jeden mniejszy oraz łazienka. Na szczęście przynajmniej w toalecie okno nie było zabite i z wysokości pierwszego piętra mógł podziwiać resztę budynku oraz rozległy ogród, który na tle śnieżnobiałego puchu przypominał powierzchnię obcej planety zajętej przez ziemskich najeźdźców.

Nie wszyscy wiedzieli, czym się zająć w oczekiwaniu na rezultaty badań techników. Część policjantów wróciła do radiowozów, gdzie czekała na dalsze rozkazy. Fazio zatrzymał się w ogrodzie i nie zważając na śnieg mrozący stopy, rozmawiał przez telefon. Prawdopodobnie informował przełożonych, że Luca Sileri wymknął się z obławy. Pozostała po nim tylko furgonetka. I nie znaleźli porwanej kilka dni wcześniej Rosanny Bacci. Pewnie już nie żyła, a jej ciało leżało w jakimś rowie.

Costa wszedł do drugiego pokoju. Niektóre meble z salonu zostały upchnięte właśnie tutaj, o czym świadczyły porzucona niedbale szafa, komoda i kilka krzeseł. Wszystko wskazywało na to, że Sileri postanowił opróżnić większe pomieszczenie, aby porozwieszać na ścianach reprodukcje obrazów Caravaggia. Stworzył sobie coś w rodzaju zmysłowej przestrzeni, w której bezpiecznie mógł podsycać swoje niezdrowe fantazje.

W małym pokoju panowała ponura, przytłaczająca atmosfera spowodowana brakiem okien oraz nagromadzeniem mebli i sprzętów. Nie było nawet światła elektrycznego. Zapewne Sileri powykręcał wszystkie żarówki, aby usunąć wszelkie oświetlenie. Costa już zmierzał do wyjścia, gdy nagle usłyszał niepokojący dźwięk.

Słaby jęk, cichy niczym powiew wiatru.

Odwrócił się natychmiast.

Jęk rozległ się ponownie, tym razem przedłużony, jakby ktoś próbował modulować pieśń przypominającą bolesny hymn.

W pokoju nie było nikogo, a jednak głos się wzmógł, po czym zgasł po raz trzeci. Costa zatrzymał się, nasłuchując.

Jedynym miejscem, skąd mógł dochodzić lament, była stojąca przy ścianie szafa, odwrócona drzwiami do muru. Chwycił za jeden z boków i zaczął ciągnąć. Mebel okazał się bardzo ciężki. Udało mu się go przesunąć o kilka centymetrów. Pojedyncze skrzydło drzwi otworzyło się, uderzając o ścianę, i Fabio mógł wreszcie zajrzeć do środka. Szafa była pusta. Uderzył go smród zgnilizny przywodzący na myśl śmierć, ale to nie ludzkie zwłoki powodowały nieprzyjemny zapach.

Jęk zabrzmiał po raz czwarty. I tym razem Costa nie miał już wątpliwości, że słyszy kobiecy głos.

Zbiegł szybko po schodach.

Wieżyczka opustoszała, bo większość policjantów przygotowywała się już do opuszczenia pałacu Zernichów. Technicy kryminalistyczni mieli przed sobą cały dzień ciężkiej pracy, aby zbadać starannie każdy centymetr budynku, i pewnie nie zdołają tego zrobić w tak krótkim czasie. Natomiast operacja oddziałów interwencyjnych dobiegała końca.

Helikopter ciągle krążył nad posiadłością. Jeden z policjantów potwierdził, że na maszynie widział logo lokalnej stacji telewizyjnej, która musiała zostać powiadomiona o akcji przez nieustalonego informatora. Dodał też, że poproszono już o interwencję jednostkę powietrzną z Wenecji i wkrótce powinien przylecieć policyjny helikopter Poli 119, aby zrobić porządek. Lecz wyrządzonej szkody nie da się już naprawić.

W jadalni Costa zatrzymał się przy wielkim piętnastowiecznym kominku, obok którego stały meble liczące co najmniej sto lat. W rogu zainstalowano małą kuchnię, dosyć nowoczesną i wygodną, wyposażoną w stół i cztery krzesła. Ale wyglądało na to, że Sileri nigdy z niej nie korzystał.

Costa zamarł w bezruchu i nasłuchiwał.

Dźwięk był bardzo cichy, ledwo słyszalny. Niemniej jednak rozległ się ponownie. Płacz. Stłumione łkanie dochodzące zza ściany.

Podszedł do kominka. Masywna kamienna obudowa w rustykalnym stylu. Poczerniałe wnętrze bez śladu zapachu dymu. Od wielu lat nikt go nie używał.

Płacz zdawał się dobiegać z wnętrza ciemnej gardzieli.

Costa wyostrzył zmysły. Przez kuchenne okna słyszał odgłosy uruchamianych silników. Radiowozy odjeżdżały. Śnieg przestał padać i dźwięki rozchodziły się bez poprzedniej nieśmiałości. Dotknął obudowy kominka i poczuł chłód kamienia. Pod stopami wychwycił lekką wibrację.

– Co się dzieje?

Costa się odwrócił. W drzwiach stał Zucca i przyglądał mu się z ciekawością.

– *Dottoressa* Medici mnie przysłała, żebym sprawdził, co pan tu jeszcze robi – wyjaśnił.

Jęk się powtórzył. Był coraz słabszy.

Zucca otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– O kurwa! Skąd dochodzi ten głos? – zapytał zaniepokojony.

Costa pokręcił głową. Upewnił się, że nie ma omamów.

– Nie stąd – powiedział. – Takie stare budowle mają wiele połączeń w postaci tajemnych przejść, kanałów wentylacyjnych... Ale ściana kominka to zarazem zachodni mur pałacu, za nią nie ma już nic.

Wtedy się zorientował, że wewnątrz kominka ciąg powietrza jest bardzo silny, a zimny powiew przynosi echo odgłosów z zewnątrz. Potem jego wzrok zatrzymał się na kracie zamykającej dolny wylot. Również stamtąd wiało chłodem. Czyżby wejście łączyło się z korytarzem prowadzącym pod ziemię i ukrytymi pomieszczeniami pałacu? Co tam może być?

Nagle twarz Costy pojaśniała.

– Nie, to nie tak... – zawołał. – Tam muszą być podziemia, może jakieś piwnice albo korytarze... Co jest za tą ścianą?

Zucca rzucił mu niedowierzające spojrzenie.

– Nic... Tylko ta mała świątynia dziesięć metrów dalej...

– Świątynia! Krata prowadzi właśnie w tamtym kierunku. Pewnie pod ziemię wykopano korytarz, który wiedzie do krypty. – Wyprostował się. Teraz już wiedział, co robić. – Poszukaj Altieriego – rozkazał Zucca. – I wypytaj go o kapliczkę Zernichów. Valentina mówiła, że jest zamurowana, ale zapytaj zarządcę, czy zna jakieś dodatkowe wejście. Przekaż też wszystko Valentinie! Pospiesz się!

Obaj mężczyźni wybiegli na zewnątrz. W ogrodzie pozostało zaledwie kilku policjantów. Najbliżsi stali wokół furgonetki Sileriego, która wkrótce miała zostać zbadana przez techników.

– Szybciej! – zawołał Fabio za oddalającym się kolegą.

– A pan gdzie się wybiera?

– Muszę znaleźć tego sukinsyna! On ciągle gdzieś tu jest!

Imponująca architektura. Przypominała miniaturową kopię pogańskiej świątyni z kolumnami zwieńczoną tympanonem ozdobionym fryzami oraz marmurowymi łukami. Budynek powstał na planie koła, a wejście zamykały masywne drewniane drzwi. Po obu stronach stały na straży dwa posągi demonów z otwartymi paszczami, a ich marmurowe jęzory drwiły sobie ze śmiertelnej kondycji ludzkiej natury. Na drzwiach wisiał ciężki żelazny łańcuch.

Metalowe ogniwa kołysały się bezwładnie, a kłódka była otwarta. Przemknęło mu przez myśl przykre wspomnienie, które za wszelką cenę starał się od siebie odsunąć.

Drzwi prowadzące na taras w budynku, w którym mieszka. Są otwarte i poruszane wiatrem uderzają lekko o futrynę. Przed chwilą przeszła tędy Diana.

Krypta wcale nie została zamurowana, jak utrzymywał zarządca majątku Zernichów. Łańcuch wyglądał na całkiem nowy i jak tylko Costa pchnął drzwi, otworzyły się bez trudu.

Otwiera je i wychodzi na dach. Słońce zniknęło za horyzontem. I ona też zniknęła. Biegnie z krzykiem w stronę balustrady tarasu.

Z wnętrza świątyni dochodzi zapach będący mieszaniną zaduchu i smrodu, który charakteryzuje zresztą wszystkie pomieszczenia budynku. Za wspaniałą zewnętrzną fasadą pałac Zernichów skrywał przegniłą duszę.

Idealne miejsce dla kogoś takiego jak Sileri, nic dziwnego, że wybrał je na swoją kryjówkę.

Costa wszedł ostrożnie z bronią wymierzoną przed siebie. Panująca wewnątrz cisza wchłonęła go natychmiast, a odgłosy za plecami powoli znikały. Ucichły nawet szумы w słuchawce. We wnętrzu krypty nie było zasięgu. Nie było czasu, żeby czekać na posiłki. Krzyk bólu, który usłyszał, potwierdził jego podejrzenia.

Siedem pięter niżej Diana zmieniła się w nierozpoznawalną krwawą masę. On krzyczy i płacze. Nic innego nie może już zrobić.

Bolesny skowyt rozlega się ponownie. Rosanna Bacci żyje. I znajduje się w środku krypty. Los chciał, że tym razem Costa zdążył na czas.

W półmroku przemierzał kruchę, idąc wzdłuż ścian ozdobionych freskami o tematyce sakralnej w stronę niewielkiego ołtarza. Czuł się jak wtedy, gdy biegł po schodach na ostatnie piętro bloku.

Kiedy dostrzegł obok apsydy marmurowe schodki prowadzące do podziemnej krypty, przed oczami stanęły mu otwarte drzwi wiodące na taras i gasnące światło

dnia.

Ruszył w dół, zanurzając się w trzewia świątyni, i poczuł się jak wówczas na tarasie, gdy już wiedział, że znajdzie tam potwierdzenie swojej klęski.

Dotarł do końca starych kamiennych schodów i ją zobaczył – wtedy przypomniała mu się scena, gdy widział Dianę opierającą jeszcze stopę na gzymsie, a już zawieszoną w próżni, z głową zwróconą w jego stronę, z gęstymi kręconymi włosami, które rozwiewał wiatr.

To jednak nie była Diana. To była nieszczęsna Rosanna Bacci, która nie rzuciła się z dachu jego bloku, zamykając go na zawsze w potrzasku wyrzutów sumienia i poczucia winy, ale leżała naga i brudna na starej pryczy. Dziewczyna patrzyła na niego takim samym wzrokiem, jakim pożegnała go na zawsze Diana Marini. W jej oczach błyszczało przerażenie i nie było już ani odrobiny nadziei.

Zdjęła kamizelkę kuloodporną i oparła się o radiowóz z nadzieją, że uda jej się uspokoić oddech i obniżyć poziom adrenaliny krążącej we krwi. Na końcu drogi zgromadził się niewielki tłum powstrzymywany przez policjantów. Dziennikarze dotarli do bramy pałacu Zernichów.

Podbiegł do niej czerwony na twarzy Fazio i krzyknął z wyrzutem:

– To całe zamieszanie to wasza wina! Twoja i twojego przyjaciela!

– O czym ty mówisz? – zapytała z niesmakiem.

Fazio nie raczył odpowiedzieć i skierował się w stronę reporterów, aby powtórzyć przed kamerami oficjalną wersję zdarzeń ustaloną z komendantem Falconem. Valentina zauważyła, że po drodze zdążył jeszcze poprawić krawat i przeczesać palcami włosy. Cokolwiek powie tym głodnym sensacji szakalom i niezależnie od tego, jak naświetli sprawę, istota rzeczy w niczym się nie zmieni. Co prawda w końcu znaleźli kryjówkę Sileriego, ale morderca zniknął. A razem z nim nadzieja na uratowanie Rosanny Bacci. Mimo wszystko Fazio przed kamerami zapewne przywoła na twarz swój najpiękniejszy uśmiech.

Valentina uważała, że zrobili wszystko, co możliwe. Fabio jak zwykle miał rację. Nie mylił się nawet co do przewidywanej porażki.

Nagle zobaczyła, że biegnie do niej zdyszany Zucca, zatrzymuje się i krzyczy coś, czego początkowo nie mogła zrozumieć. Czuła się, jakby oglądała film, w którym dźwięk emitowano z opóźnieniem w stosunku do obrazu. Wszystko przez zamęt panujący w jej głowie.

Po chwili jednak słowa wypowiedane przez Zuccę utorowały sobie drogę najpierw do jej serca, a potem także do umysłu.

Costa go znalazł.

Jest w pogańskiej świątyni.

Costa poszedł tam sam.

– On ciągle tu jest! – zawołała, by zaalarmować pozostałych policjantów. – Sileri jest na terenie posiadłości!

Ruszyła z Zuccą w kierunku wejścia do krypty, która zgodnie z zapewnieniami Altieriego miała być zamurowana i całkiem niedostępna. Chociaż biegli najszybciej, jak mogli, to niewielki dystans kilkudziesięciu metrów zdawał się im nie do pokonania.

Wreszcie Valentina dostrzegła wejście do świątyni z otwartymi na oścież drzwiami. Zrozumiała, że zarządca kłamał. Uderzyła ją obecność dziwnych posągów umieszczonych po obu stronach wejścia. Były to dwa wizerunki Baphometa, demona strzegącego bram piekła, które w pierwszych promieniach słońca wyglądały jak żywe.

Ktoś krzyczał i słychać było syreny powracających radiowozów, ale Valentina nie zamierzała czekać. W środku Fabio był zupełnie sam i być może właśnie stawiał czoła Luce Sileriemu. Złe przeczucie ścisnęło jej serce. Ominęła piekielnych strażników z kamienia i weszła do środka.

Szybko przebiegł wzrokiem po krypcie. Na środku w półokręgu stały cztery marmurowe grobowce, a na każdym z nich popiersie znamienitego przodka rodu patrzącego w kierunku wejścia. Pośród nich umieszczono stół. Na drewnianym blacie leżały narzędzia medyczne i defibrylator. Obok ustawiono kilka probówek wypełnionych substancjami chemicznymi. Przy ścianie wisiały kroplówki na typowych szpitalnych stojakach. Stalowa wanna mogąca pomieścić ludzkie ciało. Wieko służące prawdopodobnie do przykrycia wanny. I różne narzędzia, które wyglądały, jakby leżały tu od wieków.

Potem poczuł zapach. Płyn do dezynfekcji. Kwas. Tłuszcz. I krew. Specyficzny zapach krwi.

Zepchnął wszystkie szczegóły w najgłębszy zakamarek pamięci, tam gdzie przechowywał wspomnienie o śmierci Diany.

Teraz powinien myśleć tylko o dziewczynie.

Rosanna wpatrywała się w niego szklanymi oczami. Już nie jęczała, ale wyglądała na żywą. Brudne prześcieradło leżało u jej stóp. Prawdopodobnie wcześniej okrywało całe jej ciało, a dopiero potem ześlizgnęło się wzdłuż kończyn. Nie było widać wiążących ją sznurów, a jednak leżała nieruchomo na plecach z głową zwróconą w stronę Costy, jakby próbowała mu coś przekazać.

Mężczyzna podszedł bliżej bez słowa, starając się jej nie przestraszyć. Zbyt silne emocje mogłyby spowodować zatrzymanie pracy serca. Kiedy stanął przy niej, szepnął jedynie:

– Rosanna...?

Na chwilę jej twarz odzyskała naturalny wygląd, który uwiódł Lucę Sileriego. Costa zobaczył dziecięce, ożywione oblicze Świętej Katarzyny z obrazu Caravaggia. Duże, słodkie oczy. Promienny uśmiech Rosanny Bacci. I nieme pytanie: Dlaczego? Dlaczego właśnie ja?

Costa sięgnął po prześcieradło i uniósł je delikatnie. Przykrył niedojrzałe piersi i ciemne ślady na ramionach, gdzie igły psychopaty wbijały się w jej ciało nieskończoną ilość razy.

Rosanna przymknęła oczy. Oddychała lekko, niemal subtelnie, jakby mu dziękowała.

Poczuł, że dziewczyna się oddala, odpływa daleko, jak najdalej od otaczającej ją zgrozy.

Proszę cię, nie, nie...

Zadrzała.

Diana spada z siódmego piętra.

– Zostaw ją. Ona jest moja! – zasyczał ostry, przepęłniony nienawiścią głos.

To tylko zwykły człowiek – Costa doskonale o tym wiedział. Miał już do czynienia z mordercami pozbawionymi sumienia, ze sprawcami przerażających czynów i żaden z nich nigdy nie dał po sobie poznać, czym potrafi się stać. Pomimo wysiłków nie sposób było dostrzec w ich skrytych spojrzeniach śladów popełnionych przestępstw ani tych dopiero planowanych.

Ciało Luki Sileriego opowiadało całkiem inną historię. Lśniącą, pewnie niedawno wygolona czaszka. Usta ułożone w permanentny uśmiech. Był nagi i jego skóra nosiła ślady niezliczonych nacięć i zadrapań, a czerwone blizny przypominały pisane krwią tatuaże. Jego skóra stanowiła najlepsze świadectwo kultu cierpienia, niezależnie od tego, czy sam sobie zadawał ból, czy pozwalał komuś to robić. Chociaż wzbudzał odrazę, to trudno sobie wyobrazić, że ktoś mógłby bać się tego wychudzonego, trzęsącego się mężczyzny. Być może litość byłaby tu odpowiednim uczuciem.

A mimo to Costa zdawał sobie sprawę, do czego Sileri jest zdolny. Leżąca na pryczy Rosanna była tego jednoznacznym dowodem. Wiedział, że może spodziewać się najgorszego.

Wymierzył w niego pistolet.

Morderca stał w smudze cienia rzucanego przez marmurowy grobowiec. Wcześniej przyczał się za popiersiem dżentelmena z wąsami, którego szczątki od wieków spoczywały w rodzinnej krypcie. Costa po zejściu do grobowca skupił się na umierającej dziewczynie i dlatego nie zauważył jego obecności.

– Ona jest moja – powtórzył Sileri spokojnie, jakby potwierdzał oczywistą prawdę. – Zostaw mi ją. Nie zrobię jej nic złego...

– Na kolana – wycedził powoli Costa, próbując ukryć ogarniającą go złość. Ciągle czuł na twarzy ostatni oddech Rosanny. – Rób, co mówię! Na kolana!

Sileri nie patrzył na policjanta, bo utkwiał wzrok w dziewczynie. Costa ze zdziwieniem zauważył w jego twarzy coś, czego nigdy by się nie spodziewał. Coś na kształt tęsknoty czy cierpienia...

– Ona jest moja... – szepnął morderca.

– Nie. Ona nie jest ani twoja, ani moja. A teraz na kolana, Sileri! Na ziemię!

– Kochałem się z nią, wiesz? Ona też tego chciała, naprawdę. Wierzysz mi?

– Na litość boską! Połóż się na podłodze, bo inaczej będę strzelał! Potem mi opowiesz, jak bardzo ją kochasz.

– To znaczy, że mnie rozumiesz! – powiedział, pochylając głowę na bok, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia, a może wdzięczności.

Costa otrząsnął się z obrzydzeniem, jakby poczuł na skórze oddech upióra.

– Dziwne, nie sądziłem, że ktoś może mnie zrozumieć...

Za plecami Sileriego ktoś schodził po schodach prowadzących do krypty. Rozległ się zdecydowany głos:

– Policja!

Sileri zeszytniał, zmieniając się w posąg mięśni, ale się nie odwrócił.

Costa zacisnął palce na pistolecie.

– Nie! – krzyknął.

Sileri okazał się niezwykle szybki.

– Zbyt piękne, by było prawdziwe – szepnął i rzucił się na policjanta w tej samej chwili, gdy na dole schodów pojawiły się sylwetki pierwszych funkcjonariuszy.

Na przodzie szła komisarz Medici oświetlona słabym blaskiem światła padającego z góry zza jej pleców. Wkoło niej unosiły się drobinki kurzu. Strzelając teraz do Sileriego, Costa ryzykował, że rani Valentineę. Zawahał się na chwilę i to wystarczyło, by psychopata go zaatakował. Przycisnął go mocno do siebie. Miał wytrzeszczone oczy i poszerzone źrenice.

Costa spróbował unieść berettę, ale nie mógł się poruszyć, zamknięty w żelaznym uścisku. Nagie, poranione ciało Sileriego pokrywał pot. Mężczyzna okazał się nad wyraz silny.

– Costa, na ziemię! – krzyknął ktoś.

Sileri uśmiechał się do niego. Ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Szybkim ruchem wysunął głowę do przodu i ugryzł. Costa wyraźnie poczuł ostre zęby wbijające się w szyję, a zaraz potem ciepłą krew. Błyskawica bólu trafiła prosto do jego mózgu, oślepiając go na moment.

Sileri jęknął z wysiłku i razem zawirowali w morderczym uścisku. Costa odpychał się klatką piersiową i barkami, aż wreszcie zdołał wyswobodzić szyję z paszczy mordercy. Ból spowodowany ukąszeniem sparaliżował go na chwilę, doprowadzając niemal do utraty przytomności. Pchnął Sileriego raz jeszcze, próbując poruszyć ramionami, i w końcu poczuł, że uścisk słabnie. Nieostrzegalnie, lecz wystarczająco, by Costa mógł zareagować.

Ostatnim wysiłkiem woli wyzwolił się z objęć potwora. Sileri zachwiał się do tyłu i uderzył plecami o pryczę, na której leżała dziewczyna. Okrywające ją prześcieradło spadło na podłogę, odsłaniając nagie, umęczone ciało. Rosanna nie drgnęła.

– Na ziemię! Teraz! – krzyknął ktoś.

Costa dostrzegł, że Rosanna osuwa się z pryczy. Podbiegł i ją złapał, przyciskając mocno do siebie. Upadł na podłogę przytłoczony ciężarem jej ciała i poczuł, jak rozdzierający ból w prawym barku łączy się z tym na szyi. Świadomość zaczęła go opuszczać, ale spiął się w sobie, by resztką woli zachować przytomność.

Uratowałem cię – pomyślał. Jestem przy tobie, Rosanno, jestem przy tobie.

Jestem przy tobie, Diano.

Sileri też upadł na ziemię, ale natychmiast się podniósł.

Costa zobaczył, że mężczyzna stoi nad nim, lecz nie miał już siły się bronić. Bezwładne ciało Rosanny Bacci zaczęło mu ciążyć jeszcze bardziej. Głowa dziewczyny opierała się na jego ramieniu, jakby w poszukiwaniu schronienia przed złem, które ją spotkało. Twarz zwrócona ku niemu. Ostatnia łza, czarna jak krew, którą była ubrudzona, spływała jej po policzku.

Strzały z pistoletu eksplodowały pod starym sklepieniem krypty.

Rosanna zamknęła oczy.

Diana spada z siódmego piętra.

Maria Sinagra błaga: *Niech pan odnajdzie mojego synka.* Płacze i krzyczy mu w twarz.
Możesz to zrozumieć?

Sileri skamle. *Ona jest moja.*

Wszyscy na niego patrzą i pytają: *Możesz to zrozumieć? Naprawdę?.*

Możesz?

Nie, nie sądzę.

Valentina całuje go, głaszcząc po twarzy, rosi łzami jego twarz. Potem pochyła się i mówi:

– To koniec. Sileri nie żyje.

A on dotyka dłonią jej twarzy, zaciskając z bólu zęby.

– Rosanna...?

Valentina nie odpowiada. Nie ma potrzeby.

Costa rozumie, że się nie mylił. Rosanna umarła w jego ramionach. Jej dusza uleciała razem z ostatnią brudną łzą.

Dziewczyna umarła tak samo jak Diana. Jak Andrea Venturi. Jak chłopiec leżący obok Fosca Agnellego.

A on nic nie może na to poradzić. Teraz może tylko spać.

Cała reszta to zły sen. Niewyraźny. Niepotrzebny.

Nie warto lizać ran

Kiedy zapalono lampy przy ulicy Tuscolana, zrozumiała, że czas wracać do domu. Widziała je przez okno swojego biura za ogrodzeniem z cementu i żelaza, na którym umieszczono znak: STOP – POLICJA. Z góry mogła obserwować też wzmożony ruch oraz rzęsiście oświetlony kompleks Cinema City. Kiedy po całym dniu wyczerpującej pracy podnosiła wzrok znad papierów i spoglądała na zewnątrz, nie mogła się nadziwić, że świat ciągle biegnie naprzód: błyszczący i obojętny, radośnie niewzruszony ani losem ofiar i oprawców, ani bólem i okrucieństwem, ani nieudolnymi, rozpaczliwymi działaniami policji próbującej przynajmniej częściowo ujarzmić ten chaos. Ogarnęło ją przykre poczucie, że cały ten wysiłek przedstawicieli służb porządkowych poza tymi murami nie miał żadnego sensu. I być może taka jest właśnie prawda.

Przygotowała się do wyjścia. To, co miała do zrobienia, było proste i sprawdzone. Wychodziła z biura, nie żegnając się z nielicznymi kolegami, którzy jeszcze pracowali. Zresztą oni nic jej nie obchodzili. Jechała do domu, słuchając muzyki. Jadła kolację. Oglądała telewizję lub czytała kilka stron jakiejś książki. Zasypiała z nadzieją, że uda jej się uniknąć koszmarów, a rano zaczynała wszystko od nowa. Jakby nigdy nic się nie stało.

Oczywiście to nie była prawda. Sileri został zastrzelony miesiąc temu. Razem z nim umarła też Rosanna Bacci, ostatnia nieszczęsna ofiara, której nie zdołali ocalić. Coś się przecież wydarzyło.

Sprawę zamknięto, gdyż śmierć podejrzanego uniemożliwiała dalsze prowadzenie postępowania. Luca Sileri został oficjalnie oskarżony o uprowadzenie co najmniej trzech osób, po których wszelki ślad zaginął. Nie odnaleziono ciał ani żadnych poszlak prowadzących do miejsc, gdzie można by ich szukać. Valentina miała świadomość, że ofiar było znacznie więcej. Nadzieje na ich odnalezienie były jednak niewielkie.

Po zakończonej niepowodzeniem akcji podjęli wszystkie konieczne działania mające na celu ustalenie liczby ofiar i odnalezienie ciał. Przeczesano każdy centymetr posiadłości: ogród, tereny otaczające pałac Zernichów oraz pobliskie działki. Eksperci wyposażeni w chromatografy gazowe przez kilka dni mieli pełne ręce roboty. Towarzyszyły im psy Świętego Huberta. Nawet leciwy właściciel posiadłości Federico Zernich zgodził się na współpracę, pozwalając na przekopanie terenu oraz osobiście finansując część kosztownych badań. W krótkim wystąpieniu telewizyjnym dał wyraz

swojemu przygnębieniu i oburzeniu, że taki zwyrodnialec jak Luca Sileri znalazł kryjówkę w jego domu. Na koniec zaś modlił się za wszystkie ofiary psychopaty.

Tymczasem wśród dziennikarzy i opinii publicznej zawrzało. I to nie tylko z powodu wyjątkowo okrutnych realiów śledztwa, które pobudzały wyobraźnię odbiorców środków masowego przekazu. Śmierć Kolekcjonera Twarzy spowodowała utratę szansy na jego przesłuchanie, a zarazem uruchomiła lawinę oskarżeń wobec pracy policji. Z jednej strony stróżów porządku krytykowały organizacje humanitarne trąbiące o doraźnej sprawiedliwości, a z drugiej rodziny ofiar Luki Sileriego oraz dziennikarze prowadzący kroniki kryminalne w telewizji. Wszyscy, jak jeden mąż, zgadzali się, że akcja na terenie posiadłości Zernichów nie powinna zakończyć się w taki sposób. Śmierć Rosanny Bacci przedstawiona została jako dramatyczna konsekwencja błędnych działań policji. W momencie ataku dziewczyna jeszcze żyła i być może szybsze i skuteczniejsze przeprowadzenie operacji zdołałoby ją uratować. Natomiast zgładzenie seryjnego mordercy uniemożliwiło praktycznie poznanie losów Andrei Venturiego, Esther Kaimbacher i innych osób, które prawdopodobnie trafiły w szpony maniaka.

Nikt nie zważał na to, co spotkało Fabia Costę.

Przez jakiś czas po zejściu Valentina obawiała się o jego życie. Rana na szyi spowodowana przez ugryzienie zdawała się niespodziewanie głęboka. Fabio pokryty był krwią i przez chwilę komisarz Medici myślała, że został postrzelony przez któregoś z kolegów.

Costa widział, jak gaśnie życie w oczach Rosanny, i nie zdołał zapobiec zastrzeleniu Sileriego, z którym umarły i jego tajemnice. Wraz ze śmiercią psychopaty pogrzebane zostały wszystkie poszukiwane odpowiedzi. Z odejściem Rosanny zniknęła ostatnia nadzieja.

Nieco później Valentina odkryła, że Fabio nie tylko stracił dużo krwi, lecz miał też zwichnięty bark. Kiedy trafił do szpitala, jego stan określono jako poważny, ale stabilny.

W departamencie od razu zaczęła się zabawa w przrzucanie gorącego kartofla, byle tylko uniknąć odpowiedzialności. Pierwszy wszedł do gry Fazio. Jasno oświadczył, że obecność Costy nie była przewidziana protokołem, a on nie wydał na nią zgody, więc winę ponosi ktoś inny. Pomiął milczeniem drobny szczegół, czyli to, że gdyby nie Costa, to policjanci opuściliby posiadłość, nie zaglądając do krypty rodziny Zernichów, a Sileri wymknąłby się po raz kolejny. W każdym razie zrobił się niezły pasztet. Na kozła ofiarnego wytypowano Valentine, która ciągle czekała na wyrok, chociaż od wspomnianych wydarzeń minął już miesiąc. Na razie została zesłana za biurko do papierkowej roboty.

Droga z pracy do mieszkania położonego w dzielnicy Monteverde o tej porze zajmowała zdecydowanie mniej czasu niż rankiem. Od wielu dni nie padało, a styczniowy chłód dawał się we znaki. Jak tylko weszła do domu, od razu pokręciła gałką termostatu. Mieszkanie było małe i szybko się nagrzewało. To jednak nie wystarczało. Nie pomagał nawet kubek gorącej herbaty, którą przygotowywała sobie po powrocie.

Czuła w sercu przenikliwie zimno, którego nie usunęłaby nawet wycieczka do ciepłych krajów. Była to ostatnia pamiątka po Mężczyźnie Który Się Uśmiecha i jego potwornym świecie. Zimno potęgowała też granica wyznaczona przez Fabia pomiędzy nim samym a resztą uniwersum, do którego i ona należała. No i oczywiście klęska pierwszej ważnej sprawy, którą jej powierzono. Pierwszej i prawdopodobnie ostatniej.

Valentina nie mogła pozbyć się myśli, że coś przeoczyli. Może chodziło nawet o najważniejszą kwestię. Wyglądało jednak na to, że nikogo poza nią to już nie interesuje.

Kiedy rozeszła się wiadomość, że seryjny morderca Luca Sileri został zastrzelony przez policję, a podczas akcji zmarła też jego ostatnia ofiara, reporterzy różnych stacji telewizyjnych oraz gazet przypomnieli sobie o Marii Sinagrze. Wszyscy zadawali sobie pytanie, co się stało z resztą porwanych osób. Gdzie jest mały Andrea? Co czuje jego matka?

Przez kilka dni dziennikarze nie mieli zbyt wiele szczęścia i zdołali zrobić jedynie kilka zdjęć kobiecie wychodzącej z domu i wracającej do niego. Żadnej deklaracji, żadnego komentarza, chociaż jej cierpienie było tak wyraźne, że jątrzenie w tej sprawie zdawało się czystą zniewagą.

Dwa dni wcześniej prokuratura w Pizie wydała jednak wreszcie pozwolenie na pogrzeb Gianniiego Venturiego. Jego morderca zginął, więc nie istniały już żadne racjonalne powody, aby odkładać ceremonię. Zgodnie z obowiązującym prawem wraz ze śmiercią winnego archiwizuje się również sprawę przestępstwa.

W dniu pogrzebu, odbywającego się w katedrze Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Volterze, tłum wypełniał szczelnie kościół oraz przyległy plac, a dziennikarze wykorzystali ten moment, aby przypomnieć sprawę, która zaczynała powoli schodzić z pierwszych stron gazet. Przyczyniła się do tego również Maria Sinagra, która podobnie jak wtedy, gdy wychodziła z siedziby prokuratury w Pizie, także teraz nie odmówiła odpowiedzi na pytania reporterów. Po powrocie z ceremonii, w czasie której pożegnała męża, zatrzymała się na progu mieszkania i, podtrzymywana przez adwokata, odezwała się cichym, lecz stanowczym głosem:

– Co chcecie wiedzieć? Wreszcie mogłam oddać ostatnią posługę mężowi i teraz czekam, kiedy będę mogła zrobić to samo dla syna... Czego ode mnie oczekujecie? Chcecie, żebym wam powiedziała, że cieszy mnie śmierć tego człowieka? Albo że wybaczam mu całe zło, którego się dopuścił względem mnie i mojej rodziny, i powierzam się boskiej sprawiedliwości? Nie chcę o tym myśleć. Tak, jestem szczęśliwa, że ten potwór nie żyje. Mam nadzieję, że cierpiał, i żałuję, że zginął tak szybko. – Ze strony dziennikarzy i fotografów posypały się pytania, ale kobieta uciszyła wszystkich zdecydowanym ruchem dłoni. – Jeśli jednak miałabym kierować się w odpowiedzi rozumem, a nie sercem – ciągnęła – to uważam, że policja popełniła błąd. Nie powinni byli go zabić. Przynajmniej nie od razu. Najpierw powinien wyznaczyć, co zrobił mojemu dziecku i gdzie je porzucił. Chciałam go zapytać, czy Andrea się bał. – Zamilkła, powstrzymując płacz, na który nie starczyło już łez.

Żaden z dziennikarzy nie ośmielił się przerwać. Po chwili wzięła się w garść i podjęła spokojnym tonem:

– Chciałabym mieć przynajmniej grób, nad którym mogłabym się modlić. Przecież policja miała znaczne siły. Dlaczego się nie przygotowali? Powinni byli ująć go żywcem i zmusić do wyznania, co zrobił mojemu synowi. Obiecali, że go odnajdą i przyprowadzą do domu. Moje kochane maleństwo... – A potem dodała, spuszczaając głowę i zaciskając zęby: – Fabio Costa mi to obiecał. Powiedział, że ocali mi dziecko.

Valentina odwiedziła go dwa razy – zaraz następnego dnia po akcji i kolejnego – ale nie udało im się porozmawiać. Costa został nafaszerowany morfiną i w jego pokoju ciągle kręcił się ktoś z personelu. Kiedy wezwano ją do Rzymu, wyjechała z nadzieją, że niedługo wróci do Fabia. Niestety, sprawy potoczyły się zupełnie inaczej, a ona nie zdołała się z nim skontaktować.

Początkowo słyszała zwyczajny sygnał, ale chociaż dzwoniła długo, nikt nie odpowiadał. Potem telefon coraz częściej był wyłączony. Zostawiła Coście wiadomości na sekretarce, lecz nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Przeraziła się, że stan jego zdrowia się pogorszył, i zadzwoniła do Martiniego, który pracował w komisariacie w Volterze, aby się czegoś dowiedzieć. Kolega ucieszył się, że ją słyszy, po czym ze źle skrywanym zakłopotaniem wyznał, że Costa usunął się na własne życzenie.

– Rana na szyi okazała się poważna – wyjaśnił. – Jedyne cudem zdołał uniknąć sepsy i ma przed sobą długą rekonwalescencję.

Wiedząc, że Costa mieszka sam i nie ma w miasteczku rodziny, a korzysta jedynie z pomocy miejscowej kobiety, która dwa razy w tygodniu sprząta jego mieszkanie, Martini i pozostali koledzy z komisariatu zaoferowali mu wsparcie. Komendant odmówił uprzejmie, lecz stanowczo, i poprzez pomoc domową przekazał podziękowania za troskę. Oświadczył, że niczego nie potrzebuje i teraz zamierza się wycofać w domowe zacisze, by zadbać o zdrowie. Według Martiniego miał na myśli nie tylko rany fizyczne. Komendant zapewnił, że odezwie się, jak tylko wydobrzeje, po czym kontakt się urwał.

– Czekamy na nowego szefa – wyznał na koniec Martini. – Słyszałem, że *dottor* Costa ma zostać przeniesiony na inny posterunek, jak tylko wróci ze zwolnienia.

Valentina wcale się nie zdziwiła. Władze departamentu postanowiły skorzystać z okazji, by na dobre pozbyć się niezdyscyplinowanego policjanta, którego działania nie znalazły zrozumienia na najwyższych szczeblach. Przy odrobinie szczęścia Costa mógł trafić na mały prowincjonalny posterunek. W najgorszym razie zaś do jakiegoś zapomnianego biura, w którym przyjdzie mu się zajmować przekładaniem dokumentów z jednego biurka na drugie. W ten sposób z czasem wszyscy będą mogli o nim zapomnieć, co zresztą chyba było po jego myśli.

Komisarz Medici miała wyrzuty sumienia, że sama też nie zainteresowała się jego losem. Początkowo naprawdę się o niego martwiła, ponieważ czuła, że jest mu to winna: w końcu to ona nalegała, aby Costa wziął udział w obławie na Sileriego.

Z upływem czasu Valentinę pochłoneła jednak bezlitosna rutyna i myśli coraz rzadziej wracały do rannego kolegi, a poczucie winy powoli słabło. Starła się przekonać samą siebie, że widocznie Fabio naprawdę pragnie samotności, a ona również jest ofiarą wyjątkowo skomplikowanej sytuacji. I tak zepchnęła niewygodne wspomnienie w najdalsze zakamarki umysłu i serca, a wyrzuty sumienia uspokoiła niepewną obietnicą, że zajmie się tym w odpowiednim momencie. A czas mijał i Fabio Costa najwyraźniej stawał się kolejnym zamkniętym rozdziałem w jej życiu.

I pewnie tak rzeczywiście by się stało, gdyby nie Giampaolo D'Avanzo, który pewnego dnia zadzwonił do niej i zaprosił ją na obiad. Zapewnił, że chce po prostu utrzymać dobre relacje i porozmawiać o wspólnych doświadczeniach.

Kiedy usiedli przy stoliku w pobliżu włoskiego pałacu kultury zwanego przez rzymian „podziurawionym budynkiem”, Giampaolo wydał jej się bardzo ożywiony. Z pewnością czuł się znacznie lepiej niż podczas ich ostatniego spotkania. Objął ją na powitanie i uraczył kilkoma szczerymi komplementami. Początkowo rozmawiali o sobie i o swoich zajęciach, nie zagłębiając się w szczegóły, potem jednak rozmowa zeszła na śledztwo, przy którym wspólnie pracowali. Krytyk oględnie zaczął od przypomnienia własnej roli w całej sprawie.

– Dla mnie to było naprawdę interesujące doświadczenie – powiedział. – Może powinienem raczej określić je mianem kształcącego. Tak, zadanie okazało się trudne, lecz kształcące. Jestem bardzo zadowolony, że mogłem wam pomóc.

– Twój udział był bardzo cenny. I rozumiem doskonale, kiedy mówisz o satysfakcji. To pozytywna energia, która pomaga nam w pracy, nawet jeżeli mamy do czynienia z taką okropną sprawą... Żałuję jedynie, że nasza hipoteza dotycząca motywacji psychopaty nie została w pełni udowodniona...

– Co masz na myśli?

– To, że nasze odkrycie dotyczące podobieństwa postaci z obrazów Caravaggia i ofiar Sileriego na nic się nie przydało. Niektórzy ciągle uważają, że to pomysł z marnych kryminałów, niczym niepotwierdzona bajka...

– Bzdura! Przecież wiemy, że to prawda.

– No tak. Tylko co z tego? Sileri nie żyje i po sprawie.

Giampaolo nie wyglądał na przekonanego i wpatrywał się w nią tak intensywnie, jakby chciał zrozumieć, czy i ona podziela jego opinię. Tymczasem Valentina ukryła się za kieliszkiem białego wina, obserwując mężczyznę przez matowe szkło.

Profesor nie zamierzał jednak łatwo się poddać.

– Nie powinnaś tak stawiać sprawy. Przecież wiesz, że mamy setki pytań bez odpowiedzi. – Zaczął wyliczać na palcach niczym dziecko, które nie chce przyjąć do wiadomości prawdy podanej przez dorosłych. – Dlaczego ten potwór porwał kobiety

i dzieci? Co z nimi robił? Gdzie są ciała? No i ta cała zabawa z plastynacją... Po co mu to było?

– Tak naprawdę nie mamy żadnych dowodów – przerwała mu, odstawiając kieliszek. – Sekcja zwłok Rosanny Bacci wykazała, że Sileri wstrzyknął jej kilka dawek mieszanki farmakologicznej zawierającej między innymi również słynny glutałdehyd. Mniej więcej te same składniki znaleźliśmy we krwi Fosca Agnellego. W przypadku dziewczyny dawki okazały się śmiertelne. Sileri podał jej mieszankę tyle razy, że jej organizm tego nie wytrzymał i nie zdołalibyśmy jej uratować, nawet gdybyśmy znaleźli ją wcześniej. Niewielka pociecha. Ostatecznie jednak nie mamy dowodów, że przestępca przygotowywał ciała do plastynacji czy chciał je zabalsamować. Glutałdehyd ma też inne zastosowanie. W końcu to substancja służąca do dezynfekcji...

– Tak, tak, czytałem, że stosuje się go do leczenia kurzajek. Ale po co wstrzykiwać to świństwo do organizmu? Gdyby chciał tylko zabić, to miał tysiące innych sposobów. I czy nie wystarczy fakt, że cztery lata temu próbował zabalsamować ciało innej dziewczyny? Poza tym w krypcie znaleźliście metalową wannę i urządzenia do tworzenia przestrzeni próżniowej oraz odsysania krwi. – Poruszył palcem wskazującym w powietrzu, jakby pokazywał zbiornik znaleziony w pałacu Zernichów.

– Nie mamy dowodów, że zamierzał wykorzystać tę aparaturę do eksperymentów na ciele Rosanny Bacci – podjęła zmęczonym głosem Valentina. – Zresztą skonsultowaliśmy się ze specjalistą w dziedzinie plastynacji i pokazaliśmy mu wszystkie urządzenia. Powiedział, że nie wystarczają do przeprowadzenia całej operacji. I niestety nie znaleźliśmy ciał innych ofiar, aby sprawdzić, czy wobec wszystkich Sileri stosował te same procedury.

– O właśnie! Ofiary! – Przed oczami krytyka przesuwwały się kolejne zdjęcia zaginionych osób wyłowionych z sieci przez Lorisa i jego „Boga”.

– Przekopaliśmy cały teren posiadłości – powiedziała z wahaniem w głosie. – Gdyby były tam jakieś zwłoki, to na pewno byśmy je znaleźli. Przecież wytypowaliśmy co najmniej dziesięć ofiar! Jak się dłużej zastanowić, to nawet ślad prowadzący do Esther Kaimbacher i do chłopca z Neapolu, Salvatorego Esposto, jest bardzo wątpliwy. Nie do udowodnienia w trakcie procesu. To była część naszej teorii, ale... Dopóki nie odnajdziemy ciał, nie ma dowodów.

– Mam wrażenie, że powtarzasz opinie kogoś innego. Nie wyglądasz na przekonaną.

– Hipoteza, którą wybraliśmy, na początku wydawała się właściwa, Giampaolo. Ale potem śledztwo ją zweryfikowało.

– A reszta obrazów? – zapytał zaskoczony jej stanowiskiem.

– Jakie obrazy masz na myśli?
– Reprodukcyjne, które znaleźliście w kryjówce Sileriego, twarze postaci z dzieł Caravaggia oznaczone na czerwono...

Valentina wzruszyła ramionami.

– To tylko iluzja...

– Możemy ich poszukać.

– Kogo?

– Pozostałych ofiar. Loris mógłby wykorzystać „Boga” do ustalenia powiązań pomiędzy bohaterami obrazów a osobami zaginionymi w ostatnich miesiącach... Już raz to zrobiliśmy, pamiętasz? A przynajmniej zaczęliśmy nad tym pracować. Musimy tylko podjąć wysiłek, przeanalizować dokładnie każdy przypadek, poszukać świadków i dowodów... Czy to nie jest właśnie zadanie policji?

Mężczyzna zdał sobie sprawę, że w miarę mówienia podniósł głos, i teraz przerwał zaskoczony własną reakcją.

– A niby kto miałby się tym zająć? – westchnęła Valentina. – Ja zostałam odsunięta. Śledztwo zamknięte. Loris wylądował gdzieś na Sycylii i nie wiadomo, kiedy wróci. Nie ma już naszej grupy operacyjnej. Nie ma nikogo, kto podjąłby poszukiwania.

– To wszystko nie ma sensu... To bez sensu... – Wyraz twarzy krytyka świadczył o całkowitej bezradności.

On ma rację – pomyślała Valentina. To wszystko wydaje się bez sensu, ale co z tego? To już nie był jej problem. A tym bardziej jego. Mieli teraz inne zadania, inne priorytety. Samo dążenie do odkrycia prawdy to za mało, by nadać sens całej sprawie.

– A Fabio? – rzucił niespodziewanie Giampaolo.

Valentina podskoczyła na krześle, bo nie spodziewała się takiego obrotu sprawy.

– Fabio?

– Wiesz, jak on się czuje? Jak sobie z tym wszystkim radzi? – Okrągłe okulary krytyka podkreślały powagę sytuacji.

– Rozmawiałeś z nim? – W głosie Valentiny brzmiała wyraźna obawa.

Krytyk zamrugał nerwowo za szklami w modnej oprawie.

– Niestety tak – powiedział.

Tej nocy Valentina nie mogła zasnąć. Spotkanie z krytykiem sztuki wzmogło jej poczucie winy, zmuszając do stawienia czoła wątpliwościom, które męczyły ją od powrotu do Rzymu.

Luca Sileri był psychopata z skłonnością do nekrofilii. Tak ustalono, kiedy sporządzano jego profil psychologiczny, zanim zaczął polować na kobiety i dzieci podobne do postaci z obrazów Caravaggia. Ten ostatni aspekt jego dewiacji ciągle czekał na wyjaśnienie. Sileri cierpiał na odmianę schizofrenii, która popychała go do zabijania w celu wykorzystywania seksualnego zwłok. Pociągały go młode kobiety i, jak wynikało ze zdobytych informacji, nie miał na swoim koncie epizodów wskazujących na pedofilię.

Dlaczego więc wziął się za dzieci? I kiedy rozwinęła się u niego obsesja na punkcie dzieł Caravaggia?

Najważniejsze pytanie brzmiało jednak: Gdzie ukrył ciała ofiar?

Nie bez znaczenia pozostawało też to, w jaki sposób i przy użyciu jakich narzędzi typował osoby podobne do wizerunków uwiecznionych przez mistrza tworzącego swe dzieła przed kilkoma wiekami.

Zastanawiające było coś jeszcze. W trakcie kolejnego przeszukania pomieszczeń po zastrzeleniu podejrzanego nie znaleziono ani komputera, ani żadnych innych urządzeń elektronicznych. Jedynie w kieszeni ubrania, w którym pojechał po swoją ostatnią ofiarę, namierzyli stary smartfon. W komórce tkwiła karta należąca do operatora zagranicznej sieci. Kontrola listy połączeń wykazała, że z aparatu wykonano około dziesięciu połączeń – wszystkie z dostawcą Internetu z siedzibą w Rumunii. Kolejny ślad prowadzący donikąd, chociaż próbowali połączyć rozmowy z porwaniami, które organizował Sileri, żeby się zorientować, czy mógł mieć współnika. Ten szczegół potwierdził jednak tylko, że Kolekcjoner Twarzy czasami używał komórki do prowadzenia rozmów w Internecie. Do kogo dzwonił?

To odkrycie w szczególności przypomniało Valentinie o tym, co opowiadał Fosco Agnelli. Kiedy obudził się w furgonetce Sileriego, zanim uciekł, zdążył zauważyć, że mężczyzna znajdujący się w rogu szopy jakby się modlił. Śledczy nigdy nie pomyśleli, że mógł wtedy do kogoś telefonować. Zgodnie z profilem Sileri był samotnym psychopata, który nie utrzymywał relacji społecznych. Ale przecież profilerzy mogli się pomylić. Z kim więc kontaktował się morderca?

Giampaolo miał rację, że w całej sprawie pozostało zbyt wiele niewiadomych. A ona próbowała oszukać samą siebie, wmawiając sobie, że najważniejsze było wyeliminowanie niebezpiecznego szaleńca, a gdy to się stało, śledztwo można uznać za zakończone.

Wstała z łóżka. Była druga w nocy, lecz mimo to postanowiła pójść za głosem serca. Czuła silną wewnętrzną potrzebę, by spróbować.

Wbrew przewidywaniom Fabio odebrał już po drugim sygnale. Jego głos był niewyraźny, ale nie dlatego, że wyrwała go ze snu.

– Słucham – zaczął, wiedząc, z kim rozmawia.

– Dlaczego zniknąłeś bez słowa? Nie odpowiadasz na moje telefony.

– Teraz rozmawiamy.

Nigdy wcześniej jej serce nie biło w tak szalonym rytmie. W tym momencie zdała sobie sprawę, jak bardzo jej brakowało tego mężczyzny. Chociaż nie dzwoniła do niego z tego powodu. A może jednak?

– Jak się masz? To znaczy...

– Wiem, co masz na myśli. Nie martw się. Radzę sobie.

Czyżby? – miała ochotę rzucić. A co ze mną? Nie zapytasz, czy ja też daję sobie radę?

– Możemy się spotkać? – zapytała zamiast tego. – Przyjadę do ciebie nawet jutro.

Zapadła cisza, a potem usłyszała:

– Lepiej nie.

– Nie chcesz czy nie możesz? Powinniśmy porozmawiać.

– O czym chcesz rozmawiać? Co masz nadzieję usłyszeć? Przykro mi, ale ja naprawdę nie mogę ci pomóc.

– Nie, nie, to nie dlatego dzwonię... – próbowała nieudolnie wyjaśnić powód tego nocnego zawracania głowy.

– Nie mam ci nic do powiedzenia – przerwał jej stanowczo Costa. – To nie była twoja wina, jeśli to cię męczy.

– Chciałam porozmawiać o nas... Do diabła, Fabio, przecież go złapaliśmy! – powiedziała z dumą i zaraz tego pożałowała.

Fabio nie odpowiedział. Słyszała jego oddech. Po dłuższej chwili, gdy była przekonana, że nic już więcej nie powie, dodał:

– Mogłem ją uratować, Valentino.

A więc to go niszczyło.

– Nieprawda. Badania...

– Dzielił mnie od niej zaledwie metr, może dwa. Gdybym zszedł do krypty trochę wcześniej, mógłbym ją uratować.

– Przecież wiesz, że nie miała szans na przeżycie. Lekarz postawił sprawę jasno. Jej serce nie wytrzymało.

Costa jej nie słuchał.

– Wiedziałem, że on ukrywa się gdzieś na terenie posiadłości. Nie miałem wątpliwości. Dlaczego zaniechaliśmy poszukiwań? Prawie nam się wymknął...

– Przecież go znalazłeś. Nie udało mu się uciec i teraz już nikomu nie zrobi krzywdy. Tylko to się liczy.

– Jasne, jest tak, jak mówisz – odparł bez przekonania i Valentina wiedziała, że to puste słowa.

Ponownie zapadła cisza. Ona chciała kontynuować rozmowę. Chciała zadać mu to najważniejsze pytanie, ale nie skorzystała z okazji. Zabrakło jej czasu, a może raczej odwagi.

– Dbaj o siebie – powiedział Fabio i zostawił ją samą w środku bezsennej nocy.

Kiedy Valentina weszła do gabinetu dyrektora, Falcone wstał zza biurka i ruszył jej naprzeciw. Pocałował ją w policzek i poprosił, by usiadła. Chociaż się nie uśmiechał, to był nad wyraz uprzejmy i komisarz Medici od razu się zaniepokoiła.

– Doszłaś już nieco do siebie? – zapytał po wymianie zwykłych grzeczności, jakby spotykali się po jej długiej chorobie.

– Niby po czym?

Falcone ważył przez chwilę jej zimną odpowiedź i zmienił strategię.

– Masz rację, przejdźmy od razu do rzeczy – podjął, przybierając oficjalny ton. – Co z dokumentacją ze śledztwa dotyczącego Sileriego?

– O co ci chodzi? Czy to nie Fazio miał się tym zająć?

– Fazio został skierowany do pilniejszych spraw. A my musimy ostatecznie zamknąć śledztwo dotyczące Sileriego. Jeszcze tylko kilka szczegółów i potem już do tego nie wracamy. Zgadzasz się ze mną?

– A czy moja zgoda ma jakieś znaczenie?

Falcone przyglądał jej się przez chwilę, a zaraz potem oświadczył:

– Musisz pojechać do Padwy.

– Nie rozumiem.

– To proste. Jak wiesz, prokuratura w Padwie uznała, że to ona jest organem kompetentnym w tej sprawie, ponieważ Sileri został zabity na jej terenie i wszystko wskazuje na to, że stamtąd też wyruszył, by podjąć działania o podłożu kryminalnym. Doszło do sporu kompetencyjnego z Pizą, która, wybac mi określenie, chciała przywłaszczyć sobie pierwsze morderstwo, a i Bolonia, z tego, co wiem, dodała swoje trzy grosze. Po śmierci podejrzanego tamtejsi prokuratorzy stracili jednak zainteresowanie. Tylko ten z Padwy nie odpuszcza. Nam to nawet na rękę, że wzięła na siebie odpowiedzialność za zamknięcie śledztwa. Niestety trafił się nam ten nadgorliwy młokos, który nalega na rozmowę z kimś, kto zajmował się sprawą od początku. Marudzi, że nie wszystko jest jasne, i chce się dokładniej zapoznać z przebiegiem i wynikami śledztwa. Ty je prowadziłaś, a więc...

– A więc to ja muszę brodzić w tym gównie. – Nie zdołała się powstrzymać.

Spojrzenie dyrektora stało się nieprzyjemne. Powszechnie znany był ze swej uprzejmości, ale Valentina wiedziała z własnego doświadczenia, że ma do czynienia z mężczyzną bez skrupułów.

– Nikt nie każe ci brodzić w gównie, *dottoressa* Medici – oświadczył sucho. – Nie powinniśmy jednak zapominać, że twoje pomysły, na czele z tym, żeby prosić Costę o udział w śledztwie, wpędziły nas w kłopoty. Dlatego musisz rozwikłać ten kłębek nici, które poplątałaś. Zresztą tylko ty znasz wszystkie szczegóły śledztwa. Koniec dyskusji.

Valentina nie zamierzała się kłócić, gdyż i tak nie miałyby to żadnego sensu.

– Z kim mam jechać?

– Pojedziesz sama. Nie będziesz prowadzić śledztwa. Masz porozmawiać z prokuratorem i ewentualnie pomóc kolegom z grupy operacyjnej w przygotowaniu raportu końcowego, dorzucając swoje, i możesz wracać. Zajmie ci to trzy, najwyżej cztery dni.

A więc to prawda. Została zupełnie sama. W końcu to zadanie można było spokojnie wykonać przez telefon. Miała przeczucie, że po powrocie jej sytuacja zawodowa kompletnie się zmieni. Prawdopodobnie decyzja o przeniesieniu jej na jakiś prowincjonalny posterunek już leżała podpisana w szufladzie.

– Czy mogę zabrać przynajmniej Zuccę? – podjęła ostatnią próbę. – Zna tę sprawę od podszewki, tak samo jak ja...

Falcone wzruszył ramionami.

– Zapytaj go, ale z tego, co wiem, przydzielono go do innego śledztwa. Niech sam zdecyduje.

– Czy to wszystko? – zapytała na koniec.

Falcone nawet na nią nie spojrział, tylko gestem potwierdził, że uważa rozmowę za skończoną. Tak, kariera Valentiny właśnie zaczęła gwałtownie toczyć się w stronę przepaści, a pani komisarz odkryła, że mało ją to obchodzi.

Angelo Zucca obserwował ją z tą swoją miną, która wyrażała połączenie rozbawienia i lekkiego znudzenia. W przeszłości zdrowy cynizm kolegi raczej jej nie przeszkadzał, a czasami rozładowywał nawet napiętą atmosferę. Teraz jednak sprawy wyglądały inaczej.

– Wysyłają panią do Padwy... – odezwał się, stojąc w drzwiach pokoju Valentyny, podczas gdy ona wkładała do torby niezbędne dokumenty, notes i nieodłączny laptop. Zamykała w środku całe swoje zawodowe życie z ostatnich kilku tygodni.

Uśmiechnęła się zimno.

– Falcone powiedział, że możesz ze mną pojechać. Przydałby mi się ktoś, kto pracował od początku nad sprawą. Nie chciałabym niczego pominąć. – *I nie musiałabym jechać tam sama*, chciała dodać, ale się powstrzymała.

Zucca zaśmiał się nerwowo.

– Proszę się nie gniewać, *dottoressa*... ale nie mam zamiaru nigdzie jechać.

Popatrzyła mu w oczy.

– Mogłabym ci wydać polecenie służbowe.

– Nie sądzę. Zostałem już przydzielony do innej grupy i nie wydaje mi się, żeby dyrektor skakał ze szczęścia, gdybym rzucił wszystko, by pani towarzyszyć. – Starał się utrzymać arogancki uśmiech, który zmieniał się tymczasem w sztuczny grymas.

Valentina skończyła segregację dokumentów, które zamierzała zabrać do Padwy, i przewiesiła torbę przez ramię. Stała naprzeciw niego.

– Angelo, jeśli możesz, odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie.

– Do dyspozycji, jak zawsze. – Mężczyzna już się nie uśmiechał.

– Ty nigdy nie wierzyłeś w powodzenie naszego śledztwa, prawda? To znaczy... w metody Costy. To całe dzielenie włosa na czworo. Szukanie widma, ściąganie cieni. Walka z czasem, żywiołowy bieg zdarzeń. To wszystko za bardzo odbiegało od przyjętej rutyny, mam rację? A teraz nie chcesz ze mną jechać, bo wiesz, że moja kariera legła w gruzach. Bo nie kierowałam się w śledztwie standardową procedurą. Bo zaufałam banicie, który w końcu rozwiązał sprawę, a mimo to i tak pozostał banitą. To jest wina, której mi nie wybaczą. A ty się obawiasz, żeby i do ciebie nie przyłgnęła opinia nieudacznika, co?

Po raz pierwszy wyraz twarzy Angela Zukki stał się śmiertelnie poważny. Nie była to oznaka zmartwienia, bo chyba nic na świecie nie mogło go wzruszyć, ale tym razem nie ukrywał przynajmniej szczerzego żalu.

– Przykro mi, *dottor*essa. Pani jest w porządku. Zresztą również pani przyjaciel *dottor* Costa to świetny gość. Tylko że ja czuję się w rzymskim departamencie jak ryba w wodzie. Taką mam służbę i nie chcę nic zmieniać. Gdyby mnie przenieśli do innej jednostki, to nie wiem, czybym sobie poradził.

Valentina pokiwała głową.

– Jasne, rozumiem. Mnie też jest przykro.

Zucca znowu się uśmiechał, jakby naprawdę niczym się nie przejął.

– Życzę szczęścia, Valentino – powiedział radośnie.

Rzuciła mu ostatnie spojrzenie.

– To nie szczęście jest mi potrzebne.

Postanowiła pojechać swoim nissanem juke, zamiast prosić o służbowy samochód czy skorzystać z pociągu. W ten sposób podczas podróży mogła spokojnie przeanalizować wszystko raz jeszcze. No i nic nie stało na przeszkodzie, by nieco zboczyła z drogi. Pomyślała o tym od razu, gdy Falcone zlecił jej wyprawę do Padwy.

Podróż do Voltery minęła jej przyjemnie. Śnieg stopniał już jakiś czas temu, a zima pokazała swoje łagodniejsze oblicze. Valentina miała wrażenie, że zła pogoda towarzyszyła ich pościgowi za Silerim, a teraz, kiedy wszystko się skończyło, znowu można było cieszyć się słońcem z wyprzedzeniem zapowiadającym wiosnę.

Próbowała się nieco przygotować do spotkania. Co powie młodemu prokuratorowi? Czy powinna dać mu do zrozumienia, że ona również ma jeszcze wiele wątpliwości? Czy też lepiej udawać, że nie dostrzega nieścisłości, i nalegać na szybkie zamknięcie sprawy? Jeśli będzie obstawać przy swojej teorii, narazi się dyrektorowi i całemu departamentowi. I chociaż jej relacje z centralą były napięte, to nie chciała się wikłać w niepewne rozgrywki, które pogrążą ją na zawsze.

Zamierzała poradzić się Fabia także w tej kwestii. Nawet jeśli chwilowo wpadł w depresję, to i tak zdoła spojrzeć na sprawę bezstronnie.

Musi go tylko przekonać, by jej wysłuchał i pomógł znaleźć najlepsze wyjście.

Dlatego chciała się z nim spotkać. Nie ma innego powodu – powtarzała sobie co chwila. Nie ma żadnego innego powodu.

Kiedy dotarła do centrum Voltery i zaparkowała przed komisariatem, pomyślała, że byłoby dobrze przywitać się z kolegami, którzy pracowali na posterunku, a zarazem zasięgnąć informacji o stanie zdrowia Fabia.

Inspektor Martini i pozostali pracownicy przyjęli ją bardzo życzliwie. Valentina zdawała sobie sprawę, że w spokojnym prowincjonalnym komisariacie takie śledztwo już się prawdopodobnie nie powtórzy. Co zresztą nikogo nie martwiło. Niemniej

jednak wszyscy policjanci z pewnością na zawsze zachowają wspomnienie o poszukiwaniu seryjnego mordercy.

Zanim się pożegnała, Martini poprosił ją o chwilę rozmowy na osobności.

– Zamierza pani odwiedzić naszego komendanta?

– Tak. Jak on się czuje?

Martini pokręcił głową.

– Nie za dobrze. Nikogo nie chce widzieć i proszę mi wybaczyć... ale wydaje mi się, że pije.

– Jest pan pewien?

Martini się zaczerwienił.

– Nie wspominałbym o tym, gdybym nie miał pewności. Czeka na przeniesienie... ale nie to jest powodem jego fatalnego samopoczucia. Myślę, że chodzi o coś poważniejszego.

Martini należał do grupy tych dawnych policjantów z prowincji, którym nieobce są sekrety mieszkańców miasteczka. Valentina była jednak przekonana, że będzie milczał, jak przystało na gliniarza starej daty, i że jedynie troska o przełożonego pozwala mu na nietypową poufałość.

– Jesteśmy umówieni... – skłamała.

Inspektor przyjął wiadomość z wyraźną ulgą.

– A, skoro tak, to świetnie. Mogłaby mu pani to oddać? Zostawił ją w swoim gabinecie, a niestety musieliśmy go... – Zawahał się i zamilkł zakłopotany, bo słowo „opróżnić” nie chciało mu przejść przez usta. Podał jej dużą skórzaną torbę. Była to słynna sakwa – jak w żartach nazywał ją Fabio – i Valentina wiedziała, że zawiera jego notatki dotyczące śledztwa. Wzięła torbę, obiecując Martiniemu, że odda ją komendantowi osobiście.

Fabio mieszkał na peryferiach miasteczka w stosunkowo nowej dzielnicy z dwupiętrowymi budynkami, które otoczono spokojnymi i anonimowymi ogródkami. Z wychodzących na zachód okien można było podziwiać panoramę doliny Ceciny, a nawet majaczące w oddali morze.

Pukając do drzwi, zdała sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie była w jego mieszkaniu. Poznali się w komisariacie i odwiedzali razem jedynie miejsca zbrodni. Poza pracą nic ich nie łączyło. W tym momencie nawet ów jeden ukradkowy pocałunek zdawał jej się tylko złudzeniem.

Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku o najeżonym wyglądzie i przenikliwym spojrzeniu. Przewierciła ją wzrokiem na wylot.

– Kogo pani szuka? – zapytała niechętnie, wkładając z trudem płaszcz.

Valentina spojrzała na salon rozciągający się za plecami kobiety, na typowe wyposażenie zakupione w sieci sklepów meblowych, na półmrok stworzony przez ciężkie zasłony.

– Mam na imię Valentina – przedstawiła się, pomijając nazwisko i funkcję.

Kobieta nie wyglądała na taką, którą można by łatwo onieśmielić tytułem lub stopniem.

– Szukam Fabia. Wiem, że jest w domu i nie ma ochoty na przyjmowanie gości, ale... Mogłaby mu pani powiedzieć, że się stąd nie ruszę, dopóki z nim nie porozmawiam?

Kobieta jeszcze przez chwilę taksowała ją wzrokiem, zapinając w międzyczasie guziki ciężkiego palta w kolorze wielbłądzim. Zadyszała się z wysiłku.

– No tak, wyobrażam sobie – oświadczyła w końcu z silnym toskańskim akcentem i wskazała dłonią wewnątrz mieszkania. – Niech pani wejdzie. Jak on się wścieknie, to trudno! Trochę towarzystwa na pewno mu nie zaszkodzi, mimo że ma paskudny charakter – powiedziała podniesionym głosem, jakby chciała, by usłyszeli ją wszyscy sąsiedzi.

A potem pożegnała się chłodno i opuściła mieszkanie, zostawiając za sobą smugę jaśminowych perfum.

Valentina odczekała, aż niewiasta zniknie na schodach klatki schodowej, po czym weszła ostrożnie do środka. Przed chwilą powiedziała, że nie odejdzie, zanim się z nim nie spotka, ale teraz ogarnął ją strach. Bała się, że zostanie odrzucona, że nie zdoła stawić mu czoła. Zrobiłam kolejną głupotę – pomyślała. Skoro Fabio nie chce nikogo widzieć, to dlaczego miałby zrobić wyjątek właśnie dla mnie?

W tym momencie mężczyzna wyłonił się z półmroku w koszulce i dżinsach, objął ją i pocałował, a jej obawy rozwiały się niczym poranna mgiełka. Przez moment przyszłość wydała jej się jasna i pogodna. Trwało to tylko króciutką chwilę, bo jak tylko wysunęła się z objęć Fabia, w jego oczach dostrzegła bezdenną rozpacz, o której napomknął Giampaolo D'Avanzo.

– Na nic ci się nie przydam. Myślałem, że czegoś się nauczyłem, myślałem, że udało mi się pokonać dawne koszmary... a tymczasem znowu się pograżyłem. Przykro mi. Naprawdę mi przykro.

Mówił, siedząc na skraju kanapy, gotowy do ucieczki. Co chwila przeczesywał palcami zbyt długie, zmierzwione włosy, jego oczy błędziły pomiędzy podłogą a Valentią, ale tak naprawdę wpatrywały się we wspomnienia, które go męczyły. Spojrzenie miał mętne i nieprzytomne.

Na szyi, w miejscu, gdzie Sileri wbił mu zęby niczym wygłodniały wilkołak, miał pękaty opatrunek, a kiedy kręcił głową, krzywił się z bólu. Na stoliku za jego plecami leżały opakowania środków przeciwbólowych, a obok stały butelka jacka daniel'sa i pusty kieliszek. Fabio sprawiał wrażenie zupełnie innej osoby.

Być może zresztą to ona się pomyliła. Valentina sądziła, że udało jej się go dobrze poznać, chociaż zdawała sobie sprawę, że spędzili ze sobą niewiele czasu, niezależnie od tego, jak intensywne były te kontakty. Uznała, że wystarczy odważnie spojrzeć mu w oczy i dać do zrozumienia, jak wiele dla niej znaczy, aby wyrwać go z wiru wspomnień, który nie pozwalał mu wrócić do normalnego życia. Jaka byłam głupia – pomyślała. Dopiero teraz ogrom własnego błędu ukazał jej się w całej okazałości.

Fabio naprawdę był człowiekiem mocno doświadczonym przez życie. Zarówno teraz, jak i w chwili, gdy się poznali. Tylko że ona tego nie rozumiała, a może po prostu nie chciała przyjąć do wiadomości. Po części dlatego, że dobrze ukrywał swoje słabości pod maską obojętności, a po części, ponieważ Valentina potrzebowała kogoś takiego jak Fabio Costa. Jej wyobraźnia dokonała reszty. Taka była prawda. I chociaż teraz to do niej dotarło, czuła, że ciągle go potrzebuje. Jakkolwiek dziwne mogło się to wydawać, teraz pociągał ją jeszcze bardziej niż poprzednio. To uczucie z jednej strony ją przerażało, a z drugiej skłaniało do podjęcia ostatniej próby.

Po serdecznym powitaniu Fabio natychmiast zaczął się inaczej zachowywać, jakby pożałował wcześniejszej czułości. Zaprosił ją do środka, usadowił wygodnie, po czym bez mrugnięcia okiem wysłuchał, co ma do powiedzenia, choć wyglądał na zatopionego we własnych myślach. Był gdzieś daleko, zupełnie poza jej zasięgiem.

Mimo to Valentina zaczęła opowiadać, początkowo ostrożnie, o tym, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach: jak powoli wracała w biurze do rutynowych obowiązków i jak zmieniło się jej życie. Przekazała mu też nowe wiadomości dotyczące śledztwa.

A wszystko to jednym tchem, jakby się obawiała, że jeśli przerwie, to już nie będzie w stanie podjąć wątku.

– Posłuchaj mnie – mówiła do jego obojętnej twarzy – ciągle jest jeszcze wiele tajemnic, które należy odkryć... Trzeba wyjaśnić sprzeczności i rozwiać niejasności, dlatego w Padwie chcę ze mną rozmawiać. Nie uważasz, że to dobre wieści? To by znaczyło, że jest jeszcze ktoś, oprócz nas, kto nie zamierza zadowolić się połowicznym sukcesem i chce doprowadzić sprawę do końca. Niezależnie od tego, co wyniknie ze spotkania, nie sądzę, abym miała szansę przetrwać w centrali. Podejrzewam, że wkrótce zostaną przeniesiona, może nawet zaraz po powrocie do Rzymu. Wiem, że ty też czekasz na nowy przydział, i przykro mi z tego powodu. Ale w gruncie rzeczy nie to jest najważniejsze. Przecież my wiemy, jak przebiegało śledztwo. Wiemy, że wykonaliśmy razem kawał dobrej roboty, i wiemy, że gdyby nie ty, to nigdy nie znaleźlibyśmy Sileriego. I dlatego, niezależnie od tego, co myślisz, niezależnie od tego, co czujesz, i od tego, co czuję ja, nie powinieneś obwiniać się o śmierć Rosanny Bacci. Ja też nie mogę przypisywać sobie winy ani za jej śmierć, ani za śmierć pozostałych ofiar. Jestem tego pewna... tak, jestem tego całkowicie pewna. Musimy się tylko z tego otrząsnąć i będziemy jeszcze silniejsi. I... ja naprawdę tak uważam.

Wciągnęła powietrze. Wreszcie wyrzuciła z siebie wszystko i poczuła się wyczerpana. Spojrzała na Fabia z nadzieją, że zdołała wywołać jakąś reakcję.

Tymczasem on słuchał w skupieniu, lecz sprawiał wrażenie nieobecnego. Wyglądał tak, jakby był daleko od niej, daleko od swojego skromnego mieszkania w Volterze. Jakby jej słowa nie miały najmniejszego sensu.

Kiedy powiedziała, że nie powinien czuć się odpowiedzialny za śmierć żadnej z ofiar, w jego oczach pojawił się dziwny blask. Nie taki jednak, jakiego się spodziewała.

Wściekłość zmieniła wyraz jego twarzy, ale nic nie powiedział.

– Fabio, ja się o ciebie martwię – powiedziała ściszym głosem. – I nie tylko ja, także twoi współpracownicy z komisariatu. Nawet Giampaolo powiedział, że nigdy nie słyszał w twoim głosie tyle rozpaczy.

– Giampaolo?

– Przecież jesteście przyjaciółmi. Wiem, że do ciebie dzwonił.

Fabio pokręcił głową.

– Nie pamiętam. Zresztą to nieważne.

– A właśnie że ważne. Twoi przyjaciele się o ciebie martwią. Oni cię znają i wiedzą, jaki jesteś naprawdę.

– To niczego nie zmienia.

– A powinno. Bo ci ludzie w ciebie wierzą, wiedzą, czego dokonałeś. Kiedy ty sam się niszczysz, twoi przyjaciele cierpią. Ja też cierpię. Nie udawaj, że tego nie rozumiesz.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem, a potem nagle powiedział twardo:

– Idź już, Valentino.

Te słowa były jak uderzenie pięścią w żołądek. On nie może naprawdę tak myśleć.

– Nie możesz mnie wyrzucić. To nic nie da. Nie możesz zabronić mi, żebym ci pomogła.

Odwrócił głowę jak dziecko, które nie chce słuchać wymówek.

– Przestań! – syknęła Valentina. – Pozwól, że będę przy tobie w trudnych chwilach. Nie możesz winić się przez całe życie. Fabio, przecież nie popełniłeś błędów, o które się oskarżasz.

Odwrócił się w jej stronę.

– Co ty wiesz o moich błędach? – warknął ostrym tonem. – Naprawdę sądzisz, że mnie znasz? Przecież ty nic o mnie nie wiesz!

– Fabio...

– Nie powinienem był cię wpuszczać... idź już, proszę cię.

Nie. Nie chciała ani nie mogła go posłuchać. Nie tym razem.

– Proszę cię... – powtórzył z rozpaczą.

Wstała i podeszła do niego. Uklękła przed nim. W blasku padającego z ukosa światła zobaczyła jego szeroko otwarte oczy. Mężczyzna wpatrywał się w nią, lecz w tym spojrzeniu nie było nawet okruszyny uczucia, którego spodziewała się Valentina.

Nie bacząc na nic, wyznała bez skrępowania:

– Fabio, ja wierzę, że między nami coś jest. Nie wiem co i nie jestem aż tak głupia, by próbować to zdefiniować. Zresztą to niepotrzebne. Czuję jednak, że to coś ważnego.

– Sama nie wiesz, co mówisz.

– Doskonale wiem i sama też jestem przerażona. Ale nigdy w życiu niczego nie byłam tak pewna.

– Idź już, Valentino.

Kobieta wyciągnęła rękę. Chciała go dotknąć, poczuć ciepło jego skóry. Jej palce znajdowały się teraz o kilka milimetrów od jego twarzy i od drżących ust.

I wtedy Fabio chwycił ją za nadgarstek. Niezbyt mocno, ale na tyle, by ją powstrzymać.

Przez chwilę trwali w bezruchu, mierząc się wzrokiem.

– Powiedz mi w takim razie – szepnęła, zaciskając zęby – powiedz mi, że nic do mnie nie czujesz. Powiedz, że nic nas nie łączy i dlatego bronisz się przed bliskością.

Powiedz mi, że to, co czuję, jest pomyłką. Jeśli teraz mi to powiesz, to zostawię cię w spokoju. Wyjdę z twojego mieszkania i już więcej nie będę cię niepokoić, obiecuję.

Fabio przeniósł wzrok na drzwi wejściowe, jakby już widział scenę, kiedy Valentina na zawsze znika z jego życia.

– Ty mnie wcale nie znasz – powiedział, wpatrując się w punkt za jej plecami.

Nagle wstał, pociągając ją za sobą. Nie puszczał jej nadgarstka, uniósł ją, przyciągnął ku sobie, tak że ich twarze znalazły się naprzeciw siebie. Stali teraz tak blisko, że Valentina po raz pierwszy poczuła zapach whisky w jego oddechu. Alkohol mieszał się ze znaną wonią wody kolońskiej, która przypomniła jej Fabia z czasów wspólnego śledztwa, a która teraz pachniała jak z trudem powstrzymana złość.

– Ty mnie wcale nie znasz – powtórzył wolniej.

– To boli... – szepnęła.

– Naprawdę? – Słowa padały z jego ust jak pociski. – Sprawiam ci ból? Tyle masz mi do powiedzenia? No to powiem ci coś zaskakującego. To samo powiedziała mi wtedy Diana... „To boli”. Jakby istniał tylko ból fizyczny. „Sprawiasz mi ból. Zostaw mnie!” – Zamilkł i opuścił wzrok. Kiedy znowu się odezwał, jego usta były wykrzywione. – „Zostaw mnie”, tak powiedziała, po tym, jak przysłała do mojego biura... aby mnie prowokować. Tak samo jak ty teraz, ofiarowała mi swoją miłość, swoje wsparcie z nadzieją, że mnie uratuje. – Popatrzył jej w oczy. – Zdaje ci się, że wiesz, czego ja chcę. Jesteś pewna, że wiesz?

Valentina zdołała się uwolnić z uścisku, bo Fabio jej na to pozwolił. Na nadgarstku pozostał lekki czerwony ślad. Nie bolało, ale gdzieś w środku czuła palący ucisk.

Fabio rozejrzał się wokół, jakby nie do końca wiedział, gdzie się znajduje. Potem podszedł do stolika, na którym stała w połowie pełna butelka jacka daniel'sa. Usiadł ciężko na kanapie i rzucił jej wyzywające spojrzenie. Nalał sobie sporą dawkę whisky i podniósł szklaneczkę do ust. Zawahał się na moment, nie spuszczał wzroku z Valentyny, po czym wypił do dna.

– Nie, skąd miałabyś wiedzieć? – podjął po opróżnieniu szklaneczki. – Nie masz pojęcia, czego ja tak naprawdę chcę. Ona też tego nie wiedziała. Dlatego nie możesz mnie uratować, Valentino, tak samo jak ja nie mogłem ocalić Rosanny... Diany... ani kogokolwiek innego. Bo nigdy tak naprawdę niczego o sobie nie wiemy. Niczego.

Valentina milczała. Słuchała jego słów, chociaż przeszywały jej serce na wylot. I wiedziała, że to jeszcze nie koniec zwierzeń.

– Chcesz się dowiedzieć, co się wtedy wydarzyło? Jesteś na tyle silna, by to znieść? Zdołasz przyjąć prawdę?

Potrząsnęła głową, ale nie była w stanie mu przerwać.

– Ja naprawdę zgwałciłem Dianę.

Nie, nie, nie.

Chciała krzyknąć, lecz zabrakło jej tchu. Stojąc przed nim, czuła, jak opuszczają ją siły. Pozostało tylko „nie”, którego nie była w stanie z siebie wyrzucić.

Jego głos zmętniał, podobnie jak spojrzenie ciemnych oczu.

Nalał sobie kolejną porcję whisky i wypił, tym razem powoli.

– A może jednak nie – powiedział, obserwując własne palce. – Może jednak jej nie zgwałciłem. Problem w tym, że nie jestem tego pewien. Od lat zadaję sobie to pytanie, a ono nie przestaje mnie męczyć. – Po jego policzkach płynęły łzy, a on zdawał się zaskoczony swoją reakcją. Otarł twarz dłonią i przyglądał się jej zdziwiony, bo była mokra. Potem przeniósł wzrok na Valentine. – Wiesz, co to jest *blackout*? Zdarzyło ci się kiedyś coś podobnego? Bo mnie tak. To nic przyjemnego, możesz mi wierzyć. Jakby ktoś wyrwał ci kawałek duszy i połknął go na twoich oczach.

Po raz kolejny sięgnął po butelkę. Wbił wzrok w bursztynowy płyn, jakby szukał w nim tego kawałka utraconej duszy. Valentina poczuła się całkowicie wykluczona, zmuszona do przyjęcia roli obserwatora. Fabio nie rozmawiał już z nią, lecz z kimś innym. Może z częścią samego siebie?

– Brak świadomości tego, co się utraciło, przypomina śmierć... A nawet gorzej. To jakby nie rozpoznawało się już samego siebie, jakby roztrwoniło się własne człowieczeństwo. – Stracił poczucie rzeczywistości. Wrócił do przeszłości, do tego popołudnia, które na zawsze zmieniło jego życie. – Przyszła do mnie, żeby ponownie nawiązać zerwaną relację – powiedział. – Jakby to było takie proste. Jakby wszystko to, co zdarzyło się wcześniej, można było bez wysiłku wymazać z pamięci. Dlaczego uważacie, że wszystko można zetrzeć jednym ruchem łyżki? Wiedziałem, że nasz związek jest błędem, bo krzywdziliśmy w ten sposób inne osoby. Już samo to wystarczało. Cierpiała przez to moja żona. Mój syn. Także Diana i jej kariera. Nie łączyła nas prawdziwa miłość, lecz namiętność, która najpierw była porywająca, a potem okazała się chorobliwa. Beznadziejna. Wiedziałem, że nasza relacja musi się skończyć. I Diana też o tym wiedziała, tylko że nie chciała tego zaakceptować. Przyszła do mnie, żeby mi to powiedzieć. Oświadczyła, że nie obchodzi jej to, co się stanie, że ma gdzieś to, co czują inni, że to my jesteśmy najważniejsi. Chciała wykrzyknąć na cały świat, jak bardzo ją zraniłem. Nazwała mnie tchórzem, i to prawda, bo rzeczywiście nim byłem... – Popatrzył na Valentine nieco przytomniej, jakby w tej chwili zdał sobie sprawę z jej obecności. Chociaż może wcale nie widział przed sobą Valentine, lecz ducha Diany czy cokolwiek, co było wytworem zamroczonego alkoholem umysłu. – Diana mnie całowała, a ja odwzajemniałem jej pocałunki. I sytuacja wymknęła się nam spod kontroli. Wtedy ja też tego chciałem. Zapomniałem o wcześniejszych postanowieniach, bo Diana nie była mi obojętna.

Znowu byliśmy razem i namiętność ostatniego spotkania całkowicie nas pochłonęła. Przynajmniej ja tak myślałem. Aż tu nagle wszystko się zmieniło. Chwilę wcześniej szeptała mi do ucha, jak bardzo mnie pragnie, a potem nagle zaczęła krzyczeć, a ja wyczułem jej krew na swoich wargach. – Przerwał, oddychając ciężko. W jego oczach gościła pustka. – Nie mam pojęcia, co się stało. Może prosiła mnie, żebym przestał, a ja nie usłyszałem. Może nie chciałem usłyszeć? Tak bardzo chciałem kochać się z nią po raz ostatni. Tymczasem ona odsunęła się ode mnie z przerażeniem w oczach. Nie rozumiałem powodu, nie wiedziałem, co się stało. Jak w najgorszym koszmarze zobaczyłem, że sięga po pistolet i... strzela. Nie sądzę, żeby naprawdę chciała zrobić mi krzywdę, ale nacisnęła spust i huk wystrzału sprawił, że odzyskałem poczucie świadomości. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że nie pamiętam, co się wydarzyło w ciągu ostatnich minut. – Znowu sięgnął po butelkę z alkoholem, ale wstrzymał się z nalaniem sobie kolejnej porcji, jakby nagle przyszedł mu na myśl jakiś bardzo istotny szczegół. – Kiedy kobieta prosi cię, żebyś przestał, powinieneś posłuchać, mam rację? Tak powinienem był postąpić. Ale ja jej nie słyszałem, czy też nie chciałem słyszeć, sam nie wiem. Zresztą teraz to już nieważne, bo i tak niczego nie mogę już zmienić. Zgwałciłem ją, ponieważ zabrakło mi silnej woli, żeby jej odmówić... Zgwałciłem ją wtedy na biurku, ponieważ pozwoliłem jej uwierzyć, że wystarczy seks, by wszystko naprawić. – Odstawił butelkę whisky na stół. Jego wzrok w jednej chwili stał się trzeźwy i jasny, przepełniony jedynie rozpaczliwą świadomością popełnionych błędów. – Zgwałciłem ją, bo tak naprawdę zależało mi tylko na tym, by wyjść z twarzą z całego zamieszania. I przyglądałem się, jak ona wpada w ten diabelski wir. Widziałem, jak umiera powoli każdego dnia, w milczeniu... gdy ja tymczasem mogłem liczyć na wsparcie kolegów piętnujących ją jako dziwkę... Nawet jeśli nie zgwałciłem jej ciała, to na pewno zniszczyłem jej duszę. Zgwałciłem ją, bo to ja zmusiłem ją do samobójstwa. – Teraz był już zupełnie trzeźwy. I dokończył tonem wypranym z wszelkich uczuć: – Kiedy proces dobiegł końca, sądziłem, że Diana zasłużyła sobie na karę, bo chciała zniszczyć moje małżeństwo. A gdy rzuciła się z dachu bloku, w którym mieszkałem... przez chwilę poczułem ulgę, że wszystko się wreszcie skończyło. Czy teraz już rozumiesz, z kim masz do czynienia, Valentino? Rozumiesz, kim tak naprawdę jestem? – Uśmiechnął się zimno. – Teraz wiesz już wszystko. Dalej chcesz mnie ratować?

W jego oczach pojawił się błysk rozpacz, którego Valentina jednak nie dostrzegła, przerażona tym, co właśnie usłyszała.

Fabio opuścił głowę.

Nagle poczuła silne mdłości w żołądku, a zaraz potem posmak żółci w ustach, i pewnie by zwymiotowała, gdyby nie to, że nie miała czym. Czuła jedynie gorycz

i obrzydzenie. Nawet przez myśl jej nie przeszło, by podważać chaotyczne wyznanie Fabia. W jego słowach brzmiała niekwestionowana szczerość i Valentina nie mogła sobie wybaczyć, że wcześniej niczego się nie domyśliła. Fabio Costa naprawdę zgwałcił swoją kochankę, a potem beczynn timer przyglądał się, jak stacza się w otchłań, by na koniec odebrać sobie życie. Fabio Costa był winny, ale zdołał uniknąć kary. Tak samo jak Luca Sileri, który uciekł w śmierć. Całe to tłumaczenie, że nie rozumiał, kiedy się zatrzymać, było jedynie banalnym usprawiedliwieniem mężczyzny, którego przyciśnięto do muru. Płaczliwą wymówką podłego gwałciciela.

Rzuciła się w jego stronę i dopadła stołu. Instynktownie podniosła rękę z zamiarem uderzenia. Cała się trzęsła. Chciała zadać mu cierpienie. Chciała, by krzyczał z bólu i z zaskoczenia.

Czuła, że musi wyładować swoją złość. Jej palce zacisnęły się na butelce z alkoholem. Podniosła ją i rzuciła z całej siły w ścianę za jego plecami. Nawet brzęk rozbitego szkła nie zdołał wyrwać go z odrętwienia. Fabio nie uniósł głowy, kiedy odłamki spadały na podłogę.

Valentina odwróciła się do niego plecami.

Fabio był już tylko cieniem, który oddala się jak w kadrze filmu, by po chwili całkowicie rozpuścić się w ciemnościach. Tylko że tym razem to nie on zniknął. To ona uciekała.

Komenda główna policji w Padwie mieściła się w budynku z betonu i szkła dwa kroki od starego miasta. Gaetano Lomastro, dowódca grupy operacyjnej, był mężczyzną w średnim wieku, który zdecydowanie zbyt dużo czasu spędził w swoim gabinecie, oczekując na awans i przeniesienie. W czasie obławy na Sileriego przebywał za granicą i po powrocie znalazł się w epicentrum wielkiego zamieszania po akcji w pałacu Zernichów. Nikogo więc nie dziwił jego zły humor.

Valentina właśnie się przedstawiła i stanęła gotowa do konfrontacji, bo opróżniła już głowę ze złych myśli. W czasie podróży dręczyło ją obsesyjne wspomnienie Fabia i jego zaskakującego wyznania, które spadło na nią z druzgocącą siłą, by potem ustąpić miejsca głębokiemu, przygniatającemu bólowi. Próbowwała go stłumić i mimo że nie było to łatwe, osiągnęła połowiczny sukces. Oczywiście nie była w stanie o wszystkim zapomnieć, ale mogła przynajmniej pohamować emocje. Teraz musiała poświęcić całą uwagę rozdrażnionemu i źle usposobionemu koledze, z którym należało się rozmówić, chociaż on nie zadawał sobie nawet trudu, by ukryć niezadowolenie i niechęć.

– Gdzie się zatrzymałaś? – zapytał.

– W hotelu Excelsior. Nie narzekam.

– Tak, znam, to niedaleko stąd... Na pewno jest wygodny.

Lomastro zaczął przeglądać dokumenty, wystawiając na próbę cierpliwość Valentiny.

– Posłuchaj – odezwał się w końcu – będę z tobą szczery. Wdepnąłem w to łajno zupełnie przez przypadek i nie zamierzam wystawiać na ryzyko swojego awansu. Już od dłuższego czasu czekam, kiedy ministerstwo da mi wreszcie szansę...

Komisarz Medici pokiwała głową.

– Niestety mamy na karku tego prokuratora, który uparł się, żeby dzielić włos na czworo. Nie zadowolili się ostatecznym raportem, który przygotowaliśmy. Domaga się dodatkowych informacji, żąda przeprowadzenia bardziej drobiazgowego śledztwa. Jakiego śledztwa, ja się pytam. Przecież znaleźliśmy tego potwora. Zginął w czasie obławy, a śmierć podejrzanego to koniec dochodzenia, tak czy nie? A tak przy okazji, gratulacje... udało się wam go namierzyć. Dobra robota.

– Dziękuję.

– Teraz musimy sobie poradzić z prokuratorem. Trzeba go jakoś uciszyć.

Valentina skinęła głową i Lomastro uśmiechnął się szeroko.

– Świetnie, że się rozumiemy. Falcone zapewnił mnie, że się dogadamy. To znaczy, że nie będziesz się czepiać mało istotnych szczegółów? Możemy wreszcie zakończyć tę sprawę? Dam ci do dyspozycji jakiś pokój i dwóch funkcjonariuszy. Musisz jak najszybciej spotkać się z prokuratorem. Spróbuj go trochę zmiękczyć, przekonaj go, że niczego nie pominęliśmy, daj mu wszystkie gwarancje, jakich oczekuje, i w ciągu kilku dni zamkniemy postępowanie raz na zawsze. Zgadzasz się?

– Jak najbardziej – powiedziała komisarz.

Spotkanie z prokuratorem Danielem Maninem okazało się krótkie i przyjemne. Valentina poznała młodego i być może nieco zbyt skrupulatnego pracownika wymiaru sprawiedliwości, który jednak dobrze wiedział, czego chce. I w dodatku o sprawie Sileriego miał takie samo zdanie jak ona.

Po pierwsze, należało wyjaśnić, jakim sposobem przestępca zdołał się tak długo ukrywać, a policja nigdy nie wpadła na jego ślad. W końcu nie był zwykłym bandziorem od brudnej roboty mogącym liczyć na wsparcie zorganizowanej grupy o charakterze mafijnym. Ale ktoś musiał mu dostarczyć fałszywe dokumenty i pomagać w codziennym życiu. Prokurator uznał za niedopuszczalne, że Luca Sileri przez tak długi czas ukrywał się spokojnie na terenie ich jurysdykcji, i domagał się wyjaśnień.

Po drugie pozostawała kwestia miejsca pochówku wcześniejszych ofiar Kolekcjonera Twarzy, oczywiście pod warunkiem, że to rzeczywiście on był sprawcą porwań Esthery Kaimbacher i Andrei Venturiego oraz nieudanego uprowadzenia Fosca Agnellego, a także zabójstw Marielli Masi i Gianniiego Venturiego. Jego pełna i bezsporna odpowiedzialność za powyższe przestępstwa nie została jeszcze dowiedziona, najważniejsze pytanie brzmiało jednak: Gdzie podziały się ciała? Nikt nie wierzył, że porwani nieszczęśnicy mogli jeszcze żyć, ale należało zrobić wszystko, co możliwe, by znaleźć ich szczątki.

Valentina nie zamierzała na razie dodawać żadnego punktu do listy uchybień, którą przedstawił młody prokurator, z jednej strony dlatego, że nie chciała go pouczać, a z drugiej, aby pozostać w zgodzie z obłudnymi zaleceniami Lomastra i Falconego. Była jednak święcie przekonana, że śledczym nie udało się poznać prawdziwych motywów działań Sileriego ani znaleźć miejsca, w którym „oporządził” ciała swoich ofiar.

A to jeszcze nie koniec wszystkich niewiadomych. Jeśli teoria dotycząca podobieństwa pokrzywdzonych i postaci z obrazów Caravaggia okazałaby się prawdziwa, to należałoby zbadać, w jaki sposób zbrodniarz typował sobowtórów. Według Manny do tego typu operacji potrzebne są komputery o dużej mocy oraz oprogramowania zdolne do pracy na złożonych algorytmach. W pałacu Zernichów nie znaleziono podobnego sprzętu. Żadnej elektroniki poza komórką połączoną z jednym dostawcą Internetu, którego od razu sprawdzono. Zresztą Sileri nie sprawiał wrażenia

człowieka na tyle obeznanego z najnowszą technologią, by mógł używać zaawansowanego oprogramowania.

Nie. Valentina nie miała złudzeń, że prawdziwe laboratorium znajdowało się gdzie indziej. Sileri przypadkiem natrafił na patrol drogówki i zareagował pod wpływem impulsu. To zdarzenie wpłynęło na zmianę jego planów. Nie mogąc dostarczyć ofiary na ustalone wcześniej miejsce, znalazł się w poważnych tarapatach. Zdołał dotrzeć do pałacu Zernichów, w którym ukrywał się od lat. Była to jedyna bezpieczna przystań, która przyszła mu do głowy, a położenie pałacu pozwoliło mu uniknąć zaostzonych kontroli policyjnych. Valentina była jednak gotowa się założyć, że pałac nie był tym punktem, do którego Sileri miał pierwotnie dotrzeć. Gdzieś na pewno znajdowała się lepsza kryjówka, w której gromadził ciała swoich ofiar. Strefa śmierci przeznaczona do posępnych eksperymentów będących jego ostatecznym celem.

Nie zważając na ograniczenia czasowe ani zalecenia przełożonych, komisarz Medici podjęła decyzję. Falcone uznał, że udało mu się ją spacyfikować, ale chyba po prostu jej nie znał. Policjantka zdecydowała, że musi odnaleźć laboratorium, w którym Sileri przeprowadzał plastynacje. Dopiero w tym miejscu powinna się zakończyć mroczna historia łącząca sztukę ze śmiercią.

Nie podzieliła się swoim postanowieniem ani z kolegami z policji, ani z prokuratorem. Zamknąwszy się w biurze, które przeznaczył dla niej Lomastro, próbowała zacząć wszystko od nowa.

Tak jak nauczył ją pewien komendant.

Claudio Altieri wzbudził jej instynktowną nieufność już podczas pierwszego spotkania tego ranka, kiedy policjanci wtargnęli na teren posiadłości Zernichów, i po upływie miesiąca nic się w tej kwestii nie zmieniło. Gdy o nim myślała, zdawało jej się, że ma przed oczami niewyraźne zdjęcie. Nieudane ujęcie, które należy skasować. Czuła jednak, że pod drżącym, rozmazanym obrazem kryje się coś nieprzyjemnego. Gdyby fotografia była dobrze wykonana, rezultat okazałby się jeszcze bardziej odpychający.

Niechęć, którą Valentina odczuwała na wspomnienie mężczyzny, musiała być wzajemna, ponieważ na jej widok zaufany pracownik rodziny Zernichów zacisnął zęby, a w jego spojrzeniu pojawiła się błyskawica. Niebieskie źrenice skrywały stłumioną złość, która uwolniona z więzi mogłaby spowodować wiele szkód. Komisarz Medici nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

W dodatku zachowanie Altieriego odpowiadało informacjom, które znalazła na jego temat.

Mimo że jego zeznania zostały już zaprotokołowane przez funkcjonariuszy z grupy operacyjnej z Padwy, potrzeba ponownego przesłuchania zarządcy wynikała z bezpośredniego polecenia prokuratora Manina, który chciał się dowiedzieć, dlaczego Sileri został przyjęty do pomocy w pałacu jako Gianluca Simi oraz jakie referencje przedstawił. Poprzedni raport z przesłuchania Altieriego okazał się bardzo zwięzły, a Lomastro skwapliwie wyjaśnił powody.

– Jego los niewiele mnie obchodzi, ale weź pod uwagę, że to prawa ręka Federica Zernicha. Słyszałaś o tej rodzinie? Nie? To posłuchaj. W tych stronach to nazwisko naprawdę wiele znaczy. Należy do nich połowa winnic euganejskich i są bardzo wpływowi. Nie do ruszenia. Federico Zernich jest w dodatku znanym filantropem. Wiele robi dla miasta i jego mieszkańców. W Padwie znajdziesz liczne budowy zainicjowane właśnie przez niego. Odnawia zabytki na własny koszt, nie żądając niczego w zamian. I ma wielu wpływowych przyjaciół. Chcę ci powiedzieć, że jak już musisz prowadzić to swoje główne śledztwo, to rób to w jedwabnych rękawiczkach.

Valentina nie miała najmniejszego zamiaru stosować wobec kogokolwiek taryfy ulgowej i bez chwili wahania zajęła się zbieraniem informacji o Altierim.

Mężczyzna rzeczywiście okazał się interesującym tropem, choć dotyczące go akta były tak samo skąpe jak jego zeznania. Altieri miał pięćdziesiąt osiem lat, dobrze się prezentował i mógł się pochwalić bogatym, a częściowo nawet tajemniczym życiorysem. Należał do służb specjalnych marynarki wojennej, był prywatnym

detektywem specjalizującym się w ściąganiu długów, pracował jako członek obstawy w sektorze ochrony osobistej osób, a przed trzydziestoma laty znalazł zatrudnienie u Federica Zernicha, u którego ochraniał transporty gotówki. Człowiek akcji, który skończył jako zarządca ogromnego majątku Zernichów, po tym, jak Federico został ostatnim przedstawicielem starego rodu. Valentina nie zdołała znaleźć żadnej informacji na temat okoliczności, w jakich poznali się dwaj panowie, ani też dowiedzieć się, dlaczego wiekowy przedsiębiorca postanowił zlecić Altieriemu tak odpowiedzialne zadanie. Niemniej były komandos w krótkim czasie zdobył sobie zaufanie pracodawcy, stając się jego prawą ręką. Taki życiorys świadczy o jednym: Altieri nie jest głupcem i z pewnością nie przestraszy się wezwania na policję.

Kiedy mężczyzna stawiał się w komisariacie, Valentina kazała mu najpierw odczekać swoje w obskurnym pokoju, który jej przydzielono. Co prawda była to często stosowana technika śledcza, ale komisarz Medici miała nadzieję, że w przypadku Altieriego okaże się skuteczna. Żywiła przekonanie, że niepotrzebna strata czasu doprowadzi go do furii, a tymczasem, kiedy się spotkali, świadek popatrzył na nią nie tylko z dziwnym błyskiem w oczach, ale też z szerokim sztucznym uśmiechem przyklejonym do ust. Przywitał się, eksponując światowe maniery, których z pewnością nabył podczas pracy u Zernichów.

– *Dottoressa*, jak miło panią widzieć.

Szybko podali sobie dłonie.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko – zaczęła Valentina – to posterunkowy Piovesan będzie na bieżąco zapisywał pańskie zeznania, aby nie tracić czasu.

Gabriele Piovesan był młody i odbywał jeszcze staż w grupie operacyjnej, ale Lomastro zdecydował, że komisarz Medici nie może jej przydzielić do pomocy nikogo bardziej doświadczonego.

– Przesłuchiowano mnie już dwa razy. Nie wiem, w czym mógłbym jeszcze pomóc – zastrzegł się Altieri, zanim zaczęli. – Niezależnie od tego jestem oczywiście do waszej dyspozycji. – Wypowiedziawszy zdawkowe formułki, usiadł przy biurku z miną kogoś, kto gotowy jest na każde poświęcenie, byle tylko okazać się przydatnym.

Valentina usiadła po drugiej stronie biurka.

– To nie potrwa długo, proszę się nie martwić. Chciałabym tylko wyjaśnić kilka szczegółów, ponieważ dał pan pracę człowiekowi poszukiwanemu przez policję, w dodatku na podstawie fałszywych dokumentów...

– Czy pani widziała te dokumenty? Powiedziano mi, że są świetnie podrobione. Każdy dałby się nabrać.

– Kto to panu powiedział?

Altieri znowu się uśmiechnął.

– No cóż, mam tu u was znajomych... W mojej pracy to całkiem naturalne...

Valentina zapamiętała sobie tę informację.

Przywołała na myśl słowa Lomastra: Zernich jest bardzo wpływową osobą w mieście, a więc i jego zarządca cieszy się pewnym poważaniem. „Znajomi z komendy” pewnie dobrze go przygotowali do tego spotkania.

– Tak, dokumenty niemalże nie różnią się od prawdziwych – przyznała, przybierając niepokieszoną minę. – Trudno o lepsze falsyfikaty. Jak pan sądzi, powinniśmy szukać autora wśród lokalnych fałszerzy? Myślę oczywiście o profesjonalistach.

– Dlaczego mnie pani o to pyta? Skąd miałbym ich znać? Nie mam takich kontaktów...

– Teraz może nie, ale kiedyś...

Jego spojrzenie stało się twarde i podejrzliwe. W takich właśnie momentach mężczyzna na chwilę odsłaniał swoje prawdziwe oblicze.

– Co pani insynuuje?

– Z moich informacji wynika – Valentina udawała, że sprawdza coś w dokumentach, które miała porozkładane na biurku – że przez jakiś czas pracował pan jako prywatny detektyw. Zajmował się pan również ochroną osobistą osób... Jak najbardziej legalnie oczywiście... Może jednak w przeszłości zdarzyło się panu nawiązać jakieś znajomości o wątpliwym charakterze. Przecież był pan wtedy bardzo młody. Niemożliwe, że nigdy nie zetknął się pan ze środowiskiem przestępczym Padwy. Aby skutecznie wykonywać zadania, nie mógł pan przecież unikać kontaktów z lokalnymi przestępcami.

– Ja nie jestem stąd. Przeniosłem się do Padwy, kiedy zacząłem pracować dla pana Zernicha.

– A wcześniej?

– Imiałem się różnych zajęć, to prawda. Jak najbardziej legalnie, *dottoressa*. Czy naprawdę wezwwała mnie pani tutaj, by rozmawiać o moim życiu?

– Czy był pan odpowiedzialny za ochronę osobistą pana Zernicha?

– Nie całkiem.

– Jak pan go poznał?

– Przepraszam, jaki to ma związek z przyjęciem do pracy Gianluki Simiego?

– Luki Sileriego. Simi to fałszywe nazwisko.

– Sileriego czy Simiego, jak pani chce. Mnie tam wszystko jedno. Czy to nie o nim mieliśmy rozmawiać?

– Dlaczego nie powiedział nam pan od razu, że z domu do krypty prowadzi podziemny korytarz?

– Słucham? – Altieri naprawdę sprawiał wrażenie zaskoczonego. Pytanie, które nie wiązało się z poprzednimi, wytrąciło go z równowagi.

– Krypta. Pogańska świątynia. Kiedy zajęliśmy teren posiadłości, powiedział nam pan, że wejście do niej zostało zamurowane. Tymczasem Sileri używał jej bez problemu.

– Nie wiedziałem o tym. Sądziłem, że nie można tam wejść. To pewnie on...

– Nie kontrolował pan posiadłości? Nie sprawdzał pan, jak sobie radzi nowy pracownik?

– A po co miałbym zaglądać do kaplicy? Miałem zadbać o to, aby posiadłość była w dobrym stanie...

– Ufał pan Sileriemu do tego stopnia, że nie sprawdzał pan, co on robi w pałacu? Skąd to nieograniczone zaufanie? Przecież mówił pan, że nie znał go dobrze.

Altieri zmrużył oczy, lecz zdołał się opanować, ponieważ gdy je ponownie otworzył, znowu był uśmiechnięty i spokojny.

– Już to wyjaśniałem, *dottoressa*. Sileri, to znaczy Gianluca Simi, został mi polecony przez biuro pracy. Największe i najlepsze na naszym terenie. Zawsze się do nich zwracam, kiedy poszukuję pracowników, i nigdy nie było żadnych problemów.

Valentina ponownie zaczęła przeglądać dokumenty, mimo że znała je prawie na pamięć.

– Mówi pan o agencji pracy tymczasowej Anselmi, prawda?

– Owszem.

– Z moich danych wynika, że biuro jest własnością spółki, w której większościowym udziałowcem jest Federico Zernich... – Wbiła wzrok w rozmówcę.

– Naprawdę? To całkiem możliwe.

– Tego też pan nie wie? A przecież to pan zarządza majątkiem Zernichów.

– To nie takie proste. Pewnie nie ma pani pojęcia, ile spółek do nich należy...

Komisarz Medici chciała odpowiedzieć, lecz uprzedził ją nieznamy głos.

– Sądzę, że zbyt wiele.

W drzwiach stał uśmiechnięty starszy mężczyzna. Był wysoki i szczupły, miał na sobie ciemny, elegancki garnitur, który zdawał się nieco zbyt szeroki, co sprawiało, że gość przypominał luksusowego stracha na wróble. W jego ciemnych oczach i w wyrazie twarzy można było dostrzec niepokój, jakby się obawiał, że grozi mu niebezpieczeństwo. Wspierał się na lasce, a zza jego pleców wyglądała postawna kobieta w granatowym komplecie, gotowa wesprzeć go na wypadek, gdyby zamierzał osunąć się na podłogę.

Zaniepokojony Altieri zerwał się na równe nogi.

– Federico! – zawołał.

Zernich zrobił kilka kroków w głąb pokoju, a za nim postępowała opiekunka. Uśmiechnął się szczerze do Valentyny i lekko zarumienił. Zdawało się, że za wszelką cenę stara się ukryć swoją chorobliwą nieśmiałość.

– Proszę mi wybaczyć, ale mój przyjaciel tak długo nie wracał, że się zaniepokoiłem.

Również komisarz podniosła się z krzesła, nie wiedząc, jak zareagować na niespodziewaną wizytę, która była zupełnie nie na miejscu. Mimo to starszy pan od razu wzbudził jej sympatię.

Altieri z zakłopotaniem dokonał niezbędnej prezentacji.

– Panie Zernich, to jest *dottoressa* Medici. *Dottoressa*, przedstawiam pani swojego pracodawcę, Federica Zernicha.

Valentina ze zdziwieniem zauważyła natychmiastową zmianę zachowania zarządcy. Zdawało się, że w jednej chwili zniknęła jego ostentacyjna bezczelność.

Zernich wyciągnął rękę i komisarz zawahała się na ułamek sekundy, po czym podała mu dłoń, odkrywając, że jego uścisk jest o wiele silniejszy, niż wskazywały postura i zaawansowany wiek.

– Wybacz mi pani, prawda? – powtórzył Zernich młodzieńczym głosem lekko zabarwionym dialektem. – Mam na myśli moje najście. Zresztą od zawsze fascynuje mnie praca śledczych...

– Nie można uczestniczyć w przesłuchaniu świadków... – powiedziała Valentina – ... ale oczywiście wybaczam panu. – Uśmiechnęła się i sama zdziwiła swoją reakcją.

Wysuszona, pomarszczona twarz Federica Zernicha pojaśniała.

– Jest pani bardzo uprzejma... i piękna. Wspominano mi o tym.

– O tym, że jestem uprzejma? Trudno w to uwierzyć – zażartowała, coraz bardziej zdumiona swoim zachowaniem względem niezapowiedzianego gościa. Zernich miał w sobie jakiś dziwny magnetyzm, któremu nie potrafiła się oprzeć.

– Nie, mówili mi, że jest pani piękna – odpowiedział. – To prawda. Proszę się nie gniewać, że taki ramol jak ja prawi pani komplementy. Wiem, że teraz trzeba być ostrożnym.

– Nie ma problemu.

– No tak. – Nie odrywał od niej wzroku, chociaż jego spojrzenie było zamglone. – O czym to ja mówiłem?

Postawna kobieta stojąca ciągle za jego plecami pochyliła się i powiedziała mu do ucha teatralnym szeptem:

– Mówił pan, że panienka jest piękna. – W jej głosie słychać było cudzoziemski akcent, a słowo „panienka” wywołało kolejny uśmiech na twarzy Valentyny, która na przekór zdrowemu rozsądkowi dobrze się bawiła całą tą niecodzienną sytuacją.

– Ach tak! – podjął Zernich. – Jak na funkcjonariuszkę policji jest pani bardzo piękna. Znam wiele policjantek, a pani mi kogoś przypomina... Kogoś, kogo poznałem wiele lat temu... Kim była tamta kobieta? Miała długie włosy, tak samo jak pani... – Potrząsnął głową, jakby chciał obudzić dawne wspomnienia. – Później sobie przypomnę.

Komisarz Medici automatycznie poprawiła włosy, które nosiła związane, a mimo to nie sposób było nie zauważyć, jak są gęste i lśniące. Natychmiast pożałowała tego gestu. Odniosła wrażenie, jakby słodkie oczy starszego mężczyzny miały moc niwelowania jej zahamowań. Nagle przysła jej do głowy dziwna myśl. Jak okropne musiało być dla niego odkrycie, że rodzinna posiadłość stała się kryjówką kogoś takiego jak Luca Sileri. Ileż cierpienia był w stanie zadać ten potwór.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Altieriego. Zarządca stał bez ruchu i teraz sprawiał wrażenie niezadowolonego z wizyty pracodawcy. Wydało jej się, że zauważyła też coś na kształt porozumienia pomiędzy nim a opiekunką. Być może oboje uważali Zernicha za zdzienniałego głupca i wcale nie darzyli go szacunkiem.

– Czy teraz – ciągnął Federico Zernich – mogę już zabrać mojego przyjaciela? A może jeszcze go pani potrzebuje? Ja chętnie poczekam na zewnątrz... moja Hannie świetnie dotrzymuje mi towarzystwa.

Valentina spojrzała w wodniste oczy wielkiej opiekunki, która w żaden sposób nie dała po sobie poznać przywiązania do pracodawcy. Wręcz przeciwnie, komisarz zamarała, widząc zacięty wyraz twarzy kobiety, która usiłowała ukryć pogardę. Przemknęło jej przez myśl, że Altieri i opiekunka odgrywają przyjęte role. Prawdopodobnie nakładają maski w kontaktach z bogatym chlebodawcą. A może kryje się za tym coś innego?

– Nie ma potrzeby, aby pan czekał – postanowiła szybko. – Pan Altieri jest wolny. Na razie.

Zernich skłonił się lekko i opuścił pokój wraz z towarzyszącą mu opiekunką.

Claudio Altieri bez słowa ruszył za nimi.

Valentina patrzyła na drzwi zamykające się za tą dziwną kompanią i nagle ogarnęło ją nieodparte wrażenie, że została naprawdę sama.

Pokój, który zajmowała w Excelsiorze, był mały, lecz przytulny, podobnie zresztą jak cały hotel mieszczący się w osiemnastowiecznej kamienicy wciśniętej pomiędzy półokrągły placyk a dwa zaułki starego miasta. Miejsce ze wszech miar odpowiednie na odpoczynek, chociaż wygodne położenie oraz widok na loggie, które mogła podziwiać z okna, nie zdołały uśmierzyć jej niepokoju.

To była dopiero druga noc w Padwie, a już czuła nagłą chęć powrotu do Rzymu. I to wcale nie z powodu nacisków Falconego ani ze względu na ostentacyjną ostrożność Lomastra, który wolałby z pewnością, żeby nie kręciła się po komendzie. Nawet nie dlatego, że chociaż wyjechała do Padwy z przekonaniem, że zdoła wyjaśnić wszystkie niespójności śledztwa pozostałe po śmierci Sileriego, to od razu utknęła na mieliźnie z powodu braku nowych poszlak i wskazówek, którymi mogłaby się zająć. Te przeszkody brała pod uwagę od samego początku, kiedy zdecydowała się wkroczyć na wyboistą ścieżkę. Niepokój nie wynikał również z napięcia wywołanego spotkaniem z Claudiem Altierim, które – wręcz przeciwnie – mogło ją zachęcić do dogłębnego zbadania jego tajemniczej roli w całej sprawie. Tymczasem Valentina czuła, że pragnie jedynie zapomnieć o przykrościach, o rozczarowaniu i o cierpieniu, których doświadczyła w ciągu ostatnich miesięcy. Fabio miał rację, że walka ze złem jest jak rzucanie się na głęboką wodę i łatwo może cię pochłonąć, jeśli przekroczysz pewną granicę. On sam był tego jaskrawym przykładem.

No właśnie. Nie miała wątpliwości, że prędzej czy później wspomnienie o nim powróci ze zdwojoną siłą. O nim i o jego przeszłości. Wiedziała, że nie da rady tego uniknąć, nie sądziła tylko, że nastąpi to tak szybko.

Siedziała na łóżku obłożona aktami i dokumentami, które zabrała z komendy. Przeglądała je, próbując uporządkować myśli, a jednocześnie zbierała siły na przygotowanie raportu, który ostatecznie zakończy śledztwo w sprawie Sileriego. Nagle jednak usłyszała w głowie głos Fabia, a oczami wyobraźni zobaczyła jego twarz. Dotychczasowe skupienie na pracy prysło. Zaczęły ją męczyć wyrzuty sumienia, że nie jest w stanie prawidłowo oceniać ludzi. Ze wszystkich stron osaczały ją oskarżenia, że zakochała się w mężczyźnie, który okazał się oszustem. Nie stronił od stosowania przemocy. Posunął się do gwałtu.

Nie, Fabio nie był taki. To niemożliwe, aby aż tak bardzo się pomyliła.

Co innego mogła zrobić w tej sytuacji? Udawać, że wierzy w jego wersję, jakoby nie słyszał odmowy Diany? To typowe usprawiedliwienie gwałcicieli, którzy łudzą się, że

tyle wystarczy, by oczyścić się z winy. Fabio przeklinał samego siebie nie za to, że zgwałcił kochankę, lecz za to, że opuścił ją w potrzebie, zostawił samą na pastwę złych języków i w ten sposób popchnął do nieodwracalnego czynu. Czy już samo to nie czyniło go dostatecznie winnym?

Chociaż wyrzucała sobie zbytnią pobłażliwość, to nagle w doskwierającej samotności hotelowego pokoju wracała pamięcią do chwil, gdy zaczęli się do siebie zbliżać. Przypomniła sobie jego dłonie, które w niczym nie przypominały rąk gwałciciela, szczerłość spojrzenia i ciepły tembr głosu.

Nie potrafiła się obronić przed wspomnieniami i w pewnym momencie wśród przesuwających się szybko obrazów na pierwszy plan wysunęła się jedna scena. Fabio stał przy swoim biurku oświetlony słabym blaskiem lampy i wkładał do torby notatki oraz laptop... A potem z uśmiechem zapraszał ją, aby zajęła jego miejsce.

Torba Fabia! Słynna sakwa! Przypomniła sobie o niej w tym momencie.

Ciągle mam ją w samochodzie – pomyślała Valentina. Nie oddała mu jej w trakcie fatalnego spotkania, a potem, uciekając z Volterra, zupełnie o niej zapomniała.

Kiepska sprawa – przemknęło jej przez myśl, a jednocześnie poczuła, jak serce zaczyna jej mocniej bić. Ten przedmiot ciągle ich łączył. Chociaż nie musi przecież oddawać torby osobiście, wystarczy, jeśli mu ją odeśle lub przekaże przez wspólnych znajomych. Nie zamierza się z nim ponownie spotykać, i to z tak błahego powodu. Bo tak naprawdę już postanowiła, choć z ciężkim sercem przyjęła to, że już go więcej nie zobaczy.

Zdała sobie sprawę, że nie zaśnie, dopóki nie zabierze z auta tej starej skórzanej torby. Jako usprawiedliwienie wymyśliła sobie, że nie należy zostawiać na widoku dokumentacji dotyczącej śledztwa w sprawie Sileriego.

Kosztowało ją to nieco wysiłku, ale ubrała się i zeszła do hotelowego garażu. Odnalazła torbę w kącie bagażnika swojego nissana i zabrała ją na górę.

Rozebrała się szybko i wsunęła pod kołdrę. Zamknęła oczy, próbując przywołać miłe wspomnienia, ale w międzyczasie czar prysł. Zresztą może to i lepiej.

Sen nie przychodził, więc otworzyła oczy i włączyła nocną lampkę.

Torba Fabia leżała przed nią na komodzie pod wielkim lustrem w złotej oprawie.

Wyskoczyła z łóżka i zadrżała, stając bosymi stopami na zimnej posadzce. Ze złością chwyciła teczkę, usiadła na łóżku i wysypała zawartość na kołdrę.

Były tam zeszyty z notatkami, zdjęcia i dokumenty oraz laptop Fabia Costy. A w nim owoc ich mozolnego śledztwa.

Kiedy włączała urządzenie, wewnętrzny głos zapytał, co tak naprawdę spodziewa się znaleźć na twardym dysku.

W laptopie znalazła wiele dokumentów dotyczących śledztwa. Był tam niemalże cały materiał, który Valentina dobrze знаła: zdjęcia wykonane na miejscu zbrodni, skany policyjnych raportów, listy połączeń telefonicznych. Były też pliki z notatkami Fabia, który gromadził i streszczał zbierane materiały, porządkując je według własnego klucza.

Uwagę komisarz Medici przyciągnęło wideo z dokumentem zatytułowanym *Ukrzyżowanie Świętego Piotra autorstwa Caravaggia*. Przypomniała sobie, że Fabio wspominał jej o nagraniu związanym z zaginięciem kloszarda, o którym dowiedział się od kolegi pracującego niegdyś w grupie operacyjnej w Weronie. Teraz miała okazję się przekonać, że Costa w sobie tylko wiadomy sposób zdobył kopię filmu.

Uruchomiła filmik z nieprzyjemnym uczuciem w żołądku.

Plik został pozyskany z kasety wideo i zamieniony na formę cyfrową, ale wcześniej skopiowano go z taśmy filmowej Super 8. Jakość obrazu była okropna, a kolory niemal całkowicie wyblakłe. Nie licząc czerwonych refleksów, film był czarno-biały. Brzegi obrazu niemal całkowicie zamazane, centralna część jednak w miarę wyraźna. Valentina pomyślała, że wolałaby mimo wszystko, żeby nagranie było mniej czytelne.

W tle widniały kamienna ściana z dużym, ciemnym witrażem oraz krzewy. Aktorów było czterech. Trzej mężczyźni nosili czarne kaptury z otworami na oczy, dwaj z nich demonstrowali gołe torsy, podczas gdy trzeci miał na sobie koszulę w kratkę z krótkim rękawem oraz podwinięte dżinsy. Czwarty był starszym człowiekiem i poza kawałkiem prześcieradła zakrywającego przyrodzenie nie miał na sobie nic. Na wychudzonej, zapadniętej twarzy i na ciele nosił ciemne ślady przypominające sińce lub znaki przebytej choroby. Długa biała broda sprawiała wrażenie mokrej, prawdopodobnie spadły na nią łzy wywołane bólem.

Trzej zakapturzeni mężczyźni podtrzymywali go za ramiona przed obiektywem, jakby chwalili się wyjątkowym trofeum z polowania. Nawet pod czarnymi maskami można było sobie wyobrazić rysujący się na ich twarzach uśmiech satysfakcji. Tymczasem głowa staruszka kiwała się bezwładnie, jakby stracił już wszystkie siły. Oczy przypominały małe, pozbawione wyrazu kulki.

W pewnym momencie scena została ucięta i zastąpiona kolejną. Teraz obraz był migocący. Tło się nie zmieniło, chociaż pokazano je pod innym kątem. Na środku sceny widniał duży drewniany krzyż ułożony na boku. Być może stanowił jedynie

element teatralnej dekoracji, ale był bardzo realistyczny. Drewno łuszczyło się w kilku miejscach. Przez chwilę ten obraz zatrzymał się w kadrze.

Potem nagle zrobiono zbliżenie. Nadgarstek starca oparty o ramię krzyża. Wielki żelazny gwóźdź o kwadratowej główce wbijał się w ciało rytmicznymi uderzeniami młotka ciesielskiego. Rozdarte mięso i tryskająca ciemna krew nie wyglądały jednak na scenograficzne atrybuty.

Kolejne ujęcie ukazało zbliżenie twarzy starca, który krzyczał z otwartymi szeroko ustami, odsłaniając resztki zębów i czarny, napuchnięty język. W ciszy całego obrazu ten krzyk zabrzmiał w uszach Valentyny ze szczególnym okrucieństwem.

Przerwa, a potem widok drugiego nadgarstka rozrywanego gwoździem. Osoba, która kręciła wideo, prawdopodobnie upajała się obrazem metalowego ostrza przebijającego skórę, łamiącego kości i miażdżącego chrząstki, by na koniec wbić się w drewno krzyża.

W scenach czuło się rękę i talent profesjonalnego reżysera, który niczego nie ukrywał. Co więcej, umiejętnie potęgował zgrozę fachowymi ujęciami.

W kolejnych kadrach z wykorzystaniem średniego planu i wyraźnej głębi krzyczący starzec został przybity za ręce i nogi do surowego drewnianego krzyża. Trzej zakapturzeni mężczyźni spoglądali na kamerę, podczas gdy ukrzyżowany konał. Potem z trudem unieśli krzyż, ustawiając nieszczęśnika głową w dół. Tak właśnie został ukrzyżowany Święty Piotr. Długie włosy ofiary poddały się prawom grawitacji i spływały po bokach wykrzywionej bólem twarzy.

Oprawcy wbili krzyż w ziemię, korzystając z przygotowanego wcześniej otworu. Ostatnie kadry przedstawiały już tylko głównego bohatera. Kamera powoli pokazała zbliżenie otwartych ust. Film kończył się ujęciem kołyszającej się białej kartki, na której napisano drukowanymi literami: UKRZYŻOWANIE ŚWIĘTEGO PIOTRA AUTORSTWA CARAVAGGIA.

Wideo trwało niecałe pięć minut, ale Valentina jeszcze przez dłuższy czas wpatrywała się w ostatni, zatrzymany kadr. Nie mogła pojąć ogromu zła, który właśnie zobaczyła. Makabryczna scena ukrzyżowania i śmierci nie pozostawiała wątpliwości, że chodziło o prawdziwe zdarzenie. Komisarz nawet przez myśl nie przeszło, że to może być fikcja, zresztą podobne wrażenie musieli odnieść śledczy, którzy przed laty zajmowali się tą sprawą. Scena absolutnie nie przypominała rekonstrukcji, co próbował podsunąć przyjaciel Fabia z nadzieją na mniej drastyczne wyjaśnienie.

Dręczył ją nie tylko widok obrzydliwych i drastycznych scen. Było coś jeszcze. Pewien niepokojący szczegół. Miała mętlik w głowie z powodu drobiazgu, który utkwiał jej w pamięci, sprawiając, że straciła poczucie czasu.

Przesunęła myszką po linii czasu i cofnęła się kilka sekund, do momentu, w którym ujęcie ukazywało kamienny mur pod nieco innym kątem. Przez chwilę można było dostrzec podstawę jakiegoś posągu w postaci dwóch zdeformowanych kopyt wyrzeźbionych w marmurze.

Już gdzieś je widziała.

To były dolne kończyny kamiennego Baphometa wielkości przeciętnego człowieka. Miała przed sobą jednego z dwóch milczących strażników strzegących wejścia do krypty rodziny Zernichów.

Jogging w zimnej nocnej aurze dobrze jej zrobił. Doceniła to dopiero w momencie, kiedy zmęczona i spocona wróciła do hotelu.

Naprawdę musiała to wszystko odreagować. Po odtworzeniu filmu poczuła dziwny ciężar na duszy, jakby okrywał ją ciemny, przytłaczający całun, który tamował jej oddech, dławił i zniewalał myśli. Czuła się brudna tylko dlatego, że obejrzała te odrażające sceny. Być może bieganie nocą po nieznanymi ulicach obcego miasta nie było najlepszym pomysłem, ale nie znalazła innego rozwiązania, aby zrzucić z siebie to emocjonalne brzemie.

Kiedy wróciła do hotelu, portier, który miał nocną zmianę, ograniczył się jedynie do znaczącego uniesienia brwi. Chyba uznał, że skoro klientka chce uprawiać jogging o drugiej w nocy, to nie on powinien jej tego zabraniać. Valentina skinęła mu głową i poszła do swojego pokoju.

Wszystko się zmieniło. A raczej należało przyjąć do wiadomości, że wydarzenia potoczyły się zgoła inaczej, niż zakładali. Wysilek fizyczny sprawił, że zaczęła myśleć jaśniej.

Wzięła gorący prysznic, po czym przykryła się kołdrą i ponownie uruchomiła komputer Fabia. Poza plikiem wideo były tam też dokumenty dotyczące obrazu. Wśród notatek Costy znalazła potrzebne szczegóły.

Po tym, jak komendant z Palermo opowiedział przyjacielowi o dawnej sprawie, Costa postanowił się jej dokładniej przyjrzeć, mimo że od razu wykluczyli udział Sileriego w ukrzyżowaniu starego kloszarda z uwagi na wiek podejrzanego. Pewnie Fabio skontaktował się z kimś, kto pracował w komendzie w Weronie, i zdobył oryginalną wersję filmu. A potem nalegał tak długo, aż przekazano mu również dokumentację dotyczącą zaginięcia bezdomnego mężczyzny.

Kloszard nazywał się Sebastiano Zorzin i zaginął w miasteczku Castagnaro w prowincji Werona w czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Na wspomniany film policja trafiła rok później podczas serii przeszukań związanych z obławą na grupę pedofilów działającą na terenie połowy Włoch. Skonfiskowano wówczas wiele kaset, na których były filmy z gatunku *snuff movies*, po dokładnej analizie okazały się jednak fotomontażem. To oznaczało, że nikt nie ucierpiał w trakcie wykonywania zdjęć. Na jednej z tych kaset po zakończeniu głównego filmu pojawił się fragment *Ukrzyżowania*, który sprawiał wrażenie, jakby umieszczono go tam zupełnie przypadkiem. Ale może autorom chodziło o ukrycie go w gąszczu

innych, spreparowanych scen. Tak czy owak, już na pierwszy rzut oka dało się dostrzec różnicę.

Jeden z policjantów grupy operacyjnej z Werony rozpoznał w mężczyźnie „pozornie”, jak sądzono, ukrzyżowanym nieszczęsnego Sebastiana Zorzina, po którym rok wcześniej zaginął wszelki ślad. Lecz nikt nie chciał uwierzyć w autentyczność przedstawionych scen. Uznano, że chodzi o inscenizację w złym guście, i dowody trafiły do archiwum. Valentina była gotowa się założyć, że choć całe zdarzenie zostało zapomniane przez wymiar sprawiedliwości, to nie mógł o nim zapomnieć nikt, kto miał okazję obejrzeć wideo. Trudno było uznać, że ból malujący się na twarzy starca w momencie, gdy gwoździe przebijały jego ciało, wiązał się jedynie z odgrywaną rolą. Prawdopodobnie policjanci po prostu udali, że tego nie widzą. Dlaczego jednak zdecydowali się zamieść wszystko pod dywan?

Wyszukała miejscowość Castagnaro na mapie Google'a i odkryła, że leży ona przy granicy z prowincją padewską, niedaleko Este, gdzie mieści się pałac Zernichów. Istniało zatem prawdopodobieństwo, że to właśnie na terenie posiadłości doszło do tej okrutnej zbrodni.

W rzeczywistości więc to nie zdarzenia się zmieniły, ponieważ nawet pozostając w ukryciu, ciągle były takie same. Zmienił się tylko punkt widzenia. Nagle Valentina uświadomiła sobie, że ich śledztwo odsłoniło jedynie mały kawałek tajemnicy, centymetr kwadratowy ogromnej i przerażającej mozaiki.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku Luca Sileri był siedmiolatkiem, tak że nie mógł mieć nic wspólnego z zabójstwem Sebastiana Zorzina. Niemniej nieszczęsny kloszard został ukrzyżowany z wyrażoną jednoznacznie intencją odtworzenia obrazu Caravaggia. Podobnie jak mógłby to zrobić Sileri prawie trzydzieści lat później. I do tego w tym samym miejscu, w którym ukrywał się przez ostatnie lata.

Valentina otworzyła na ekranie komputera reprodukcję obrazu *Ukrzyżowanie Świętego Piotra*. Dzieło pochodzące z tysiąc sześćset drugiego roku można oglądać w kościele Santa Maria del Popolo w Rzymie. Na obrazie Caravaggia akcja zatrzymała się w momencie unoszenia krzyża, a skierowana w dół twarz świętego nie przypominała w niczym oblicza nieszczęsnego Sebastiana, poza tym, że obaj mieli otwarte usta i zagubiony wzrok wyrażający bezmiar cierpienia. Osoby, które popełniły morderstwo w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, nie zadały sobie tyle trudu co Luca Sileri, by znaleźć doskonałych sobowtórów postaci sprzed czterystu lat. W związku z tym pojawiła się istotna wskazówka. Równie ważna, co niepokojąca. Luca Sileri nie mógł działać w pojedynkę. Valentina znalazła odpowiedź na jedno

z zasadniczych pytań śledztwa, którą zresztą miała przed oczami od samego początku, wystarczyło jedynie połączyć fakty.

Była czwarta nad ranem. Za wcześnie i za późno na cokolwiek. Położyła się i przez resztę nocy obserwowała sufit w oczekiwaniu na świt, który pozwoli jej zacząć wszystko od początku.

Ecce Ancilla Domini

Oto ja, słuźebnica Pańska

Daniele Manin wydawał się zbyt młody, aby sprawować funkcję sędziego, a co dopiero prokuratora. Winę można by przypisać jego okrągłej twarzy i delikatnym rysom. Prawdopodobnie zdawał sobie z tego sprawę i próbował dodać sobie powagi za pomocą bródki, która wyraźnie psuła jego wizerunek, a może nawet charakter. Usiłując narzucić dystans, traktował Valentine z wyższością, ale ona nie zwracała na to uwagi, ponieważ była zbyt zajęta zdwajaniem wysiłków, by traktować go jako osobę kompetentną w prowadzeniu tak trudnego śledztwa. Zresztą i tak nie miała wpływu na stan rzeczy: Manin prawdopodobnie nie był właściwą osobą, ale i tak musiał jej wystarczyć.

– A więc co robimy? – powtórzył pytanie po raz trzeci, siedząc za swoim lśniącem biurkiem, otoczony luksusowymi wydaniem wszystkich kodeksów wymyślonych na przestrzeni dziejów. Jego stanowisko pracy przypominało twierdzę broniącą się przed chaosem, który niosło ze sobą życie. – Dlaczego ostateczny raport ciągle nie jest gotowy?

Komisarz Medici usiłowała ukryć swoją frustrację.

– *Dottore*, ma pan przed sobą dokument zawierający wstępne ustalenia wraz z konkretnymi postulatami. Powtarzam, należy sprawdzić fakty, które uznaliśmy wcześniej za zbieg okoliczności, oraz skoncentrować się na tym, co zostało pominięte. Potrzebuję czasu, aby złożyć to wszystko w jedną całość. Chyba nie chce pan, aby sędzia zdecydował, że należy zacząć wszystko od początku?

Ten argument zawsze działał w negocjacjach z prokuraturą. Odesłanie akt sprawy będącej w końcowej fazie z powrotem do sędziego z powodu zaniedbania w wyjaśnieniu niektórych elementów było dla prokuratora jak przyznanie się do porażki. Manin po raz kolejny wysłuchał jej argumentów.

Valentina wymieniła punkty, które wymagały dogłębnej analizy, te same, które umieściła w raporcie. Listę otwierało wideo przedstawiające śmierć starego kloszarda.

Z cennych notatek Costy wynikało, że kasetą z tym filmem, znalezioną podczas obławy na grupę pedofilów, w której uczestniczyły oddziały policji z północnych prowincji, między innymi z Padwy, Vicenzy i Werony, została skonfiskowana w mieszkaniu niewzbudzającego podejrzeń obywatela. Nazywał się Rodolfo Morganti i pracował jako lekarz rodzinny w miasteczku leżącym niedaleko Vicenzy, miał żonę i dwoje nastoletnich dzieci – na pozór prowadził nienaganne życie. W jego gabinecie znaleziono tysiąc dwieście kaset o charakterze pornograficznym, większość z nich

wyglądała na amatorską produkcję i przedstawiała akty seksualne z udziałem dzieci, nawet bardzo małych, oraz z wykorzystaniem zwierząt. Morganti okazał się typowym biernym pedofilem, który ze strachu przed ujawnieniem ograniczał się jedynie do nabywania i wymiany materiałów pornograficznych bez praktycznej realizacji swoich fantazji. Kryjąc się za fasadą mieszczańskiej moralności, utrzymywał na wodzy swoje popędy i zadowalał się obserwowaniem wyczynów innych maniaków. Przypominał jej Marchesiego z jego mantrą: „Ja tylko patrzę”.

Linia obrony przyjęta przez adwokatów Morgantiego opierała się na tezie o małej szkodliwości czynu. Jego rodzina, z żoną na czele, oficjalnie stanęła po stronie pedofila, on zaś sam po mdłym procesie usłyszał łagodny wyrok z uwagi na wcześniejszą niekaralność. Nie spędził nawet jednego dnia w więzieniu i spokojnie wrócił do rodziny, chociaż pewnie sielanka na zawsze się skończyła.

Valentina odkryła też, że Morganti kilka lat temu zginął w wypadku samochodowym. Pojawiły się podejrzenia, że popełnił samobójstwo, ale żona, która wspierała go również po ogłoszeniu wyroku, oświadczyła, że jej ukochany Rodolfo nigdy nie odebrałby sobie życia, mimo że przebieg zdarzenia nasuwa wątpliwości. Kilka miesięcy później kobieta zmarła i tym razem samobójstwo zdawało się ewidentną przyczyną zgonu, jeśli zważyć na to, że znaleziono ją z podciętymi żyłami w samochodzie zaparkowanym w garażu pod domem. Wnętrze forda fiesty wypełnione było tlenkiem węgla, który przez gumową rurkę podłączoną do uruchomionego silnika przepływał bezpośrednio do wnętrza auta. Nie zostawiła listu pożegnalnego ani żadnych pisemnych wskazówek wyjaśniających powody tak drastycznej decyzji. Dzieci, które po osiągnięciu dojrzałości wyjechały do pracy za granicę, nie pofatygowały się na pogrzeb matki. Ten szczegół przedstawiał rzeczywistą sytuację rodziny Morgantich w zupełnie innym świetle.

Scena ukrzyżowania kloszarda zainspirowana dziełem Caravaggia była jednym z wielu horrorów w kolekcji Morgantiego i utknęła gdzieś na marginesie postępowania procesowego, ponieważ nie było dowodów, że jest rejestracją autentycznych wydarzeń. Oskarżony nie wiedział albo nie chciał powiedzieć, od kogo otrzymał kopię. Nabył kasetę rok wcześniej na czarnym rynku i utrzymywał, że nie pamięta, który z jego licznych kontaktów mu ją przekazał. Śledczy, którzy zdobyli pokaźny materiał dowodowy w postaci filmów z dziećmi, nie zainteresowali się specjalnie właśnie tym nagraniem i zdecydowali się na porzucenie tropu.

Na tym kończyły się informacje dotyczące tamtej starej sprawy, które Valentina zdołała pozyskać i które przekazała prokuratorowi.

Pokazała mu też wideo ze sceną ukrzyżowania. Prokurator wpatrywał się w ekran komputera, próbując zachować kamienną twarz. Lecz w miarę zmieniających się

obrazów jego spojrzenie stawało się coraz bardziej szkliste, a twarz przybierała niepokojący odcień szarości. W pewnej chwili Valentina przestraszyła się, że mężczyzna naprawdę zwymiotuje.

Kiedy w końcu pojawił się napis końcowy UKRZYŻOWANIE ŚWIĘTEGO PIOTRA WEDŁUG CARAVAGGIA, Manin zakaszała, udając pewność siebie.

– Co się tyczy tego wydarzenia... – zaczął, ale głos mu się załamał. Odkasznął raz jeszcze, przełknął ślinę i podjął naturalniejszym tonem: – Chciałem zapytać, czy mamy jakieś dodatkowe informacje na temat tej sprawy.

– Niestety nic konkretnego – wyjaśniła. – Mamy jedynie sygnał z komendy w Weronie dotyczący zaginięcia Sebastiana Zorzina. Sam pan rozumie, że wtedy nikt nie był w stanie zidentyfikować miejsca, w którym nakręcono wideo. Nikomu nie przyszło do głowy, że bezdomny został zamordowany na terenie posiadłości Zernichów, a znalezienie związków między ukrzyżowaniem a innymi morderstwami było równie trudne.

Prawda była nieco inna, ponieważ ktoś poniekąd przewidział owe powiązania. W dokumentacji, którą zdobyła, poza faksem z Vicenzy i dwoma pożółkłymi wycinkami z prasy pochodzącymi z lokalnej kroniki kryminalnej publikowanej na łamach „Gazzettino”, a dotyczącymi zniknięcia kloszarda, znajdowała się również informacja na temat rewizji z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Valentina odkryła ze zdziwieniem, że ktoś jednak połączył obie sprawy, chociaż tekst ograniczał się jedynie do listy podejrzanych, których nazwiska wyszły na jaw w trakcie obławy, i nie zawierał żadnych dodatkowych informacji. Brakowało nawiązania do zawartości skonfiskowanych materiałów, zwłaszcza zaś do kasety z nagraniem śmierci Zorzina. Osoba, która umieściła w jednej teczce dokumenty dotyczące obu zdarzeń, prawdopodobnie dostrzegła między nimi związek, chociaż nie podała żadnego powodu. A może jednak chodziło o zwykły zbieg okoliczności? Valentina nie wspomniała o tym prokuratorowi, aby nie komplikować mu życia i, jak mawiał jej znajomy, żeby nie łaskotać jego myśli.

A wszystko dlatego, że go potrzebowała.

Komisarz Medici dobrze wiedziała, że nikt nie zgodzi się kontynuować śledztwa na podstawie zebranych przez nią poszlak. A już na pewno nie grupa operacyjna z Padwy. Prawdopodobieństwo, że zechcą z nią współpracować, równało się zeru. Jediną szansą było więc przekonanie młodego prokuratora, aby zlecił jej wnikliwe zbadanie sprawy, łącząc ją z trwającym jeszcze dochodzeniem, w którym głównym podejrzany był Sileri. Jeśli będzie miała w ręku pisemną dyspozycję przedstawiciela władzy sądowniczej, to nikt nie ośmieli się odsunąć jej od śledztwa, co więcej, departament będzie musiał dać jej ludzi i środki niezbędne do wykonania zadania.

Wiedziała, że taki obrót okoliczności będzie oznaczał dla niej koniec kariery, bo po zakończeniu tej sprawy przełożeni z pewnością znajdą sposób, aby kazać jej drogo zapłacić za niesubordynację. Teraz jednak nie miało to już dla niej znaczenia.

Ta przepełniona okrucieństwem i cierpieniem historia przenikała ją do szpiku kości. Czuła, że nie zdoła wrócić do dawnego życia, jeśli nie postara się przynajmniej zrozumieć, co kryje się za serią bezsensownych zabójstw.

Musiała tylko przekonać prokuratora, który ciągle nie pojmował związków pomiędzy starą kasetą wideo, Silerim a pałacem Zernichów.

Valentina zwróciła się do niego jak do dziecka.

– Luca Sileri był mordercą o wyraźnych skłonnościach do nekrofilii – wyjaśniła. – Dowodem jest zabójstwo Teresy Franceschi w Rzymie. Owa patologia i profil psychologiczny mężczyzny nie mają jednak nic wspólnego ze sztuką ani z obsesją dotyczącą Caravaggia. Zainteresowanie Sileriego techniką plastynacji nie wynikało z chęci układania zwłok w artystycznych pozach, lecz miało na celu konserwację ciał, aby uprawiać z nimi seks przez możliwie długi czas. Poszukiwanie kandydatów odpowiadających wizerunkowo bohaterom z obrazów Caravaggia zupełnie nie pasuje do jego profilu, ale może charakteryzować potencjalnych współników.

– Sugeruje pani, że mamy do czynienia z kolejnym seryjnym mordercą? – zapytał przerażony prokurator.

– Nie wiem, czy chodzi o seryjnego mordercę, ale na pewno o psychopatę, i to może nie jednego. Widział pan film, w którym pojawiają się osoby opętane żądzą zabijania w trakcie odtwarzania scen znanych z dzieł sztuki. Wykorzystują do tego ciała swych ofiar. To estetyczni psychopaci o wyrafinowanych gustach, a na dodatek dobrze zorganizowani. Pozbawieni współczucia i wyrzutów sumienia, podobnie jak Sileri, tylko że on z pewnością był bardziej impulsywny i brutalniejszy.

– Jak to możliwe? Przepraszam, ale trudno mi uwierzyć w taki scenariusz.

Valentina pochyliła się ku niemu, a prokurator, osłaniany stosem kodeksów, mimo wszystko odsunął się nieznacznie.

– Proszę się zastanowić. Nieznajomy, którego szukamy, mógł się skontaktować z Silerim po jego ucieczce. Prawdopodobnie wyczytał gdzieś o wyczynach mordercy i postanowił wykorzystać jego umiejętności związane z konserwacją ciał oraz skłonności wynikające z zaburzeń psychicznych. Namierzył go więc i zaproponował układ, swego rodzaju spółkę opartą na odmiennych motywacjach jej członków, lecz realizującą ich wspólne cele.

– Gdzie są dowody... muszę mieć dowody... – mruknął Manin.

– Po pierwsze, jest film z ukrzyżowaniem Sebastiana Zorzina, a to potwierdza, że współnik działa już od wielu lat. A po drugie, miejsce akcji pozostaje ciągle to samo:

przecież znaleźliśmy Sileriego właśnie w posiadłości Zernichów, tam gdzie nakręcono film.

– Tak, to bardzo niepokojące... Musimy jednak pamiętać, że chodzi o szesnastowieczny pałac, który odwiedzają setki osób...

– Ja nie mówię o posiadłości – ucięła zimno Valentina.

Manin wpatrywał się w nią zdziwionym wzrokiem.

– Co w takim razie ma pani na myśli?

– Mówię o Claudiu Altierim.

Prokurator nie ukrywał zaskoczenia.

– Może mi to pani wyjaśnić?

– Nie wiem jeszcze, do jakiego stopnia Altieri jest zamieszany w sprawę, ale istnieje szereg przesłanek, które wskazują, że od samego początku miał z tym coś wspólnego. W moim raporcie znajdzie pan więcej szczegółów.

W sprawozdaniu, które Valentina przekazała prokuratorowi, Claudio Altieri został opisany bardzo dokładnie. Zdobyła nawet starą kartotekę, o której istnieniu nikt z komendy nie raczył jej poinformować.

Szybko streściła prokuratorowi zawartość.

Zanim Altieri wstąpił do armii, dwa razy był przesłuchiwany w związku z podejrzeniem o gwałt. Raz został nawet aresztowany. Nigdy nie usłyszał wyroku skazującego, ponieważ kobiety, które go oskarżyły, później wycofały się ze wszystkiego i sprawy trafiły do archiwum.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku Altieri pracował już dla rodziny Zernichów, co więcej, to właśnie w pałacu miał stały adres zamieszkania. Valentina mogłaby się założyć, że zarządca mieszkał wtedy w wieżycze, do której po latach wprowadził się Sileri.

– Altieri miał nieograniczony dostęp do pałacu i w konsekwencji powinien się orientować, co działo się na terenie posiadłości. I to właśnie on udostępnił Sileriemu mieszkanie w wieży. To ten człowiek sprowadził potwora w okolice Padwy. Musimy zacząć właśnie od niego.

Valentina wychodziła z biura prokuratora uzbrojona w wymagane uprawnienia. Otrzymała zgodę na kontrolę komórki i telefonów stacjonarnych zainstalowanych w domu oraz w biurze Claudia Altieriego, a także założenie podsłuchu w porsche, którego mężczyzna używał. Zyskała praktycznie niemal nieograniczoną możliwość monitorowania jego życia.

Kiedy wróciła z nowymi wytycznymi do siedziby grupy operacyjnej, rozpętało się piekło. Spodziewała się tego i była przygotowana. Pełnomocnictwo wydane przez prokuratora było imienne i obwarowane dodatkowymi ustaleniami. Valentina wymogła na prokuratorze, aby powierzył jej prowadzenie śledztwa. „Jeśli sprawy przybiorą zły obrót, będzie pan mógł pociągnąć mnie do odpowiedzialności za porażkę – zapewniła go z fałszywym uśmiechem. – A pana relacje zawodowe z grupą operacyjną na tym nie ucierpią”.

Lomastro wpadł we wściekłość i przez chwilę komisarz Medici obawiała się, że ją zaatakuje. Niestety nie miał żadnego pola manewru, bo nie mógł przecież podważyć zasadności dokumentu wydanego przez przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości. Musiał zapewnić jej narzędzia i środki konieczne do wprowadzenia w życie zaleceń prokuratora. Wiedziała, że w miarę swoich możliwości będzie jej utrudniał pracę, ale niewiele ją to obchodziło.

Dwie minuty po tym, jak wyszła z gabinetu Lomastra, ten zadzwonił do Rzymu. Falcone natychmiast się z nią skontaktował. Rozmowa była krótka i formalna, bo wiedział, że nie może cofnąć jej uprawnień do prowadzenia śledztwa.

– Chcesz doprowadzić sprawę do końca – powiedział. – W porządku. Rób, jak uważasz. Musisz zdawać sobie sprawę, że jesteś teraz zupełnie sama. Kiedy wiadomość o twojej klęsce przedostanie się do mediów, dziennikarze i opinia publiczna rzucą ci się do gardła. I nikt ci nie pomoże. Departament musi zachować dystans. Będziesz musiała się obejść bez instytucjonalnego wsparcia.

Valentina jednak była już gotowa na wszystko.

– Giuseppe, ja zawsze byłam sama. Tylko ty nie miałeś odwagi, aby powiedzieć mi to prosto w twarz – odpowiedziała.

– Pełnomocnictwo nie jest wieczne – ciągnął dyrektor, jakby jej nie słyszał. – Zapłacimy za twoją delegację do Padwy. Nie mamy innego wyjścia. Ale gdy skończysz tam swoją misję, nie zadawaj sobie trudu, by wracać do centrali. Poinformujemy cię

o miejscu, do którego zostaniesz przeniesiona. – Po tych słowach przerwał połączenie.

Kiedy Valentina wróciła do swojego pokoju, zastała tam Piovesana, który powitał ją, stojąc na baczność z troskliwym uśmiechem na ustach.

– Zabieramy się do pracy, *dottoressa*? – zapytał na wstępie, a jej zrobiło się żal pełnego zapachu młodego funkcjonariusza.

Odebrał po drugim sygnale. Nie sądziła, że to zrobi, i może dlatego wybrała jego numer. Gdyby przypuszczała, że tak łatwo się z nim skontaktuje, to pewnie wcale by tego nie spróbowała. Zadrżała na dźwięk jego głosu.

– Valentina?

Miała ochotę się rozłączyć. Nie wiedziała nawet, po co do niego zadzwoniła. Przecież to był zamknięty rozdział. Przynajmniej tak sobie postanowiła.

– To ja – szepnęła.

Słyszała jego oddech po drugiej stronie i nagle w głowie eksplodowało pytanie: Czy Diana Marini czuła na twarzy ten sam oddech, kiedy on ją gwałcił? Nie miała pojęcia.

– Jak się czujesz? – zapytała, przewyciężając niechęć.

Zdało jej się, że Fabio westchnął z ulgą.

– Nie sądziłem, że do mnie zadzwonisz. Myślałem, że już nigdy się nie usłyszymy.

– Ja też tak myślałam.

Tymczasem dzwonię do ciebie, chociaż sama nie wiem dlaczego. Jestem tutaj.

– Jesteś w Rzymie? – Jego głos brzmiał ostrożnie i pojednawczo. Valentina odniosła jednak wrażenie, że zaraz się załamie.

– Nie, jestem jeszcze w Padwie.

I nie pytaj mnie dlaczego, bo sama nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

– Co tam robisz? – zapytał jednak Fabio nieco pewniejszym głosem, w którym można było wyczuć cień zaniepokojenia.

– Podejrzewam, że wiesz. Historia, którą stworzyliśmy wokół Sileriego, okazała się niepełna. Zbyt dużo niejasności. Zbyt dużo pytań bez odpowiedzi...

– Jak to możliwe, że zgodzili się, byś dalej ciągnęła tę sprawę?

Powinna powiedzieć mu prawdę. Powinna wyjaśnić, dlaczego do niego dzwoniła po tym, co jej wyznał, po tym, jak okazał się kimś innym, niż sądziła. Powinna przyznać, że go potrzebuje, że czuje się samotna, opuszczona i bezbronna. I to nie tylko z powodu śledztwa. Powinna mu wyznać, że za nim tęskni i że nie ma znaczenia nawet to, czego się dowiedziała, kiedy odkrył przed nią swoje winy.

– Musiałam trochę powalczyć... Znalazłam nowe informacje.

Zawahał się na moment, po czym zapytał ostrożnie:

– Co takiego?

Valentina zaczęła opowiadać. Wspomniała o filmie przedstawiającym ukrzyżowanie, który znalazła w laptopie schowanym w torbie Fabia, i o posiadłości Zernichów, którą

rozpoznała jako miejsce akcji. Opisała kłopoty z prawem, jakie miał w młodości Claudio Altieri, i podzieliła się swoimi podejrzeniami oraz poinformowała o decyzji dotyczącej ponownego przesłuchania zarządcy.

– Nie mogę liczyć na pomoc – powiedziała na koniec – co więcej, muszę pracować we wrogim otoczeniu.

– Masz na myśli grupę operacyjną?

– To też... ale przede wszystkim centralę. W Rzymie już wydali na mnie wyrok. Falcone nie może się doczekać, kiedy to wszystko się skończy, żeby pogrzebać mnie gdzieś na prowincji i jak najszybciej zapomnieć o moim istnieniu.

– Rozumiem...

– Próbuję się nie przejmować, ale to nie takie proste. Dostałam do pomocy młodego funkcjonariusza... Takiego zapaleńca... nazywa się Piovesan i pewnie jak już wyjadę, to nie dadzą mu żyć. Prawda jest taka, że wszyscy są przeciwko mnie. Rodzina Zernichów ma tu wielkie wpływy i przesłuchiwanie zarządcy jej majątku przyprawiło niektórych o ból głowy. – Przerwała na moment. – Nikomu nie mogę ufać, Fabio. Skopiowałam wszystkie pliki ze śledztwa na pendrive'a i dobrze go schowałam...

– Skoro nie czujesz się bezpieczna, to daj sobie spokój z tym śledztwem. – Costa po raz pierwszy zareagował żywiołowo i to jej się spodobało. Tylko że nie były to słowa, na które czekała.

– Jestem całkiem sama – powtórzyła.

Usłyszała westchnienie.

– Bardzo bym chciał... – zaczął, ale zaraz urwał w pół słowa.

Valentina zaczerpnęła powietrza.

– To dlatego do ciebie dzwonię – przyznała i zawahała się. – Jestem sama... i bardzo cię potrzebuję – rzuciła jedynym tchem i zaraz przygryzła wargi, nie dowierzając, że naprawdę to powiedziała. Zachowuję się jak zakochana nastolatka – pomyślała ze złością.

– Nie mogę ci pomóc, mówiłem ci.

– No tak, mówiłeś. – Poczowała ogromną pustkę.

– Przykro mi, Valentino. Nie wiem, co robić. Nie wiem, czego ty tak naprawdę ode mnie oczekujesz. Nie wiem, jak mógłbym ci pomóc. Jeśli oczekujesz pocieszenia, to źle trafiłaś, bo ja sam go potrzebuję.

– Tak, wiem. Wiem! Po prostu... – Nie znalazła odpowiednich słów, by dokończyć.

Tym razem Fabio przerwał przedłużającą się ciszę.

– Przykro mi – powtórzył. – Ja nic nie mogę zrobić. Jestem najmniej odpowiednią osobą. Dobrze o tym wiesz. Nawet lepiej niż ktokolwiek inny.

– Pierdoły! Przestań opowiadać pierdoły!

Nagle ogarnęła ją złość. A raczej wściekłość. Nie mogła wybaczyć sobie momentu słabości. Miała za złe Fabiowi, że najpierw ją okłamał, a potem był szczery aż do bólu. Nie był doskonały – i co z tego? Dopuścił się okropnego czynu – i co z tego? Teraz prawdopodobnie płaci za to, co zrobił, i za to, czego nie zrobił. Może płaci zbyt wysoką cenę, a może zbyt niską – i co z tego? Co ona ma z tym wspólnego? Zupełnie nic, i nic ją to nie obchodzi. Chciała czuć się po prostu bezpieczna. Chciała mieć go po swojej stronie w walce z wiatrakami, którą toczyła. Fabio był jedynym jasnym punktem odniesienia w całej tej historii. Jedynym człowiekiem, któremu do końca ufała. Dlaczego więc miała z niego zrezygnować? Dlaczego musiała płacić za wydarzenia sprzed lat?

– Valentino...

Rozłączyła się natychmiast. Wyłączyła telefon i odrzuciła go daleko od siebie. Znowu otoczyła ją uciążliwa, przytłaczająca ciemność, którą głos Fabia zdołał na chwilę rozproszyć.

Claudio Altieri mógł poszczycić się doskonałą formą fizyczną i bogatym, choć dość przewidywalnym życiorysem. Mieszkał sam w centrum Padwy na ostatnim piętrze renesansowej kamienicy, która należała oczywiście do rodziny Zernichów. Zajmował jedno z mniejszych mieszkań. Nie utrzymywał stałego związku ani nie miał bliskich przyjaciół. Większość czasu poświęcał na pracę i jego relacje społeczne ograniczały się do kontaktów zawodowych. Na pozór nie miał żadnych specjalnych zainteresowań. Nie pił ani nie zażywał narkotyków, a jeśli to robił, to dobrze się kamuflował.

Wieczory spędzał w domu. Rano wychodził o wpół do ósmej i całkowicie oddawał się swoim obowiązkom zawodowym. Do trzynastej przebywał w biurze Fundacji Zernichów, gdzie zajmował się interesami Federica oraz nadzorował działalność jego spółek. Każdego dnia pozwalał sobie na szybki samotny lunch w tradycyjnej restauracji serwującej domową kuchnię na rogu ulicy prowadzącej do placu Prato della Valle. Zwykle siadał przy tym samym stoliku przy oknie i podziwiał duży, owalny plac i marmurowe posągi odbijające się w wodach rzeki okalającej plac. Popołudniami objeżdżał winnice oraz gospodarstwa rolne położone na okolicznych wzgórzach i należące oczywiście do pracodawcy. Wieczorem wracał do swojego mieszkania, gdzie zjadał kolację, którą zamawiał w jednej ze swoich ulubionych knajpek.

W czasie, gdy znajdował się pod ścisłą obserwacją policji, ani razu nie pofatygował się na teren posiadłości, która pozostała bez opieki. Kontakty z pracodawcą również ograniczały się do krótkich rozmów telefonicznych, co świadczyło o tym, że Zernich darzy go ślepym zaufaniem.

– To dowód, że nie chce się pokazywać na miejscu zbrodni – zaryzykował wyjaśnienie Gabriele Piovesan i Valentina doceniła próbę jego zaangażowania się w sprawę.

Lomastro nie miał wyjścia i dlatego przydzielił jej do pomocy tego chłopaka, chociaż oczywiście przy wyborze nie kierował się ani kompetencjami, ani doświadczeniem kandydata. Niemniej jednak Valentina od razu zauważyła, że w przeciwieństwie do reszty grupy, która została oddelegowana do wspierania jej podczas obserwacji i podsłuchiwania podejrzanego, młody funkcjonariusz jako jedyny wykazywał nieco entuzjazmu. Nikt nie zamierzał się spoufalać z niemile widzianą policjantką z Rzymu, która chciała ich uczyć, jak prowadzić śledztwo. Poza ograniczonymi do minimum kontaktami żaden ze współpracowników, nie licząc Piovesana, nie wykazywał chęci nawiązania jakichkolwiek bliższych relacji. Lomastro

musiał ich dobrze przeszkolić. Wykonywali zadania mechanicznie i nie zamierzali się dzielić pomysłami ani przemyśleniami, jak to zwykle się dzieje podczas wspólnego śledztwa.

Tymczasem Altieri zachowywał się bez zarzutu i chociaż Valentina nalegała, by dokładnie zbadać jego przeszłość, to nie znalazła nic, co łączyłoby zarządcę ze zbrodniami Sileriego.

Oczywiście poza samym Silerim.

W końcu to Altieri go przyjął i umieścił we wspaniałej posiadłości jako strażnika, a więc poniekąd przyczynił się do tego, że szaleniec utworzył w rodzinnej krypcie namiastkę laboratorium dla swoich koszmarnych eksperymentów. Altieri utorował mu drogę do morderczych działań i Valentina nie miała wątpliwości, że jest zamieszany w całą sprawę. Nie powinna się poddawać, przynajmniej tak długo, jak pozwolą jej kontynuować. Niestety, data, którą prokurator wyznaczył na zakończenie śledztwa, zbliżała się wielkimi krokami.

Sala, w której znajdowały się stanowiska przeznaczone do podsłuchu, jak wszystkie tego typu miejsca wypełniona była komputerami i odpowiednim sprzętem. W tym czasie nie mieli innych podejrzanych pod kontrolą, toteż funkcjonariusze w słuchawkach skupiali się tylko na Altierim.

Każdego wieczoru Valentina pojawiała się w pomieszczeniu i osobiście zajmowała się podsłuchem. Współpracownicy mieli co prawda za zadanie sporządzać szczegółowe notatki z nagrań, ale ona i tak wolała słuchać głosu Claudia Altieriego. Uważała, że to jedyna możliwość, aby poznać życie, a może i sposób myślenia tego człowieka. Chciała go zrozumieć i odkryć jego słabe strony. A co najważniejsze, nie ufała do końca swoim kolegom z komendy. Przecież sam zarządca potwierdził, że utrzymuje kontakty z miejscową policją. Ostrożność nakazywała jej zatem baczną kontrolę pracy zespołu.

Wszystkie rozmowy telefoniczne prowadzone przez Altieriego dotyczyły obowiązków zawodowych i na podstawie tych wyważonych, zdystansowanych konwersacji trudno było określić jego prawdziwą osobowość. Dzień po dniu Valentina sprawdzała, co mężczyzna robi, ale nadal nie miała pojęcia, z kim tak naprawdę ma do czynienia.

Chociaż mieszkał w Padwie od lat, wyglądało na to, że nie prowadzi życia towarzyskiego, nie ma przyjaciół ani znajomych. Trudno jej było w to uwierzyć. Z każdym dniem przekonywała się coraz bardziej, że Altieri udaje. W ciągu wielu lat spędzonych w mieście musiał przecież nawiązać jakieś znajomości, przyjaźnie, może nawet relacje sentymentalne. Ta myśl nie dawała jej spokoju. Skoro obserwowany mężczyzna tak bardzo się starał, aby prezentować się jako człowiek anonimowy

i zrównoważony, to musiał gdzieś ukrywać swoje tajemnice. I zadaniem komisarz Medici było odnalezienie tego miejsca i wyważenie drzwi.

Tego wieczoru inspekcja winnic należących do spółek Zernicha zajęła mu więcej czasu niż zwykle. W tym momencie powracał ze wzgórz swoim cayenne, pogwizdując wesoło melodie piosenek nadawanych w radiu. Kiedy Valentina usiadła przy stanowisku i założyła słuchawki, nucił właśnie kawałek Lucia Battistiego. Miał niezły słuch.

Policjant siedzący obok, który od dłuższego czasu nie był na przerwie, przywołał gestem jej uwagę.

– Czy mogę pójść na kawę, skoro pani tu zostaje?

Valentina pokiwała głową i już po chwili została sama w sali operacyjnej.

Gdzieś w oddali na drodze towarzyszył jej Claudio Altieri. Oboje pogrążeni w mroku, który rozjaśniały jedynie ekrany i wyświetlacze urządzeń elektronicznych.

Odbiornik umieszczony w samochodzie działał bez zarzutu, Altieri jednak prawie zawsze był sam i tego typu podsłuch do tej pory na niewiele się przydał.

W samochodzie zadzwonił telefon. Valentina usłyszała dzwonek i zaraz się zorientowała, że żadne z urządzeń podsłuchowych się nie włączyło. Gdyby telefon znajdował się pod kontrolą, zapaliłaby się czerwona dioda sygnalizacyjna i rozpoczęłoby się nagrywanie. Według informacji policji Altieri miał trzy komórki i wszystkie znajdowały się pod kontrolą.

Tymczasem w samochodzie dzwonił jakiś inny telefon. Kiedy Altieri odebrał, Valentina mogła usłyszeć, co mówi, tylko dlatego, że założyli mu pluskwę w aucie.

Głos mężczyzny był zimny i niecierpliwy. Mówił bardzo cicho i komisarz była zmuszona zwiększyć głośność do maksimum. Słowa były nieco zniekształcone, ale zrozumiałe.

– Halo?

Valentina nie słyszała rozmówcy Altieriego, więc musiała się zadowolić połową konwersacji.

– Tak. Już wiem. Dziękuję.

Przerwa.

– Wredna suka, nic dodać, nic ująć.

Przerwa.

– Lepiej, by o tym nie wiedziała. Trzeba z tym skończyć.

Jeszcze jedna przerwa.

– Nie, nie. Sam musisz się tym zająć. Bo jak ja się do tego wezmę... lepiej nie, uwierz mi. Oczywiście lepiej dla niej. – Zaśmiał się nieprzyjemnie.

Chwilę później muzyka zabrzmiała głośniej i Altieri wesoło zaśpiewał kawałek przeboju *Una donna per amico*.

Kiedy funkcjonariusz wrócił z przerwy na kawę, Valentina czekała na niego, stojąc przy drzwiach.

– Co się stało, *dottoressa*? Mamy coś nowego?

– Altieri ma jeszcze jeden telefon.

Policjant popatrzył na nią bez słowa, po czym usiadł powoli przy swoim stanowisku i sięgnął po słuchawki.

– Zrozumiał pan, co powiedziałam?

– Tak, ale... nic mi o tym nie wiadomo...

Wbiła w niego wzrok. Ogarnęła ją zimna, gwałtowna złość.

– Naprawdę? Nikt z was wcześniej nie zauważył, że podejrzany ma jeszcze jedną komórkę, o której istnieniu nie mamy pojęcia? Na szczęście teraz odebrał i usłyszałam fragment rozmowy...

Funkcjonariusz uderzył w klawiaturę, a wtedy ikony symbolizujące rozmowy wraz z grafiką obrazująca dźwięk zatańczyły na ekranie.

– Możliwe, że kupił ją niedawno... i sprawił sobie nowy numer.

– Czyżby? Wystarczy sprawdzić listę rozmów, nie sądzi pan?

– Powinna pani porozmawiać o tym z szefem! Jak nic nie wiem na ten temat.

W końcu ten Altieri to żadna moja rodzina!

Mężczyzna nałożył słuchawki i z ostentacją wlepił wzrok w monitor.

Lomastro potraktował ją jeszcze gorzej.

– Czego ode mnie oczekujesz? Mam ci rozłożyć czerwony dywan? Twój podejrzany ma nowy telefon? No i co z tego? Dopiero teraz się dowiedziałas? No to twój problem, bo ty prowadzisz śledztwo!

Valentina stała przy jego biurku. Czowała, jak kipi w niej złość, a nie mogła ani nie chciała pozwolić sobie na wybuch. Musiała trzymać nerwy na wodzy, chociaż miała ochotę rzucić się do gardła oślizłemu policjantowi i wygarnąć mu całą swoją pogardę. Na co by się to jednak zdało?

– Twoi ludzie są odpowiedzialni za podsłuch, a ja muszę korzystać z ich pracy, bo nie mam innego wyjścia. Jeśli odkryli, że Altieri ma nowy numer, którego wcześniej nie znaleźliśmy, powinni byli mnie uprzedzić, żebyśmy mogli go kontrolować. Nie mogę skutecznie prowadzić śledztwa, skoro ukrywacie przede mną fakty...

– Organizacja pracy to twój problem.

– Naprawdę? – Valentina oparła dłonie na lśniącem czystością biurku komendanta, wysuwając się do przodu.

Mężczyzna otrząsnął się i odsunął instynktownie.

– No to ci powiem, że mamy poważniejszy problem – syknęła w bladą twarz Lomastra. – Ktoś poinformował Altieriego o podsłuchu. Pewnie jeden z twoich współpracowników.

Lomastro spojrzał jej w oczy. Odzyskał spokój i patrzył na nią wyzywająco.

– To bardzo poważne oskarżenie...

– Czyżby? – nie ustępowała komisarz Medici.

– Nie przeciągaj struny. Oboje wiemy, jak się sprawy mają. W Rzymie nie mogą się doczekać zakończenia śledztwa, żeby wysłać cię na zabitą dechami prowincję... A ja też mam już tego wszystkiego dość. Z naszej strony otrzymałaś pomoc, jakiej potrzebowałaś...

– Może ktoś korzysta z twojej pomocy, ale na pewno nie ja...

– Twoje pomówienia są obraźliwe. Tym razem przesadziłaś!

Lomastro wstał zza biurka, ale nie zdołał zmienić wyniku konfrontacji, Valentina bowiem nie ruszyła się ze swego miejsca. Komendant zachwiał się niepewnie.

– Ktoś przekazuje Altieriemu informacje – powiedziała.

– Masz na to dowody?

Miała ochotę potwierdzić. W końcu treść rozmowy telefonicznej, którą przypadkiem usłyszała, była jednoznaczna.

Wredna suka, nic dodać, nic ująć.

Rozmawiali o niej i o śledztwie. Kiedy podejrzany wspomniał, że będzie lepiej, jeśli to nie on zajmie się rozwiązaniem problemu, w jego głosie zabrzmiała złowroga nuta, która przyprawiła Valentine o dreszcze. A to jeszcze nie wszystko. Altieri nie był półgłówkiem. Skoro dostał cynk, że ma pluskwę w samochodzie, to wiedział, że policjantka przysłuchuje się rozmowie. I mimo to wcale się nie krył.

Przekazał jej ostrzeżenie.

Słuchając jego głosu, wyczuła tę samą zimną barwę, którą zauważyła w oczach mężczyzny w dniu, kiedy przeszukiwali posiadłość. Claudio Altieri był niebezpieczny i nieprzewidywalny. Otrzymał wiadomość, że komisarz Valentina Medici nie spuszcza go z oka, i zupełnie się tym nie przejął. Wręcz przeciwnie, podjął wyzwanie.

Tylko że nie miała żadnych dowodów, nie miała na niego nic konkretnego i Lomastro dobrze o tym wiedział. Prawdopodobnie to właśnie komendant ostrzegł Altieriego. Przecież to właśnie on zalecał jej daleko posuniętą ostrożność. To on wyjaśnił jej, jakie są pozycja i znaczenie Federica Zernicha w Padwie. Podejrzenia w stosunku do najważniejszego współpracownika mogły zdenerwować pracodawcę.

– No i co? – nie rezygnował Lomastro, korzystając z jej niepewności, jakby już wyczuł zbliżające się zwycięstwo. – Masz dowody? Bo ja będę musiał spisać raport na temat twoich śmiesznych insynuacji, znasz procedury, prawda? Nie mam zamiaru wysłuchiwać bezpodstawnych oskarżeń pod adresem moich ludzi. Zresztą to ja jestem za nich odpowiedzialny. Nikt nie będzie podważał uczciwości moich funkcjonariuszy...

– Ja nie jestem „nikt” – przerwała mu ze złością Valentina. – Ja jestem tą suką, o której wspominał twój znajomy. Przypomnij mu o tym, kiedy się ponownie zdzwonicie.

Znów zrobiło się bardzo zimno. Niebo było ciemne, a nabrzmiące chmury zwiastowały kolejną śnieżycę, chociaż zbliżał się już luty. Mieszkańcy tych okolic są przyzwyczajeni do zimnych frontów z północy, które każdego roku dają się im we znaki.

Kiedy Valentina wyszła z budynku komendy, zaskoczył ją widok dziwnej poświaty zalewającej ulice. Nieśmiała biel rozjaśniała głębokie ciemności. Nagle się zorientowała, że nie włączono jeszcze oświetlenia.

Poprawiła torbę i ruszyła w stronę hotelu. Miasto wydało jej się nienaturalnie ciche. Do tego stopnia, że słyszała odgłosy własnych kroków.

Nocny spacer okazał się relaksujący. Uśmierzył złość, która się w niej kotłowała. Pozwolił jej się zdystansować od podłości Lomastra i jego infantylnych intryg. I pomógł jej podjąć trudną decyzję.

Dalsze losy śledztwa były przesądzone. Altieri wiedział, że policja depta mu po piętach, a nie był głupcem. Dał jej to wyraźnie do zrozumienia. Skoro już wcześniej trudno było znaleźć dowody na poparcie tezy forsowanej przez Valentine, to teraz należało to uznać za niemożliwe. Jedyne, co jej pozostało, to sporządzenie wyczerpującego raportu i przekazanie go do prokuratury. Przyszła pora na ostateczne zamknięcie śledztwa, ale komisarz Medici mogła przynajmniej umieścić w sprawozdaniu swoje ostatnie ustalenia. Podejrzения dotyczące osoby Altieriego i wydarzeń, do których doszło przed laty na terenie posiadłości Zernichów, pozostaną w archiwum i gdyby w przyszłości jakiś lepiej przygotowany śledczy chciał wrócić do sprawy, to przynajmniej miałby punkt zaczepienia.

Valentina obawiała się jednak, że cała ta historia wcale się nie skończyła. Jeśli Sileri nie był jedynym sprawcą wykrytych zbrodni, to jego pomocnik lub pomocnicy musieli być tak samo niebezpieczni jak on. Wystarczyło uzbroić się w cierpliwość i poczekać na kolejną ofiarę, a wtedy cała maszyna śledcza będzie musiała ruszyć od nowa.

Miała jedynie pewność, że kiedy krew znowu się poleje, ona będzie już zupełnie gdzie indziej.

Szła przed siebie zamyślona i nie zauważyła uliczki, w którą powinna skręcić, aby dotrzeć do hotelu. Otaczające ją ciemności nakazywały zdwojoną ostrożność. Czyżby w mieście doszło do jakiejś awarii oświetlenia? I nikt się nie buntował? Nie słyszała nawet wycia syren ani zwykłych odgłosów ruchu ulicznego. Miała wrażenie, jakby zamknięto ją w dźwiękoszczelnej bańce.

Zawróciła zdeorientowana. W tej części miasta wszystkie zaułki wyglądały tak samo, wygładzone upływem czasu kamienie bruku lśniły w mroku, okna wznosiły się kilka metrów nad ziemią, a arkady biegnące po obu stronach chwytały wieczorne cienie. Gdzie, do diabła, podziła się ulica dell'Arco? Była pewna, że dopiero co ją minęła, a tymczasem nie mogła jej odnaleźć. Miała wrażenie, że ktoś pomieszał zaułki i kamienice, aby utrudnić lub uniemożliwić jej powrót do hotelu.

Poczuła na karku powiew zimnego powietrza. Odwróciła się gwałtownie. Za nią były jedynie pusta uliczka i ciemność gęstniejąca pod arkadami. Żadnego śladu człowieka. Żadnego ruchu. A jednak nieprzyjemny podmuch przywołał na myśl wspomnienie złej, niewidzialnej istoty, która od dawna śledziła ją z oddali, a teraz postanowiła podejść bliżej.

Spojrzała przed siebie i zdążyła jeszcze zauważyć postać, która szybko zniknęła w pobliskiej bramie. Nie dostrzegła blasku światła towarzyszącego zazwyczaj otwieraniu drzwi. Ktokolwiek przyczaił się we wnęce, ciągle tam był i czekał. Sięgnęła dłonią do pasa i zdała sobie sprawę, że jest nieuzbrojona. Zostawiła pistolet w szufladzie w biurze, co jej się czasami zdarzało, gdy spędzała wiele godzin za biurkiem.

Wpatrywała się w mrok, próbując dostrzec najdrobniejszy ruch. Czyżbym pozwalała sobą manipulować? – pomyślała. Chyba naprawdę nadszedł czas, żeby się wycofać.

Ruszyła przed siebie i nagle po lewej zauważyła zaułek dell'Arco, skrót, na końcu którego błyszczał neon hotelu, jedyne źródło światła w okolicy. Odetchnęła z ulgą, chociaż czuła, że zachowuje się nedorzecznie.

Dotarła do wejścia, nie odwracając się za siebie, mimo że zdawało jej się, że słyszy szybko zbliżające się kroki. Przeczucie podpowiedziało jej, że zimna dłoń zaraz zaciśnie się na jej szyi. Przebiegła przez hol, weszła po schodach i znalazła się pod drzwiami swojego pokoju. Domyśliła się, że coś jest nie tak, gdy wsunąwszy kartę w czytnik magnetyczny, odkryła, że drzwi są otwarte. Po raz kolejny pożałowała, że nie ma przy sobie broni, po czym ostrożnie weszła do środka.

Nocna lampka stojąca przy łóżku była włączona i delikatnie oświetlała pomieszczenie. Na tyle wyraźnie, by Valentina zobaczyła bałagan i pootwierane szuflady.

Ktoś zakradł się do jej pokoju i przeszukał go dokładnie podczas jej nieobecności.

– Pewnie zwykły złodziej skorzystał z okazji. Wezwała pani techników?

Piovesan przyglądał się jej z miną wskazującą w połowie na zaskoczenie, a w połowie na fascynację. W komendzie tylko on traktował ją z szacunkiem, rozmawiał z nią i słuchał, co ma do powiedzenia. Valentina była trochę zawstydzona swoją opinią na temat chłopaka, bo w gruncie rzeczy okazał się przyzwoitym, choć prostym człowiekiem. Pomyślała, że lepiej byłoby nie angażować go specjalnie w kończące się śledztwo, bo wyobrażała sobie, że kiedy ona wyjedzie, to bezbronny policjant wpadnie w szpony Lomastra i pozostałych sępów z grupy operacyjnej. Postanowiła więc zbagatelizować całą sprawę, plując sobie w brodę, że opowiedziała mu o nocnym zajściu.

– Nie sędzę, żeby zostawili odciski palców. A poza tym nic nie ukradli.

Myśli komisarz Medici krążyły wokół jedyne go przedmiotu, który mógł zainteresować nietypowych złodziei: chodziło oczywiście o laptop, który zawsze zabierała ze sobą. Zabezpieczyła również komputer Fabia, bo już dawno przeniosła go do biura i zamknęła w jedynej szafce, którą jej przydzielono. Jeśli złodziej rzeczywiście szukał laptopów, to sytuacja była niepokojąca i należało lepiej zabezpieczyć sprzęt.

– Rozmawiała pani z szefem? – zapytał Piovesan, który stanął na progu i zastanawiał się, czy wejść do środka.

– Nie, to naprawdę nic ważnego, nie ma sensu robić afery. To pewnie złodzieje specjalizujący się w obrabianiu pokoi hotelowych. Niepotrzebnie zawracam ci głowę.

No właśnie, po co w ogóle mu o tym wspominała? Może dlatego, że miała dość samotności? Brakowało jej kolegów, z którymi zwykle pracowała, wymieniając pomysły i analizując kolejne elementy śledztwa. Brakowało jej nawet sarkastycznych komentarzy tego niewdzięcznika Angela Zukki. Czuła się zupełnie bezbronna i pozbawiona wsparcia.

Zaniepokojony Piovesan się pożegnał, a Valentina nie odrywała wzroku od komputera. Na ekranie widniał ostateczny raport przeznaczony dla prokuratora – wersja przerabiana i dopracowywana aż do bólu. Wreszcie zakończy raz na zawsze sprawę Sileriego, by już nigdy do niej nie wrócić. Z jednej strony czuła ulgę, a z drugiej męczyło ją poczucie klęski potęgowane obojętnością kolegów.

Nic jej już nie obchodziło. Wydarzenia ostatniego wieczoru przeważyły szalę. Właściciel hotelu zapewnił ją, że nigdy wcześniej nic podobnego nie miało miejsca,

i zachodził w głowę, jak to możliwe, że ktoś dostał się do pokoju komisarz, nie uruchamiając przy tym alarmu. Valentina była przekonana, że nie chodziło o zwykłego złodziejaskę, ale postanowiła zachować to dla siebie. Była naprawdę przestraszona, choć nie miała stuprocentowej pewności, że wydarzenia ostatniego wieczoru są powiązane ze śledztwem. Czuła się jak tchórz, lecz nie chciała zmieniać raz powziętej decyzji.

Nie mogę tego dłużej ciągnąć. Nie chcę się bać. Muszę jak najszybciej wrócić do domu. Przecież zrobiłam wszystko, co w mojej mocy.

Co jakiś czas niczym widmo powracało wspomnienie Fabia, który nie zgadza się z jej wyborem. Przynajmniej miała na kim wyładowywać złość. W końcu był ostatnią osobą, z której powinna brać przykład.

Wykonała swoją pracę najlepiej, jak mogła. Zakończono działania związane z podsłuchem. Nagrania rozmów Claudia Altieriego zabezpieczono i przygotowano do wysłania do prokuratury, gdzie trafią na stos innych dokumentów i dowodów, by odejść w zapomnienie razem z całym śledztwem.

Pośród ułożonych na biurku akt znajdowała się stara, pożółkła teczka z napisem: ZGŁOSZENIE ZAGINIĘCIA – PROWINCJA WERONA, która zawierała dokumentację z komendy głównej w Weronie dotyczącą sprawy ukrzyżowanego bezdomnego, Sebastiana Zorzina. W czasach, gdy dokumenty przesyłano jeszcze pocztą, grupa operacyjna z Werony wysłała faks do wszystkich lokalnych posterunków w celu „współpracy podczas poszukiwań”. Zgłoszenie zawierało zdjęcie zaginionego kloszarda, ale bardzo złej jakości, w praktyce była to czarna plama uniemożliwiająca identyfikację. Były też dodatkowe szczegóły mogące pomóc w poszukiwaniach, chociaż w rzeczywistości chodziło raczej o wypełnienie procedury biurokratycznej niż o konkretne działania zmierzające do odnalezienia nieszczęśnika. Wszystko zgodnie z regulaminem.

Komenda w Padwie ze swej strony stworzyła automatycznie plik z dokumentacją, który trafił pewnie na biurko jakiegoś funkcjonariusza, gdzie przeleżał spokojnie kilka miesięcy, zanim został przekazany do archiwum. Zresztą ta sprawa w żaden sposób nie dotyczyła okolic Padwy ani jej mieszkańców, więc nawet najbardziej zmotywowany śledczy nie wiedziałby, od czego zacząć.

Valentina wyciągnęła z archiwum te akta, aby mieć czyste sumienie, ponieważ nadzieja, że mogą się na coś przydać, już dawno ją opuściła. A przecież wcześniej tak nie było. Wspomniała o tych dokumentach prokuratorowi, kiedy ten zapytał, czy policja rzetelnie prowadziła poszukiwania kloszarda.

Komisarz Medici pamiętała, że zdziwiła ją informacja znaleziona w chudej teczce, na temat obławy na pedofilów, w czasie której policja weszła w posiadanie słynnej

kasety wideo. Zaskoczyło ją, że policjant, który przygotował dokumentację, powiązał ze sobą dwie na pozór odrębne sprawy: zniknięcie Zorzina i wideo. Mogło to przyjąć do głowy jedynie komuś, kto obejrzał film i rozpoznał na nim bezdomnego starca, którego historię znał i pamiętał.

Pewnie chodziło o zwykły zbieg okoliczności. Jeden z tych tajemniczych elementów, które już na zawsze pozostaną niewyjaśnione. Przynajmniej dla niej.

Odłożyła na bok ostatnie strony ze starej dokumentacji i dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że jeden z pozólkłych gazetowych wycinków umieszczony w teczce razem z resztą papierów nosił w rogu ślady niewyraźnych bazgrołów. Było to kilka linijek tekstu na temat zaginięcia Sebastiana Zorzina. Atrament z czasem wyblakł i był już niemalże niewidoczny, a Valentina zdołała go dostrzec jedynie dlatego, że padł nań blask światła.

Rozłożyła skrawek na blacie biurka i skierowała na niego snop światła lampy, którą pochyliła najniżej, jak się dało. Od razu pojawiły się zapisane piórem litery wyglądające niczym pociągnięcia palcem po zaparowanym lustrze.

TO NIE PIERWSZY RAZ. SPRAWDŹ MORDERSTWO ALBANESI – BORDONI. 1970.

Wpatrywała się w karteluszek, który jakimś cudem nie wypadł ze starej teczki przez te wszystkie lata. Napis był ledwo widoczny. Czarny atrament wyblakł i stał się szary. Przeczytała na głos poszczególne słowa, upewniając się, że to wszystko prawda.

TO NIE PIERWSZY RAZ.

1970.

MORDERSTWO.

Jedenastego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku po przyjęciu anonimowego zgłoszenia na numer alarmowy 113 patrol policji został wysłany do wsi Tombelle leżącej w otoczeniu samych pól nad rzeką Brenta. Na terenie opuszczonego gospodarstwa rolnego znaleziono zwłoki Marca Albanesiego, dwudziestodwuletniego narkomana, oraz Lindy Bordoni, trzydziestoletniej prostytutki. Oboje pochodzili z Padwy. Podcięto im gardła ostrym narzędziem, a zbrodni dokonała prawdopodobnie ta sama osoba. Precyzyjne cięcia z lewej ku prawej wykonano przypuszczalnie brzytwą.

W tym zabójstwie nietypowa była pozycja, w jakiej znaleziono ciała.

Marco i Linda stali podtrzymywani sznurami oraz hakami, przymocowani do prymitywnej drewnianej konstrukcji opartej o ścianę. Morderca ułożył ich zwłoki tak, że stały naprzeciwko siebie z dłońmi splecionymi za plecami partnera, a ich twarze połączył przerażający śmiertelny pocałunek. Dodatkowy rekwizyt stanowiły dwa skrawki prześcieradła zakrywające głowy i twarze ofiar, tak że ich pocałunek odbywał się przez materiał.

Scena była dość prymitywna, lecz mimo to sugestywna. Morderca użył sznurów zakończonych żelaznymi hakami, które przebijając tkankę mięśniową, zaczepiły się o kości. Według prowadzących dochodzenie makabryczny obraz miał przypominać słynne dzieło Magritte'a noszące tytuł *Kochankowie*. Nie było w nim jednak nic z romantycznej magii oryginału.

W czasie sekcji zwłok ustalono, że obie ofiary zostały najpierw uśpione przy użyciu silnego narkotyku, a potem zamordowane. Wszystkie pozostałe rany zadano im już po śmierci.

Śledczy przetrząsnęli padewski półświatek, w którym królowały narkomania do spółki z prostytutką, ale nie przyniosło to żadnych konkretnych rezultatów. Najważniejszy, zdawałoby się, szczegół dotyczący ułożenia zwłok media dziwnym trafem pomijały milczeniem. Tylko jedna lokalna gazeta pokusiła się o przywołanie obrazu Magritte'a i wysunęła tezę, że zabójca może być psychopata, ale tego pomysłu nikt nie podchwycił. Sprawa od razu została określona mianem morderstwa serii B. Narkoman i prostytutka nie poruszyli sumień policjantów ani opinii publicznej, zwłaszcza że nie odnotowano więcej podobnych zbrodni.

Valentina z łatwością odnalazła informacje powiązane z zapiskami na marginesie artykułu opisującego zniknięcie Sebastiana Zorzina. W tysiąc dziewięćset

siedemdziesiątym roku w prowincji padewskiej doszło jedynie do dwóch zabójstw, a opis zbrodni dokonanej na Albanesim i Bordoni był na tyle szczegółowy, że od razu przywoływał na myśl ukrzyżowanie nieszczęsnego kloszarda. Niestety nie istniały dowody dotyczące jego śmierci, a obie sprawy dzieliło aż dwadzieścia pięć lat.

I kolejnych dwadzieścia pięć upłynęło, zanim Luca Sileri zaczął mordować kobiety i dzieci przypominające wyglądem postaci z obrazów Caravaggia. Valentina nie mogła uwierzyć własnym oczom. Artykuł z gazety z odręczną notatką na marginesie sprawiał, że wszystkie dotychczasowe ustalenia wydawały się wątpliwe.

Valentina spojrzała na Piovesana, który wydobył z archiwum akta dotyczące podwójnego zabójstwa z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku.

– Nie znalazłeś nic więcej? – zapytała.

Chłopak się zaczerwienił, co zresztą zdarzało mu się prawie za każdym razem, gdy komisarz Medici się do niego zwracała.

– Nie ma pani pojęcia, *dottorossa*, ile czasu zajęło mi znalezienie tej teczki. To stara dokumentacja, która nigdy nie została wprowadzona do cyfrowej bazy i poniewierała się w magazynie, czekając na przemiał. Zdaje sobie pani sprawę, jak wygląda to przeklęte miejsce? – W końcu ugryzł się w język, bo chyba się zorientował, że za dużo gada.

Cyfryzacja policyjnych archiwów rozpoczęła się przed laty i postępowała wstecz, ale niezależnie od podejmowanych wysiłków, by wprowadzić do bazy nawet dokumentację sprzed wielu lat, ciągle nie udało się zakończyć procedury. Masę akt z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, które nie zostały zniszczone, na zawsze pozostawiono w wilgotnych, zatęchłych piwnicach, gdzie gnęły spokojnie lub ewentualnie służyły za pożywienie wygłodniałym gryzoniom.

Niemniej jednak było co najmniej dziwne, że po tamtej sprawie nie pozostało nic więcej. Teczka zawierała wszystkie formularze wypełniane na początku śledztwa – rezultaty sekcji zwłok, raporty grupy operacyjnej, która pierwsza dotarła na miejsce – ale nie było żadnych wniosków. Brakowało pisemnych decyzji podjętych przez wymiar sprawiedliwości oraz końcowego sprawozdania zawierającego szczegółowy opis postępów w śledztwie. Wyglądało na to, że nikt nie był specjalnie zainteresowany skazaniem mordercy Marca Albanesiego i Lindy Bordoni. Nawet prasa nieszczególnie poważnie podeszła do zbrodni, chociaż przecież chodziło o jedyne w swoim rodzaju przestępstwo.

Według innej hipotezy ktoś mógł zniszczyć resztę dokumentacji, lecz Valentina uznała, że jest zbyt wcześnie na podobne wnioski.

– Piovesan, czy możesz wyświadczyć mi ostatnią przysługę? – zwróciła się do młodego policjanta, który od razu stanął na baczność. – Znajdź wszystko, co zdołasz,

na temat Albanesiego i Bordoni... Żyjących krewnych, przyjaciół, kogokolwiek, kto ich znał... Trzeba by też sprawdzić, kto przygotował dokumenty. Protokoły są co prawda podpisane imieniem i nazwiskiem, ale muszę się dowiedzieć, kto prowadził śledztwo.

– To nie będzie łatwe, *dottoressa*.

– Właśnie dlatego proszę o to ciebie – powiedziała, obdarzając go uśmiechem.

Chłopak znowu się zaczerwienił.

– Zrobię, co w mojej mocy. Może pani na mnie liczyć.

Kiedy Piovesan zniknął, by wypełnić zadanie, Valentina zajęła się analizą pracy wykonanej przez kolegów w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku. Jedyne dokumentacja zdjęciowa z miejsca przestępstwa wyglądała na całkowicie profesjonalną. Wiedziała, że w tamtych czasach żelazne zasady dotyczące zbierania dowodów na miejscu zbrodni nigdy nie były do końca respektowane. Po części dlatego, że nie istniały jeszcze ściśle określone reguły obowiązujące obecnie, a po części, ponieważ nie wszyscy zdawali sobie wtedy sprawę z doniosłości danych naukowych. W miejscach, gdzie znajdowano ciała ofiar zbrodni, krążyli więc policjanci, dziennikarze, sędziowie, lekarze, sanitariusze i nikt nie myślał o zachowaniu śladów. Kiedy pojawiali się technicy kryminalistyczni, pod warunkiem że ktoś zdecydował się ich w ogóle wezwać na czas, musieli pracować w mało komfortowych warunkach. Jedyne, co im pozostawało, to robienie zdjęć.

Valentina zajęła się więc przeglądaniem pośmiertnych fotografii Marka i Lindy, które pomimo upływu lat i niezbyt dobrej jakości druku ciągle sprawiały odrażające wrażenie. Upokarzająca scena przedstawiała ciała połączone nie w miłosnym uścisku, lecz za pomocą mechanizmu skonstruowanego z przekładni i rzeźnickich haków. Na fotografiach uwiecznione zostały też niepewne miny policjantów uczestniczących w oględzinach. I wreszcie wykonano koszmarne pierwszoplanowe ujęcia twarzy ofiar w stanie rozkładu oraz ich wilgotnych oczu.

Piovesan wrócił po godzinie i zastał komisarz Medici pochyloną nad zdjęciami. Policjantka ocknęła się z zadumy i spojrzała mu w oczy. Zamarła w oczekiwaniu.

Piovesan z radością przedstawił jej rezultaty swoich działań.

– Znalazłem nazwisko, *dottoressa* – obwieścił z dumą.

Valentina się uśmiechnęła, a serce Gabrieleego Piovesana zadrżało poruszone dziwną, bolesną tęsknotą.

Dwa dni później w środku nocy Valentina wybrała numer Fabia i poczuła ulgę, słysząc, że włącza się poczta głosowa. Nie chciała z nim rozmawiać, ale musiała się skontaktować, aby przekazać mu ważną wiadomość.

Kiedy się rozłączyła, poczuła, jak jej serce i dusza pogrążają się w otchłani rozpacz. Odniosła wrażenie, że wciąga ją głęboka przepaść, że wabi ją wypełniająca szczelinę ciemność. Nie podjęła walki, wprost przeciwnie, pozwoliła, by zawładnęło nią silne uczucie przygnębienia, by przygniotły ją ciężkie zwoje przerażenia. Wiedziała, że dopiero kiedy otworzy się na strach i spojrzy mu prosto w oczy, będzie w stanie stawić mu czoła.

Potem powoli powrócił spokój i udało jej się pogodzić ze snem. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie miała żadnych snów ani nie dręczyły ją koszmary.

Była prawie szczęśliwa.

Następnego dnia wszystko miało się rozstrzygnąć – niezależnie od tego jak.

Zapraszamy na rzeź

Kilka sekund wcześniej otulała go miękka ciemność połączona z kacem. Przyjemne kołysanie rozwiewało wspomnienia, osadzając go w wygodnej nicości.

Chwilę później musiał odpierać atak gwałtownych, bezlitosnych kolorów. Najpierw pojawiła się ognista czerwień, potem żywy pomarańcz zwiastujący potężny ból głowy. Nie zdawał sobie sprawy, że oglądanie powiek od wewnętrznej strony może sprawiać takie cierpienie, i postanowił je otworzyć.

Blask słońca wdzierał się do pokoju przez okna. Ktoś odsłonił żaluzje. Monica, jego pomoc domowa, stała nad nim z miną nazistowskiego oficera, którą Costa nie raz u niej widywał.

Chciał zaprotestować, ale z jego ust wydobył się niezrozumiały bełkot. Kobieta chwyciła go za duży palec u nogi i pociągnęła mocno.

– Czemu pan ze sobą nie skończy? Przynajmniej zdejmie pan ze mnie krzyż sprzątanego tego mieszkania trzy razy w tygodniu!

Zamierzał jej odpowiedzieć, że trzeba odwagi, aby popełnić samobójstwo, a ona nie ma tyle szczęścia w życiu, by się go pozbyć, lecz udało mu się jedynie chrząknąć.

– A może chociaż weźmie pan prysznic i pójdzie na spacer? – ciągnęła Monica, chodząc po pokoju z wyraźnym zamiarem zabrania się do sprzątanego.

Costa pomyślał, że to niesprawiedliwe, by kobieta wpadała do jego sypialni niczym prawdziwa furia, po czym zorientował się, że leży półnagi na kanapie w salonie, i poczuł dotkliwie zimno. Nie pamiętał nawet, od jak dawna znajduje się w takim stanie, chociaż pusta butelka jacka daniel'sa leżąca na dywanie sugerowała odpowiedź.

Usiadł na kanapie, ściskając dłońmi głowę, która pulsowała tak, jakby za moment miała wybuchnąć. Słyszał niewiarygodnie spokojny i słodki głos Moniki zapowiadający, że kobieta niedługo przygotowuje dla niego kawę.

– Co najmniej litr – mruknął, ale i tym razem nie miał pewności, że jego słowa są zrozumiałe dla postronnych.

Ostatnie tygodnie przypominały powolną, nieuniknioną podróż odbywającą się w gęstym, mulistym wirze, który z jednej strony łagodził cierpienie, a z drugiej ciskał umysł w otępienie. Na własne życzenie staczał się na dno piekła i nie sądził, że kiedykolwiek uda mu się wydostać z czeluści. Aż tu nagle pewnego ranka nachalny promień słońca i stara, bezczelna Monica chwytają go za kark (a raczej za duży palec u nogi) i wyciągają na powierzchnię. Jeszcze nie był całkiem świadomy, że uleczenie

głębokich ran będzie wymagało czasu, lecz dostrzegł światełko nadziei na ocalenie. Skąd ta zmiana? Co takiego wydarzyło się tej nocy?

Nagle coś sobie przypomniał. To musiały być fragmenty różnych, następujących po sobie snów. Czasami niespójne, czasami całkiem logiczne. I zawsze była w nich Valentina: smutna, uśmiechnięta, wściekła, rozczarowana, szczęśliwa. Dzwoniła do niego z prośbą o pomoc.

Valentina.

Wspomnienie sprawiło, że zadrżał. Nie złagodziło bólu głowy, który wprost przeciwnie, spotęgował się do granic wytrzymałości, zmuszając Fabia do jęków przypominających rżenie, ale zarazem dodało mu energii. Wzbudziło chęć, by poznać ostatnie nowiny, by porozmawiać, by prosić o wybaczenie, by wyjaśnić, że miała rację, że on nie jest człowiekiem, za jakiego próbował uchodzić. Miał nadzieję, że Valentina odbierze telefon. I pewność, że nie zechce słuchać jego usprawiedliwień.

Zdawał sobie sprawę, że powinien się pospieszyć, bo niewykluczone, że wkrótce znowu popadnie w stan odrętwienia i stoczy się na dno. A następny raz równie dobrze może być ostatnim.

Komórka była rozładowana, lecz kiedy z trudem podłączył ładowarkę, usłyszał serię dźwięków świadczących o otrzymanych esemesach, wśród których było kilka wiadomości głosowych.

Przesunął listę, próbując przystosować wzrok do nowej rzeczywistości, pociągającej, ale zbyt jasnej jak na jego gust, po czym skasował wszystkie prócz jednej, która sprawiła, że serce podeszło mu do gardła. Wiadomość od Valentyny. Właśnie od niej. Esemes sprzed dwóch dni.

Natychmiast połączył się z pocztą głosową i usłyszał znany harmonijny głos, w którym wyczuł jednak ślad emocji. Wysłuchał wiadomości z narastającym niepokojem, od pierwszego do ostatniego słowa.

Cześć, Fabio. Przepraszam, że nagrywam tę wiadomość... Wybacz porę, chociaż nie wiem, kiedy będziesz miał okazję jej wysłuchać... przepraszam za wszystko. Może popełniam błąd i powinnam poczekać, aż to ty poprosisz mnie o wybaczenie. Ale to bez znaczenia. Nie interesuje mnie również to, co zrobiłeś lub co ci się wydaje, że zrobiłeś. Sama już nie wiem, czy to ty jesteś potworem, czy ja. Teraz to nie ma żadnego znaczenia. Muszę ci coś powiedzieć... a skoro nie odbierasz i nie mogę z tobą porozmawiać, to chciałam przynajmniej poinformować cię, że u mnie wszystko w porządku, chociaż końcówka jest niezwykle trudna. Jestem tu sama i miałeś rację, mówiąc, że przyjdzie mi drogo zapłacić za mój upór. Chyba jednak udało mi się osiągnąć cel. Naprawdę, Fabio... wydaje mi się, że odkryłam, kto i jak... a wszystko to jest takie okropne i wstrząsające, że pewnie nikt mi nie uwierzy. Oczywiście poza tobą, bo ty na pewno zrozumiesz. W końcu ty

jeden mnie znasz, bo tylko tobie się zwierzałam. Na przykład nikt poza tobą nie wie, że nigdy nie lubiłam Caravaggia, nawet zanim zaczęliśmy prowadzić to śledztwo. Wbrew pozorom to nie jest szczegół bez znaczenia. Chciałabym, żebyś był tutaj. I to nie dlatego, że się boję. Chcę podzielić się z tobą swoimi odkryciami. Powtarzam ci, nic mnie nie obchodzi twoja przeszłość. Ja wiem, kim jesteś i co sobą reprezentujesz. A jeśli się mylę, to zapłacę rachunek. Chciałabym, żebyś był ze mną, kiedy zakończę nasze śledztwo...

Przerwa. W tle słychać dzwonek telefonu stacjonarnego. Valentina mówi dalej: *Teraz muszę już iść. Zostało mi niewiele do końca. Trzeba sprawdzić jeszcze kilka informacji. Muszę spotkać się z kimś, kto mi wszystko opowie. I wreszcie naprawdę będę mogła zakończyć tę sprawę... Będziesz ze mnie dumny.*

Znowu przerwa, tym razem dłuższa, jakby komisarz Medici zastanawiała się, co jeszcze dodać, ale potem wiadomość się kończy i w słuchawce zalega cisza.

Costa wpatruje się w wyświetlacz w oczekiwaniu, że telefon zadzwoni. Czeką na rozmowę, nie na wiadomość głosową. Ma nadzieję, że Valentina zaraz zadzwoni, żeby mu powiedzieć, że wszystko w porządku i że rozwiązała tajemnicę.

Komórka milczy.

Monica wraca z kawą, która dodaje mu sił, aby zadzwonić do Valentiny z wiadomością, że dołączy do niej, gdziekolwiek się teraz znajduje, i razem zakończą sprawę.

Valentina nie odpowiada. Próbuje jeszcze kilka razy z niedobrym przeczuciem w sercu, ale nadaremnie. Telefon nie daje znaku życia. Nie włącza się nawet poczta głosowa. Słychać jedynie słaby, niepokojący szelest.

Przez telefon Loris Manna nie ukrywał zaskoczenia, ale wydawał się też zadowolony.

– *Dottore!* Jak miło pana słyszeć. W Volterze nie mieliśmy okazji się pożegnać. Jak się pan teraz czuje?

Costa nie zrozumiał, czy pytanie dotyczy ran fizycznych, czy też tych niewidocznych, a zdecydowanie głębszych, które odsunęły go od świata na jakiś czas. Niezależnie od tego postanowił postawić na szczerość. W końcu zadzwonił do Lorisa, bo właśnie on wydał mu się najbardziej godny zaufania w rzymskiej grupie.

– Jeśli chodzi o ciało, to wszystko w porządku. Prawie całkiem wyzdrowiałem, rany się zagoiły i teraz czekam tylko na przeniesienie. Jeśli nowe miejsce będzie mi odpowiadać, to może nawet się zgodzę.

– No tak, słyszałem. Będzie pan musiał zapłacić za niesubordynację. Przykro mi.

– To nie ma znaczenia. Naprawdę. Jesteśmy żołnierzami i idziemy, gdzie nas wysyłają. Dzwonię do ciebie w innej sprawie. Chodzi o Valentine. Próbuję się z nią skontaktować, ale ma wyłączony telefon. Wiem, że pojechała do Padwy, żeby zakończyć śledztwo, i chciałem się dowiedzieć, jak sobie poradziła...

W milczeniu kolegi wyczuł wiadomość, że coś jest nie tak.

– Loris, jesteś tam?

– Tak, ale jestem w biurze... Proszę poczekać, zadzwonię za pięć minut, dobra?

Costa się rozłączył, niepokój o Valentine narastał jednak razem z obawą, że przytrafiło jej się coś złego. Loris wydawał mu się zakłopotany, lecz może to tylko początki paranoi?

Policjant oddzwonił dopiero po dziesięciu minutach, a Costa, który nie wypuścił telefonu z ręki, odebrał od razu po pierwszym sygnale.

– Co się dzieje, Loris?

– Nie wiem, jak to powiedzieć, ale... *dottoressa* Medici zniknęła.

– O czym ty mówisz?

– Tu wszyscy udają, że nic się nie stało. Sądzę, że specjalnie bagatelizują sprawę. Podobno *dottoressa* wzięła kilka dni urlopu, lecz od zeszłego tygodnia nikt się z nią nie kontaktował. Nie pojawiła się ani w centrali, ani u siebie w domu.

– Przecież pojechała do Padwy... Co mówią w tamtejszej komendzie?

– Tu nikt się nie zainteresował, więc przejąłem inicjatywę i zadzwoniłem do nich. Powiedzieli, że zakończyła swoją misję i w zeszły piątek wyjechała do Rzymu.

Costa zamilkł. Przez chwilę czuł się tak, jakby wpadł do lodowatej wody. Zaprażył się pograć się znowu w alkoholowym amoku, ale zebrał siły, by oddalić pokusę.

Jego przeczucie okazało się prawdziwe. Valentina zniknęła i nikt nie ruszył palcem, by ją odnaleźć.

– Jak pan myśli, co się stało? – zapytał Loris, przerywając przeciągającą się ciszę. Głos nieznacznie mu drżał.

Tymczasem Costa już podjął decyzję.

– Loris, potrzebuję twojej pomocy.

– No pewnie. Co mam robić?

– Mnie nic nie powiedzą, więc ty musisz zasięgnąć języka. Dowiedz się, w jakim hotelu zatrzymała się Valentina w Padwie. I muszę wiedzieć, nad czym pracowała, wspominała mi o nowych poszlakach, ale nie znam szczegółów... Spróbuj się też skontaktować z jej znajomymi w Rzymie, może się do kogoś odzywała? Nawet nie wiem, czy ma jakichś krewnych...

– Chyba jest sama, tak jak pan. O, przepraszam...

Costa uśmiechnął się gorzko, słysząc gafę kolegi. Loris miał rację, zarówno on, jak i Valentina byli sami. On z własnej winy. A ona?

Tymczasem Loris próbował naprawić błąd.

– To znaczy, chciałem powiedzieć, że została sama w sensie dosłownym. Kiedy szef wysłał ją do Padwy, nikt z nią nie pojechał. Pamięta pan Angela Zuccę? Wyznał mi, że czuje się trochę winny, bo *dottoressa* prosiła go, by jej towarzyszył, a on odmówił. A skoro ktoś taki jak Zucca ma wyrzuty sumienia, to znaczy, że sytuacja Valentiny była naprawdę nie do pozazdroszczenia.

– Właśnie to mnie niepokoi. Zabieraj się do roboty, Loris.

– Zrobię, co będę mógł, i odezwę się, jak tylko zbiorę informacje. Powinienem powiedzieć coś jeszcze...

– Słucham. – Costa już wiedział, że musi się spodziewać najgorszego.

– Kiedy kazano nam wracać do Rzymu, myśleliśmy, że wraz ze śmiercią Sileriego sprawa się skończyła. Zresztą od razu skierowano mnie do innych zajęć. Ale pamięta pan te dziwne zaszyfrowane rozmowy, które śledziliśmy w sieci?

– Masz na myśli czaty na temat obrazów Caravaggia? Guido Marchesi był w to zamieszany... No pewnie, że pamiętam.

– Nie mieliśmy okazji później o tym rozmawiać... po tym wszystkim, co się wydarzyło na terenie posiadłości...

– Loris, możesz mi wyświadczyć przysługę?

– Tak? – Manna się zawahał jak ktoś, kto obawia się zmyłki.

– Czy możemy przejść na ty? Będę czuł się swobodniej.

– Aaa, o to chodzi... No pewnie. Dziękuję.

– Świetnie, a teraz mów, czego się dowiedziałeś.

– A więc jak panu... jak ci wspominałem, po tym, jak znalazłem w Darknecie te fragmenty rozmów, skontaktowałem się z FBI, konkretnie z Cyber Division. Przekazałem im wszystkie informacje na temat czatu, na który natrafiliśmy. A oni się tym zajęli... Myślę, że mają swoich tajniaków do tego typu zadań. Ich prawo regulujące działania pod przykrywką nakłada znacznie mniejsze ograniczenia...

– I co dalej?

– Właśnie wczoraj zadzwonił do mnie detektyw David Minetti, sympatyczny typ, a zarazem bardzo rzeczowy. Udało im się wkręcić do różnych grup na czacie i zidentyfikowali jednego z użytkowników, którego wcześniej namierzyliśmy, tego o pseudonimie Nightgaunt, co interesował się *Ekstazą Świętego Franciszka*. Już od jakiegoś czasu śledzą jego ruchy w sieci, bo uważają, że ma osobowość kryminalisty socjopaty, i chcieliby zapobiec ewentualnej tragedii. Poza tym jest jeszcze kilka nowinek z naszego podwórka. Pierwsza dotyczy reakcji Internetu na zlikwidowanie Sileriego... pojawiło się sporo komentarzy... Sileri ma swoich fanów. Wygląda na to, że w niektórych nieoficjalnych grupach zawrzało...

– Co to znaczy, że zawrzało?

– Chodzi o challenge... swego rodzaju zawody w okrucieństwie, i Włochy pojawiają się w tym kontekście dość często.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Koledzy z FBI też nie, jeśli mam być szczery. Minetti obiecał, że prześle mi transkrypcje czatów i będzie mnie informował o postępach w śledztwie. Może to nie ma żadnego związku z...

W innych okolicznościach Costa poważnie by się zastanowił nad nikłym związkiem, analizując wszystkie możliwe konsekwencje. Informacja wydawała się bowiem bardzo ważna. Tylko że teraz nie miał czasu się tym zajmować. Nie zamierzał skupiać się na zbrodniach inspirowanych twórczością Caravaggia czy jakiegoś innego wyklętego artysty. Chciał tylko odnaleźć Valentine.

Podziękował Lorisowi, zakończył rozmowę i wpatrywał się w ścianę przed sobą, na której wisiała reprodukcja *Ogrodu rozkoszy* Hieronima Boscha, którą podarowano mu przed laty. Styl obrazu zupełnie różnił się od malarstwa Caravaggia. Na płótnie przedstawiono fantastyczne stwory, alegoryczne sceny i zdeformowane potwory. Tych postaci na pewno nie spotka przypadkiem na ulicy i nie będzie musiał rozwiązywać żadnej tajemnicy poza tą związaną z flamandzkim symbolizmem.

Pod wielkim obrazem stała otwarta walizka, przygotowana na przyjęcie zawartości.

Pół godziny później Costa wciskał pedał gazu, a ciepłe promienie słońca odbijały się od przedniej szyby samochodu. Nie włączył radia. Pozwolił, by towarzyszyły mu w drodze jego własne głośne myśli.

Na przekór nazwie Excelsior oraz pretensjonalnej fasadzie hotel, w którym zatrzymała się Valentina, był tak naprawdę luksusowym pensjonatem prowadzonym przez członków rodziny. Costa dotarł na miejsce o zmroku i bez problemu wynajął pokój. Po rozpakowaniu walizki wziął szybki prysznic, a zaraz potem zszedł na dół i wdał się w pogawędkę z właścicielem. Mężczyzna nazywał się Rubatto i był prawdziwym padewczykiem, którego rodzina od pokoleń żyła w mieście. Miał pięćdziesiąt lat, chociaż wyglądał na więcej, i lubił spędzać czas na rozmowach z klientami.

Kiedy Costa przedstawił się jako zastępca komendanta policji i poprosił o wieści na temat Valentyny Medici, oczy jego rozmówcy niespodziewanie rozbłysły radością.

– O, *dottoressa*! Wymarzony gość, zawsze uprzejma i serdeczna. A do tego taka piękna! – dodał i spojrzał ukradkiem na Fabia, jakby chciał się przekonać, czy łączy ich coś więcej niż tylko przyjaźń.

– Mieliśmy się tu spotkać – wyznał, przyjmując konspiracyjną minę i potwierdzając tym samym podejrzenia właściciela – ale wszystko wskazuje, że na mnie nie poczekała – dodał ze smutkiem, zmieniając wyraz twarzy na strapiony.

Rubatto niemal się wzruszył.

– Aha... ale przecież *dottoressa* wróci, prawda?

– Tak panu powiedziała?

– Nie, tak twierdzili jej koledzy, którzy przyszli po walizki.

– Jak to po walizki? To znaczy, że nie zabrała ich ze sobą?

– Sądzę, że wyszła tylko z torebką. Walizki zostały w pokoju. Ale skoro zapłaciła za cały miesiąc, to na pewno wróci – oświadczył ze stuprocentową pewnością kogoś, kto nie ma pojęcia, co się naprawdę wydarzyło. – Zresztą potwierdzili to policjanci z komendy... – Uśmiechnął się z miną współnika zaszczyconego faktem, że funkcjonariusze uznali go za godnego takiej ważnej informacji.

Costa zamyślił się, próbując zachować spokój.

– Tak, tak, to moi koledzy. Czy podali panu nazwiska?

– Prawdę mówiąc, rozmawiałem tylko z jednym z nich, bo drugi został na zewnątrz. Nie przedstawił się, tylko okazał legitymację, a potem zabrał walizki z pokoju. Powiedział, że *dottoressa* musiała wyjechać, ponieważ otrzymała ważne zadanie do wypełnienia, ale że niedługo wróci. – Po raz pierwszy zmienił wyraz twarzy. – Czy coś się stało? – zapytał zaniepokojony, a jego wiara w przedstawiony przez policję przebieg zdarzeń wyraźnie się zachwiała.

– Nie, nie... Chciałem się dowiedzieć, kto zabrał bagaże Valentyny, żeby mu podziękować.

– A, rozumiem. Mam nadzieję, że *dottoressa* nie zrezygnowała z pobytu po tym, co się wydarzyło w ubiegłym tygodniu...

– O czym pan mówi?

Na twarzy właściciela pojawił się grymas zakłopotania i jednocześnie szczerego żalu.

– Nigdy wcześniej nic takiego się u nas nie zdarzyło. Naprawdę nigdy przez wszystkie te lata, kiedy prowadzę hotel! Ktoś zakradł się do jej pokoju z wyraźnym zamiarem kradzieży. Na szczęście nie było tam nic wartościowego, ale *dottoressa* i tak się przejęła. To zresztą zrozumiałe... zastała wszystko przewracane do góry nogami...

Costa coraz bardziej się denerwował. Ta cała historia z funkcjonariuszami, którzy przyszli po bagaże Valentyny, zupełnie nie trafiła mu do przekonania. A sprawa z włamaniem śmierdziała mu jeszcze bardziej.

– W którym pokoju mieszkała *dottoressa* Medici?

– Pod szesnastką, na tym samym piętrze co pan. Proszę się nie obawiać, sprawdziliśmy zamek na kartę magnetyczną i wszystko jest w porządku. Taki incydent już się nie powtórzy.

Costa spojrział na zegarek i ziewnął ostentacyjnie.

– Już późno, a podróż była długa. Pójdę się położyć.

Rubatto wychylił się zza kontuaru.

– Czy pan wie, kiedy wróci *dottoressa*? – zapytał. – Bardzo ją tu polubiliśmy!

– Wkrótce. Na pewno niedługo wróci – zapewnił z nadzieją, że jego słowa nie brzmią fałszywie.

Wyważenie drzwi do pokoju numer szesnaście nie sprawiło mu problemu. Fachu nauczył go pewien Gruzin, którego aresztował kilka lat wcześniej w związku z włamaniami w Volterze i okolicach. Należał do świetnie zorganizowanego gangu i radził sobie praktycznie z każdym zamkiem, czy to mechanicznym, czy magnetycznym. Złodziej podzielił się z nim swoimi sekretami zawodowymi w zamian za słowo wsparcia przed sądem.

Wystarczyło trochę cierpliwości. Na szczęście na pierwszym piętrze hotelu w tym momencie nie było innych gości, więc nikt mu nie przeszkadzał.

Kiedy wślizgnął się do ciemnego pokoju, ogarnęło go wrażenie, że Valentina ciągle tu jest. Wydawało mu się, że czuje jej ulubione perfumy, wyjątkowy zapach jej skóry. Oczywiście to było tylko złudzenie. Być może pokój nie został jeszcze przeznaczony dla kolejnego gościa, po tym, jak go opuściła – *po tym, jak zniknęła, nie zapominaj, że Valentina zniknęła* – ale na pewno został wysprzątnięty i uporządkowany. Nawet kiedy włączył lampkę nocną po upewnieniu się, że żaluzje są szczelnie zamknięte, wcześniejsze wrażenie nie chciało całkiem zniknąć. Przecież Valentina przebywała w tym pomieszczeniu, spała w tym łóżku, chodziła boso po podłodze, wyglądała przez okno. Pozostawiła po sobie ślady, podczas gdy szukała współnika mordercy. Została zupełnie sama i ryzykowała podwójnie, bo wszyscy ją opuścili. Łącznie z nim.

Zatrzymał się na środku pokoju. Po co tu przyszedł?

Właściciel hotelu jasno przedstawił sytuację. Valentina wyjechała, a ktoś zabrał jej walizki. Dlaczego? Przecież komenda z Padwy poinformowała centralę, że kosmiarz Medici zakończyła swoją misję i pojechała do Rzymu. Kto przyszedł po bagaże? Czy to naprawdę byli policjanci? Zwyczajna procedura tego nie przewiduje. Wyglądało to tak, jakby ktoś nie mógł się doczekać, by zatrzeć wszystkie ślady obecności Valentiny w Padwie. A co za tym idzie, i rezultaty prowadzonego przez nią śledztwa.

Costa zaczął podejrzewać, że przydarzyło jej się coś złego.

Wiadomość nagrana na sekretarce nie pozostawiała wątpliwości: Valentina nie ufała współpracownikom i obawiała się, że dociekliwość może sprowadzić na nią kłopoty. W dodatku ktoś włamał się do jej pokoju. Czego szukali złodzieje? Pieniądzy? Nie, to wykluczone. Raczej informacji, które zdołała zebrać.

Wydaje mi się, że odkryłam, kto i jak... a wszystko to jest takie okropne i wstrząsające.

Valentina przechowywała dane na swoim laptopie, z którym się nie rozstawała, a który zniknął wraz z nią lub wraz z jej bagażami. Już w czasie rozmowy telefonicznej

próbowała powiedzieć Coście, jak bardzo czuje się samotna. Tymczasem on pławił się w alkoholu i rozczulał nad sobą, wykorzystując do tego nędzne poczucie winy. Po włamaniu upewniła się, że coś jej grozi, i pewnie wzmogła ostrożność. Uznał, że zna ją na tyle dobrze, by zaryzykować hipotezę, że musiała lepiej ukryć swoje tajemnice.

Próbował sobie przypomnieć szczegóły tamtej rozmowy. Valentina powiedziała mu wtedy coś ważnego. Przekazała, że skopiowała pliki dotyczące śledztwa na nośnik pamięci USB, który dobrze schowała. Miała świadomość, że może jej się przytrafić coś złego, i chciała mu powiedzieć, czego ma szukać. Jak mógł o tym zapomnieć? Znał upokarzającą odpowiedź.

Pewnie i za to przyjdzie mu zapłacić. Teraz jednak trzeba działać.

Musi znaleźć pendrive'a. Mały, łatwy do ukrycia przedmiot. Jaka kryjówka byłaby najodpowiedniejsza?

Rozejrzał się dookoła. Jeśli Valentina schowała nośnik właśnie tutaj, to musiała znaleźć bezpieczne miejsce. Takie, w którym nikomu nie przysłoby do głowy szukać. Nikomu poza nim.

Apartament składał się z małego przedpokoju, sypialni i sporej, przytulnej łazienki. Wyposażenie było konwencjonalne, a zarazem eleganckie: niezbędne meble dobrej jakości, kilka koniecznych dodatków. Niewiele miejsc nadających się na kryjówkę i żadnego pomysłu. Przeszukał wszystko. Odwracał krzesła i sprawdzał pod kolejnymi przedmiotami, nie pomijając lamp ani obrazów. Zajrzał do szafy i pod łóżko, a postępując zgodnie z zasadami obowiązującymi podczas przeszukania, nie ominął żadnego, nawet najbardziej nieprawdopodobnego zakątka. Zastanawiał się nad sposobem rozumowania Valentiny i ostatecznie doszedł do wniosku, że pokój, w którym mieszkała, nie był zbyt bezpiecznym miejscem.

Wyszedł na korytarz z gasnącym przekonaniem, że Valentina zdecydowała się skopiować i ukryć informacje dotyczące śledztwa. Pomyślał nawet, że przesadził, wymyślając sobie całą tę historię z pendrive'em. Może wszystko jest znacznie prostsze.

Stojąc tak pod zamkniętymi drzwiami prowadzącymi do pokoju numer szesnaście, przypomniał sobie jeszcze jeden szczegół, który do tej pory zaniedbał. Przeczynał, że nie jest on bez znaczenia, lecz nie potrafił go odpowiednio dopasować do całości.

Korytarz kończył się rampą schodów, które prowadziły na drugie piętro oraz na dół do holu. Oświetlony przytłumionym światłem lamp w stylu art déco i ze ścianami ozdobionymi obrazami, jak wszystkie wspólne przestrzenie w hotelach raził atmosferą zduszonego, wymuszonego spokoju.

W ostatniej nagranej wiadomości Valentina powiedziała coś, czego Fabio od razu nie zrozumiał, albo czemu raczej nie nadał odpowiedniego znaczenia. Ta informacja

jakoś łączyła mu się z pendrive'em. Przesłuchał nagranie kilkanaście razy i wreszcie zyskał pewność.

W końcu ty jeden mnie znasz, bo tylko tobie się zwierzałam. Na przykład nikt poza tobą nie wie, że nigdy nie lubiłam Caravaggia.

Pewnego razu, kiedy analizowali postępowanie Sileriego, Valentina powiedziała, że nigdy specjalnie nie fascynował jej Caravaggio. Wolała sztukę mniej figuratywną, nienaśladowującą wprost rzeczywistości.

Uwielbiam takich malarzy jak Chagall, Modigliani.

Costa pamiętał dokładnie jej słowa.

Może znowu przesadzał z interpretacją. Prawdopodobnie nawiązanie do Caravaggia nie miało nic wspólnego z miejscem ukrycia nośnika, bo pojawiło się jako komentarz do dzieł mistrza, które zainspirowały psychopatycznego mordercę.

Ton, jakim Valentina przekazała mu tę niby nic nieznaczącą informację, sugerował jednak zupełnie inne wyjaśnienie. Albo popadł w paranoję, albo krył się za tym jakiś sens.

Valentina nie przepadała za Caravaggiem. Uwielbiała za to Modiglianiego.

Nie musiał się długo zastanawiać. Na ścianach przed nim wisały reprodukcje słynnych obrazów umieszczone w eleganckich pozłacanych ramach. Były to dzieła włoskich artystów: De Chirica, Carrà... I był też jeden obraz Modiglianiego przedstawiający kobietę z twarzą o bursztynowej karnacji, o typowej dla stylu artysty długiej szyi i magnetycznych, skośnych oczach.

Chwycił ramę, zdjął obraz ze ściany i odwrócił. W rogu pomiędzy drewnianą ramą a płótnem umieszczono starannie mały czarny przedmiot.

Po chwili Costa mocno ścisnął w dłoni pendrive'a, którego Valentina ukryła tu przed swoim zniknięciem.

Kiedy obława się zakończyła i Sileri został zastrzelony, a grupa operacyjna z Volterry rozwiązana, Loris odetchnął z ulgą, ponieważ wreszcie mógł wrócić do domu. Chciał jak najszybciej zapomnieć o nieprzyjemnej sprawie: miał dość oglądania twarzy zaginionych i prawdopodobnie zamordowanych osób, miał dość stresu związanego z tym, że nie zdążą na czas, by ocalić komuś życie. Marzyła mu się rutyna wypełniona algorytmami – rodzaj pracy znacznie bardziej zgodny z jego ugodowym charakterem.

A potem zadzwonił Costa i wszystko zaczęło się kręcić od nowa w nieoczekiwanym i niepokojącym rytmie. Loris potrzebował bezstronnej opinii.

– Pytasz, co o tym wszystkim sądzę? – powtórzył Giampaolo D'Avanzo, pochylając głowę nad obrazem, który obserwował. Monokl, którego używał, by lepiej widzieć najdrobniejsze szczegóły, nadawał mu wygląd dziwnego zwierzęcia.

– Valentina zniknęła – potwierdził Loris – albo po prostu gdzieś się ukryła i nie chce, żebyśmy ją odnaleźli. Costa dzwoni do mnie, bo obawia się najgorszego... ale on nie zawsze kieruje się logiką, a poza tym słyszałem, że zaczął pić. No i jeszcze te sygnały z Darknetu... Przecież ja jestem zwykłym analitykiem, jak mam sobie z tym wszystkim poradzić?

– Myślisz, że ktokolwiek jest przygotowany na coś takiego? – zapytał D'Avanzo, chociaż było to raczej pytanie retoryczne.

Znajdowali się w Galerii Borghese, w jednej z podziemnych sal muzealnych, gdzie przechowywano dzieła niedostępne dla zwiedzających. D'Avanzo był członkiem komitetu naukowego tej instytucji i często proszono go o konsultację w sprawie autorstwa dzieł budzących wątpliwości.

Umówili się na terenie muzeum i żeby dotrzeć do sali, Loris musiał przejść przez kilka punktów zabezpieczeń składających się z bramek elektronicznych strzeżonych przez uzbrojonych strażników. A swoją drogą centrum operacyjne policji mogłoby pozazdrościć takiego systemu kontroli!

Pozytywną stroną tej wizyty stanowiło to, że Loris w drodze na spotkanie z przyjacielem trafił do miejsc, w których piękno wyłaniające się z każdego zakątka było tak intensywne i potężne, że przyprawiało go o zawrót głowy i po raz pierwszy pozwoliło mu doświadczyć, co czuje osoba dotknięta syndromem Stendhala.

D'Avanzo pracował w rogu ogromnego magazynu wypełnionego setkami obrazów umieszczonych na drewnianych stelażach różnych wielkości. W pomieszczeniu panował półmrok, a naturalne światło wpadało do środka poprzez okna dachowe.

Krytyk zajmował się właśnie badaniem płótna wielkości człowieka, które stało oparte o ścianę w blasku niebieskiego światła lampy. Loris od razu przypomniał sobie dzieła Caravaggia. Na obrazie widniał nagi mężczyzna z gęstą białą brodą pochylający się nad biurkiem i podpierający dłonią szyję oraz wygolony kark. Jego wzrok, odrywając się od blatu biurka i od zalegających na nim przedmiotów – mapy świata, pergaminu i pióra – zwracał się wprost na widza, co sprawiało, że scena wprawiała w zakłopotanie, sugerując, że to starzec szpieguje obserwatorów, a nie odwrotnie. Loris poczuł gęsią skórkę.

– Stawiam na Bartolomea de’Crescenziego... – powiedział Giampaolo, dostrzegając zaniepokojenie w oczach przyjaciela. – Prawdziwe nazwisko: Bartolomeo Cavarozzi. I masz rację, jeśli sądzisz, że to artysta współczesny Michelangelowi Merisiemu... zresztą z tej samej szkoły. Chyba jednak zauważasz różnicę?

– Myślę, że tak – powiedział Loris, jakby zdawał egzamin. – Siła wyrazu jest słabsza niż u Caravaggia, a twarz starca mniej... prawdziwa. Gra światła wydaje się podobna i budzi niepokój. Gdybym patrzył na Caravaggia, to pewnie już byłbym przerażony.

D’Avanzo wyprostował się i z zadowoleniem spojrzał na przyjaciela, jakby ten był jego uczniem.

– No to mamy nowego eksperta! Widzę, że moje lekcje nie były daremne!

Loris uśmiechnął się ironicznie.

– Jeszcze nie mogę potwierdzić, że mamy przed sobą oryginał – wyjaśnił profesor, wracając do badania płótna. – Obraz przedstawia zamyślnego Świętego Hieronima. Pamiętasz pewnie, że Caravaggio namalował podobne dzieło. Sileri z pewnością nie miałby wątpliwości, z którego wzoru skorzystać podczas poszukiwania sobowtóra świętego. Nikt tak jak Caravaggio nie potrafił oddać rzeczywistych rysów przedstawianych postaci.

Obaj mężczyźni wymienili milczące spojrzenia, ponieważ łączyło ich specyficzne porozumienie ludzi, którzy razem przeszli przez piekło i nigdy nie zapomną tego doświadczenia.

– W końcu okazało się, że mieliśmy rację – podjął D’Avanzo. – Inspiracją był jedynie Caravaggio, żaden inny artysta. Jego przywiązanie do rzeczywistości jest na tyle charakterystyczne, że szalenciec, który chciałby odtworzyć dawne dzieła, nie mógłby lepiej wybrać. Wiesz, co to oznacza?

W tle towarzyszył im obraz ze Świętym Hieronimem. D’Avanzo patrzył Lorisowi w oczy.

– Całe to koszarne przedsięwzięcie nie mogło być dziełem samego Luki Sileriego – potwierdził inspektor.

– No właśnie. Szukanie, analizowanie i porównywanie twarzy milionów osób w Internecie czy w sieci, jak tam chcecie nazywać te nowoczesne, diabelskie wynalazki wy, którzy wielbicie naukę i postęp, wymaga narzędzi, pieniędzy i wiedzy. Sam to potwierdziłeś. Tymczasem Sileri był jedynie perwersyjnym psychopatą ze skłonnością do przemocy, który nawet nie słyszał o Caravaggiu, zanim...

– Ktoś go nie uświadomił – dokończył Loris.

– Potwierdza to profil psychologiczny. Za Silerim stoi ktoś znacznie potężniejszy i myślę, że Valentina odkryła jego tożsamość. Zresztą rozmawiałem z nią jakieś dziesięć dni temu.

Loris znowu poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach. Może był to rezultat zimnego przeciągu, który hulał po magazynach, a może efekt oddziaływania dziesiątek par oczu postaci z obrazów, które zdawały im się uważnie przyglądać spoza bezpiecznych ram. A być może męczyła go świadomość, że Valentina Medici sama musiała stawiać czoła potworom kryjącym się w cieniu Sileriego i w końcu uległa, ponieważ on, Costa i reszta kolegów zostawili ją na pastwę losu.

– Rozmawiałeś z Valentiną? – powtórzył, spoglądając ponownie na Świętego Hieronima, który, podobnie jak reszta bohaterów goszczących na umieszczonych w cieniu płótnach, nie przestawał ich obserwować.

– Spotkaliśmy się przed jej wyjazdem do Padwy i wtedy nie zauważyłem niczego niepokojącego, ale w trakcie ostatniej rozmowy telefonicznej chyba ważniejsze było to, czego mi nie powiedziała, niż to, co opowiadała.

– Co masz na myśli? Czego ci nie powiedziała?

– Na przykład ani słowem nie wspomniała o Fabiu. Wiem, że miała wstąpić do niego po drodze do Padwy, sama mi o tym powiedziała przed wyjazdem. No i nic nie mówiła o prowadzonym śledztwie, czy jest zadowolona z postępów, czy utknęła w martwym punkcie... Nic. A mimo to podczas całej rozmowy miałem wrażenie, że chce mi coś przekazać... podzielić się czymś ważnym, a może wyzalić... sam nie wiem. A potem zrezygnowała, a ja stchórzyłem i ani słowem nie zachęciłem jej do zwierzeń... Nie zapytałem nawet, czy czegoś potrzebuje. Ja... przestraszyłem się, że ponownie zostanę wciągnięty w tę okropną historię pełną śmierci i bólu. A przecież sam wcześniej radziłem jej, by się nie poddawała, by nie zostawiała niedokończonej sprawy...

– No tak, wszyscy się wycofaliśmy i zostawiliśmy ją samą – przyznał Loris i wyzywająco popatrzył w szkliste oczy Świętego Hieronima. *Jesteśmy słabi i tchórzliwi, masz rację.* – I co ci w końcu powiedziała?

– Rozmawialiśmy o błahostkach... raczej po to, by od razu się nie rozłączyć, ale w pewnym momencie przyznała się, że czuje się osamotniona i osaczona. Zapytałem,

czy nie ma tam nikogo do pomocy, i odpowiedziała, że ufa tylko jednemu młodemu funkcjonariuszowi, który nie zdążył jeszcze ulec wpływowi kolegów ani poddać się atmosferze panującej w komendzie. Dodała jeszcze, że gdybyśmy jej potrzebowali, a kontakt bezpośredni byłby niemożliwy, to powinniśmy odszukać właśnie tego policjanta. Wtedy nie wydawało mi się to dziwne, ale teraz, skoro tu jesteś, to chyba jednak coś poważnego, nie?

– Pamiętasz, jak on się nazywa?

– Zapisałem sobie. Poczekaj, muszę znaleźć w notesie.

Odszedł i zostawił Lorisę razem ze Świętym Hieronimem, który zdawał się prześwieślać na wylot kłębiące się szaleńczo myśli w głowie analityka.

Inspektor Loris Manna wyjechał następnego dnia, po tym, jak poprosił w biurze o zaległy tygodniowy urlop z powodu ważnych spraw rodzinnych.

Costa czekał na niego przed małym hotelem, w którym się zatrzymał i w którym zarezerwował pokój również dla kolegi. Przywitali się, podając sobie dłonie, a Fabio podziękował mu za szybkie przybycie. Loris od razu zauważył nietypową bladłość jego twarzy, na której znać było zmęczenie i niepokój. Były komendant ani trochę nie przypominał mężczyzny, który jeszcze niedawno kierował posterunkiem w Volterze.

– Dobrze się czujesz? – zagadnął Loris.

– Szyja jeszcze mnie boli od czasu do czasu... Poza tym wszystko w porządku.

Obaj wiedzieli, że to nieprawda.

– Idź się rozpakować – powiedział Costa – a potem spotkamy się u mnie i podam ci więcej szczegółów.

– Okej, chciałbym się dowiedzieć, jak mogę ci pomóc. Bo ciągle nie rozumiem, co się dzieje.

Costa uśmiechnął się ze smutkiem.

– Tym bardziej ci dziękuję. Przyjechałeś, mimo że nie powiedziałem ci dokładnie, o co chodzi. Valentina nie pomyliła się co do ciebie. Teraz odpocznij i ogarnij się trochę, a ja poczekam na ciebie w pokoju.

W innych okolicznościach Loris zareagowałby na takie polecenie z ironią, ale tym razem dostrzegł na twarzy Costy prawdziwą rozpacz. I sam też zaczął zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji.

Jedynym przyzwyczajeniem, z którego Gabriele Piovesan nigdy nie rezygnował, była codzienna wizyta w małym barze o nazwie Granduca mieszczącym się niedaleko uniwersytetu. Policjant nie był w stanie oprzeć się dwóm zaletom tego lokalu, które bardzo korzystnie działały na jego podniebienie i stan ducha: były to ciepłe, przepyszne rogaliki oraz nieobecność kolegów. Do barów i restauracji w pobliżu komendy zazwyczaj zaglądali przedstawiciele służb mundurowych, a Piovesan, chociaż nie stronił od towarzystwa, przed objęciem służby potrzebował chwili spokoju. Nie chciał spędzać ostatnich chwil wolnego czasu w towarzystwie kolegów, z którymi musiałby rozmawiać o pracy, o niechęci obywateli wobec gliniarzy lub o upragnionej emeryturze, jeśli wiek interlokutora wskazywał na zbliżający się koniec służby. Dla młodego funkcjonariusza ten ostatni temat był szczególnie niezrozumiały, ponieważ bardzo odległy w czasie.

W barze Granduca spotykał z reguły studentów i cieszył się ostatnimi beztruskimi minutami przed podjęciem codziennych obowiązków, które w ostatnich dniach były naprawdę mało przyjemne.

Dlatego też pierwszą reakcją na widok zbliżającego się mężczyzny było zdecydowane rozdrażnienie. Kiedy nieznajomy wymienił do tego jego nazwisko i funkcję, Piovesan pomimo wrodzonej uprzejmości i wpojonych zasad dobrego wychowania zareagował dość nieprzyjemnie:

– A kto pyta?

Wysoki brunet wyjął legitymację policyjną.

– Zastępca komendanta Fabio Costa. Chciałbym z panem porozmawiać.

– *Dottore!* To naprawdę pan? Co pan robi w Padwie?

– Skąd pan mnie zna?

– Nie, nie, osobiście pana nie znam, ale *dottoressa* Medici wiele o panu opowiadała. A poza tym czytałem niektóre pana raporty dotyczące sprawy Sileriego... Jestem zaszczycony!

– Niech pan poczeka z takimi deklaracjami. Musimy porozmawiać właśnie o Valentinie.

W zachowaniu mężczyzny było coś niepokojącego i nawet jeśli Piovesan nie uważał się za szczególnie spostrzegawczego, to w tej chwili go olśniło: *dottoressa* Medici wpadła w tarapaty.

– Możemy tam usiąść? – zapytał Costa, wskazując stolik w głębi sali.

Piovesan z ciekawością obserwował, jak mężczyzna zamawia kawę, a kiedy natrafił na jego wzrok, nabrał odwagi i zapytał:

– *Dottore*, może mi pan powiedzieć, jak mnie pan znalazł? To znaczy, właściwie nikt nie wie, że rano wpadam na śniadanie właśnie tutaj... – Przygryzł wargi w obawie, że pozwala sobie na zbyt dużą poufałość, tymczasem Costa natychmiast udzielił mu zaskakującej odpowiedzi:

– Przepraszam, śledziliśmy pana.

– Śledziliście...? Wy, to znaczy kto? I dlaczego? Co tu się dzieje? – Cappuccino stygło, a rogalik nie wydawał mu się tak apetyczny jak zwykle.

– Prawdę mówiąc, jeszcze nie wiem, co się stało – powiedział Costa. – Mamy jednak podstawy, by sądzić, że Valentina panu ufała. Dlatego tu jestem. Wie pan, że ona zniknęła?

Piovesan rozejrzał się dookoła. Ta rozmowa zaczęła przybierać niepokojący obrót.

– Zniknęła? Jak to? Powiedzieli mi, że wróciła do Rzymu... chociaż zdziwiłem się, że nawet się ze mną nie pożegnała. – Zaczerwienił się. – To znaczy, oczywiście nie musiała tego robić... ale pracowaliśmy razem i było mi przykro, że nie przyszła na komendę przed wyjazdem... – Zawahał się i zamilkł. Lepiej za dużo nie gadać.

Costa zdawał się nie przywiązywać zbyt dużej wagi do jego zakłopotania.

– Właśnie to mnie niepokoi. Valentina od kilku dni z nikim się nie kontaktuje. Zniknęła z dnia na dzień, a najdziwniejsze jest to, że nikt jej nie szuka.

– Nadal nie rozumiem...

Costa przyglądał mu się uważnie. A tymczasem intuicja Piovesana, o której posiadaniu nie miał pojęcia, tego ranka stanęła na wysokości zadania, podpowiadając mu, że komendant go sprawdza. Na pozór przypadkowe spotkanie w barze było w rzeczywistości wstępem, czymś na kształt egzaminu weryfikującego jego przydatność. Costa chce się przekonać, czy jest naprawdę godny zaufania. Nie mam pojęcia dlaczego, ale w końcu to komendant prowadził z Valentiną Medici śledztwo w sprawie Sileriego, a w dodatku sprawia wrażenie twardego policjanta. Na pewno czegoś ode mnie chce. Problem w tym czego.

– Mam przeczucie, że coś jej się przytrafiło – potwierdził Costa na koniec. – Dlatego nie może się z nami skontaktować. Muszę ją odnaleźć i potrzebuję pańskiej pomocy.

Sprawa okazała się poważna i złożona, lecz Piovesan od razu podjął decyzję.

– Co mogę zrobić?

Costa przyjął jego ofertę z wyraźnym zadowoleniem.

– Valentina miała zakończyć śledztwo związane z morderstwami popełnionymi przez Lucę Sileriego – powiedział po krótkiej chwili milczenia. – A pan współpracował z nią w ostatniej fazie dochodzenia. Nie musi pan potwierdzać, Valentina zdążyła

mnie o tym poinformować przed swoim zniknięciem. I proszę nie pytać o szczegóły, bo to wszystko dość skomplikowane. Wraz z nią zniknęły też bagaże i laptop, na którym zapisywała rezultaty swojej pracy. Co nieco udało nam się jednak odzyskać. Mamy pendrive'a z plikami dotyczącymi śledztwa, jest na nim również kilka sprawozdań albo raczej ich fragmenty. Wśród notatek znalazłem parę słów na temat pańskiej pracy. Wygląda na to, że Valentina bardzo na pana liczyła.

Piovesan ponownie się zaczerwienił, ale już nie starał się tego ukryć. Był zadowolony, że *dottoressa* uważała go za dobrego policjanta, a w dodatku przekazała swoją opinię komendantowi, chociaż wiedział, że nie wniósł nic specjalnego do śledztwa.

– Nie miała specjalnego wyboru – odparł szczerze. – Nikt z grupy operacyjnej nie chciał jej pomóc. Komendant Lomastro chyba jej nie znoślił.

Costa zastanawiał się przez chwilę.

– Tak, znam Lomastra. To karierowicz. Prawdopodobnie denerwowały go wątpliwości, jakie wysuwała Valentina odnośnie do zawartości aktu oskarżenia wobec Sileriego. Jego decyzje musiały jednak zyskać najpierw poparcie centrali w Rzymie, bo tam też chcieli jak najszybciej zakończyć tę sprawę.

– *Dottoressa* miała poważne wątpliwości co do tego, że Sileri działał w pojedynkę – przyznał Piovesan. – Ale nawet założenie podsłuchu nie przyniosło spodziewanych rezultatów.

– Podejrzany jest Claudio Altieri?

– Skąd pan wie? – zreflektował się po chwili. – No tak, pendrive. Czy *dottoressa* wszystko zapisała?

– Jak mówiłem, udało nam się odzyskać tylko część plików. Są tam szczegółowe informacje na temat Altieriego, prawdopodobnie te same, które wykorzystywała, by przekonać prokuraturę do wznowienia śledztwa. Niewiele więcej...

Piovesan wiedział jednak, że poszlaki były wystarczające, a Costa też zdawał się nie mieć wątpliwości. Młody funkcjonariusz przypomniał sobie, jak Valentina wspominała, że to właśnie komendant odkrył wideo z ukrzyżowanym kloszardem, ale wtedy nikt nie zwrócił na to specjalnej uwagi. Prawdopodobnie był to błąd, chociaż rozumiały, gdyż Sileri z uwagi na wiek nie mógł brać udziału w tamtym morderstwie. Niemniej jednak pominęli ważny dowód i teraz mizerna intuicja Piovesana sugerowała, że Costa czuł się winny również za to niedopatrzenie.

– Jak rozumiem, nie znaleźliście nic na Altieriego. – Fabio wrócił do przerwanej wątku. – Valentina na pewno znalazła jednak coś nowego, bo nagrała mi wiadomość na poczcie głosowej. Niestety, za późno odsłuchałem. – Na jego twarzy ponownie pojawił się cień świadczący o poczuciu winy.

– No tak, rzeczywiście... – Piovesan zamilkł, bo nie wszystkie elementy układanki mu się zgadzały, i postanowił zachować ostrożność. – Przepraszam, ale pan ciągle używa liczby mnogiej. Śledziliście mnie, znaleźliście, dowiedzieliście się... Chciałbym wiedzieć, kto oprócz pana za tym stoi.

Costa pokręcił głową, jakby trudno było mu podjąć decyzję.

– Wolałbym, żeby się pan bezpośrednio nie mieszał w tę sprawę. Ja już złamałem dziesiątki reguł, i może nawet naruszyłem jakiś artykuł kodeksu karnego. Nie mówiąc o różnych paragrafach regulaminu policyjnego. A pan jest młody i ma przed sobą lata służby. Widzę, że mogę panu zaufać, ale lepiej będzie, jeśli nikt nie będzie pana ze mną łączył.

– Rozumiem... – zaczął, ale od razu się zreflektował, że tak naprawdę nic nie rozumie, i zmienił taktykę, bo nie chciał działać w ciemno. – Zróbmy tak: pan mi powie prawdę, a ja sam zdecyduję, czy chcę się angażować, czy nie. Może nie mam zbyt dużego doświadczenia, ale jestem policjantem i sam chciałbym podjąć decyzję, za którą biorę odpowiedzialność. – Chciał jeszcze dodać: poza tym *dottoressa* Medici była moją koleżanką, ale się powstrzymał.

Costa pomyślał przez chwilę.

– Tak, wydaje mi się, że to uczciwy układ. Ja będę z tobą szczery, a ty zdecydujesz, na ile możesz nam pomóc. – Na jego twarzy malowało się teraz zakłopotanie. – Muszę cię jednak prosić o dyskrecję: ta rozmowa zostaje między nami. Tak będzie lepiej nie tylko dla ciebie, ale i dla Valentiny. Chociaż nie wiemy, co jej się przytrafiło, to trzeba działać szybko, no i nikt nie może się dowiedzieć o mojej obecności w Padwie. Jeśli mamy działać, to sami i w tajemnicy, zgadzasz się?

Piovesan przyznał mu rację. Wbrew zdrowemu rozsądkowi wcale nie obawiał się konsekwencji, chociaż wewnętrzny głos podpowiadał mu, że lepiej zachować ostrożność. Przeczuwał już, że cała sprawa może stać się bardzo, bardzo niebezpieczna.

Świadomość, że od początku miał rację i był bardzo blisko rozwiązania sprawy, nie przyniosła mu niestety żadnego pocieszenia, co więcej, potęgowała poczucie odpowiedzialności. Z winy jego obojętności Valentina znalazła się w niebezpieczeństwie. Bo nie zrozumiał wszystkiego na czas. Bo wprawił w ruch całą maszynę. Bo zostawił Valentinę samą.

Przyjdzie mi drogo za to zapłacić – pomyślał. Gdzie ona teraz jest? Jej milczenie było przerażające. Uporczywa myśl, że coś złego mogło jej się przydarzyć, dręczyła go całymi dniami. Kto byłby zdolny do tego, by zrobić jej krzywdę? W głowie kłębiły mu się najrozmaitsze hipotezy i podejrzenia. A przede wszystkim ponura myśl, która zrodziła się w jego sercu i narastała z każdą chwilą, zmieniając się w konkretną wizję. Fabio robił wszystko, by ją od siebie odsunąć, obraz tkwił jednak głęboko niczym cierń, potęgując jego obawy.

Sileri nie żyje. Valentina była przekonana, że morderca nie mógł sam przygotować ani zrealizować tych koszmarnych planów. Być może więc osoba, która kierowała jego działaniami, teraz zdołała dotrzeć do Valenty?

Włamanie do pokoju w hotelu, nagłe zniknięcie, kradzież bagaży – wszystkie poszlaki prowadziły w jednym kierunku. Niewygodna policjantka, która wbrew wszystkim kontynuowała swoje śledztwo, zaglądając tam, gdzie lepiej nie patrzeć... Ktoś postanowił ją zatrzymać.

Manna sprawdził zawartość pendrive'a ukrytego przez Valentinę za ramą obrazu. Poza sprawozdaniem, które przekazała prokuratorowi z Padwy, i niezbyt ważnymi notatkami na nośniku znajdowały się też zaszyfrowane pliki, które inspektor próbował odblokować. Costa przypuszczał, że Valentina wzięła pod uwagę, że pendrive trafi właśnie w ręce Lorisa, a ten nie będzie tracił czasu. Pliki musiały wobec tego zawierać bardzo ważne wskazówki. I rzeczywiście informatyk stanął na wysokości zadania.

Wśród odblokowanych plików znajdowały się historia zaginionego kloszarda oraz zapiski Valenty, która twierdziła, że wideo przedstawiające scenę ukrzyżowania zostało nakręcone na terenie posiadłości Zernichów. To właśnie ta teza znalazła się w raporcie przekazanym prokuratorowi i pozwoliła na założenie podsłuchu w telefonach Altieriego. Niestety, inwigilacja nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, a Valentina uznała, że powodem takiego stanu rzeczy był wyciek informacji. Według

niej stanowiło to jednoznaczny dowód, że Altieri mógł liczyć na ochronę ze strony wysoko postawionych ludzi z komendy w Padwie.

Pomijając podejrzenia o korupcję w szeregach funkcjonariuszy, już sam fakt, że posiadłość Zernichów była miejscem makabrycznego zabójstwa sprzed niemal trzydziestu lat, dawał wiele do myślenia. Odkrycie było niczym kolejny cios w serce Costy, ponieważ to on skierował Valentinę na ten trop, a potem zostawił ją samą.

Jestem o krok od ważnego odkrycia.

Teraz wydaje mi się, że poznałam prawdę.

Chciałabym, żebyś tu był.

Cała reszta była jasna i należało cierpliwie śledzić Claudia Altieriego.

Jeszcze jeden element niepokoił Costę, więc zadzwonił do inspektora Martiniego w Volterze, by dowiedzieć się, co zaszło.

Z notatek jasno wynikało, że Valentina zdołała ściągnąć plik, gdzie zapisano wideo z ukrzyżowania bezdomnego z Werony. To nie było pewnie łatwe zadanie, chyba że skorzystała z kopii zdobytej przez Costę po jego rozmowie z kolegą z Palermo. Telefon do Martiniego potwierdził, że kiedy Valentina przyjechała do Volterry i wpadła na posterunek, inspektor powierzył jej torbę Fabia wraz z laptopem w zamian za obietnicę, że przekaze je właścicielowi. Tak się jednak nie stało, prawdopodobnie z powodu gwałtownego zakończenia wizyty Valentiny u Fabia. To wtedy widzieli się po raz ostatni i nie zamierzał jej winić, że zapomniała oddać mu torbę i komputer. Rozumując w ten sposób, łatwo doszedł do wniosku, że ci, którzy zabrali bagaże Valentiny, musieli zabrać przy okazji również jego własność i w ten sposób zatarli wszystkie ślady ich dochodzenia w sprawie Sileriego oraz morderstw inspirowanych dziełami Caravaggia.

Na wszelki wypadek skontaktował się ponownie z Piovesanem.

– Podejrzewam, że *dottoressa* Medici przechowywała dokumenty w biurze w komendzie. Czy jeszcze tam są?

Policjant westchnął.

– Chciałem to panu powiedzieć dziś rano. Po wyjeździe pani komisarz... to znaczy, ja myślałem, że naprawdę wróciła do Rzymu... zabrali wszystkie jej rzeczy z biura. Miała do dyspozycji tylko biurko i dokładnie je wyczyścili. Otworzyli szuflady, które zwykle zamykała na klucz, i wynieśli nawet laptop, jeśli się nie mylę.

Już sam fakt, że mieli klucze do jej biurka, budził podejrzenie, chociaż oczywiście mogło to nie mieć znaczenia.

– Kto zabrał rzeczy? Koledzy z grupy operacyjnej? Lomastro?

Piovesan zawahał się przez chwilę.

– Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej ich u nas nie widziałem... było ich dwóch. Przyjąłem bez mrugnięcia okiem, że są z operacyjnej. Pojawili się w biurze późnym rankiem i spokojnie zabrali się do roboty... – W jego głosie pojawił się cień wątpliwości.

Costa podziękował szybko, gdyż byli umówieni na później.

Prawdopodobnie jego komputer też zniknął, a raczej został skradziony.

Tymczasem należało jak najprędzej ponownie obejrzeć wideo ze sceną ukrzyżowania.

Piovesan i tym razem stanął na wysokości zadania, co oznaczało, że Valentina nie pomyliła się w ocenie młodego policjanta. Wieczorem przyszedł do hotelu, jak obiecał, i przyniósł ze sobą płytę CD. Potwierdził, że zawiera wideo z ukrzyżowania kloszarda, które Valentina skopiowała z komputera Costy. Na wszelki wypadek zrobiła kilka kopii i jedną z nich przekazała współpracownikowi.

– *Dottoressa* powiedziała, że na tym filmie znajduje się wyjaśnienie... Obejrzałem go kilkakrotnie. Jest okropny, przyprawia o mdłości... – W czasie gdy Loris Manna starał się jak najszybciej uruchomić CD na swoim laptopie, Piovesan dodał: – Zainteresował ją też pewien stary artykuł, który znalazła w aktach sprawy Sileriego... przynajmniej tak mi się wydaje... Tekst dotyczył zaginięcia bezdomnego z jakiejś innej prowincji, chyba z okolic Werony. Zapytałem, jaki to może mieć związek z naszą sprawą, ale nie wyjaśniła mi dokładnie, chociaż chyba właśnie wtedy zmieniła zachowanie... jakby nagle poczuła się niepewnie. Pomyślałem, że to z powodu osamotnienia, na które ją skazano. Nawet ja nie mogłem jej ciągle towarzyszyć, bo odwoływano mnie do innych zajęć, i *dottoressa* Medici przez większość czasu musiała pracować sama. Nagrania z podsłuchu też okazały się katastrofą. Godzinami trzeba było czekać na zapis rozmów, no i brakowało całych fragmentów...

– Powiedz mi coś więcej o tym artykule – poprosił Costa, starając się nie zaciskać pięści jeszcze mocniej niż do tej pory.

– Artykuł to nie wszystko – powiedział Piovesan, obserwując dłonie komendanta, jakby wyczuwał wściekłość, którą ten usiłował opanować. – W aktach znajdowała się też informacja o obławie na grupę pedofilów, którą zorganizowano w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku. Nie wiem, jaki to miało związek z całą resztą. Dopiero później zrozumiałem, że wszystko łączy się z tym filmem... Krótko mówiąc, prawdopodobnie *dottoressa* uznała, że starzec, którego w tak bestialski sposób ukrzyżowano, był zaginionym kloszardem z Werony i to właśnie o nim pisano w artykule z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, podczas gdy nota z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego zawierała informacje na temat okoliczności znalezienia słynnego filmu ze sceną ukrzyżowania. Pamiętam, że

dottoressa nalegała, abym odnalazł nazwisko policjanta prowadzącego tamtą sprawę. Wydawało mi się to bardzo dziwne, ale Valentina... to znaczy *dottoressa*, uważała, że to ważne.

Teraz wszystko zaczęło układać się w jedną całość. Komisarz Medici znalazła nowe powiązanie między wideo a morderstwami, które popełnił Sileri, i nie chodziło tylko o miejsce akcji, czyli o posiadłość Zernichów. To musiał być punkt zwrotny. Jak daleko posunęła się Valentina? Piovesan potwierdził przypuszczenie Costy, że to jeszcze nie koniec.

– Udało ci się odkryć to nazwisko?

– Tak, sierżant Caruso, a może inspektor, nie pamiętam dokładnie stopnia... Teraz jest już na emeryturze. To on prowadził sprawę zabójstwa z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku.

Costa i Manna wymienili spojrzenia.

– O jakie zabójstwo chodzi? – zapytali niemal jednocześnie.

Oglądał wideo będące kolejną kopią wcześniejszych kopii. Wersja oryginalna została pewnie zarejestrowana na starej kliszy i rezultat pozostawiał sporo do życzenia. Mimo to Loris Manna żywił niczym nieorganiczną ufność do postępu technologicznego, a w dodatku nie miał wątpliwości, że posiada wiedzę i umiejętności, aby wykorzystać wszystkie oferowane przez naukę opcje. Dlatego też zawsze miał w wyposażeniu najnowsze oprogramowanie i nigdy nie zaniedbywał okazji, aby udoskonalić swój warsztat informatyka.

Właśnie zastanawiał się, czy nie mógłby włączyć bardziej zaawansowanych filtrów w celu polepszenia jakości obrazu, który po raz kolejny przesuwał się na ekranie laptopa. Miał już pewien pomysł, ale nie chciał budzić nieuzasadnionych nadziei ani dawać Fabiowi powodów, by jego wyobraźnia zaczęła bujać w obłokach. Lepiej, gdyby miał dla niego coś konkretnego.

Włączył program, a po chwili zabrzmiał sygnał informujący go, że otrzymał ważną wiadomość mailową. Nadawcą było FBI.

Otworzył pocztę, a kiedy przeczytał e-mail, serce podeszło mu do gardła i poczuł w ustach dziwny metaliczny posmak żółci.

Przeczytał tekst jeszcze dwa razy, po czym sięgnął po komórkę i wybrał numer.

Kiedy dziesięć minut później wpadł do pokoju Costy, zastał go pochylonego nad dokumentacją przygotowaną przez Valentine. Komendant po raz setny czytał sprawozdania, notatki i raporty.

Czekali teraz, aż Piovesan przyniesie teczkę z papierami dotyczącymi ostatniej fazy śledztwa prowadzonego przez Valentine. Tam mieli znaleźć więcej informacji na temat zabójstwa z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, ponieważ młody policjant nie pamiętał szczegółów. Sam nie miał okazji zapoznać się wcześniej z dokumentami, a Valentina nie zdążyła go o niczym poinformować przed swoim niespodziewanym zniknięciem. Pamiętał jedynie nazwisko zajmującego się sprawą sierżanta Carusa, tego samego, który w latach od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego do dziewięćdziesiątego szóstego gromadził materiały dotyczące zaginionego kloszarda Sebastiana Zorzina oraz ukrzyżowania w ogrodach posiadłości Zernichów.

Kiedy Loris pojawił się w pokoju, Costa spojrział na niego zaczerwienionymi ze zmęczenia oczami.

– Musisz to zaraz przeczytać! – zawołał analityk, podając mu laptop.

Raport przesłany przez Davida Minettiego z FBI został oczywiście napisany zimnym stylem urzędowym charakterystycznym dla federalnego biura śledczego USA, jednak autor i tak nie zdołał ukryć emocji spowodowanych opisywanymi wydarzeniami.

Otóż dwa dni wcześniej w miejscowości Boulder w Kolorado ktoś zamordował niewinną rodzinę. Do masakry doszło w Glenwood Grove, spokojnej dzielnicy mieszkaniowej w północnej części miasta. Po przyjęciu zgłoszenia na numer alarmowy skierowano radiowóz pod adres O'Neal Cir 3250, gdzie mieściła się duża willa z kamienia i drewna o typowej dla regionu zabudowie. Na leżącym na podwórku śniegu widniały czerwone ślady prowadzące od wejścia aż na ulicę, gdzie potem znikwały.

Wewnątrz domu znajdowały się ciała Alfreda i Nory Jonnessych oraz ich pięcioletniego syna Jonathana, w oczekiwaniu, aż koroner z hrabstwa policzy ich rany. Zamordowano ich przy użyciu ostrego narzędzia, a wszystkie rany cięte prowadziły od szyi w dół i zostały zadane prawdopodobnie, kiedy ofiary leżały jeszcze w łóżkach, ponieważ prześcieradła i materace były przesiąknięte krwią. Potem ciała ubrano i – co dziwne – ułożono w pozycjach, które miały wskazywać na miły dzień spędzany w rodzinnym gronie. Kiedy policjanci weszli do willi, znaleźli w salonie zwłoki trzech osób. Alfred Jonnessy siedział na swoim ulubionym fotelu z głową pochyloną do przodu. Jego korpus przywiązano sznurem do oparcia i mężczyzna wyglądał, jakby martwymi oczami czytał gazetę rozłożoną na kolanach i przytwierdzoną do dłoni za pomocą klamerek. W protokole policyjnym zapisano z przesadną dbałością o szczegóły, że dziennik „Colorado Daily” był otwarty na stronie poświęconej wydarzeniom sportowym.

Nora Jonnessy siedziała na drugim fotelu naprzeciwko męża. Prawdopodobnie miała sprawiać wrażenie znudzonej, a może słuchała wyimaginowanej muzyki, ponieważ ją też upozowano z pochyloną głową opartą delikatnie na prawej ręce, z łokciem wspartym na podłokietniku. Z bliska można było dostrzec, że prawy policzek przyszyto do dłoni jedwabną nitką, aby zapobiec osunięciu się głowy, natomiast łokieć i ramię, na którym się pozornie wspierała, przymocowano do fotela za pomocą drewnianej deseczki, młotka i gwoździ.

U stóp kobiety w kałuży krwi i płynów organicznych siedział ze skrzyżowanymi nogami mały Jonathan. Tułów miał pochylony do przodu, a rączki przywiązane do zabawkowego wozu strażackiego. Wyglądało na to, że morderca nie znęcał się przesadnie nad dzieckiem, ponieważ na jego ciele widniały jedynie trzy rany zadane nożem. Prawdopodobnie chłopiec zginął jako pierwszy, podczas gdy rodzice spali w swojej sypialni.

W raporcie policyjnym było mnóstwo szczegółów, które mogłyby się okazać przydatne w przyszłości, natomiast teraz sprawiały wrażenie, jakby dokleiono je jedynie dla perwersyjnej przyjemności. Opis miejsca zbrodni nie pozostawiał wątpliwości, że morderca poświęcił dużo czasu na przygotowanie całej sceny, a wszystko zostało zorganizowane i zaplanowane z niezwykłą starannością. Przyniesiono nawet sznury i narzędzia wykorzystane do ułożenia zwłok w umyślonych pozach. Nie pozostawiono tu miejsca na żadną improwizację.

David Minetti poinformował też Lorisa, że FBI właśnie aresztowało człowieka, który dopuścił się tej koszarnej zbrodni. Dopadli go w hotelu niedaleko Boulder. Za paznokciami miał ślady krwi ofiar i znaleziono przy nim narzędzia odpowiadające tym, których użyto do przygotowania sceny *post mortem*. Mężczyzna nazywał się Randolph Collins i pochodził z Nowego Jorku. Miał czterdzieści lat i był notowany za przestępstwa na tle seksualnym. Z rodziną Jonnessych nic go nie łączyło.

Bardzo interesujący był natomiast sposób, w jaki go namierzono i zlokalizowano.

Okazało się, że Collins jest tym samym osobnikiem, który ukrywał się pod pseudonimem Nightgaunt na czacie w Darknecie i który w czasie wymiany opinii nie krył zainteresowania obrazami Caravaggia. Podejrzenie sformułowane przez Lorisa, jakoby Nightgaunt i pozostali użytkownicy, z którymi się kontaktował, rozmawiali o jakiejś nielegalnej akcji, potwierdziło się zatem w stu procentach. Poza tym ten sam pseudonim pojawił się na innym czacie, gdzie spotykali się miłośnicy *snuff movies* w celu sprzedaży nagrań.

Obrót tymi amatorskimi filmami uznawany był jeszcze niedawno za bujdzę na resorach, ale wszystko wskazywało na to, że od jakiegoś czasu ta nowa działalność przestępczego podziemia zaczęła wypływać na powierzchnię. FBI zdołało wprowadzić kilku swoich tajnych agentów do grup działających w sieci, które zajmowały się rozpowszechnianiem tych perwersyjnych obrazów.

Podczas działań operacyjnych prowadzonych w tym piekle agenci FBI natrafili właśnie na Randolpha Collinsa, a pomogły im w tym informacje przekazane przez włoskich kolegów. W czasie gdy jeden z tajnych agentów nawiązał kontakt z tajemniczym Nightgauntem, analitycy z Cyber Division zdołali ustalić IP komputera, z którego podejrzany sporadycznie się łączył. Znajdował się on w wyposażeniu biura sprzedaży spółki, dla której pracował Collins, i od tamtego momentu, chociaż mężczyzna oficjalnie nie popełnił żadnego przestępstwa, pozostawał pod ścisłą kontrolą ze strony funkcjonariuszy FBI.

Niestety dotarli na miejsce zbyt późno. Collins pracował jako agent handlowy i nie podejrzewali, że tak szybko przejdzie od słów do czynów. Do tej pory odwiedzał strony o charakterze erotycznym, wymieniał materiały z pornografią dziecięcą z innymi

użytkownikami oraz przechwalał się, że jest zdolny do zabicia człowieka. Nawet profilerzy z FBI nie podejrzewali, do czego może się posunąć i co zamierza tak naprawdę zorganizować. Zresztą agenci nie byli w stanie śledzić go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, dlatego też kontrolowali go na odległość, monitorując użycie kart kredytowych oraz połączenia telefoniczne.

Kiedy przyszła wiadomość o masakrze w Boulder, funkcjonariusz odpowiedzialny za kontrolowanie aktualnego miejsca pobytu Collinsa zaalarmował miejscowych kolegów. Agenci FBI natychmiast otrzymali pozwolenie na przeszukanie i wtargnęli do jego pokoju hotelowego. Poszlaki, które łączyły go ze sceną potrójnego zabójstwa, były liczne i jednoznaczne, więc Minetti nie miał wątpliwości, że Collins zostanie skazany. Niemniej jednak mężczyzna po aresztowaniu wybrał opcję całkowitego milczenia.

Tymczasem śledczy nie mogli zrozumieć powodów, dla których popełnił tę zbrodnię. Nie wystarczało stwierdzenie, że Collins jest psychopatą, należało wyjaśnić, dlaczego wybrał właśnie te osoby na swoje ofiary i dlaczego zamordował je w tak bestialski sposób.

Ostatnia informacja dostarczona przez Minettiego okazała się jeszcze bardziej niepokojąca. Przeglądając zdjęcia z miejsca zbrodni, agent dostrzegł pewne podobieństwo pomiędzy ułożeniem ciał a słynnym obrazem Edwarda Hoppera zatytułowanym *Pokój w Nowym Jorku*. Oczywiście tego typu skojarzenie przyszło mu do głowy w związku z wydarzeniami we Włoszech dotyczącymi serii morderstw inspirowanych dziełami Caravaggia.

Przeczytawszy notatkę, Costa spojrzął na Lorisa, a obaj mieli bardzo zaniepokojone miny.

– Czy oprócz nawiązania do sceny z obrazu Hoppera amerykańskie morderstwo ma jeszcze jakiś związek z naszą sprawą? – zapytał wreszcie komendant.

– Wszystko wskazuje na to, że tak. Zadzwoiłem do Minettiego... U nich była chyba czwarta nad ranem, ale i tak odebrał... Co więcej, sprawiał wrażenie zupełnie przytomnego. Nie był zadowolony, o nie, ale całkiem przytomny...

– No i co?

– Zostałem go jeszcze w Boulder. Powiedział, że w komputerze Collinsa znaleźli całkiem interesujące materiały. Odblokowanie plików zajmie im pewnie trochę czasu, ale Minetti ma już swoją teorię. Otóż Collins nie tylko należy do nielegalnej grupy miłośników *snuff movies*, lecz również do znacznie bardziej tajemniczego i niedostępnego towarzystwa. Chodzi o sieć niebezpiecznych psychopatów, których łączy niewątpliwie jakiś wspólny cel, niestety do tej pory jeszcze nieujawniony. W komputerze Collinsa znajdowała się aluzja do ważnego wydarzenia dostępnego

jedynie dla wtajemniczonych, którzy zdołają przejść próbę. – Kiedy Loris opowiadał, oczy mu lśniły, a słowa padały coraz szybciej. – Rozumiesz teraz? – ciągnął. – Collins przygotował i wykonał swój plan jako część specyficznych zawodów i w nagrodę miał wziąć udział w czymś znacznie ohydniejszym i bardziej przerażającym.

– Nie nadążam za twoim tokiem rozumowania.

Loris zaczął się nerwowo przechadzać po pokoju. Nagle się zatrzymał, wyrwał laptopa z rąk Costy i zajął się przeglądaniem plików.

– Pamiętasz te czaty, które przechwyciliśmy razem z D’Avanzo? Mam na myśli te rozmowy Nightgaunta, czyli Collinsa, z użytkownikiem z Włoch?

Costa nie musiał odpowiadać, bo kolega odwrócił laptopa w jego stronę, a na ekranie widniał zapis konwersacji pomiędzy Nightgauntem a Paperinem.

Po krótkim wstępie dotyczącym Caravaggia użytkownicy wymienili kilka na pozór niezrozumiałych uwag.

NIGHTGAUNT@: Czas porozmawiać o cenie.

PAPERINO@: Już ci mówiłem. Trzy. Dwie duże i jedna mała. Razem. Jeśli chcesz mnie zaskoczyć, możesz spróbować mnie naśladować.

NIGHTGAUNT@: Już je znalazłem. Coś niesamowitego. Muszę się tylko zorganizować.

Dwie duże i jedna mała. Ofiary.

– On mówił o rodzinie z Boulder – powiedział Costa chłodnym tonem.

Beczka potworności, którą otworzyli, zdawała się nie mieć dna.

– Teraz rozumiesz? – chciał się upewnić poblady Loris.

– A co łączy Sileriego z Altierim? – zastanawiał się głośno Costa i już kiedy to mówił, wyraźnie zobaczył związek, choć ciągle nie chciało mu się w to wierzyć.

– Według Minettiego – wyjaśnił Loris – Collins zorganizował swoją inscenizację śmierci, aby wyrzucić na kimsz wrażenie. Stawką w tej grze jest przejście na wyższy poziom wtajemniczenia w bractwie psychopatów. Dowód znajdował się w jednej z walizek, które znaleziono w pokoju hotelowym Collinsa.

– Co to za dowód?

– Bilet lotniczy do Mediolanu. Collins wybierał się do Włoch po odbiór nagrody.

Ranek był deszczowy, ale Piovesan pojawił się w hotelu o świcie, trzymając pod pachą teczkę z dokumentami, które wzbudziły wcześniej ogromne zainteresowanie Valentyny.

Wyjął je spod kurtki w pokoju Costy służącym teraz za biuro, a obaj policjanci przekonali się ponownie o zaradności młodego kolegi. Wyniesienie dokumentów z komendy nawet w normalnej sytuacji mogło być uznane za poważne wykroczenie, a w warunkach nieprzyjemnego napięcia panującego wśród członków grupy operacyjnej było gestem świadczącym o wyjątkowej odwadze.

Podczas gdy Costa sprawdzał zawartość teczki, Piovesan potwierdził nazwisko funkcjonariusza, który przygotował dokumentację.

– Mamy szczęście – wyjaśnił – bo papiery pochodzą z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku i nigdy nie zostały zeskanowane. W tamtych czasach każdy, kto chciał zajrzeć do dokumentacji policyjnej, musiał wpisać w rejestrze archiwum nazwisko oraz daty wypożyczenia i zwrotu akt. Tak jak w bibliotece. Papierowe rejestry z lat dziewięćdziesiątych trafiły do depozytu jakieś dziesięć lat temu, ale udało mi się do nich dotrzeć. Nasza teczka została wypożyczona do konsultacji tylko jeden raz, pod koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Podpis zainteresowanego funkcjonariusza był prawie nieczytelny, ale *dottoressa* Medici zdołała go odszyfrować jako D. Caruso. Popytałem trochę tu i tam, i rzeczywiście w grupie operacyjnej pracował kiedyś niejaki sierżant Domenico Caruso, od lat na emeryturze. Odszedł ze służby w dwutysięcznym roku i sądzę, że niestety już nie żyje...

Costa podniósł wzrok znad dokumentów.

– Czy to jest ten wycinek z gazety, o którym wspominałeś?

Piovesan pokiwał głową.

– To te słowa zainspirowały panią inspektor do dalszych działań. – Wskazał na słabo widoczne litery w rogu pożąłkłej kartki.

Costa przeczytał na głos.

– To nie pierwszy raz. Sprawdzić sprawę morderstwa Albanesiego i Bordoni z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku.

Spojrzał na Lorisa, a ten natychmiast zaczął wystukiwać coś na klawiaturze. Po kilku minutach zmarszczył brwi.

– W sieci jest tylko krótka wzmianka na stronach prowincjonalnej kroniki kryminalnej. Podwójne morderstwo. Marco Albanesi i Linda Bordoni. Napisali, że chodziło o zabójstwo i samobójstwo... – Uniósł głowę i spojrzał na kolegów. – Jaki to ma związek z naszą sprawą?

Piovesan pokręcił głową.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. To na pewno nie było samobójstwo. Zależliśmy obszerniejszą dokumentację w tej sprawie i *dottoressa* Medici badała ją przez dłuższy czas. Jak już wspominałem, ja nie wiem zbyt wiele na ten temat, ale śmierć tych dwojga nieszczęśników w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku na pewno nie była wynikiem samobójstwa!

Opowiedział im szczegóły, które zapamiętał z relacji Valentyny: dwoje młodych ludzi zamordowanych przy użyciu noża, ciała przywiązane jedno do drugiego za pomocą sznurów i drążków, coś na kształt artystycznej kompozycji. Według ekspertów chodziło o odzwierciedlenie sceny z obrazu René Magritte'a. Śledztwo przeprowadzono szybko i niedbale. Nie ustalono winnych. Na wszystko spuszczone niewytłumaczalną zasłonę milczenia.

– *Dottoressa* była przekonana, że w aktach brakuje ważnych dokumentów – zakończył Piovesan.

Costa i Manna spojrzeli po sobie – morderstwo z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku łączyło się ze zbrodniami dokonanymi przez Lucę Sileriego oraz z ostatnią rzezią w Boulder. Swego rodzaju czerwona nić spletała zdarzenia, do których doszło w różnych miejscach i w odległych od siebie czasach. Jeśli wziąć pod uwagę kompleksowy układ, postać Sileriego zaczęła się rozmywać, stała się właściwie marginalna. Jego pozycja na scenie straciła pierwszoplanowe znaczenie, w tej układance brały bowiem udział też inne osoby, a wszystko trwało już od bardzo dawna.

– Musimy przejrzeć te akta, nawet jeśli są niekompletne – powiedział Costa. – Gabriele, ja wiem, że już bardzo dużo dla nas zrobiłeś, ale...

Piovesan pokręcił głową.

– Ja już o tym pomyślałem, ale teczka zniknęła.

– Co to znaczy, że zniknęła?

– Po prostu zniknęła. W archiwum znajduje się potwierdzenie, że *dottoressa* Medici oddała dokumenty po konsultacji, ale ich nie ma. Poza tym podpis pani inspektor na kwitku... no cóż, jego autentyczność budzi moje wątpliwości, ale nie dam sobie ręki uciąć.

Po raz kolejny zniknęły ważne dowody i ktoś musiał stać za ich przejęciem. Złość, która dręczyła Costę, nie minęła, lecz skryła się na chwilę w najodleglejszym

zakamarku jego serca, gotowa się zbudzić, gdy tylko znajdzie konieczność, by pomóc mu zrobić to, co należy. Na razie wściekłość pozostawiła miejsce chłodnej, skalkulowanej determinacji.

– Valentina nagrała mi wiadomość, w której mówiła, że jest bliska odkrycia prawdy – zaczął wyjaśniać Costa, wracając myślami do treści komunikatu. Dostrzegł, że obaj policjanci przyglądają mu się uważnie, i dokończył: – Twierdziła, że udało jej się znaleźć nowy ślad... Wspominała o kimś, kto miał jej opowiedzieć o wydarzeniach sprzed lat.

A potem wszystko naprawdę się skończy...

Costa popatrzył na Piovesana.

– Ten sierżant Caruso... Jesteś pewien, że on nie żyje?

– Nie. Tak naprawdę to nie wiem, ktoś mi tak powiedział. – Poczzerwieniał pod wpływem nagłego olśnienia. – To był jeden z policjantów z grupy Lomastra...

– Ile lat miałyby teraz Caruso? – zapytał Manna.

Piovesan wzruszył ramionami.

– Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt?

– Loris, spróbujesz?

Informatyk już zabrał się do pracy.

– Najpierw sprawdzę wśród kolegów na emeryturze, a potem w archiwach wydziałów kadr w urzędach miast w naszej prowincji... Zajmie mi to trochę czasu.

– Czy to legalne? – zaniepokoił się Piovesan.

– Mmmm, mniej więcej tak.

– Mniej czy więcej?

Ponieważ informatyk zajęty wyławianiem informacji z sieci nie zwracał na niego uwagi, Piovesan zwrócił się do Costy. Komendant wstał i teraz wyglądał przez okno, za którym wcześniejszy deszcz zmienił się w śnieg z deszczem zapowiadający pogorszenie pogody.

– Co jeszcze mógłbym zrobić? – zapytał młody policjant.

Costa odwrócił się powoli, ale jego odbicie na mokrej szybie zdawało się nie odrywać wzroku od ulicy.

– Musimy się spieszyć, bo straciliśmy sporo czasu – powiedział. – Jeśli chcesz, jesteś jednym z nas.

Fundacja Zernichów miała siedzibę w jednej z renesansowych kamienic mieszczących się przy alei Milano na tyłach teatru Verdiego. Wyglądało na to, że jedynym przywilejem Claudia Altieriego było prywatne miejsce parkingowe – jedno z dwóch – zarezerwowane dla jego wypasionego porsche cayenne, które znajdowało się na placu za budynkiem. Drugie należało do Federica Zernicha, ale od czasu gdy wiekowy przedsiębiorca zaczął miewać kłopoty z wychodzeniem z domu, niebieski prostokąt prawie zawsze pozostawał pusty.

Z technicznego punktu widzenia zainstalowanie GPS-u na środku ulicy mogło spowodować na nich kłopoty. W pobliżu nie było co prawda budynków mieszkalnych, z których przez okna ludzie mogliby ich obserwować, lecz okolica była dość licznie uczęszczana przez przygodnych spacerowiczów. Ktoś mógł ich zobaczyć. Czas jednak nagiął, a Costa chciał jak najszybciej odnaleźć Valentine, więc nie mógł sobie pozwolić na ryzyko długiego śledzenia Altieriego w oczekiwaniu na właściwy moment, aby umieścić w jego aucie GPS. Kiedy mężczyzna wracał do domu, parkował w garażu, a jeżdżenie za nim po podmiejskich drogach naraziłoby ich na rozpoznanie. Dlatego ostatecznie zdecydowali się na hazardowy ruch.

Szczęście im sprzyjało. Śnieg z deszczem, który padał poprzedniego dnia, zmienił się w obfite opady śniegu, co sprawiło, że większość mieszkańców Padwy została w domu w obawie przed chłodem. Piovesan stanął na czatach na rogu alei Milano, a Costa zajął się instalacją urządzenia.

Chodziło o prosty aparat z magnesem wyposażony w dość silną baterię, ale podobnie jak w przypadku wszystkich urządzeń niepołączonych z instalacją elektryczną samochodu czas jej działania był jednak ograniczony. Kiedy Costa zadzwonił do Lorisa, poprosił go oczywiście o przywiezienie niezbędnych materiałów i musieli się zadowolić tym, co było pod ręką.

Costa przeszedł obok auta Altieriego i upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, zwinnie się pochylił. Magnes urządzenia natychmiast przylgnął do wnętrza tylnego zderzaka. Urządzenie było niewidoczne, dopóki komuś nie przyszłoby do głowy, żeby wjechać porsche na kanał, no i raczej nie powinno odpaść bez ingerencji z zewnątrz. Kiedy Costa wrócił do młodego policjanta, zauważył, że ten strzela oczami na prawo i lewo ze zdenerwowania.

- Spokojnie, nikt nas nie widział – zaczął go uspokajać inspektor.
- Ja dużo ryzykuję...

– Wiem i nie zamierzam robić ci wyrzutów, jeśli zdecydujesz się wycofać. Już i tak nam pomogłeś. Valentina byłaby ci wdzięczna.

Przez dłuższą chwilę obaj milczeli, ponieważ wspomnienie kobiety przywołało niepokojące myśli.

– Teraz tkwię w tym już po same uszy – powiedział Piovesan, próbując się uśmiechnąć. – Wziąłem kilka dni urlopu. – Nie przestawał wpatrywać się w bramę prowadzącą do budynku, w którym nieświadomy ich obecności Claudio Altieri zajmował się interesami rodziny Zernichów.

Chociaż zarządca wzbudzał lęk, trudno im było sobie wyobrazić, że brał udział w tak koszmarnych morderstwach. Mimo to Piovesan czuł, że powinien zaufać Coście, który roztaczał wokół siebie specyficzną aurę i miał charyzmę. A poza tym był przyjacielem Valentiny.

– Co robimy dalej? – zapytał na koniec.

– Musimy śledzić Altieriego i zobaczymy, gdzie nas zaprowadzi. Jeśli teraz jest pewien, że nikt się już nim nie interesuje, a znajomi z komendy na pewno nie zapomnieli go o tym poinformować, to może popełni jakiś błąd.

Costa wiedział jednak, że to nie takie proste, chyba że szczęście się do nich uśmiechnie.

W tej chwili zadzwonił telefon.

– To Loris – powiedział Costa i patrząc na Piovesana, wysłuchał, co informatyk ma mu do powiedzenia. – Caruso żyje – oświadczył po zakończeniu rozmowy.

Właśnie na to liczył. Sierżant Caruso mógł być ostatnią osobą, którą Valentina spotkała przed zniknięciem. Dała mu to do zrozumienia w poprzedniej wiadomości głosowej.

Tymczasem Loris Manna miał im do zakomunikowania coś jeszcze.

Pomysł wpadł mu do głowy tylko dlatego, że pasjonował się kinem. Jego wyobraźnia filmowa zachęciła go do specjalizacji w dziedzinie najnowszych technologii. Tym razem zainspirował go *Łowca androidów*, chociaż ten sam zabieg wykorzystano przy kręceniu innych słynnych filmów. Chodzi o to, że lustra i szyby odbijają obrazy – i nie jest to żadna tajemnica.

Kiedy po raz pierwszy obejrzał wideo ze sceną ukrzyżowania, właśnie taka myśl eksplodowała mu w głowie, ale zaraz zdominowało ją przerażenie na widok tego, jak oprawcy znęcają się nad starym, bezbronnyim człowiekiem. Obowiązek zawodowy nakazywał mu obejrzenie filmu kilka razy. I pierwotny pomysł ponownie zaczął dobijać się do jego świadomości tak intensywnie, że wreszcie postanowił spróbować.

Trzej zakapturzeni mężczyźni bez wątpienia torturowali nieszczęśnika na terenie posiadłości Zernichów, ponieważ wyraźnie można było zauważyć ścianę jednego z krużganków, prawdopodobnie wschodnią, oraz część muru pałacu. Widoczny był także fragment dużego witrażowego okna wychodzącego na wspaniały ogród. Po powiększeniu tego wycinka filmu można było dostrzec jakiś cień na szybie.

Mógł to być mebel znajdujący się wewnątrz budynku albo po prostu plama na kadrze. Zabrudzenie na oknie lub rysa na szkle. Mogło to być cokolwiek. Również odbicie sylwetki osoby stojącej w pobliżu.

Prawdopodobnie był tam czwarty człowiek. Ten, który nagrywał kamerą mękę Świętego Piotra. Nieznany reżyser horrorów.

Manna postanowił najpierw wszystko dokładnie sprawdzić, a dopiero potem zawiadomić Costę. Nie lubił rozbudzać fałszywych nadziei. I nie miał pewności, czy jego programy do polepszania jakości obrazu zdadzą egzamin.

Co nieco udało mu się jednak wydobyć na światło dzienne, chociaż było to coś na kształt widma. W szybie rzeczywiście odbijała się sylwetka mężczyzny z kamerą. Nie udało się rozpoznać twarzy, ponieważ zasłaniał ją aparat, a słaba jakość obrazu też nie ułatwiała zadania. Nagle gra cieni, a może ruch kamerzysty lub chmury zasłaniającej słońce sprawiły, że oświetlenie się zmieniło i obraz stał się wyraźniejszy. W tej samej chwili mężczyzna odwrócił twarz, wystawiając ją spoza kamery. Trwało to zaledwie moment, ale Lorisowi i tak wystarczyło. Zobaczył, że mężczyzna się uśmiecha. Starzec przebity gwoździami umierał na jego oczach, a on się uśmiechał.

– Widać jego twarz? – zapytał Costa przez telefon.

– Tak. Obraz nie jest zbyt wyraźny, ale można ją rozpoznać... – Loris dostał zadyszki. – Porównałem wizerunek ze zdjęciami dostępnymi w Internecie, a jest ich bardzo wiele. Jasne, minęło prawie trzydzieści lat, on się zmienił i, jak mówiłem, obraz pozostawia sporo do życzenia. W końcu to tylko odbicie w szybie. Według mnie to jednak on.

– Kto? Altieri?

– Altieri to pewnie jeden z tych zakapturzonych oprawców. W końcu jest jego prawą ręką, facetem od czarnej roboty, nie?

Costa przytaknął. No tak, teraz wszystko układało się w logiczną, naturalną całość.

– Zernich.

Mieszkał w Piove di Sacco, wiosce położonej w połowie drogi między Padwą a Laguną Wenecką. Było to jedno z tych miejsc na wschodzie prowincji, które nie leżało ani nad morzem, ani w otoczeniu natury, i gdzie mogli żyć tylko rdzenni mieszkańcy. Prosty parterowy domek wznosił się przy drodze powiatowej – zdawała się prowadzić znikąd donikąd, a w pobliżu stało jeszcze z dziesięć podobnych budynków. Wszystkie były anonimowe i trudne do rozróżnienia. Jedyny charakterystyczny element w okolicy stanowiła stara dzwonnica wznosząca się przy drodze. Była częścią dawnego kościółka, który od jakiegoś czasu nie gościł już Boga w swoich murach i sprawiał wrażenie zaskoczonego rozbudową zarówno drogi, jak i samej osady.

Costa zaparkował samochód niedaleko domu Domenica Carusa, próbując zrobić to jak najbliżej ogrodzenia, by nie blokować jezdni, po której bez ustanku mknęły auta i tiry z kierowcami niezwracającymi uwagi na ludzi kręcących się po przysiółku. Hałas z powodu sporego natężenia ruchu potęgowała jeszcze prędkość przemieszczających się pojazdów i nie było wątpliwości, że wartość okolicznych domów drastycznie się obniżyła wraz z budową tej ruchliwej drogi. Przez chwilę Costa pozostał w samochodzie, wyobrażając sobie mieszkającego tutaj samotnie mężczyznę. Miejsce przywodziło na myśl raczej pokutę niż odpoczynek na emeryturze.

Musiał długo pukać, zanim sierżant Caruso otworzył wreszcie drzwi.

Kiedy zobaczył go w półmroku sieni, wydał mu się znacznie młodszy, niż wskazywała na to metryka. Wkrótce zrozumiał przyczynę. Osiemdziesięcioletni Domenico Caruso miał gładką, lśniącą skórę nie dlatego, że dbał o wygląd, lecz za sprawą terapii przeciwastmatycznym kortyzonem. W rzeczywistości z bliska był raczej spuchnięty. Małe czarne oczy znikwały w fałdach tłuszczu, a cienka siateczka żyłek tworzyła mapę bólu i rezygnacji.

– Kim pan jest? – zapytał zdyszany i mało uprzejmym głosem. – Nikogo nie zapraszałem.

Costa wyjął legitymację policyjną, a staruszek obejrzał ją nieufnie.

– Wiele takich widziałem – powiedział. – To jeszcze nic nie znaczy.

– Nazywam się Fabio Costa. Chciałbym z panem porozmawiać. To nie zajmie dużo czasu.

– Nie jestem zainteresowany. Proszę zostawić mnie w spokoju.

– Tylko pięć minut. Chciałbym porozmawiać o sprawie, którą pan przed laty prowadził.

Caruso nadal stał w drzwiach.

– Od dawna jestem na emeryturze i moja pamięć nie funkcjonuje już tak, jak powinna. Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc. – Wykonał gest świadczący jednoznacznie o zamiarze zamknięcia drzwi, ale Costa położył rękę na framudze.

Caruso na próżno próbował go odepchnąć.

– Jestem stary i schorowany. Niech pan zostawi mnie w spokoju!

Ostatnie słowa wypowiedział ostrym tonem i Costa zauważył w nim dawną stanowczość gliniarza. Pod spuchniętym ciałem nadal telepała się dusza policjanta.

– Nie mam zamiaru pana męczyć, ale musi mnie pan wysłuchać. Niedawno spotkał się pan z moją koleżanką z policji, Valentiną Medici. Wiem, że była u pana, a potem nagle zniknęła. A wszystko dlatego, że przekazał jej pan ważne informacje. Teraz chyba pan rozumie, że nie ruszę się stąd, dopóki z panem nie porozmawiam.

Blefował jak najęty. Przecież nie miał żadnych dowodów, że Valentina naprawdę się z nim spotkała. Tymczasem mężczyzna spiał się w sobie i zwlekając z odpowiedzią, analizował szybko swoje szanse. W końcu z rezygnacją odsunął się na bok.

– Proszę wejść – rzucił rozkazującym tonem. – Tylko prędko, na miłość boską!

Kiedy drzwi zamknęły się za ich plecami, oczy Carusa zmieniły się w dwie czarne latarki.

– Przykro mi z powodu zaginięcia pani inspektor – powiedział drżącym głosem – ale ja ją ostrzegałem, że to niebezpieczna sprawa. Skoro pan tu jest, to znaczy, że ona nie żyje.

Wynajęli niewygodną dacie sandero, która miała zepsute ogrzewanie. Siedzący na miejscu pasażera Manna zdawał się niczym nie przejmować i bez ustanku pstrykał zdjęcia, a prowadzący samochód Piovesan poruszał palcami przyklejonymi do kierownicy, aby nie odpadły mu z zimna.

– Czemu nie sprawdziłeś, czy wszystko działa? – zapytał z wyrzutem Loris. – Chyba tu zamarzniemy!

Przeglądał ostatnie fotografie na wyświetlaczu nikon.

– Szukałem auta nierzucającego się w oczy i to wydało mi się idealne. Masz rację, że powinienem był je sprawdzić, ale nie zdążyłem.

– Sam już nie wiem, co myśleć. Wydaje mi się, że tracimy czas...

– Jak długo pracujesz w grupie operacyjnej?

– Od pięciu miesięcy, ale... Jestem jeszcze na okresie próbnym. Dopiero mają zdecydować, czy zostanę, czy nie...

– A wcześniej?

– W biurze dyrekcji, ale zawsze chciałem być policjantem, a nie urzędnikiem.

– Jesteś bardzo młody, musisz jednak poznać najważniejsze reguły. Śledzenie podejrzanych to nudna robota i czasami trwa wiele dni. Jeśli naprawdę interesuje cię ta praca, to powinieneś się przyzwyczajać.

Piovesan nie wyglądał na przekonanego. Od bladego świtu śledzili Altieriego i do tej pory nic szczególnego się nie wydarzyło. Podobnie jak w ciągu poprzednich tygodni, kiedy Valentina zarządziła podsłuchiwanie jego rozmów telefonicznych. Wydawało się, że teraz mają łatwiejsze zadanie, ponieważ Altieri prawdopodobnie czuł się pewniej i nie zachowywał ostrożności. Ponadto GPS pozwalał im nie siedzieć mu cały czas na ogonie, więc zostawali w tyle, gdy trafili na korek lub gdy ryzykowali, że ich zauważy na mniej uczęszczanych wiejskich drogach. Trasy zarządcy były jednakże zawsze podobne i chociaż Piovesan darzył Costę i Mannę pełnym zaufaniem, podobnie jak wcześniej Valentine, to czasami przychodziło mu do głowy, że znaleźli się w ślepym zaułku. Być może Lomastro ma rację i cała ta sprawa zakończyła się wraz ze śmiercią Sileriego.

– Gdzie on się teraz wybiera? To nie jest pora objazdu posiadłości szefa. – Loris kontrolował sygnał z GPS-u na swoim tablecie.

Strzałka symbolizująca samochód Altieriego właśnie oddalała się od siedziby biura fundacji na północ, chociaż zwykle o tej godzinie mężczyzna kierował się w stronę

Wzgórz Euganejskich, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Piovesan rzucił okiem na wyświetlacz i ruszył za samochodem Altieriego. Czyżby pospieszył się ze swoimi wątpliwościami? Po raz pierwszy podejrzany zmieniał swoje codzienne przyzwyczajenia.

Po chwili sygnał obwieścił, że mężczyzna się zatrzymał.

– Gdzie on jest? – zaniepokoił się Loris.

– O tu – powiedział Piovesan, zwalniając i wskazując palcem ciemne porsche stojące w niedalekiej odległości od nich.

Auto zaparkowano na miejscu zarezerwowanym dla osób z niepełnosprawnościami, przy murze ogrodzenia, za którym znajdowała się ogromna willa. Na wprost budynku ukrytego za drzewami pięknego ogrodu toczyła swe spokojne wody rzeka Brenta, a w odległości około stu metrów rozciągały się ogrody Arena, doskonale znane mieszkańcom Padwy.

Piovesan zatrzymał dacie po drugiej stronie ulicy, próbując nie rzucać się w oczy.

– To jest dom Federica Zernicha – oświadczył.

Zernich.

Costa wyraził się jasno.

– Wszystkie ślady prowadzą właśnie do niego, do Federica Zernicha, i niewiele zmienia, czy odbicie w szybie rzeczywiście należy do tego faceta. Valentina musiała to odkryć innym sposobem, ale wszystko się zgadza, wszystko do siebie pasuje, jeśli przyjmiemy, że to właśnie on stoi za kolejnymi morderstwami: za tym z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, za ukrzyżowaniem bezdomnego i za przestępczą działalnością Sileriego. Musimy jednak zdobyć niepodważalne dowody. Ale najpierw trzeba odnaleźć Valentinę.

W tym momencie Altieri wysiadł z samochodu i podszedł do wielkiej bramy, która otwierała się powoli, zapraszając go do wnętrza. Mężczyzna szybko zniknął w środku.

– Dlaczego nie wjechał samochodem? – zaczął się zastanawiać Piovesan.

– A kto go wie? Poczekamy i zobaczymy, co będzie dalej.

Nie czekali długo. Dziesięć minut później brama ponownie się otworzyła i pojawił się Altieri w towarzystwie zażywej kobiety w średnim wieku ubranej w niewyróżniający się kostium. Nawet ze znacznej odległości policjanci dostrzegli jej gęste brwi.

– To opiekunka Zernicha – potwierdził Piovesan. – Widziałem ją, kiedy przyprowadziła go do komendy. Nazywa się Hannie Janssen i jest chyba Holenderką albo Belgijką. Pracuje dla niego od dziesięciu lat, od kiedy staruszek nie jest już całkiem samodzielny.

Loris zaczął pstrykać zdjęcia.

Altieri przystanął i zamienił z kobietą jeszcze kilka słów, po czym wrócił do samochodu. Stojąca po drugiej stronie ulicy opiekunka Zernicha rozejrzała się wokoło. Miała wielkie oczy drapieżnika wyczuwającego ofiarę. Przez chwilę policjanci odnieśli wrażenie, że kobieta odkryła ich obecność. Potem Hannie Janssen odwróciła wzrok i zniknęła za wysoką bramą, która zamknęła się za jej plecami.

Cayenne z Altierim za kierownicą włączyło się do ruchu, a oni podążyli jego śladem.

– Chyba dzisiaj nie zamierza wyjeżdżać za miasto – zauważył Piovesan, wpatrując się w tylne światła szarego SUV-a. – Czy to znaczy, że coś się szykuje?

– Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że tak. Chciałbym, żeby to wszystko już się skończyło.

– Ja też, pod warunkiem że skończy się dobrze.

Stary policjant usiadł na kanapie, która miała trudny do określenia kolor. W pokoju słyhać było jedynie jego ciężki oddech. Oczy utkwił w nieproszonym gościu, który ośmielił się zakłócać jego spokój.

Costa rozejrzał się dookoła. Przy ścianie stał stół przykryty zielonym obrusem, a obok dwa stylowe krzesła. Nie pytając o zgodę, przyciągnął jedno i ustawił na wprost kanapy. Usiadł i bez wstępów przystąpił do rzeczy:

– Dlaczego pan to powiedział?

– Co takiego?

– Że moja koleżanka nie żyje.

– Czego pan ode mnie chce? – Caruso się zdenerwował, a głos mu się załamał, przerwany niespodziewanym atakiem astmy.

– Tylko prawdy, sierżancie... Proszę powtórzyć mi to, co powiedział pan Valentinie. Nic więcej.

– Nie jestem już sierżantem i od dawna nikt się tak do mnie nie zwraca.

– Przecież był pan policjantem. A kto nosił mundur, na zawsze pozostaje na służbie.

– Czyżby?

– Tak mówią.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

– Gdybym był uprzejmym gospodarzem, zaproponowałbym panu coś do picia – powiedział, oddychając z trudem. – Na przykład kawę. Ale ja nie mam nic do zaoferowania. Chcę tylko, żeby zostawił mnie pan w spokoju.

– Pójdę sobie, jak tylko powie mi pan to, czego muszę się dowiedzieć.

– Nie mam nic do powiedzenia. Pamięć mi szwankuje.

– Jakoś nie wierzę.

– Niech pan wierzy albo nie. Proszę mnie nie męczyć... – Głos zadrżał mu błagalnie.

– Moja koleżanka była u pana w bardzo ważnej sprawie.

– Ona obrała złą drogę... – Przygryzł usta, jakby chciał się powstrzymać, by nie powiedzieć zbyt wiele. – Proszę zostawić mnie w spokoju...

– Dlaczego jest pan przekonany, że ona nie żyje?

Od chwili gdy Caruso wypowiedział te słowa, myśli Costy wbrew jego woli skupiły się na jednym. I zadając pytanie, którego wcale nie zamierzał formułować, po raz

pierwszy zdał sobie sprawę, że to jedyna przerażająca pewność, którą dysponuje. Valentina nie żyje. Każdy najdrobniejszy szczegół z ostatnich dni potwierdzał tę tezę.

– Ja nic nie wiem o losach pańskiej koleżanki – upierał się Caruso, dysząc.

Costa poczuł, jak złość, którą udało mu się zamknąć w zakamarku duszy, teraz się uwalnia, uderzając mu do głowy. Zbliżył się do Carusa i warknął, zmieniając ton:

– Ile osób przesłuchiwał pan w swojej karierze, sierżancie?

– O co panu chodzi?

– Jestem pewien, że było ich wiele. Ja też mam spore doświadczenie. Ilu podejrzanych przyznało się panu do winy?

Caruso nie odpowiedział.

– Jest pan dobrym policjantem, mogę się założyć. Ale ja też nie jestem gorszy. Podobnie jak pan wiem, kiedy ktoś kłamie. I potrafię zmusić ludzi do mówienia. To nie ma nic wspólnego z instynktem. To po prostu kwestia wieloletniego doświadczenia. Niech więc pan przestanie wciskać mi bajery, bo obraża pan moją inteligencję.

Mała odległość sprawiła, że stary policjant musiał wyczuć wściekłość, którą Costa starał się powstrzymać. Skulił się na kanapie i kiedy się odezwał, jego głos zmienił się w lament:

– Ja naprawdę nie wiem, co się przytrafiło pani inspektor – powiedział i na widok marsowej miny Costy dodał: – Przysięgam, że nie kłamię. Po prostu wiem, do czego oni są zdolni. Przed laty ze mną zrobili to samo, a od tamtej pory nic się nie zmieniło... Chyba że na gorsze.

– O czym pan mówi?

Caruso potrząsnął głową i ciągnął dalej, chociaż bardziej do siebie niż do Costy:

– Ja ją ostrzegałem, mówiłem, że to niebezpieczni ludzie. Niebezpieczni i wpływowi. Wtedy nic nie mogłem zrobić, a co dopiero teraz. To nie moja wina... Ma pan rację. Byłem dobrym policjantem, naprawdę dobrym... Ale jak mogłem się im przeciwstawić?

Oczy starego policjanta były teraz wilgotne, ale Costa nie miał zamiaru obstawiać powodu, którym mogła być zarówno złość, jak i ubolewanie nad sobą. Zniknęła gdzieś bezczelność, która go z pewnością charakteryzowała przez całe zawodowe życie. Wstrzymywane łzy nie zdołały jednak wzbudzić współczucia Costy, a jedynie niesmak. Chociaż wpłynęły na zmianę tonu.

– O kim pan mówi? Kto jest aż tak wpływowy? Kto panu groził?

Spojrzenie starego mężczyzny rozbłysło i było w nim coś więcej niż tylko strach. On też ukrywał swoją wściekłość na dnie duszy. Może to ona trzymała go przy życiu.

Caruso zacisnął usta jak niesforne dziecko.

Costa nie chciał sugerować mu nazwiska Zernicha. Nie jako pierwszy. Ta informacja musiała wyjść od byłego policjanta. Dla Costy jednak każda chwila była na wagę złota.

Chwycił swojego gospodarza za przegub dłoni i poczuł cienką skórę i kruche kości, które mógłby złamać jednym ruchem. Złość kierująca jego reakcjami nagle ustąpiła i puścił rękę Carusa. Poczuł ukłucie wstydu zastąpione natychmiast przeświadczeniem, że ma przed sobą klucz do rozwiązania sprawy. Był zły sam na siebie, że traci tyle czasu.

Stary policjant rozmasowywał sobie nadgarstek, wycofując się jeszcze bardziej.

Zrezygowany Costa pokręcił głową.

– Niech mi pan pomoże. Wystarczy, że powtórzy mi pan to, co powiedział Valentinie. Jeśli ona jest w niebezpieczeństwie, musi mi pan dać szansę, żeby ją ocalić. Niech pan ją uratuje... Tylko pan może to zrobić!

Być może słowa Costy go poruszyły, bo zmienił wyraz twarzy. Niestety, ciągle milczał.

– Pytała pana o morderstwo z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, prawda? – nalegał Costa, chwytając się ostatniej deski ratunku. – Dwoje młodych ludzi zamordowanych w... Tombelle. Pamięta pan?

Po raz drugi na twarzy Carusa pojawił się ślad ożywienia. Pewnie tak musiał wyglądać przed laty, zanim pokonały go starość i choroba.

– Ja już niewiele pamiętam – odezwał się, powoli wymawiając poszczególne słowa – ale...

– Co takiego?

– Zabójstwo tych dwojga nieszczęśników, sposób, w jaki zmasakrowano ich ciała... – Przerwał na chwilę i popatrzył w pustkę, wzdychając ciężko. – To prawda. Byłem przy tym – wyznał na koniec.

– Nie uważasz, że jakoś dziwnie się zachowuje?

Piovesan niczego nie zauważył. Altieri opuścił willę Zernicha i od pół godziny pozornie bez celu krążył po mieście. Wystawne porsche wyróżniało się w porannym ruchu, ale nawet kiedy zostawali w tyle, by nie rzucać się w oczy, punkt na mapie widocznej na tablecie Manny przesuwiał się, zataczając coraz szerszy krąg. Najpierw oddalał się od centrum, a potem do niego wracał.

– Nie zmierza do konkretnego celu – zgodził się ostrożnie. – Ale to jeszcze nie znaczy, że dziwnie się zachowuje...

– A właśnie, że tak, choć różnice są niemal niezauważalne, to prawda. Chyba mamy farta, przyjacielu. Altieri coś zamierza i jeździ po mieście, by sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Nie zbliżaj się zanadto... niech poczuje się pewnie.

Policjant nadal wątpił w trafność analizy Manny. Próbował podzielać jego entuzjazm, lecz nie był w stanie. Zaczął się zastanawiać, czy ma odpowiednie predyspozycje do takiej pracy. A może porzucenie biura dyrekcji i przyłączenie się do grupy operacyjnej było błędem? Rozporządzenia i dekrety – to był jego chleb powszedni.

Altieri ciągle krążył po mieście. Zatrzymał się jedynie raz obok starej wieży wznoszącej się między dwiema odnogami rzeki. Budowla zdawała się uwięziona w błyszczącym kokonie rusztowań. Zauważyli, że zaparkował u wylotu ścieżki, która od głównej ulicy prowadziła do wieży. Na wielkiej planszy widniały szczegółowe informacje dotyczące trwających prac renowacyjnych.

– Obserwatorium astronomiczne – wyjaśnił Piovesan. – To jeden z zabytków, które odnawia fundacja Zernichów. Jeden z wielu, ma się rozumieć. – Spojrzał znacząco na Mannę, jakby szukał potwierdzenia, że sędziwy dobroczyńca miasta naprawdę jest w to wszystko zamieszany.

Altieri wrócił do auta już po pięciu minutach, po tym, jak sprawdził stan robót na placu budowy, który zresztą w tej chwili zdawał się opustoszały. I kontynuował swoją na pozór bezsensowną pielgrzymkę po mieście.

W pewnym momencie czerwona strzałka na ekranie tableta zasygnalizowała, że podejrzany ponownie się zatrzymał. GPS wskazywał, że znajduje się około dwustu metrów przed nimi.

– Jest tam – zawołał Manna – jedź dalej, nie zatrzymuj się!

Piovesan też dostrzegł zaparkowane na poboczu porsche. Znajdowali się w peryferyjnej dzielnicy Casermoni i na ulicach nie było zbyt wielu ludzi. Altieri skierował się do lokalu z publicznym dostępem do Internetu, a zanim zniknął w środku, uważnie rozejrzał się dookoła.

Ten jednoznaczny gest nieco ich zaskoczył, bo potwierdzał, że mężczyzna ciągle sprawdza, czy nikt go nie śledzi.

Piovesan zaparkował dacie dwadzieścia metrów dalej. Przy użyciu bocznych lusterek mogli bez problemu kontrolować wejście do lokalu. Musieli zachować ostrożność, bo chociaż ich samochód nie rzucał się w oczy, to przecież cały ranek jeździli za Altierim. A nie mieli do czynienia z idiotą. Manna docenił dyskretny manewr kolegi, bo uśmiechnął się pod wąsem. I Piovesan poczuł się wreszcie prawdziwym gliniarzem.

Pół godziny później Altieri wyszedł, rozejrzał się dookoła, szybko sprawdził okolicę i wszedł do samochodu.

– Możesz teraz sam go śledzić? – zapytał nieoczekiwanie informatyk, patrząc przez okno. Piovesan otworzył usta, ale kolega nie pozwolił mu zabrać głosu i sam dokończył: – No pewnie, że możesz.

Nie czekając na protesty, szybko wyskoczył z samochodu, przeszedł przez ulicę i zniknął we wnętrzu lokalu z Internetem.

Piovesan siedział przez chwilę z otwartymi ustami. Potem spojrzął na puste siedzenie, na którym Manna zostawił swój tablet. Zamknął usta i rozejrzał się po ulicy.

– No pewnie, że mogę. Jadę! – powiedział na głos, by dodać sobie otuchy.

Światelko na ekranie zaczęło pulsować, a serce policjanta забиło mocniej.

Cayenne Altieriego oddalało się szybko, a Piovesan ostrożnie włączył się do ruchu i rozpoczął pierwszą samodzielną akcję w życiu.

– Miałem trzydzieści lat, a już sporo widziałem. Wtedy było inaczej niż teraz, nie można było spędzić służby za biurkiem. Wysyłali nas na ulice od rana do wieczora, musieliśmy poznać miasto jak własną kieszeń, a zamieszkujących je przestępców jak członków własnej rodziny. Rzucali nas na głęboką wodę, a mimo to nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziałem. Ani ja, ani żaden z kolegów. Prawdziwy koszmar...

Popołudniowy zmrok oraz ciężkie zaślony sprawiały, że salon Domenica Carusa robił ponure i przygnębiające wrażenie. Zapadające ciemności oraz gardłowy głos starego policjanta przerywany głośnym sapaniem przyczyniły się do tego, że Costa przeniósł się myślami do roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego, w którym wszystko się zaczęło.

– Znałem ich oboje... Marco Albanesi pochodził z dobrej rodziny, ale od wielu lat był uzależniony od amfetaminy. Wie pan, że w tamtych czasach to był najbardziej rozpowszechniony narkotyk? O wiele popularniejszy niż heroina. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, i tak by długo nie pożył, bo wykańczało go to świństwo, które wstrzykiwał sobie do żyły. Jego ojciec przychodził na komendę co najmniej raz w tygodniu, prosząc nas, żebyśmy uratowali mu syna, albo przynajmniej go aresztowali. Co mogliśmy zrobić? Wszystko za późno. Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale nie było już dla niego ratunku, zresztą tak jak dla wielu innych z jego pokolenia. Natomiast Linda była prostytutką. Miała chyba kilka lat więcej niż Marco. Poznałem ją na ulicy i sprawiała wrażenie, jakby uprawiała ten zawód od zawsze. Nie pochodziła z Padwy, ale osiadła w mieście na stałe. Nie robiła nic złego, chociaż obracała się w podejrzanych kręgach. Poza tym oboje byli zwykłymi młodymi ludźmi, którym zabrakło w życiu szczęścia. Nie zasługiwali na taki koniec.

Caruso pamiętał każdy szczegół, jakby odkrył ciała dziś, a nie pięćdziesiąt lat wcześniej.

– Obejmowali się, a głowa mężczyzny pochylała się ku kobiecie. Ich usta mogłyby się spotkać, gdyby nie rozdzielały ich dwa strzepy brudnego płótna, którym byli owinięci. Okropna scena, może mi pan wierzyć. A to nie były pierwsze zwłoki, jakie widziałem w życiu... – Przerwał na chwilę, a jego ton brzmiał smętnie, jakby mężczyzna smakował gorycz tamtych wspomnień. – Ktoś zauważył podobieństwo sceny do słynnego obrazu Magritte'a *Kochankowie*. Ja nigdy nie byłem znawcą sztuki i teraz też się tym nie interesuję, ale widziałem reprodukcję obrazu. Już sama insynuacja, że ta obrzydliwa scenografia przypomina dzieło sztuki, wiele mówiła

o pokrętnym sposobie myślenia niektórych dziennikarzy. To jednak rzeczywiście był punkt wyjścia dla naszego śledztwa... morderca, który inspirował się dziełami sztuki. Absurdalny pomysł. W tamtych czasach nikt nie mówił jeszcze publicznie tak dużo o seryjnych mordercach... Nie wiedzieliśmy, że taka kategoria istnieje, i nie byliśmy przygotowani do walki z nimi.

Nieoczekiwanie Caruso dostał czkawki.

– W końcu jednak wasze śledztwo przyniosło jakieś rezultaty, prawda? – zapytał ostrożnie Costa, nie chcąc wybić rozmówcy z rytmu.

– Jakie śledztwo? Nie było żadnego śledztwa. Trochę nad tym pracowaliśmy, ale tak naprawdę nikomu nie zależało na wykryciu zabójcy dwojga wyrzutków... a poza tym nie mieliśmy konkretnych poszlak...

– Jak to możliwe? Przyjaciele, znajomi... Narkoman i prostytutka... wystarczyło przesłuchać ludzi obracających się w tych kręgach, a dostalibyście dziesiątki nazwisk do sprawdzenia.

– Tak, zwykła procedura. – Jego głos zabrzmiał pewniej i tak jak wcześniej Costa dostrzegł ślad dawnej, silnej osobowości sierżanta, która od czasu do czasu wpływała na powierzchnię jak rzeźba w stawie. – To nieprawda, że nie mieliśmy podejrzanych. A przynajmniej ja miałem jednego pewniaka. Niemal przypadkiem przyszła mi do głowy myśl, kto mógł dopuścić się tego morderstwa... Kiedy jednak próbowałem podzielić się swoim odkryciem, wszystko się skomplikowało...

Nagle w pokoju wypełnionym cieniami i wspomnieniami z przeszłości wyczuli czyjaś obecność. Nie byli już sami, lecz w towarzystwie milczących dusz kochanków, którzy przysłuchiwali się uważnie, bo oni też od pół wieku czekali na to wyznanie.

– Kogo pan podejrzewał? – zapytał Costa, chociaż dobrze wiedział, jakie nazwisko padnie z ust starego policjanta.

– Federica Zernicha – wyszeptał w końcu Caruso. – Wszyscy wiedzieli, kim on jest, ale tylko ja ośmieliłem się wypowiedzieć na głos myśl, że może być mordercą. I bardzo drogo musiałem za to zapłacić. Bardzo drogo...

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku Federico Zernich miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, tak jak Marco Albanesi, jego przyjaciel z dzieciństwa. Caruso z własnej inicjatywy postanowił dokładniej zbadać sprawę po tym, jak Zernich, tak samo jak wielu innych młodych znajomych zamordowanego, został przesłuchany przez znudzonych i niezbyt zainteresowanych funkcjonariuszy z grupy operacyjnej. Jego zeznania nie były zbyt przekonujące. Zresztą nie musiały być, bo Federico był pewien, że nikt nie będzie drążył. Kto by się ośmielił? Dlatego nie zadał sobie nawet trudu szukania wiarygodnego alibi.

Sierżant chciał się jednak dowiedzieć więcej.

I odkrył, że pomimo pozornej sielanki rodzinnej Federico Zernich wcale nie miał łatwego dzieciństwa. Jego ojciec Nicola był człowiekiem pozbawionym uczuć, syn go nie obchodził, i prawie cały czas był nieobecny, gdyż w życiu interesowały go jedynie praca i towarzystwo luksusowych prostytutek. Tej ostatniej pasji nie ukrywał nawet przed żoną, zimną anorektyczką o imieniu Marta, która ze swej strony kultywowała wyłącznie miłość do sztuki. Poświęcała jej cały wolny czas i zgromadziła jedną ze znaczniejszych kolekcji obrazów w północnych Włoszech. Krążyły słuchy, że bardziej interesowała się artystami niż ich dziełami, ale były to pewnie plotki, bo chodziło o atrakcyjną kobietę nieukrywającą swoich kontaktów z malarzami, których sponsorowała.

Federico dorastał praktycznie sam, powierzany kolejnym nianiom i służącym, które nie tuszowały pogardy dla dziecka od wczesnego dzieciństwa okazującego dziwne skłonności. Początkowo jego upodobanie do przemocy traktowano jako przejaw trudnego charakteru, który z biegiem lat mógł się jeszcze bardziej wynaturzyć. Wyraźne okrucieństwo widoczne w jego postępowaniu przekraczało jednak znacznie zwykły brak litości charakterystyczny dla większości dzieci. Jedną z opiekunek, z którą Caruso zdołał porozmawiać, wyznała mu, że jako nastolatek Federico Zernich przejawiał chorobliwe upodobanie do śmierci. Wiele razy znajdowała go na przykład śpiącego w rodzinnej krypcie razem z trupami małych zwierząt, które tulił do piersi. Były to psy, koty, a nawet szczur. Chłopiec prawdopodobnie sam je wcześniej zamordował. Kiedy kobieta próbowała porozmawiać o tym z rodzicami, została natychmiast zwolniona. Oczywiście poinformowała Carusa, że absolutnie nie zgodzi się zeznawać w tej sprawie, ponieważ Zernichowie są zbyt wpływowi, aby można wystąpić przeciw nim, nie ponosząc konsekwencji.

W młodości Federico bawił się i korzystał z życia do upadłego, nie przejawiając specjalnie zainteresowania rodzinnym biznesem, który pewnego dnia miał odziedziczyć. Caruso odgrzebał stare raporty policyjne opisujące nocne wypadki młodzieńca i jego przyjaciół, które często kończyły się nieuzasadnionymi aktami przemocy. Co najmniej w dwóch przypadkach niedługo po osiągnięciu pełnoletności Federico został oskarżony o znęcanie się nad prostytutkami. Jedna z kobiet trafiła nawet do szpitala z powodu ran ciętych, a według raportu napastnik pociął jej brzuch, próbując nieudolnie wykonać na nim stylizowany symbol fallusa.

Pomimo różnych wyskoków młody spadkobierca fortuny nigdy nie trafił do aresztu, prostytutki nie potwierdziły bowiem wysuniętych na gorąco zarzutów, a poza ich oskarżeniami nie było przeciw niemu żadnych dowodów. I za każdym razem wychodził cało z opresji, bo ojciec, który nie miał ani czasu, ani ochoty osobiście zajmować się wybrykami syna, przez podstawione osoby płacił za milczenie zarówno ofiarom, jak i śledczym. Krążyły nawet plotki, że na liście płac Zernicha byli nie tylko lokalni policjanci, ale nawet niektórzy sędziowie. W końcu chodziło o najpotężniejszą rodzinę w okolicy, do której należało całe miasto.

Nikt więc nie odważył się sprawdzić alibi Federica Zernicha na dzień, kiedy prawdopodobnie zamordowano Marka Albanesiego i Lindę Bordoni, chociaż istniało wiele poszlak wskazujących na ich wzajemne kontakty. Mówiono nawet, że ktoś widział ich razem w wieczór poprzedzający zniknięcie narkomana i prostytutki. Podobno świadek okazał się niewiarygodny, a jego personalia nigdy nie zostały ujawnione. Los śledztwa w sprawie podwójnego zabójstwa w Tombelle był zatem od początku przesądzony. Sprawa szybko trafiła do archiwum i nikt nie zamierzał protestować.

– Ja na początku próbowałem – powiedział Caruso – chociaż nawet nie wiedziałem do końca, po co to robię. Chyba po prostu wydawało mi się niesprawiedliwe, żeby ich śmierć uszła zabójcy na sucho, a może chciałem dobrze wykonać powierzoną mi pracę. Wiedziałem jednak, że porywam się z motyką na słońce. Najpierw pogadałem z kolegą, z którym pracowałem. Nazywał się Franco Galati... – Patrzył na Costę, ale w jego oczach odbijały się wspomnienia. – Był moim partnerem, wie pan, co mam na myśli?

Tak, Costa wiedział. Dawnej zdarzało się bardzo często, że policjanci dwójkami patrolowali ulice, prowadzili razem dochodzenia, godzinami śledzili podejrzanych, ryzykując czasami życie. Pary, które tworzyły się na podstawie polecenia służbowego, nierzadko trwały latami, nawiązując prawdziwe przyjaźnie. W policji partner to bardzo ważna osoba, w wielu przypadkach nietykalna, bo czasami relacja staje się solidniejsza niż w małżeństwie czy w rodzinie.

– No właśnie – podjął Caruso – skoro wie pan, o czym mówię, to może pan sobie wyobrazić, jak bardzo liczyłem się z jego opinią. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym zachować przed nim w tajemnicy swoje podejrzenia względem Zernicha. I wtedy po raz pierwszy się poróżniliśmy. Franco odmówił współpracy w śledztwie. Twierdził, że wpadłem w obsesję, że i tak mamy dość pracy, nie ma sensu tracić czasu na szukanie winnych. To on pierwszy zaczął mnie zniechęcać, chociaż był ze mną na miejscu znalezienia zwłok. Pewnie, że czasami nawet wśród partnerów zdarza się odmienny punkt widzenia. Rzadko, ale się zdarza. I z reguły brałem pod uwagę jego zdanie. Tym razem nie potrafiłem jednak odpuścić i wbrew radom Franca postanowiłem powiedzieć o swoich podejrzeniach naszemu szefowi. Taki byłem pewny swego! Oczywiście przełożony nie chciał o niczym słyszeć. Trząsł portkami tak jak inni. Wtedy spotkałem się osobiście z sędzią śledczym prowadzącym sprawę. – Zamilkł i tym razem znacznie dłużej trwało, zanim zdecydował się dokończyć opowiadanie.

Costa niemal czuł, jak obracają się tryby jego pamięci. W końcu stary policjant odtwarzał najważniejszą sprawę w swojej karierze. Ciekawe, czy Valentina też odniosła takie wrażenie.

– Tego dnia, kiedy miałem umówione spotkanie z sędzią – ciągnął Caruso – zostaliśmy nieoczekiwanie wezwani na służbę. Nie tylko my, wszyscy funkcjonariusze z komisariatu. Doszło do zamieszek studenckich w pobliżu uniwersytetu, a wtedy nie miało znaczenia, do jakiego wydziału policji byłeś przypisany, czy do grupy operacyjnej, czy do biura do spraw cudzoziemców, czy jeszcze gdzie indziej. Doszło już do pierwszych starć, do bójek na ulicach... i mogę pana zapewnić, że tamte rozruchy nie miały nic wspólnego z nieudolnymi manifestacjami, których dziś pełno. Na naszych oczach rodził się terroryzm, a Padwa znalazła się w samym centrum wydarzeń. Nie tylko sekcja polityczna była zaangażowana w tłumienie zamieszek, ale także my z grupy operacyjnej. Tego dnia, kiedy przybyliśmy na miejsce, zauważyliśmy, że są tam już oddziały szturmowe... komenda w Padwie zawsze była bardzo skuteczna w działaniu. Mieliśmy się zająć blokadą dzielnicy uniwersyteckiej, ale grupa manifestantów przełamała pierwsze szyki i wpadła wprost na nas. – Westchnął ciężko i z trudem opanował drżenie. – Byłem jak zwykle razem z Frankiem, nagle znaleźliśmy się w największym kotle. Totalne zamieszanie. Trafiliśmy w sam środek bitwy, wszędzie pełno było dymu z rac, a wokoło nas wybuchały koktajle Mołotowa. Potem ktoś zaczął strzelać i zostałem trafiony. Dostałem w ramię. – Mimo że Costa nie odezwał się ani słowem, Caruso rozpiął kraciastą koszulę i odsłonił małą bliznę nad obojczykiem. – Widzi pan? Ja nie kłamię. Jeden jedyny raz zostałem ranny na służbie. Padłem na ziemię, ale nie straciłem przytomności. Chyba nawet nie czułem

bólu, chociaż tego już naprawdę nie pamiętam. Najważniejsze, że przeżyłem. Trafiłem do szpitala i lekarze zapewnili mnie, że wszystko będzie dobrze, bo kula otarła się o kość. Przez ponad miesiąc byłem niezdatny do służby, a sędzia śledczy nie miał zamiaru czekać, aż wyjdę ze szpitala. Zamknął sprawę zgodnie z procedurą. Zernich nigdy nie został nawet wpisany na listę podejrzanych. Wiem, że moje działania i tak pewnie na niewiele by się zdały, ale powinienem był spróbować.

– A jednak dał pan spokój – powiedział Costa i nie było to pytanie – i już więcej nie wrócił do tej sprawy.

W oczach Carusa pojawił się dziwny blask.

– No właśnie. Nie mogłem szukać dowodów świadczących o winie Federica Zernicha. Wie pan dlaczego? Wie pan, co przekonało mnie ostatecznie, że nigdy nie uda mi się wsadzić go za kratki?

Costa zaczął się domyślać powodu, a Caruso wyczytał w jego oczach, że zna odpowiedź.

– Rozumie pan, co? Szybko pan łapie... Ja dowiedziałem się wszystkiego jeszcze w szpitalu z rozmów z lekarzami. Dali mi do zrozumienia, że pocisk nie został wystrzelony z szeregów protestujących studentów, ale z tyłu. A tam byli moi koledzy.

Zamilkł ponownie, a Costa poczuł, że powinien zmienić zdanie na temat starego sierżanta. Tymczasem Caruso zastanawiał się pewnie, jaką rolę tak naprawdę odgrywa w całej sprawie policjant, który wtargnął do jego mieszkania, zmuszając go do ponownego przeżywania tamtych odległych w czasie wydarzeń, o których tak bardzo chciał zapomnieć. Tym bardziej że nie był pierwszy, bo niedawno o to samo pytała Valentina.

– Rozumie pan teraz, dlaczego przestałem drążyć?

– Tak, przez pańskiego kolegę... – mruknął Costa.

– Zgadł pan! Mój partner... mój brat! O mój Boże! W końcu dowiedziałem się wszystkiego przez przypadek... a może nie... Może on wcale się z tym nie krył. Przekonałem się, kiedy odwiedził mnie w szpitalu. Wyczytałem to w jego oczach, w jego milczeniu, w jego zakłopotaniu. Nie chciał spojrzeć mi w oczy. A mimo to trudno mi było uwierzyć. Kiedy jednak zapytałem go wprost o powód, z nadzieją, że zaprzeczy albo przynajmniej powie, że doszło do nieszczęśliwego wypadku, co przecież w tym zamieszaniu było całkiem możliwe... on po prostu wyznał, że jego żona jest ciężko chora. Ma tętniaka mózgu. I jedynie bardzo drogie leczenie daje minimalną szansę na poprawę jej stanu. Już się pan domyśla, kto mógł za to zapłacić? Kto mógł zapewnić im jeszcze tę odrobinę nadziei?

Costa pokiwał głową, nie znajdując słów wobec ciężaru wyznania starego sierżanta.

– Zdaję sobie sprawę, że nie ma usprawiedliwienia dla mojego postępowania – powiedział Caruso. – Przecież to nie postrzał tak mnie wystraszył, bo brałem pod uwagę możliwość, że mogę zginąć na służbie. Nawet nie to, że wykonawcą wyroku okazał się mój partner, który zresztą ze łzami w oczach przysięgał potem, że nie chciał mnie zabić, a tylko wyłączyć z gry. Nie. Przeraziłem się, bo zrozumiałem, jak nieograniczoną władzę posiadają Zernichowie i jak bardzo lubią jej używać. Przekonałem się, jakie są ich metody działania. Nie ograniczyliby się tylko do mojej osoby, ale nie zawahaliby się skrzywdzić moich bliskich. Wszyscy znaleźliby się w niebezpieczeństwie: rodzina, przyjaciele, znajomi. Nie mówię jedynie o fizycznym zagrożeniu, bo Zernich zniszczył duszę Franca. A wszystko przez to, że się uparłem i chciałem mieć rację.

Przerwał i zapadła smutna cisza, może nawet bardziej przykra niż poprzednio.

– I co się później stało? – zapytał Costa.

Caruso spojrzał mu w oczy. W jego wzroku można było zauważyć ulgę.

– Nic – rzucił. – Sprawa została zamknięta na amen. Zresztą nie było na co liczyć. Kto by się przejmował śmiercią narkomana i prostytutki. A ja zająłem się tym, co mi najlepiej wychodziło, byłem po prostu gliniarzem. Zmieniłem oczywiście partnera, ale to nie miało większego znaczenia. I dożyłem starości. Jestem cały i zdrowy... chociaż pewnie już długo nie pociągnę.

– A co się stało z Zernichem?

– No tak, Zernich... Po zabójstwie tej nieszczęsnej pary i upozowaniu koszmarnej sceny młody spadkobierca rodu zniknął... i przez kilka dobrych lat nie pokazywał się w mieście. Nie sądzę, żeby kierowały nim strach czy wyrzuty sumienia. Po prostu rodzice zdecydowali, że lepiej będzie, jak na jakiś czas zniknie z pola widzenia. Zawsze miał dobrą ochronę, a pamięć ludzka jest krótka. Kto wie, może rodzina obawiała się, że jakiś inny sierżant Caruso, odważniejszy i uczciwszy ode mnie, zechce doprowadzić do końca robotę, za którą pobiera pensję. – Uśmiechnął się gorzko. – Kilka lat później Zernichowie zginęli w wypadku samochodowym. Nie było w tym nic podejrzanego poza tym, że oboje znajdowali się w jaguarze nestora rodu, choć wszyscy wiedzieli, że małżonków od lat nic już nie łączyło. Byli dla siebie obcy. Takie są jednak fakty, a ja nic więcej nie wiem. Zresztą nikt nie zadawał zbędnych pytań, które teraz widzę w pana spojrzeniu. Ja postanowiłem nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Wziąłem sobie do serca nauczkę z przeszłości. – Uniósł podbródek, jakby zachęcał Costę do polemiki. – Po śmierci rodziców Federico wrócił do gry – podjął po chwili. – W międzyczasie dorósł i nie przypominał już lekkomyślnego chłopaka, który rozbijał się luksusowymi samochodami w poszukiwaniu prostytutek. Stał się mężczyzną, a przy tym wyrósł na chytrego biznesmena, przejął imperium stworzone

przez ojca i zaczął nim zarządzać, osiągając znaczne sukcesy. Prowadził też działalność dobroczynną. Oczyszczony niczym ubranie odebrane z pralni, pokazał miastu swoje lepsze oblicze. Niezła szopka, co? Wszystkich zdołał oszukać, nawet mnie, bo przez jakiś czas myślałem... Niech mi Bóg wybaczy... Myślałem, że dobrze zrobiliśmy, że nie drążyliśmy wtedy tematu udziału Zernicha w zabójstwie dwojga jego młodych znajomych.

– A potem wyszła na jaw historia bezdomnego – włączył się Costa.

– No właśnie. Dwadzieścia pięć lat później prokuratura regionalna w Wenecji zarządziła przeszukania na dość dużą skalę. Chodziło o poważne śledztwo w sprawie organizacji zrzeszającej pedofilów. Wykorzystywali dzieci, rozumie pan? Sprzedawali kasety z okropnymi scenami, które wywoływały mdłości... Moja grupa trafiła na kilku podłych typów, ale w ich domach prawie nic nie znaleźliśmy. Były jakieś zdjęcia, owszem, lecz nic specjalnego. Tym lepiej dla nas. Dopiero później dowiedziałem się, że podczas operacji... nie pamiętam dokładnie gdzie... przejęto kasetę, na której została nagrana scena ukrzyżowania starca. W tamtych czasach nie znaleźliśmy jeszcze odpowiednich terminów na tego typu produkcje, ale ktoś rzucił hasło: *snuff movies*... czy jak to się tam wymawia... Kiedy obejrzałem wideo, coś mi się przypomniało.

– Co takiego?

Caruso pokiwał głową. W tej chwili Costa miał przed sobą prawdziwego sierżanta policji, który przez lata pracował w grupie operacyjnej. Starego, sprawdzonego gliniarza – konkretnego i pewnego siebie.

– Przypomniałem sobie zawiadomienie sprzed roku dotyczące zaginięcia pewnego bezdomnego z małego miasteczka położonego pomiędzy Padwą a Weroną. I wszystko zaczęło mi się samo układać w głowie. Czy to się kiedyś panu zdarzyło? Skoro jest pan dobrym policjantem, to pewnie tak. Nie chodzi tu o intuicję, lecz o połączenie informacji, które gromadzimy w pamięci, z tym, co mamy przed oczami. I nagle wszystkie klocki zaczynają do siebie pasować.

Costa znał to uczucie dość dobrze.

– Czasami tak się właśnie dzieje – ciągnął emerytowany policjant. – Poprosiłem o szczegóły związane z tą sprawą. Były to faks z danymi mężczyzny, zdjęcie oraz fragment artykułu z gazety. Połączyłem oba fakty: wiadomość o zaginięciu kloszarda oraz scenę ukrzyżowania. Podejrzywałem, że chodzi o tę samą osobę. Zacząłem szukać dalej i niedługo zrozumiałem. To nie była fikcja... ten staruszek naprawdę został ukrzyżowany i tylko jeden człowiek mógł coś takiego wymyślić... Federico Zernich. I wie pan, co jest w tym wszystkim najgorsze? To, że nawet wtedy, gdy odkryłem, że ten potwór nigdy nie przestał torturować ani mordować niewinnych ludzi, nie zrobiłem nic. Nic, rozumie pan? Bałem się, że nikt mi nie uwierzy. Bałem

się, że nie wystarczy mi siły ani odwagi, by tego gada powstrzymać. I że znowu może trafić mnie jakaś zbłąkana kula... I może tym razem nie w ramię... Obawiałem się, że ktoś z mojego otoczenia może zostać znowu zmuszony do zdrady lub do zaprzędania się diabłu. Uznałem, że to gra niewarta świeczki. W końcu psychopata zamordował jedynie kłozarda, narkomana i prostytutkę. Zresztą nie miałem żadnego dowodu...

W ciemnościach zalegających w pokoju słycać było pociąganie nosem i Costa zrozumiał, że Caruso znowu płacze. Teraz nie czuł już wstrętu, ale nie znalazł też słów pocieszenia. Nie mógł dodać mu otuchy, bo stary policjant miał rację co do swojej winy. Odpowiedzialność ponosili wszyscy ci, którzy pozostawili na wolności mordercę, aby bezpiecznie mógł zaspokajać swoje perwersyjne żądze, swój pociąg do świeżej krwi, upodobanie do zadawania cierpienia.

– Gdybyśmy go wtedy zatrzymali, uratowalibyśmy życie wielu ludziom – zakończył Caruso załamany głosem. – A tymczasem nie podjęliśmy żadnych działań. Ja sam też nic nie zrobiłem...

Kiedy stanęli na progu domu, Caruso, nie podnosząc wzroku, wypowiedział ostatnie słowa.

– Pana znajoma była wzburzona, gdy stąd wychodziła. Wzburzona i zdeterminowana. Ja jestem tchórzem, ale powiedziałem jej, żeby zachowała ostrożność. Zernich miał ogromne wpływy w przeszłości i ciągle je ma, chociaż teraz jest już tylko schorowanym starym piernikiem. I nigdy nie działał sam. Ma współników. Nie myślę tylko o osobach, które go chronią, bo jest bogaty i potężny. Sądzę, że należy do grupy maniaków o podobnych niezdrowych skłonnościach. Oczywiście nie mam na to dowodów. Nigdy nie miałem. Opowiedziałem panu wszystko, bo teraz nie mam już nic do stracenia. Nie mam przyjaciół. Nie ma już dla mnie przyszłości. Po prostu nic. – Zamykając drzwi, by wrócić do swego pogrążonego w ciemnościach mieszkania, dodał: – Mam tylko nadzieję, że pana znajoma trochę sobie odpuściła, tak samo jak ja kiedyś...

Obaj jednak wiedzieli, że to nie leży w naturze Valentyny.

Po pożegnaniu Costa nie mógł się opanować, by nie porównać zakończonej właśnie wizyty ze spotkaniem z Loredaną Talischer. Przyjaciółka Sileriego i stary sierżant na emeryturze. Dwie tak różne osoby połączone jakże podobnym losem. Oboje żyli w cieniu spotkania ze złem. Oboje byli samotni i przytłoczeni świadomością, że nie zrobili nic, aby ocalić siebie i innych przed nikczemnością, z którą mieli nieszczęście stanąć twarzą w twarz. I którą mogli powstrzymać lub przynajmniej spróbować to zrobić.

Samochód wjechał na drogę prowadzącą do Padwy. Jedna część umysłu Costy rejestrowała wstęgę asfaltu oświetlonego reflektorami, druga rozważała słowa Carusa. Valentina miała rację. Rozwiązanie jest na wyciągnięcie ręki, ale trzeba umieć po nie sięgnąć.

– Podejrzany kieruje się za miasto. Co mam robić?

Loris Manna wpatrywał się w ekran komputera, czując w ustach dziwny smak ziemi zmieszanej z solą. To, co odkrył, miało sens, choć łączyło się z narastającym stopniowo przerażeniem.

– Słyszysz mnie? – W głosie Gabrielego Piovesana, docierającym przez słuchawkę połączoną z komórką, można było wyczuć płaczącą nutę. – Co mam robić?

– Jedź za nim – odpowiedział z roztargnieniem Manna, nie odrywając wzroku od słów widniejących na ekranie monitora, po czym rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Potrzebował chwili na zastanowienie.

W punkcie internetowym było sześć stanowisk, ale tylko on korzystał obecnie z sieci. Pakistańczyk, który prowadził lokal, skrzywił się wyraźnie na widok policyjnej legitymacji Lorisa, a kiedy ten poprosił o wskazanie komputera używanego przez ostatniego gościa, burknął:

– Ja regularnie płacę podatki!

Loris wyjaśnił, że nie interesują go podatki, i powtórzył, że chce jedynie skorzystać ze sprzętu używanego chwilę temu przez mężczyznę, który właśnie opuścił lokal. Właściciel postanowił nie dyskutować i wskazał mu stanowisko.

Trochę czasu zajęło informatykowi odtworzenie historii połączeń ze stronami internetowymi, które prawdopodobnie odwiedził Altieri, ale na szczęście znał niektóre sztuczki, których nauczył go pewien haker z grupy Anonymous, i teraz Loris już po kilku kliknięciach mógł serfować po stronach, z których wcześniej korzystał przydupas Zernicha. Zadowolenie szybko ustąpiło miejsca przerażeniu.

Rozmowa z Piovesanem na moment rozproszyła smutne myśli, ale teraz – po ostatnich odkryciach – wszystko nabrało sensu. Zbliżał się nieuchronny koniec i jeśli chcą mu zapobiec, muszą działać szybko.

Ponownie wybrał numer Piovesana i nakazał mu stanowczo, by nie spuszczał z oka samochodu Altieriego.

– Zjechał z obwodnicy i teraz jest na drodze szybkiego ruchu numer czterdzieści siedem... Już niedługo opuścimy prowincję wenecką... jedziemy w stronę Trentino! – zawołał zaniepokojony policjant.

– Tym bardziej nie możesz go zgubić. Tylko trzymaj się na dystans. Niedługo do ciebie dołączymy.

– Jak to? Kto do mnie dołączy? Kiedy? Loris, co się dzieje?

– Nie spuszczaaj go z oka, później zadzwonię. Trzymaj się!

Rozłączył się i zaraz wybrał numer Costy, który odebrał od razu, jakby czekał na połączenie z komórką w ręku.

– Caruso potwierdził – oświadczył natychmiast – to od samego początku był Zernich!

– Wiedziałem! Odbicie w szybie to naprawdę był on. O Jezu, Fabio... od jak dawna ten psychopata bezkarnie morduje ludzi?

– Wszystko zaczęło się wcześniej, niż przypuszczaliśmy. Zabija już od pięćdziesięciu lat i myślę, że nie działa sam. Zawsze miał współników...

– Dzisiaj Altieri rozmawiał z Zernichem – poinformował analityk. – Śledziliśmy go aż do willi starego. A teraz wyjechał z miasta i Piovesan ma go na oku. Jest jednak coś, co powinieneś wiedzieć, a raczej zobaczyć.

– Gdzie jesteś? – zapytał Costa bez zastanowienia. – Właśnie wróciłem do hotelu, ale i tak muszę znowu wyjść. Przyjadę po ciebie, a potem dołączymy do młodego.

– Wyślę ci namiary na komórkę. Fabio... – Zawahał się na chwilę.

– Słucham?

– Jeśli skrzywdzili Valentine...

– Wiem – przerwał Costa ze złością. – Wiem, co należy zrobić.

Zanim opuścił pokój, dokładnie sprawdził berettę.

Poczuł dziwną przyjemność, dotykając letniego żelaza. Nigdy specjalnie nie przepadał za bronią, uważając ją za narzędzie, po które należy sięgać jedynie w ostateczności. Ciężka mu codzienna konieczność noszenia przy sobie pistoletu kalibru dziewięć z podwójnym magazynkiem. A teraz cieszył się, że może z niego skorzystać. Wyobraził sobie, że mierzy do celu. Do Altieriego. Do starego Zernicha. Wykorzysta broń, aby ocalić Valentine lub ją pomścić.

Spróbował odegnać złe myśli. Włożył pistolet za pas pod czarny sweter, narzucił grubą kurtkę i wyszedł z pokoju. Odniósł wrażenie, że zamyka za sobą znacznie więcej niż drzwi hotelu. Zostawiał za plecami całe dotychczasowe życie pełne okropnych, niewybaczalnych błędów. Teraz miał przed sobą ostatnią, nieoczekiwaną szansę na odkupienie win.

Kiedy podszedł do swojego starego volva, zobaczył w pobliżu dwóch mężczyzn. W ogóle się nie kryli. Stali obok samochodu w chłodnym wieczornym powietrzu i na niego czekali.

Zbliżając się, rozpoznał Gaetana Lomastra, dowódcę grupy operacyjnej z Padwy. Mężczyzna ruszył w jego stronę ze sztucznym aż do bólu uśmiechem, który zmieniał jego twarz w śmieszoną maskę.

– Fabio Costa! Dobrze mnie poinformowano... Jak się masz, przyjacielu?

Lomastro podał mu rękę, nie zdejmując rękawiczki, i spojrzał na niego zza lekko zaparowanych okularów. Za nim stał młody, dobrze zbudowany policjant, który ani się nie poruszył, ani nie uśmiechnął.

– Lomastro – zaczął Costa ostrożnie – przyszedłeś po mnie?

– Chciałem się przekonać, czy to prawda, że kręcisz się po Padwie. Powiadomiono mnie, ale uznałem, że to trochę dziwne. Nie wiedziałem, że masz tu... no właśnie... kogo? Przyjaciół? Krewnych?

Costa nie przestawał go obserwować.

– Właściwie to przyjechałem spotkać się ze znajomą, tylko że nikt nie wie, gdzie przepadła. Valentina Medici. Znasz ją, prawda?

Wydawało się, że uśmiech Lomastra jest przyklejony do jego ust. Jego głos zabrzmiał spokojnie i stanowczo.

– Piękna dziewczyna... i świetna policjantka, mówię szczerze. Już jakiś czas temu wróciła do Rzymu. Jak to możliwe, że ci nie powiedziała, że tutaj już zakończyła swoje

zadanie?

– Dawno się nie słyszeliśmy. Chyba z mojej winy.

– No tak, Fabio. Kobiety trzeba dopieszczać. Sam wiesz najlepiej, nie? Rozpieszczać i nigdy nie sprawiać im zawodu.

– To znaczy, że potem jej już nie widziałeś?

– Powiedziałem już, że u nas skończyła pracę. I szczerze mówiąc, przyjacielu, nic mnie nie obchodzi, co Medici robi w wolnym czasie. Skoro nie wróciła do Rzymu, to może zatrzymała się gdzieś na małe bunga bunga... Może powinniśmy dać jej spokój, co? – Puścił oko do rozmówcy.

Costa poruszył się niedostrzegalnie, a Lomastro uniósł dłoń do twarzy, jakby chciał się osłonić, i odwrócił głowę. Po chwili zaśmiał się nerwowo.

Costa zdołał zachować spokój, ale w jego zachowaniu coś się zmieniło. Wściekłość ujęta w karby kilka dni wcześniej powoli zaczynała brać górę nad zdrowym rozsądkiem. I koledzy to dostrzegli, młody policjant stojący za plecami Lomastro zacisnął bowiem mocno pięści.

– Valentina jest moją koleżanką – powiedział powoli. – Chyba należy jej się trochę szacunku, nie sądzisz, Lomastro?

Z twarzy i z pozy komendanta natychmiast zniknęła sztuczna serdeczność.

– No to posłuchaj uważnie, co mam ci do powiedzenia – warknął. – Ja mam w dupie twoją Valentine. Czekam na ciebie na mrozie nie po to, żeby wymieniać uprzejmości, ale po to, żebyśmy wszyscy mogli uniknąć kłopotów.

– Wyobrażam sobie. Wyglądacie obaj na płatnych morderców, którzy czają się na ofiarę.

– Możesz sobie żartować, jak masz humor, ale na pewno wiesz, że Valentina naraziła się nie tylko mnie i kilku wpływowym osobom w mieście... Ma przeciw sobie prawie cały departament. Wiesz, że w centrali w Rzymie są na nią wkurzeni? Zresztą na ciebie też, ale ty jesteś do tego przyzwyczajony, nie? Masz doświadczenie w pieprzeniu i w asyście przy samobójstwach...

Uderzył mocno, precyzyjnym ciosem w lewą kość policzkową, wkładając w zamach całą złość, która narastała w nim od kilku dni. Lomastro zwałił się na chodnik jak marionetka, której odcięto sznurki. Nawet nie jęknął.

Młody funkcjonariusz zrobił dwa kroki w stronę Costy, który z uśmiechem stanął naprzeciw. Czuł, jak uwalnia z siebie całą złą energię.

– Dla ciebie też mam coś w prezencie. Tylko spróbuj. Zrobisz mi wielką przyjemność.

Mężczyzna zatrzymał się niezdecydowany, nie przerywając jednak demonstrowania siły, które polegało na zaciskaniu i otwieraniu pięści. Nic więcej. Było jasne, że ocenia

swoje możliwości, bo nie ma zamiaru niepotrzebnie się podłożyć. W końcu postanowił dać za wygraną i pochylił się nad Lomastrem, który masował sobie twarz, i minę miał ciągle niepewną, a oddech urywany.

– Koniec z tobą, Costa... – syknął komendant, spluwając śliną i krwią, które poplamiały warstwę lodu pokrywającą ulicę. – Już się nie wywiniesz. Nawet nie masz pojęcia, w co się wpakowałeś. Nie zdajesz sobie sprawy z niebezpieczeństwa...

Costa pochylił się i zbliżywszy twarz do oblicza kolegi, zauważył, że Lomastro pobladł i zamilkł. Młody policjant, który wcześniej starał się podnieść szefa, przyjął pozycję gotową do walki, Costa jednak nawet na niego nie spojrział. Wszyscy trzej przykucnęli na asfalcie niczym Tuaregowie wokół niewidzialnego ogniska.

– Nie, to ty się nie wywiniesz – powiedział Costa, obserwując czerwone krople na drżącym podbródku Lomastra. – Już niedługo zapłacisz nie tylko za swoje tchórzostwo, ale także za obojętność tych wszystkich, którzy udawali, że nie widzą, co się dzieje, i nie chcieli przyjąć do wiadomości oczywistych faktów... Zapłacisz za każdą ofiarę tych psychopatów. Nawet za te, które zostały zamordowane, zanim objąłeś stanowisko, żeby wygodnie grzać stołek. Módl się tylko, żeby wśród zabitych nie było Valentyny, bo wtedy osobiście odbiorę od ciebie zapłatę.

Podniósł się i rzucił mężczyznom ostatnie spojrzenie, po czym wsiadł do samochodu.

Kiedy ruszał, we wstecznym lusterku widział wciąż siedzącego na ziemi Lomastra i przez moment mignęły mu jego zagubione, pełne niedowierzania oczy.

Światła miasta zniknęły już jakiś czas temu, a długa wstęga asfaltu zapowiadała rozpoczynającą się podróż. Jakies sto kilometrów przed nimi jechał Gabriele Piovesan i na bieżąco informował kolegów, chociaż Loris i tak połączył swoją komórkę z GPS-em założonym w samochodzie Altieriego i sam mógł śledzić sygnał. Nie znali planów zarządcy Federica Zernicha, ale jego nieoczekiwany wyjazd w połączeniu z ostatnimi odkryciami zapowiadał ważne wydarzenia.

Loris siedzący obok Costy gadał jak nakręcony. Jego rozpaczliwy słowotok był usprawiedliwiony doniosłością informacji, które chciał przekazać, niemniej jednak jego słowa miały posmak szaleństwa.

– Altieri połączył się z zaszyfrowanym czatem – zaczął, usiłując zachować spokój, co nie za dobrze mu wychodziło. – I rozpoczął rozmowę pod pseudonimem Paperino! Pamiętasz? Randolph Collins, morderca rodziny z Boulder, kontaktował się właśnie z człowiekiem używającym takiego nicka! Collins nazywał się Nightgaunt i rozmawiał z Paperinem o Caravaggiu.

– Jeśli Paperino to naprawdę Altieri – zauważył Costa – to właśnie on nakłonił Collinsa do popełnienia zbrodni w Boulder.

Trzy.

Dwie duże i jedna mała.

Jeśli chcesz mnie zadziwić, dodaj coś od siebie.

Morderca dodał scenę z obrazu Hoppera.

– No właśnie! To była próba, a nagrodą jest coś wspólnego z twórczością Caravaggia. To dlatego agent Minetti przylatuje do Włoch...

– Przecież Collins został aresztowany przez FBI – drażzył dalej Costa. – Z kim Altieri rozmawiał na czacie?

– Z kimś innym. – Głos Loris zabrzmiął ponuro. – Zlokalizowałem i ten czat, ale kiedy się włączyłem, już po kilku sekundach zmienili kod i mnie wyrzuciło. Udało mi się przeczytać jedynie fragment toczącej się rozmowy z nowym kontaktem o pseudonimie Jeronymous, który chwalił się, że został zaproszony do udziału w wydarzeniu pod nazwą Holocaust. Pisał, że ma już gotowe walizki i nie może się doczekać spotkania, podczas gdy jego rozmówca skarżył się, że jeszcze nie zdołał zamordować swoich rodziców... Ci porąbani psychopaci biorą udział w jakiejś perwersyjnej grze. Zabijają, by w nagrodę wziąć udział w Holocauście, cokolwiek to znaczy... A Altieri wyciąga z kapelusza zwycięskie numery!

Po tej ostatniej rozmowie Altieri ruszył w podróż – pomyślał Costa. Oczywiście mógł to być zbieg okoliczności, ale coś mu mówiło, że wszystko zostało dokładnie zaplanowane.

Szczegółowo opowiedział Lorisowi o przebiegu spotkania z Carusem.

– Wszystko się zgadza – potwierdził Manna. – Zernich to chory, bogaty psychopata ze skłonnościami do zabijania, które objawiały się już w dzieciństwie. Altieri zaś jest jego prawą ręką, nie tylko jeśli chodzi o prowadzenie interesów związanych z produkcją i sprzedażą wina, lecz również specem od brudnej roboty. To on zatrudnił Sileriego w posiadłości, ponieważ dobrze wiedział, z kim ma do czynienia i do czego ten ktoś może się przydać... Potrzebował kogoś takiego. Sileri był szaleńcem tak samo jak Zernich i obaj brali udział w projekcie kryminalnym zakrojonym na szeroką skalę. Nie wszystko jednak jest jasne...

– Tak, musimy rozstrzygnąć jeszcze kilka wątpliwości.

Costa próbował skoncentrować uwagę na drodze, a jednocześnie obmyślał kolejne ruchy. Już wcześniej przeanalizował sobie dokładnie całą sprawę i doszedł do tych samych wniosków, które teraz przedstawiał mu Loris.

Federico Zernich miał dwie pasje: śmierć i sztukę. Zgodnie z ogólnym profilem psychologicznym osobowość mężczyzny pokrywała się w dużym stopniu z modelem odpowiadającym kompulsywnemu mordercy, który preferuje zbrodnie rytualne pozbawione podłoża seksualnego. Brak alibi na dzień morderstwa znajomego narkomana i prostytutki, sposób, w jaki upozowano ciała, precyzja wykonanej pracy – wszystko wskazywało na niego. Gdyby spadkobierca rodu został zatrzymany już w młodości, to być może Sileri nie miałby tak łatwej drogi do zbrodni.

W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat ofiarą psychopatycznych skłonności Zernicha musiało paść wielu niewinnych ludzi. Jedyną różnicą pomiędzy pierwszą zbrodnią a kolejnymi była znacznie większa ostrożność. Costa miał pewność, że z nowo nabytą wiedzą uda im się odkryć wiele przypadków niewyjaśnionych zaginięć, jeśli tylko będą dobrze szukać. Zniknięcie i ukrzyżowanie Sebastiana Zorzina stanowiło dodatkowy dowód na istnienie przestępczej organizacji.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku Claudio Altieri pracował już dla Zernicha i prawdopodobnie to właśnie on był jednym z trzech zakapturzonych oprawców, podczas gdy mocodawca nagrywał kamerą agonię kloszarda. Obecność dwóch pozostałych potwierdzała natomiast, że Zernich i Altieri nigdy nie działali sami. Wszystko wskazywało na to, że istnieje grupa osób dzielących te same niebezpieczne upodobania. Zernich nie ograniczał się więc tylko do kultuwowania własnych obsesji, lecz starał się również stworzyć grono naśladowców i współpracowników. Być może w jakiejś zniekształconej formie odtwarzał to, czym

kiedyś zajmowała się jego matka. Kobieta gromadziła wokół siebie niewydarzonych lub mało znanych artystów, zachęcając ich do twórczych wysiłków. Federico Zernich robił to samo, tylko że wybrał sobie zupełnie inną kategorię „twórców”. Niczym mistrz z pracowni, w której uczył się Caravaggio, stary Zernich inspirował i zachęcał do działania tych, którzy do swej twórczości nie potrzebowali płótna ani marmuru, lecz ludzkiego ciała i krwi.

Sileri zdecydowanie różnił się od bogatego przedsiębiorcy, gdyż przyjemność seksualną czerpał jedynie z obcowania z trupami. Był impulsywny i chętnie używał przemocy, a poza tym znał podstawy chemii, więc gdy odkrył metodę plastynacji, zrozumiał, że świat stoi przed nim otworem. Chemiczne zabiegi dawały mu bowiem możliwość uprawiania nekrofilii przez dłuższy czas, bo niwelowały nieprzyjemne skutki rozkładu ciał. Był przy tym na tyle kreatywny i szalony, by zająć się ulepszaniem procedury plastynacji, która miała zapobiegać ostatecznie nawet wysuszeniu mięśni. Potrzebował jedynie bezpiecznego miejsca, gdzie mógłby przeprowadzać swoje eksperymenty, oraz odpowiednich narzędzi. A te sporo kosztowały. Próba zabalsamowania ciała nieszczęsnej Teresy Franceschi zakończyła się fiaskiem właśnie z powodu prymitywnego sprzętu, który miał do dyspozycji.

I wtedy na horyzoncie pojawił się Zernich i zapewnił Sileriemu wszystko, czego było mu trzeba. Kiedy policja znalazła ciało Teresy i morderca musiał salwować się ucieczką, zainteresował się nim Zernich albo Altieri. Nekrofil próbujący zabalsamować ciało swojej ofiary był doskonałym kandydatem do współpracy. Altieri jako eksdetektyw świetnie sobie radził ze zdobywaniem informacji w środowisku przestępczym. W zamkniętych kręgach wieści szybciej się rozchodzą. Pewnie udało mu się namierzyć Sileriego wcześniej, niż zrobiła to policja, i natychmiast zaoferował mu ochronę oraz bezpieczne miejsce do życia. Zatrudnił go jako stróża w posiadłości Zernichów i dał mu możliwość kontynuowania eksperymentów. Sileri zyskał ponadto nieograniczony dostęp do ciał, z których mógł korzystać bez ograniczeń, zaspokajając swe chore żądze bez żadnych konsekwencji. Jak mógł nie skorzystać z takiej okazji?

Sileri nie był estetą ani nie interesował się sztuką. To właśnie ten szczegół od początku wzbudził wątpliwości śledczych i skłonił Valentine do dalszych poszukiwań. I rzeczywiście, sztuka okazała się obsesją Zernicha. Układ był więc korzystny dla obu psychopatów. Jeden szukał ofiar przypominających postaci z obrazów Caravaggia, a drugi wykorzystywał ich ciała do ulepszania swojej techniki. Ciągłe nie było jasności w kwestii wyboru artysty. Być może rację miał D'Avanzo, twierdząc, że figury stworzone ręką Michelangela Merisiego stanowiły najodpowiedniejszy model dla ich odrażających celów.

Potem jednak Sileri popełnił błąd, pozwalając uciec Foscowi Agnellemu. A w końcu doprowadził ich do posiadłości Zernichów. W ten sposób zniknęła ochronna kurtyna, z której właściciel winnic korzystał przez wiele lat. A wszystko to za sprawą Valentyny, która nie dała się odprawić z kwitkiem nawet wtedy, gdy została zupełnie sama.

Myśl o niej tkwiła niczym zadra w sercu i w głowie Costy. Czuł ból, który pomagał mu konsekwentnie dążyć do celu i nie pozwalał pogрузić się w poczuciu winy. Na to będzie czas później. W końcu ma spore doświadczenie na tym polu.

Na poboczach jezdni zaczęły się pojawiać pojedyncze zaspы śnieżne, w których odbijało się światło reflektorów.

- Dokąd on się wybiera? – zapytał Manna po raz dziesiąty.
- Na Holocaust – odpowiedział Costa. – Gdzież by indziej?

Musiał się zatrzymać, żeby założyć łańcuchy na koła. Zaczął się obawiać, że samochód nie wytrzyma długiej, niespodziewanej podróży. Już dwie godziny minęły, jak wyjechał z Padwy, a kiedy przekroczył granicę regionu Trentino, śnieg zaczął padać znacznie mocniej. Jako mieszkaniec miasta leżącego na północy miał już do czynienia z silniejszymi załamaniem pogody, ale strach przed popełnieniem błędu sprawiał, że był w stanie ciągłego niepokoju. Manna i Costa powinni niedługo do niego dołączyć, niestety napotkali utrudnienia wynikające ze złych warunków atmosferycznych na drodze w pobliżu Bassano del Grappa. Liczył, że wkrótce się spotkają i już nie będzie sam. GPS na razie dobrze spełniał zadanie, ale to on, Piovesan, był najbliższym celu. Do tej pory nie natrafił na poważniejsze przeszkody, poza epizodem z łańcuchami, które musiał zakładać w gęsto padającym śniegu, jakby aura sprzysięgła się przeciw niemu i postanowiła utrudnić mu pracę.

Kiedy zjechał z drogi regionalnej i na tablicach informacyjnych pojawiły się napisy, że znajduje się na już na drodze powiatowej prowadzącej w stronę jeziora Molveno, ponownie zaczął się zastanawiać nad stanem wypożyczonej dacji sandero. Zdenerwował się jeszcze bardziej, zwłaszcza że stracił z oczu czerwone światła pozycyjne samochodu Altieriego, chociaż sygnał satelitarny ciągle się przesuwał, wskazując, że obiekt znajduje się przed nim. Tak czy inaczej, był zupełnie sam w pustej okolicy i odczuwał dręczący niepokój.

Przyszło mu na myśl, że udział w tej akcji może mu się jednak na coś przydać. Przynajmniej się przekona, czy nadaje się do pracy operacyjnej, chociaż w tej chwili myśl o powrocie za biurko nie wydawała mu się wcale taka odpychająca.

Nagle sygnał GPS-u przesunął się poza linię oznaczającą drogę biegnącą wzdłuż doliny i zasygnalizował skręt na wschód. Na ekranie tabletu tę okolicę znaczyła biała plama bez żadnych punktów odniesienia. Zupełna pustka.

Piovesan musiał zwolnić, by nie przeoczyć drogi, w którą nagle wjechał Altieri, a która nie została zaznaczona na mapie cyfrowej. Dostrzegł ją z trudem poprzez płatki śniegu padającego teraz dość intensywnie, tak że wokoło tworzył się biały całun odbijający światła reflektorów. Skręcił ostrożnie w wąską, krętą szosę prowadzącą w góry, mając nadzieję, że Manna i Costa nie stracą sygnału, bo jak miałyby im wytłumaczyć, gdzie i kiedy mają skręcić. Przecież sam nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Czuł się opuszczony i bezbronny.

Droga wiodła w górę. Po lewej poprzez korony drzew widział rozciągającą się dolinę oraz zarys wąskiego ciemnego jeziora, na którego brzegach lśniły pojedyncze światła domostw odległych niczym gwiazdy obcej galaktyki. Za jęzorem wody wznosił się olbrzymi ośnieżony masyw górski. Natomiast po prawej pochylała się nad nim groźna skała dolomitowa.

Pod wpływem impulsu chciał zadzwonić do Lorisa, żeby usłyszeć jego głos i upewnić się, że za nim jadą, ale w ostatniej chwili się powstrzymał, bo nie chciał okazać strachu. W końcu słyszeli się zaledwie dwadzieścia minut wcześniej. Już niedługo powinni się zjawić.

Silniejszy powiew wiatru zmusił go do zwiększenia częstotliwości pracy wycieraczek. Widoczność pogarszała się w takim samym tempie, w jakim przyspieszało serce Piovesana.

Nagle spostrzegł, że na wprost, w ciemnościach nakrapianych niepokojącą bielą, znieruchomiały dwa czerwone światła. Rzucił okiem na wyświetlacz tabletu leżącego na siedzeniu pasażera i zrozumiał, że Altieri zatrzymał samochód.

Natychmiast zjechał na bok i wyłączył reflektory z nadzieją, że podejrzany go nie zauważył. Zdawał sobie sprawę, że w tych warunkach jest zupełnie niewidoczny zarówno dla Altieriego, jak i dla potencjalnego kierowcy, który nadszedłszy z tyłu, na pewno nie zdołałby uniknąć zderzenia. Nie mógł jednak stać z włączonymi światłami, bo ich blask zaalarmowałby podejrzanego.

Minęło sporo czasu. Policjant wpatrywał się we wsteczne lusterko w obawie przed mogącym nadjechać pojazdem i nie miał pojęcia, co robić. Postój wydawał się coraz bardziej niebezpieczny i zdecydował, że nie ma sensu go przedłużać i narażać się niepotrzebnie w panujących wokoło ciemnościach. Właśnie chciał włączyć silnik i ruszyć dalej, gdy zorientował się, że czerwone światła porsche zniknęły. Na mapie w tablecie nie było też sygnału GPS-u.

Altieri i jego auto rozplynęli się w powietrzu.

Głos Piovesana rozlegający się w słuchawce zdradzał zdenerwowanie.

– On zniknął! – krzyknął mu prosto do ucha.

– Co to znaczy, że zniknął? – zapytał Manna, który zdążył już zauważyć, że sygnał GPS-u zgasł. Zwrócił się do Costy: – Zgubiliśmy podejrzanego. Piovesan twierdzi, że zniknął, cokolwiek to znaczy!

Tymczasem młody policjant nadal wrzeszczał do słuchawki:

– Jestem u wylotu drogi prowadzącej w góry, ale wjazd zamyka szlaban...

– Jesteś na głównej drodze?

– Nie. Musicie skręcić w stronę Molveno. Pamiętajcie, zjazd w stronę Molveno!

– Powiedz mu, żeby się uspokoił – polecił Costa, przyspieszając nieznacznie. – Niedługo tam będziemy. I niech na siebie uważa.

– Słyszę, słyszę! – wrzasnął Piovesan i przerwał połączenie.

Costa wcisnął mocniej pedał gazu, korzystając z okazji, że na tym odcinku jezdni nie było innych samochodów. Chciał dołączyć do Piovesana najszybciej, jak to możliwe.

– Jak daleko jeszcze? – zapytał Lorisa, który wpatrywał się w wyświetlacz komórki z nadzieją, że jakimś cudem znowu pojawi się na nim sygnał GPS-u.

– Myślę, że jeszcze ze trzydzieści kilometrów – odpowiedział. – Tylko nie rozumiem, dlaczego straciliśmy sygnał.

– Wjechaliśmy w góry i pewnie satelita ma ograniczony zasięg.

– Możliwe.

Z obu stron otaczały ich czarne sylwetki skał dolomitowych. Mijali górskie osady położone u stóp dostojnych stromych zboczy, a im dalej się zapuszczali, tym wyraźniej czuli obecność nieujarzmionej natury. Loris prawdopodobnie odniósł podobne wrażenie, bo milczał i wpatrywał się w przednią szybę.

– Może powinniśmy zadzwonić po pomoc? – odezwał się niespodziewanie.

– Po kogo?

Manna spojrzał na niego dziwnie.

– Jak to po kogo? Fabio, przecież pakujemy się do gniazda żmij, o których niewiele wiemy. To ludzie bez żadnych skrupułów, dysponujący niemalże nieograniczonymi środkami. Udało im się zabić więcej osób niż wszystkim włoskim seryjnym mordercom w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Nie sądzisz, że przydałoby się nam wsparcie?

Costa pokręcił głową.

– Jeszcze nie teraz. Musimy się najpierw upewnić, że Altieri rzeczywiście przygotowuje kolejną rzeź... Potem będzie czas na wzywanie pomocy – zapewnił, choć wcale nie był tego taki pewny. Może już jest za późno. Dla Valentiny. Dla niego. Dla wszystkich.

Manna obserwował go przez chwilę, po czym skupił całą uwagę na wyświetlaczu komórki, z którego na dobre zniknął sygnał GPS-u założonego w samochodzie Altieriego.

Po półgodzinnej jeździe skręcili w drogę, którą wcześniej przejechał Piovesan. Szosa wiała się po zboczu góry niczym wąż oplatający pień rajskiego drzewa. Kilka minut później w blasku reflektorów dostrzegli dacie sandero zaparkowaną po prawej stronie w małej zatoczce przy skalistym zboczu. Kiedy Costa zatrzymał volvo, Piovesan wyskoczył ze swojego auta, mierząc do nich z pistoletu.

– O Jezu! Co za szczęście, że to wy!

Powoli opuścił dłoń z bronią. Stał w śniegu i drżał na całym ciele nie tylko z zimna.

Za jego plecami widać było początek polnej drogi prowadzącej w stronę zbocza góry. Wyglądała na opuszczoną od lat ścieżkę, którą kiedyś pędzono bydło na położone wyżej pastwiska. Była jednak na tyle szeroka, że mógł nią przejechać nawet mały samochód ciężarowy. Dostępu do niej bronił szeroki zardzewiały szlaban.

Costa i Manna wysiedli z samochodu i podeszli do kolegi. Panujące wokoło ciemności uniemożliwiały im zorientowanie się, dokąd prowadzi odkryta właśnie droga.

Piovesan wskazał na znikającą w ciemnościach ścieżkę i oświadczył:

– Altieri musiał właśnie tędy przejechać! Widziałem światła pozycyjne mniej więcej na tej wysokości!

– Spróbujmy odsunąć szlaban.

Costa i Manna chwycili pal i bariera ustąpiła lekko, unosząc się przy tym.

– Masz rację, Gabriele, nasz ptaszek pofrunął w górę – skomentował Fabio. – GPS nadal nie daje znaku życia?

Informatyk spojrzął na komórkę.

– Nie, a teraz i telefon przestał działać.

Dwaj pozostali policjanci sięgnęli po swoje smartfony.

– Nie ma zasięgu! – zawołał zdziwiony Piovesan. – A przecież wcześniej był, bo do was dzwoniłem...

Costa spojrzął uważnie przed siebie. Droga ginęła w ciemnościach, a śnieżny całun wyglądał jak ostrzeżenie, by nie zapuszczać się dalej.

– Myślę, że to nie wina zasięgu – powiedział.

– Co masz na myśli?

Spojrzał na Manę.

– To jammer. Zagłuszają sygnał.

Loris się zamyślił. To, że przestępcy wykorzystują aparaturę, żeby blokować sygnały umożliwiające lokalizację miejsca pobytu, nie było w końcu żadnym odkryciem, a poza tym świadczyło, że naprawdę znajdują się w pobliżu ich kryjówek.

– To całkiem możliwe – potwierdził. – Jeszcze niedawno telefony działały, więc dopiero teraz musieli uruchomić jammera. Założę się, że jeśli trochę się oddalimy i wrócimy na główną drogę, to złapiemy sygnał.

– O co tu chodzi? – zapytał Piovesan, szcękając zębami z zimna i z przejęcia.

Costa i Manna spojrzeli po sobie.

– Chyba dotarliśmy na miejsce – odezwał się w końcu komendant i wskazał na dacie sandero. – Gabriele, zaparkuj tak, żeby nie było jej widać z drogi. Dalej pojedziemy razem.

Piovesan bez słowa poszedł wykonać polecenie, po czym wszyscy wsiedli do volva i ostrożnie wjechali na szosę prowadzącą w nieznane.

W świetle reflektorów po lewej stronie szosy zauważyli zwisający i mało czytelny drogowskaz. Strzałka pod wyblakłym napisem wskazywała kierunek oznaczający zarazem cel znajdujący się na końcu drogi. Zatrzymali się, by odczytać napis, zgodnie z którym zmierzali do miejsca o nazwie Sant'Andrea.

– Gdzie my jesteśmy? – mruknął Manna, przykleiwszy nos do przedniej szyby z nadzieją, że w końcu coś zobaczy.

– Wiem! – zawołał nagle Piovesan. – Valentina... to znaczy *dottoressa* Medici, zleciła mi, żebym sprawdził dokładnie stan posiadania Zernichów: nieruchomości, udziały, spółki i tak dalej. Rodzina posiada ogromny majątek... ale już gdzieś słyszałem tę nazwę. Sant'Andrea... to chyba hotel.

– W samym środku gór? – zapytał z niedowierzaniem Manna, a Piovesan w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami.

Po kilku minutach jazdy, które wydały im się wiecznością, droga nagle się poszerzyła, a kiedy minęli ostatni zakręt, ich oczom ukazał się budynek wspomniany wcześniej przez młodego policjanta.

Znajdował się w odległości około stu metrów od nich, nieco powyżej poziomu szosy. Prowadziła do niego trochę szersza droga w porównaniu z odcinkiem, który właśnie pokonali. Po obu stronach stały martwe drzewa, których cienie rysowały się na tle zlodowaciałego śniegu. Na początku alei po bokach wznosiły się dwie mało gustowne kolumny będące prawdopodobnie pozostałością po nieistniejącej od dawna bramie wjazdowej.

Mimo ograniczonej widoczności zauważyli, że budynek jest ogromny, kwadratowy i wysoki na co najmniej trzy piętra. Ściany znaczyły dziesiątki wąskich i ślepych okien, a mroczny nastrój potęgowały jeszcze czarne wieże i pretensjonalne łuki. Obiekt przypominał opuszczone przed laty więzienie, jego położenie pośród ośnieżonych górskich szczytów wskazywało jednak, że mógł być wykorzystywany do innych celów.

Costa pomyślał, że zastanowi się nad tym w bardziej sprzyjającym momencie. A wszystko dlatego, że kiedy wyjechał zza zakrętu i zobaczył budowlę, natychmiast dostrzegł dwa szczegóły, które bardzo go zaniepokoiły.

Po boku alei wjazdowej stało zaparkowane porsche Altieriego, a na jednej z kolumn świeciło czerwone oko kamery monitorującej okolice bramy.

Costa natychmiast zgasił światła i skręcił w bok, pakując się w zaspę.

– Czy to naprawdę może być hotel? – powtórzył Piovesan, wychylając się z tylnego siedzenia.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Costa. – Może kiedyś, połączenie drogowe było lepsze...

– Nie można tego wykluczyć – zgodził się Loris. – Zresztą teraz miejsce wygląda na opuszczone...

– Tak, gdyby nie ta kamera... – stwierdził Costa, wskazując na urządzenie.

– No i jammer zakłócający sygnał...

– Nie wiemy, do czego wykorzystują to miejsce – powiedział Costa – ale jest pewne, że robią wszystko, aby nikt go nie znalazł. Myślę, że wewnątrz znajdziemy odpowiedzi na kilka ważnych pytań.

A może nawet Valentine – chciał dodać, ale ugryzł się w język.

– I nie wiadomo, co jeszcze.

– Co robimy?

Costa miał już przygotowany plan.

– Zrobimy tak – zaczął, skryty w cieniu, korzystając z panujących ciemności. – Gabriele, ty wrócisz pieszo do samochodu, który zostawiliśmy na dole. Jak tylko złapiesz sygnał na komórkę, poprosisz o pomoc. A my z Lorisem spróbujemy wejść do budynku...

– Może powinniśmy jednak poczekać na wsparcie? – zasugerował młody policjant. – Nie wiemy, co zastaniemy w środku...

Costa pokręcił głową.

– Właśnie dlatego nie możemy czekać. Muszę sprawdzić, co tam się dzieje. Valentina albo jakaś inna ofiara Zernicha i Altieriego mogą się znajdować w niebezpieczeństwie...

Obaj koledzy przyjęli wyjaśnienie w milczeniu i Costa zrozumiał, że nie liczą na to, by Valentina lub ktokolwiek inny ocalał wewnątrz czegoś, co przypomina czeluści piekła. Nie miał jednak zamiaru czekać. Nie tym razem. Nie chciał popełniać tego samego błędu. Śmierć Rosanny dała mu do myślenia.

Na koniec Piovesan pokiwał głową i oświadczył:

– Dobra, ale to ja pójde z panem.

– Co ty, kurwa, bredzisz? – oburzył się Manna, kontrolując broń.

Młody policjant uśmiechnął się szczerze, choć niepewnie.

– Mówię, co należy zrobić. Zdajecie sobie chyba sprawę, ile czasu zajmie mi przekonanie szefów, by zgodzili się nam pomóc. Przecież ja jestem zwykłym funkcjonariuszem w gabinecie dyrekcji na komendzie w Padwie, chwilowo oddelegowanym do grupy operacyjnej. Jak to mówią w moich stronach, ciągle siedzę

na walizkach. Nie mam nawet pojęcia, do kogo mógłbym zadzwonić. Do Lomastra? – Wskazał na informatyka. – A ty od wielu lat jesteś inspektorem w centrali operacyjnej. Dyrektor dobrze cię zna i szanuje. Wiesz, do kogo możesz się zwrócić, a poza tym znasz tę sprawę od podszewki. Wiesz, co robić...

Kiedy zamilkł, Manna zamierzał zaprotestować, ale Costa powstrzymał go ruchem dłoni.

– Młody ma rację – powiedział. – Ty rzeczywiście masz większe szanse na sprowadzenie pomocy. No i przede wszystkim zrobisz to o wiele szybciej.

Manna otworzył usta. Potem je zamknął. Nie miał nic sensownego do powiedzenia.

– Może jeszcze nie jestem takim doświadczonym policjantem jak wy – przyznał Piovesan. – Ale postaram się panu przydać, kiedy już wejdziemy do środka. Proszę mi uwierzyć.

W głowie Costy zapaliło się ostre światło neonówki, które towarzyszyło mu od jakiegoś czasu, wysyłając groźne ostrzeżenia. Tym razem sygnał głosił: *oto kolejna ofiara, która zostanie poświęcona*. I pulsował jak szalony.

A niech to diabli! – pomyślał. Ten chłopak czeka na moją odpowiedź.

– Dobra. Tak zrobimy.

Wysiedli z volva i w tej chwili przestał padać śnieg. Uznali to za dobrą wróżbę.

– Uważajcie na siebie – mruknął Manna, choć decyzja Costy zupełnie go nie przekonała.

– A ty pospiesz się i zrób wszystko, by przysłali nam posiłki.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Manna odwrócił się i ruszył w powrotną drogę. Zniknął za pierwszym zakrętem.

Miejsce przypominało opuszczoną fortecę: poczerniałe mury z cegieł, okna pozabijane deskami. Ponurą ciszę potęgował jeszcze akustyczny efekt wynikający z położenia pomiędzy zboczami gór. Aleja dojazdowa wyłożona była kamieniami dolomitu, w których widniały dwa równoległe wgłębienia od kół przejeżdżających samochodów. Na końcu znajdował się obszerny plac, a dalej główne drzwi wejściowe oraz metalowe ramy pozostałe po dużych oknach werandowych.

Przed laty w budynku mieściło się sanatorium, przynajmniej taki napis widniał na poczerniałej ze starości tablicy z brązu. SANATORIUM ŚWIĘTEGO ANDRZEJA W MOLVENO. Być może w latach dwudziestych ubiegłego wieku wypoczywali w nim zamożni pacjenci doceniający zaciszne wysokogórskie położenie obiektu w okolicy jeziora o tej samej nazwie.

Kiedy przeczytali napis, Piovesan podzielił się refleksją:

– Z wpisów w księgach wieczystych wynikało, że chodzi o jedną z wielu inwestycji dokonanych w przeszłości przez ojca Federika Zernicha, Nicolę...

Costa rozumiał powód, dla którego Valentina zleciła młodemu policjantowi zbieranie informacji na temat nieruchomości należących do słynnej padewskiej rodziny. Za wszelką cenę chciała odkryć, co Sileri robił z ciałami ofiar, i odnaleźć miejsce, gdzie je przewoził, by w spokoju oddawać się eksperymentom z plastynacją zwłok. I kiedy przekonała się o udziale Zernicha w makabrycznej historii, uznała, że niesamowite laboratorium musi znajdować się na terenie którejś posiadłości starego przedsiębiorcy. Może właśnie teraz mamy odpowiedź na wyciągnięcie ręki – pomyślał Fabio.

W tej chwili jednak najważniejsze pytanie, które go dręczyło, brzmiało: Gdzie się podział Claudio Altieri?

Zatrzymali się w rogu placu rozciągającego się przed budynkiem, tam gdzie niegdyś musiał być bujny ogród, teraz zamieniony w prostokątny skrawek zlodowaciałej ziemi porośniętej krzewami i pokrytej śniegiem. Doskonała kryjówka – przemknęło przez myśl Coście, który obmyślał plan dostania się do środka. Kamera zainstalowana przy bramie wjazdowej świadczyła o tym, że miejsce znajduje się pod ścisłą kontrolą. No bo jakże inaczej?

Ciągle zastanawiał się, co dalej, kiedy czarne drzwi się otworzyły i wyszedł Altieri okutany szczelnie w puchową kurtkę i z naciągniętym na głowę kapturem. Costa nie miał jednak wątpliwości, że to on.

Mężczyzna obszedł budynek i zniknął za węglem. Costa położył dłoń na ramieniu Piovesana i spojrzał mu w oczy. Chłopak był bez rękawiczek, trzymał pistolet oburącz i trząsał się jak zwykle.

Po kilku sekundach usłyszeli ryk silnika o dużej mocy i pojawił się Altieri za kierownicą lśniącego czarnego land rovera. Wjechał na podjazd i po chwili zniknął, wzniesając za sobą tuman śnieżnego pyłu.

Na ten moment czekali policjanci.

Podbiegli do otwartych drzwi i stanęli po obu stronach, zaglądając do środka. Na głównej belce przytwierdzona była kolejna kamera i ostrzegawczo błyskała czerwonym światłem.

Costa dał koledze znak, pokazując otwartą dłoń. Poczekaj.

Prześlizgnął się wzdłuż muru, uważając, by nie wpaść w pole widzenia kamery. Liczył, że urządzenie nie jest wyposażone w funkcję szerokokątową, ponieważ przed wejściem do wnętrza budynku chciał się przekonać, czy nikogo tam nie ma.

Rozejrzał się dookoła. W pobliżu byłego sanatorium rozciągał się duży parking, na którym stał jedynie samochód Altieriego, a poza śladami opon porsche i land rovera nic podejrzanego nie zauważył. Ponieważ zarządca właśnie odjechał, logika podpowiadała mu, że forteca powinna być pusta.

Wrócił do Piovesana, rzucił mu znaczące spojrzenie i dał znak. Weszli do środka.

Układ architektoniczny budynku okazał się prosty i funkcjonalny. Zaraz za drzwiami mieściło się półokrągłe atrium, a naprzeciwko zobaczyli szerokie schody prowadzące na wyższe piętra. Po obu stronach schodów zaczynały się przestronne korytarze – biegły w głąb, obejmując całe wnętrze. Po jednej stronie korytarza znajdowały się pokoje, a po drugiej wielkie okna pozbawione teraz szyb, które wychodziły na wewnętrzny, zapuszczony dziedziniec. Na środku stylizowanego na antyk ogrodu królowała pokryta warstwą lodu fontanna, a po bokach stały ławki wykonane z granitu. Cała trzypiętrowa budowla zdawała się obracać wokół tego centralnego punktu. Z ciemności wychylały się kolejne pokoje, puste i ciche niczym grobowce.

Costa i Piovesan zatrzymali się w pomieszczeniu, które kiedyś służyło za poczekalnię i recepcję, gdyż pomiędzy drzwiami a schodami pozostał wysoki kontuar.

Stanęli, nasłuchując. Do ich uszu dochodziły odgłosy monotonnego kapania wody oraz echo podmuchów wiatru, który wpadał przez rozbite okna.

– Dom wydaje się całkiem opuszczony – szepnął Piovesan, ale Costa dał mu znak, by się nie odzywał.

Zainstalowane na zewnątrz kamery sugerowały, że wewnątrz znajduje się pomieszczenie kontrolne, a właściciel i goście mają coś do ukrycia. Poza tym ktoś musiał się tym wszystkim zajmować.

Chociaż Costa nie chciał się rozdzielać z przestraszonym kolegą, to musieli jak najlepiej wykorzystać czas, który dostali sprzyjającym zrzędzeniem losu. Zbliżył się do młodego kolegi i wyszeptał mu do ucha:

– Posłuchaj uważnie. Nie wiem, co znajdziemy w środku, dlatego musimy zachować szczególną ostrożność. Zaczynamy od dołu. Szybko i po cichu, ale przede wszystkim z oczami dookoła głowy. Ty sprawdzisz korytarz po prawej, a ja ten po lewej. Jeśli konstrukcja zachowuje symetrię, jak mi się wydaje, to dwa skrzydła połączą się na tyłach, gdzie powinniśmy trafić na podobne schody. Wejdziemy na pierwsze piętro i powtórzymy procedurę, korytarz za korytarzem, pokój za pokojem. Gdybym się mylił i nie znajdziemy drugich schodów, to spotkamy się tutaj i wejdziemy na górę. Wszystko jasne? Jesteś gotowy?

Piovesan pokiwał głową. Kilka razy. Potem odetchnął głęboko i poruszając ustami, bezgłośnie powiedział „tak”.

– Trzymaj broń wycelowaną przed siebie. Jeśli trafisz na przeszkodę, cień czy cokolwiek podejrzanego, policz do trzech. Zastanów się. Nie działaj pochopnie.

Sprawdzaj dokładnie każde pomieszczenie i dopiero potem przechodź dalej. I krzycz, gdybyś potrzebował pomocy. W każdej sytuacji, która wyda ci się niebezpieczna. Rozumiesz?

Znowu to samo bezgłośnie „tak”.

Costa spojrział na wykrzywioną grymasem strachu twarz Piovesana.

– Nie mogę ci obiecać, że wszystko pójdzie jak z płatka – powiedział na koniec – ale wiem, że sobie poradzisz. Jesteś dobrym policjantem. Musisz w to uwierzyć.

Młody funkcjonariusz pokiwał głową.

– No to ruszamy.

Costa słusznie się domyślał, że parter budynku służył kiedyś pacjentom do wspólnego spędzania czasu. Zresztą coraz bardziej się przekonywał, że był to raczej luksusowy hotel niż sanatorium z prawdziwego zdarzenia. Zajrzał do przestronnych salonów, gdzie uchowały się rozklekotane fotele oraz stoliki do kawy, sprawdził małe pokoje przeznaczone zapewne do leczenia lżejszych i cięższych schorzeń. Stały tam łóżka, parawany i duże kredensy służące do przechowywania leków, ziół i maści. Natrafił nawet na jadalnię i ze zdziwieniem dostrzegł nakryte stoły. Wszystko pokrywała jednak warstwa kurzu, która z czasem zgęstniała, tworząc ciemny, lepki całun, swego rodzaju powłokę gnijącej pleśni.

To miejsce nie było siedzibą duchów, lecz samo przypominało zamek z sennego koszmaru.

Costa szybko znalazł się po przeciwnej stronie wejścia. Tak jak podejrzewał, na górę prowadziły tutaj takie same schody jak od strony holu. Po Piovesanie nie było ani śladu. Pewnie dokładnie wykonywał polecenie komendanta i skrupulatnie sprawdzał każde pomieszczenie po swojej stronie, nie pomijając żadnego zakątka. Tymczasem Costa zaczął się niecierpliwić.

Nie dochodziły do niego żadne odgłosy i sanatorium sprawiało wrażenie opuszczonego. Coraz bardziej dręczyła go jednak chęć jak najszybszej penetracji pomieszczeń, choć nie liczył już, że może znaleźć gdzieś Valentine, by ocalić ją od złego, a siebie od wyrzutów sumienia. Mimo wszystko postanowił działać tak, jakby to było możliwe.

Z wymierzoną przed siebie bronią ruszył w górę po schodach, gotowy do natychmiastowej reakcji, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Kiedy był w połowie drogi, usłyszał ledwo słyszalny hałas. Uderzenie skrzydeł lub szuranie, które dochodziło z górnego piętra.

Na kilka sekund zamarł w bezruchu. Odgłos rozległ się ponownie. Teraz przypominał przebieranie nogami po podłodze albo rytmiczne uderzenia. Ktoś tam był. Na górze ktoś lub coś się poruszało.

Pokonał szybko ostatnie stopnie i nadstawił uszu. Niepokojący dźwięk dobiegał z lewej strony.

Wzdłuż dwóch korytarzy, które podobnie jak na parterze rozpoczynały się przy schodach i biegły wokół budynku, Costa zauważył około dwadzieściora drzwi.

Z pokoju mieszczącego się na końcu korytarza po lewej przez uchylone skrzydło przedostawało się światło.

Ruszył powoli w kierunku oświetlonego pokoju.

Nagle coś zasłoniło snop światła. Raz, a potem drugi...

Costa słyszał teraz jedynie głośne pulsowanie własnej krwi. Ponure dudnienie zagłuszało wszystkie inne odgłosy.

Valentina szeptała.

Diana szeptała.

Zatrzymał się obok otwartych drzwi i zajrzał do środka.

Na środku pustego pomieszczenia na czerwonym fotelu siedział mężczyzna ubrany w ciemny garnitur. W dłoni trzymał smukły kieliszek wypełniony białym winem. Nic więcej.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – zapytał Costa, wpadając do środka.

Okno za plecami nieznanego zostało niedbale zabite deskami. Zresztą całe pomieszczenie było zaniedbane i kłóciło się wyraźnie z wypielęgnowanym wyglądem mężczyzny. Liczył sobie mniej więcej sześćdziesiąt lat, a jego prezencja wskazywała, że prowadził spokojne i dostatnie życie. Twarz miał gładką i pozbawioną zmarszczek. Okulary w cienkiej złotej oprawce. Białe krótkie włosy otaczały jego głowę niczym aureola. Jedwabna koszula i czarny garnitur dopełniały reszty. No i jeszcze kieliszek z winem, który uniósł do ust, żeby pociągnąć mały łyk.

– Cześć – powiedział, uśmiechając się. Popatrzył na broń, ale nie wyglądał na przestraszonego. – *Sprichst du Deutsch?*

Costa wpatrywał się w nieznanego, celując w niego z pistoletu.

– Nie – warknął.

– Aha. No to ja będę mówił po włosku. Dobrze? A może przejdziemy na angielski? – Jego akcent był jednocześnie miękki i gardłowy. Mężczyzna cały czas się uśmiechał, jakby brał udział w prywatnym przyjęciu i zawierał nową znajomość.

– Kim jesteś? – powtórzył zaskoczony Costa.

– Gościem... tak samo jak ty... Czyżbym się mylił?

Gość. Jeden z zaproszonych do gry przez Zernicha. Co musiał zrobić, żeby się tutaj znaleźć? Jakie zadanie musiał wykonać?

Mężczyzna wskazał kieliszkiem na berettę.

– Możesz ją opuścić?

Costa spełnił jego prośbę. Czuł się zupełnie przybity. Ilu morderców zapewniło sobie przywilej udziału w tym makabrycznym spotkaniu?

– Poczekamy razem na gospodarza? – zapytał Niemiec niepewnym tonem.

Costa ponownie uniósł broń i wycelował.

– Skoro rozumiesz po włosku, to na kolana i ręce za głowę! – powiedział powoli.

Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny, a ręka z kieliszkiem zadrżała.

– Nie! Po co? – syknął nieznanemu. – Przecież wykonałem zadanie. Zrobiłem to, co ustaliliśmy...

– Na kolana!

Niemiec zamilkł. Ostrożnie uniósł się z fotela.

– Na kolana! – powtórzył Costa.

– Nie – powtórzył mężczyzna. – Chyba rozumiem... – Na jego twarzy nie było teraz ani śladu uśmiechu czy uprzejmości. Nieprzenikniona maska skrywała emocje.

Obojętne spojrzenie przypomniało Fabiowi wyraz oczu Sileriego.

– *Ich tötete...* przepraszam... ja... zabiłem... żeby zasłużyć na nagrodę!

– A ja zaraz zastrzelę ciebie, jeśli nie wykonasz rozkazu. Na kolana!

Usta Niemca poruszały się nerwowo. Wciąż je oblizywał.

– Chcesz... *schauen*? – odezwał się nagle, sięgając ręką do kieszeni marynarki.

Poruszył szybko palcami i Fabio usłyszał szelest spadających na podłogę zdjęć. Upadły u jego stóp niczym płatki ściętego kwiatu. Było to około dziesięciu niedbale wykonanych fotografii w wyblakłych kolorach.

Ręce policjanta drżały, gdy pochylał się, by zebrać odbitki. Trzęsła się dłoń, którą podnosił po kolei każde ze zdjęć, i trzęsła się ta druga, w której trzymał pistolet wycelowany w głowę nieznajomego.

Wyprostował się i spojrział na zdjęcia, starając się przy tym nie spuszczać oczu z mężczyzny.

Chłopczyk i dziewczynka, prawdopodobnie rodzeństwo. Nie wyglądali na więcej niż pięć lat, chociaż krew utrudniała dokładne ustalenie wieku.

Poczuł, jak ogarnia go nienaturalny chłód, który nieoczekiwanie przyniósł ulgę. Pomyślał, że właśnie w taki sposób śmierć wystawia rachunek. Najpierw chłód ogarnia duszę, a potem człowiek wpada w głęboką czarną otchłań, gdzie znajduje w końcu pocieszenie.

Niemiec mówił bardzo powoli.

– Chcesz się dowiedzieć, jak zginęli? Czy... cierpieli? Jak długo krzyczeli? Mam ci powiedzieć?

Palec mocniej nacisnął spust. Brakowało ułamka sekundy i zmiotłby z powierzchni ziemi tę obrzydliwą kreaturę raz na zawsze.

Poczuł czyjąś obecność za plecami. Ktoś zbliżał się szybko, nie zachowując nawet specjalnej ostrożności. Costa wyzwał się w myślach od kretynów, bo nie sprawdził wcześniej korytarza, bo stanął plecami do drzwi, bo pozwolił, by nieznajomy zajął całą jego uwagę. A za takie błędy trzeba drogo płacić.

Nie zemdlał od uderzenia w tył głowy, lecz kiedy upadł na podłogę, stracił kontrolę i broń wypadła mu z ręki. Usłyszał hałas. Poczuł rozdzierający ból, uderzając nosem o posadzkę. Usta wypełnił mu smak krwi zmieszanej z kurzem. Ktoś kopał go w plecy, raz, drugi, trzeci... Ból stawał się nie do zniesienia. Potem poczuł silne kopnięcie w bok, prosto w żebra. Zaczęło mu brakować powietrza, które wydobywało się z płuc z dziwnym sykiem.

Próbował przewrócić się na plecy i w końcu mu się to udało. Zaraz jednak zrozumiał, że popełnił kolejny błąd, bo ciężki but wylądował na jego twarzy. Promieniujący od nosa, oślepiający ból zaćmił wszystkie jego myśli.

Poprzez warstwę krwi, która pokrywała mu oczy, zobaczył, że pastwi się nad nim sam Claudio Altieri. I pomimo huku rozrywającego mózg zdołał nawet rozróżnić wypowiedane słowa. Wydawało mu się, że mężczyzna szepcze, chociaż w rzeczywistości Altieri krzyczał.

– Ja nie rozumiem. Mówię całkiem poważnie. Co jeszcze trzeba ci jaśniej wytłumaczyć? No gadaj! Co jeszcze trzeba ci jaśniej wytłumaczyć?

Kolejne kopniaki. Zacięte, silne, okrutne. Z każdym uderzeniem robiło się coraz ciemniej. Każda fala bólu sprawiała, że przygasało światło. A w głowie huczały mu ciągle te same słowa. *Czego ty nie możesz zrozumieć?*

Costa gotował się na śmierć. Był wściekły, że nie zdołał ocalić Valentiny, ale czuł też nieoczekiwaną ulgę.

Twarz Altieriego znalazła się nagle całkiem blisko w jego ograniczonym już bardzo polu widzenia. Oczy i usta mężczyzny stawały się coraz większe, kiedy się nad nim nachylał. Cały czas krzyczał, jakby recytował wyliczankę. *Czego ty nie możesz zrozumieć? Co jeszcze trzeba ci jaśniej wytłumaczyć?*

Splunął mu prosto w twarz i Costa poczuł zimną ślinę. Odniósł wrażenie, że wypalił mu dziurę w twarzy niczym kwas.

W następnej sekundzie usłyszał wybuch i twarz Altieriego zniknęła. Na czoło spadał mu ciepły deszcz o jednoznacznym zapachu. Była to krew mężczyzny, który próbował go zabić. Krew zmasała ślady śliny.

Costa z trudem uniósł głowę. Niemiec wrzeszczał. Z jego ust wydobywał się dziwny, rozdzierający krzyk. Niemalże kobiecy. Gabriele Piovesan wycelował.

Strzelaj – modlił się w duchu Costa.

Piovesan strzelił.

Wysoki falset ucichł jak przecięty nożem.

Z oddali z nieokreślonego miejsca na ziemi dochodził jednak inny głos. Prawdopodobnie dobiegał z bardzo daleka, ponieważ był słaby i mechaniczny, jakby ktoś mówił przez mikrofon.

– Claudio... Claudio...

Otworzył oczy i ze zdziwieniem spostrzegł, że już nie leży na podłodze. Głowę miał wspartą na poduszce, a plecy nie dotykały teraz zimnej posadzki. W oczach czuł kurz, którym przesiąknięte było obicie fotela. Pył gromadzący się w pomieszczeniu przez wiele lat czuć było starością i straconymi nadziejami.

Spróbował się podnieść, a wtedy świat eksplodował. Poczował ból w głowie. Ból w okolicy nosa. Ból w żebrach. Ból promieniował na całe ciało. Ból świadczył o tym, że żyje.

Rozejrzał się dookoła.

Piovesan siedział na takim samym fotelu jak on. Na tym samym miejscu, na którym jeszcze przed chwilą Niemiec popijał wino. Teraz nieznajomy leży martwy na podłodze.

Młody policjant trzymał w ręce pistolet i wpatrywał się w niego osłupiały. Sprawiał wrażenie zupełnie wyczerpanego. Siedział nieruchomo z bertettą na kolanach i patrzył przed siebie, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje.

Costa dobrze znał to uczucie. Piovesan był w szoku. Dopiero co zastrzelił dwóch ludzi. I chociaż podłe kreatury zasłużyły sobie na taki los, to Costa nikomu nie życzył podobnego doświadczenia. Mimo wszystko chłopak całkiem nieźle sobie poradził. Zajął się nim i umieścił go na fotelu, chociaż stan, w którym się znajdował, świadczył, że raczej sam potrzebuje pomocy. Claudio Altieri leżał na wznak kilka metrów dalej. Kula rozłupała mu czaszkę, a siła wystrzału odrzuciła go na odległość trzech metrów od nich. Trup ciągle miał na sobie zmoczoną śniegiem kurtkę, z kieszeni której wystawała krótkofalówka. Od czasu do czasu z urządzenia dochodził skrzekliwy głos.

– Claudio... Claudio... Claudio...

– Kto mówi? – zdołał wykrztusić Costa, przekonując się o bólu w ustach. Rwały go zęby, szczęki, wszystko. Altieri zdążył go nieźle urządzić, zanim Piovesan zareagował.

Tymczasem chłopak wpatrywał się w niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Kto mówi przez radio? – powtórzył, zdając sobie sprawę, że kolega wciąż przebywa w świecie koszmarów i trzeba nim potrząsnąć, żeby wrócił do

rzeczywistości. – Gabriele!

Młody funkcjonariusz otworzył szeroko oczy.

– Już od kilku minut ktoś próbuje się z nim skontaktować – odezwał się w końcu niepewnym tonem, jakby właśnie wybudził się z długiego snu. – A Claudio mu nie odpowie... bo nie żyje... zabiłem go... – Głos mu się załamał.

– I dobrze zrobiłeś. Nie miałeś innego wyjścia... – Na razie Fabio nic więcej nie mógł dla niego zrobić. Nie było czasu. – Ocaliłeś mi życie, Gabriele. Wbij sobie to natychmiast do głowy, bo musimy skończyć robotę.

Zdawało się, że do Piovesana zaczęło wreszcie coś docierać, bo w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Sądzię, że to stary Zernich próbuje się skontaktować... – powiedział wyraźniej. – Widziałem, jak razem przyjechali...

– Przyjechali razem? – Costa próbował się unieść z fotela, ale zakręciło mu się mocno w głowie i prawie upadł na podłogę.

Piovesan zerwał się ze swego miejsca i złapał go w ostatniej chwili. Podpierali się wzajemnie, zataczając jak pijani, dopóki Costa nie odzyskał równowagi. Popatrzył na chłopaka z podziwem. Młody policjant naprawdę dobrze się zapowiadał. Szybko doszedł do siebie. Costa już wiedział, że dobrze zrobił, dodając mu wcześniej otuchy. Pewnie kiedyś będzie z niego świetny funkcjonariusz.

– Dziękuję, teraz już mi lepiej. Naprawdę widziałeś Zernicha z Altierim? Jak to możliwe, że tak szybko tu dotarli?

– Podejrzewam, że on czekał gdzieś niedaleko. Kiedy Altieri przed wyjazdem wpadł do jego willi w Padwie, nie zauważyliśmy tam Zernicha, a jedynie jego opiekunkę.

– To by znaczyło, że Altieri po niego pojechał.

– Zernich był już w okolicy, nie ma innego wyjaśnienia. Kiedy Altieri odjechał, a ja sprawdzałem swoją część korytarza, tak jak mi pan polecił – wyjaśnił Piovesan – nagle przez okno zauważyłem światło, które zbliżało się do budynku. To były reflektory land rovera. Altieri zaparkował przy samym wejściu. Wysiedli razem i zarządca pomógł swojemu mocodawcy wejść do tego przybytku. Szybko się ukryłem, żeby mnie nie zauważyli. Altieri i Zernich poszli prosto w kierunku drzwi znajdujących się za schodami. Zernich wszedł tam do środka, a Altieri wrócił do samochodu. Wyrzałem z kryjówki i zobaczyłem, że Zernich schodzi na dół. Dostrzegłem też światło. Chciałem pójść za nim, ale Altieri właśnie wracał i znowu musiałem się schować. A ponieważ poszedł na górę, podążyłem za nim najszybciej, jak się dało...

Nie musiał dodawać nic więcej. Dwa trupy mówiły same za siebie.

– Zrobiłeś to, co konieczne, i świetnie się spisałeś – powtórzył Costa z nadzieją, że zdoła go przekonać, chociaż wiedział, że musi minąć dużo czasu, nim kolega

zaakceptuje nieodwracalne konsekwencje swoich działań.

– Nie jestem tego wcale taki pewien...

Costa spojrział na zwłoki Altieriego. Pochylając się nad ciałem, zatoczył się ponownie, na szczęście zawroty głowy były już nieco lżejsze, po czym wyjął krótkofalówkę z kieszeni kurtki zabitego. Radio odbierało na falach, których nie zakłócał jammer, ponieważ Zernich ciągle próbował się skontaktować ze swoim współpracownikiem.

– Claudio?

Prawdopodobnie znajdował się na niższym poziomie budynku, tam gdzie schodził, kiedy po raz ostatni widział go Piovesan, i gdzie czekał na swego pomocnika.

W odbiorniku zaległa dłuższa cisza przerywana seriami wyładowań elektrycznych. Kiedy głos rozległ się ponownie, zabrzmiał w nim nowy akcent.

– Costa?

Fabio wpatrywał się w krótkofalówkę, z trudem powstrzymując drżenie. Nagle urządzenie zdało mu się ciepłe, jakby tchnące życiem.

– Fabio Costa? – Mężczyzna wydawał się rozbawiony sytuacją. – Fabio Costa... dlaczego używa pan krótkofalówki Claudia?

Costa i Piovesan popatrzyli na siebie. Nie zauważyli kamer w pokoju, ale nie mogli mieć stuprocentowej pewności, czy nie są obserwowani.

– *Dottore?* Zechce mi pan odpowiedzieć?

Costa nacisnął przycisk nadawania. Zernich miał rację. Teraz już nie było sensu niczego ukrywać.

– Wiesz, po co tu przyjechaliśmy?

Wyładowanie elektryczne.

– Wyobrażam sobie... – Przerwał na chwilę. – A mój współpracownik pewnie już... – Zawiesił znacząco głos.

Przyszedł czas na wyrównanie rachunków. Costa ponownie nacisnął przycisk nadawczy.

– Zernich, zaraz po ciebie przyjdę.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

– Cóż za melodramatyczna deklaracja. Ależ oczywiście, zapraszam serdecznie. Czekam z niecierpliwością.

Potem wszystko ucichło. Zernich wyłączył radio.

Mimo pulsującego bólu w okolicach nosa oraz smaku krwi w ustach, które przytępiły jego zmysły, pierwszym wrażeniem potwierdzającym najgorsze przypuszczenia był zapach. Mieszanina formaliny i plastiku, a pod nim jednoznaczny słaby odór śmierci.

No tak. Dotarliśmy na miejsce. Tu mieści się galeria horrorów.

Spojrzał na idącego za nim Piovesana, który kurczowo zacisnął dłonie na pistolecie. Przestał się trząść, ale białka oczu błyszczały mu intensywnie. Jeszcze nie wyszedł z szoku po zabiciu dwóch mężczyzn, a Costa prowadził go do piekła. Czy miał do tego prawo? Piovesan był co prawda policjantem, ale nawet najbardziej doświadczony gliniarz nie powinien oglądać tego, co ich czekało.

Schody prowadziły do podziemi budynku. Na ścianie przy zejściu wisiał stary plan sanatorium, na którym zaznaczono pomieszczenia przeznaczone dla gości. Według spłowiałych wskazówek najniższy poziom przeznaczony był na zabiegi lecznicze. Zernich musiał uznać to miejsce za najodpowiedniejsze do swoich eksperymentów.

Kiedy Costa zszedł na dół, poza zapachem uderzyło go także specyficzne oświetlenie w postaci starych halogenowych lamp umieszczonych na kamiennym suficie i osłoniętych metalowymi kloszami. Źródła światła znajdowały się w sporej odległości od siebie, przez co nie mogły skutecznie rozproszyć ciemności. Zresztą prawdopodobnie był to zamierzony efekt. Światło zwiększało kontrasty, tworząc na przemian: zupełnie ciemne obszary i oazy przytłumionej jasności.

W podziemiu znajdowało się duże otwarte pomieszczenie podzielone regularnie wielkimi kwadratowymi kolumnami, które spełniały funkcję nie tylko architektoniczną, ale także estetyczną. Ustawione w równoległych rzędach potęgowały grę cieni, tworząc naturalne kryjówki.

Po bokach ciągnęły się długie korytarze, z których wchodziło się do licznych pokoi. Niektóre drzwi były otwarte i migały w nich snopy kolorowych światła.

Całościowo podziemie przypominało raczej wielki Darkroom niż opuszczone miejsce wykorzystywane kiedyś do zabiegów leczniczych.

Costa domyślał się już, co znajdzie w kolejnych pokojach, teraz jednak, gdy nadszedł czas na zmierzenie się z rzeczywistością, odwaga zaczęła go opuszczać. Przez chwilę chciał się odwrócić na pięcie i zostawić przykre zadanie komuś innemu.

Potem przypomniawszy mu się Valentina i to wspomnienie popchnęło go naprzód. W końcu to dla niej przebył całą dotychczasową drogę. Był jej to winien. Poza tym... nie, nie może się teraz cofnąć.

Odwrócił się w stronę Piovesana.

– Zostań tu i mnie ubezpieczaj – szepnął.

Policjant otworzył oczy jeszcze szerzej, ale nie protestował. Chyba nawet przyjął tę decyzję z ulgą. Pokiwał głową.

Costa też przytaknął, zrobił głęboki wdech i ruszył przed siebie.

Ogromne kwadratowe kolumny wyznaczały przestrzeń, a zarazem bezsprzecznie dominowały w sali. Posuwając się powoli do przodu, Costa zauważył, że ściany wcale nie są gołe, gdyż na szarej powierzchni wyraźnie odbijają się twarze. Całe kolumny były nimi pokryte.

Zdjęcia. Małe i duże, kolorowe i czarno-białe. Niektóre pochodziły z Internetu, inne wyglądały tak, jakby zrobiono je ukradkiem, bez wiedzy fotografowanych osób. Skradzione portrety mężczyzn i kobiet w różnym wieku, dzieci i staruszków... Zdjęcia zostały starannie przyklejone jedno obok drugiego i zakrywały każdy centymetr wolnej przestrzeni. Dziwny, sugestywny spektakl wywołujący ciarki na plecach. Spacerując po lesie twarzy, Costa odniósł wrażenie, że ich oczy uważnie śledzą jego ruchy, obserwują go, gdy z wymierzoną przed siebie bronią sprawdza wszystkie zakątki sali. Nie zdziwiłby się wcale, gdyby usłyszał ich szept.

Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że wszystkie zdjęcia przedstawiają ofiary szaleństwa Zernicha i jego pomocników. Nawet najczarniejszy obłęd nie mógłby spowodować aż tylu śmierci. Na większości fotografii uwieczniono zapewne jedynie potencjalne ofiary, chybione cele. Przecież wszyscy ci ludzie nie mogli zginąć.

Zdał sobie sprawę, że w zamyśle twórcy ta wystawa oczu, ust i nosów stanowiła jedynie zapowiedź prawdziwego spektaklu. Preludium świadczące o niesamowitych zdolnościach Zernicha w zaskakiwaniu zaproszonych gości.

Teraz jednak nie miał czasu na hipotezy ani spekulacje. Później przyjdzie moment na wyjaśnienie każdej wątpliwości. Nawet najgorszej.

Właśnie w tej chwili ukazał mu się początek koszmaru. Czekał na niego w głębi pokoju, do którego teraz zajrzał, oświetlony intensywnym zielonym światłem.

Znalazł ciało Esthery Kaimbacher, dziewczyny porwanej przed rokiem w Bolonii przez Lucę Sileriego.

Na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że ogląda się manekiny. Światło dwóch lamp skierowanych w dół sprawiało, że cienie nadawały twarzom upiorną sztywność. Stojąca kobieta ubrana była w białą bluzkę i brązową spódnicę, które przypominały kostium z epoki. Natomiast nagi mężczyzna leżał na łóżku przesiąkniętym zakrzepłą krwią z twarzą zwróconą ku górze i ustami rozwartymi w niemym krzyku. Oboje zostali ustawieni z niezwykłą starannością, jakby zamienili się w posągi podczas wykonywania swoich czynności. Kobieta w jednej dłoni trzymała włosy mężczyzny, a drugą uzbrojoną w wielki nóż odcinała mu głowę. Ostrze,

zanurzone do połowy w ciele, zatrzymało się na kręgach, które bieleły pośród rozdartego mięsa. Scena była doskonale wyreżyserowana i niezwykle wyrazista.

Brakowało tylko trzeciej postaci. Na obrazie Caravaggia Judyta obcina głowę Holofernesowi w obecności starej służącej przygotowującej kawałek płótna, aby owinąć w nie odcięty fragment ciała. Staruszka była nieobecna, ale pozostali bohaterowie zrekonstruowanego obrazu wyglądali jak na oryginale.

Niestety, nie były to manekiny. Judytę przedstawiała Esther Kaimbacher. Costa przypomniał sobie zdjęcia studentki, które swego czasu dokładnie oglądał z Valentiną. Wymodelowany wyraz twarzy trupa odpowiadał minie, z jaką dziewczyna spoglądała kiedyś w obiektyw aparatu fotograficznego. Teraz zostały z niej tylko skóra i kości, podobnie jak z leżącego na łóżku nagiego mężczyzny. Może pewnego dnia policja ustali jego dane osobowe oraz datę i miejsce zaginięcia i wtedy będzie można zamknąć kolejną nierozwiązaną sprawę zalegającą na biurku jakiegoś policjanta. A rodzina nieszczęśnika będzie mogła się wreszcie dowiedzieć, jak zakończył życie.

Ciało Esthery przybito do drewnianej palety pomalowanej na czarno, która zlewała się ze ścianą, potęgując wrażenie, że kobieta stoi na własnych nogach. Światło też zostało usytuowane odpowiednio, aby potwierdzić pierwotne złudzenie. Dopiero gdy Costa się zbliżył, zauważył płataninę cienkich, lecz bardzo wytrzymałych metalowych drutów, które niczym niewidzialna lśniąca pajęczyna oplatały ciało przytwierdzone do umieszczonych za jego plecami desek. Poza ranami spowodowanymi przez metalowe haczyki wbite w ciało skóra Esthery-Judyty zdawała się jedwabista, gładka i biała. Na pierwszy rzut oka nikt by nie pomyślał, że w środku krew została już dawno zastąpiona silikonem. Nie ulegało wątpliwości, że Zernich poczynił ogromne postępy od czasu pierwszego „artystycznego” morderstwa, kiedy to ciała Marka Albanesiego i Lindy Bordoni, nieudolnie związane ze sobą, rozkładały się na oczach sierżanta Carusa.

Z bliska jednak śmierć manifestowała swoje prawdziwe oblicze.

Luca Sileri nie zdołał zapobiec procesowi rozkładu skóry zwłok poddanych plastynacji. Naskórek ofiar z czasem odpadał i trzeba było poprawiać jego strukturę za pomocą odpowiednich substancji chemicznych wstrzykiwanych pod powierzchnię skóry lub wcieranych zewnętrznie i pokrywanych później kosmetykami. Dla uzyskania wymaganego efektu użyto prawdopodobnie tego samego silikonu, który wypełniał wnętrza ciał. Rezultat okazał się jednocześnie niezwykle plastyczny i przerażający. Ani specjalne produkty chemiczne, ani odpowiednio ustawione światło nie były w stanie ukryć zimnej pustki w oczach, niewielkich pęknięć znaczących usta i inne zabalsamowane części ciała, warstwy kurzu pokrywającego oblicza trupów. Costa zrozumiał, że podtrzymywanie złudzenia wymagało sporego wysiłku.

I prawdopodobnie ktoś był odpowiedzialny za wycieranie pyłków z twarzy Esthery i pozostałych postaci, jakby chodziło o zwykłe eksponaty wystawione na widok publiczny. Ta myśl sprawiła, że zebrało go na mdłości i musiał na chwilę zamknąć oczy, aby się uspokoić.

Poczuł zimny powiew na karku i odwrócił się szybko, wytrzeszczając oczy i celując z pistoletu w ciemność znajdującą się za plecami.

Nie dostrzegł nikogo, chociaż Federico Zernich był gdzieś niedaleko i z przyjemnością obserwował stworzoną przez siebie koszmarną kolekcję czekającą na zwiedzających.

Wszystko wskazywało na to, że Costa jest jednym z pierwszych gości.

Gniew uderzył mu do głowy i zapominając o ostrożności, zawołał:

– Zernich, gdzie jesteś? Bo przyszedłem po ciebie!

Silny i dźwięczny głos starca dobiegł z podziemia, jakby znajdował się tuż-tuż.

– Costa, czekam na pana. Nie zamierzam się ukrywać.

Fabio wyszedł z sali przedstawiającej Judytę i Holofernesa, a na korytarzu zaraz za drzwiami oślepiło go światło latarki. Pochylił się instynktownie w oczekiwaniu na strzał i ból, potrząsając przy tym pistoletem.

– Zgaś światło! – krzyknął.

Nikt nie strzelał, a Zernich posłuchał rozkazu, bo po chwili Costa znowu znalazł się w półcieniu upstrzonym kolorowymi światełkami, które migwały w otwartych drzwiach.

W każdym pokoju przygotowano scenę śmierci.

Fabio ruszył ostrożnie w stronę pomieszczenia, w którym powinien znajdować się Zernich, i chociaż próbował się skoncentrować na zadaniu, to nie zdołał oprzeć się pokusie, by nie zajrzeć do mijanych sal. Niektóre z nich były niewielkie i miały tylko jedno wejście, inne zaś przypominały ogromne przechodnie salony łączące się z kolejnymi pokojami, korytarzami i niszami, tworząc w ten sposób gigantyczny podziemny labirynt. Wszystkie pomieszczenia wykorzystano w tym samym celu.

Może byłoby lepiej, gdyby tam nie zaglądał.

Trupy wisiały na sznurach, na krążkach linowych, na hakach i na ramach – upozowane i ustrojone z odrażającą dbałością o każdy szczegół oraz pomalowane kolorowymi żelami, przez które przenikało odpowiednio ustawione światło. Dominowały zimny granat i krwawy róż, ale każda scena oświetlona była inną barwą.

Obrazy, które przesuwają mu się przed oczami, nie znikają, mimo że tego chciał, i Fabio wiedział już, że nie przestaną go dręczyć przez całe życie.

Z jednej niszy, która otwarła się przed nim w murze, uśmiechał się około piętnastoletni chłopiec z przechyloną na bok głową. Był nagi, a do pleców niczym do plastikowej zabawki przymocowano mu czarne rozłożone skrzydła. Jedną nogę opierał

na krześle, a w ręku trzymał smyczek. U stóp młodzieńca leżało kilka instrumentów smyczkowych oraz liczne partytury. Fabio nie mógł sobie przypomnieć tytułu obrazu i prawdopodobnie nie znał go również nastolatek, którego poświęcono, aby wykonać rekonstrukcję.

W nieco większym pokoju umieszczono starca z długą białą brodą, a jego chudą nagość przykryto szerokim czerwonym prześcieradłem. Mężczyzna opierał miękko prawe przedramię na stole, a w dłoni dzierżył pióro. W lewej ręce trzymał otwartą księgę i zgodnie z zamierzeniem autora ekspozycji sprawiał wrażenie, że czyta. Tymczasem jego oczy niczego już nie mogły zobaczyć. Ani słów zapisanych na kartach, ani Costy, który przyglądał mu się przerażonym wzrokiem. Do łysej głowy starca przybito aureolę z drutu. Fabio zdał sobie sprawę, że oprawcy musieli przewiercić mu czaszkę, aby przytwierdzić tę dodatkową ozdobę.

– To mój Święty Hieronim – oświadczył Zernich kryjący się w mroku za całą instalacją. – Podoba się panu? Bo mnie bardzo... jest bardzo podobny do oryginału. Owoc wieloletnich poszukiwań.

Głos dochodził z miejsca znajdującego się w pobliżu zabalsamowanego ciała starca. Costa nie tracił czasu na odpowiedź, tylko ruszył naprzód. Musnął brzeg czerwonego materiału pokrywającego postać nieświadomego odtwórcy osoby Świętego Hieronima. Szelest tkaniny przypominał bolesne westchnienie, oddech zakurzonego życia, które skarży się na zadany gwałt.

W głębi widniało drugie wejście prowadzące na wąski korytarz, z którego wpadało światło, prawdopodobnie znajdowała się tam kolejna stacja drogi krzyżowej, którą przemierzał Costa. Zernich powinien być właśnie w tamtym miejscu. Pewnie cały czas szedł przed Fabiem, aby zmusić go do obejrzenia całej swojej koszmarnej ekspozycji.

Costa zacisnął mocniej palce na broni. Spocone wnętrze dłoni sprawiało, że kolba wyslizgiwała mu się nieznacznie, lecz nie miał odwagi, by otrzeć skórę. Wiedział, że musi mierzyć przed siebie i zachować koncentrację. I nie myśleć o niczym innym, a jedynie o tym, co czeka go za ostatnimi drzwiami.

Nie było to łatwe.

Przekroczył próg i rozejrzał się dookoła.

Zernich uśmiechał się, siedząc na fotelu, i głaskał głowę jednej z postaci. Jego palce bawiły się kręconymi kosmykami czarnych włosów i Costa z łatwością rozpoznał nieruchomą, smutną twarzyczkę małego Andrei Venturiego.

– Wie pan, że Caravaggio lubił portretować samego siebie na swoich obrazach? No pewnie, że pan wie. Zasięgnął pan informacji, bo dba pan o szczegóły. Tak samo jak ja.

Ciała czterech chłopców przedstawiających bohaterów *Koncertu* upozowane zostały z niezwykłą starannością na środku sali, tak że goście mogli podziwiać dzieło ze wszystkich stron. Mogli zanurzyć się w trójwymiarowy spektakl powstały na bazie obrazu Caravaggia. Jeden z muzyków, odwrócony plecami, zajęty był czytaniem nut, które trzymał w dłoniach. Dwaj inni, wyposażeni w instrumenty smyczkowe, patrzyli na Costę, a czwarty znajdował się nieco na uboczu, jakby chciał podkreślić swą odrębność i wyjątkowość. Mieli na sobie takie same tuniki i ozdoby jak na obrazie. Scena została dopracowana w każdym detalu, w każdym geście, w każdym zagięciu materiału. Światło barwy kości słoniowej miało odtwarzać światłocienie oryginału, a ciemnoszare tło ściany pobudzało wyobraźnię.

Zernich owinięty w długi czarny płaszcz, z siwymi włosami wijącymi się niedbale na wysokości karku, siedział pomiędzy swoimi dziećmi, jakby sam stanowił część dzieła, którego był twórcą. Po lewej stronie miał ciało Andrei Venturiego, któremu powierzył główną rolę, i mierzwił dłonią jego kędzierzawe włosy z wystudiowaną czułością, potęgującą tylko u Costy poczucie obrzydzenia. Stary szaleniec u szczytu obłędu królował nad ciałami czterech chłopców, których kazał zamordować, aby zaspokoić własne fantazje.

Nie ukrywał radosnego podekscytowania. Upajał się grymasem obrzydzenia widocznym na twarzy inspektora. Rozkoszował się tą sytuacją i czerpał z niej siły witalne niczym demon żywiący się ludzkim bólem.

Costa poczuł, jak narasta w nim głucha wściekłość, którą znał aż za dobrze. Zorientował się w porę i próbował ją powstrzymać, ponieważ nie nadszedł jeszcze czas ostatecznego rozliczenia.

– Chyba nie muszę panu mówić, że to on jest główną postacią tej sceny – ciągnął Zernich najnaturalniejszym na świecie tonem, wpatrując się w zeszywniałą twarz Andrei Venturiego. – Poza tym jest moim ulubieńcem. Być może dlatego, że jego zniknięcie stało się okazją do poznania pana i pańskiej koleżanki, Valentiny...

Costa zacisnął zęby i nic nie odpowiedział.

Zernich przez chwilę czekał na reakcję, po czym spokojnie podjął swoje rozważania:

– Tego huncwota znaleźliśmy w Neapolu, ale i to już pan wie.

Obok Andrei Venturiego siedział odwrócony plecami mały Salvatore Esposto, którego starzec wskazał miękkim gestem dłoni.

– Natomiast chłopcu z drugiego planu – wyjaśniał dalej, zwracając uwagę Costy na trzecią ofiarę – artysta nadał swoje rysy. Przyszło nam więc szukać sobowtóra samego wielkiego Caravaggia. Wyjątkowo pasjonujące zadanie... na szczęście udało nam się je zrealizować. Czyż ta zabawa z odtwarzaniem przeszłości nie wydaje się panu emocjonująca? Rodzice tego dziecka powinni być zaszczyceni wyborem, gdyby wiedzieli, jaki los je spotkał, i gdyby byli na tyle obyci, by zrozumieć wagę tej inscenizacji, ale mam co do tego poważne wątpliwości. Zresztą również sam zainteresowany byłby dumny z udziału w tak wspaniałej, niesamowitej scenie. Przecież występuje w roli artysty, który zyskał nieśmiertelną sławę!

Zernich nie wspomniał ani słowem o czwartym chłopcu, tym, który wcielił się w postać Kupida, jakby chodziło o nic nieznaczący szczegół. W końcu życie tych dzieci nie miało dla niego żadnej wartości.

Czterej chłopcy zostali zamordowani, a Costa znał imiona i losy jedynie dwóch z nich. Pozostali byli wyłącznie dekoracją w tej obrzydliwej pantomimie. Teraz nie miało już znaczenia, kim byli ani gdzie mieszkali. Nie miało znaczenia, kto po nich płakał. Nie miało nawet znaczenia, kiedy wyrwano ich z objęć rodziny. To miejsce było niczym długa lista żałoby i bezsensownego bólu. Potrzebne były serce z kamienia i silne nerwy, aby ustalić dane ofiar, aby dowiedzieć się, kim był chłopiec, który na swoje nieszczęście przypominał Michelangela Merisiego, zwanego Caravaggiem. Tymczasem ten stary psychopata opowiadał o nich, jakby stanowili elementy zabawnej układanki.

– Te dzieci miały imiona i szczęśliwe życie. – Wymawiał słowa powoli, żeby nie zagryźć warg i nie okazać gniewu. – Pewnie nic cię to nie obchodzi, ale i tak ci powiem, że ten, którego głaszczesz po głowie, nazywał się Andrea Venturi. Jego ojciec został bestialsko zamordowany przez twojego przyjaciela Lucę Sileriego...

Zernich nie zmieszał się ani trochę, nie oderwał też wzroku od twarzy chłopca.

– Wiem, że jest pan przygotowany, Costa. Nie mam co do tego wątpliwości. Szczerze mówiąc, nazwiska niewiele mnie obchodzą, chociaż rozumiem, że pan musi aktualizować listę... jak się to fachowo nazywa... listę ofiar.

– To były tylko niewinne dzieci... – szepnął inspektor.

Zernich po raz pierwszy podniósł na niego wzrok. Pewnie zdenerwował się, że policjant nie pozwala mu się koncentrować na swoim dziele, bo jego głos zabrzmiał znacznie ostrzej.

– Co chce mi pan powiedzieć?

– Tylko tyle, że to twój koniec.

– To znaczy, że już pan zdecydował, co się stanie? I ma pan pewność, jak to wszystko się skończy?

– Nie, nie wiem, co się jeszcze wydarzy... Wiem tylko, że zapłacisz za każdą przelaną łzę.

– Teraz, jak mniemam, powinienem się przestraszyć?

Costa obojętnie potrząsnął głową.

– Myśl sobie, co chcesz. Jesteś zwykłym mordercą, chociaż pewnie uważasz się za artystę eksperymentującego ze śmiercią...

Zernich pogłaskał podłokietnik fotela.

– Niech mnie pan nie traktuje jak głupca lub bezmyślnego wariata. – Spojrzał mu w oczy i Costa dostrzegł w jego wzroku tę samą pustkę, która wypełniała spojrzenie Sileriego tuż przed śmiercią. – Nie jestem jednym z tych czarno-białych portretów wiszących na komendzie, z którymi zwykł pan się zadawać. Ja jestem ulepiony z całkiem innej gliny. Podobnie jak dzieła sztuki, które prezentuję.

– Jakie dzieła sztuki?! Przecież to byli ludzie!

– Tak, dzieci, młodzi, starzy... I tacy pozostaną już na wieki. Nie dostrzega pan energii, którą emanują ich ciała? Nie rozumie pan, że wyzwoliłem ich od obawy przed śmiercią i sprawiłem, że stali się o wiele bardziej żywi niż kiedykolwiek? Wie pan, dlaczego wybrałem Caravaggia?

Costa nie zdążył odpowiedzieć.

Uśmiech Zernicha podkreśliło światło padające z ukosa.

– *Biorę w posiadanie ciała i przedmioty i maluję je, aby zapamiętać na zawsze tajemnicę rządzącą równowagą świata... a w mojej duszy brzmi przedwieczny dźwięk, który zbliża mnie do Boga...* Te dzieci, te dziewczyny, których nie zdołał pan ocalić, nawet ten staruszek, który przedstawia Świętego Hieronima, wszyscy oni zyskali wyjątkową okazję... Mogli zbliżyć się do Boga. Powinni być mi za to wdzięczni.

– Jesteś tylko szalonym mordercą, tak samo jak Sileri.

– Nie! – Zernich ze złością machnął ręką. – Dlaczego upiera się pan, by nas porównywać? Nieszczęsny Luca był dziką bestią, brutalną i impulsywną... Nie miał pojęcia, jaka odpowiedzialność na nim spoczywa, ani nie rozumiał sensu tego, co tworzymy.

Costa zdał sobie sprawę, że opuścił nieco rękę, w której trzymał pistolet, i to nie tylko z powodu bólu zadanego przez Altieriego. Zmęczenie, odraza i magnetyczny głos Zernicha rozpraszają jego uwagę. Z wysiłkiem ponownie wycelował berettę prosto w przeciwnika i zauważył, że Zernich poruszył się niespokojnie na swoim miejscu. Błysk strachu w oczach starca, trwający zaledwie chwilę, dodał Fabiowi sił.

Wszystkie te farmazony na nic się zdały, kiedy śmierć zajrzała mu w oczy. Bał się tak samo jak każdy.

– Sileri wykonywał twoje rozkazy, taka jest prawda – powiedział zmęczonym głosem. – Obaj jesteście potworami. Jesteście tacy sami...

W pewnym momencie starzec przestał bawić się włosami Andrei i Costa zauważył, że ułożenie ciała dziecka odbiega od normy w porównaniu z innymi modelami. Zdał sobie sprawę, że zarówno on, jak i Salvatore Esposito poddani zostali plastynacji w przyspieszonym tempie, a ukończenie całego procesu balsamacji zwłok przy użyciu silikonu wymagało dodatkowych zabiegów oraz czasu. Z odrazą spostrzegł, że ciało Andrei wciąż znajdowało się w fazie rozkładu, co wcale nie przeszkadzało Zernichowi, wręcz przeciwnie, mężczyzna sprawiał wrażenie zadowolonego z możliwości obcowania z gnijącymi trupami.

– Nie potrafi pan rozdzielić narzędzia i artysty, który go używa – podjął rozdrażnionym tonem starzec. – A nawet jeszcze gorzej. Dostrzega pan jedynie pędzel, a nie zauważa tworzonych za jego pomocą obrazów. Nie widzi pan całokształtu dzieła. Rozczarowuje mnie pana nastawienie. Obraża mnie pan. Szczerze mówiąc, obraża mnie pański brak szacunku... Tymczasem ja staram się panu wytłumaczyć...

Fabio wiedział, że ma do czynienia z szaleńcem, z którym nie warto dyskutować. Instynkt policjanta i nagromadzona złość, którą kontrolował od dłuższego czasu, podpowiadały mu, że powinien zabić niebezpiecznego, perfidnego potwora, bo i tak nie wydobędzie z niego żadnych nowych informacji. Ciągle jednak tliła się w nim nadzieja, że jeśli utrzyma gniew na wodzy, uda mu się dowiedzieć czegoś o losie Valentyny.

– Czy naprawdę tak trudno to zaakceptować? – ciągnął Zernich, a jego ton przybrał szczerą, czystą barwę. – Odpowiadając na pana pytanie, powiem tak: oczywiście, że nie mogłem sam zrealizować tak wspaniałego projektu. Czy Sileri był tylko narzędziem? Nie, byłbym niewdzięczny, gdybym go tak nazwał. Tkwiła w nim iskra geniuszu, którą ja potrafiłem z niego wykrzesać i wykorzystać w wyższym celu. Dzieła sztuki, które ma pan okazję oglądać, nie byłyby tak doskonałe, gdyby nie on i jego zdolności w dziedzinie chemii. Należało dać mu szansę i ja to uczyniłem. Sam niczego by nie osiągnął. Zabijałby przypadkowe osoby, aby zaspokoić swe żądze, bez żadnego celu, bez żadnej wizji. I na końcu swojej prymitywnej kariery bez wątpienia zostałby złapany i osądzony.

– Albo zlikwidowany.

Zernich nie skomentował ostatniego stwierdzenia. Jego kościste palce ponownie zaczęły przesuwac się po szyi i po ramieniu zabalsamowanego ciała chłopca. Rzeźba

wykonana z ludzkiego ciała zachwiała się niebezpiecznie, jakby zaraz miała runąć na podłogę i rozpaść się na kawałki.

– Ja wskazałem mu cel – nie ustępował Zernich. – Nadałem sens ich życiu. – Zakreślił dłonią krąg obejmujący wszystkie ofiary. – Zmieniłem ich los i uwieczniłem wizerunki w dziełach sztuki.

– Naprawdę? – warknął Costa. – Naprawdę wierzysz w te brednie? Uważasz, że te nieszczęsne ciała to dzieła sztuki? Sądzisz, że sztuka polega na wykorzystaniu trupów i zamianie ich w bezwładne manekiny, które po ustrojeniu będą zaspokajać niekontrolowane żądze psychopatów? Tu jest tylko śmierć, Zernich. Śmierć i rozkład. Nie widzisz tego? Szukasz pretekstów dla usprawiedliwienia swojej krwawej chęci sprawiania bólu i cierpienia. Jesteś potworem, bo nie masz nawet wyrzutów sumienia. Jednym z wielu, które spotkałem i które teraz gniją w celach z oknami tak małymi, że nie mogą nawet wyjrzeć na zewnątrz.

Kiedy Zernich odpowiedział, w jego głosie ponownie zabrzmiała irytacja.

– Nie możesz być aż tak głupi, żeby nie rozumieć, że sztuka jest władzą! Absolutną władzą nad życiem... i nad jego drugą odsłoną, czyli śmiercią. Sztuka znajduje się ponad wszystkim i ponad wszystkimi. Myślisz, że Caravaggio miał skrupuły, kiedy mordował swoich przeciwników w rzymskich zaułkach? Sądzisz, że litował się nad nimi, tworząc arcydzieła, które ciągle podziwiamy? – Uśmiechnął się, lekko zdyszany, gdyż ostatnie zdania wypowiedział z nietypowym dla siebie zapałem. – Może twoja znajoma Valentina byłaby w stanie mnie zrozumieć? Może potraktowałaby mnie i moje dzieła z większym szacunkiem?

Costa poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach. Gotująca się w nim złość ucichła w jednej chwili. Miał wrażenie, jakby znalazł się na środku ogromnego czarnego i nieruchomego oceanu w oczekiwaniu na wysoką falę, która pochłonie wszystko w mgnieniu oka.

– Powiedz mi, gdzie jest Valentina – wyszeptał w końcu.

Zernich skrzywił się nieładnie.

– Ja próbuję ci wyjaśnić, czym jest prawdziwa sztuka, a ciebie interesuje tylko los twojej przyjaciółki?

– Co się z nią stało?

Starzec odprężył się całkowicie i teraz wyglądał na zupełnie szczęśliwego.

– Valentina Medici – powiedział, rozkoszując się dźwiękiem jej imienia. – Piękna kobieta. Miałem okazję ją poznać... nawet dość dobrze, chociaż w niezbyt przyjemnych okolicznościach. Wykorzystałem swoją szansę... Uznała mnie za sympatycznego staruszka, wyobrażasz sobie?

– Powiedz mi, gdzie ona jest – powtórzył ponownie spokojnym, zmęczonym głosem, starając się ukryć ogarniające go przerażenie. – Jak mi powiesz, pozwolę ci odejść.

Nie blefował. Naprawdę dałby mu uciec, gdyby w ten sposób mógł ocalić Valentineę.

– Jak to? Nie jesteś ciekaw, co jeszcze zrobiłem? Nie chcesz się dowiedzieć czegoś więcej o moich współpracownikach? Nie masz żadnych dociekliwych pytań, nie chcesz wiedzieć, kto mi pomaga, nie szukasz dowodów? Tylko ona cię interesuje? Wystarczy, że ci powiem, gdzie jest Valentina, i zapewnię, że jest cała i zdrowa...

– Tak.

– Przecież sam powiedziałaś, że jestem zwykłym mordercą. Teraz się zastanawiasz, co mogłem z nią zrobić. A jeśli ją zabiłem albo kazałem ją zabić, to co? Też chciałbyś to wiedzieć?

Z suchych ust Fabia wydobył się jeden cichy dźwięk.

– Tak.

– Ty naprawdę chcesz ją ocalić. Nie tak jak tamtą wcześniej... jak ona się nazywała? A tak, Diana. Diana Marini była twoją pierwszą ofiarą, prawda?

Fabio zauważył, że robi mu się ciemno przed oczami. Poczucił się jak w pułapce. Może to tylko koszmar. Imię Diany w ustach Zernicha.

– Zdziwiony? – rzucił starzec zaczepnym tonem. – Ja też lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia. No i moi ludzie mnie informują. Już dawno chciałem cię poznać, Fabio. Chciałbym cię zrozumieć. Nie dziwi mnie, że tak ci zależy na Valentine... Ona przypomina ci Dianę, prawda?

– Lepiej nic już nie mów...

– A dlaczego? Prawda w oczy kole? Przecież twoja praca polega właśnie na poszukiwaniu i odkrywaniu prawdy, niezależnie od tego, czy ci się ona podoba, czy nie.

– Zamknij się!

– Chcesz się dowiedzieć, co się stało z Valentineą? Mam ci powiedzieć, czy kazałem poddać ją plastynacji? – Uśmiechnął się szeroko, pokazując doskonale równe zęby. Usta ułożył w pełen zadowolenia grymas. Nie zamierzał ukrywać satysfakcji. – Valentina była naprawdę piękna. Rzekłbym anielska. Powiedziałem jej to, kiedy się spotkaliśmy. Swą urodą przypominała mi postaci z obrazów wielkich mistrzów z epoki przed Rafaelem. Postawiłbym na przykład na pędzel Dantego Gabriela Rossettiego, ale skoro wybrałem Caravaggia, to proponuję skoncentrować się na jego dziełach.

Była piękna, dlaczego użył czasu przeszłego? – zaniepokoił się Fabio.

– Bo tak naprawdę chodzi jedynie o wybór.

Costa nacisnął palcem wskazującym spust, jeszcze chwila i pistolet wystrzelił i zmiecie bestię raz na zawsze z powierzchni ziemi.

Zaskoczył go krzyk dobiegający skądś z tyłu. Czas znowu ruszył do przodu. Odwrócił się instynktownie.

Rozległy się trzy wystrzały, jeden po drugim, a błysk rozdarł półmrok panujący w podziemiu. Przez moment zrobiło się jaśniej, a huk częściowo zagłuszył krzyk bólu. Costa rozpoznał głos Piovesana, ale nie zdążył zareagować, bo ostrze ciekłego ognia przeszło go od pleców przez pierś. Padł na kolana, a odgłos uderzających o podłogę kości zaskoczył go bardziej niż otrzymany przed chwilą cios.

Na szczęście Fabio do końca zachował przytomność. Jego instynkt zadziałał i nakazał mu rzucić się nieco dalej. Przetoczył się na drugi bok i odwracając się, wystrzelił na oślep dwa razy.

Niestety Zernich już zdążył wykorzystać sytuację. Po tym, jak ugodził Costę nożem, uciekł znacznie szybciej, niż wskazywałyby na to jego wiek i kondycja fizyczna. Pewnie wcześniej ukrył sztylet lub nóż pod szerokim płaszczem i skorzystał z niego, jak tylko policjant spuścił go z oczu.

Tymczasem Fabio próbował ocenić własną ranę. Nie wyglądała na śmiertelną, ale mógł być po prostu w szoku, więc nie czuł bólu i zdołał zachować czujność. Ciepła krew wsiąkała w koszulę i kurtkę na wysokości łopatki. Zacisnął zęby, modląc się w duchu, by nie zemdleć.

Powoli stanął na nogach, a chociaż w głowie mu szumiało i zatoczył się niebezpiecznie, to jednak udało mu się zachować równowagę. Zdawał sobie sprawę, że powinien ruszyć w pogoń za Zernichem, który nie mógł być daleko. Nie wiedział tylko, czy mężczyzna jest sam, czy też może liczyć na pomoc kogoś, kto wcześniej zaskoczył Piovesana.

W pobliżu schodów, gdzie zostawił kolegę na straży, w panującym półmroku nie było widać żadnego poruszenia, a jedynie lekką błękitną mgiełkę po wystrzałach oddanych przez chłopaka. Gabriele został zaatakowany, ale Costa miał nadzieję, że przeżył, ponieważ w tym momencie nie mógł mu pomóc.

Ciemne trzewia budynku pochłonęły starego szaleńca, zapewniając mu schronienie. Liczne drzwi prowadzące w głąb i w dół oraz znane mordercy przejścia i korytarze dawały mu wyraźną przewagę.

Costa zanurzył się we wrogie ciemności, by dopaść Federica Zernicha.

I żeby go zabić.

Znowu zaczął padać śnieg. Musiał przyznać rację młodszemu koledze: wynajęty samochód był naprawdę w opłakanym stanie. Nie dość, że ogrzewanie nie działało, to jeszcze zimne podmuchy wpadały do środka przez wszystkie możliwe szczeliny. Czekał już tylko, aż płatki śniegu zaczną wirować we wnętrzu auta. Znalazłszy się w tak niesprzyjających warunkach, Loris Manna pomyślał z obawą, że przyjdzie mu zamarznąć na śmierć.

Minęły prawie dwie godziny od momentu, gdy zdołał przekonać dyrektora Falcone, aby uruchomił machinę pomocy. Musiał użyć gróźb i pochlebstw, żeby szef w końcu zrozumiał, że sprawa jest pilna i bardzo poważna. Należało jednak przyznać, że kiedy Falcone przystąpił do działania, umiał wytoczyć najcięższe działa. Rozkazał mu, by nigdzie się nie ruszał, i już po chwili oddzwonił, żeby poinformować, że grupa specjalna rusza do akcji. Wystarczyło na nich poczekać i wskazać im miejsce interwencji.

Pomoc miała nadejść lada moment. Helikopter z ludźmi z oddziału jednostki specjalnej wystartował z Rzymu, a z Wenecji wyruszyła specjalna grupa operacyjna. Należało jedynie uzbroidź się w cierpliwość oraz w nadzieję i czekać, starając się nie zmarznąć na kość.

Loris czuł, że wytrzyma jeszcze trochę, po czym ruszy do akcji. Męczyła go myśl, że zostawił kolegów samych na pastwę losu.

Po tym, jak zadzwonił do dyrektora i przekonał go, że w opuszczonym górskim budynku w sercu Dolomitów dzieje się coś niedobrego, natychmiast wrócił do punktu wyjścia. Zatrzymał dacie sandero u wylotu szosy prowadzącej do dawnego sanatorium Świętego Andrzeja, tam gdzie komórka jeszcze odbierała sygnał. Siedział za kierownicą i szcząkał zębami. Serce kazało mu ruszać natychmiast na pomoc kolegom, a głowa radziła poczekać na wsparcie sił specjalnych. Taki właśnie był plan Costy. Żadnych pochopnych, ryzykownych kroków.

Czas mijał, a w umyśle Lorisa rodziły się coraz gorsze scenariusze. Costa to stary wyga i na pewno sobie poradzi, ale Piovesan jest młody i niedoświadczony, a wewnątrz tego architektonicznego labiryntu mogą kryć się niebezpieczeństwa, o jakich im się nie śniło. Zernich i Altieri byli zaś pozbawionymi skrupułów psychopatami, którzy pokazali już, do czego są zdolni.

Po dwóch godzinach oczekiwania Loris zdecydował, że najwyższy czas przystąpić do akcji. Zostawił samochód z włączonym silnikiem i światłami na skraju drogi jako

sygnał dla kolegów, którzy pewnie niedługo przybędą na miejsce, po czym wysłał wiadomość do Falconego, że zamierza pomóc kolegom. Ruszył tą samą szosą, którą kilka godzin wcześniej przemierzał z Costą i Piovesanem. Ciemna, ponura noc sprawiała, że otoczenie wydawało mu się jeszcze mroczniejsze i pełne pułapek.

Pokonał zaledwie sto metrów, zaciskając usta, żeby nie nałykać się mroźnego powietrza, które wirowało dookoła z nieznośnym świstem, i wtedy zalał go snop jasnego światła reflektorów, sprawiając, że poczuł się nagi i bezbronny. Instynktownie rzucił się w bok, by wylądować na kopcu świeżego, zmarzniętego śniegu, a porsche cayenne Altieriego poślizgiem przemknęło obok i zniknęło za zakrętem. Drobinę lodu poruszone przez koła samochodu spadły na Lorisa niczym niespodziewana ulewa. Serce zaczęło mu gwałtowniej bić. Nie zauważył, kto siedział za kierownicą sportowej maszyny, lecz nagła ucieczka nie zapowiadała niczego dobrego. Nie mógł zawiadomić kolegów i poprosić, by zatrzymali auto, ponieważ jego komórka znów nie łąpała zasięgu. Ewentualnie mógłby wrócić do dacji zaparkowanej na drodze powiatowej, ale nie miał szans, aby takim wrakiem dogonić szybki wóz Altieriego.

Poza tym Fabio i Gabriele ciągle czekali na jego pomoc.

Niezdarnie zaczął biec w stronę budynku sanatorium, a w głowie kołatały mu się złowieszcze myśli.

Pierwszy strzał go zaskoczył, a dwa kolejne przeraziły. W niecce otoczonej skałami dolomitowymi, które w ciemnościach mogły uchodzić za hebanowe, w miejscu, gdzie wzniesiono szary budynek, huk wystrzałów najpierw się spotęgował, a zaraz potem rozproszył w oddali, powtarzany metalicznym echem.

Oddech uwiązał mu w piersiach. Skulony na śniegu odczekał jeszcze minutę w odległości dziesięciu metrów od wejścia, gdzie przystanął, by się zorientować, skąd dochodzą strzały. Przestraszył się jeszcze bardziej na widok land rovera zaparkowanego na placu przed głównym wejściem do budynku. Drzwi od strony kierowcy były szeroko otwarte, jakby komuś zabrakło czasu, by je zamknąć. Pewnie coś, co działo się wewnątrz budynku, zwróciło uwagę kierowcy. Na przykład nieproszeni goście, których należało się bezzwłocznie pozbyć. Bez odpowiedzi pozostawało też pytanie, kto uciekał na złamanie karku samochodem Altieriego.

Spojrzał w stronę zakrętu, za którym w niewielkiej odległości biegła droga powiatowa. To stamtąd powinny nadjechać wozy grupy do zadań specjalnych. Na razie jednak nikogo nie było widać. Jeszcze za wcześnie.

Dlaczego zajmuje im to tak dużo czasu? W dodatku te strzały. Posłuchał głosu serca.

Na plecach za pasem nosił kaburę z berettą. Wyjął broń, odblokował magazynek i umieścił w lufie pierwszy z piętnastu naboju. Metaliczny dźwięk przypomniał mu dawne czasy, gdy jeszcze patrolował ulice, zanim usadowił się przy biurku za komputerem. Nawet już nie pamiętał, kiedy ostatnio trzymał w ręku pistolet z zamiarem użycia.

Teraz jednak nie miał wyboru.

Podbiegł do wejścia pochylony, chociaż zdawał sobie sprawę z niewielkiej użyteczności takiej postawy. W ciemnych, ślepych oknach znajdujących się ponad jego głową mógł się przecież czaić uzbrojony przeciwnik. Mimo zastosowania procedur szkoleniowych i tak był łatwym celem.

Na szczęście nikt do niego nie strzelał.

Po pokonaniu krótkiego odcinka w kopnym śniegu zauważył, że drzwi wejściowe do budynku są jedynie przymknięte. Z wnętrza nie dobiegały żadne dźwięki poza lekkim świstem wiatru, który wpadał przez szczelinę i swobodnie hulał pod sklepieniami.

Wycelował broń przed siebie, trzymając ją oburącz. Lufą popchnął jedno skrzydło drzwi, które otworzyły się na oścież.

Nagle uderzył go oślepiający blask. Położył palec wskazujący na spust, by po chwili zdać sobie sprawę, że źródło światła znajduje się za jego plecami.

Odwrócił się. Po śniegu ślizgały się cztery czarne dzipty bez żadnych oznaczeń, za to z otwartymi drzwiami, aby ułatwić szybką interwencję funkcjonariuszom z jednostki specjalnej. Silne lampy halogenowe umieszczone na dachach samochodów oświetlały fronton budynku, który w ich blasku wyglądał naprawdę upiornie. Na placu zrobiło się jasno jak w dzień.

Serce Manny zaczęło się uspokajać, a niepokój opuścił jego myśli. Dał kolegom znak, by się pospieszyli. I wtedy w budynku rozległ się powielony echem huk wystrzału. Jeden jedyny.

Nie zastanawiając się dłużej, wpadł do środka, a pozostali wtargnęli do świątyni Federica Zernicha kilka sekund później.

Podzielili się, aby sprawdzić każdy kąt, ale budynek był ogromny i wiedzieli, że zajmie im to sporo czasu. Szybko zdali sobie sprawę, że sanatorium Świętego Andrzeja w Molveno w większej części jest opuszczone i zaniedbane. Ci jednak, którzy dotarli na wyższe kondygnacje, widzieli komfortowo wyposażone pokoje gościnne, a na ostatnim piętrze w bocznej części odkryli salę kontrolną wyposażoną w monitory połączone z systemem kamer. Wszystko działało bez zakłóceń, lecz w pomieszczeniu nikogo nie było.

Na parterze znaleźli też całkowicie umeblowaną kuchnię oraz spiżarnię pełną artykułów żywnościowych i różnych zapasów, które pozwoliłyby przeżyć małej grupie osób przez co najmniej kilka tygodni. W jednej z sal zauważyli również telewizję satelitarną, stół bilardowy i dużą bibliotekę. Wszystko zostało starannie przygotowane na przyjęcie gości.

A potem na pierwszym piętrze natknęli się na ciała.

Loris Manna dotarł tam pierwszy. Miękkie światło lampy wystarczało, by nadać całej scenie odpowiednią oprawę. Na podłodze obok fotela leżał mężczyzna, który sprawiał wrażenie, jakby zasnął kamiennym snem i osunął się na dół. Oczy zapadnięte w tłustej, obwisłej twarzy miał szeroko otwarte, z wyrazem nieprzyjemnego zdziwienia. Jego szyty na miarę garnitur był przesiąknięty krwią do tego stopnia, że trudno było określić jego oryginalny kolor.

Drugi trup znajdował się znacznie bliżej wejścia i Manna od razu rozpoznał w nim Claudia Altieriego, pomimo że kula odsłoniła mu czaszkę.

Na widok zwłok niepokój, który ogarnął go w momencie, gdy w podziemnym królestwie Zernicha rozległy się strzały, zamiast ustąpić, odezwał się ze zdwojoną siłą. Skoro Costa i Piovesan zostali zmuszeni do zastrzelenia tych dwóch mężczyzn, to

sytuacja musiała być naprawdę poważna. Do kogo należała krew, której ślady pokrywały posadzkę w sporej odległości od leżących trupów?

Nie miał czasu na rozważania, bo ze szczytu schodów dobiegło wołanie. Po chwili do pokoju zajrzał policjant w czarnym kombinezonie i kominiarce na twarzy.

– Panie inspektorze, moi koledzy kogoś znaleźli – powiedział.

Funkcjonariusz policji państwowej Gabriele Piovesan czekał na kolegów z uniesionymi wysoko rękami, chociaż znajdował się w dość poważnym stanie. Na karku wykwitł mu wielki krwiał, stracił dużo krwi i twierdził, że zemdlał i jakiś czas był nieprzytomny, ale ogólnie nie najgorzej się trzymał.

Kiedy Manna wszedł do sali, chłopak siedział na podłodze, opierając się plecami o ścianę, i odpowiadał na pytania lekarza policyjnego, który brał udział w operacji. Na widok wchodzącego kolegi zerwał się na równe nogi i mimo protestów medyka z grymasem bólu na twarzy podszedł i objął Lorisa. Inspektor poczuł, że chłopak z trudem powstrzymuje łkanie.

– Costa jest na dole – wyjąkał. – Miałem go osłaniać, ale nie podołałem... Ktoś zaatakował mnie od tyłu. Upadłem, ale zanim zemdlałem, zauważyłem uciekający cień... i strzeliłem jeszcze raz. O mój Boże, Loris, ja już więcej nie chcę strzelać do ludzi. Nie chcę nikogo zabijać... – Wybuchnął płaczem i Manna, nie wiedząc, jak zareagować, pozwolił mu się wypłakać. Później będzie czas na zadawanie pytań. Teraz muszą jak najszybciej odnaleźć Fabia w podziemiach sanatorium.

Poleciwszy lekarzowi opiekę nad kolegą, ruszył na spotkanie koszmaru stworzonego przez Zernicha.

Przed nim i przed funkcjonariuszami sprawdzającymi podziemia z bronią gotową do strzału otworzył się piekielny widok, którego Manna już się spodziewał. Metr po metrze, pomieszczenie po pomieszczeniu w krzyżowym ogniu halogenowych latarek policjanci odkrywali muzeum horroru urządzone przez starego Zernicha. I już wiedzieli, że te sceny będą powracać do nich w koszmarach sennych przez resztę życia.

Loris szedł dalej i w miarę jak ciemność ustępowała miejsca przestrzeniom oświetlonym kolorowymi światłami, ukazując mrozącą krew w żyłach zawartość kolejnych pomieszczeń, jego umysł popadał w odrętwienie. Jakby samoczynnie włączył się mechanizm obronny pomiędzy synapsami mózgu, pozwalając mu nie dopuszczać do świadomości tego, co oglądały oczy. Przecież to nigdy nie byli żywi ludzie, a jedynie groteskowe kukły imitujące sceny skradzione genialnemu artyście sprzed czterech wieków. To nie mogli być żywi ludzie, więc nie należało się przejmować. Nie dostrzegał śladu człowieczeństwa w ich szklanych oczach, w upozowanych ciałach, w nienaturalnym ułożeniu ich członków. To tylko gra. Niezrozumiała fikcja. Luca Sileri, Claudio Altieri, Federico Zernich byli zwykłymi,

choć zręcznymi oszustami. Przecież nikt na świecie nie byłby w stanie wymyślić podobnych potworności. A on będzie mógł spać spokojnie.

Wreszcie wszedł do ostatniego pokoju. Tymczasem podążający za nim ludzie z jednostki specjalnej zatrzymali się na korytarzu. Ci, którzy na co dzień stykali się z okrucieństwem i niebezpieczeństwem, byli psychicznie wyczerpani i sparaliżowani horrorem, który tu zobaczyli.

Costa siedział na podłodze tak samo jak Piovesan. Plecy i głowę opierał o ścianę łuszczącą się od wilgoci i pokrytą pleśnią. Nogi wyciągnął przed siebie, a jego twarz znaczyły rany i świeża krew. W głębi pomieszczenia znajdowało się laboratorium, z którego wyszły te wszystkie koszmarnie inscenizacje. Właśnie tego szukali. Były tam metalowe wanny, instrumenty chirurgiczne i połączone ze sobą rurki. Wszędzie unosił się ciężki zapach substancji chemicznych. Na stalowych powierzchniach stołów widać było spłowiałe plamy, takie same jak w salach operacyjnych lub w pomieszczeniach, gdzie wykonywano sekcje zwłok.

W sali był też Zernich. Siedział naprzeciw policjanta na metalowym krześle. Prawdopodobnie ze względu na zaawansowany wiek nie rozłożył się na podłodze, jak zrobił to Costa. Zresztą nie miało to już żadnego znaczenia, bo starzec nie żył. Pozbawione blasku oczy wpatrywały się w pustkę, a powiększająca się plama krwi w okolicy serca nie pozostawiała wątpliwości.

Pistolet leżał na podłodze pomiędzy Fabiem a ciałem Zernicha. Manna odsunął go delikatnie stopą. Odruch warunkowy każdego gliniarza, chociaż Zernich nie mógł już sięgnąć po broń i użyć jej przeciwko nim. Loris zauważył też, że pistolet ma odblokowany kurek. Wystarczyłby lekki nacisk, by rozległ się kolejny strzał.

Bez słowa pochylił się nad Costą.

Jego oczy zdawały się niczego nie widzieć, a może po prostu wpatrywały się w odległy horyzont, gdzieś daleko stąd. Obserwując przez chwilę bezwładne, nieruchome ciało kolegi, Manna zrozumiał, że Zernich zdołał zrealizować swój doskonały, okrutny projekt. Podobnie jak poddane plastynacji liczne ofiary zdobiące to muzeum śmierci, tak samo skamieniały wzrok Fabia Costy świadczył o triumfie chorobliwej woli mordercy. Fabio sprawiał wrażenie, jakby za życia zmienił się w jeden z twórców Zernicha. Dzieło sztuki z krwi, kości i mięśni wypełnione rozpaczą. Teraz mieli wszystko na wyciągnięcie ręki. Trupa Zernicha i przerażające sceny będące parodią śmierci. I żadnego śladu Valentyny.

Oto czym wypełnione były szeroko otwarte oczy Costy: jej nieobecnością. Wyzierała z nich świadomość, że stracił również ją. Na zawsze.

Manna patrzył na przyjaciela, ale nie mógł pojąć uczuć kryjących się za jego pustym spojrzeniem.

W końcu pomieszczenie wypełniło się ludźmi. Ktoś wydawał rozkazy. I udzielono Fabiowi pomocy medycznej.

Kiedy opuszczali budynek, śnieg przestał padać, a zimny, typowy w tych stronach świt sprawiał, że wszystko stawało się jaśniejsze i wyraźniejsze.

Cienie z piekła

Trzeba tylko dokonać wyboru.

Akcent o lekkiej, muzycznej nucie, przyjemny głos.

Co teraz zrobisz, Fabio?

Federico Zernich uśmiechał się do niego wyzywająco.

Hałas. Obcasy uderzające w podłogę w hipnotyzującym rytmie. Skrzypienie kółek wózka. Drżenie szyb w oknach.

Ostry chłód gładzi go po policzkach, obwieszczając ważną nowinę, że żyje. Ból przenika każde włókno jego ciała i to też jest dowód, że jednak żyje.

Costa otwiera oczy i widzi biel, która może być jedynie sufitem w szpitalnym pokoju. Po lewej dostrzega albo raczej wyczuwa stojak z kroplówką, a po drugiej stronie okno, przez które wpada zimne powietrze.

Unosi głowę. Tak, to sala szpitalna, mała, ale dobrze wyposażona. Jest jedynym pacjentem. Pielęgniarka przygląda mu się cierpliwie, ma kasztanowe kręcone włosy wymykające się spod bawełnianego czepka.

– Gdzie... – próbuje zapytać Fabio.

– W szpitalu Świętego Kamila w Trento – odpowiada natychmiast kobieta, jakby tylko czekała na to pytanie. – Oddział chirurgii ogólnej. Otworzyłam okno, żeby tu trochę wywietrzyć. Nie ma pan nic przeciwko?

– Nie mam nic przeciwko.

Powiew mroźnego powietrza przypomina mu ostatnie godziny. Śnieg w górach w pobliżu sanatorium Świętego Andrzeja. Lodowatą atmosferę panującą w królestwie Federica Zernicha.

Wszystko jest tylko kwestią wyboru – powtarza głos starca w głowie. Jakiego wyboru? Pielęgniarka sprawdza kroplówkę.

– Teraz, gdy się pan obudził, mogę panu podać środki przeciwbólowe.

Propozycja potęguje poczucie bólu, który przenika jego ciało. W głowie mu szumi, twarz ma nabrzmiałą, a przeszywające rwanie szturmują plecy. Ciągłe czuje na ciele wściekłość Altieriego i wymierzanych razów, potem przypomina sobie pchnięcie, które zadał mu Zernich, jak tylko odwrócił się do niego plecami. Nie wyglądało to na nic poważnego, ale bolało jak diabli.

– Na razie nie chcę środków przeciwbólowych – powiedział. – Która jest godzina?

– Prawie południe. Spał pan sześć godzin, według mnie to jednak za mało. Zszyto i opatrzone panu rany, ale musi pan poczekać na lekarza, żeby się dowiedzieć

szczegółów. A doktor nie pojawi się przed wieczorem.

Na białej ścianie na wprost łóżka wisiał zegar i wskazywał godzinę dwunastą w południe. Koledzy wyciągnęli go z piekła sanatorium w Molveno bladym świtem. Nic innego nie pamiętał. Sześć godzin nieświadomości to zdecydowanie zbyt długo. Sześć straconych godzin, sześć godzin mniej, by dowiedzieć się, gdzie jest Valentina. I czy istnieje jeszcze szansa, by odnaleźć ją żywą.

Albo przynajmniej odkryć, gdzie znajduje się jej ciało.

Właśnie ta uporczywa myśl sprawiła, że w końcu odzyskał przytomność. Niepokój wywołany ostatnimi słowami Zernicha oraz koszmarami dręczącymi go w czasie niespokojnego snu. Przekonanie, że Valentina została zamordowana, a jej uroda zniszczona w celu stworzenia jednej z tych okropnych scen, które stary psychopata nazywał dziełami sztuki. A jednocześnie nieuzasadniona nadzieja, że ma jeszcze jakąś możliwość, aby ją ocalić.

Umieścimy ją w jednym z dzieł Caravaggia.

Również dla niej znajdzie się tam miejsce.

Trzeba tylko dokonać wyboru.

Costa nie rozumiał, o jaki wybór chodzi. I postanowił, że nie chce wiedzieć. Jego broń wymierzyła sprawiedliwość Federicowi Zernichowi, a tym samym odebrała mu nadzieję na odnalezienie Valentiny.

Kiedy Loris stanął w drzwiach, Fabio zrozumiał, że przyjaciel też miał niełatwą noc. Śladów widocznych na jego twarzy nie sposób było przypisać jedynie zmęczeniu. Podszedł do łóżka i usiadł na krześle tak ciężko, jakby miał za chwilę zemdleć. Przypominał teraz starego człowieka.

Uśmiechnął się, chociaż w tym grymasie nie było ani odrobiny radości. Fabio jednak docenił starania.

– Jak zacznę zwyczajowo od tego, jak się czujesz, to nie będzie zbyt mądre pytanie – zagaił inspektor.

– Myślałem, że kiepsko ze mną, ale potem zobaczyłem ciebie...

Loris rozszerzył swój smutny uśmiech, po czym pokiwał głową.

– Cieszę się, że zachowałeś szczyptę ironii. Przyda ci się.

Przez chwilę trwali w milczeniu. Pielęgniarka z niesfornymi lokami weszła do pokoju, piorunując Lorisą wzrokiem.

– Wiem, wiem – zaczął się usprawiedliwiać, nie czekając na zarzuty. – Dostałem pozwolenie od lekarza w zamian za obietnicę, że wystarczy mi pięć minut.

– Ani minuty dłużej – oświadczyła kobieta, po czym zauważywszy jego wyczerpaną twarz, dodała: – Pan też jest z policji? Czy ubiegłej nocy był pan... tam w górach?

W odpowiedzi Loris powoli opuścił głowę, a pielęgniarce musiało to wystarczyć, bo wyszła bez słowa. Wiadomości o tym, co wydarzyło się w sanatorium Świętego Andrzeja, już się rozeszły. O tym, co znaleziono w opuszczonym budynku. O ciałach. O koszmarnej wystawie. O śmierci odpowiedzialnego za wszystko człowieka.

Kiedy kobieta zamknęła za sobą drzwi, Loris się ożywił.

– Naprawdę mam tylko pięć minut, a musimy sobie dużo powiedzieć.

Fabio nie uniósł głowy z poduszki. On też był potwornie zmęczony, chociaż próbował się trzymać. W jednym zgadzał się z pielęgniarką: pięć minut to bardzo długo.

– Przecież byliście na miejscu i widzieliście to samo co ja – odezwał się. – Nie sądzę, żeby było zbyt wiele do dodania.

– Wiesz dobrze, że to tak nie działa. Na razie lekarze wzniesli wokół ciebie coś na kształt żelaznej kurtyny. To cud, że pozwolili mi wejść. Ale już niedługo pojawi się tu sztab generalny w gotowości bojowej i nikt ci nie pomoże. Będziesz musiał odpowiadać na setki pytań. Prokuratura żąda natychmiastowych wyjaśnień, z Rzymu

z centrali przyjechały grube ryby... nie wspominając już o tym, co wyprawiają środki masowego przekazu.

Fabio przymknął oczy.

– Niech sobie gadają. Stało się to, co się musiało stać.

Wiedział jednak, co przyjaciel ma na myśli. Śledztwo nie zostało zakończone, a przełożeni będą chcieli uzyskać szczegółowe wyjaśnienia, w jaki sposób doszło do zabicia Zernicha i Altieriego. Dlaczego policjanci zdecydowali się na użycie broni ze skutkiem śmiertelnym, zamiast przekazać podejrzanych wymiarowi sprawiedliwości. Za śmierć Altieriego i Niemca będą się znęcać nad nieszczęsnym Gabrielem Piovesanem, lecz za Zernicha Costa sam musi odpowiedzieć. Tak samo jak w przypadku śmierci Sileriego będą pytać, dlaczego nie próbował inaczej zakończyć całej sprawy. Dlaczego nie próbował aresztować sprawcy tych niewyobrażalnych przestępstw. Dlaczego nie poczekał na wsparcie, zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Gdyby chciał, mógłby odpowiedzieć. Wyjaśnić wszystko. To już jednak nie miało żadnego znaczenia. Na nic nie było już czasu.

– Lepiej powiedz mi, co nowego – zwrócił się do Lorisa. – Bo ja swojej wersji nie zmienię.

Loris zastanowił się przez chwilę.

– Wywracają cały budynek do góry nogami, sprawdzają kamień po kamieniu... i nie mogą się nadziwić, że ktoś mógł wpaść na tak makabryczny pomysł. – Spojrzał za okno.

Niebo pociemniało, a atmosfera w pokoju zgęstniała.

– Do tej pory znaleźli około dwudziestu ciał. Wszystkie poddano procesowi plastynacji tą samą techniką, a potem upozowano według szalonych pomysłów Zernicha i jego pomocników. Jedynie kilka ciał było jeszcze w fazie... przygotowywania. – Przy tych słowach głos mu się załamał. Wszystko ciągle wydawało mu się pozbawione sensu. – Znaleźli je w jednym z ukrytych pomieszczeń. Zwłoki ubrano już w stroje z siedemnastego wieku, ale jeszcze nie przytwierdzono ich do tych okropnych metalowych stelaży.

Fabio przypomniał sobie pokój, w którym Esther upozowana na Judytę obcina głowę nieszczęśnikowi przedstawiającemu, zgodnie z wyobrażeniami starego psychopaty, okrutnego Holofernesa. Na scenie brakowało starej służącej z kawałkiem płótna, oczekującej na głowę wojownika. Zernich z pewnością nie pozwoliłby na takie niedopatrzenie, więc zwłoki staruszki prawdopodobnie czekały na swój moment w ukrytej w podziemiach sali.

– Ta część budynku jest bardzo rozległa i trzeba trochę czasu, by ją dokładnie sprawdzić – ciągnął Loris. – Poza tym policja przeszukuje też mieszkania Altieriego i Zernicha. Wysłaliśmy patrole do wszystkich jego posiadłości. Już zebrano interesujący materiał dowodowy, a to dopiero początek. Szukają również Hannie Janssen.

No tak, opiekunka Zernicha była na pewno kimś więcej niż tylko pomocą domową, a jej obecność przy boku starca nie wyglądała na przypadkową.

– I co, udało się ją aresztować?

Loris skrzywił się, jakby poczuł nagle silny ból zębów.

– Nie, przepadła jak kamień w wodę. Wiesz co? Myślę, że ona także była w sanatorium. Pewnie uderzyła w głowę Piovesana, a potem uciekła nam sprzed nosa.

– Nie mamy co do tego pewności – powiedział Costa, chociaż sam też tak uważał.

– Ja mam. Kiedy wracałem na górę, zanim pojawiło się wsparcie, natknąłem się na pędzący samochód Altieriego. Gdybym nie uskoczył na czas, byłby mnie potrącił. Myślałem, że to Altieri siedzi za kierownicą, a tymczasem to była ona...

Fabio popatrzył na przyjaciela. Zapomniał, że Loris również bardzo zaangażował się w tę sprawę, ryzykując dla niego życie.

– Co o niej wiemy? – zapytał, próbując odsunąć od siebie piętrzące się wyrzuty sumienia.

– Jest Holenderką z Scheveningen, to dzielnica Hagi położona nad morzem. Wygląda na to, że nie jest notowana, chociaż jeszcze czekamy na informacje z Europolu. Kręciła się w pobliżu Zernicha od wielu lat i nigdy go na dłużej nie opuszczała. Była cieniem starego i spędzała z nim więcej czasu niż Altieri. Wygląda na to, że miała też ważne zadania do wykonania. W jednym z pokoi, które zajmowała w willi Zernicha, koledzy znaleźli komputer z oprogramowaniem używanym do analizy twarzy postaci z obrazów Caravaggia i wyszukiwania ich sobowtórów w sieci. Ktoś próbował skasować zawartość pamięci serwera, ale udało się odzyskać część danych. Poprosili mnie o pomoc i właśnie wybieram się z powrotem do Padwy. Czeka mnie sporo roboty. – Tak naprawdę cieszyła go myśl, że będzie mógł skupić się na pracy. Przecież w końcu to oni zainicjowali całe śledztwo i powinni je także zakończyć.

– To znaczy, że wreszcie znaleźliśmy bazę operacyjną, której szukała Valentina – mruknął Fabio i poczuł bolesne ukłucie w sercu.

– Właśnie tak – potwierdził Loris i zamilkł, bo nieobecność Valentiny ciążyła również jemu. – Niech to diabli, Fabio! – zezłościł się po chwili. – Z przekazanych informacji wynika, że ta kobieta żyła jak mniszka. W jej dwóch pokojach nie znaleziono żadnych książek, telewizora ani radia, nie było tam nic, co rozprasa

uwagę. Jedynie jednoosobowe łóżko, szafka pełna butelek z wodą mineralną oraz trzy dobre komputery połączone z Internetem, a w nich pliki zawierające zdjęcia setek osób z całego świata, których jedyną winę stanowi podobieństwo do postaci z obrazów Caravaggia. – Pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w te odkrycia. – Jest jeszcze dużo do zrobienia i trzeba sprawdzić tysiące plików, zanim będziemy mogli zamknąć tę sprawę.

– Szkoda, że Janssen się nam wymknęła – powtórzył Fabio, którego w tej chwili zupełnie nie interesowała zawartość plików. Po głowie krążyły mu bowiem zupełnie inne pytania.

– Wszędzie jej szukają. Na lotniskach, stacjach kolejowych... poinformowano też straż graniczną. Naprawdę trwa wielka obława. Prędzej czy później wpadnie. – Zamilkł na moment, po czym ożywił się ponownie. – No i jeszcze David Minetti rozpoczął w Stanach ostateczny etap akcji.

Loris wyjaśnił pokrótce, że jak tylko przekazano kolegom z FBI informacje o znalezisku w byłym sanatorium, Amerykanie zacisnęli sieć, którą od dłuższego czasu zarzucali na osoby utrzymujące w Darknecie kontakty z Altierim. Poza Stanami Zjednoczonymi zorganizowano obławy jeszcze w pięciu innych krajach. Aresztowano kilka osób i zarekwirowano dużo materiałów dowodowych w postaci zdjęć i filmów pornograficznych z udziałem dzieci oraz *snuff movies*. Okazało się, że organizacja, do której należał Zernich, wcale nie była wymysłem śledczych. Wszystko wskazywało na to, że naprawdę istnieje sieć nielegalnych powiązań pomiędzy ludźmi, którzy pasjonują się torturowaniem, a czasami także zabójstwami ze szczególnym okrucieństwem, i czerpią przyjemność z zadawania bliźnim cierpienia. Było jednak zbyt wcześnie, aby ocenić rozmiary i zasięg tej organizacji.

Na progu pokoju pojawiła się ta sama pielęgniarka. Chociaż się uśmiechała, to jej słowa nie zachęcały do dyskusji.

– Właśnie w tej chwili minęło pięć minut.

Loris potwierdził ruchem głowy, a kobieta mimo wszystko zostawiła ich samych.

– Mam jeszcze jedną informację – powiedział Loris, ścisząc głos. – To już teraz nie ma znaczenia, ale chciałbym, żebyś się dowiedział. Zernich był chory.

Fabio spojrzał na przyjaciela pytającym wzrokiem.

– Nie, nie chodzi mi o jego psychopatyczne skłonności – powiedział Manna – on naprawdę był śmiertelnie chory. Rak żołądka w ostatnim stadium. Musimy jeszcze porozmawiać z lekarzami, którzy go prowadzili, ale dokumenty znalezione w jego willi nie pozostawiają wątpliwości.

Fabio się zamyślił. Wiadomość z początku go zdziwiła, ale potem przyznał, że wszystko nabiera sensu. Wydarzenia ostatnich godzin i słowa Zernicha zaczęły

układać się w logiczną całość. Okrutna gra, w którą go wciągnął, stała się czytelniejsza.

Zresztą już poprzedniej nocy w jego głowie powstała pewna myśl, którą nie mógł się jednak podzielić z Lorisem. Przynajmniej nie od razu. Nagle poczuł przemożną chęć, by zostać w samotności.

Ale stojący obok łóżka przyjaciel nie ruszał się z miejsca. Widać było, że coś go dręczy, i w końcu przeważała konieczność uzyskania informacji.

– Fabio... czy kiedy z nim rozmawiałeś, powiedział ci coś o... Valentine?

Zadał mu to samo pytanie już wczesnym rankiem, kiedy wyszli z budynku sanatorium Świętego Andrzeja.

Costa siedział na noszach w głównym holu, a lekarz tamował krwotok na plecach, bandażując starannie ranę w oczekiwaniu na karetkę. Kiedy Loris wyłonił się wreszcie z podziemi i zbliżył do kolegi, udało im się zamienić zaledwie kilka słów.

– Nie umrę – zapewnił go szybko Fabio, po czym oparł się na jego ramieniu i szepnął: – Tylko proszę cię, zabierz mnie stąd.

I wtedy Manna przekonał kogoś do przetransportowania Costy do najbliższego szpitala bez czekania na pogotowie. Kiedy pomagał mu wsiąść do samochodu, w niebieskim blasku policyjnego koguta Manna znalazł wreszcie odwagę, by bezgłośnie wypowiedzieć wiadome imię.

Valentina.

Costa pokręcił głową.

I teraz też robił to samo. Nieznośna myśl o losach kobiety nie dawała mu spokoju.

– Gdybym zachował go przy życiu... – zaczęła i wyciągnąwszy dłoń, chwycił Loris za przegub. – Sądysz, że Zernich mógłby nas do niej doprowadzić? – zapytał. – Myślisz, że ona ciągle jest gdzieś uwięziona, a ja pogrzebałem ostatnią szansę, żeby ją odnaleźć?

Loris odpowiedział od razu, chociaż głos mu się wyraźnie łamał.

– Nie, Fabio. Nie wierzę, że ona jeszcze żyje. Wszyscy już stracili nadzieję.

– A jakie to ma znaczenie?

– Pewnie, że ma, bo od początku wiedzieliśmy, jak mało prawdopodobne jest, by Valentina... – Nie zdołał dokończyć zdania.

– Niczego tak naprawdę nie wiemy, a po śmierci Zernicha nie mamy szans, żeby poznać prawdę...

– Zabiłeś go w obronie własnej, jeśli to cię męczy. Przecież on wbił ci nóż w plecy.

– Zrobiłem to, co sobie zaplanowałem – przerwał zimno. – Zabiłem go, bo sobie na to zasłużył. Poszedłem za nim i kiedy wreszcie go dopadłem, wykonałem egzekucję.

Loris z niepokojem obejrzał się za siebie, w stronę otwartych drzwi.

- Na litość boską, Fabio! Co ty opowiadasz?! Gdyby ktoś cię usłyszał...
 - Mam to w dupie. Nic mnie to nie obchodzi. Chcę, żebyś odpowiedział na moje pytanie. Czy gdybym go nie zabił, powiedziałby nam, gdzie jest Valentina?
 - Nie wiem... - szepnął Loris.
 - Czy to ja zabiłem Valentine? Powiedz mi, Loris, czy to ja ją zabiłem?
- Loris nie odpowiedział, a pięć minut już dawno minęło.

Pytanie rozbrzmiewało w jego głowie, gryzło jego duszę.

Czy ja naprawdę zabiłem Valentine?

A potem jeszcze dosadniej.

Czy zabiłem ją, tak samo jak wcześniej Dianę? A Zernich o tym wiedział?

Na koniec kazał obiecać Lorisowi, że poruszy w centrali niebo i ziemię, aby przekonać przełożonych, że zniknięcie komisarz Medici wcale nie było dobrowolne. Postara się, żeby zaangażowali wszystkie siły i wyjaśnili, co się z nią stało. Przecież przynajmniej na to sobie zasłużyła.

Nawet jeśli to już niczego nie zmieni, bo Valentina nie żyje, nie może być inaczej. Zernich powiedział mu to prawie jednoznacznie.

Ona była naprawdę piękna. Przypominała postać z obrazów mistrzów z epoki przed Rafaelem.

A może wszystko źle zrozumiał? Ta niepewność go zabijała. Coś mu się nie zgadzało, coś go gryzło i drapało, coś go szarpało w środku. Jakaś myśl domagała się uwagi.

A jeśli Valentina...?

Nie. Nie może pozwolić, aby oszukała go złudna nadzieja.

Sam ją zabił. Zastrzelił Federica Zernicha i w ten sposób pozwolił mu wygrać tę przeklętą grę.

– Robi wrażenie, prawda?

Zernich znowu siedzi przed nim, skulony na metalowym krześle opartym o białą ścianę. W drżących rękach trzyma długi nóż, którym go zranił. Ostrze ciągle skierowane jest w niego, jakby morderca ponownie zamierzał go użyć. Między nimi stoi stół operacyjny bez pasów zabezpieczających – nigdy nie będzie na nim żywych ludzi. Na wypolerowanej metalowej powierzchni odbija się wykrzywiona podłużna twarz starca i w tym wizerunku Costa dostrzega prawdziwe oblicze jego duszy. Zdeformowane i błyszczące. Niezaśniedziałe. Jak cała reszta laboratorium, w który się znajdują. Dwie białe jałowe sale. Wanny do plastynacji teraz są puste, ale w przeszłości musiały przyjąć dziesiątki ciał. Narzędzia i pompy do wstrzykiwania silikonu. Kulisy teatru, za którymi Zernich przygotowuje swój spektakl. Fabryka trupów.

Zernich ciężko dyszy. W najmniejszym stopniu nie przypomina teraz odnoszącego sukcesy biznesmena. Jego starość jest bolesna i smutna, tak jak każda inna. Z bliska twarz starca przypomina woskowe oblicza jego ofiar. Podrasowane i pokryte kurzem.

– Luca nigdy nie zdołał rozwiązać problemu – mówi. – Skóra nie nadaje się do niektórych eksperymentów. Sam musiałem temu zaradzić. Musisz przyznać, że rezultat zwała z nóg. Naśladujemy życie, wykorzystując martwą materię, tak samo jak artyści, których podziwiamy. Bezkrwiste ciała i nieco silikonu, aby ożywić rysy twarzy. Kolorowe pigmenty do pokrycia szarości i przebarwień na skórze. Kilka kółek zębatych i mamy złudzenie ruchu. Caravaggio robił to za pomocą barw i pędzli... Jego dzieła fascynowały przez wieki i ciągle fascynują, ale i u mnie możesz znaleźć podobne elementy... – Zatacza dłonią krąg obejmujący cuda, które stworzył, a w jego oczach miga iskierka prawdziwego uwielbienia. – Robi wrażenie, prawda? – powtarza pytanie. – Powiedz mi, że tak. Powiedz, że mnie rozumiesz, że uznajesz wielkość dzieła, które zrealizowałem. Nie możesz mnie rozczarować. W końcu zainwestowałem w ciebie tyle energii i uczuć.

Dalsze słowa nie mają sensu. Teraz Zernich jest już naprawdę sam. Maski opadła mu z twarzy.

Costa patrzy na niego z uniesioną bronią, a ból w plecach promieniuje na całe ciało i zachęca go do wykonania ostatniego ruchu, do zakończenia tej podłej gry, gdy jest jeszcze czas.

Wyraz twarzy Fabia alarmuje starca. Costa domyśla się jego niepokoju, patrząc mu w oczy, które tracą blask. I wtedy Zernich podejmuje rozmowę.

– Naprawdę chcesz ocalić dziewczynę? – mówi nieoczekiwanie, porzucając wywody na temat wielkości swej misji. Podejmuje zimne, marne negocjacje. – Chcesz się przynajmniej dowiedzieć, czy ona żyje?

Costa milczy. Dobrze zna takie typy jak Zernich. Mężczyzna po prostu robi wszystko, by zadać mu cierpienie.

– Chcesz wiedzieć, gdzie ona jest? Być może wśród gwiazd na firmamencie, świetnie by tam pasowała... A może już spadła na ziemię jak Diana...

– Zamknij się!

– Ja tylko wcieliłem w życie nauki wielkiego mistrza, Fabio. To nie życie pobudza i inspiruje sztukę. Jest dokładnie na odwrót...

– Zamknij się...

– Już ci mówiłem, że w sztuce jest siła. Sztuka panuje zarówno nad życiem, jak i nad jego siostrą, śmiercią.

– Bądź cicho!

– Powiem ci wszystko – szepcze Zernich. – Pod jednym warunkiem, Fabio.

Nie – myśli Costa. Nie mogę się zgodzić na twoją potworną grę. Nie dam się prowadzić na sznurku twoimi krętymi, zwodniczymi ścieżkami. Nie sprawię ci tej przyjemności. Nie oddam ci ostatniej sceny, bo wiem, że właśnie na tym ci zależy. Nie będę negocjował z diabłem. Jestem to winien twoim ofiarom. I Valentinie. Ona też by się ze mną zgodziła.

– Pod jednym warunkiem, Fabio – powtarza z uśmiechem, nazywając go teraz po imieniu.

I nie zważając na wszystkie wewnętrzne głosy, które ostrzegają go głośnym krzykiem, Costa odpowiada:

– Jaki to warunek? – W tym momencie wie, że już przepadł, ale skoro jest cień nadziei...

Zernich wskazuje podbródkiem na jego dłoń. Patrzy na berettę, którą inspektor z coraz większym trudem ściska w ręce.

– Pozbądź się swojej niepotrzebnej broni, Fabio. Nie jest ci potrzebna, jeśli naprawdę chcesz ocalić Valentinę.

– Słucham? – nie rozumie.

– Wystarczy twoja miłość, Fabio. Dla Valentiny ona jest najważniejsza. Daj mi pistolet.

Nie.

– Nie.

Zernich wyciąga rękę, chociaż sam nie jest w stanie sięgnąć po broń. Siedzi jak przykuty do krzesła.

– Daj mi go, Fabio. Nie użyję go przeciw tobie. Zaufaj mi. Valentina też by tego chciała. Ona wszystko zrozumiała.

– Nie – powtarza, ale pozwala, by pistolet okręcił mu się na palcu wskazującym, odwraca go kolbą w stronę Zernicha i podaje. Wie, że zaraz umrze, bo ten potwór na pewno nie dotrzyma słowa, ale wierzy, że tak właśnie musi postąpić. I podczas gdy morderca wychyla się i chwyta broń, Costa czuje wyraźną ulgę. Zrobił to, co powinien. Dla Valentiny. Dla wszystkich ofiar.

Zernich wpatruje się w policjanta z krzywym uśmiechem na ustach. Na pierwszy rzut oka widać, że swobodnie posługuje się bronią. I powtarza te same słowa, które krążą po głowie Costy, jakby w niej czytał niczym w otwartej księdze. Jakby byli dokładnie tacy sami.

– Zrobiłem to, co powinienem – mówi. – Ale ty nie. Ciągłe masz przed sobą wiele zadań. Powiedziałem ci przecież, że wiele w ciebie zainwestowałem. Nie spraw mi zawodu.

Potem Zernich przykłada lufę do piersi, tam gdzie bije jego serce, i naciska spust.

Costa krzyczy.

Siła wystrzału sprawia, że głowa starca gwałtownie uderza w ścianę za jego plecami, pozostawiając na białej powierzchni plamę krwi. I tak już zostaje, a szklane oczy nadal wpatrują się w Fabia.

Valentina zginęła – myśli Costa. Teraz nie ma już żadnej szansy.

Dlaczego więc nie może przestać myśleć o możliwości odnalezienia kobiety? Dlaczego nie może pogodzić się z tym, że pozwolił przeciwnikowi popełnić samobójstwo i tym samym odebrać sobie ostatnią okazję?

Zernich wygrał, ponieważ dostał to, czego chciał. Jego najambitniejszym projektem nie było wcale odtworzenie dzieł mistrza sprzed kilku wieków przy użyciu ciał niewinnych osób, lecz utopienie w bólu i rozpaczach tych, którzy pozostali przy życiu. Przede wszystkim krewnych ofiar, a wraz z nimi osób zaangażowanych w śledztwo, czyli Fabia i Valentyny.

Kiedy przestanie się łudzić, że Valentina wciąż żyje? Dlaczego nie może pozbyć się poczucia winy ani przyjąć wreszcie do wiadomości, że stracił ją na zawsze w chwili, gdy zniknęła w Padwie? Prawdopodobnie zamordował ją Altieri albo któryś ze zbirów Zernicha, zważywszy na to, że starzec był już zbyt słaby i schorowany, by osobiście podołać takim zadaniom.

Zmagający się z rakiem Zernich miał jednak jeszcze dość siły, by doprowadzić swój plan do końca i popełnić samobójstwo.

Ja też powinienem to zrobić – pomyślał Fabio. Powinienem się zabić i zamknąć krąg. Wtedy nie rozczarowałbym Diany, Valentyny ani pozostałych.

Tak wiele w ciebie zainwestowałem.

Nie możesz mnie rozczarować.

Za oknem gęstniały czarne chmury zapowiadające burzę. Kiedy ostatecznie zamkną się nad jego głową, zniknie ostatni błady promyk dziennego światła i świat pogrzeje się w nieprzeniknionych ciemnościach.

Czas płynął. Fabio czuł, że musi się spieszyć. Zrozumieć i zacząć działać, zanim zgaśnie światło.

Podciągnął się i usiadł, a stojak podtrzymujący kroplówkę zadzwonił o brzeg łóżka. Spojrzał na zamknięte drzwi w obawie, że pojawi się w nich pielęgniarka. Nikt nie przyszedł.

Prawdopodobnie już dziś lub jutro rano będą cię przesłuchiwać – powiedział Loris przed wyjściem. Nie daj się sprowokować. Twój samochód jest na parkingu, żebyś miał go pod ręką, kiedy opuścisz szpital, bo ja będę bardzo zajęty przez najbliższe godziny.

Kto wie, dlaczego właśnie teraz przyszła mu do głowy uprzejmość kolegi. Czyżby Manna sugerował mu ucieczkę? Czyżby wiedział o czymś, czego nie chciał lub nie mógł mu przekazać?

Nie. To zwykle majaki spowodowane działaniem środków przeciwbólowych. Co prawda nie prosił o nie, bo chciał zachować jasność umysłu, ale kto wie, co jest w tej szklanej butelce, z której sączą się do jego organizmu nieznanne substancje.

Co powiedział Zernich, zanim popełnił samobójstwo? Początkowo miał wrażenie, że były to tylko bezsensowne zdania zepsutego do szpiku kości szaleńca. Teraz jednak zaczął doszukiwać się w nich sensu. Może była to jeszcze jedna zagadka, którą powinien rozwiązać?

Zrobiłem to, co powinienem. Ale ty nie. Ciągle masz przed sobą wiele zadań.

Po tych słowach strzelił sobie prosto w serce.

Costa wyciągnął rękę i zacisnął ją na rurce, która łączyła się z jego ciałem. Szarpnął mocno i wyrwał kroplówkę. Poczł silny ból, jakby wraz z wenflonem wydarł sobie kawał mięsa. Zacisnął zęby, aby stłumić jęk, a z igły na pościel płynęła teraz świeża krew. Odrzucił rurkę i wstał.

Podszedł do okna, zataczając się jak pijany, miękkie nogi uginały się pod nim, jakby nie używał ich od wielu lat. Oparł czoło o zimną szybę, a przenikający go dreszcz dodał mu sił.

Na zewnątrz gęste chmury zasłaniały właśnie ostatni skrawek jasnego nieba. W dole rozpościerał się pusty, jałowy krajobraz. Pola pokryte śniegiem. W dali błyszcząły ciepłe światła miasta i próbowały przedrzeć się przez gęste opary mgły.

Pospiesz się. Musisz działać szybko.

Gdzie jest Valentina?

Być może wśród gwiazd na firmamencie – powiedział Zernich.

A może już spadła na ziemię tak jak Diana.

Nagle wszystko stało się jasne. Nawet za bardzo.

Jest pośród gwiazd lub spadła na ziemię.

Zernich przekazał mu informacje. Ale kiedy? Kiedy dowiedział się, że Costa go sprawdza? Jeśli rzeczywiście tak było, to należy spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. Czas, podejmowane działania, wszystko mogło potoczyć się inaczej.

Zostali oszukani. Uwierzyli, że to oni polują na mordercę, a tymczasem było odwrotnie. Zernich wszystko wiedział i czekał na nich.

Znowu miał przed oczami scenę, kiedy stary psychopata naciska spust, mówiąc: *To nie życie pobudza i inspiruje sztukę. Jest dokładnie na odwrót.*

I w tym momencie Costa zrozumiał.

Nawet jeśli się zdziwił, słysząc w słuchawce jego głos, to nie dał tego po sobie poznać. Zareagował z entuzjazmem, chociaż nie zdołał ukryć niepewności.

– Fabio! Wielkie nieba, jak się masz? Skąd dzwonicz?

Costa się wzruszył, słysząc szczere zainteresowanie w głosie przyjaciela, i na chwilę głos uwiązł mu w gardle. Giampaolo D’Avanzo był jedynym człowiekiem, który mógł pomóc mu w rozwianiu wątpliwości, ale teraz Fabio zdał sobie sprawę, że nawet nie wie, od czego zacząć. Hipotezy, które sformułował, nagle wydały mu się mało wiarygodne, jakby były wytworem emocji i rozpacz.

– Fabio...?

Nie wahaj się. Nie pozwól, aby pokonały cię wątpliwości.

– Giampaolo, potrzebuję twojej pomocy.

– Jasne, co mogę dla ciebie zrobić? Loris powiedział mi, że zostałeś nieźle poharatany podczas spotkania z tymi... potworami...

Przeszywająca fala bólu promieniującego od pleców po żebra przypomniła mu, że przyjaciel wcale nie mija się z prawdą.

– Jestem w szpitalu w Trydencie... Wszystko w porządku. Chciałbym się z tobą jeszcze raz skonsultować jako z historykiem sztuki.

Tym razem cisza w słuchawce stała się cięższa, bo zaskoczony D’Avanzo wstrzymał oddech.

– Dawaj – rzucił po chwili.

– Szukam obrazu Caravaggia... – zaczął Costa.

– Znowu on? Chyba zacznę go nienawidzić.

Jesteśmy w sercu i w oczach Caravaggia – powiedział Zernich. *Nie zapominaj o tym.*

Zamiast szukać nowych wskazówek, trzeba więc wrócić do dzieł mistrza.

– Czy na jego płótnach jest ktoś, kto spada... – zdobył się na odwagę Costa. – Na przykład kobieta spadająca z wysokości?

D’Avanzo zaczął sapać. Myślał intensywnie o tajemniczym obrazie odpowiadającym opisowi albo o tym, że Fabio postradał zmysły.

– Kobieta, która spada... nie, nic mi nie przychodzi do głowy. Możesz podać jakieś dodatkowe szczegóły... Czy chodzi o kolejną koszmarną inscenizację Zernicha?

– Nie mam pojęcia. To tylko hipoteza, mówiłem ci. Próbuję...

– Dobra, dobra. Niech się zastanowię... Upadek, spadanie...

Tak jak Diana – chciał dodać Costa. W końcu Zernich dostał informacje o nim, o Dianie, o jego relacji z Valentiną. A staremu psychopacie nie wystarczała wygrana, musiał zmiażdżyć przeciwnika.

– Spadanie... – powtórzył tymczasem D’Avanzo, po czym na dłuższą chwilę zaległa cisza. – Rzeczywiście, są dzieła Caravaggia, gdzie, jak by to ująć, akcja przedstawiona jest wertykalnie... – powiedział wreszcie. – Tylko że postacie, które latają, to anioły, nie kobiety... Te obrazy należą do okresu neapolitańskiego. Powstały na krótko przed śmiercią malarza.

– Możesz mi je opisać?

– Od razu przychodzi mi na myśl obraz *Siedem aktów miłosierdzia*. Na dole w neapolitańskim zaułku widzimy postaci symbolizujące poszczególne cnoty, więc mamy niewielką grupę. Każda z osób zajęta jest wykonywaniem swojego zadania. Tymczasem w górnej części artysta umieścił dwa anioły, które zdają się spadać na przedstawione postaci. Spowija je mroczne, posępne światło, podobnie jak wspartą na nich Najświętszą Marię Pannę z Dzieciątkiem... Bardzo sugestywne dzieło.

Costa gorączkowo analizował usłyszane informacje. Jego hipoteza była ryzykowna i może rzeczywiście narodziła się w desperacji, a jednak im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej nabierał pewności, że Zernich chciał mu zadedykować swoją ostatnią inscenizację ku czci śmierci. Jeśli ma rację, to pomysł, aby umieścić Valentinę w scenie zainspirowanej obrazem Caravaggia, musiał pojawić się w ciągu kilku ostatnich dni. A skoro tak, to morderca i jego wspólnicy mieli bardzo mało czasu na realizację projektu. I musieli improwizować, przynajmniej jeśli chodzi o niektóre aspekty. Uściślając, trzeba podkreślić, że Valentina nie była podobna do żadnej ludzkiej postaci z obrazów mistrza, ale kiedy na horyzoncie pojawił się anioł... No tak, jej wyjątkowa uroda przywodzi na myśl androgyniczne piękno przypisywane wysłannikom niebios.

To nie życie pobudza i inspiruje sztukę.

Zernich był perfekcjonistą. I nawet jeśli miał mało czasu, nie zrezygnowałby z dochowania wierności oryginałowi, który zamierzał skopiować. Tymczasem obraz opisany przez krytyka sztuki przedstawia kilka postaci. Gdzie w tak krótkim czasie znalazłby tyle ofiar, które mógłby wykorzystać do stworzenia swego ostatniego dzieła? Nawet przy jego możliwościach wydawało się to nierealne.

– Zbyt wiele postaci, to raczej niemożliwe – mruknął.

– Co masz na myśli? – zapytał zaniepokojony D’Avanzo. – To znaczy, że naprawdę rozmawiamy o kolejnym koszmarnym przedsięwzięciu tego psychopaty?

– Znasz jeszcze jakiś obraz, na którym Caravaggio przedstawił anioła w locie?

Giampaolo zawahał się na kilka chwil, po czym w jego głosie wyraźnie zabrzmiało obrzydzenie.

– Tak, jest takie płótno. Tylko dwie postaci. Anioł i Maryja oczekująca dziecka...

Zapadał zmierzch, gdy Fabio Costa chyłkiem opuszczał szpital. Volvo stało na parkingu, jak powiedział Loris. Ciągłe chodziło mu po głowie, że przyjaciel przewidział jego decyzję. Nawet jeśli tylko podświadomie. Przekonanie, że Valentina czeka gdzieś na ocalenie, tak mocno zakorzeniło się w jego umyśle, że nie dopuszczał do siebie ewentualności, że jego misja zakończyła się w byłym sanatorium Świętego Andrzeja. A może po prostu się łudził, bo uratowanie Valentiny oznaczało uratowanie samego siebie.

Ostry, nieustający ból w plecach ostrzegał, że rana w każdej chwili może się otworzyć. W głowie mu huczało, a nos i dziąsła spuchły. Zdołał poskromić głucho, pulsujące łupanie, ponieważ lampy oświetlające drogę oraz biel zalegającego na poboczach śniegu sprawiły, że poczuł dziwną błogość. Nie zdecydował jeszcze, gdzie powinien się udać, ale uznał, że musi ruszyć w drogę. To najlepsze, co może zrobić w tej sytuacji.

D'Avanzo szczegółowo opisał mu *Zwiastowanie*, które Caravaggio namalował w schyłkowej fazie życia. Dzieło ze wszech miar zadziwiające.

– Na obrazie są tylko dwie postaci – wyjaśnił krytyk. – Anioł i Maryja. W przeciwieństwie jednak do przyjętych kanonów anioł nie stoi ani nie klęczy przed Matką Boską, lecz znajduje się nad nią. To dość nietypowe rozwiązanie w epoce Caravaggia, lecz wiadomo, że mistrz lubił zaskakiwać. Anioł sprawia wrażenie, jakby spadał na kobietę. Jedną rękę wyciąga przed siebie, zabezpieczając się przed upadkiem, a mistrz uwiecznia go w momencie, gdy niemalże dotyka głowy Maryi. Ewentualnie można by też przyjąć, że anioł zaraz spadnie na ziemię. – Przerwał na moment, po czym dodał: – Nie widać dokładnie jego twarzy... więc na dobrą sprawę może to być każdy, nawet kobieta.

Nie wiadomo, czy Giampaolo domyślił się wszystkiego, czy też nie, ale opisane przez niego dzieło doskonale pasowało do wytworów chorej wyobraźni Zernicha.

To ten obraz – pomyślał Fabio. W tej scenie morderca przewidział miejsce dla Valentiny.

Jeśli rozumowanie było poprawne, to kobieta już nie żyje.

Zernich tej fatalnej nocy powiedział jednak coś, co dotyczyło bezpośrednio udziału Fabia w tej ostatniej groteskowej inscenizacji.

Czyżby zatem tliła się iskierka nadziei?

Trzeba jak najszybciej znaleźć miejsce, gdzie Zernich lub jego wspólnicy przygotowali krwawy spektakl.

Fabio jechał z powrotem do Padwy. Chmury nad jego głową ostatecznie przesłoniły niebo. Zrobiło się całkiem ciemno, a niedługo potem zaczął padać deszcz.

– Jak się pan ma, *dottore*?

Głos Piovesana docierał do niego nieco zniekształcony przez zestaw głośnomówiący w samochodzie, chociaż możliwe też, że po prostu słychać w nim było niepewność i wzruszenie.

– Dobrze. A ty?

– Daję radę.

W tle zabrzmiało echo odległego grzmotu. W Padwie również zanosilo się na burzę.

– Nie powinien pan być w szpitalu?

Costa zacisnął dłonie na kierownicy. Nienawidził się za to, że po raz kolejny wciągał chłopaka w tę sprawę, w dodatku w tak krótkim czasie. Co prawda Piovesan był policjantem, ale doświadczenie tego, co wydarzyło się w byłym sanatorium, nie pozostawiało obojętnym nawet kogoś, kto wybrał ten zawód. Poza tym młody funkcjonariusz zastrzelił podczas akcji dwie osoby i chociaż uczynił to w obronie własnej i kolegi, to i tak nie uniknie wewnętrznego policyjnego śledztwa, przesłuchań ani nacisków, które nawet dla bardziej wytrawnego gliniarza byłyby ciężką próbą.

– Uciekłem – odpowiedział Fabio, niewiele mijając się z prawdą. – Przykro mi, że cię niepokoję, Gabriele. Zdaję sobie sprawę, że powinieneś odpoczywać i nabierać sił, ale...

Piovesan zareagował bez chwili wahania.

– Jestem do dyspozycji, *dottore*.

Costa pokiwał głową. Właśnie takiej reakcji się spodziewał.

– Gdzie teraz jesteś?

– Właśnie wyszedłem z komendy głównej i idę do domu. Wcześniej lekarz opatrzył mi rany, przewieziono mnie do Padwy i spędziłem cały dzień, odpowiadając na pytania przełożonych. A to jeszcze nie koniec. Jutro sędzia śledczy chce mnie przesłuchać. – Zawahał się. – Nie wiem, jak długo wytrzymam.

– Naprawdę mi przykro – powtórzył Costa.

W głosie Piovesana zabrzmiało zaskoczenie.

– Niepotrzebnie. Nie mówmy już o tym. Nie zawahałbym się, gdybyśmy mieli to zrobić ponownie. Cieszę się, że mi pan zaufał. Po prostu nie rozumiem, dlaczego to my jesteśmy traktowani teraz jak podejrzani...

– To nie tak, uwierz mi.

Chciał pocieszyć młodszego kolegę dobrym słowem, bo chłopak na to zasługiwał, ale wiedział, że to nie jest odpowiedni moment. Potrzebował jego pomocy właśnie teraz, zanim sam dotrze do Padwy i zanim minie noc, chociaż zdawał sobie sprawę, jak bardzo Piovesan jest zmęczony i ile będzie go to znów kosztowało. Nie miał jednak wyjścia. Manna był teraz praktycznie nieosiągalny, bo centrala zleciła mu zadanie dokładnego sprawdzenia komputera Hannie Janssen, a to wiązało się pewnie ze ścisłą kontrolą. A gdyby się dowiedział o planach Costy, z pewnością chciałby się włączyć do akcji, tracąc cenny czas.

Dlatego też Piovesan i jego pełne oddanie były teraz dla Fabia ostatnią szansą. I jedyną.

Odetchnął głęboko.

– Posłuchaj, Gabriele – powiedział. – Nie mamy zbyt wiele czasu. Chciałbym rozwiązać wątpliwości, które mnie męczą.

– I mają związek ze zniknięciem komisarz Medici, prawda? – zapytał chłopak, podczas gdy na horyzoncie pojawiła się błyskawica i na moment oświetliła jasnym blaskiem drogę prowadzącą do Padwy.

Costa nie musiał odpowiadać.

– Podtrzymuję to, co powiedziałem w czasie naszego pierwszego spotkania – oświadczył Piovesan stanowczo. – Jestem do pańskiej dyspozycji.

Piovesan wrócił do komendy, starając się nie zwracać na siebie zbytnej uwagi. Przedwczesny zmrok, ulewny deszcz i gorączkowy ruch przy wejściu pozwoliły mu przemknąć przez korytarz. Potem przeszedł obok biura szefa i obok sekretariatu, gdzie tłoczyli się koledzy, którzy po akcji Costy mieli pełne ręce roboty. Nikt go nie zatrzymał, większość funkcjonariuszy miała co innego na głowie.

Lomastro został wezwany w trybie pilnym do Rzymu i zostawił swoją grupę pograżoną w totalnym chaosie. Ktoś w centrali najwyraźniej postanowił sprawdzić, jak komendant prowadził śledztwo. Jego miejsce zajął szef wydziału do spraw walki z przestępczością zorganizowaną, który przyprowadził ze sobą około dziesięciu współpracowników. Nowi pozajmowali większość biur i zachowywali się jak udzielni władcy. Na szczęście żaden z nich nie znał Piovesana.

Pokój, który dzielił kiedyś z Valentiną, był pusty. Wsunął się więc po cichu i usiadł za biurkiem, nie zdejmując nawet ociekającej wodą kurtki. Włączył komputer podłączony do sieci i chociaż oczy go szczypały, ból przeszywał ciało, a zmęczenie dawało mu się we znaki, to palce szybko stukały w klawiaturę.

Już po chwili znalazł informację, która sprawiła, że ciarki przeszły mu po plecach.

Przed dwoma dniami zgłoszono na prowincji zaginięcie młodej dziewczyny. Nazywała się Adele Donati, miała siedemnaście lat i po tym, jak wpadła w złe towarzystwo, trafiła do ośrodka dla osób uzależnionych od narkotyków. Jej zniknięcie na pozór nie było niczym wyjątkowym, bo narkomani często porzucają domy pomocy, w których przebywają. Adele jednak, pomimo trudnej przeszłości, nigdy wcześniej nie zniknęła z ośrodka. Poza tym według słów dyrektora dziewczyna była na dobrej drodze, by wyjść z nałogu. Była jedną z tych nielicznych, którym może się udać, chociaż w przypadku osób uzależnionych od narkotyków nigdy tak do końca nie wiadomo, czego się spodziewać.

I rzeczywiście dwa dni wcześniej nie wróciła do ośrodka, a zgłoszenie zaginięcia widniało teraz na ekranie komputera Piovesana. Adele Donati przepadła jak kamień w wodę.

Być może był to zwykły przypadek, a dziewczyna oddaliła się dobrowolnie, niemniej jednak wskazówki, które dał mu Costa, były jednoznaczne. Powiedział mu, aby najpierw sprawdził, czy w ostatnich dniach zniknęła w Padwie bądź w okolicy jakaś młoda kobieta w wieku dwudziestu, najwyżej dwudziestu pięciu lat. Według

komendanta należało szukać wśród prostytutek lub osób z marginesu, ponieważ takie przypadki nie wzbudzają większego zainteresowania.

Piovesan przyglądał się fotografii Adele Donati i jej delikatnym rysom naznaczonym już przykrymi doświadczeniami ostatnich lat, a jego serce nagle zaczęło szybciej bić. Przecież właśnie przed dwoma dniami razem z Manną i Costą śledzili Altieriego, a dziewczyna zniknęła praktycznie w tym samym czasie! Jeśli została porwana przez Zernicha lub kogoś z jego szajki, to powinni zauważyć coś niepokojącego już podczas tamtej akcji. Może umknął im jakiś sygnał, jakiś szczegół, który naprowadziłby ich na ślad kolejnej makabrycznej zbrodni.

Adele Donati. Siedemnaście lat. I pech, by wpaść w sieć zastawioną przez psychopatów, na których policja poluje już od dłuższego czasu, niestety z marnym skutkiem, jeśli wziąć pod uwagę rozwój wypadków.

Próbował odsunąć od siebie myśli, które w żadnej mierze nie ułatwiały mu pracy. Wydrukował zebrane informacje, po czym zajął się realizacją drugiego zadania, które mogło okazać się nawet ważniejsze. Costa ze ściśniętym gardłem poprosił go przez telefon o sprawdzenie, czy wśród budynków będących własnością Zernicha jest jakaś konstrukcja na tyle wysoka, by można z niej zrzucić człowieka ze skutkiem śmiertelnym.

– Zrzucić człowieka?

– Właśnie to planują, Gabriele. Zabić, zrzucając z wysokiego budynku. Na tyle wysokiego, by nie było szans na przeżycie. Chcą mieć pewność, że ofiara nie przeżyje upadku. Muszą więc dysponować miejscem, do którego będą mieli niczym nieograniczony dostęp i gdzie przez nikogo nie niepokojeni będą mogli przygotować ostatnią scenę.

Gabriele nie mógł pojąć, jak może dojść do czegoś takiego, skoro Zernich i Altieri zginęli, a Janssen uciekła. To powinno oznaczać koniec okrutnych morderstw i zakończenie śledztwa. Policja przeszukiwała teraz każdą posiadłość i nieruchomość należącą do Federica Zernicha i jego rodziny. Młody funkcjonariusz rozumiał, co komendantowi chodzi po głowie, ale nie sądził, aby istniało miejsce, którego kazał mu szukać. Może Fabio Costa naprawdę postradał zmysły?

Obiecał mu jednak, że się tym zajmie.

Zdawało mu się, że pamięta mniej więcej dobra będące własnością Zernicha i spółek, w których przedsiębiorca miał udział, i nie było wśród nich wysokiej budowli, o jakiej wspominał komendant. Co prawda umknęło mu z pamięci byłoby sanatorium w Molveno, ale był przekonany, że budynek o cechach podanych przez Fabia nie figuruje na liście.

Dla pewności postanowił sprawdzić. Zachował kopie plików, które przygotowywał na polecenie Valentyny, gdy kontrolowali działalność Altieriego. Potem przekazał materiały kolegom z grupy operacyjnej, lecz miał dość zdrowego rozsądku, by skopiować zawartość na twardy dysk.

Znalazł listę nieruchomości należących do Fundacji Zernichów i już po chwili miał potwierdzenie: nie było wśród nich żadnego budynku odpowiadającego charakterystyce, którą podał Costa. Kilka wysokich budowli, z których można by rzucić człowieka ze skutkiem śmiertelnym, miało ten mankament, że były ogólnie dostępne czy to dla mieszkańców lub pracowników, czy też dla turystów.

Wykręcił numer Costy, by przekazać mu informacje, i od razu wyczuł w jego głosie ogromne rozczarowanie.

– Chyba że budowla, której szukamy, znajduje się poza Padwą? – zasugerował Piovesan.

– Może być wszędzie albo nigdzie... Zernich jednak chciał mnie ściągnąć właśnie tutaj... I nie miał już potem okazji, żeby podróżować...

– O czym pan mówi? – W głosie i zachowaniu komendanta było coś, co go zaniepokoiło. Może nie powinien spełniać wszystkich jego poleceń?

– Sam nie wiem, Gabriele. Chyba się pomyliłem, a może po prostu nie mogę przestać się łudzić.

– Ma pan na myśli zaginięcie komisarz Medici, prawda?

Costa nie odpowiedział, ale Piovesan słyszał jego ciężki oddech w słuchawce.

– A co pan sądzi o zniknięciu tej dziewczyny? – podjął Piovesan, wyczuwając rozpacz komendanta. – Uważa pan, że to ostatnia ofiara Zernicha? Czy jest jeszcze szansa, że znajdziemy ją żywą? – Już sama myśl o kolejnej zbrodni przyprawiała go o mdłości.

– Ja już nic nie rozumiem... – usłyszał szum ulewy w słuchawce, jakby Costa znalazł się w środku szalejącej burzy i nawet nie próbował schronić się przed deszczem. – Dojeżdżam właśnie do Padwy. Przepraszam, że straciłeś przeze mnie tyle czasu... Powinieneś odpocząć.

– Proszę poczekać!

Piovesan mocno zacisnął palce na telefonie. Nie mógł pogodzić się z myślą, że nieszczęsna Adele Donati została porwana wtedy, gdy oni śledzili Altieriego. Przecież jeśli porwanie stanowiło integralną część planu i miało miejsce w tym samym czasie, to powinni byli się zorientować. To przeświadczenie nie dawało mu spokoju i raz jeszcze wrócił do wydarzeń z dnia, w którym od rana jeździli za prawą ręką Zernicha. GPS przekazywał im pozycję samochodu, który krążył po ulicach Padwy pozornie bez celu, jakby Altieri robił ich w konia. Jakby specjalnie tracił czas.

– O co chodzi? – zapytał Costa.

– Ja chyba nie do końca rozumiem, co panu chodzi po głowie. Naprawdę uważa pan, że Zernich i pozostali... wiedzieli, że ich śledzimy? To by znaczyło, że wszystko zaplanowali?

Costa milczał przez chwilę, po czym powiedział:

– Tak, to możliwe.

– Ale to bez sensu!

– Nie dla kogoś takiego jak Zernich. Wiesz, że był umierający? Rak w ostatnim stadium rozwoju.

– Tak, słyszałem.

– Myślę, że on wiedział, że zostało mu niewiele czasu, i chciał, by jego dzieło go przetrwało. Jego celem nie było przeżycie... lecz wywołanie podziwu. Wykorzystywał do tego śmierć i cierpienie. Zernich był urodzonym reżyserem, a jego obsesję stanowiła chęć udowodnienia swojej nieograniczonej władzy nad drugim człowiekiem.

– Jaki to ma związek z informacjami, o które mnie pan prosił?

– Jego projekt wydaje mi się niedokończony i obawiam się, że scena z udziałem Valentiny ma być jak ostatnie pociągnięcie pędzlem. Być może zdecydował o tym w ostatniej chwili, kiedy zorientował się, że ona depcze mu już po piętach. To nie ma teraz znaczenia, po prostu postanowił, że przygotuje finałową inscenizację, w której i ja muszę wziąć udział. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, ale przewidział dla mnie kluczową rolę...

Piovesan wreszcie uznał, że rozumie.

– To znaczy, że niedługo coś się wydarzy?

– Tak.

– Myślę, że znam odpowiednie miejsce. – Kiedy rozmawiali, przed oczami stanęła mu wyjątkowa budowla. – Skoro Altieri wiedział, że go śledzimy, to musiał wszystko dokładnie zaplanować. Całą trasę i każdy punkt, w którym tamtego dnia się zatrzymał.

– Mów dalej!

– Przypomniało mi się jedno miejsce. Stanął na kilka minut przy placu budowy. Wie pan, czego nie wzięliśmy wcześniej pod uwagę? Budynków, które nie są własnością Zernicha, a do których jednak ma czasowo nieograniczony i wyłączny dostęp. Zernich jest filantropem, pamięta pan? Jego fundacja zajmuje się odnową historycznych budowli w mieście. Teraz prace prowadzone są w jednym z najstarszych zabytków w Padwie. To wieża będąca symbolem miasta. Nazywa się Torlonga lub Specola i teraz

mieści się tam obserwatorium astronomiczne. Ale kiedyś było to miejsce tortur i śmierci.

Ocalała część średniowiecznej fortecy pełniła przed wiekami funkcję więzienia, zanim ostatecznie została przekształcona w obserwatorium astronomiczne. Piovesan wyjaśnił, że takie przejście od rozlewu krwi do gwiazd miało dla mieszkańców Padwy charakter symboliczny. A teraz wieża okazała się doskonałym obiektem na realizację projektów Federica Zernicha. Wznosiła się ku ciemnemu niebu pośród szalejącej burzy, dumnie rzucając wyzwanie błyskawicom, które przyciągała swoją wysokością. Czarna i cicha dominowała nad płynącą w dole rzeką, która w tym miejscu rozdzielała się na dwie odnogi podążające na północ i na wschód w stronę centrum miasta. Wieża opierała się na kwadratowej podstawie, jej wierzchołek zdobiły blanki i przypory oraz dwie iglice używane do obserwacji nieba. Została zbudowana na cyplu, na który można było dotrzeć tylko z jednej strony przez mały most i placyk z zadbanym ogrodem zatopionym teraz w strugach ulewnego deszczu. Budowla otoczona rzeką i kamienicami wydawała się bliźną z przeszłości i Fabio poczuł się tak, jakby nagle przeniósł się w czasie.

Ogłuszony szumem wody, która spadając na dach samochodu, odbijała się głośnym echem we wnętrzu, Costa z marnym skutkiem próbował przeniknąć wzrokiem przez strumienie deszczu smagane rytmicznym ruchem wycieraczek. Z ledwością dostrzegał szczyt wieży, w której mieściło się obserwatorium astronomiczne. Według informacji wysyłanych przez Piovesana na komórkę Torlonga miała prawie pięćdziesiąt metrów wysokości i od kilku tygodni była niedostępna dla pracowników muzeum oraz zwiedzających z powodu prac renowacyjnych i konserwacyjnych sponsorowanych przez zasłużoną na tym polu fundację Federica Zernicha. Roboty budowlane zostały przerwane w ubiegłym tygodniu w związku z niekorzystnymi warunkami atmosferycznymi i ludzie mieli wrócić do pracy w przyszły poniedziałek.

Na wypadek gdyby Costa nie odkrył wcześniej tego miejsca lub nie wziął pod uwagę jego wskazówek, Zernich zaplanował, że jego ostatnie dzieło sztuki połączonej ze śmiercią znajdą pracownicy budowlani, którzy pierwsi wejdą do średniowiecznej wieży z początkiem nowego tygodnia. Niezależnie od ostatecznego rozwoju sytuacji zapewnił sobie zejście ze sceny godne swojego szaleństwa.

Tymczasem Costa dotarł tam, gdzie skierował go morderca. Nie miał zresztą innego sposobu na ocalenie Valentyny i samego siebie: ich losy były przecież mocno splecione.

Wysiadł z samochodu i przeszedł przez mostek w gęstych strugach ulewnego deszczu, podczas gdy w dole przelewały się z hukiem masy wzburzonych wód. Wokoło panowały ciemności, bo światła latarni były zbyt słabe, by rozświetlić mrok, a ruch samochodowy ustał niemal całkowicie. Mimo że był dopiero wieczór, i to w dodatku sobotni, burza oraz intensywne opady sprawiły, że miasto zupełnie opustoszało. Kierując się ku budowli, spojrzął przez balustradę mostu na spienioną rzekę, której poziom podniósł się wyraźnie po ostatnich ulewach. Potem zwrócił wzrok ku górze i wyobraził sobie los kogoś, komu przysłoby do głowy wspiąć się na szczyt wieży i rzucić w dół. Bez wątpienia rozbiłby się o stare kamienie budowli lub zostałby pochłonięty przez kłębiący się ciemny nurt. Nie było żadnej szansy, by człowiek mógł przeżyć taki upadek.

Diana zginęła w pogodny wieczór, kiedy na niebie nie było ani jednej chmurki, a mimo to nie zdołał jej ocalić.

W tej chwili tragiczny los Valentyny wydał mu się nie do uniknięcia.

Zatrzymał się przed wysoką bramą z kutego żelaza osadzoną w kamiennym łuku. Wschodnia ściana wielkiej wieży przylegała do murów zamku, do którego wejście – jak wyjaśnił mu Piovesan – znajdowało się po drugiej stronie, w części oddzielonej wysokim, grubym murem. Natomiast do wieży prowadziło tylko jedno wejście – właśnie to, przed którym teraz stał.

Pomyślał, że okrągły park, który właśnie minął, jest idealnym miejscem na kryjówkę dla kogoś o podłych zamiarach. A Costa tak naprawdę nie wiedział, co ma na celu ta cała zabawa. Hannie Janssen wciąż przebywała na wolności, a ogromny zasięg projektu zwanego przez morderców Holocaustem wskazywał, że Zernich miał współników. Tymczasem Fabio nie miał przy sobie nawet broni, którą odebrano mu w drodze do szpitala.

To bez znaczenia – uspokoił się w myślach. W końcu przyjdzie mi teraz walczyć z duchami.

Niespodziewany ból w plecach przypomniał mu, że rana zadana nożem przez Zernicha może się otworzyć w każdej chwili. Nie było jednak wyjścia – zacisnął zęby i ruszył przed siebie.

Ogromna kłódka wisząca na łańcuchu broniła dostępu do wieży. Zimny, mokry metal w kontakcie ze skórą sprawiał ból, a Costa nie miał rękawic. Zanim zaczął się zastanawiać, jak podważyć kłódkę marki Cisa, blokada ustąpiła, opadając na bok. Ktoś zostawił wejście otwarte specjalnie dla niego.

Inspektor wszedł do środka, nie tracąc czasu.

Przejście za bramą, które prowadziło na dziedziniec, chroniło przed deszczem dzięki szerokiemu sklepieniu z kamienia. Drewniane drzwi znajdowały się po prawej i po lewej stronie, natomiast na wprost były obszerne kamienne schody prowadzące na górne piętra. W głębi, za schodami, okrągły łuk oddzielał przejście od wewnętrznego otwartego dziedzińca skąpanego w ulewnym deszczu. Jedynymi znakami świadczącymi o trwających pracach budowlanych były pozostawione narzędzia oraz rusztowanie zasłaniające połowę muru po prawej. Gdyby nie te przedmioty, Fabio naprawdę mógłby uwierzyć, że wyruszył w podróż do przeszłości. Budowla zachowała bowiem piękno i czar minionych wieków wraz z niepokojącą, mroczną atmosferą dawnych czasów.

Zdawało się, że piorun uderzył nagle tuż za bramą, bo jasne światło błyskawicy poprzedzające huk grzmotu oświetliło marmurową tablicę umieszczoną nad drzwiami z lewej strony. Napis był po łacinie, ale sumienny Piovesan zdążył przesłać tłumaczenie, gdy Costa przemierzał miasto w drodze do wieży, jakby słowa wykute na tablicy miały w tym momencie jakieś znaczenie.

Wieża wiodąca niegdyś w czeluści piekieł teraz otwiera drogę ku gwiazdom.

I rzeczywiście napis doskonale pasował do okoliczności, zwłaszcza że Zernich przed śmiercią zapytał Fabia, czy wierzy, że Valentina znajduje się wśród gwiazd na firmamencie nieba. Teraz odniesienie do obserwatorium astronomicznego wydało mu się niemal banalne, choć zarazem ponure.

Kolejny piorun uderzył gdzieś w pobliżu.

Białe światło błyskawicy odbiło się w jakimś przedmiocie znajdującym się na wprost inspektora, zaraz za łukiem prowadzącym na dziedziniec. Nieruchomy cień.

Oślepiający blask zgasł, pozostawiając zarys kształtu w jego oczach. Potem słychać było jedynie szum ulewy i rytmiczne, ogłuszające pulsowanie krwi w uszach.

Manna zatrzymał się w tym samym pokoju – z tą różnicą, że teraz hotel był oblegany przez kolegów przybyłych z Rzymu, by zakończyć śledztwo. Wieść o projekcie Holocaust nie tylko obiegła świat, ale także poruszyła cały włoski wymiar sprawiedliwości do tego stopnia, że kilka prokuratur regionalnych zaczęło rywalizować o nadzór nad sprawą. Pojawiła się potrzeba identyfikacji wszystkich ofiar oraz ustalenia okoliczności, w jakich doszło do ich porwania, a wszystko to w celu zdobycia koniecznych dowodów winy podejrzanych oraz ich ewentualnych współników. A ogrom pracy wymagał udziału wielu doświadczonych śledczych.

Poza tym należało odszukać zaginioną koleżankę, chociaż wielu policjantów wciąż uważało, że komisarz Valentina Medici z własnej woli usunęła się w cień, gdyż nie radziła sobie ze stresem wynikającym z trudnego śledztwa. Nikt nie przywiązywał specjalnej wagi do tego, że koszmarna wystawa została odnaleziona właśnie dzięki ciężkiej pracy i poświęceniu Valentiny.

Loris w pewnym momencie zaczął rozważać możliwość, by rzucić wszystko w diabły i wrócić do domu, ponieważ nie mógł znieść tępoty ani obojętności kolegów. Na szczęście nie wszyscy zachowywali się w ten sposób. Funkcjonariusze z grupy operacyjnej z Padwy bardzo poważnie zaangażowali się w poszukiwanie Valentiny, po tym, jak pozbyli się ze swego grona oportunistycznego dowódcy, Lomastra. Do tego wielu policjantów z centrali szanowało Valentinę, no i lepiej znało kulisy całej sprawy. Niektórzy po prostu czuli, że ich moralnym obowiązkiem jest oddanie sprawiedliwości ofiarom psychopatów.

Loris kierował się również osobistą motywacją wynikającą z przyjaźni. Bez zastanowienia rzucił się w wir pracy i po części odzyskał dawny zapał, który utracił w byłym sanatorium Świętego Andrzeja. Postanowił sobie, że nie zaprzestanie wysiłków, dopóki nie odkryje gniazda żmij i nie znajdzie odpowiedzi na wszystkie pytania.

Pierwsze i najważniejsze dotyczyło teraz roli holenderskiej opiekunki w przestępczej działalności Zernicha i Altieriego. Wszystko wskazywało, że kobieta aktywnie poszukiwała ofiar, które kończyły potem jako figury w makabrycznych inscenizacjach starego szaleńca. To w jej pokojach znajdowały się komputery ze specjalnym oprogramowaniem służącym do wyszukiwania sobowtórów bohaterów z obrazów Caravaggia. Manna wraz z informatykami z rzymskiego wydziału do walki z cyberprzestępczością próbował odzyskać uszkodzone pliki, na podstawie których

rysował się niepokojący obraz ogromnej grupy kryminalnej. Skłaniano się ku wersji, że Hannie Janssen była odpowiedzialna za utrzymywanie kontaktów z użytkownikami Darknetu na całym świecie. Być może pseudonim Paperino, z którego korzystał Altieri w kafejce internetowej, wskazywał na znak firmowy całej organizacji lub określał ich wspólny profil i używali go oboje w zależności od potrzeb. Któryś z zagranicznych kontaktów mógł pomagać teraz kobiecie w ucieczce. Loris pracował właśnie nad ustaleniem danych osób używających kilku podejrzanych adresów telematycznych.

Akurat wrócił na chwilę do hotelu, by wziąć prysznic i skorzystać z możliwości krótkiego odpoczynku przed kolejną turą. Zapowiadało się, że noc będzie długa i wyczerpująca, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że nie zmrużył oka od czasu, gdy razem z Costą i Piovesanem wyruszyli na spotkanie grupy Holocaust. Mimo wszystko nie chciał odkładać niczego na później, bo jak zwykle w takich sytuacjach dręczyło go rozpaczliwe przekonanie, że czas biegnie szybciej, niż powinien. Tym razem nie chodziło o ocalenie ludzkiego życia, lecz o schwytanie niebezpiecznej kobiety.

W tej chwili Manna był jednak tak zmęczony, że ledwo się położył, zapadł w drzemkę i nie usłyszał lekkiego pukania do drzwi. Dopiero gdy uderzenia przybrały na sile, obudził się raptownie i wyskoczył z łóżka. Półprzytomny, otworzył drzwi.

Gabriele Piovesan wyglądał okropnie. W czasie ich ostatniego spotkania miał zakrwawioną głowę i był w szoku. Teraz zdawał się zмагаć z jeszcze gorszą udręką, o czym świadczyły śmiertelnie blade oblicze i obłądne spojrzenie.

– Gabriele! Co ty tu robisz o tej porze?!

Policjant bez słowa wszedł do środka i usiadł na skraju łóżka. Wbił wzrok w podłogę.

Loris zamknął drzwi i przyglądał mu się, nie wiedząc, jak zareagować.

– Powinieneś siedzieć w domu i odpoczywać – zaczął ostrożnie. – Zresztą wszyscy powinniśmy.

Gabriele obrzucił go spojrzeniem.

– Tak, Costa też tak twierdzi.

– Rozmawiałeś z Fabiem?

– Dzwonił do mnie.

Ton głosu młodego funkcjonariusza zaniepokoił Mannę.

– Co ci powiedział?

Piovesan spojrzał na niego tak, jakby dopiero w tej chwili go zobaczył. Sięgnął do kieszeni po komórkę i podał mu ją.

– Nieważne. Zobacz, co tu piszą – powiedział.

Przejęty Loris sięgnął po telefon. Na wyświetlaczu widniała informacja zamieszczona na łamach internetowej gazety. Wiadomość z ostatniej chwili. Kiedy

przeczytał, poczuł, że spada w przepaść.

Piovesan kiwał głową, wpatrując się w nieokreślony punkt przed sobą.

– Napisali, że doszło do wypadku. Dranie!

Na stronie umieszczono jedynie krótką notatkę. Starszy człowiek został potrącony przez pirata drogowego ze skutkiem śmiertelnym. Do tragedii doszło na padewskiej prowincji, w miejscowości Piove di Sacco, kilka kilometrów od Laguny Weneckiej. Ofiarą okazał się były sierżant policji, Domenico Caruso.

Do informacji dołączono dwa zdjęcia. Na jednym widać było fronton kościółka, przed którym na asfalcie leżało ciało przykryte prześcieradłem. Na drugim młody Caruso w mundurze uśmiechał się szeroko.

– Niewiele napisali – skomentował Manna, wpatrując się w cyfrowe fotografie.

Całun, którym okryto ciało na zbliżeniu, wyraźnie poplamiony był krwią, a na twarzy młodego Domenica Carusa jeszcze nie zdążyły odcisnąć się ślady zwątpienia i wyrzutów sumienia.

– Ciągłe szukają sprawcy wypadku... Caruso wracał do domu i przechodził przez ulicę, kiedy nadjeżdżający ze znaczną prędkością samochód zmiotł go na pobocze. Zginął na miejscu.

– Sprzątnęli go, Loris – stwierdził Piovesan, a chorobliwa bladość nagle zniknęła z jego twarzy. Trząśł się tak, jakby właśnie odkrył uzdrawiające działanie złości. – Po prostu go zamordowali.

– Kto? I dlaczego? Przecież Caruso wszystko już powiedział Fabiowi.

– A może jednak nie wszystko? Może coś zataił? Ta historia zdaje się nie mieć końca.

Manna oddał koledze komórkę, a ten włożył ją do kieszeni i znowu utkwiał wzrok w podłódze. Chłopak jeszcze nie powiedział wszystkiego. Czyżby Costa podzielił się z nim jakimś nowym odkryciem? Tylko czego mogło ono dotyczyć? Prawdopodobnie obsesji, że zabijając Zernicha, doprowadził do śmierci Valentiny... Ale przecież Piovesan nie miał z tym nic wspólnego. Dlaczego więc osobiście przyszedł tutaj z wiadomością o śmierci Carusa, skoro mógł po prostu zadzwonić?

– Gabriele... co się dzieje? – zapytał w końcu.

Młody policjant wreszcie podniósł na niego wzrok.

– Chyba zrobiłem coś naprawdę głupiego – mruknął.

Dziedziniec pogrążony był w niemal całkowitych ciemnościach, które potęgował ulewny deszcz, a jedyne światło od czasu do czasu rozświetlające mrok pochodziło z wyładowań atmosferycznych.

Costa zatrzymał się na moment, aby sprawdzić otwartą przestrzeń. Po prawej stronie znajdował się budynek będący siedzibą biur muzealnych oraz biblioteki, natomiast po lewej ceglany mur kompleksu zamkowego, w skład którego wchodziła też wieża. Nad głową inspektora wznosił się zaś wierzchołek Specoli, niewidoczny teraz z powodu panujących ciemności oraz padającego deszczu znacznie ograniczającego widoczność.

Na środku dziedzińca leżała postać, która wcześniej przykuła jego uwagę. Nikt inny jak tylko nieszczęsna Matka Boska, ostatnia ofiara psychopatycznych skłonności Federica Zernicha. Adele Donati upozowana na Maryję z obrazu Caravaggia miała na sobie granatową pelerynę, a na głowie brązowy welon. Klęczała z czołem opartym o ziemię, jakby skulona, a mokre włosy opadały jej na twarz.

Podbiegł do niej, nie zważając, że na otwartej przestrzeni, bez żadnej osłony, staje się łatwym celem dla potencjalnych napastników. Uklęknął obok, odsuwając ciężką, przesiąkniętą wodą pelerynę, i uniósł głowę dziewczyny. Dopiero teraz dostrzegł, że obie jej dłonie są splecione i związane sznurkiem, czego wcześniej pod długim ciemnym welonem nie zauważył. Ciało przytwierdzono do prymitywnego stelażu z drewna w kształcie litery igrek, który wbito w podłoże. Dziewczyna opierała się na konstrukcji, która – sklecona naprędce lub nadwyrężona wilgocią – nie zdołała utrzymać ciężaru ciała i dlatego młoda kobieta osunęła się do przodu, opierając czoło o bruk. Kiedy Costa uniósł jej głowę i odsunął włosy z twarzy, zauważył szkliste oczy i przezroczystą cerę. Nie potrzebował innych dowodów, by stwierdzić, że Adele nie żyje.

Delikatnie ułożył ciało na boku. Morderca nie zadał sobie żadnego trudu, by zakonserwować zwłoki przez zabieg plastynacji czy choćby pozornej balsamacji. Tym razem była to prymitywna imitacja koszmarnych inscenizacji Zernicha.

Wokół ciała strugi deszczu tworzyły małe wiry, wpadające do kratki ściekowej znajdującej się u stóp dziewczyny. Kałuże stojącej wody przybierały natomiast kolor, który Fabio rozpoznał nawet w ciemnościach. Krew.

Morderca Adele Donati nie poświęcił wiele czasu na przygotowanie sceny z jej udziałem. Serce nastolatki prawdopodobnie przestało bić zaledwie kilka godzin

wcześniej, o czym świadczyły uchodząca z ciała krew oraz brak stężenia pośmiertnego. Costa nagle zrozumiał, że dziewczyna została zabita tylko dlatego, że ktoś chciał zrobić na nim wrażenie, przygotowując pospiesznie makabryczną inscenizację.

Obraz ciągle pozostawał niepełny. Brakowało ostatniego bohatera i ta myśl sprawiła, że Costa zadrżał z niepokoju.

Pod wpływem przecucia szybko uniósł głowę i wtedy ją zobaczył. Zawieszoną na tle ciemnofioletowego nieba. Skrzydła rozpostarte w pozorowanym locie. Białe szaty unoszące się na wietrze. Rozłożone szeroko ramiona, wyciągnięte do przodu jakby z nadzieją, że uchronią przed upadkiem. A może przekazujące Maryi Boskie przesłanie?

Chwila zatrzymana w czasie tak samo jak na obrazie Caravaggia.

Costa krzyknął, ale jego głos zniknął w huku ostatniego ogłuszającego grzmotu. W ustach poczuł nieokreślony smak zimnej wody deszczowej. Instynktownie uniósł ramię, nie żeby się osłonić, lecz by zapobiec upadkowi, by ocalić ostatnią ofiarę.

Ciało uderzyło o kamienny bruk z mrozącym krew w żyłach plaśnięciem dokładnie u jego stóp. Ostatnie dzieło Federica Zernicha.

Zbliżając się do ciała spoczywającego na środku dziedzińca, czuł przytłaczającą pustkę. Wszystko nadaremnie. I już nie ma odwrotu.

Dopiero gdy stanął nad rozłożonymi ramionami, połamanymi kończynami i plastikowymi skrzydłami, zrozumiał, że to wszystko oszustwo. Anioł z plastiku. Zmyłka.

Na bruku leżał manekin z kauczuku opleciony stalowym drutem, wierna, choć nieożywiona kopia ludzkiego ciała. Nawet peruka przyklejona do głowy z poliesteru imitowała włosy Valentyny.

To nie ona. Nie ona.

Ponownie spojrzął w górę i w rogu tarasu, gdzie znajdowało się obserwatorium, tam skąd zrzucano anioła, zobaczył jasną plamę czyjejś twarzy. Nieznajomy wychylał się znad balustrady i przyglądał mu się niczym entomolog badający owady w terrarium.

Po chwili twarz zniknęła, pozostawiając za sobą nieme wołanie.

Costa odwrócił się w stronę schodów prowadzących na górne piętra. Z informacji, które przekazał mu Piovesan, pamiętał, że było to jedyne wejście wiodące na wieżę do gwiazd. Ten, kto czekał na niego na szczycie budowli, dobrze o tym wiedział. W tej chwili jednak nic już nie miało znaczenia.

Spadła na ziemię czy wciąż jest pośród gwiazd?

Ruszył biegiem ku szerokim schodom, pozostawiając za sobą trupa nieszczęsnej Adele oraz fałszywy zewłok plugawego manekina. Wiedział, że to jeszcze nie koniec. Musi odnaleźć Valentynę. Ostatni akt rozegra się na szczycie wieży. *Pośród gwiazd.*

Przeskakując po dwa stopnie naraz, czuł, jak oblewa go zimny pot, a w głowie kłębią się przerażające myśli. Wreszcie zrozumiał zamiary Zernicha. Stary psychopata zebrał informacje na jego temat, wiedział o nim wszystko. Wiedział, że tamtego feralnego dnia Costa również pokonywał w pośpiechu schody, bo Diana specjalnie zostawiła na ostatnim piętrze otwarte drzwi do windy. I tak jak wtedy, teraz też serce mu zamarło, bo zdawał sobie sprawę, że zaraz dojdzie do tragedii. Podobnie jak przed laty, jakaś część świadomości nakazywała mu się zatrzymać, zrezygnować z bezcelowych wysiłków. Przecież i tak nie zdąży. Może właśnie tak to sobie wymyślił chory umysł mordercy. Zernich chciał go zmusić do zgody na nieuchronny rozwój wypadków, skazać za życia do przyjęcia odpowiedzialności za kolejną śmierć. Albo skłonić go do rzucenia się w otchłań tak jak Diana, tak jak Valentina... Może taki koniec dla niego zaplanowali?

Nie możesz mnie rozczarować.

Nie. Nie tym razem. Nie w przypadku Valentiny. Błąd Zernicha polegał na tym, że przyjął, iż Fabio Costa, który biegł po schodach na szczyt wieży, jest tym samym mężczyzną sprzed lat. Jakby nic się nie zmieniło. A to nieprawda. Minęło zbyt wiele czasu. Zbyt wielu ludzi zginęło. Wiele jego decyzji okazało się nietrafnych.

Nie miał pojęcia, jakie trudności przyjdzie mu pokonać, ale w tym momencie zdecydował, że Valentina żyje, a on ją ocali.

Miotany sprzecznymi uczuciami przebiegł pod arkadami, minął ciemne sale wypełnione sprzętem astronomicznym oraz ozdobione wiekowymi inskrypcjami, otwierał drzwi i pokonywał kolejne schody, kierując się jedyną możliwą drogą, którą ktoś wyznaczył specjalnie dla niego. Wreszcie dotarł do pomieszczenia na szczycie wieży.

Rozejrzał się szybko, by oszacować swoje położenie. W ośmiokątnej sali ozdobne witraże w ołowianych ramach rywalizowały o uwagę z prostokątnymi kolumnami, na których widniały osiemnastowieczne freski przedstawiające najwybitniejszych astronomów w historii. W ciemnościach rozświetlanych jedynie blaskiem błyskawic surowe twarze z dawnych wieków spoglądały na niego z wyrzutem, jakby oskarżały go o zakłócenie należnego im spokoju. Na środku stał mosiężny teleskop, w którym odbijały się refleksy błyskawic docierające z zewnątrz. Pomieszczenie otaczał duży taras, a przez okna podzielone na małe kwadraty widać było panoramę miasta. W tle znaczyły się czarne zarysy łańcuchów górskich. Widok zapierał dech w piersiach, lecz Fabio nie miał czasu na podziwianie krajobrazów.

Na sklepieniu nad jego głową rozpościerał się obraz przedstawiający rozgwieżdżone niebo.

Rozejrzał się dookoła. Pomieszczenie sprawiało wrażenie opustoszałego. Jedno z wielkich okien było otwarte i wiatr uderzał okiennicą o ścianę. Strumienie zimnego deszczu wpadały do środka.

Dwa zegary ścienne jednocześnie wybiły godzinę drugą, a ich dźwięk zmieszał się z serią grzmotów.

Na zewnątrz coś zwróciło jego uwagę.

Valentina. Niech to będzie ona.

Zamarł. Chociaż w głowie miał mętlik i rosła w nim chęć gorączkowego działania, próbował zachować się, jak przystało na doświadczonego policjanta. Ktoś wszystko dokładnie przygotował. Altieri na zlecenie Zernicha odpowiadał raczej za wykonywanie brudnej roboty. Być może to właśnie on porwał Adele Donati i przywiózł ją na miejsce, chociaż policjanci deptali mu po piętach.

Mordercy mieli trochę czasu. Costa dokładnie wszystko rozważył. Kiedy najpierw on, a potem Manna przyjechali do Padwy, ktoś musiał powiadomić Zernicha o ich obecności. Może miało to miejsce wtedy, gdy skontaktowali się z Piovesanem i zaczęli zadawać zbyt dużo pytań? Młody funkcjonariusz był ostatnim współpracownikiem Valentiny, co na pewno nie umknęło bystremu i ostrożnemu Zernichowi. Przecież nie przypadkiem wymykał się prawu przez tyle lat. Prawdopodobnie ktoś przez cały czas miał Piovesana na oku. W czasie, gdy założyli GPS w samochodzie Altieriego i zaczęli go śledzić, Zernich przygotowywał ostatni etap swojego planu i powoli wcielał go w życie. Od tego momentu do chwili, kiedy Altieri ruszył do byłego sanatorium Świętego Andrzeja, minęło czterdzieści osiem godzin.

Tymczasem teraz zarządca dóbr Zernicha nie żył, podobnie jak jego chlebodawca, więc ktoś inny wykonywał przedśmiertne zlecenie psychopaty. Czyżby to była Hannie Janssen? A może ktoś, o kim jeszcze nie wiedzieli?

Ktokolwiek to był, teraz czekał na niego w więzy. Nawet się specjalnie nie ukrywał. Stojąc jeszcze na dziedzińcu, Fabio widział twarz mordercy, który zrzucił manekina anioła ze szczytu budowli. Teraz znajdował się gdzieś na tarasie i czekał. Nie należy działać pochopnie. Był to winien nie tylko sobie, ale przede wszystkim Valentinie.

Zbliżył się do otwartego okna balkonowego. Rozwarł je na oścież i poczuł, jak uderza go siła wiatru i ulewy. Wyszedłszy na zewnątrz, stanął na szczycie wieży. Pięćdziesiąt metrów niżej leżało uśpione miasto, a opływająca je rzeka toczyła z łoskotem swoje spienione wody.

Fabio zapomniał o ostrożności, kiedy wyszedł na taras i stanął w strugach ulewnego deszczu.

Wreszcie znalazł Valentineę.

Gdyby nie burza, która rozpętała się tej nocy nad Padwą, inscenizacja przygotowana przez Zernicha byłaby wręcz doskonała. Valentina była aniołem wśród gwiazd.

Taras wokół kopuły miał kształt kwadratu. Kobieta znajdowała się za rogiem wychodzącym na zachodnią stronę. Wciągarka, na której została zawieszona, nie wyglądała na zbyt masywną i prawdopodobnie nie byłaby w stanie utrzymać jej przez zbyt długi czas. Wszystko wskazywało na to, że ktoś umieścił ją w tej pozycji całkiem niedawno. Podstawa stelażu opierała się na niskim murku, którym wykończono brzeg tarasu. Ramię wciągarki podtrzymujące Valentineę znajdowało się w odległości około dwóch metrów od balustrady i niebezpiecznie kołysało się na silnym wietrze.

Kobieta była... Costa szukał odpowiedniego terminu, zmagając się z bólem na widok tej sceny. Bezwładna i bez czucia. Chyba bez życia.

Ubrano ją w długą białą szatę, podobną do tej, w którą owinięto zrzuconego z wieży manekina, jakby w ten sposób ktoś chciał zapowiedzieć jej koniec. Była przemoczona do szpiku kości, a woda obciążała jej ciało, ciągnąc w dół. Nagie, rozpostarte nad głową ręce z przywiązanymi do wciągarki przegubami przywodziły na myśl scenę ukrzyżowania. Głowa opadała bezwładnie do przodu, a twarz zasłaniały mokre włosy. Mimo to Fabio nie miał żadnych wątpliwości. To Valentina.

Silny podmuch wiatru nagle jeszcze mocniej zakołysał ciałem. Bose stopy poruszyły się niespokojnie, szukając oparcia, a może było to jedynie złudzenie w blasku błyskawic. Znikomy znak życia dodał jednak Fabiowi odwagi. Biegiem rzucił się w kierunku Valentiny, ślizgając się po mokrych płytkach.

Ona żyje – krzyczał głos w jego głowie. *Ona żyje.*

W ostatniej chwili zatrzymał się tuż przy balustradzie, gdyż siła rozpędu popychała go do przodu. Pod nim był cypel, na którym wznosiła się Specola, a kilka metrów dalej burzyły się czarne wody rzeki. Nie. Nie może pozwolić, aby oboje runęli w dół. Ich ciała nie mogą rozbić się o smagany deszczem kamienny bruk.

Z bliska Valentina wyglądała jak przemoczona kukła. W najmniejszym stopniu nie przypominała kobiety, z którą kilka tygodni temu prowadził śledztwo. Wcześniejszy ruch jej ciała był jedynie iluzją spowodowaną silnym wiatrem i ulewą.

Nagle tuż obok niego przemknęła Diana. Nie zatrzymała się, by na niego spojrzeć, nie dała mu czasu na jakąkolwiek reakcję. Minęła go i skoczyła w pustkę.

Zrozpaczony Costa widział, jak kobieta znika w ciemnościach, jak rozkłada ramiona w kolejnym okrutnym locie.

Nie. Nie pozwoli, by taki sam los spotkał Valentineę. Za wszelką cenę musi temu zapobiec. Musi uchwycić przekłete ramię wciągarki, obrócić je powoli i przyciągnąć na taras. I nie ma czasu do stracenia.

Wszedł na balustradę i sprawdził stabilność podstawy umocowanej za pomocą imadeł i wsporników. Trzeba znaleźć sposób, by obrócić mechanizm ze stelażem w stronę tarasu.

Ledwie dostrzegł cień postaci, która stanęła za jego plecami.

Zaskoczyło go silne, nieoczekiwane pchnięcie. Zamachał rękami w powietrzu.

Runął w dół.

Ułamek sekundy, mrugnięcie okiem.

Mimo to jego myśli były jasne i logiczne. Wiedział, że jeśli spadnie, rozbije się o bruk dziedzińca bez najmniejszej szansy na przeżycie. A Valentina pozostanie na łasce losu, który przygotował dla niej potwór o psychopatycznych skłonnościach. W jednej chwili postanowił, że musi złapać się metalowego ramienia stelaża podtrzymującego jej ciało, chociaż istniało niebezpieczeństwo, że pociągnie ją za sobą i zginą oboje.

Zdawał sobie sprawę, że zawisną nad przepaścią i szansa na przeżycie ograniczy się do jednej na milion. Zawsze to jednak coś.

Chwila minęła i straciwszy oparcie pod nogami, Fabio wygiął się i chwycił za sznur, na którym zwisała Valentina. Uchwycił się go ze wszystkich sił, chociaż mokre, zmarznięte dłonie nie ułatwiały zadania. Lina wyslizgnęła mu się z rąk, ale natychmiast złapał ją ponownie. Teraz razem z Valentineą kołysali się pięćdziesiąt metrów nad ziemią i Fabio poczuł, jakby Zernich po raz kolejny wbijał mu nóż w plecy. Ciepła krew popłynęła mu po plecach. Szwy w ranie pękły. Mimo to zdołał przytrzymać się jedną ręką sznura wciągarki, a drugą objął Valentineę. Jej ciało było przeraźliwie zimne, a kobieta nie dawała znaku życia.

Instynktownie spojrzął w stronę tarasu i wtedy ją zobaczył. Hannie Janssen. Owalna, pozbawiona wyrazu twarz, mokre ciemne włosy przyklepione do czaszki, okrągłe oczy wpatrzone w kołyszących się nad przepaścią ludzi.

Nie uśmiechnęła się. Nie otworzyła ust. Nie powiedziała ani jednego słowa. Przyglądała im się przez moment, po czym zniknęła, jakby porwała ją ciemna struga deszczu.

Fabio i Valentina zostali sami zawieszani w próżni, niczym anioły Caravaggia obserwujące ludzką niedolę.

To koniec.

Przyjął wyrok ze stoickim spokojem. I nie była to rezygnacja, lecz świadomość, że zrobił wszystko, co możliwe. Wiedział, że już długo nie da rady, a nie miał żadnych szans, by dosięgnąć balustrady tarasu.

Ręce zaczynały mu drętwieć. Czuł, jak opuszczają go siły, i wiedział, że długo jej już nie utrzyma. A każda chwila niosła ryzyko, że metalowe ramię wciągarki urwie się pod ich ciężarem.

Daj sobie spokój. Puść ją.

Miał przed sobą twarz Valentyny, dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów, jak wtedy, gdy się pocałowali. Teraz jednak była blada, nieruchoma, miała zimną skórę i zamknięte oczy. Nie wyczuwał bicia serca. Nie czuł ani odrobiny ciepła w jej sztywnym ciele.

Chciałabym, żebyś był przy mnie.

Tak mu powiedziała, kiedy po raz ostatni nagrała się na pocztę głosową w jego komórce. Przynajmniej tyle udało mu się dla niej zrobić. Teraz trzymał ją w ramionach.

– Valentino... – szepnął i zakręciło mu się w głowie. – Valentino...

Nie odpowiedziała. Już dawno straciła przytomność i pewnie nawet nie wiedziała, że teraz Fabio jest przy niej.

Smagający poryw wiatru i strugi deszczu gwałtowniej zakołysały prowizoryczną konstrukcją, do której byli przyczepieni. Balustrada tarasu znajdowała się tak daleko, a on czuł potworne zmęczenie.

Diana spada w otchłań. Valentina spada w otchłań. A on w ślad za nimi.

Daj sobie spokój. Przecież od samego początku wiedziałeś, jak się to skończy.

Nagle ogarnęła go złość. Nie bał się śmierci, ale nie mógł znieść świadomości, że Zernich wygrał, że nawet teraz, kiedy już nie żyje, udało mu się postawić na swoim.

Jeszcze bardziej zbliżył twarz do oblicza Valentyny. Poszukał jej zimnych ust. Poczował, jak się rozchylają.

Potem w ciemnościach rozległy się krzyki. Chwyciły ich czyjeś ręce. Cały świat zawirował. Cały świat runął w dół.

Krople deszczu zmieniały się w kryształki lodu, w spadające z nieba iskry, które rozbłyskiwały światłem, zanim rozbiły się o jego twarz. Widziane z dołu stanowiły niesamowicie piękny, choć bolesny spektakl.

Czuł przenikliwy chłód, a to oznaczało, że jednak żyje.

Uniósł głowę, ale ktoś natychmiast go upomniał.

– Nie tak gwałtownie. Powoli.

Znajomy głos i przejęty ton, które od razu rozpoznał. Wzruszył się na znak wyraźnej troski ze strony przyjaciela.

Pochylał się nad nim Loris Manna. Na jego twarzy łyzy mieszały się z kroplami deszczu. Burza szalała nad ich głowami, a oni wciąż tkwili na tarasie wieży.

– Jak... – próbował zapytać, ale Loris pokręcił głową.

– Nie teraz – powiedział. – Jeszcze nie teraz.

Fabio nie mógł się zgodzić na taką odpowiedź. Nie. Właśnie teraz jest odpowiedni moment. Teraz musi się dowiedzieć. I czas nie ma tu znaczenia.

Nie zważając na protesty Manny, ponownie uniósł głowę i oparł się na łokciach. Ulewa nie ustawała, chociaż w oddali nad szczytami gór przebłyskiwało słabe światło. Niepewna zapowiedź pogodnego świtu. Nowy dzień, wraz z którym znikną wreszcie groźne cienie.

Przynajmniej na jakiś czas.

Spojrzał na prawo. Gabriele Piovesan siedział na podłodze tarasu i trzymał na kolanach ciało Valentiny. Jej przechylona na bok głowa opierała się bezwładnie na ramieniu policjanta, który odgarnął z twarzy kobiety mokre włosy, odsłaniając bladą twarz. Była piękna pomimo wyjątkowo jasnego, śnieżnobiałego koloru skóry. Jak to ujął Zernich: anielsko piękna.

Serce Fabia ścisnęło się z bólu. Wbił wzrok w Lorisa i intensywnie patrząc mu w oczy, szukał prawdy, niezależnie od tego, jaka była. Nawet takiej, która go zabije.

– Co z Valentiną? – szepnął i nie znalazł sił na to, by kontynuować.

Loris nie spuścił wzroku. Wytrzymał jego spojrzenie.

A zaraz potem na jego ustach pojawił się uśmiech.

Postowie

Jak tylko przystąpiłem do pracy nad tą powieścią, czułem potrzebę przedstawienia w miarę ścisłego opisu autentycznego śledztwa kryminalnego. Chciałem jak najstaranniej oddać nie tylko wykorzystywane przez policję techniki, ale również przemyślenia, zapachy, smaki, wątpliwości, obawy i silne przeczucia towarzyszące nie zawsze przyjemnej przygodzie, w którą wchodzi grupa śledczych, ruszając tropem przestępców. Zwłaszcza gdy poszukiwanym jest seryjny morderca.

Takie trzymanie się realiów śledztwa było nieuniknione z uwagi na moje osobiste doświadczenia. Przez większą część życia zawodowego pracowałem w policji sądowej i nie mógłbym poważnie się na napisanie tej powieści, nie korzystając z tych zasobów. Inni pisarze kryminałów i thrillerów (po prawdzie nie wszyscy) podejmują chwalebne wysiłki, by poznać procedury prawne oraz techniki śledcze, a także aby zrozumieć ząbajające się kompetencje policjantów na różnych szczeblach i zadania przynależne komendantom, prokuratorom, sędziom, komisarzom oraz szeregowym funkcjonariuszom. Niektórzy z nich prosili mnie niekiedy o opinie i konsultacje, co czyniłem z ogromną przyjemnością.

Osobiście nie potrzebowałem jakiegoś szczególnego przygotowania przed przystąpieniem do pisania, ponieważ znam całą procedurę z doświadczenia. Brałem udział w śledztwach i ponosiłem konsekwencje własnych działań oraz decyzji. Dzięki tej wiedzy praktycznej po prostu wiedziałem, o czym piszę. Natomiast obawa, by nie popełniać błędów, dotyczyła całej reszty warsztatu pisarza i dlatego zrobiłem to, co czynią inni twórcy, a więc poprosiłem o pomoc konsultantów, przyjaciół i wydawców.

Tam, gdzie wyraźnie musiałem dostosować rzeczywistość do wymogów fikcji, podjąłem wysiłek opisania, jak w zwyczajnych warunkach przebiega złożona praca śledczych. Rozpocząłem od roli biura centralnego, które często pojawia się w powieściach, filmach i serialach telewizyjnych, chociaż równie często przedstawiane jest bardzo pobieżnie: to centrum operacyjne policji państwowej. Być może na kartach powieści pozwoliłem sobie na przesadną krytykę tej jednostki, niemniej pozostaje ona najważniejszym i najskuteczniejszym wydziałem włoskiej policji.

Jednostka ta została utworzona około tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku przez niezapomnianego Antonia Manganellego na wzór amerykańskiej agencji FBI. Główną funkcję tego centrum stanowi koordynacja działań lokalnych grup operacyjnych, których zadaniem jest zwalczanie przestępczości zorganizowanej,

handlu narkotykami, jak również poszukiwanie morderców oraz wyjaśnianie zbrodni na przydzielonym terenie. Centrala dba o współpracę pomiędzy różnymi jednostkami zaangażowanymi w śledztwo. Odgrywa też decydującą rolę w przypadku porwań, tak zwanych *cold case*, oraz w przygotowaniu i nadzorowaniu akcji, w których policjanci pod przykrywką infiltrują grupy przestępcze. Centrala wysyła swoich funkcjonariuszy i analityków tam, gdzie są potrzebni, oraz utrzymuje kontakty i współpracuje z policją całego świata. Pracownicy centrali pomagali w śledztwie sędziom Falconemu i Borsellinowi – a to tylko dwa z wielu przykładów.

Bohaterowie mojej powieści, Valentina Medici i Fabio Costa, są zatem wcieleniem wielu policjantów z centrali, nie tylko z uwagi na stosowane przez nich metody oraz profesjonalizm, ale przede wszystkim z powodu oddania i poświęcenia charakteryzującego ich podejście do pracy. Również w opisie ich działań i motywacji starałem się zachować najdalej idącą autentyczność. Praca w centrali nie jest bowiem ani łatwa, ani bezbolesna, a życie prywatne i rodzina bardzo często schodzą na dalszy plan. *Kochanie, wybacz mi, ale najpierw służba*. Funkcjonariusze z centrali bardzo często powtarzają to zdanie, a jego konsekwencje mogą być bardzo poważne dla ich psychiki. Także ten aspekt odzwierciedla moje osobiste doświadczenia, gdyż miałem okazję pracować w centrali przez mniej więcej sześć lat i na własnej skórze odczułem, jak owo całkowite oddanie się pracy wpływa na charakter i zachowanie funkcjonariuszy. Nie muszę więc tłumaczyć, dlaczego chciałbym zadedykować tę powieść również wszystkim swoim byłym kolegom z centrali.

Wreszcie chciałbym poświęcić dwa słowa wyjątkowemu bohaterowi tej powieści, jakim jest Caravaggio. W spadku po moim ojcu, który pracował jako nauczyciel w liceum i sam malował, odziedziczyłem zamiłowanie do sztuki. W naszym mieszkaniu zawsze pełno było książek związanych z historią sztuki oraz reprodukcji obrazów, a w pokojach unosił się zapach farb olejnych, których używał ojciec i którym do dziś przesiąknięta jest moja pamięć. Nie jestem jednak ekspertem i, aby odpowiednio opisać dzieła Michelangela Merisiego oraz ich oddziaływanie na ludzką duszę (nawet jeśli byłaby to dusza zdeprawowana), musiałem odwołać się do bibliografii przedmiotu na czele ze wspaniałym i wyczerpującym opracowaniem autorstwa Sebastiana Schützego, *Caravaggio. L'opera completa*. Zgłębiając dzieła artysty i ich historię (nie ma obrazu Caravaggia, któremu nie towarzyszyłaby wyjątkowa, sugestywna opowieść zasługująca na osobną książkę), często odnosiłem wrażenie zagubienia podobne do strachu, które dodatkowo pobudzało moją fantazję. I właśnie wtedy zrozumiałem, jak wiele racji ma w sobie stwierdzenie, że malarstwo jest aktywnością człowieka, która pozwala najbardziej zbliżyć się do tajemnicy kryjącej się na granicy pomiędzy życiem a śmiercią. Wśród dawnych mistrzów nie ma

zaś artysty, który silniej niż Caravaggio skłaniałby do refleksji nad tym zagadnieniem. Jak powiedział Vittorio Sgarbi, Caravaggio „zmusza nas do otwarcia oczu na materialną stronę natury ludzkiej, która pachnie krwią i śliną, i właśnie dlatego fascynuje, szokuje, trafia do przekonania”.

Podziękowania

Pragnę złożyć serdeczne podziękowania osobom, które przyczyniły się do powstania tej powieści, zważywszy, iż pisanie książki nigdy nie jest samotną przygodą.

Przede wszystkim dziękuję zrównoważonej i konkretnej Carmen Prestii. Nie tylko za jej pracę agentki literackiej, ale także za to, że tak bardzo zaangażowała się w moją pracę, oraz za to, że najpierw mnie nie znosiła, a później obdarzyła przyjaźnią i nakłaniała do ciągłych postępów. To dzięki niej dałem z siebie wszystko. Podziękowania należą się również dziewczynom z agencji literackiej Alferj&Prestia, całemu prężnemu i godnemu zaufania zespołowi.

Jestem wdzięczny Giuseppe Strazzeriemu i Fabriziowi Cocco za to, że we mnie uwierzyli i przekonali mnie, abym i ja w siebie uwierzył. Giuseppe uprzejmie i cierpliwie wskazywał mi właściwą drogę, natomiast Fabrizio jest najzacieklejszym, najbardziej zdecydowanym, upartym, bezlitosnym i inteligentnym wydawcą, jakiego poznałem. Dziękuję Antoniowi Moro za to, że jego skalpel tnie ostrzej niż u niejednego patologa.

Składam podziękowania całemu zespołowi wydawnictwa Longanesi, który przyjął moją powieść z zadziwiającą uwagą i zainteresowaniem.

Dziękuję wszystkim przyjaciołom, którzy w ciągu ostatnich lat pobudzali moją chęć napisania powieści i bez których nigdy nie zrealizowałbym tego zamierzenia: Gianfrancowi de Turrisowi, Luigiemu de Pascalisowi i Nicoli Verdemu za to, że nigdy mnie nie opuścili. Dziękuję również całej reszcie grupy tak zwanych starych pisarzy: Robertowi Genovesiemu, Errikowi Passaro i Gabrielowi Marconiemu. Każdy z nich wspierał mnie w trudnych chwilach, gdy jeszcze nie widać było świtu na horyzoncie.

Specjalne wyrazy wdzięczności dla Andrei Cottiego, który od początku uważał mnie za prawdziwego pisarza oraz za przyjaciela i nigdy mnie nie zawiódł, a także dla Gai Cenciarell, która podnosiła mnie na duchu w momentach zwątpienia, a kiedy było trzeba, stosowała również ostrzejsze środki. Jesteście mi naprawdę drodzy.

Dziękuję Loredanie Bianchini za cenne informacje na temat plastynacji i za empatię oraz Luigiemu Contardo za konsultacje w kwestiach medycznych.

Na liście nie może też zabraknąć pierwszego czytelnika powieści, Alessandra Castiglione, bez którego nie byłbym w stanie skoncentrować się na tym projekcie.

Jestem wdzięczny swojej rodzinie za to, że przez cały czas mnie wspierała, dziękuję Deborze, dzieciom i bratu Gabrielowi, który jest zawsze gotowy do pomocy.

Wreszcie dziękuję najważniejszym osobom w całym procesie, a mianowicie księgarzom, którym powierzamy nasze historie, by mogły dotrzeć do najdalszych stron świata. No i przede wszystkim czytelnikom, którzy zechcą sięgnąć po tę powieść, a mam nadzieję, że również po następne.